



**ANNA GAVALDA**

**POCIESZENIE**

Trzymał się zawsze z boku. Gdzieś tam, daleko od bramy, poza naszym zasięgiem. Rozgorączkowane spojrzenie, splecione ramiona. Nawet bardziej niż splecione, zamknięte, zahaczone jedno o drugie. Jak gdyby było mu zimno albo bolał go brzuch. Jak gdyby sam siebie podtrzymywał przed upadkiem.

Prowokował nas wszystkich, nie patrzył na nikogo. Szukał wzrokiem jednej chłopięcej sylwetki, przyciskając mocno do serca papierową torebkę.

Było w niej ciastko z czekoladą, dobrze o tym wiedziałem. I za każdym razem zastanawiałem się, czy przypadkiem wszystkiego nie rozgniótł...

Tak, to go trzymało przy życiu: szkolny dzwonek, lekceważenie, piekarnia po drodze i wszystkie te tłuste plamki na kłapie garnituru, jak niespodziewane medale.

Niespodziewane...

Tylko... Skąd miałem wtedy o tym wiedzieć?

Wtedy się go bałem. Jego buty były zbyt spiczaste, paznokcie zbyt długie, a palec wskazujący - poźółkły. Usta zbyt czerwone. Płaszcz zbyt krótki i mocno przyciasny.

I oprawa oczu zbyt ciemna. I głos dziwny.

Gdy wreszcie nas dostrzegł, uśmiechał się i rozkładał ramiona. Pochylał się w milczeniu, dotykał włosów Alexisa, jego ramion, twarzy. I gdy matka przyciągała mnie mocno do siebie, zafascynowany liczyłem pierścionki przesuwające się po policzkach mojego przyjaciela.

Po jednym na każdym palcu. Prawdziwe pierścionki, piękne, cenne, jak pierścionki moich babć. Zawsze w tym momencie matka odwracała się zdegustowana, a ja puszczałem jej rękę.

Za to Alexis - nie. Nigdy się od niego nie odsuwał. Jedną ręką podawał mu tornister, a w drugą, wolną, brał ciastko, i oddalali się razem w stronę place du Marché.

Przy tym swoim ufoludku na obcasikach, dziwolągu z targowiska, szkolnym obiekcie kpín Alexis czuł się bezpieczniej niż ja przy matce i był bardziej kochany.

Tak uważałem.

Pewnego dnia mimo wszystko odważyłem się zapytać:

- Ale, hm... to jest pan czy pani?

- Kto?

- Ten ktoś, kto przychodzi po ciebie do szkoły.

Wzruszył ramionami.

Oczywiście, że pan. Ale nazywa się Niania.

I ona, ta jego Niania, obiecała na przykład, że przyniesie mu złote kostki do gry i wtedy on zamieni się ze mną na tamtą kulkę, jeżeli będę chciał, albo... O, Niania się dzisiaj spóźnia... Żeby tylko nie zgubiła kluczy... Bo ona ciągle wszystko gubi, wiesz... Często powtarza, że któregoś dnia zapomni głowy u fryzjerki albo w przebieralni sklepu Prisunic, a później się śmieje i mówi, że na szczęście zostaną jej jeszcze nogi!

Ale to jest pan, chyba widzisz.

Co za pytanie...

Nie mogę przypomnieć sobie jego prawdziwego imienia. Chociaż było jakieś takie niezwykle...

Imię z music-hallu, coś, co przywodzi na myśl wytarty aksamit i zapach ostygłego papierosowego popiołu. Imię w stylu Gigi Lamor albo Gino Cherubini, albo Rubis Dolorosa, albo...

Nie pamiętam i wkurza mnie to, że nie pamiętam. Jestem w samolocie, lecę na koniec świata, powinienem spać, muszę się przespać. Wziąłem nawet tabletki. Nie mam wyboru, inaczej się wykończę. Nie zmrużyłem oka od tak daw... i ja...

Ja się wykończę.

Nic nie pomaga. Ani chemia, ani smutek, ani wyczerpanie. Prawie dziesięć kilometrów nad ziemią, wysoko w przestrzeni, walczę jak idiota, staram się wzniecić nie całkiem wygasłe wspomnienia. A im bardziej dmucham, tym bardziej pieką mnie oczy i tym mniej widzę, i tym niżej pochylam się, klęcząc.

Kobieta z fotela obok już dwa razy prosiła, żebym zgasił lampkę. Przepraszam, ale nie. To było czterdzieści lat temu, proszę pani... Czterdzieści lat, pani to rozumie? Potrzebuję światła, żeby odnaleźć imię starego transwestyty. To genialne imię, które oczywiście wyleciało mi z pamięci, bo ja też nazywałem go Nianią. Imię, które uwielbiałem. Bo tak to już było z tamtymi ludźmi: ich się uwielbiało.

Niania, który pojawił się w ich poharatanym życiu pewnego szpitalnego wieczoru.

Niania, który rozpieszczał ich, psuł, karmił, wkurzał, pocieszał, odwszawiał, hipnotyzował na serio, oczarowywał i odczarowywał tysiące razy. Dotykał dłoni, wyciągał karty, obiecywał życie sultańskie, cesarskie, życie wśród bursztynów i szafirów, omdlewające pozy i słodkie miłości, i Niania, który pewnego ranka zniknął w dramatycznych okolicznościach.

Dramatycznych jak należy. Jak wszystko, co się im należało.

Ale ja... później. Powiem to później. Teraz nie mam siły. No i nie mam ochoty. Nie chcę ich teraz ponownie stracić. Teraz chcę posiedzieć jeszcze chwilę na grzbiecie mojego taboretowego słonia z formiki, z nożem kuchennym wsuniętym za przepaskę na biodrach, i oglądać te jego łańcuchy, pudry i wszystkie turbany z Alhambry.

Potrzebuję snu i potrzebuję tego światełka. Potrzebuję wszystkiego, co zgubiłem po drodze. Wszystkiego, co mi dali i co odebrali.

I zmarnowali też...

Bo tak to już było w ich świecie. To było ich prawo, ich credo, ich życie niedowiarków. Uwielbiało się, objęło, płakało, tańczyło całą noc, a wszystko płonęło ze szczętem.

Wszystko.

Nie mogło zostać nic. Nic. Nigdy. *Nada*. Gorzkie usta, ściągnięte, złamane, wykrzywione, łóżka, popiół, rozmyte twarze, przeplakane godziny, całe lata samotności - to tak. Ale nie wspomnienia. Tylko nie to. Wspomnienia były dla innych.

Dla zmarzłaków. Dla księgowych.

„Najpiękniejsze zabawy, zobaczycie, koziołki, najpiękniejsze zabawy zapomina się rankiem - mawiał. - Najpiękniejsza zabawa jest podczas zabawy. Rankiem nie istnieje. Ranek jest wtedy, gdy łapiesz pierwsze metro i znów ktoś na ciebie napada”.

A ona. Ona. Ona bez przerwy mówiła o śmierci. Bez przerwy... Żeby wykipić, oswoić tę dziwkę. Bo wiedziała, że wszyscy będziemy mieć z nią do czynienia, całe jej życie opierało się na tej wiedzy, i dlatego powtarzała, że trzeba się dotykać, kochać, że trzeba pić, gryźć, jęczeć z rozkoszy, a potem o wszystkim zapomnieć.

„Więcej żaru, dzieciaki. Włóżcie w to więcej żaru”.

To jej głos i ja... nadal go słyszę.

Dzikusy.

\* \* \*

Nie może zgasić lampki. Ani zamknąć oczu. Zaraz oszaleje... nie, on już oszalał. Wie o tym. Dostrzega swoje odbicie w czarnej szybie i...

- Proszę pana... Wszystko w porządku?

Stewardesa dotyka jego ramienia. Czemu mnie opuściliście?

- Coś się stało?

Chciałby jej odpowiedzieć, że nie, że wszystko dobrze, dzięki, ale nie może: płacze.

Nareszcie.

TLR

Wczesna zima. Sobotni poranek. Lotnisko Paris-Charles-de-Gaulle, terminal 2E.

Mleczne słońce, woń kerozyny, potworne zmęczenie.

- Nie ma pan walizki? - pyta taksówkarz, dotykając bagażnika.

- Mam.

- W takim razie dobrze ją pan schował! Śmieje się, a ja się odwracam.

- O, nie... ja... taśma... Zapomniałem...

- Proszę iść! Zaczekam.

- Nie. Trudno. Teraz nie mam siły, ja... Trudno... Przestaje się śmiać.

- Ej! Chyba jej pan nie zostawi?

- Odbiorę innym razem... Zresztą pojutrze znów tu będę... To tak, jakbym tu mieszkał, ja... Nie... Jedźmy...

Nie zależy mi. Nie chcę tam teraz wracać.

„Hej, Ty, *klap, klap*, Boże mój, tak, Ty, dotrę do Ciebie na... koniu.

O, yeah, tak, na koniu!

Hej, Ty, *klap, klap*, Boże mój, tak, Ty, dotrę do Ciebie... rowerem.

O, yeah, tak, rowerem!"

W peugeocie 407 Claudy'ego A'Bguahany nr 3786 (licencja przyklejona taśmą do oparcia) swing, że aż mi-  
ło.

„Hej, Ty, *klap, klap*, Boże mój, tak, Ty, dotrę do Ciebie... balonem.

O, yeah, tak, balonem!" Zagaduje moje odbicie w lusterku:

- Mam nadzieję, że religijne pieśni panu nie przeszkadzają?

Uśmiecham się.

„Hej, Ty, *klap, klap*, Boże mój, tak, Ty, dotrę do Ciebie w... rakiemie.

O, yeah, tak, w rakiemie!"

Gdybyśmy wszyscy słuchali takich pieśni, zapewne stracilibyśmy wiarę nieco później, czyż nie? „O, yeah!"

O, tak...

- Nie, nie, w porządku. Dziękuję. Jest doskonale.

- Skąd pan wraca?

- Z Rosji.

- Oj! Pewnie tam zimno?

- Bardzo.

Żarliwie pragnąłbym okazać więcej braterskich uczuć owieczce z tego samego stada, ale... I tu biję się w pierś, tak, to akurat potrafię, biję się mocno w pierś: nie mogę.

Moja bardzo wielka wina.

Jestem zbyt odległy, zbyt wyczerpany, zbyt brudny i zbyt spragniony, żeby z nim rozmawiać.

Po wjeździe na autostradę:

- Czy Bóg jest w pana życiu?

O, cholera. Jezus. Że też musiało trafić na mnie...

- Nie.

- Wie pan co? Od razu byłem pewien. Facet, który ot tak zostawia walizkę... Pomyślałem: tu nie ma Boga.

Uderzając w kierownicę, powtarza:

- Tu nie ma Boga.

- Ano nie ma... - spowiadam się.

- A jednak! On przecież jest! Jest wszędzie! Pokazuje nam dro...

- Nie, nie - przerywam. - Tam, skąd wracam, skąd przyjechałem... nie ma Go. Zapewniam pana.

- A to dlaczego?

- Nędza...

- Ale Bóg jest także w nędzy. Bóg czyni cuda, wie pan?

Rzut oka na licznik, dziewięćdziesiątka, nie, nie mogę otworzyć drzwiczek.

- Na przykład ja... Dawniej byłem... Byłem niczym! - podnieca się. - Piłem! Uprawiałem hazard! Spałem z mnóstwem kobiet! Nie byłem człowiekiem, rozumie pan... Byłem niczym! I wtedy Pan wziął mnie w opiekę. Pan zerwał mnie jak kwiatusek i rzekł do mnie: „Claudy, ty...”

Nigdy się nie dowiem, czego mu nagadał Starzec, bo zapadłem w drzemkę.

Staliśmy pod wejściem do mojej kamienicy, a on ścisnął mi kolano.

Na odwrocie rachunku zapisał adres do raju: *Kościół w Aubervilliers. Ulica Saint-Denis 46-48. Od 10.00 do 13.00.*

- Trzeba przyjść w niedzielę. Powiedzieć sobie: wsiadłem do tego właśnie samochodu i to nie był przypadek, bo coś takiego jak przypadek... - wielkie oczy - nie istnieje.

Szyba od strony pasażera była opuszczona. Pochyliłem się, żeby pożegnać swojego pasterza:

- Ale czy... eee... pan... pan teraz w ogóle nie sypia... eee... z kobietami?

Szeroki uśmiech.

- Tylko z tymi, które zsyła mi Pan...

- A jak je pan rozpoznaje? Bardzo szeroki uśmiech.

- Są najpiękniejsze.

\* \* \*

Nauczyli nas wszystkiego na odwrót - rozmyślałem, pchając drzwi na klatkę. Ja, pamiętam, byłem szczery tylko w jednym momencie, wtedy gdy powtarzałem: „Nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie”.

Wtedy tak. Wtedy naprawdę w to wierzyłem.

„A Ty”, *klap, klap*, wdrapując się, „tak, Ty”, na czwarte piętro, z przerażeniem uświadomiłem sobie, że ta cholerna śpiewka przyczepiła się do mnie, „w... taksówce, tak, w taksówce”.

O, yeah!

Ktoś zamknął drzwi na łańcuch i te dziesięć centymetrów, które uparcie dzieliło mnie od własnego mieszkania, wyprowadziło mnie z równowagi. Odbyłem zbyt długą podróż, zbyt wiele widziałem, samolot miał zbyt duże opóźnienie, a Bóg był zbyt delikatny. Zaczęło mi odwalać.

- To ja! Wpuście mnie! Tłukąc w drzwi, wrzeszczałem:

- Otwierajcie, do jasnej cholery!

Ze szpary wyjrzał pyszczek Snoopy'ego.

- Hej, no co jest... No już, spokój... Spokój...

Mathilde zdjęła łańcuch i zawróciła. Kiedy przekroczyłem próg, zobaczyłem już tylko jej plecy.

- Dzień dobry! - powiedziałem.

Ograniczyła się do uniesienia dłoni i ślamazarnego ruchu palcami.

*Enjoy* - namawiał napis na plecach jej koszulki. No, proszę. Przez ułamek sekundy miałem ochotę złapać ją za włosy, zmusić, żeby się odwróciła, i powtórzyć, patrząc jej prosto w oczy, trzy krótkie, niemodne sylaby: dzień-do-bry. I zaraz, och... Dałem sobie spokój. Zresztą już i tak trzasnęły drzwi jej pokoju.

Nie było mnie przez tydzień, pojutrze znów miałem wyjechać i jak... jakie to wszystko miało znaczenie...

No? Jakie znaczenie? Byłem tu tylko przejazdem, nieprawdaż?

Wszedłem do sypialni Laurence, a więc także, jak się zdaje, mojej sypialni. Łóżko było starannie zaścielone, kołdra gładka, poduszki grube, brzuchate, wyniosłe. Smutne. Przemknąłem pod ścianą i usiadłem na brzeжку materaca, żeby niczego nie pognieść.

Patrzyłem na buty. Dość długo. Patrzyłem przez okno. Na dachy za oknem i na Val-de-Grâce w oddali. A później na ubrania na oparciu fotela...

Jej książki, jej butelka z wodą, jej notes, jej okulary, jej kolczyki... Wszystko to miało zapewne jakieś znaczenie, ale nie za bardzo wiedziałem jakie. Ja... ja już niczego nie rozumiałem.

Dotknąłem jednej z tubek z granulkami, ustawionej na stoliku nocnym.

„Nux Vomica 9CH, zaburzenia snu”.

Tak, tym właśnie jest teraz nasza sypialnia - zgrzytnąłem, wstając.

Nux Vomica.

Tak było za każdym razem, za każdym razem gorzej. Mnie już tam nie było. Brzegi oddalały się od siebie, a ja...

Dobra, przestań - skarciłem się w myślach. Jesteś zmęczony i głupoty ci w głowie. Przestań.

Woda była gorąca. Z otwartymi ustami i zamkniętymi oczyma czekałem, aż zmyje ze mnie wszelkie nieczystości. Zimno, śnieg, brak światła, godziny odstane w korkach, niekończące się dyskusje z debilem Pawłowiczem, z góry przegrane bitwy i te wszystkie spojrzenia, które jeszcze teraz nie dawały mi spokoju.

Tego faceta, którzy dzień wcześniej rzucił mi kaskiem w twarz. Słowa, których nie rozumiałem, ale których treść odgadywałem bez trudu. Budowę, która mnie przerasta... Na wszystkich frontach...

Co mi odbiło, że się w to wpakowałem? A teraz! Nie mogę nawet znaleźć maszynki do golenia pośród wszystkich tych produktów pielęgnacyjnych! Skórka pomarańczowa, bolesne miesiączki, dotyk blasku, płaski brzuch, tłusty łojotok, łamliwe włosy.

O co chodzi w tym burdelu? No, o co chodzi?

I po jaką cholere?

Zaciąłem się i wywaliłem do kosza cały ten kram.

- Wiesz co... Chyba zrobię ci kawy, nie?

Mathilde stanęła z założonymi rękoma, oparta lekko biodrem o ramę drzwi do łazienki.

- Dobry pomysł. Patrzyła na podłogę.

- Tak... eeee... Zrzuciłem parę drobiazgów... Ja to... Nie martw się.

- Och, nie. Nie martwię się. Robisz to za każdym razem.

- Ach, tak? Kiwnęła głową.

- Jak minął tydzień? - zapytała.

- No, dobrze. Kawa.

Mathilde... Dziewczynka, którą oswoiłem z takim trudem... Z takim trudem... Jakże ona wyrosła, mój Boże!  
Na szczęście zostało w niej jeszcze coś ze Snoopy'ego.

- Lepiej się czujesz?

- Tak - odpowiedziałem, dmuchając do filiżanki. - Dziękuję. Czuję, że nareszcie wylądowałem... Nie masz lekcji?

- Nie, nie.

- Laurence dziś cały dzień w pracy?

- Tak. Dołączy do nas u babci... O, nieeee... Nie mów, że zapomniałeś... Wiesz chyba, że dziś wieczorem świętujemy urodziny...

Zapomniałem. Nie o jutrzejszych urodzinach Laurence, tylko o tym, że mamy dziś w planach sympatyczny wieczorek. Prawdziwa rodzinna kolacyjka, taka, jak lubię. Tego właśnie mi potrzeba, naprawdę.

- Nie mam prezentu.

- Wiem... Dlatego nie poszłam na noc do Lei. Wiedziałam, że będę ci potrzebna...

Dojrzewanie... Cóż za wyczerpująca huśtawka!

- Wiesz co, Mathilde, twoja umiejętność szybkiego przechodzenia od serdeczności do chłodu będzie mnie zawsze zadziwiać...

Wstałem, żeby dolać sobie kawy.

- Przynajmniej kogoś zadziwiam...

- Hej - odpowiedziałem, głaszcząc ją po plecach. - *Enjoy*. Zesztywniała. Lekko.

Tak jak jej mama.

Postanowiliśmy pójść pieszo. Gdy minęliśmy kilka cichych uliczek, zacząłem odnosić wrażenie, że każde moje następne pytanie wkurza ją bardziej niż poprzednie; chwyciła iPod'a i wcisnęła w uszy słuchawki.

No, no, no... Chyba powinienem kupić sobie psa, nie? Kogoś, kto będzie mnie kochał i świętował każdy mój powrót z podróży służbowej... Choćby wypchanego, co? O wielkich, czułych oczach, z ukrytym małym mechanizmem, który wprawiałby w ruch jego ogon, gdy głaskałbym go po głowie.

Och... Już go kocham...

- Obraziłeś się?

Miała w uszach ten swój sprzęt, więc wypowiedziała te słowa głośniej, niż powinna, aż odwróciła się kobieta stojąca obok nas na przejściu.



Mathilde westchnęła, zamknęła oczy, znów westchnęła, wyjęła lewą słuchawkę i wcisnęła ją w moje prawe ucho.

- Posłuchaj... Puszczę ci coś z twoich czasów, rozchmurzysz się...

Nagle, przebijając się przez potężny hałas ulicznych korków, na końcu króciutkiego kabelka, który łączył mnie jeszcze z odległym dzieciństwem, zabrzmiało kilka gitarowych akordów.

Kilka nut i doskonały głos, szorstki i nieco jednostajny, głos Leonarda Cohena.

*Suzanne takes you down to her place near the river*

*You can hear the boats go by*

*You can spend the night beside her*

*And you know that she's half crazy...*

- Lepiej?

*But that's why you want to be there.*

Pokiwałem głową jak rozkapryszony chłopczyk.

- Super. Ucieszyła się.

Do wiosny było jeszcze daleko, lecz słońce zaczynało już lekko przygrzewać i rozlewało się leniwie na kopule Panteonu. Moja-córka-która-nie-była-moja-córką-ale-która-jednak-ni- była ujęła mnie pod rękę, starając się utrzymać w uchu słuchawkę, no i byliśmy w Paryżu, najpiękniejszym mieście świata, w końcu musiałem to przyznać, wszak często je opuszczałem.

Szliśmy przez dzielnicę, którą bardzo lubiłem, odwróceniem plecami do Wielkich Mężów z Panteonu, my, dwoje małych śmiertelników, nic nieznaczących w spokojnym, weekendowym tłumie. Uspokojeni, z opuszczoną gardą, w tym samym rytmie *for he's touched our perfect bodies with his mind*.

- Niesamowite. - Pokręciłem głową. - Ktoś tego w ogóle jeszcze słucha?

- A jak...

- Ja to nuciłem na tej ulicy ponad trzydzieści lat temu... Widzisz tamten butik...?

Ruchem podbródka wskazałem witrynę Dubois, sklepu dla artystów przy rue Soufflot.

- Gdybyś wiedziała, ile godzin spędziłem, wpatrując się w tę wystawę... Wszystko mi się tu podobało. Wszystko. Ich papiery, pióra, tubki farb marki Rembrandt... Któregoś dnia zobaczyłem nawet, jak wychodzi stamtąd Prouvé. Jean Prouvé, wyobrażasz sobie! Już wtedy prawdopodobnie podrygiwałem, mrużąc, że *Jesus was a sailor*, tak, na pewno... Prouvé... Jak sobie przypomnę...

- Kto to jest?

- Geniusz. Chociaż nie. Wynalazca... Rzemieślnik... Zdumiewający facet... Pokażę ci książki... Ale, hm... wracając do naszego wesołka... Mój ulubiony kawałek to *Famous Blue Raincoat*, masz może?

- Nie.

- Ach! Czego oni was uczą w tej szkole? Miałem bzika na punkcie tej piosenki. Bzika! Tak często przewijałem taśmę, że chyba w końcu ją zerwałem.

- Dlaczego?

- Sam już nie wiem... Musiałem tego słuchać na okrągło. O ile pamiętam, jest to historia faceta, który pisze do jednego ze swoich przyjaciół... Ten facet kiedyś odbił mu żonę, więc on teraz pisze do niego, sądząc, że mu wybaczył... Było tam coś o kosmyku włosów, pamiętam, i... och... ja, wielki dryblas, któremu nigdy nie udało się po-

derwać choćby najbrzydszej dziewczyny, ja, żalony, nieporadny i chmurny dryblas, uważałem, że ta historia jest megamegaseksowna. Taka... napisana specjalnie dla mnie, rozumiesz...

Zaśmiałem się.

- I nawet, powiem ci... namówiłem ojca, żeby mi oddał swój stary płaszcz Burberry, który chciałem ufarbować na niebiesko, ale się nie udało. Wyszedł sraczkowaty. Ohydny! Nawet sobie nie wyobrażasz...

Zaśmiała się.

- Myślisz może, że to mnie powstrzymało? Gdzie tam! Wbijałem się w to cudo, stawiałem kołnierz, nie zapinałem patki, i z rękoma w podartych kieszeniach włóczyłem się...

Odgrywałem straszdyło, którym wówczas byłem. Peter Sellers w latach świetności.

- ...wielkimi krokami przedzierałem się przez tłumy, tajemniczy, nieuchwytny, skupiony na ignorowaniu wszystkich tych oczu, które nawet na mnie nie spoglądały. Ach! Nieźle by się uśmieł ojczulek Cohen na tej swojej górze pośród wielkich mistrzów zen, gdyby się o tym dowiedział, mówię ci!

- I co się z nim stało?

- No... Z tego, co wiem, jeszcze nie umarł...

- Nie, ale z płaszczem...

- Ach, z nim! Gdzieś się zapodział... Tak jak cała reszta... zapytaj Claire dziś wieczorem, czy go pamięta.

- Tak... I ściągnę tę piosenkę... Obruszyłem się.

- Ej, daj spokój! - zaprotestowała. - Nie będziemy znów się o to kłócić... Chyba dość już zarobił na tym kawałku.

- Tu nie chodzi o pieniądze, dobrze wiesz... To znacznie poważniejsza sprawa. To jest...

- Stop. Wiem. Tysiąc razy mówiłeś. Że w dniu, w którym zabraknie artystów, wszyscy będziemy martwi, i coś tam, coś tam.

- Dokładnie tak. Będziemy żyć, a jednocześnie będziemy martwi. O właśnie, popatrz...

Staliśmy przed sklepem Gibert.

- Wchodzimy. Kupię ci ten słynny sraczkowaty płaszcz...

Przy kasie zamrugalem oczami. Na ladzie cudem znalazły się trzy inne płyty.

- No co? - powiedziała zrezygnowana. - Te też miałam zamiar ściągnąć.

Zapłaciłem, a ona przyłgnęła do mojego policzka. Na krótko.

Gdy znów znaleźliśmy się w tłumie na bulwarze Saint-Michel, zdobyłem się na odwagę.

- Mathilde?

- *Yes?*

- Czy mogę zadać ci trudne pytanie?

- Nie.

I kilka metrów dalej, naciągając kaptur na twarz:

- Słucham.

- Dlaczego tak się między nami porobiło? Tak bardzo... Milczenie.

- Tak bardzo jak? - spytał wreszcie jej kaptur.

- Nie wiem... przewidywalnie... przekupnie... Wyjmuję kartę kredytową i mam w zamian czuły gest. Co ja mówię, czuły... Po prostu - gest... Jak... Po ile sprzedajesz buziaki?

Otworzyłem portfel i sprawdziłem rachunek.

- Pięćdziesiąt pięć euro i sześćdziesiąt centów. Cóż... Milczenie.

Sięgnąłem dna.

- To akurat nie jest kwestia (pieniędzy, z przyjemnością zrobiłem ci prezent, ale... tak bardzo chciałem, żebyś się ze mną przywitała, gdy wszedłem do domu, tak... tak bardzo...

- Przywitałam się z tobą.

Pociągnąłem ją za rękaw, żeby na mnie spojrzała, po czym podniosłem dłoń i zacząłem naśladować jej rozmemlane palce. Albo raczej - rozmemłanie jej palców.

Gwałtownie wyrwała rękę z mojej dłoni.

- Zresztą nie tylko dla mnie taka jesteś, wiem, że z matką jest to samo... Zawsze, gdy do niej dzwonię, gdy jestem daleko i potrzebuję... opowiada mi tylko o tym. O twoim zachowaniu. O waszych kłótniach. O tym permanentnym szantażu... Trochę czułości za trochę gotówki... Ciągle. Ciągle. I... Stałem i znowu ją przytrzymałem.

- Odpowiedz. Dlaczego tak to wygląda? Co myśmy ci takiego zrobili? Czym sobie na to zasłużyliśmy? Wiem... zawsze można powiedzieć, że to dojrzewanie, niewdzięczny wiek, ciemny tunel i tym podobne bzdety, ale ty... Ty, Mathilde. Sądziłem, że jesteś inteligentniejsza od innych... Sądziłem, że ciebie to nie będzie dotyczyć. Że jesteś za mądra, by podpaść pod te statystyki...

- No to się pomyliłeś.

- Właśnie widzę.

„Którą oswoiłem z takim trudem...” Skąd mi się wziął ten idiotyczny czas przeszły dokonany, tam, w domu, nad filiżanką kawy? Bo wyświadczyła mi wielką przysługę, wkładając kapsułkę do ekspresu i wciskając zielony guzik?

Ech... Ja chyba też jestem trochę ograniczony...

Ale nie, przecież...

Miała jakieś... siedem, może osiem lat, właśnie przegrała w finale konkursu... Widzę ją, jak rzuca toczek do rowu, spuszcza głowę i rusza na mnie bez ostrzeżenia. Uch... Jak taran. Musiałem przytrzymać się słupa, żeby nie upaść.

Byłem wzruszony, ogłuszony, oddychałem płytko i miałem zeszywniałe ręce, ale udało mi się w końcu owinać ją połamami płaszcza. Na koszulę sływały mi jej lzy i smarki, a ona przypięła się do mnie z całej siły.

Czy taki gest można nazwać wzięciem kogoś w ramiona? Tak, postanowiłem, że tak. I to był pierwszy raz.

Pierwszy raz... i może się mylę, mówiąc, że miała osiem lat. Jestem do bani, jeśli chodzi o określanie czyjeś wieku. Może to było jeszcze później. Cholera, ale to jednak dawne dzieje.

Ale tak właśnie było, ona tam była. Zmieściła się cała pod moim płaszczem. I długo się tym napawałem, stopy miałem lodowate, bolały mnie nogi, prawie przymarzłem do tej cholernej, normandzkiej, skamieniałej ziemi. Chowałem Mathilde przed całym światem i uśmiechałem się głupio.

Później, w samochodzie, gdy leżała skulona na tylnym siedzeniu:

- Jak miał na imię ten twój kucyk? Pistacja? Brak odpowiedzi.

- Karmelek? Pudło.

- Ach, przypomniałem sobie! Ptyś!

- Hej! Czego się można spodziewać po brzydkim i głupim kucyku, który w dodatku ma na imię Ptyś... No? Sama powiedz. Po raz pierwszy i ostatni gruby Ptyś dotarł do finału, mówię ci!

Byłem zły. Dwoiłem się i troiłem, nie pamiętałem nawet imienia kuczka. Tak sobie teraz myślę, że to był chyba nie Ptyś, tylko Fistaszek.

Tak czy inaczej odwróciła się plecami.

Ustawiłem lusterko jak trzeba i zacisnąłem zęby.

Wstaliśmy o świcie. Byłem wykończony, zmarznięty, spóźniony, a tego samego wieczoru musiałem wrócić do pracowni, by spędzić w niej n-tą bezsenłą noc. Poza tym zawsze bałem się koni. Nawet małych. Zwłaszcza małych... Oj, oj, oj... Ciężko mi było, gdy tak stałem w korku. Bardzo ciężko. I gdy tak sobie stałem i walcowałem w myślach ten przykry temat, zdenerwowany, spięty, gotów rzucić to w cholere, usłyszałem nagle:

- Czasami chciałabym, żebyś to ty był moim tatą.

Nie powiedziałem nic, bo się bałem, że wszystko zepsuję. Nie jestem twoim tatą albo jestem tak jakby twoim tatą, albo jestem lepszy niż twój tata, albo nie, to znaczy jestem... Pfff... Wydawało mi się, że moje milczenie mówi samo za siebie.

Ale teraz... Teraz, kiedy życie stało się takie... No, jakie? Takie żmudne, takie łatwopalne, to nasze życie na stu dziesięciu metrach kwadratowych. Teraz, kiedy Laurence i ja prawie się ze sobą nie kochamy, teraz, gdy każdego dnia tracę jedno złudzenie, a każdego dnia na budowie - jeden rok życia, teraz, gdy rozmawiam ze Snoopym, jak gdybym rozmawiał z powietrzem, i muszę wystukać swój PIN, żeby być kochanym, teraz zatęskniłem za tamtym sygnałem rozpaczy.

Powinienem był go odebrać, oczywiście.

Powinienem był zjechać na ten pas awaryjny, jak go ładnie nazywają, wysiąść w ciemność, otworzyć drzwi, wyciągnąć ją za nogi i przycisnąć do siebie tak, jak ona zrobiła to wcześniej.

Co by mnie to kosztowało? Nic.

Nic, bo nie musiałbym się wcale odzywać... To znaczy... Tak sobie wyobrażam tę scenę, której nie było: jako mocną i niemą. Bo słowa, mój Boże, słowa... Nigdy nie potrafiłem sobie z nimi radzić. Nigdy nie miałem tego szczęścia...

Nigdy.

I dziś, gdy odwracam się do niej, tu, przed ogrodzeniem Szkoły Medycznej, i gdy widzę jej twarz, twardą, spiętą, niemal brzydką, a wszystko z powodu jednego krótkiego pytania, ja, który nigdy nie zadaje pytań, myślę sobie, że lepiej bym zrobił, gdybym i tym razem się zamknął.

Szła przodem, wielkimi krokami, ze spuszczoną głową.

- A wyśliszżesteścielesi? - wymamrotała.

- Słucham? Obrót.

- A wy? Myślisz, że jesteście lepsi? Była wściekła.

- Myślisz, że jesteście lepsi, co? Że z wami jest lepiej? Bo wy nie jesteście przewidywalni, tak?

- Jacy my?

- Jacy, jacy... No wy! Wy! Mama i ty! Pytam się ciebie, pod jakie statystyki podpadacie wy dwoje. Rozbite pary, które...

Cisza.

- Które co? - brnąłem jak idiota.

- Dobrze wiesz - wymamrotała.

Tak, wiedziałem. I to był powód, dla którego całkiem zamilkliśmy.

Zazdrościłem jej teraz słuchawek. Ja mogłem słuchać jedynie własnych, hałaśliwych myśli.

Zakłócenia i płaszcz pogryziony przez mole.

Gdy dotarliśmy na rue de Sèvres, pod wielki, wyniosły sklep, którego sam widok skutecznie mnie zniechęcał, skręciłem w stronę kafejki.

- Pozwolisz? Muszę się napić kawy przed bitwą. Ruszyła za mną, skrzywiona.

Kawa parzyła w usta. Mathilde majstrowała coś przy swoim sprzęcie.

- Charles?

- Tak?

- Mógłbyś mi powiedzieć, co on śpiewa... Bo ja rozumiem niektóre słowa, ale nie wszystko...

- Nie ma sprawy.

Znów podzieliliśmy się słuchawkami. Ona - dolby, ja - stereo. Po jednej dla każdego.

Jednak w pierwsze akordy fortepianu natychmiast wdarł się hałas ekspresu ciśnieniowego.

- Zaczekaj...

Zaciągnęła mnie na drugi brzeg kontuaru.

- Gotów?

Przytaknąłem.

Jeszcze jeden męski głos. Ciepleszy. Rozpocząłem tłumaczenie symultaniczne:

- „Gdybyś była drogą, poszedłbym...” Czekaj. Bo to może być droga albo kierunek, zależnie od kontekstu...

Ma być poezja czy słowo w słowo?

- Och... - jęknęła, wyłączając dźwięk. - Wszystko psujesz. Nie chcę lekcji angielskiego. Chcę tylko, żebyś mi powiedział, o czym on śpiewa!

- Dobra - zniecierpliwilem się. - Pierwszy raz posłucham sam, w całości, a później ci powiem.

Chwyliłem słuchawki i zakryłem uszy dłońmi, a ona, cała w emocjach, łypała na mnie spod oka.

To mnie ogłuszyło. Bardziej, niż mogłem sobie wyobrazić. Bardziej, niż mogłem sobie tego życzyć. Byłem... Byłem ogłuszony.

Cholerne piosenki o miłości... Zawsze tak samo ponure... Rozkładają człowieka w niecałe cztery minuty. Cholerne banderille w naszych statystycznych sercach. Z westchnieniem oddałem jej słuchawki.

- Fajne, nie?

- Kto to?

- Neil Hannon. Irlandzki piosenkarz... No, dobra. Możemy jechać?

- Jedziemy.

- Tylko nie przerywaj sobie, dobrze?

- *Don't worry sweetie, it's gonna be all right* - wybełkotałem jak kowboj.

Znów się uśmiechnęła.

Więc wróciłem na drogę, na której ją zostawiłem, bo chodziło o drogę, bez dwóch zdań.

*Gdybyś była drogą, szedłbym tobą do końca... Gdybyś była nocą, spałbym przez cały dzień... Gdybyś była dniem, płakałbym przez całą noc... Przylgnęła do mnie, żeby nie uронić najmniejszego słowa... Ponieważ jesteś drogą, prawdą i światłem.*

*Gdybyś była drzewem, mógłbym cię objąć rękoma... a... ty... nie mogłabyś na to nic powiedzieć. Gdybyś była drzewem... mógłbym w twoim ciele wyciąć swoje inicjały, a ty nie mogłabyś łkać, bo drzewa nie łkają... (tu odszedłem nieco od oryginału, *Cos trees don't cry*, okay, spoko, Neil, wybaczysz mi, nie? mam po drugiej stronie kabla nastolatkę pod napięciem). Gdybyś była mężczyzną, to... i tak bym cię kochał... Gdybyś była napojem, piłbym cię do dna... Gdyby ktoś na ciebie napadł, zabiłbym w twojej obronie... Gdybyś miała na imię Jack, zmieniłbym swoje na Jill, dla ciebie... Gdybyś była koniem, bez słowa sprzątałbym gnój w twojej stajni... Gdybyś była koniem, mógłbym ujeżdżać cię po polach o świcie i... przez cały dzień, aż do końca dnia (ekhem... nie mam czasu na wymyślenie czegoś ładniejszego) mógłbym o tobie śpiewać w moich piosenkach (też niezbyt udane)... (Jej to raczej nie przeszkadzało, czułem na policzku jej włosy). (I jej zapach też. Salicylowy zapach nastolatki podartej na łokciach). Gdybyś była moją małą dziewczynką, z trudem pozwoliłbym ci odejść... Gdybyś była moją siostrą... eeee... „find it doubly”... dobra, mniej więcej, czułbym się podwójny. Gdybyś... gdybyś była moim psem, karmiłbym cię resztkami ze stołu (sorry), choć nie podobałoby się to mojej żonie... Gdybyś była moim psem (tu zaczynał śpiewać crescendo), wiem, że właśnie tego byś chciała, i wtedy byłabyś moim wiernym czworonożnym przyjacielem, i (prawie wrzeszczał) nigdy już nie musiałabyś myśleć (teraz naprawdę się darł, bardzo smutno), i byłibyśmy razem do końca. (Tak naprawdę to do koooooooooooońcaaaaaaa, ale czuło się, że sprawa jest z góry przegrana... Oj, przegrana...)*

Oddałem jej sprzęt w milczeniu i zamówiłem drugą kawę, na którą nie miałem najmniejszej ochoty, ale chciałem dać jej czas na przeżycie napisów końcowych. Czas na przyzwyczajenie oczu do światła i na powrót do rzeczywistości.

- Uwielbiam tę piosenkę... - westchnęła.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Bo... Bo drzewa nie łkają.

- Jesteś zakochana? - wysnułem ostrożne przypuszczenie. Lekkie wykrzywienie ust.

- Nie - wyznała. - Nie. Myślę, że człowiek zakochany nie potrzebuje słuchać takich piosenek.

Minęło kilka minut, w ciągu których starannie skrobałem melasę na dnie filiżanki.

- A wracając do tego twojego...

Wzniosła oczy ku górze, ku tamtemu pytaniu, które zadałem wcześniej. Nie łapałem.

- „Ciemny tunel” i reszta... Więc... Sądzę, że powinniśmy się tego trzymać... Nie wymagać od siebie zbyt wiele, rozumiesz?

- Hm... Niezbyt dobrze, nie...

- Ty... możesz liczyć na moją pomoc w znalezieniu prezentu dla mamy, a ja mogę liczyć na twoją w przetłumaczeniu piosenki, którą lubię... i... i tyle.

- To wszystko? - zbuntowałem się spokojnie. - To wszystko, co masz mi do zaoferowania?

Z powrotem naciągnęła kaptur.

- Tak. Na razie tak... Ale... to i tak sporo. To... tak... to sporo.

Patrzyłem na nią uważnie.

- Czemu uśmiechasz się jak kretyń?

- Bo - odpowiedziałem, przytrzymując drzwi - bo gdybyś była moim psem, mógłbym ci dawać resztki, a ty byłabyś moim wiernym przyjacielem.

- Cha, cha! Bardzo śmieszne.

I gdy stojąc na brzegu chodnika, patrzyliśmy na strumień samochodów, Mathilde uniosła nogę i udała, że sika mi na spodnie.

Była ze mną szczerą, więc kiedy sunęliśmy ruchomymi schodami, postanowiłem odplacić jej tym samym.

- Wiesz, Mathilde...

- Co? (na nutę „co znowu?”)

- Wszyscy jesteście przekupni...

- Wiem - dopowiedziała bez wahania.

Pewność siebie, z jaką zbiła mnie z tropu, dała mi do myślenia. My, rówieśnicy *Suzanne*, byliśmy chyba nieco miłsi dla siebie nawzajem...

Albo może mniej sprytni?

Weszła schodek wyżej.

- Dobra, hej, kończymy już te trudne, och, jakże trudne rozmowy, tak?

- Tak.

- No, to co kupujemy mamie?

- Co chcesz - odpowiedziałem. Zachmurzyła się lekko.

- Ja już mam prezent od siebie - wycodziła przez zęby. - Ten ma być od ciebie.

- Oczywiście, oczywiście - rozpogodziłem się z wysiłkiem. - Daj mi chwilę, to czegoś poszukam...

Więc takie są dzisiejsze czternastolatki? Wystarczająco mądre, by wiedzieć, że wszystko się negocjuje na tym najgorszym ze światów, i jednocześnie wystarczająco naiwne i czule, by trzymać za ręce dwoje dorosłych, trwać pomiędzy nimi, idealnie pośrodku, już nie w podskokach, lecz ściskając ich mocno, ściskając, żeby zostali razem, mimo wszystko.

Sporo jak na nią, nie?

Nawet przy akompaniamencie ładnych piosenek musiała z trudem znosić ten ciężar.

Jaki ja byłem w jej wieku? Przypuszczam, że kompletnie niedojrzały...

Potknąłem się, wjeżdżając na wyższe piętro... Ech... czy to ważne, jaki byłem? Nieważne. Zupełnie. Zresztą i tak niczego nie pamiętam.

Dobra, mała, mam już dość - pomyślałem, chwyciwszy się poręczy. Szukamy, znajdujemy, pakujemy i spadamy.

Torebka. Kolejna... Chyba piętnasta...

- Jeżeli zakup nie będzie żonie odpowiadał, może w każdej chwili przyjść i wymienić - podlizywała się sprzedawczyni.

Wiem, wiem. Dzięki. Żona często wymienia. I to jest powód, dla którego już się tak bardzo nie staram, wie pani... Nie odezwałem się i zapłaciłem. Zapłaciłem.

Zaraz po wyjściu ze sklepu Mathilde się ulotniła, a ja zostałem sam, jak idiota, przed kioskiem, przebiegając niewidzącym wzrokiem po tytułach gazet.

Byłem głodny? Nie. Chciałem się jeszcze przejść? Nie. A może lepiej poszedłbym się położyć? Tak. Ale nie. Już bym nie wstał.

A może... Jakiś facet potrącił mnie, żeby chwycić gazetę, a ja go przeprosiłem.

Samotny i bez fantazji, opuszczony pośrodku mrowiska, machnąłem na taksówkarza i podałem mu adres pracowni.

Pojechałem do pracy, bo tylko to potrafiłem. Sprawdzić, jakie głupoty porobili ci tutaj, w czasie gdy ja sprawdzałem, jakie głupoty robili tamci tam... Na tym mniej więcej polegała od kilku lat moja praca... Wielkie pęknięcie, mała szpachelka i dużo zaprawy.

Obiecujący architekt zamienił się w przeciętnego murarza z brzuszkiem. Gadał po angielsku, prawie nie projektował, zbierał *miles and more* i kołysany słodkim wojennym pomrukiem CNN zasypiał w hotelowych, mocno za dużych łóżkach...

Zachmurzyło się. Oparłem czoło o chłodną szybę i porównywałem szarość Sekwany z szarością Moskwy, a na kolanach trzymałem beznadziejny prezent.

Czy był tutaj Bóg?

Trudno powiedzieć.

## 2

Przyszli, wszyscy są.

Przedstawimy ich w porządku wejścia na scenę, tak będzie najprościej.

Ten, który otwiera nam drzwi, mówiąc o Mathilde: Och, ależ ona wyrosła, toż to już prawdziwa kobieta - to mąż mojej najstarszej siostry. Mam jeszcze drugiego szwagra, ale ten jest moim ulubionym. Ty, aleś znowu wyłyś! - dodaje, obrzucając mnie spojrzeniem. Tym razem pamiętałeś o wódce? Co ty tam w ogóle wyprawiasz u tych Ruskich? Kozaczoka tańczysz czy jak?

Mówiłem wam... Niezły jest, nie? Jest doskonały. Dobra, odsuńmy go nieco na bok, bo ten elegancki pan zaraz za nim to mój tata, Henri Balanda. On z kolei nie odzywa się często. Zrezygnował. Informuje, że jest do mnie poczta, i pokazuje konsolę po lewej. Całuję go pospiesznie. Korespondencja, która ciągle jeszcze dopada mnie pod adresem rodziców, to wysiłki starych wojowników. Informacje o spotkaniach promocyjnych, prośby o przedłużenie prenumeraty czasopism, których nie czytam od dwudziestu lat, i zaproszenia na zjazdy, na które nigdy nie jeżdżę.

Świetnie - odpowiadam, szukając wzrokiem koszyka na listy, który nie jest żadnym koszykiem, o czym bez wątpienia przypomni mi matka, unosząc wysoko brwi, bo, jak zapewne pamiętam, jest to stojak na parasole. Ten sam wyświechtany scenariusz od lat.

Matka... to ta, która stoi odwrócona tyłem, na końcu przedpokoju, w kuchni, i obwiązana fartuchem obkłada pieczeń słoniną.

I już się odwraca i całuje Mathilde, mówiąc: aleś ty urosła, prawdziwa panna z ciebie! Czekam na swoją kolej, witając się z siostrą, nie z małżonką Seraphina Lampiona, tylko z tą drugą, żoną wysokiego chudzielca, który gdzieś tam siedzi. To człowiek całkiem innego pokroju. Dyrektor Championa na prowincji, który jednakże świetnie rozumie problemy polityki gospodarczej Bernarda Arnault. Tak, Bernarda Arnault z grupy LVMH. W pewnym sen-



się jego kolegi po fachu, można powiedzieć. Bo wykonują właściwie ten sam zawód, rozumiecie, i... Tu przerwę. Zostawmy sobie tę przyjemność na później.

Siostra ma na imię Edith i ją też jeszcze usłyszymy. Opowie nam o tym, jak ciężkie są tornistry uczniów, i o tym, co się dzieje na wywiadówkach, bo naprawdę - dorzuci, odmówiwszy drugiego kawałka ciasta - nie uwierzylibyście, jak mało ludzie się angażują w dzisiejszych czasach. Na przykład taki piknik na koniec roku szkolnego, kto mnie zastąpił w jury konkursu wędkarskiego, no kto? Nikt! Skoro więc rodzice są tacy zrezygnowani, to czego wymagać od dzieci, pytam się! Cóż, nie miejmy jej tego za złe, jej mąż jest dyrektorem supermarketu Champion, chociaż należał mu się hipermarket, dowiódł tego, a granicą jej świata są udające staw wióry rozsypane na boisku szkoły Saint-Joseph, więc nie, nie mamy jej za złe. Z tym że ona jest po prostu męcząca i dobrze by było, gdyby od czasu do czasu zmieniła płytę. I fryzurę, jeśli już przy niej jesteśmy... Chodźmy z nią do salonu, czeka tam druga strona medalu: moja siostra Françoise. Numer jeden. Od pana Kozaczoka, informacja dla tych, którzy się pogubili albo zamarudzili w kuchni. Ona z kolei fryzurę zmienia często, ale jest jeszcze bardziej przewidywalna niż jej młodsza siostra. Zresztą co się będziemy rozwodzić, wystarczy przytoczyć pierwsze zdanie: „Och, Charles, strasznie wyglądasz... I w dodatku... przytyłeś, nie?” Dobra, drugie też przytoczę, bo jeszcze ktoś posądzi mnie o stronniczość: „Ależ tak! Nabrałeś ciała od naszego ostatniego spotkania, naprawdę! No, ale przecież ty zawsze niezdrowo się odżywiałeś...”

Nie, nie współczujcie mi, za trzy godziny obie siostry znikną z mego życia. Przy odrobinie szczęścia - co najmniej do Bożego Narodzenia. Teraz nie mogą wchodzić bez pukania do mojego pokoju i zanim się zorientują, jestem już daleko...

Na koniec zostawiłem najlepszą. Tę, której nie widać, lecz słysząc, jak śmieje się na piętrze ze wszystkimi domowymi dziećmi. Idźmy za tym perlistym śmiechem, trudno, najwyżej ominą nas orzeszki...

\* \* \*

- Nie, no nie wierzę! - rzuca mi, wichrząc włosy jednego z moich siostrzeńców. - Wiesz, o czym rozmawiają ci kretyni?

Szybkie powitalne pocałunki.

- Popatrz na nich, Charles. Spójrz, jacy są młodzi, piękni, wszyscy... Popatrz na te śliczne zęby (unosi górną wargę biednego Hugona), przyjrzyj się przez chwilę tej wspaniałej młodzieży! Poczuj te tony buzujących hormonów! I... wiesz, o czym oni rozmawiają?

- Nie - odpowiadam, nareszcie wyluzowany.

- O gigabajtach, cholera... wszyscy, jak jeden mąż, majstrują przy tych swoich samograjach i porównują liczbę gigabajtów... Zatkło cię? Kiedy pomyślę, że to oni będą pracować na nasze emerytury... nie, no, uszczypnij mnie. A za chwilę, jak przypuszczam, zaczniecie porównywać abonamenty telefoniczne?

- Już to zrobiliśmy - parsknęła Mathilde.

- Nie, ale poważnie, martwię się o was, dzieciaki... W waszym wieku trzeba umierać z miłości! Pisać wiersze!

Planować rewolucją! Okradać bogatych! Wyciągać plecaki! Podróżować! Zmieniać świat! Ale gigabajty... Gigabajty... pfff... Może od razu przedyskutujcie problem oszczędności na książeczkach mieszkaniowych?

- A ty? - pyta niewinnie Marion. - O czym rozmawiałaś z Charles'em, gdy byłaś w naszym wieku?

Moja młodsza siostra odwraca się do mnie.

- No, my... my o tej porze leżeliśmy już w łózkach - mamrocze. - Albo odrabialiśmy lekcje, prawda?

- Właśnie. A może pomagałeś mi pisać rozprawkę o Wolterze?

- Całkiem możliwe. Albo sprawdzaliśmy, co będzie zadane w przyszłym tygodniu... No i, pamiętasz, bawiło nas recytowanie z pamięci definicji geometrycznych...

- No jasne! - wykrzykuje ulubiona ciotka. - Albo różnicz...

Nie może dokończyć zdania, bo ktoś rzuca w nią poduszką.

Natychmiast oddaje, wrzeszcząc. W powietrze wylatuje kolejna poduszka, a zaraz po niej trampek Converse, okrzyki bojowe, zwinięta w kulkę skarpetka...

Claire ciągnie mnie za rękaw.

- Chodź, idziemy. Tu już rozgrzaliśmy atmosferę, teraz zajmiemy się tymi z dołu...

- Z nimi będzie trudniej...

- Akurat! Wystarczy, że sprowokuję tego świra, chwając produkty Casino, i mamy ich w kieszeni...

- No, bo w Casino dają jeszcze torebki foliowe! A do Championa przychodzisz z własną torebką w kieszeni...

Parska śmiechem.

To ona. To Claire. Pociecha po tamtych dwóch, prawda? W każdym razie dla mnie zawsze była pocieszeniem.

- Co wy tam znów robiliście? - niepokoje się matka, miętosząc fartuch. - Co to za wrzaski na górze?

Siostra unosi dłonie w obronnym geście.

- To nie ja, to Pitagoras.

Tymczasem przyszła Laurence. Siedzi na skraju kanapy, a szwagier roztacza przed nią zakrojony na szeroką skalę projekt przebudowy działu z przyprawami.

Dobrze, zgoda, to jej impreza, jej urodziny, no i cały dzień pracowała, ale... mimo wszystko... Nie widzieliśmy się blisko tydzień... Nie mogła do mnie podejść? Wstać? Uśmiechnąć się? Albo po prostu na mnie spojrzeć?

Stanąłem za jej plecami.

- Nie, nie, keczupy i sosy pomidorowe razem to świetny pomysł, masz rację...

Oto jaki efekt wywołała moja dłoń na jej ramieniu. *Enjoy.*

Namierzyła mnie, jak mówią ci z pokoju na piętrze, dopiero w drodze do jadalni.

- Jak podróż?

- Świetnie. Dzięki.

- Przywiozłeś mi prezent na dwudzieste urodziny? - miauknęła, wieszając mi się na ramieniu. - Jakiś klejnotek Fabergé?

Jakże inaczej! Rodzinne.

- Matrioszkę - burknąłem. - Wiesz, taką śliczną babeczkę, im dłużej się nią bawisz, tym mniejsza się okazuje.

- Masz na myśli mnie? - zażartowała, odchodząc. Nie. Siebie.

Zażartowała. Zażartowała, odchodząc.

To właśnie ten jej styl pokochałem przed laty. Przesuwała stopę w górę mojej nogi, a jej mąż, bawiąc się obrączką cygara, tłumaczył mi, czego ode mnie oczekuje. Wprawiał kawałek papieru w ruch, który uznałem... za bardzo nieprzyzwoity...

Tak... Każda inna byłaby bardziej przewidywalna, agresywna. „Masz na myśli mnie?” - syknęłaby albo zgrzytnęła, albo ukaśiła, albo warknęła, albo zgromiła wzrokiem, albo zrobiłaby coś jeszcze mniej okrutnego, ale nie ona. Nie, nie ona. Nie piękna Laurence Vernes...

Była zima, oczekiwali mnie w drogiej restauracji w Ósmej Dzielnicy. „Napijemy się kawy” - uściślił jej mąż. Tak, tak... kawy... byłem dostawcą, a nie klientem.

Do tego jakieś ciasteczko, najwyżej.

W końcu dotarłem.

Zdyszany, rozchełstany, niezdarny. Z kaskiem w dłoni i z tubami pod pachą. Za mną szedł kelner, przerażony, z grobową miną, i nerwowo odbierał ode mnie kolejne łachy. Wyjął mi z rąk okropną kurtkę i odszedł, sprawdzając dyskretnie stan bladej wykładziny. Starał się dopatrzeć, jak przypuszczam, śladów smaru, błota i innych prawdopodobnych wycieków.

Cała scena trwała kilka sekund, ale oczarowała mnie.

Stałem tak, niepozorny i szyderczo rozbawiony, uwalniając się ze zwojów długiego szalika. Przeszył mnie dreszcz, gdy nasze spojrzenia przypadkowo się spotkały.

Myślała albo wiedziała, że mój uśmiech jest dla niej, albo chciała, żeby był, choć tak naprawdę częstowałem nim głupotę tego świata, jej świata, który mnie karmił wbrew mojej woli. (Wtedy wydawało mi się, że przedstawianie facetowi, który zbił majątek na garbowaniu skór, kosztorysu na remont dwupoziomowego mieszkania - „marmuru nie ruszamy” - to coś w bardzo złym guście... Ale opłaty, mój Boże, opłaty! Le Corbusier przewracał się w grobie!) (Teraz jestem inny. Za sprawą biznesowych lunchów mocno popuściłem pasa i mam na koncie sporo wygodnych zażaleń przeciw biurokratom ze związku. Rzeźbię własny cynizm, oj, rzeźbię. W marmurze). Nie traktując mnie jak równego, poprosili, bym usiadł przy stole zasłanym poplamionym obrusem, z którego drugi sługus strzeżywał ostatnie okruchy.

Wzięła moje szyderstwo za uśmiech. Czyli - nieporozumienie. Pierwsze. Ale ładne...

Ładne i już wtedy nieco naciągane, bo, jak szybko zdałem sobie sprawę, ta jej pewność siebie, znaczące spojrzenia, ta pochlebna zuchwałość były reakcją raczej na właściwości szampana Taittingera niż na mój wątpliwy urok. Tak czy inaczej... To jej palec czułem w zagłębieniu kolana, próbując się skupić na jego pragnieniach.

Prosił mnie o szczegóły dotyczące sypialni. „Coś dużego i intymnego jednocześnie” - powtarzał w kółko, pochylając się nad moimi wykresami.

- Prawda, kochanie? Zgadzą się?

- Słucham?

- Sypialnia! - westchnął z przesadnym znużeniem. - Skup się przez chwilę, dobrze?

Nie miała nic przeciwko. Buntowała się tylko jej ładna stopa.

Pokochałem ją, świadom tego wszystkiego, i doprawdy nie wiem, jak mógłbym dziś narzekać, że ona odchodzi, żartując...

To ona doglądała robót. Spotykaliśmy się coraz częściej i wraz z postępem prac moje perspektywy stawały się coraz mniej wyraźne, uściski jej dłoni coraz mniej zdecydowane, ściany nośne coraz mniej istotne, a robotnicy coraz mniej potrzebni.

Wreszcie, pewnego wieczoru, pod byle jakim pretekstem, że niby parkiet zbyt ciemny albo zbyt jasny, nie mogła sobie przypomnieć, Laurence nakazała mi przyjechać za godzinę.

Zainaugurowaliśmy tę wspaniałą sypialnię... Na plandece malarza pokojowego, dużej i intymnej, pośród niedopałków i słoików z rozpuszczalnikiem...

Ubrała się w milczeniu, zrobiła kilka kroków, otworzyła drzwi i zaraz znów zamknęła, wróciła do mnie i wygładziwszy spódnicę, oświadczyła po prostu:

- Nigdy nie będę tu mieszkać.

Tym razem nie było krzty arogancji, żadnej goryczy czy agresji. Nigdy nie będzie tu mieszkać.

Pogasiliśmy światła i w ciemności zesłaliśmy po schodach.

- Mam córeczkę, wie pan? - zwierzyła mi się na półpiętrze. I gdy pukałem w okienko dozorczyńni, żeby oddać klucze, dodała cicho, jakby sama do siebie: - Mam córeczkę. Ona chyba zasługuje na coś lepszego...

Ach! Rozsadzanie gości! Najlepszy moment każdej imprezy...

- A więc... Laurence... po mojej prawej - oświadcza mój stary tata - obok ty, Guy (biedna... dział produktów świeżych, kradzieże i nieskoordynowany personel, niezła perspektywa), ty, Mado, dalej Claire, obok...

- Ależ nie! - denerwuje się matka, wrywając mu kartkę z dłoni. - Umawialiśmy się, że tutaj Charles, a tutaj Françoise... Ach, nie, tak nie może zostać... Brakuje jednego mężczyzny...

Czym bylibyśmy bez rozsadzania gości?

Claire spojrzała na mnie. Wiedziała, że brakuje jednego mężczyzny... Uśmiechnąłem się, a ona buńczucznie wzruszyła ramionami, dając mi do zrozumienia, że nie chce tej mojej czułości i że jej nie lubi.

Nasze spojrzenia były mimo wszystko więcej warte niż ten facet...

Nie namyślając się długo, odsunęła najbliższe krzesło, rozłożyła serwetkę i zawołała naszego ulubionego rodzinnego sklepikarza:

- Chodź tutaj, Guy! Chodź, usiądź obok mnie i powiedz, na jaki prezent mogę zamienić trzy punkty ze swojej karty stałego klienta.

Matka westchnęła i poddała się.

- Och... Siadajcie, jak chcecie...

Ma dziewczyna talent - pomyślałem.

Ma talent...

Lecz inteligencja tej wspaniałej dziewczyny, zdolnej w ciągu dwóch sekund zburzyć misterny plan usadzenia gości, uczynić znośnym rodzinny spęd, rozruszać zblazowane dzieciaki, nie upokorzywszy ich przy tym, zdobyć sympatię Laurence (nie muszę dodawać, że dwie starsze nigdy nie znalazły z nią wspólnego języka, z czego się zresztą niezmiernie cieszyłem) i uznanie kolegów po fachu, dziewczyny, która w wyciszonych gabinetach garstki wybrańców zyskała przydomek „mała Vauban” („Balanda przejmuje sprawę, Balanda wygrywa sprawę, Balanda broni sprawę, Balanda nie odpuszcza” - przeczytałem kiedyś w poważnym czasopiśmie dla urbanistów) - wszystko to, ta finezja, ta logika, kończyło się nagle, gdy w grę wchodziły uczucia.

Mężczyzna, którego brakowało nam dziś i w ogóle od ładnych paru lat, naprawdę istniał. Tylko że akurat dziś musiał być z rodziną. Z żoną („u mamy”, jak mówił z uśmiechem zbyt krzywym, by można było uwierzyć w jego szczerość), przy własnym stole.

Bohaterski.

I prawy w tych swoich bamboszach...

O mało nas ze sobą nie skłócił ten gruby skurwiel... „Nie, Charles, nie mów tak... Nie jest gruby...” Takie debilne teksty słyszałem w czasach, gdy bawiłem się jeszcze w Don Kichota i próbowałem walczyć z tym wiatrakiem. Ale od dawna już nie walczę, zrezygnowałem. Mężczyzna, nawet szczupły, zdolny powiedzieć spokojnie i poważnie, kobiecie takiej jak ona: „Cierpliwości, odejdę, gdy córki będą duże”, nie jest wart nawet źdźbła siana starego Rosynanta.

Niech go szlag trafi.

„Ale dlaczego ciągle z nim jesteś?” - męczyłem ją w każdej możliwej tonacji.

„Nie wiem. Chyba dlatego, że mnie nie chce”.

I to jest cała jej mowa obronna. Tak. Tyle ma do powiedzenia nasza... nasza śliczna boja kierunkowa i postrach Pałacu Sprawiedliwości.

Beznadziejna.

Już zrezygnowałem... Zmęczyłem się i, bądźmy szczerzy, sam też nie umiem ułożyć własnych spraw.

Nie jestem wystarczająco wpływowy, by być dobrym prokuratorem.

Poza tym było w tej sprawie mnóstwo niedomówień, stref cienia i terenów zbyt śliskich dla jednego kochającego brata. Więc już o tym nie rozmawiamy. A ona wyłącza komórkę. I wzrusza ramionami. I takie jest życie. I śmieje się. I gada z rodzinnym czempionem, żeby odgonić złe myśli.

Dalej nie ma czego opowiadać. Wszyscy to znamy.

Bankiecik. Sobotnia kolacyjka w towarzystwie dobrze wychowanych ludzi, gdzie każdy dzielnie odgrywa swoją partyturę. Ślubny serwis, ohydne podstawki na noże w kształcie bassetów, stłuczony kieliszek, kilo soli na obrusie, debaty o telewizyjnych debatach, trzydziestopięciodzinny tydzień pracy, Francja, która się stacza, podatki, które płacimy, i radar, którego nie zauważyliśmy po drodze, zły pan, który twierdzi, że Arabom rodzi się za dużo dzieci, i dobra pani, która się obrusza, bo nie można uogólniać, gospodyni, która oświadcza, że pieczeń jest zbyt przypieczona, tylko po to, by z przyjemnością usłyszeć zapewnienia, że przeciwnie, i patriarcha, który martwi się o temperaturę wina.

Dobra... Oszczędzę wam tego wszystkiego... Znacnie to na pamięć, te serdeczne i zawsze nieco deprymujące spotkania zwane rodzinnymi, które uświadamiają wam od czasu do czasu, jak krótką przebyliście drogę...

Warto jedynie wspomnieć o śmiechach dzieci na górze i o tym, że najgłośniejszą spośród nich śmieje się właśnie Mathilde. Przy akompaniamencie jej chichotu wróćmy pamięcią na klatkę kamienicy przy bulwarze Beauséjour. Przepiękna żona mojego inwestora przed chwilami się zwierzyła, a jeszcze wcześniej omotała mi serce i zmysły zniszczoną plandeką.

Nigdy nie dowiedziałem się, przed czym umknęła ta mała dziewczynka ani na co tak naprawdę nie zasługiwała, wiem za to, jak bardzo ułatwiła mi sprawę... Po naszym ostatnim „spotkaniu roboczym” Laurence nie odezwała się więcej. Nie przychodziła na budowę, stała się niedostępna, gorzej, nierzeczywista, i moje ostatnie sugestie trafiły w próżnię.

Mimo to nie dawała mi spokoju. Nie dawała mi spokoju. A ponieważ była dla mnie zbyt piękna, musiałem ją zdobyć podstępem.

Mój prywatny koń trojański też był drewniany. Dopracowywałem go całymi tygodniami.

To był mój dyplom, którego nigdy nie miałem odwagi dokończyć. Moje czeladnicze arcydzieło, moje poklajstrowane mrzonki, kamyczek rzucony na dno studni...

Im mniejszą miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś ją spotkam, tym staranniej dopracowywałem każdy szczegół. Rzucałem wyzwania najlepszym rzemieślnikom z faubourg Saint-Antoine, odwiedzałem sklepy z artykułami modelarskimi, wykorzystałem nawet pobyt w Londynie, by odnaleźć zdumiewającą staruszkę, właścicielkę mnóstwa kotów, Mrs Lili Lilliput, która umiała zbudować w naporstku cały pałac Buckingham. Zostawiłem u niej okrągłą sumkę. Pamiętam, że wcisnęła mi nawet komplet miedzianych foremek do ciast, nie większych od biedronek. *An essential in the kitchen, indeed* - zapewniała, wystawiając mi fakturę raczej... *oversized*. Wreszcie przyszedł dzień, w którym stało się jasne, że nie ma już nic do dodania i że teraz muszę ją odszukać.

Wiedziałem, że pracuje u Chanel. Zebrałem się w sobie i pchnąłem drzwi przy rue Cambon, na których dwie litery „C” splatały się tak, jak we mnie pożądanie splatało się z nadzieją na zdobycz, nie, raczej obawa splatała się z beznadziejnym uczuciem. Byłem świeżo ogolony, nawet gdzieś pozacinany, ale za to w czystym golfie i butach z nowymi sznurówkami.

Wywołano ją, udawała zdziwioną, bawiła się swoim naszyjnikiem z pereł, była urocza, swobodna i... Och, jakżeż w tym wszystkim okrutna...! Jednak nie dałem zbić się z tropu i poprosiłem, by w najbliższą sobotę wpadła do mojej pracowni.

I gdy jej córeczka odkryła mój, a właściwie swój prezent, gdy pokazałem jej, jak oświetlić najpiękniejszy na świecie domek dla lalek, wiedziałem, że wszystko jest na dobrej drodze.

Laurence zachwyciła się uprzejmie i głośno, ale klęczała przy domku nieco zbyt długo...

Najpierw oczarowana, później wstrząśnięta i milcząca, zastanawiała się już wtedy, jaką cenę będzie musiała zapłacić za wszystkie te godziny mojej żmudnej nadziei.

Nadszedł czas, bym wytoczył ostatnie działa.

- Proszę spojrzeć - powiedziałem, pochylając się ku jej szyi. - Jest nawet marmur...

Wtedy uśmiechnęła się i pozwoliła mi siebie kochać.

„Wtedy uśmiechnęła się i mnie pokochała” brzmiałoby o wiele lepiej, prawda? To byłoby takie mocne i powieściowe. Ale nie mam odwagi... Bo chyba nigdy do końca nie byłem tego pewien... I gdy tak na nią teraz patrzę, jak siedzi po przeciwnej stronie stołu, wesoła, uprzejma, taka wyrozumiała, taka wielkoduszna wobec mojej rodziny i, jak zawsze, atrakcyjna... Nie, nigdy nie byłem tego pewien... Po wykładzinie w Bristolu i alkoholowej sztuczności Mathilde była prawdopodobnie trzecim *qui pro quo* w historii naszego związku...

To coś nowego, taki zawrót głowy... Ta introspekcja, te daremne pytania o nas dwoje, w dodatku wcale do mnie niepodobne. Może za dużo podróży? Za dużo stref czasowych, hotelowych sufitów i nocy, które nie dają wytchnienia? Albo za dużo kłamstw... Za dużo westchnień... Za dużo rozmów telefonicznych, przerywanych, gdy pojawia się w milczeniu, za dużo póź i huśtawek nastroju albo... Tak naprawdę, za dużo niczego.

To nie była pierwsza zdrada Laurence i dotąd nie przywiązywałem do tego większej wagi. Nie żebym był tym zachwycony, ale, jak powiedziałem wcześniej, świadomie rzuciłem się w paszczę lwa, przypochlebiając mu się po drodze. Szybko zrozumiałem, że za wysokie progi na moje nogi. Zawsze odrzucała moją propozycję małżeństwa,

nie chciała mieć więcej dzieci, nie... Poza tym... bardzo dużo pracowałem i też często nie było mnie w domu... Więc przyjmowałem postawę pełną rezygnacji i starałem się zmylić swoją miłość własną, nadmiernie ją hołubiąc.

Zresztą nieźle mi się to udawało. Myślę nawet, że skoki w bok Laurence były świetną... pożywką dla tego, co stanowiło o naszym związku. W każdym razie korzystało na tym nasze łóżko.

Laurence uwodziła, omotywała, nudziła się i wracała do mnie.

Wracała i mówiła do mnie w ciemności. Odrzucała pościel, unosiła się nieco, pieściła moje plecy, ramiona, twarz, długo, niespiesznie i czule, i kończyła zawsze, mrucząc coś w stylu „ty jesteś najlepszy, wiesz...” albo „nie ma drugiego takiego jak ty...”. Nie odzywałem się, nie poruszałem, nigdy nie próbowałem powstrzymać meandrów jej dłoni.

Bo nawet jeśli to była moja skóra, często podczas tych pojedynczych nocy odnosiłem wrażenie, że ona w ten sposób próbuje uśmierzyć własny ból i masuje delikatnie swoje blizny.

Ale to też już przeszłość... Dziś Laurence kłopoty ze snem powierza homeopatii i nawet w półmroku nie pozwala mi patrzeć na to, co pulsuje pod jej pięknym pancerzem...

Czyja to wina? Mathilde, która zbyt szybko urosła i która, jak Alicja z opowieści, wypełniła sobą mały domek i sprawiła, że się rozpadł. Która nie potrzebuje pomocy, gdy dosiada konia, i niedługo będzie mówić po angielsku lepiej ode mnie...

A może winne są zaniedbania jej ojca, które dawniej wydawały się niemal zbrodnią, a dziś, z biegiem lat, stały się niemal śmieszne? Miejsce goryczy zajęła ironia, i bardzo dobrze, ale ja przestałem wytrzymywać porównanie. Chociaż, w przeciwieństwie do niego, nigdy nie myślę dat ferii i wakacji...

A może to czas wykonuje krecią robotę? Bo dawniej byłem młody, trochę młodszy od niej, byłem nawet jej „młodziakiem”. Ale ją dogoniłem. A nawet prześcignąłem.

Są dni, kiedy czuję się taki stary...

Taki stary...

A może winien jest mój brutalny zawód, który wymaga, żebym walczył, przekonywał i znowu walczył? W którym ciągle za mało osiągnąć? Zbliżam się do pięćdziesiątki, a wydaje mi się, że jestem studentem na kofeinywym dopingu, głoszę wszem wobec „jestem spóźniony, jestem spóźniony” i potykam się o projekty, przedstawiając setną ukończoną koncepcję tysiącznej komisji, z tym że z biegiem lat miecz Damoklesa tylko się zaostrzył.

Tak, tak... Bo teraz już nie chodzi o oceny czy o przejście do następnej klasy, lecz o pieniądze. O duże, wielkie pieniądze. O pieniądze, o władzę i o megalomanię także.

Nie mówiąc już o polityce. Nie, o tym nie będę mówił.

A może to wina miłości? Jej...

- A ty, Charles? Co o tym myślisz?

- Słucham?

- O Muzeum Sztuki Prymitywnej?

- Och! Dawno tam nie byłem... Kilka razy odwiedziłem plac budowy, ale...

- W każdym razie - podejmuje moja siostra Françoise - trzeba się tam nieźle nabiegać, żeby zrobić siku...

Nie wiem, ile nas, podatników, kosztował ten wymysł, lecz jedno jest pewne: na tabliczkach informujących o toaletach sporo zaoszczędzili!

Nie mogę się powstrzymać, wyobrażam sobie, jakie miny mieliby Nouvel i jego zespół, gdyby byli tu dzisiaj z nami...

- To tak specjalnie - przejmuję pałeczkę jej wesoły mąż. - Myślisz, że ludzie prymitywni mieli jakieś opory? Spuszczali spodniczki z trawy i hop w krzaki!

Nie, nie. Jednak dobrze, że ich tu nie ma...

- Dwieście trzydzieści pięć milionów - rzuca drugi, ten mniej wesoły, mnąc serwetkę.

A ponieważ towarzystwo nie reaguje wystarczająco szybko, dodaje:

- Euro, ma się rozumieć. Ten wymysł, jak to celnie ujęła moja droga Françoise, kosztował francuskich podatników, bagatela... - wyjmując okulary, telefon komórkowy, coś tam na nim wystukuje i zamyka oczy - miliard pięćset czterdzieści milionów franków.

- Starych? - krztusi się matka.

- Gdzie tam - pęka z dumy szwagier. - Nowych!

Nie posiada się z radości. Tym razem się udało. Wzięło ich. Towarzystwo jest pod wrażeniem.

Szukam wzrokiem Laurence, posyła mi bolesny uśmiezek. Są jeszcze pewne rzeczy, które we mnie szanuje. Pochyliłam się nad talerzem.

Rozmowa ruszyła pełną parą, rozsądne opinie mieszają się z głupotą. Kilka lat temu na tapecie była Opera w Bastylii, później Biblioteka Mitteranda, zawsze znajdzie się coś, o czym można pogadać.

Claire siedzi obok mnie. Pochyla się:

- Co tam słyhać w Rosji?

- Berezyna - odpowiadam z uśmiechem.

- Przestań.

- Tak, tak, mówię ci... Czekam na roztopy, żeby policzyć ofiary śmiertelne.

- Cholera.

- Tak. *Czort*, jak mawiają Rosjanie.

- Macie nieprzyjemności?

- Biuro nie, ja tak.

- Ty?

- Sam nie wiem... Jestem raczej słaby w roli Napoleona... Brakuje mi jego... wizji, tak przypuszczam...

- Albo jego szaleństwa.

- Och! To tylko kwestia czasu!

- Żartujesz, prawda? - pyta zmartwiona.

- *Da!* - zapewniam ją, wsuwając dłoń pomiędzy dwa guziki koszuli. - Z wysokości tej klęski czterdzieści wieków architektury nie może się co do mnie mylić!

- Kiedy tam wracasz?

- W poniedziałek...

- Nie...

- Tak...

- Czemu tak szybko?

- Ostatnio... słuchaj dobrze... ostatnio z budowy giną żurawie. Nocą, fiuuu... odlatują.



- Niemożliwe...

- Masz rację... Potrzebowałyby całego dnia, żeby rozwinąć swoje wielkie skrzydła... Zwłaszcza że unoszą ze sobą także inny sprzęt... Koparki, betoniarki, wiertarki... Wszystko.

- Żartujesz...

- Wcale nie.

- No i? Jak sobie z tym poradzisz?

- Jak sobie poradzę? Dobre pytanie... Najpierw zatrudnię firmę ochroniarską do pilnowania naszej firmy ochroniarskiej, a ponieważ ona też będzie skorumpowana, to...

- To co?

- Nie wiem. Poproszę o pomoc kozaków.

- Niezły sajgon...

- Dobrze powiedziane.

- A ty zarządzasz całym tym burdelem...

- Skądże! Tam nie ma czym zarządzać. Naprawdę nie ma czym. Wiesz, co robię?

- Pijesz!

- Nie tylko. Po raz kolejny czytam *Wojnę i pokój*. I trzydzieści lat po pierwszej lekturze zakochuję się w Nataszy jak pierwszego dnia... To moje główne zajęcie.

- Niewesoło... Nie przysyłają ci pięknych dziewczyn, żebyś się trochę odprężył?

- Jeszcze nie...

- Kłamczuch.

- A u ciebie? Co nowego na froncie?

- Och, u mnie... - wzdycha, podnosząc kieliszek. - Wybrałam ten zawód, żeby ratować świat, a zamiast tego zamiatam ludzkie świństwa pod kawałek genetycznie modyfikowanej murawy, ale poza tym wszystko w porządku.

Śmieje się.

- A twoja afera z tamą? - pytam jeszcze.

- Załatwiona. Dostali wciry.

- Widzisz...

- Pff...

- Co „pff”? To bardzo dobrze. *Enjoy*, ty też.

- Charles?

- Hmm...

- Powinniśmy być współnikami, wiesz...

- Co byśmy zrobili?

- Miasto idealne.

- Ale my przecież żyjemy w mieście idealnym, moja piękna, dobrze wiesz...

- Och... bez przesady. - Wydyma lekko wargi. - Do ideału brakuje tu jeszcze kilku supermarketów Champion, nie?

Na to - hop! - odzywa się pies Pawłowa:

- Słucham?

- Nic, nic... Rozmawialiśmy o twojej ostatniej promocji kawioru...

- Co takiego?

Claire uśmiecha się do niego. Szwagier wzrusza ramionami i podejmuje popisową śpiewkę pod tytułem „Na co rząd przepuszcza pieniądze z naszych podatków”.

Och... czuję nagły przypływ zmęczenia... Jestem zmęczony, zmęczony, zmęczony, i podaję dalej tacę z serami, nie tknąwszy żadnego, muszę chwilę odpocząć.

Patrzę na ojca, jest jak zawsze dyskretny, uprzejmy, elegancki... Patrzę na Laurence i Edith, opowiadają sobie dykteryjki o ograniczonych nauczycielach i niezdarnych woźnych, a może odwrotnie, patrzę na wystrój tej jadalni, gdzie nic się nie zmieniło od pięćdziesięciu lat, patrzę...

- Kiedy prezenty?

Przybiegły dzieciaki. Błogosławię im. To znak, że niedługo będę się mógł położyć.

- Rozstawcie talerzyki deserowe i przyjdźcie do mnie do kuchni - komenderuje babcia.

Siostry wstają i idą po swoje prezenty. Mathilde mruga do mnie, pokazując torebkę z torebką od nas, a nasz Félix Rockefeller Potin kończy przemowę, wycierając usta:

- Tak czy inaczej zdążamy ku katastrofie.

No, już. Powiedział to. Zazwyczaj czeka z konkluzją na kawę, ale dziś coś - jak mniemam, kłopoty z prostatą - sprawiło, że się streszczał. Okay... A teraz się zamknij.

Przepraszam, ale, jak mówiłem, jestem zmęczony.

Wraca Françoise z aparatem i gasi światło, Laurence dyskretnie poprawia fryzurę, dzieci pocierają zapalki.

- Jeszcze w przedpokoju pali się światło! - krzyczy któryś z gości.

Zajmę się tym.

Szukając wyłącznika, zerkam na kopertę wieńczącą stosik mojej korespondencji.

Biała podłużna koperta i pismo, które znam, lecz którego nie rozpoznaję. Pieczętka nic mi nie mówi. Kodu pocztowego i miasta nie potrafiłbym usytuować na mapie, ale to pismo na pewno...

- Charles! Co ty tam jeszcze robisz? - popędzają mnie, a tort odbija się już we wszystkich szybach.

Gaszę światło i wracam do nich. Ale myślami jestem gdzie indziej.

W blasku świec nie widzę twarzy Laurence. Nie śpiewam *Sto lat*. Nawet nie próbuję klaskać... Jestem... Jestem jak tamten bufon, który poczuł smak magdalenki, z tym że reaguję zupełnie inaczej. Już się wycofuję... Nie chcę żadnego przypływu wspomnień. Czuję, że kawał zapomnianego świata rozwiera się pod moimi stopami, czuję, jak na brzegu dywanu otwiera się przepaść, i instynktownie szukam ramy drzwi albo oparcia krzesła, którego mógłbym się ucześcić. Bo, tak, dobrze znam to pismo i czuję, że dzieje się coś niedobrego. Że jakaś część mnie stawia opór. Myśli kołaczą się w mojej głowie i zagłuszają wszystko, co dzieje się dookoła. Nie słyszę ich okrzyków, nie słyszę, jak proszą, żebym z powrotem zapalił światło.

- Charles! Przepraszam.

Laurence rozpakowuje prezenty, a Claire podaje mi łyżeczkę do tortu.

- Hej! Co się z tobą dzieje? Będziesz jadł na stojąco?

Siadam, nakładam sobie tortu, zatapiam w nim łyżecz... wstaję.

List nie daje mi spokoju, więc rozcinam go delikatnie kluczem, uważając, by nie podrzeć koperty. Kartka złożona na troje. Rozkładam pierwszą część, słyszę bicie własnego serca, teraz drugą, serce przestaje bić.

Trzy słowa.

Bez podpisu. Bez niczego.

Trzy słowa.

Trzask.

Podnieście nóż gilotyny.

Unosząc głowę, natrafiam na swoje odbicie w lustrze nad konsolą. Mam ochotę potrząsnąć tym facetem, wygarnąć mu: po co wciskasz nam te wszystkie bajery o Prouście i całej reszcie, co? Przecież dobrze wiedziałeś...

Dobrze wiedziałeś, prawda?

Nie znajduje odpowiedzi.

Patrzy na mnie, a ponieważ milczę, zaczyna coś mamrotać. Nic z tego nie rozumiem, lecz widzę, jak jego wargi drżą. Mówi coś jakby: Zostań. Zostań tu z nią. Ja idę, muszę, chyba rozumiesz, ale ty zostań. Zajmę się tym.

Wraca do swojego tortu. Słyszy dźwięki, głosy, śmiechy, bierze od kogoś kieliszek szampana, potrąca kogoś z uśmiechem. Kobieta, z którą żyje od lat, obchodzi stół i wszystkich całuje. Jego też. Mówi: jest śliczna, dziękuję. Broni się przed tym przyływem czułości, wyjawia, że to Mathilde wybrała, i słyszy, jak dziewczyna gwałtownie zaprzecza, jak gdyby poczuła się zdradzona. Mimo wszystko poczuł zapach Laurence i poszukał jej dłoni, ale ona już była daleko i całowała kogoś innego. Sięga po kieliszek. Butelka jest pusta. Wstaje, idzie po drugą. Odkorkowuje ją zbyt pośpiesznie. Gejzer piany. Nalewa, opróżnia kieliszek, nalewa znów.

- Co z tobą? - pyta ktoś obok.

- Co się z tobą dzieje? Strasznie zbladłeś. Ducha zobaczyłeś czy co...?

Pije.

- Charles... - szepce Claire.

- To nic. Jestem wykończony. Pije.

Pęka. Rozpada się. Nie chce.

Lakier pęka, puszczają tamy, śruby nie wytrzymują naporu. Nie chce. Walczy. Pije.

Najstarsza siostra patrzy na niego krzywo. Wznosi toast w jej kierunku. Nie spuszcza z niego wzroku. Prosi ją z uśmiechem, akcentując każdą sylabę:

- Françoise, ten jeden raz, ten jeden jedyny raz w życiu... odpieprz się ode mnie...

Siostra szuka wzrokiem swego dzielnego rycerza - tępaka - męża, swego obrońcy, ten jednak nie rozumie jej pełnej oburzenia mimiki. Więc ona się załamuje. Na szczęście... ta-dam!... zjawia się druga siostra!

Kiwając głową w plastikowej opasce, Edith upomina go delikatnie:

- Chariot...

A on podnosi kieliszek także w jej kierunku i już chce coś powiedzieć, gdy nagle na jego nadgarstku ląduje ręka. Odwraca się, żeby sprawdzić czyja. Ręka ściska mocno, Charles uspokaja się.

Rozmowy rozbrzmiewają na nowo. Ręka nie puszcza. On patrzy na nią. Pyta:

- Masz papierosy?

- Przypominam ci, że pięć lat temu rzuciłeś palenie.

- Masz?

Przestraszyła się jego głosu. Zabiera rękę.

Stoją oboje oparci o balustradę tarasu, plecami do światła i do świata.

Przed nimi rozciąga się ogród ich dzieciństwa. Ta sama huśtawka, te same idealnie zadbane rabatki, ten sam piec do palenia suchych liści, ten sam widok, ten sam co zawsze brak horyzontu.

Claire wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i przesuwa ją po kamiennej balustradzie. Charles wyciąga rękę, lecz Claire nie puszcza paczki.

- Pamiętasz, jak ciężkie były pierwsze miesiące? Pamiętasz, jak trudno ci było rzucić?

Charles zaciska dłoń na ręce siostry. Sprawia jej ból. I mówi:

- Anouk nie żyje.

### 3

Ile czasu trwa jeden papieros? Pięć minut?

Więc stoją przez pięć minut w milczeniu. Ona pierwsza nie wytrzymuje i słowa, które wypowiada, przygnębiają go. Ponieważ bał się ich, ponieważ...

- A więc Alexis się odezwał?

- Wiedziałem, że to powiesz - rzuca ze znużeniem. - Rękę dałbym sobie uciąć i nawet nie wiesz, jak mnie to...

- Jak cię to...?

- Jak mnie to zabolalo... Jak mnie to zmartwiło... Jaki mam do ciebie o to żal... Myślę, że tym razem powinnaś być dla mnie miłsza. Zapytać: „Na co zmarła?” albo „Kiedy?”, albo... sam nie wiem... Ale nie o niego, kurwa... Nie o niego... Nie tak od razu i bez ogródek... Nie zasługuje na to.

Znów milczenie.

- Na co zmarła?

Wyjmuje list z wewnętrznej kieszeni.

- Masz... I nie mów mi: „To jego pismo”, bo cię zabiję. Claire rozkłada kartkę, składa i szepcze:

- Ale... to przecież jest jego pismo. Odwraca się do niej.

Chciałby jej tyle powiedzieć. Wypowiadać słowa czule i straszne, słowa ścinające z nóg i słodkie, słowa głupie, słowa braterskie i siostrzane. Albo potrząsnąć nią, zaatakować, albo przeciąć ją na pół. Lecz jedyne, na co może się zdobyć, to jęk, to ta jedna sylaba:

- Claire...

A ta szulerka się do niego uśmiecha. Lecz on zbyt dobrze ją zna, odkrywa jej karty, łapie za łokieć i ciągnie ze sobą.

Claire ślizga się na ścieżce wysypanej żwirkiem, a Charles mówi. Mówi w ciemności.

Mówi do niej, do siebie, do pieca na liście albo do gwiazd. Mówi:

- No. I koniec.

Drze list i wyrzuca go do kosza w kuchni. Gdy zdejmuje stopę z pedału i pokrywka opada, klap, czuje się tak, jakby udało mu się zamknąć puszkę Pandory. I ponieważ stoi tuż przy zlewie, ochlapuje sobie twarz, łkając.

Wraca do tamtych, do życia. Czuje się lepiej. Koniec.

A ile trwa uczucie odświeżenia, jakie zimna woda zostawia na umęczonej twarzy? Dwadzieścia sekund?

I znów to samo. Charles szuka wzrokiem kieliszka, opróżnia go do dna i ponownie napelnia.

Siada na kanapie. Obok swojej towarzyszki życia. I ciągnie ją za połą żakieta.

- Ej, ty, ty... Bądź dla mnie miła... - uprzedza ją. - Bo jestem już nieźle wstawiony, wiesz...

Wcale jej to nie śmieszy, raczej zbija ją z tropu, zniesmacza. A on trzeźwieje.

Pochyla się, kładzie jej rękę na kolanie i patrzy prosto w twarz.

- Wiesz, że ty też kiedyś umrzesz? Wiesz o tym, kochana? Że zdechniesz, ty też zdechniesz?

- On jest niemożliwy! Za dużo wypił - oburza się Laurence z wymuszonym śmiechem i zaraz bierze się w garść: - Odsuń się, proszę, to boli.

Lekkie zakłopotanie nad cukiernicą. Mado rzuca pytające spojrzenia najmłodszej córce, a ta daje jej znak, by piła kawę jak gdyby nigdy nic. Mieszaj cukier, mamó, mieszaj. Później ci wyjaśnię. Kozaczok rzuca w próżnię jakiś żarcik, a prowincja zaczyna się zbierać.

- No dobrze - wzdycha Edith. - Będziemy jechać. Bernard, proszę, zawołaj dzieci...

- Dobry pomysł - popiera ją Charles. - Pakuj rodzinę do jeepa. No, co tam, czempionie? Masz teraz jeepa? Sam widziałem. Przyciemniane szyby i te sprawy...

- Charles, proszę cię, to już przestaje być zabawne.

- Ale... ja nigdy nie byłem zabawny, Edith! Dobrze wiesz...

Zrywa się z kanapy, staje u dołu schodów i wrzeszczy:

- Mathilde! Do nogi, piesku!

I zaraz odwraca się do osłupiałej ławy przysięgłych:

- Bez paniki. To takie... nasze...

Pełną zakłopotania ciszę przerywa wściekle szczekanie.

- A nie mówiłem?

Odwraca się, przytrzymując mosiężnej kuli, i woła do solenizantki:

- Co fakt, to fakt, twój dzieciak zrobił się ostatnio nieznośny, ale wiesz co? To jedyna piękna rzecz, jaką kiedykolwiek mi dałaś...

- Dalej. Wracamy - rzuca Laurence w powietrze. - I daj mi kluczyki. Nie pozwolę ci prowadzić w takim stanie.

- Dobrze to ujęłaś!

Zapina marynarkę i kłania się nisko:

- Dobranoc wszystkim. Umieram.

## 4

- Ale na co? - pyta od razu Mado.

- Nic więcej nie wiem... odpowiada Claire, która przeczekała wszystkie pożegnalne pocałunki i teraz pomaga rodzicom trzepać obrus.

Do kuchni wszedł właśnie ojciec ze stosem brudnych talerzy.

- Co się znowu dzieje w tym domu wariatów? - wzdycha.

- Zmarła nasza dawna sąsiadka.

- Która znowu? Staruszka Verdier?

- Nie. Anouk.

Talerze nagle robią się takie ciężkie... Odstawia je i siada przy stole.

- Ale... kiedy?

- Nie wiemy.

- Miała wypadek?

- Mówię ci, że nie wiemy! - irytuje się jego żona. Milczenie.

- To była jeszcze całkiem młoda kobieta... Miała...

- Sześćdziesiąt trzy lata - mamrocze jej mąż.

- Och... niemożliwe. Nie ona. Ona była zbyt... żywa, żeby umrzeć.

- Może miała raka? - wysuwa przypuszczenie Claire.

- Tak, albo...

Matka pokazuje oczyma pustą butelkę.

- Ależ, Mado... - upomina ją ojciec, ściągając brwi.

- Co Mado? Co Mado? Piła, przecież wiesz!

- Wyprowadziła się tak dawno... Nie wiemy, jak żyła potem...

- Jak zwykle jej bronisz, co?

Teraz jest naprawdę wściekła. Claire domyślała się, że umknęły jej pewne epizody z życia rodziców, ale nie sądziła, że budzą w nich jeszcze takie emocje.

Ona, Charles, a teraz ojciec... Niezłe towarzystwo...

Och... To wszystko wydaje się takie odległe... Ale nie, jednak nie... Charles przestał nad sobą panować, a ty, tato... jeszcze nigdy nie wydałeś mi się taki stary w świetle tej lampy...

Anouk... Anouk i Alexis Le Men... Kiedy wreszcie dacie nam spokój? Spójrzcie... Zgliszcza, które po sobie zostawiliście, nigdy nie zarosły trawą...

Claire nagle poczuła, że chce jej się płakać. Przygryzła wargę i wstała, żeby do końca załadować zmywarę.

Dalej. Spierdalajcie stąd. Już! Spadajcie.

Nie strzela się do rekonwalescentów.

- Podaj mi kieliszki, mamó...

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Mamó... Dość już. Ona nie żyje.

- Nie, nie ona.

- Jak to nie ona?
  - Ludzie tacy jak ona nie umierają.
  - Ależ umierają. Masz dowód. Dalej, pomóż mi, bo muszę lecieć.
- Milczenie. Pomrukiwanie zmywarki.
- To była wariatka...
  - Idę się położyć - oświadcza ojciec.
  - Tak, tak, Henri! To była wariatka! Odwraca się, znużony.
  - Ja tylko powiedziałem, że idę się położyć, Mado.
  - Och, dobrze wiem, co sobie myślisz!

Zamilkła na chwilę, po czym znów zaczęła mówić, bezbarwnym głosem, zapatrzona w dal, gdzieś za okno, na cień nieistniejącej już osoby, nie dbając o to, czy ktoś ją słyszy.

- Raz, pamiętam... na samym początku... ledwo ją znałam... dałam jej w prezencie jakąś roślinę... albo kwiatek w doniczce, nie pamiętam... Chyba w podzięcie za przenocowanie Charlesa... Och! Nic nadzwyczajnego, prawda? Głupia roślina, którą pewnie kupiłam na targu... I kilka dni później, gdy zupełnie o tym zapomniałam, dzwonek do drzwi. Stała roztrzęsiona. Przyszła oddać prezent, wciskała mi siłą tę doniczkę.

„Co się stało? - przestraszyłam się. - Jakiś problem?” „Ja... ja nie mogę go zatrzymać - bełkotała. - On... on umiera...” Była blada jak ściana. „Ale... czemu pani tak mówi? To całkiem zdrowy kwiatek!” „Nie! Niech pani patrzy... Niektóre liście pożółkły, o tu...” Drżała. „Ależ - roześmiałam się - ależ to nic strasznego! Oberwie pani te listki i będzie w porządku!” A ona, pamiętam, jakby to było wczoraj, zaczęła szlochać, odepchnęła mnie i postawiła doniczkę na progu.

Nie mogłam jej uspokoić.

„Przepraszam, przepraszam. Ja naprawdę nie mogę - łkała. - Nie mogę, rozumie pani... Nie mam siły... Ja już nie mam siły... Ludzie - tak, dzieci - tak, proszę bardzo. Ale czasem i to nic nie daje, ja... i tak odchodzą, wie pani... A jak widzę, że ten kwiatek też zdycha, to... Nie może mi pani tego robić... Bo... to jest mniej ważne, rozumie pani? To jest, mimo wszystko, mniej ważne”.

Przestraszyłam się jej. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zaproponować jej kawę albo zaprosić na chwilę do środka. Patrzyłam, jak ociera nos rękawem, patrzyłam na jej obłąkane oczy i myślałam: Ta kobieta to wariatka. Kompletna świruska.

- A potem? - zaniepokoiła się Claire.

- A potem? Nic. Co miałam zrobić? Wzięłam roślinę, postawiłam w salonie wśród innych i z tego, co pamiętam, stała tam przez lata!

Claire walczyła z workami na śmieci.

- A ty co byś zrobiła na moim miejscu?

- Nie wiem... - szepnęła.

List... Zawahała się przez ułamek sekundy, zanim zrzuciła resztki jedzenia, bryłki zastygłego tłuszczu i fusy z kawy na to, co zostało po Alexisie. Puścił atrament. Claire z całej siły zawiązała worek, pękła tasiemka. Niech to szlag - jęknęła, wyrzucając wszystko do śmietnika na podwórzu. Niech to szlag.

- Ale... Pamiętasz ją, mimo wszystko? - Matka nie dawała za wygraną.

- Oczywiście... przesunąć się, chcę tu wytrzeć...

- I nigdy nie pomyślałaś, że jest wariatką? - Matka położyła dłoń na ręce Claire, zmuszając ją, by na chwilę się uspokoiła.

Claire wstała, zdmuchnęła na bok kosmyk, który kłuł ją w oczy, i wytrzymała jej wzrok. Wzrok kobiety, która tak często prawila jej morały i wbijała do głowy prawdy o zasadach i dobrych manierach.

- Nie.

I ponownie skupiwszy się na słojach drewnianego blatu:

- Nie. Wyobraź sobie, że nigdy tak nie pomyślałam.

- Ach? - zdziwiła się matka, nieco zawiedziona.

- Zawsze myślałam, że...

- Że co?

- Że jest piękna. Zmarszczki niezadowolenia.

- Oczywiście, że była ładna, ale ja nie pytałam cię o to, pytałam cię o nią, o jej zachowanie.

No przecież zrozumiałam - pomyślała Claire.

Oplukała gąbkę, wytarła ręce i nagle poczuła się stara. I jednocześnie - znów poczuła się najmłodszym dzieckiem w rodzinie.

Na jedno wychodzi.

Ucałowała strapione czoło i ruszyła na poszukiwanie płaszcza.

W przedpokoju rzuciła: „Dobranoc, tato”. Wiedziała, że jest w zasięgu głosu. Zamknęła za sobą drzwi.

W samochodzie włączyła komórkę, oczywiście nie miała żadnej wiadomości, wyciszyła dzwonek, zerknęła w lusterko, żeby się cofnąć, i zauważyła, że spuchła jej górna warga. I krwawi.

Głupia idiotka - skarciła się w myślach, ciągle przygryzając miejsce, gdzie ból był taki przyjemny. Głupia mała prawniczka w czarnej todze. Potrafi powstrzymać miliony metrów sześciennych wody, podpierając wątłym ciałem gigantyczną tamę, a nie radzi sobie z trzema łzami na krzyż, które w jednej chwili potrafią ją zatopić w niepotrzebnym smutku.

Jedź się położyć.

## 5

Weszła do łazienki.

- Dzwonili z Air France. Mają twoją walizkę...

Gulgocze coś, płucze właśnie usta. Laurence dorzuciła:

- Wiedziałeś?

- Słucham?

- Wiedziałeś, że zostawiłeś ją na lotnisku?

Kiwa głową, a ich odbicie w lustrze wprawia ją w zakłopotanie. Odwraca się, żeby rozpiąć bluzkę.

Mówi dalej:

- Można wiedzieć dlaczego?

- Była zbyt ciężka. Milczenie.

- Więc... ją zostawiłeś?



- Masz nowy biustonosz?

- Można wiedzieć, co się z tobą dzieje?

Scena rozgrywała się w lustrze. Dwa popiersia. Beznadziejny teatrzyk kukiełkowy. Obserwowali się przez długą chwilę, wcale na siebie nie patrząc.

- Można wiedzieć, co się dzieje? - powtórzyła.

- Jestem zmęczony.

- I poniżyłeś mnie przy wszystkich dlatego, że jesteś zmęczony?

- Dlaczego to powiedziałeś, Charles?

- To o Mathilde...

- Co to jest? Jedwab?

Już miała go... ale nie... Wyszła z łazienki i zgasiła światło.

Wstała, gdy oparł się o fotel, żeby zdjąć buty, i ten widok sprawił mu ulgę. Gdyby zasnęła z niezmytym makijażem, oznaczałoby to, że sytuacja jest naprawdę poważna. Ale nie, tak źle jeszcze nie było.

Nigdy nie będzie. Potop? Proszę bardzo, ale najpierw krem pod oczy. Choć ziemia drży, nawilżyć trzeba.

Nawilżyć trzeba.

Usiadł na brzegu łóżka i poczuł się gruby.

A raczej ciężki. Ciężki.

Anouk... - położył się, wzdychając. Anouk...

Co myślałaby dziś o nim? Co by w nim podziwiała? I ten dziwny region... O co chodzi? Co Alexis robi tak daleko? Dlaczego nie wysłał mu zwyczajnego nekrologu? W kopercie z szarą obwódką? Z dokładną datą. Z miejscem. Z nazwiskami. Dlaczego? Co to było? Kara? Okrucieństwo? Zwykła informacja: moja matka nie żyje, czy też ostatnie splunięcie - nigdy byś się nie dowiedział, gdybym w swej dobroci nie wydał kilku eurocentów, żeby cię poinformować...

Kim jest dziś? I od jak dawna Anouk nie żyje? Charles nie był na tyle przytomny, żeby spojrzeć na datę na pieczęcie. Od kiedy ten list czekał na niego u rodziców? Jak daleko posunęły się robaki? Co z niej jeszcze zostało? Czy oddała swoje organy? Tak często kazała mu obiecywać, że to zrobi...

Przysięgnij - mówiła. Przysięgnij na moje serce.

A on przysięgał.

Anouk... Wybacz mi. Ja... Komu oddałaś skórę? I dlaczego nie zaczekałaś na mnie? Dlaczego nigdy nie wróciłem? Tak. Wiem, dlaczego. Anouk, ty... Westchnienia Laurence brutalnie wdarły się w sam środek jego majaków. Żegnaj.

- Co powiedziałeś?

- Nic, przepraszam... Ja tylko...

Wyciągnął rękę w jej stronę, odnalazł biodro, położył na nim dłoń. Wstrzymała oddech.

- Przepraszam.

- Jesteście dla mnie niedobrzy - szepnęła.

- ...

- Mathilde i ty... Jesteście... Mam wrażenie, że mieszkam z dwojgiem nastolatków. Męczycie mnie. Wykańczacie, Charles... Czego wy teraz ode mnie chcecie? Pieniądzy? Życia? Seksu? Czego? Ja już nie mogę... Ja... Rozumiesz?

- ...

- Śpisz?

- Nie. Proszę, wybacz mi. Za dużo wypilem i...

- I co?

Cóż mógł jej powiedzieć? Czy zrozumiałaby? Dlaczego nigdy jej o tym nie mówił? Zresztą co tu opowiadać? Co zostało z tamtych lat? Nic. List.

Anonimowy, podarty list na dnie kosza w domu rodziców...

- Dowiedziałem się o czyjejs śmierci.

- Czyjej?

- Matki mojego przyjaciela z dzieciństwa.

- Pierre'a?

- Nie. Innego. Nie znasz go. Już... już nie jesteśmy przyjaciółmi.

Westchnęła. Klasowe zdjęcia, kanapki z masłem i stare rewie telewizyjne to nie był jej świat. Nudziła ją nostalgia.

- I odwaliło ci tak nagle, bo umarła matka faceta, którego nie widziałeś od czterdziestu lat, tak?

Właśnie tak. Laurence posiadała niezwykły dar: każdą rzecz umiała podsumować, nakleić etykietkę, zaszufladkować i zapomnieć. Ależ on to w niej lubił... Jej rozsądek, witalność, umiejętność pozbycia się wszystkiego, co niepotrzebne, by lepiej widzieć to, co naprawdę ważne. Ależ on się do tego przyzwyczaił przez te wszystkie lata. Ależ to było... wygodne... I dobroczynne, prawdopodobnie.

Więc znów się tego uczył. Tej jej energii, tego przyzwolenia na poruszenie ręką i przesunięcie dłoni wzdłuż jej uda.

Odwróć się - błagał ją w myślach. Odwróć się. Pomóż mi.

Nie poruszyła się.

Przysunął bliżej poduszkę i wtulił się w jej kark. Ręką nie przestawał podwijać jej koszuli nocnej.

Zmięknij trochę, Laurence. Pokaż coś po sobie, proszę.

- Cóż takiego niezwykłego było w tej pani? - zażartowała. - Piekła dobre ciasta?

Wypuścił z dłoni fałdy jedwabiu.

- Nie.

- Miała duże piersi? Brała cię na kolana?

- Nie.

- A może...

- Ciiii... - przerwał, odgarniając jej włosy. - Ciii... przestań. To nic takiego. Umarła, to wszystko.

Laurence odwróciła się. Był czuły, był uważny, podobało jej się to, i to było straszne.

- Mmm... Pogrzeby dobrze na ciebie działają - westchnęła wreszcie, naciągając kołdrę.

Zbulwersowały go te słowa i przez chwilę był pewien, że... ale nie, nic. Zacisnął zęby i odegnał tę myśl, za nim jeszcze się pojawiła. Stop.

Zasnęła. Wstał.

\* \* \*

Wyjmując z torby komputer, zauważył, że Claire kilka razy próbowała się do niego dodzwonić. Skrzywił się.

Zrobił sobie kawę i usiadł w kuchni. Wystarczyło kilka kliknięć, by go zlokalizować. Zawrót głowy.

Dziesięć cyfr.

Dzieliło ich zaledwie dziesięć cyfr, na przekór wszystkim tym dniom i nocom, gdy pełen zacięcia powiększał dzielącą ich przepaść.

Życie potrafi robić psikusy... Dziesięć cyfr i sygnał. I ktoś podnosi słuchawkę. Albo odkłada.

Zganił się w myślach, podobnie jak zrobiła to Claire. Na ekranie komputera widniały teraz szczegóły trasy, która mogłaby go zaprowadzić prosto pod drzwi Alexisa. Liczba kilometrów, zjazdu z autostrady, opłaty i nazwa miasteczka.

Złapały go dreszcze - i to był dobry pretekst, żeby pójść po marynarkę. Zarzucił ją na ramiona - i to był dobry pretekst, żeby wyjąć z kieszeni kalendarz.

Odszukał niepotrzebne strony, te sierpniowe, i zanotował najważniejsze wytyczne tej nieprawdopodobnej podróży.

Tak... Może w sierpniu? Może... Jeszcze zobaczy.

Zanotował jego adres w taki sam sposób, jak lunatyk. Może któregoś wieczoru napisze mu słowo... Albo trzy słowa?

Tak jak on.

Żeby sprawdzić, czy gilotyna nadal działa... Ale czy miałby odwagę? Albo ochotę? Albo słabą wolę? Oby nie.

Zamknął terminarz.

Znów zadzwoniła komórka. Zignorował połączenie, wstał, opłukał filiżankę, wrócił, zobaczył, że Claire zostawiła wiadomość, zawahał się, westchnął, ustąpił, odsłuchał, jęknął, zaklął, wkurzył się, przeklął ją, zgasił światło, wziął marynarkę i poszedł położyć się na kanapie.

„Za trzy miesiące miałby dziewiętnaście lat”.

Najgorsze, że powiedziała te słowa spokojnie. Właśnie, spokojnie. Ot tak, w środku nocy, po sygnale *bip*. Jak można powiedzieć coś takiego maszynie? Tak o tym rozmyślać? Tak się delektować?

Poczuł, że ogarnia go wściekłość. Hej, a cóż to za gówniany melodramat, co?

Wracamy na ziemię, cioteczko, wracamy.

Zadzwonił, żeby ją opieprzyć.

Odebrała. Jesteś żalosa. Wiem - odpowiedziała.

- Wiem.

A delikatność jej głosu podcięła mu nogi.

- Wszystko, co mi powiesz, Charles... ja to już wiem. Nie musisz mną potrząsać ani śmiać mi się w twarz, sama też to potrafię. Ale komu innemu mogę to powiedzieć, jeśli nie tobie? Gdybym miała przyjaciółkę, to ją bym obudziła, ale... moją najlepszą przyjaciółką jesteś ty...

- Nie obudziłaś mnie... Milczenie.

- Mów do mnie - mruknęła.

- To ta noc. - Odchrząknął i mówił dalej: - Nocne lęki... Tak ładnie o nich mówiła, pamiętasz? O tym, jak ludzie się boją, tracą grunt pod nogami i toną w szklance wody, a ona trzyma ich wtedy za rękę... Jutro będzie lepiej. Musisz się przespać.

Długie milczenie.

- Ty...

- Ja...

- Czy pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś? W tej obskurnej kawiarni naprzeciw kliniki?

- Powiedziałeś: „Jeszcze będziesz miała dzieci...”

- Claire...

- Przepraszam. Już się rozłączam.

- Nie! To byłoby zbyt łatwe! Nie pozwolę ci teraz zwiać... Zastanów się. Chociaż raz pomyśl o sobie. Nie, ty tego nie potrafisz... Więc pomyśl o tym jak o strasznie trudnej sprawie. Spójrz mi w oczy i powiedz to prosto w twarz: Żałujesz tej... tej decyzji? Naprawdę jej żałujesz? Tylko uczciwie, pani mecenas.

- Dobiegam czter...

- Zamknij się. Mam to gdzieś. Chcę tylko, żebyś mi odpowiedziała „tak” albo „nie”.

- ...dziestki - mówiła niezrażona. - Kochałam faceta nad życie, a później pracowałam, żeby zapomnieć, i tak dobrze pracowałam, że po drodze zgubiłam samą siebie.

Parsknęła śmiechem.

- Bez sensu, nie?

- To nie był porządny facet...

- ...

- Tylko raz zachował się wobec ciebie naprawdę uczciwie: kiedy powiedział, że nie chce tej ciąży.

- ...

- I specjalnie mówię „ciąży”, Claire, żeby nie powiedzieć... Bo tam nic nie było. Nic. Zwyczajny...

- Zamknij się! - krzyknęła ostro. - Nie wiesz, o czym mówisz.

- Ty też. Rozłączyła się. Nie dał za wygraną.

Odezwała się poczta głosowa. Zadzwoił na domowy. Pękła po dziewiątym sygnale.

Zmieniła taktykę. Głos miała teraz radosny. Pewnie jakaś zawodowa sztuczka. Fortel, żeby uratować mowę obrońcą.

- Słuuucham, SOS Żal, dobry wieeeeczóór... Jadwiga przy telefonie.

Uśmiechnął się w ciemności. Kochał tę dziewczynę.

- Nie ciągniemy tego, co? - upewniła się.

- Nie...

- Dawniej poszlibyśmy do Balto z twoimi kolegami z roku i tak byśmy się spili, że nie bylibyśmy w stanie gadać tych wszystkich bzdur... A później wiesz, co byśmy zrobili? Porządnie byśmy się wyspali... Naprawdę, naprawdę porządnie... Co najmniej do południa...

- Albo do drugiej.

- Masz rację. Druga, piętnaście po... A potem bylibyśmy głodni.

- I nie mielibyśmy nic do jedzenia...

- Tak. A najgorsze, że w okolicy nie byłoby żadnego Championa... - westchnęła.

Wyobraziłem ją sobie, jak siedzi w pokoju i uśmiecha się krzywo, pośród stosów akt tłoczących się przy łóżku, wśród niedopałków podtopionych w niedopitych ziółkach, w tej okropnej bawełnianej nocnej koszuli, którą sama nazywała neglizem starej panny. Zresztą słyszałem, jak ociera nos rękawem...

- To bez sensu, prawda?

- Bez sensu - zgodziłem się.

- Czemu jestem taką idiotką? - poskarżyła się.

- Defekt genetyczny, jak sądzę... Cała pula inteligencji przypadła siostronom.

Usłyszałem, jak w policzkach robią się jej dołeczki.

- No, dobrze... - podsumowała. - Nie będę ci dłużej przeszkadzać. Ale ty też, braciszku, uważaj na siebie...

- Oj tam, ja... - znużony, machnąłem na siebie ręką.

- Tak, ty. Ty, który nigdy o sobie nie mówisz. Ty, który się nigdy nie zwierzasz, polujesz na buldożery i masz się za księcia Andrzeja.

- Dobrze powiedziane...

- Cóż... To mój zawód, przypominam! No, już! Dobranoc.

- Zaczekaj... Ostatnia rzecz...

- Tak?

- Nie wiem, czy podoba mi się pomysł bycia twoją najlepszą przyjaciółką, ale, dobra, załóżmy. Więc powiem ci coś jak najlepszej z najlepszych przyjaciółek, okay?

- ...

- Rzuć go, Claire. Rzuć tego faceta.

- ...

- Tu nie chodzi o twój wiek. Nie chodzi o Alexisa. Nie chodzi o przeszłość. To on. To on ci robi krzywdę. Kiedyś, pamiętam, rozmawialiśmy o twojej pracy i powiedziałaś mi: „Wymierzanie sprawiedliwości jest niemożliwe, bo sprawiedliwość nie istnieje. Natomiast niesprawiedliwość - jak najbardziej. Łatwo jest walczyć przeciwko niesprawiedliwości, bo ona od razu rzuca się w oczy i wszystko staje się jasne”. No właśnie... Mam w dupie tego faceta, to, kim jest i czego chce, ale wiem, że jest on, sam w sobie, największą niesprawiedliwością, jaka ci się w życiu przytrafiła. Wyślij go do paki.

- ...

- Jesteś?

- Masz rację. Schudnę, rzucę palenie i puszcze go kantem.

- Właśnie tak!

- Nic prostszego.

- Dobra, prześpij się i niech ci się przyśni jakiś miły chłopak.

- W pięknym jeepie - westchnęła.

- Ogroomnym.

- I z wielkim telewizorem plazmowym.

- No, pewnie. Dobra... Całuję cię.

- Ja ciebie te-e-ż...

- Cholera, wkurzasz mnie... Znowu ryczysz, tak?

- Tak, ale jest dobrze - chlipnęła. - Jest dobrze. To takie dobre, rześiste lzy i płyną dzięki tobie, idioto.

Znów się rozłączyła.

Sięgnął po poduszkę i owinał się marynarką.

Koniec dramatu sobotniej nocy.

\* \* \*

Gdyby Charles Balanda, metr osiemdziesiąt, siedemdziesiąt osiem kilo, bosa stopy, luźne spodnie i rozpięty pasek, ręce splecione na piersi i nos wetknięty w starą niebieską poduszkę, gdyby ten człowiek wreszcie zasnął, nasza historia dobiegłaby końca.

To on, nasz bohater. Za kilka miesięcy skończy czterdzieści siedem lat, żył, ale jakże marnie. Jakże marnie... Niewielki ma do tego talent. Twierdzi, że najlepsze już za nim, ale to żadne pocieszenie. Najlepsze, mówicie? Najlepsze - co? I dla ko... Nie, nieważne, jest zbyt zmęczony. Brakuje nam słów, jemu i mnie. Jego bagaż jest zbyt ciężki i wcale nie mam ochoty go nieść. Rozumiem go.

Rozumiem go.

Ale.

Został jeszcze ten ułamek zdania... Który dopada go czasem i wyciska mu nad twarzą gąbkę nasiąkniętą zimną wodą, podczas gdy on leży w kącie ringu, na wpół martwy.

Martwy i już pokonany.

Pokonany i totalnie obojętny. Wygrana była zbyt niska, rękawice zbyt ciasne, życie zbyt przewidywalne. „Za trzy miesiące”. Tak powiedziała, prawda?

Te trzy miesiące wydały mu się gorsze od całej reszty. A więc liczyła to od samego początku? Od pierwszego dnia po ostatnim okresie? Nie... to niemożliwe...

I wszystkie te wielokropki, te idiotyczne obliczenia, te tygodnie, miesiące, lata przeżyte na próżno sprawiają, że Charles musi się odwrócić.

Zresztą i tak mu duszno.

Ma szeroko otwarte oczy. Powiedziała: za trzy miesiące, więc on myśli: czyli w kwietniu... I wszystko rusza z powrotem, i Charles znów liczy pustkę na palcach.

Więc lipiec, więc wrzesień, bo wtedy już był drugi miesiąc. Tak, właśnie... Teraz sobie przypomina...

Końcówka lata... Skończył staż u Valmera i zaraz miał lecieć do Grecji. To był ostatni wieczór, opijali jego wyjazd. Zjawiała się u nich przypadkiem.

Dobrze trafiłaś - ucieszył się. Chodź, przedstawię cię.

I gdy się odwrócił, żeby wziąć ją pod rękę, zrozumiał, że...

Tak. Dobrze pamięta. A ponieważ pamięta, czuje przynębenie. Ta niedopuszczalna wiadomość była jak pętka, która wyszła ze źle zwiniętego kłęбка, i otwierając dłoń, licząc na palcach w ciemności: dziewięć miesięcy, czyli dwadzieścia lat, on tę pętlę zaciągnął.

Trudno. Jego strata. Nie zaśnie. Ta historia nie ma końca. Jest jeszcze na tyle uczciwy, by się przyznać sam przed sobą, że te trzy miesiące były tylko pretekstem. Gdyby Claire tego nie powiedziała, znalazłby coś innego. Ta historia nie ma końca. Odezwał się dzwonek, trzeba wstać.

Wrócić na środek ringu i dalej wystawiać się na ciosy.

Anouk umarła, a Claire wtedy, tamtego wieczoru, nie zjawiała się u nich przypadkiem.

## 6

Wyszedł za nią na ulicę. Był piękny wieczór, łagodny, ciepły, miękki. Ulica pięknie pachniała Paryżem, tarasy kawiarni były pełne. Kilka razy spytał niespokojnie, czy jest głodna, ale ona szła przed nim, nie zatrzymując się, byle dalej.

- Dobra - zirytował się - ja jestem głodny i mam dość. Zostaję tutaj.

Odwróciła się, wyjęła z torebki kawałek papieru i położyła na jego karcie dań.

- Jutro. O piątej.

To był jakiś adres na przedmieściu. Miejsce zupełnie niebudzące zaufania.

- Jutro o piątej będę już w samolocie - uśmiechnął się do niej.

Ale tylko na chwilę.

Jak się uśmiechać do kogoś z taką miną?

\* \* \*

Weszła do kawiarni zgięta wpół. Jak gdyby jeszcze próbowała podtrzymać to, co przed chwilą straciła. Wstał, objął ją za kark i dał się wypłakać do woli. Właściciel kawiarni rzucał zza jej pleców pełne niepokoju spojrzenia, na które odpowiadał gestem dłoni, tnąc powietrze. Zostawił suty napiwek, jakby przeproszał za kłopotliwą sytuację, i wywiózł ją nad morze.

To było idiotyczne, ale cóż innego mógł zrobić? Zamyka drzwi toalety, wciąga sweter i z powrotem wali się na kanapę.

Cóż innego mógł zrobić?

Chodzili na długie spacery, dużo pili, palili różne rodzaje poprawiających nastrój ziół, a czasem nawet tańczyli. Najczęściej jednak nie robili nic.

Siedzieli zapatrzeni w światło. Charles rysował, marzył, targował się w porcie i przygotowywał posiłki, a jego siostra w tym czasie czytała w nieskończoność pierwszą stronę książki i zamykała oczy.

Jednak nigdy nie zasypiała. Gdyby zadał jakiegokolwiek, najkrótsze nawet pytanie, usłyszałyby i odpowiedziały.

Ale nie zadawał.

Razem dorastali, przez prawie trzy lata dzielili maleńkie mieszkanie i znali Alexisa od zawsze. Nic nie mogło im się oprzeć.

I nie było ani śladu cienia na tym stromym tarasie. Ani śladu.

Ostatniego wieczoru poszli do restauracji i przy drugiej butelce restiny zaczął badać sytuację.

- Dasz sobie radę?

- Tak.

- Jesteś pewna? Kiwnęła głową.

- Chcesz wrócić do domu? Pokręciła głową.

- Dokąd pójdziesz?

- Do przyjaciółki... Ze studiów.

- Cóż...

Przesunął krzesło, żeby razem z nią oglądać spektakl ulicy.

- Jakby co, to masz klucze...

- A ty?

- Co ja?

- Nigdy nie opowiadasz mi o swoich miłosnych przygodach. - Skrzywiła się. - Zresztą, co ja mówię, miłosnych... o przygodach...

- Obawiam się, że to nic ekscytującego.

- A twoja specjalistka od geometrii?

- Poszła wykreślać inne figury... Uśmiechnęła się do niego.

Była opalona, lecz jej twarz sprawiała wrażenie bardzo kruchej. Napełnił kieliszki i zmusił ją, żeby wypła z nim za lepszy czas.

Odczekała długą chwilę i zaczęła skręcać papierosa.

- Charles?

- To ja.

- Nic nie powiesz, prawda?

- A co mam mu powiedzieć? - parsknął. - Mam mówić o honorze?

Bibułka była podarta. Wyjął jej paczuszkę z rąk, starannie napełnił papierek i podniósł go do ust, żeby obli-  
zać.

- Chodziło mi o Anouk... Zesztywniał.

- Nie. - Wypluł okruch tytoniu. - Nie. Oczywiście, że nie. Podał jej papierosa i odsunął się lekko.

- A... kontaktujesz się z nią jeszcze?

- Rzadko.

Okulary opadły jej na nos. Nie naciskała dłużej.

\* \* \*

W Paryżu padało. Wsiedli razem do taksówki i pożegnali się przy stacji Gobelins.

- Dzięki - szepnęła mu do ucha. - To już koniec, obiecuję ci. Będzie dobrze...

Patrzył, jak zbiega po schodach prowadzących na stację metra.

Musiała to poczuć, bo odwróciła się w połowie drogi,

z dwoma palcami ułożonymi w OK pletwonurków, i puściła do niego oko.

Mały gest, który uspokaja i zapewnia, że wszystko w porządku.

Uwierzył jej i odszedł z lekkim sercem.

Był młody i naiwny... Wierzył w przecucia.

To było wczoraj, a za kilka tygodni minie dziewiętnaście lat.

Nieźle go nabrała.



Zdrzemnął się, a gdy się przebudził, siedział przy nim Snoopy i patrzył na niego w milczeniu. To był ten dawny Snoopy, z okrągłą buzią napuchniętą od snu, ten, który tarł sobie ucho przednią łapką.

Za oknem wstawał świt i Charles zastanawiał się przez chwilę, czy to nie sen. Ściany były takie różowe...

- Spałeś tu? - spytała ponuro.

Niestety, to nie sen. To życie. Kolejna runda.

- Która godzina? - Ziewnął.

Odwróciła się i ruszyła w stronę swojego pokoju.

- Mathilde...

- To nie to, co myślisz...

- Ja nie myślę - odpowiedziała. I już jej nie było.

Dwanaście po szóstej. Powlókł się do ekspresu i podwoił porcję kawy. Zapowiadał się długi dzień...

Skostniały z zimna, zamknął się w łazience.

Usiadł jednym pośladkiem na brzegu wanny, podbródek oparł na pięści i pozwolił myślom dryfować pośród gorącej wody i ciepłej pary. To, co go teraz absorbowало, sprowadzało się do kilku słów: Wkurwiasz mnie, Balanda. Przestań i weź się w garść.

Dotąd zawsze potrafiłeś odnaleźć właściwą drogę, nie zastanawiając się zbyt długo. Nie będziesz teraz tego zmieniał. Jest za późno, rozumiesz? Jesteś za stary, żeby podarować sobie luksus tego typu ucieczki. Ona nie żyje. Oni wszyscy nie żyją. Zaciągnij zasłonę i skup się na żywych. Za tą ścianą masz laleczkę z saskiej porcelany, która odgrywa twardzielkę, lecz przecież widzisz, jak jej ciężko. Wstaje zbyt wcześnie jak na dziewczynkę w tym wieku... Zakreć ten kurewski kran i idź wyrwać jej z uszu te słuchaweczki. Chociaż na chwilę.

Delikatnie zapukał, wszedł i usiadł na podłodze, u jej stóp, wsparłszy plecy o krawędź łóżka.

- To nie było to, co myślisz...

- ...

- Gdzie jesteś, wierna przyjaciółko? - wymamrotał. - Śpisz? Słuchasz pod kołdrą smutnych piosenek i zastanawiasz się, czego znowu chce od ciebie ten głupek Charles?

- ...

- Spałem na kanapie właśnie dlatego, że nie mogłem zasnąć... I nie chciałem przeszkadzać twojej mamie...

Usłyszał, że się odwraca, i jakaś część jej ciała, może kolano, dotknęła jego ramienia.

- A teraz, gdy ci o tym mówię, myślę jednocześnie, że nie mam racji... Bo nie powinienem się przed tobą tłumaczyć... To wszystko nie powinno ciebie obchodzić, albo raczej cię to nie dotyczy. To są sprawy dużych... to znaczy... dorosłych, i...

Och, zresztą, cholera - pomyślał - w co ty znowu brniesz? Porozmawiaj z nią o czymś innym.

Podniósł głowę i obserwował ścianę jej pokoju skapaną w półmroku. Dawno już nie wchodził do tego małego świata, a przecież uwielbiał to robić. Uwielbiał oglądać jej zdjęcia, rysunki, jej rozgardiasz, plakaty, jej życie, jej pamiątki...

Ściany pokoju dorastającego dziecka są zawsze jak zabawna lekcja etnologii. Pulsujące życiem metry kwadratowe, ciągle inne, nasycone patafixem. Jak dziś wygląda życie Mathilde? Z jakimi koleżankami wyglupia się w

kabinie fotograficznej? Jak wyglądają dziś jej amulety i gdzie kryje się twarz tego, który, gdyby był drzewem, dałby się przytulać bez słowa?

Zdziwił się na widok fotografii, na której była Laurence i on. Nie znał tego zdjęcia. Mathilde zrobiła je, gdy była małą dziewczynką. Na wszystkich zdjęciach z tego czasu niebo jest przesłonięte koniuszkiem jej wskazującego palca. Wyglądali na szczęśliwych, tłem dla ich uśmiechów była góra Sainte-Victoire... Kapsułka w przezroczystej torebce z napisem *Be a Star instantly*, spisany na papierze milimetrowym wiersz Préverta, który kończył się słowami:

*W Paryżu Na ziemi*

*Ziemia jest ciałem niebieskim.*

Zdjęcia blond aktorek o wydatnych ustach, adresy stron internetowych nabazgrane na podkładkach pod kufle, breloczki, idiotyczne pluszaki, pracowicie wykonane ulotki informujące o koncertach gdzieś tam na przedmieściach, bransoletki z kordonka, reklama usług Monsieur G, który „umie zmóścić do powrotu ukohanego człowieka i sprawia, że zdajesz egzamin za pierwszym razem”, uśmiech Corto Maltese, zużyty karnet na wyciąg narciarski, a nawet ta reprodukcja Afrodyty Kallimacha, którą wysłał jej, by zakończyć trudny czas w ich relacjach.

Ich pierwszy poważny kryzys.

Wkurzył się, bo odsłaniała brzuch.

„Farbowanie włosów, tatuaże, piercing - co tylko chcesz! - darł się. - Nawet pióra w tyłku, jeśli masz ochotę. Ale nie brzuch, Mathilde. Nie pokazuj brzucha...” Zmuszał ją, by rano, przed wyjściem do szkoły, unosiła ręce, i odsyłał ją do pokoju, jeśli koszulka podnosiła się nad pępek.

Całe tygodnie minęły w nieprzyjemnej atmosferze, ale się nie złamał. Po raz pierwszy się jej przeciwstawił. Po raz pierwszy wystąpił w roli starego wapniaka.

Wszystko, tylko nie brzuch. Co to, to nie.

„Brzuch kobiety to najbardziej tajemnicze miejsce na świecie, najbardziej wzruszające, najpiękniejsze, nawet, niech ci będzie, najbardziej sexy, jak piszą w tych twoich głupich gazetkach - zrzędził, dzielnie znosząc pełne politowania spojrzenie Laurence. - I... Nie. Zakryj go. Nie pozwól sobie tego odebrać... Nie odgrywam tu przed tobą jakiegoś stróża moralności, tu nawet nie chodzi o przyzwoitość, Mathilde... Tu chodzi o miłość... Różni faceci będą próbowali wyobrazić sobie rozmiar twojego tyłka albo kształt twoich piersi i to będzie normalna sprawa, ale brzuch zachowaj dla tego, którego pokochasz... Rozumiesz?”

„Tak, myślę, że zrozumieliśmy - zawyrokowała sucho jej matka, która miała ochotę zmienić temat. - Idź, załóż burkę, córeczko”.

Spojrzał na nią, pokręcił głową i nic już nie powiedział. Ale nazajutrz poszedł do sklepiku przy muzeum Luwru i wysłał jej tę pocztówkę. Na odwrocie napisał:

„Spójrz, jest piękny właśnie dlatego, że go nie widzisz”.

Dziewczyna spoważniała, zaczęła ubierać się mniej kuso, ale nigdy nie wspominała o tym liściku. Był przekonany, że go wyrzuciła. Ale nie... Proszę bardzo... Wisi między zdjęciem raperki i półnagiej Kate Moss.

Eksplorował dalej...

- Lubisz Cheta Bakera? - zdziwił się.

- Kogo? - burknęła.

- Jego...

- Ja nawet nie wiem, co to za facet. On jest po prostu niezwykle piękny.

To było czarno-białe zdjęcie. Młody Chet podobny do

Jamesa Deana. Z tym że delikatniejszy. Inteligentniejszy i szczuplejszy. Siedzi oparty o ścianę i przytrzymuje się krzesła, żeby nie spaść. Trąbka na kolanach i oczy wpatrzone w dal.

Miała rację.

Po prostu. Niezwykle. Piękny.

- Zabawne...

- Co?

Poczuł na karku jej oddech.

- Gdy byłem w twoim wieku... Nie, byliśmy trochę starsi... Miałem przyjaciela, który szalał na jego punkcie. Szalał, szalał, szalał. Totalny wariat. Pewnie nosił taki sam biały podkoszulek i znał to zdjęcie na pamięć... I to właśnie z jego powodu marzłem dziś w nocy na kanapie.

- Dlaczego?

- Dlaczego marzłem?

- Nie... Dlaczego tak bardzo go lubił?

- Bo Chet Baker to Chet Baker! Wielki muzyk. Człowiek, który dzięki muzyce mówił wszystkimi językami i wygrywał na trąbce wszystkie uczucia świata! A jaki miał głos... Pożyczę ci płyty, to zrozumiesz, czemu wydaje ci się taki piękny.

- Co to był za kolega?

Charles uśmiechnął się z westchnieniem. Nigdy się nie uwolni... W każdym razie nie tak od razu, musi znaleźć sposób.

- Miał na imię Alexis. Też grał na trąbce... Zresztą nie tylko na trąbce... Grał na wszystkim... Na pianinie, na harmonijce, na ukulele... Był...

- Czemu mówisz o nim w czasie przeszłym? Nie żyje? No jasne...

- Nie, ale nie wiem, co się z nim dzieje. I czy nadal jest muzykiem.

- Pogniewaliście się?

- Tak... I to na tyle skutecznie, że sądziłem, iż całkiem wymazałem go z pamięci... Że nie ma go w moim życiu i...

- I co?

- I nic z tego. Nadal jest... Wczoraj dostałem od niego list i dlatego spałem w salonie...

- Co ci napisał?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Poinformował mnie o śmierci swojej matki.

- No to... wesoło... - zauważyła.

- No właśnie.

- Ej, Charles...

- Hej, Mathilde?

- Mam na jutro megatrudne zadanie z fizyki... Wstał, krzywiąc się. Kręgosłup...

- To świetnie! - ucieszył się. - Dobra wiadomość! Właśnie tego mi było trzeba. Megatrudnej fizyki z Chetem Bakerem i Gerrym Mulliganem. Wymarzona niedzielna perspektywa! A teraz się prześpij. Pośpij jeszcze parę godzin, mała...

Właśnie łapał za klamkę, gdy okazało się, że Mathilde nie dała za wygraną.

- Dlaczego się pogniewaliście?

- Bo... bo się uważał za Cheta Bakera... bo chciał robić wszystko tak jak on... A „robić wszystko tak jak on” oznaczało również wiele złych rzeczy...

- Czyli?

- Czyli na przykład prochy.

- No i?

- Ho, ho, dziew-czyn-ko - mruknął basem niedźwiedzia z dobranocki, kładąc dłonie na biodrach. - Był tu przed chwilą piaskowy dziadek, więc wracam na swoją chmurkę... Jutro opowiem ci inną bajkę... Pod warunkiem, że będziesz grzeczna. Pam, pam, padam.

W niebieskiej poświacie radia z budzikiem błysnął uśmiech.

Nalał do wanny ciepłej wody i zanurzył się całkowicie, włosy i myśli też, i zaraz wypłynął na powierzchnię i zamknął oczy.

\* \* \*

I wbrew wszelkim oczekiwaniom był to piękny późnozimowy dzień.

Dzień wypełniony kołami pędnymi i zasadą inercji. Dzień z *Funny Valentine* i *How High Is The Moon*. Dzień całkiem obojętny na prawa fizyki.

Wystukiwał metrum stopą pod małym biurkiem, tak zagraconym, że niczego nie można było na nim znaleźć, i dwudziestocentymetrową linijką lekko wybijał rytm na jej głowie, gdy myślała na opak.

Na kilka godzin zapomniał o zmęczeniu i projektach. O współpracownikach, wędrownych żurawiach i przekroczonych terminach. Przez kilka godzin siły w ruchu oddziaływały na siebie i kompensowały się, nareszcie.

Rozejm. Nokaut przez zaniechanie. Kuracja miedzią. Zastrzyk nostalgii i „czarnej poezji”, jak głosił tekst na okładce jednej z płyt.

Głośniczki przy komputerze Mathilde nie były, niestety, najlepszej jakości, ale na ekranie pojawiały się tytuły piosenek i Charles miał wrażenie, że wszystkie odnoszą się do niego.

Do nich.

*In A Sentimental Mood. My Old Flame. These Foolish Things. My Foolish Heart. The Lady Is A Tramp. I've Never Been In Love Before. There Will Never Be Another You. If You Could See Me Now. I Waited For You i... I May Be Wrong\**.

Cóż za wstrząsający skrót! - myślał. A także... być może... odpowiednia do sytuacji mowa pogrzebowa, nie?

*\* W sentymentalnym nastroju. Moja dawna miłość. Te bezsensowne rzeczy. Moje głupie serce. Ta dama jest ulicznicą. Nigdy wcześniej nie kochałem. Nigdy nie będzie nikogo prócz ciebie. Gdybyś mogła mnie dziś zobaczyć. Czekałem na ciebie i... Być może się mylę.*

Musiał być naprawdę naiwny, żeby przywłaszczyć sobie te zużyte słowa. Tyle razy je wypowiedano, powtarzano i brutalnie przerywano, że mógłby się pod nimi podpisać każdy głupek na tej planecie. Ale trudno, przyj-

mował to do wiadomości. Sprawiało mu radość identyfikowanie się, jak kiedyś, z tytułami melodii i piosenek. Znow był wielkim dryblasem, który w czyichś emocjach szukał własnego życia.

Wystarczyło, że facet zadał w trąbkę. Jerycho.

Tylko słowo *tramp* mu się nie podobało, było niejednoznaczne... Może chodziło raczej o wagabundę? Tak, o bosą na ulicy. Ale reszta pasowała, i w głębi głupiego serca kpił sobie z Newtona.

*September Song.*

Tego kawałka słuchali razem.

To było tak dawno... W klubie New Morning, nie? Chet był jeszcze wtedy taki piękny. Przerażająco piękny.

Tylko taki zniszczony. Chudy, zapadnięty, bezzębny, przeżarty alkoholem. Skrzywiony, poruszał się ostrożnie, jakby przed chwilą ktoś go pobił.

Po koncercie pokłócili się właśnie o niego... Alexis nie mógł usiedzieć na miejscu, znow wpadł w trans, kołysał się w przód i w tył i z przymkniętymi oczyma uderzał w blat baru. Alexis słyszał muzykę, widział ją jeszcze, potrafił przeczytać partyturę tak, jak inni przerzucają w gazecie stronę z reklamą, ale niezbyt to lubił, niechętnie czytał partytury... Charles, przeciwnie, wyszedł przygnębiony. W twarzy tego faceta dostrzegł takie cierpienie i wyczerpanie, że nie potrafił go słuchać, mógł tylko, przerażony, patrzeć na niego w milczeniu.

- To straszne... Mieć taki talent i tak koszmarnie się zmarnować...

Wtedy przyjaciel skoczył mu do gardła. Brzydki refren. Stek wywisk, choć to właśnie on postawił mu bilet.

- Ty tego nie możesz zrozumieć... - skończył Alexis ze złośliwym uśmiechem.

- Nie...

I Charles zapiął marynarkę.

- Nie mogę.

Było późno. Musiał rano wstać. Pracował.

- Ty w ogóle niczego nie rozumiesz.

- Jasne... - Pozbył się wszystkich drobnych. - Wiem... Rozumiem coraz mniej... Ale on w twoim wieku robił już wspaniałe rzeczy...

Powiedział te słowa tak cicho, że Alexis mógł ich nawet nie dosłyszeć. Zresztą był odwrócony do niego plecami. Ale dosłyszał, bestia. Miał przecież wrażliwe ucho... Nieważne, Charles już wyciągał dłoń z kieliszkiem nad blatem kontuaru...

Schylił się, żeby podnieść gumkę Mathilde, i prostując się, wiedział już, że zadzwoni.

Chet Baker wyskoczył z okna hotelu kilka lat po tym koncercie. Ludzie przechodzili nad nim, brali go za śpiącego pijaka. I leżał tak całą noc, potrzaskany, na amsterdamskim chodniku.

A Anouk?

Chciał się dowiedzieć. Chciał zrozumieć, chociaż raz. Zrozumieć.

- Charles?

- Halo! Wieża kontrolna do Charliego Bravo, słyszycie mnie?

- Przepraszam. No... dobra. Co jest przeciwieństwem masy bloku ruchomego?

- He?

- Co?

- Mam dość tej twojej muzyki.

Z uśmiechem wyłączył dźwięk. Dostał, czego chciał.

Koniec improwizacji.

Zadzwoni.

\* \* \*

Gdy Laurence wróciła z łaźni arabskiej ze swoją przyjaciółką Maud, zaprosił całe towarzystwo do pizzerii na rogu i przy dźwiękach *Come prima* po raz drugi świętowali jej urodziny.

Wetknęli świeczkę w kawałek tiramisu i Laurence przysunęła się do niego razem z krzesłem. Do zdjęcia.

Żeby sprawić przyjemność Mathilde. Żeby uśmiechali się razem na mikroskopijnym ekranie jej telefonu.

Nazajutrz o siódmej miał samolot, więc nastawił budzik na piątą i potarł policzki. Spał krótko i źle.

Nikt nigdy nie stwierdził, czy Chet wyskoczył przez to okno, czy wypadł.

Oczywiście na stole były ślady heroiny, ale gdy podniesiono wreszcie jego chude ciało, okazało się, że w rękę nadal ściska kławkę...

O czwartej trzydzieści wyłączył budzik, ogolił się, cicho zamknął za sobą drzwi i nie zostawił żadnego liściku na stole w kuchni...

Jak zmarła Anouk? Czy też szarpała się z jakimś rygłem, żeby oni wszyscy mogli wyjść na swoje?

Widziała śmierć tylu ludzi... Czym dla niej było jedno okno, jedna przeszkoda więcej? Zwłaszcza wtedy... W wielkiej epoce New Morning, na początku lat osiemdziesiątych, gdy AIDS zabijało na potęgę młodych i pięknych ludzi.

Jedli razem kolację, byli w podłych nastrojach i wtedy po raz pierwszy dostrzegł w Anouk to zwątpienie.

- Najtrudniej jest, gdy musimy im powiedzieć... Z trudem łapała oddech.

- ...z powodu ryzyka zakażenia, rozumiesz... Musimy im powiedzieć, że zdechną jak psy i że nic nie możemy dla nich zrobić. To właściwie pierwsza rzecz, którą im mówimy... żeby uważali, żeby po wyjściu nikogo już więcej nie zarazili... Tak, zdechniesz, ale, hej, nie trać czasu... Leć, powiedz wszystkim, których kochasz. Niech od razu się dowiedzą, co ich czeka... Dalej! Leć! I do zobaczenia za miesiąc, tak?

Ale, rozumiesz, każdemu zdarza się to po raz pierwszy w życiu... Po raz pierwszy... Wobec niej wszyscy jesteśmy równi. Wielcy lekarze i małe pielęgniarki... Wszystkich kiedyś, kurwa, zetnie... Nie ma litości... Każdego ubije, dziwka... Żadnej litości. Wszyscy bezsilni. Wiesz... zamknęłam dotąd tyle powiek, to było całe moje życie... Tak, jasne, znasz mnie... Zawsze zaciskałam zęby, wołałam salową i gdy zwłoki zjeżdżały do chłodni, sprzątałyśmy pokój. Tak, przygotowywałyśmy pościel dla następnego, i czekałyśmy na następnego, a gdy przyjeżdżał, zajmowałyśmy się nim. Uśmiechałyśmy się i leczyłyśmy go. Leczyłyśmy, słyszysz? Po to przecież wybrałyśmy ten głupi zawód...

Ale teraz? Dziś? Co mamy robić?

Zabrała mi papierosa.

- Po raz pierwszy w życiu jestem artystką, Charles... Po raz pierwszy mam do czynienia ze Śmiercią przez duże „Ś”. Pamiętasz takie wasze słowo w wypracowaniach z francuskiego, nauczyciele je uwielbiali, jak to się nazywało?

- Personifikacja?

- Nie, to brzmiało jakoś ładniej...

- Alegoria?

- O, właśnie! Alegoryzuję. Widzę, jak się czai, kurewski kościotrup z kosą. Widzę ją. Czuję. Gdy przychodzę na dyżur, czuję na korytarzach jej smród, i często odwracam się, przestraszona, bo słyszę, jak idzie za moimi plecami, i...

Jej oczy lśniły.

- Uważasz, że coś ze mną nie tak? Ty też uważasz, że mi odbija?

- Nie.

- A najgorszy ze wszystkiego jest ten nowy wirus... Wstyd. Wstydliva choroba. Seks albo prochy. Czyli samotność. Śmierć i samotność. Rodzina człowieka nie odwiedza. I te wszystkie skomplikowane słowa, powtarzane durnowatym rodzicom, którzy przyłożą i obwąchują pościel dzieciaków... Tak, proszę pani, to infekcja płucna, tego się nie leczy. Ach, tak, ma pan rację, proszę pana, wygląda na to, że inne organy też są dotknięte... Bardzo pan bystry, jak widzę... Ile razy miałam ochotę wydrzeć się, chwycić za kołnierz takiego delikwenta i wytrząsnąć te jego gówniane uprzedzenia, żeby wypadły i roztrzaskały się u stóp... czyich? Pacjenta, tego, co zostało z jego dziecka... To... To nawet nie ma nazwy... Kogoś, kto nie ma nawet siły zamknąć oczu, żeby na to wszystko nie patrzeć...

Spuściła głowę.

- Po jaką cholere robić dzieci, skoro gdy dorosną, nie mogą opowiadać rodzicom o miłości?

Odsunęła talerz.

- No? Co nam pozostanie? Co nam pozostanie, gdy przestaniemy rozmawiać ze sobą o miłości, o rozkoszy? Odcinki płacowe? Prognoza pogody?

Wpadała w szal.

- Dzieci to życie, do cholery! Są na świecie, bo my się kiedyś też pieprzyliśmy, nie? Co nas obchodzi seksualny życiorys pacjenta? Dwóch chłopców, dwie dziewczyny, trzech chłopców, kurwa, wibrator, lalka, dwa pejczy, trzy pary kajdanek, tysiąc fantazji, w czym problem? W czym? Noc to noc, tak? Nocą jest ciemno. Noc jest święta! A za dnia... też jest dobrze.

Próbowała się uśmiechać i po każdym kolejnym pytaniu dolewała sobie wina.

- Widzisz, po raz pierwszy w całej swojej karierze... nie przydaję się do niczego...

Dotknąłem jej łokcia. Miałem ochotę ją przytulić, chciałem...

- Nie mów tak. Jeżeli miałbym umierać w szpitalu, to tylko blisko...

Przerwała mi w dobrym momencie.

- Przestań. Nie mówimy o tym samym. Ty widzisz wysokiego, bladego młodzieńca, który wyciąga ręce do kurewskiej alegorii, a ja mówię o kale, liszaju i odleżynach. A to moje wcześniejsze porównanie do psów też jest do niczego. Jak psy za bardzo cierpią, to się je usypia.

Ludzie przy sąsiednich stolikach patrzyli na nią dziwnie. Ja już przywykłem. Znałem to od dwudziestu lat. Anouk zawsze mówiła za głośno. I śmiała się za wcześnie. Śpiewała za wysoko. I tańczyła za szybko, i... Anouk zawsze przekraczała granice i ludzie patrzyli na nią i szeptali jakieś bzdury. Zostawmy to. Zwykle w takich wypadkach zwracała się do nich, unosząc kieliszek. „Za miłość!” - mrugała do porządnego ojca rodziny, albo w najgorszym razie: „Za dupę!”, zależnie od wzniesionych już wcześniej tego wieczora toastów. Ale wtedy szpital wziął górę. Prawi obywatele nie interesowali jej. Już jej nie mogli uratować.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Myślałem o Alexisie, którego nie widziała od kilku miesięcy. O jego spiralnych zrostach, o wiecznie rozszerzonych źrenicach. O jej synu, który miał do niej pretensje, że urodził się biały, i chciał żyć jak Miles, Parker i cała reszta.

O synu, który się zapadał. Który nie miał już siły chodzić. Który szukał samego siebie, leżąc całymi dniami w łóżku.

I który zamykał oczy w świetle dnia.

Czyżby czytała w moich myślach?

- Narkomani to jeszcze coś innego... Albo nie mają nikogo, albo rodzice są tak załamani, że ich też należałoby leczyć. I właśnie oni, ci, którzy jeszcze przychodzą, którzy zawsze trwali przy dzieciach, wiesz, co nam mówią?

Pokręciła głową.

- „To nasza wina”.

Wtedy, gdy spotkaliśmy się na tej kolacji - to był jakiś osiemdziesiąty piąty, osiemdziesiąty szósty rok... Alexis był stosunkowo „czysty”. Myślę, że wtedy głównie palił trawę... Nie przypominam sobie dokładnie, ale raczej nie był to jeszcze czas gumowych opasek i długich rękawów, bo pewnie pamiętałbym, co jej odpowiedziałem. Wtedy mówiła mi o innych, a ja spokojnie potakiwałem. O innych...

Pamiętam za to, że udało mi się zmienić temat i że rozmawialiśmy o znacznie lżejszych sprawach, o moich studiach, o smaku deserów, o filmie, który obejrzałem podczas weekendu, i że w pewnym momencie uśmiech zastąpił jej na twarzy.

- A ja w niedzielę miałam dyżur - wraca do tematu - i... I był tam taki chłopak... tylko trochę starszy od ciebie... tancerz. Pokazał mi zdjęcia. Tancerz, Charles... Wspaniałe ciało i...

Zwróciła twarz ku górze, do sufitu, żeby przełknąć ślinę i smarki i przegonić to, co napływało jej do oczu, po czym wróciła do mnie i wzięła mnie na muszkę.

- ...więc tamtej niedzieli, gdy nacierałam mu ciało olejkiem kamforowym, to znaczy nie robiłam absolutnie niczego, kpiłam z niego w żywe oczy, pomogłam mu się pochylić, żeby nasmarować jego plecy, i wiesz, co się stało pod moją dłonią?

Pokazała mi ją.

- Pod tą dłonią... Dłonią dyplomowanej pielęgniarki, która w ciągu dwudziestu lat opatrzyła tysiące chorych?

Nie reagowałem.

- Na...

Przerwała i opróżniła kieliszek. Jej nozdrza drżały.

- Na kręgosłupie... pękła mu... Podaliśmy jej swoją serwetkę.

- ...skóra...

\* \* \*

Odebrał walizkę i dreptał teraz przed stanowiskiem odprawy. Wokół słychać już było rosyjski, trzy dziewczyny chichotały, porównując wielkość toreb z zakupami.

Widać im było brzuchy.

Miał ochotę na kawę. I na papierosa...



Gdy wyjmował książkę, wypadła z niej karta pokładowa z poprzedniego lotu, której użył jako zakładki. Bez paniki, za kilka metrów dostanie następną, całkiem nową.

XXXIII

Główna akcja bitwy pod Borodinem odbyła się na przestrzeni tysiąca sążni między Borodinem a fleszami Bagrationa. (Poza obrębem tej przestrzeni z jednej strony odbyła się w południe demonstracja rosyjskiej kawalerii Uwarowa, z drugiej strony, za Uti...

To nie mogło być okno...

Miała lęk przestrzeni...

...cą, zderzenie Poniatowskiego z Tuczkowem; ale były to dwie oddzielne i słabe akcje w porównaniu z tym, co działo się w śro...\*

Nie rozumiał tego, co czyta.

\* Lew Tolstoj, *Wojna i pokój*, t. 3, cz. II, rozdz. XXXIII, przeł. Andrzej Stawar.

Zawibrował telefon, pracownia.

Nie. Wiadomość nagrano wczoraj. Philippe. Jeden ze zbirów Pawłowicza przysłał alarmującego e-maila. Druga szlichta nadawała się do wymiany, kropnęli się w obliczeniach, ludzie od Woradina nie chcieli o tym słyszeć, a na zachodnim terenie znaleziono martwego mężczyznę. Mężczyznę bez papierów, ma się rozumieć. Policja jeszcze wróci.

Ale... dlaczego ten nieboszczyk nie zniknął?

Było za mało betonu?

Wziął głęboki oddech, żeby nie wybuchnąć, znalazł wolne krzesło, zamknął książkę, wsunął do teczki dwóch cesarzy i milion poległych, po czym wyjął dokumenty. Spojrzał na zegarek, dodał dwie godziny, dodzwonił się do automatycznej sekretarki i zaczął kląć po angielsku. *Good Lord*, pozwalał sobie na całego. Ten *fucking bastard* i tak nie wysłucha do końca.

I nagle wszystko uleciało. Alexis, jego żalosne okrucieństwo, Claire i małe kapliczki w Skopelos, humory Laurence, miny Mathilde, wspomnienia, ich przyszłość, sygnały z przeszłości i ruchome piaski przypuszczeń. Hop. Elementy usunięte. Gehenna rosyjskiej budowy zaczynała go poważnie wkurzać, czas na zajęcie się życiem przyjdzie później.

Teraz, proszę wybaczyć, nie ma na to czasu.

Balanda, inżynier dróg i mostów, *master of sciences*, absolwent Wyższej Szkoły Architektury w Belleville, magister architekt, członek związku, pracoholik, nagradzany, odznaczany i co tylko chcecie. Tak, co tylko chcecie, co tylko można jeszcze wydrukować na wizytówce, gdy się pada na pysk ze zmęczenia. Nasz zdolny Balanda odrzucił tamtego drugiego, niepewnego Charles'a.

I - ach! - od razu poczuł się lepiej.

Wszyscy prędzej czy później zarzucali mu, że zbyt dużą wagę przywiązuje do pracy. Kolejne narzeczone, rodzina, współpracownicy, klienci, sprzętaczkki, które nocą rządziły w biurze, a raz nawet pewien lekarz. Przychylni nazywali go skrupulatnym, reszta - nadgorliwym albo, co gorsza, uczniakiem, a on nigdy tak naprawdę nie umiał się bronić.

Dlaczego od tylu lat tak dużo pracował?

Na co mu były wszystkie te zarwane noce? To życie na pół gwizdka? Ten związek o kruchych podwalinach? Lekkie zeszywnienie karku? Pokonywanie kolejnych przeszkód?

Te z góry przegrane zmagania?

Nie, nigdy nie wiedział, jak ma się usprawiedliwiać, żeby dostać rozgrzeszenie. Nigdy nie czuł potrzeby, by uczciwie postawić tę sprawę przed samym sobą. Ale teraz, tak. Tak.

Tamtego ranka wstał, wyjął paszport, po raz kolejny zdziwił się lekkością swojego bagażu, usłyszał: *Pasażerowie oczekujący na lot do Moskwy Szeremietiewa samolotem Air France AF 1644 o godzinie siódmej dziesiątej proszeni są o stawienie się przy bramce numer szesnaście*, i miał już odpowiedź: pracował, żeby oddychać.

Żeby oddychać.

Poprzedzające ten wniosek godziny, ten krótki czas, ta przepaść mogłyby budzić... jak by to powiedzieć... zastrzeżenia co do przytomności umysłu jego autora, ale cóż... Choć raz nie miejmy do Charles'a zastrzeżeń.

Niech oddycha swobodnie w drodze do bramki numer szesnaście.

## 8

Samolot leciał z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę. Ledwo Charles włączył komputer, a już kapitan informował, że temperatura w Moskwie wynosi dwa stopnie Celsjusza, życzył wszystkim miłego pobytu i powtarzał zwyczajowe uwagi na temat Alliance Sky Team.

Odnalazł Wiktora, swojego szofera o łagodnym uśmiechu (przerwa, ząb, przerwa, dwa zęby), który, co udało mu się zrozumieć po dziesiątkach godzin spędzonych wspólnie w korkach (w żadnym innym kraju na świecie Charles nie spędził tyle czasu na tylnym siedzeniu samochodu. Najpierw czuł bezsilność, później rozdrażnienie, wściekłość i wreszcie... rezygnację. Ach! Więc to był właśnie ten legendarny rosyjski fatalizm! Obserwowanie przez zaparowaną szybę, jak wszelka chęć działania rozplywa się we wszechobecnym rozgardiaszu), w poprzednim życiu był inżynierem dźwięku.

Był gadatliwy, opowiadał masę niezwykłych historii, z których Charles nie rozumiał ani słowa, i palił wstrętne, śmierdzące papierosy, które wyłuskiwał z uroczych pudełek.

A gdy rozdzwaniał się telefon Charles'a, gdy znów atakował go klient, Wiktor pospiesznie podkreślał dźwięk w radiu. Okazywał dyskrecję. Nie żadna bałałajka czy Szostakowicz, tylko lokalny rock, jego muzyka. A do tego mocno czerwone zakłócenia.

Nędza.

Któregoś wieczoru zdjął koszulę, żeby pokazać mu całe swoje życie. Na ciele miał wytatuowane wszystkie jego etapy. Rozłożył ramiona i kręcił się przed pompą benzynową jak baletnica, a Charles wytrzeszczał oczy.

To było... zdumiewające...

Spotkał się z towarzyszami Francuzami, towarzyszami Niemcami i towarzyszami Rosjanami. Zaliczył kilka zebrań i tyle samo westchnień, kpín w żywe oczy i pieprzenia kotka za pomocą młotka, jeden zbyt długi obiad, po czym znów założył kask i gumowce. Ktoś bez przerwy coś do niego mówił, ktoś klepał go po plecach, on sam pożartował trochę z chłopakami z Hamburga (tymi, którzy przyjechali zamontować klimatyzację). (Tylko... gdzie?)

Tak, nawet się pośmiał. Z pięściami na biodrach, ręką przy oczach, stojąc po kolana w gnoju.

Następnie ruszył ku barakom szefów, gdzie czekało na niego dwóch sztywnych typków, jakby żywcem wyjętych z filmu braci Karl Marx. Byli naturalni do bólu, palili grube skręty i wyglądali jak kowboje na głodzie. Nerwowi, bladzi i od razu rozgorączkowani. Od razu nadgorliwi...

Milicja - usłyszał.

No jasne.

Wszyscy inni przesłuchiwani, w większości robotnicy, mówili po rosyjsku. Balanda zdziwił się nieobecnością swojego tłumacza. Zadzwoił do biura Pawłowicza. W drodze jest chłopak, który świetnie zna francuski - zapewniono go. No dobrze. O, właśnie puka do drzwi, czerwony i zdyszany.

Zaczęła się dyskusja. A raczej - przesłuchanie.

Jednak, gdy przyszła jego kolej, szybko zdał sobie sprawę, że brwi Starskiego i Haczowa dziwnie się marszczą.

Odwrócił się do tłumacza.

- Oni rozumieją, co pan do nich mówi?

- Nie - odparł tamten. - Oni mówić Tadżyk nie pić. Oj.

- Nie, chodzi mi o to, o czym wcześniej mówiłem... O umowach pana Koralowa...

Chłopak pokiwał głową, powtórzył, a źrenice milicjantów stały się jeszcze większe. No i?

- Oni mówić wy gwarantir.

??!

- Przepraszam, że pytam, ale... od jak dawna mówi pan po francusku?

- W Grienoobl... - odpowiedział chłopak z anielskim uśmiechem.

O, kurwa...

Charles potarł powieki.

- Sigariet? - spytał młodszego z szeryfów, poklepując wargi dwoma palcami.

Spasibo.

Zaciągnął się mocno i ze smakiem dawką dwutlenku węgla i czystym zniechęceniem, kontemplując sufit, na którym między dwiema strzałkami wisiała stłuczona neonówka.

I nagle pomyślał o Napoleonie... Tym genialnym fachowcu, który, jak przeczytał kilka rozdziałów wcześniej, nie wygrał bitwy pod Borodinem, ponieważ cierpiał na katar mózgu.

Nie wiedzieć czemu, nagle poczuł z nim solidarność. Nie, mój chłopcze, nie mamy do ciebie żalu... Twój bój był z góry przegrany... Ci faceci są o wiele sprytniejsi od nas.

O wiele, o wiele za silni.

W końcu przyjechał Pawłowicz, fiat lux, w towarzystwie „oficjela”. Był to przyjaciel szwagra siostry teściowej prawej ręki Łuzkowa, albo coś w tym rodzaju.

- Łuzkow? - zdziwił się Charles. - *You mean... the... major?*

Pawłowicz nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, za bardzo był pochłonięty ceremoniałem prezentacji.

Charles wyszedł. W takich wypadkach zawsze wychodził i wszystkim było to na rękę.

Zaraz też zjawił się obok jego supertłumacz, więc Charles też wykazał pewną nadgorliwość:

- A więc był pan w Grenoble?

- Nie, nie! - zdementował. - Ja mieszkać tutaj od co dzień. Aha.

Słońce zaszło. Buldożery zamilkły. Jedni robotnicy pozdrawiali Charles'a, a drudzy popychali ich, żeby szli dalej. Wiktor odwiózł go do hotelu.

Znów był zmuszony wysłuchać lekcji rosyjskiego. Zawsze tej samej.

Ruble to rubli, euro to jewra, dolar to, hehe, dolar, kretyn w stylu „uważaj, jak jedziesz” to kazioł, kretyn w stylu „przepuść mnie, gnoju” to mudak, a „rusz dupę” to szewieli zadom.

(Między innymi...)

Charles słuchał nieuważnie, zahipnotyzowany przez ciągnącą się kilometrami i kilometrami, i kilometrami, i kilometrami ciasną, blokową mieszkaniówkę. To go właśnie uderzyło najbardziej podczas pierwszego pobytu na Wschodzie, gdy był jeszcze studentem. Jak gdyby najbrzydsze z francuskich obwodnic, najgorsze z francuskich blokowisk rozpleniły się właśnie tutaj.

A przecież rosyjska architektura... O tak, Rosyjska Architektura to było coś...

Przypomniał sobie biografię Leonidowa, którą podarował mu Jacques Madelain...

Znana historia: to, co piękne, zostało zniszczone, dlatego że było piękne, a więc burzujskie, następnie ścięnięto cały naród... w blokach takich jak te, a w niewielu ładnych resztkach, które się jakoś zachowały, osiadła nomenklatura.

Tak, znamy te historie. Wcale nie musisz nam z namaszczeniem prawić o nędzy, rozłożony wygodnie na obitym skórą tylnym siedzeniu mercedesa, gdzie temperatura jest o dwadzieścia stopni wyższa niż na tamtych klatkach schodowych.

Co, Balanda?

Tak, ale...?

Dalej, dalej... Szewieli zadom.

\* \* \*

Odkręcił wodę, zadzwonił do biura i zrelacjonował wydarzenia z całego dnia Philippe'owi, jednemu ze współników, którego ta sprawa dotyczyła najbardziej. Dowiedział się, że sformułowano mu e-maile, które powinien niezwłocznie przeczytać, żeby przekazać swoje wskazówki. Powinien też zadzwonić do biura badawczego.

- Po co?

- No... żeby wyjaśnić to zamieszanie ze szlichtą... Cemu chichoczesz? - zaniepokojono się w Paryżu.

- Przepraszam. To nerwowe.

Rozmawiali dalej o innych budowach, innych kosztorysach, innych marżach, innych cholernych problemach i dekretach, o kularowych plotkach z ich małego światka, aż Philippe, zanim odłożył słuchawkę, obwieścił mu jeszcze, że Maresquin i jego klika biorą Singapur.

Ach?

Nie wiedział, czy powinien się zmartwić, czy ucieszyć.

Singapur... dziesięć tysięcy kilometrów i siedmiogodzinne przesunięcie czasowe...

I nagle, w jednej sekundzie, przypomniał sobie, że jest skrajnie zmęczony, że nie dosypia od... miesięcy, od lat, i że z wanny zaraz wyleje się woda.

Wrócił do pokoju, poszukał gniazdek, podłączył ładowarki rozmaitych urządzeń, rzucił marynarkę w poprzek łóżka, rozpiął pierwsze guziki koszuli, kucnął, przez chwilę poczuł się bezradny w zimnym świetle barku, po czym wrócił i usiadł obok marynarki.

Wyjął kalendarz.

Udał, że interesują go zaplanowane na jutro spotkania. Udał, że zaraz odłoży kalendarz, a teraz ot tak go kartkuje. Tak sobie. Tak jak się bierze do ręki coś swojego, gdy jest się z dala od bliskich. I nagle, proszę...

Natknął się na numer Alexisa Le Mena. Niesłychane.

Komórka ciągle leżała na stoliku nocnym. Uwzględnił to.

Wystarczyło, że wystukał kierunkowy i dwie pierwsze cyfry numeru, a już zdradził go własny żołądek.

Zacisnął pięść i pobiegł do toalety.

Uniósł głowę i zderzył się z własnym odbiciem.

Spodnie spuszczone na kostki, białe łydki, koślawe kolana, ramiona splątane jak w kaftanie bezpieczeństwa, spięta twarz, smutne spojrzenie.

Starzec...

Zamknął oczy.

I się wypróżnił.

Woda w wannie wydała mu się chłodna. Zadrżał. Do kogo innego mógłby zadzwonić? Sylvie... Jej jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką kiedykolwiek poznał... Ale... jak ją odnaleźć? Jakże ona miała na nazwisko? Brémand? Brémont? Czy jeszcze później były w kontakcie? A przynajmniej pod koniec? Czy potrafiłaby coś mu powiedzieć?

I... czy on rzeczywiście ma ochotę wiedzieć?

Ona nie żyje.

Nie żyje.

Już nigdy nie usłyszysz jej głosu.

Ani jej śmiechu.

Ani wybuchów jej gniewu.

Już nigdy nie zobaczy jej ust: wykrzywionych, drżących czy rozciągniętych w niekończącym się uśmiechu. Już nigdy nie spojrzy na jej ręce, na cienie pod oczami. Nigdy się nie dowie, co ukrywała, tak zręcznie, tak nieudolnie, pod zmęczonym uśmiechem czy głupim grymasem. Nie popatrzy na nią ukradkiem. Nie weźmie jej znienacka pod ramię. Nie...

Czy cokolwiek zmieni, gdy zastąpi to wszystko przyczyną zgonu? Co przez to zyska? Datę? Jakies szczegóły? Nazwę choroby? Oporne okno? Ostatnie *faux-pas*?

Nie, naprawdę...

Czy warto sprawdzać te chore domysły?

Charles Balanda włożył czyste ubranie, zawiązał sznurowadła i zacisnął zęby.

Wiedział to. Wiedział, że boi się poznać prawdę.

Jego wewnętrzny pyszałek kładł mu rękę na ramieniu i kusił: Hej... Daj sobie spokój... Uszanuj wspomnienia... Zapamiętaj ją taką, jaką znałeś... Nie niszczyć jej jeszcze bardziej... To najpiękniejszy hołd, jaki jej możesz złożyć, dobrze wiesz... Sprawić, by w ten sposób ciągle jeszcze tu była... Absolutnie żywa.

Ale za to tchórz napierał mu na kark i szeptał do ucha: Poza tym domyślasz się chyba, że odeszła tak, jak żyła, co?

Sama. Sama i pośród bałaganu.

Całkiem opuszczona na tym świecie, zbyt małym jak na nią. Co ją mogło zabić? Chyba nietrudno zgadnąć... Jej popielniczki. Albo kieliszki, w których nigdy nie znalazła pocieszenia. Albo tapczan, którego od dawna już nie otwierała... Albo... A ty co? Przyszedłeś z kadzielnicą? A gdzie byłeś przedtem? Gdybyś był przy niej, to teraz nie srałbyś ze strachu w gacie, zwłaszcza o tej porze...

Dalej, trochę godności, mój chłopcze, wiesz, gdzie ona miałaby całe to twoje współczucie?

Zamknąć się - zgrzytnął Charles. Zamknąć się.

I ponieważ miał swój honor, posłuchał wewnętrznego cykora i wykręcił numer swojego najgorszego wroga.

No i co mu powie? „Balanda przy telefonie” albo „Tu Charles...”, albo „To ja”?

Po trzecim dzwonku poczuł, jak koszula klei mu się do pleców. Po czwartym zamknął usta, by „wyprodukować” nieco śliny. Po piątym...

Po piątym usłyszał zgrzyt automatycznej sekretarki i kobiecy szczebiot: „Dzień dobry, tu dom Corinne i Alexisa Le Menów, prosimy, zostaw wiadomość, oddzwonimy, gdy tylko...”

Chrząknął, odczekał w milczeniu kilka sekund, odległa o tysiące kilometrów maszyna zarejestrowała jego westchnienie. Odłożył słuchawkę.

Alexis...

Włożył płaszcz.

Ożenił się...

Trzasnął drzwiami.

Z kobietą...

Zawołał windę.

Z kobietą o imieniu Corinne...

Wszedł do środka.

Która mieszka z nim w domu...

Zjechał sześć pięter w dół.

W domu z automatyczną sekretarką...

Przemierzył korytarz.

I...

Szedł teraz w stronę przyciągów. I... pewnie nosi kaptcie?

- *Please, sir!*

Odwrócił się. Recepcjonistka potrząsała czymś nad blatem. Uderzył dłonią w czoło, zawrócił, odebrał pęk swoich kluczy i oddał jej w zamian klucz od pokoju.

Czekał na niego inny szofer. Mniej egzotyczny i we francuskim samochodzie. Zaproszenie było ładnie sformułowane, ale Charles nie miał żadnych złudzeń: mały, dobry żołnierz wraca na front... I gdy przejechali przez bramę Ambasady Francji, wypuścił wreszcie z rąk swój telefon.

Jadł niewiele, nie podziwiał, wyjątkowo, wysublimowanego bezguścia panującego w dawnym domu Igumnowa, odpowiadał na pytania, które mu zadawano, i rzucał anegdotami, które chciano usłyszeć. Świetnie odgrywał swą rolę, siedział prosto, chwycił się rozpaczliwie trzonków sztućców, nie dawał się zbić z tropu, odpowiadał na żarty i przytyki, wzruszał ramionami, gdy było to konieczne, wyrażał opinie, śmiał się nawet, i to w dobrych momentach, a pomimo to rozpadał się, kruszył i pękał bezszelestnie.

Patrzył, jak palce zaciskają się na szklance i stopniowo bieleją.

Zgnieść ją, utoczyć nieco krwi i odejść od stołu.

Anouk powróciła. Anouk zajęła swoje miejsce. Tak że przestało go wystarczać dla innych. Jak kiedyś. Jak zawsze.

Gdziekolwiek jest, skądkolwiek przyszła, patrzyła teraz na niego. Kpiła sobie z niego łagodnie, komentowała maniery jego współbiesiadników, arogancję mężczyzn, klejnoty dam, zasadność całej tej imprezy i pytała go, co on tu robi.

- Co ty tu robisz, Charles?

- Pracuję.

- Coś ty?

- ...

- Tak.

- ...

- Anouk. Proszę cię.

- Więc pamiętasz, jak mi na imię?

- Pamiętam wszystko. Zachmurzyła się.

- Nie, nie mów tak... Są rzeczy... chwile, które... Chciałabym... Wolałabym, żebyś o nich zapomniał.

- Nie. Nie sądzę. Ale...

- Ale?

- Być może nie mówimy o tym samym.

- Mam nadzieję. - Uśmiecha się.

- Ty...

- Ja...

- Nadal jesteś piękna...

- Zamknij się, idioto. I wstań. Patrz... Towarzystwo wraca do salonu...

- Anouk?

- Co, chłopcze?

- Gdzie byłaś?

- Gdzie byłam? To chyba ty mi powinieneś powiedzieć... No, już, wracaj do nich. Wszyscy tam na ciebie czekają.

- Wszystko w porządku? - spytała gospodyni, wskazując mu jego krzesło.

- Tak, dziękuję.

- Jest pan pewien?

- Jestem zmęczony...

No proszę...

Zmęczenie, piękna wymówka. Od ilu już lat kładł wszystko na karb zmęczenia, kryjąc się w jego miękkich fałdach? Zmęczenie... budzący respekt parawan, tak bardzo, tak bardzo wygodny...

Fakt, że zmęczenie jako konsekwencja pięknej kariery brzmi nieźle. Wręcz pochlebna. Jak śliczny medal przypięty do próżnującego serca.

Położył się, myśląc o niej, zafrapowany, znowu, trafnością najbanalniejszych stwierdzeń. Te głupie zdania wypowiedane nad zamkniętą trumną: „Nie zdążyłem się z nią pożegnać” albo „Gdybym wiedział, pożegnałbym się znacznie ładniej”, albo „Miałem jej jeszcze tyle do powiedzenia...”.

Nawet się z nią nie pożegnałem.

Tym razem nie czekał na żaden odzew. Była noc, a nocą się z nią nie widywał. Albo miała dyżur, albo opowiadała swoją historię i przedstawiała zakrojone na szeroką skalę plany bitew, a Johnny Walker i Peter Stuyvesant przewracali kartki i dowodzili lekką kawalerią, aż zapominała, kapitulowała i zasypiała, nareszcie.

Moja Anouk...

Jeżeli Raj istnieje, to na pewno uwodzisz świętego Piotra... Tak.

Już cię widzę.

Widzę, jak kręcisz na palcu jego brodę i zabierasz mu klucz, który teraz będzie błyszczał zawieszony na twoim biodrze.

Gdy byłaś w dobrym nastroju, nikt nie mógł ci się oprzeć, brałaś nas, dzieci, na wycieczkę do nieba, zawsze gdy miałaś na to ochotę.

Ile drzwi wyważył twój uśmiech? Ile razy weszliśmy bez kolejki? Ile kilometrów przejechaliśmy na gapę? Ile zakazów udało nam się obejść, zignorować, złamać?

Ilu niezadowolonych i zrządzających spotkaliśmy na swojej drodze? Ile pokonaliśmy barier?

„Chwyćcie mnie za ręce, panowie - konspirowałaś. - Wszystko będzie dobrze...” A my to uwielbialiśmy. Nazywałaś nas panami, chociaż ssaliśmy jeszcze kciuki, i miażdżyłaś nam palce, gdy ruszaliśmy do ataku. Mieliśmy cykora, czasem nawet coś nas bolało, ale poszlibyśmy za tobą na koniec świata.

Twój zdezelowany fiat był naszym okrętem, latającym dywanem, dylizanssem. Poganiałaś swoje mechaniczne konie jak gruby Hank w *Lucky Luke'u*: Yeah! Wio! Dawaj!!! Trzask twojego bata niósł się po obwodnicach, a ty żułaś papierosa, bo lubiłaś patrzeć, jak reagujemy, gdy plułaś tytoniem przez okno.

Życie z tobą było wyczerpujące, ale można było zapomnieć o telewizorze. Z tobą wszystko było możliwe. Wszystko.

Pod warunkiem, że nie puszczę twojej dłoni.

A raz nawet urządziłaś nam zabawę w czasach, gdy dawno już zastąpiliśmy tubki z mlekiem Nestle fajkami Marlboro, pamiętasz? Wracaliśmy z wesela Caroline i śniliśmy na tylnym siedzeniu o miłosnych podbojach. Obudziły nas twoje okrzyki przerażenia.

„Halo! Halo! XB 12, słyszycie mnie?”

Wybici ze snu i marudni, zauważyliśmy, że stoimy pośrodku jakiejś łąki, że wszystkie światła są wyłączone a ty, w mdłej poświacie sufitowej lampki, przemawiasz do samochodowej zapalniczki.

„Słyszycie mnie? - pytałaś błagalnie. - Nasz statek stoi na redzie, rycerze Dzedaj w mazucie po szyję, na plecach czuję oddech Rebeliantów. Co robić, Obi - coś tam - Kenobi?”

Alexis był wkurzony i napotkawszy wzrok zdumionej krowy, wymamrotał zduszone „kurwa”, ale ty śmiałaś się zbyt głośno, żeby go usłyszeć. „No, to czemu zabieracie mnie na takie głupie filmy?” Na szczęście wjechaliśmy w odpowiednie gwiazdne koleiny i przez długą chwilę obserwowałem twój uśmiech w lusterku.

Widziałem dziewczynkę, którą pewnie byłaś albo którą byłabyś, gdyby w dzieciństwie pozwolono ci na podobne wygłupy...



Siedziałem za tobą, patrzyłem na twój kark i myślałem: Czy dlatego teraz czaruje nasze dzieciństwo, że sama miała straszne?

I dotarło do mnie, że się starzeję, ja też...

Kilka razy dotknąłem twojego ramienia, by upewnić się, że nie zasnęłaś, i w pewnej chwili położyłaś swoją rękę na mojej. Zdjęłaś ją, gdy musiałaś zapłacić za autostradę, ale wokół naszego statku tamtej nocy błyszczały tylko gwiazdy, nie?

Tylko gwiazdy...

Tak, jeżeli Raj istnieje, pewnie panuje tam teraz niezłe zamieszanie... Ale... co było? Co było po tobie?

Zasnął z rękoma ułożonymi wzdłuż ciała. Nagi, brudny i sam, na ulicy Smoleńskiej, w Moskwie, w Rosji. Na tej małej planecie, która zrobiła się - i to była jego ostatnia świadoma myśl - straszliwie nudna.

## 9

Wstał, wrócił na rozgrzebaną budowę, znów się zamknął w zadymionym baraku, przedstawił dokumenty, wsiadł do samolotu, odebrał walizkę, wziął taksówkę, w której na lusterku wisiała ręka Fatimy, wrócił do kobiety, która już go nie kochała, i do dziewczynki, która jeszcze nie kochała siebie, ucałował je obie, uświetnił swoją obecnością kilka spotkań, poszedł na obiad z Claire, prawie nie tknął jedzenia, zapewnił ją, że wszystko w porządku, lawirował, gdy rozmowa schodziła z tematu wpisanych do rejestru terenów zalesionych i zaprogramowanych działań konserwacyjnych dotyczących budynków odzyskanych w procesie decentralizacji, rozumiał, że jego wewnętrzne rozdarcie jest coraz głębsze, gdy patrzył, jak siostra znika za rogiem, a jego serce rozbiło się z trzaskiem o buty, próbował to wszystko przemyśleć na bulwarze des Italiens, drażył temat w milczeniu, analizował właściwości terenu, doszedł do wniosku, że jest narażony na wyrazy serdecznego współczucia, poczuł do siebie pogardę, puknął się w głowę, zawrócił, postawił jedną stopę przed drugą i zaczął wszystko od nowa, wymienił dewizy, wrócił do papierosów, nie był w stanie wypić choćby kropli alkoholu, tracił kilogramy, wygrywał przetargi, rzadziej się golił, czuł, jak skóra jego twarzy miejscami się łuszczy, dawał upust łzom, gdy mył głowę, mniej się odzywał, rozstał się z Xavierem Belloy, umówił się na wizytę u okulisty, wracał do domu coraz później i często piechotą, cierpiał na bezsenność, chodził jak najwięcej, kierując się liniami krawężników, przechodził przez ulicę w miejscach niedozwolonych, pokonywał ze spuszczoną głową mosty na Sekwanie, już nie podziwiał Paryża, nie dotykał Laurence, zauważył, że gdy pierwsza kładzie się do łóżka, złobi w kołdrze coś jakby rynną dzielącą ich ciała, po raz pierwszy w życiu zaczął oglądać telewizję, był tym oszołomiony, zdołał uśmiechnąć się do Mathilde, gdy pochwaliła się oceną z fizyki, przestał reagować, gdy przyłapywał ją na ściąganiu plików z LimeWire, miał gdzieś to pieniące się złodziejstwo, wstawał w nocy, wypijał litry wody stojąc na zimnych płytkach w kuchni, próbował czytać, w końcu odłożył na półkę Kutuzowa i jego oddziały w Krasnoje, odpowiadał na pytania, które mu zadawano, powiedział „nie”, gdy Laurence zagroziła mu normalną rozmową, powtórzył „nie”, gdy zapytała, czy się boi, zapiął ciaśniej pasek, oddał do podzelowania swoje stare „derby”, przyjął zaproszenie do Toronto na konferencję na temat *Environmental issues in the construction industry*, który był mu doskonale obojętny, wkurzył się na stażystkę, wyłączył jej komputer, chwycił pierwszy lepszy ołówek, wetknął jej w dłoń, proszę bardzo, zniecierpliwiał się, pokaże mi pani, tak, pani mi pokaże, co powinienem tu zobaczyć, zaczął realizować projekt kompleksu hotelowego w okolicach Nicei, wypalił papierosem dziurę w marynarce, zasnął w kinie, zgubił nowe okulary, odnalazł swoją książkę o Jeanie Prouvé, przy-

pomnił sobie, że obiecał, więc pewnego wieczoru zastukał do drzwi swojej pasierbicy i przeczytał na głos fragment: „Pamiętam, jak ojciec pytał mnie: Widzisz, jak kolec przylega do łodygi tej róży? To mówiąc, otwierał dłoń i jednym palcem gładził jej kontur: Patrz... Jak kciuk do ręki. Wszystko jest tak dobrze wykonane, takie solidne, te formy są wytrzymałe i jednocześnie elastyczne. To we mnie zostało. Jeżeli przyjrzyście się niektórym stworzonym przeze mnie meblom, dostrzeżecie niemal wszędzie ten zarys, który...”, zauważył, że ona ma to zwyczajnie gdzieś, zastanowił się, jak to w ogóle możliwe, Mathilde, niegdyś taka ciekawska, wycofał się z jej pokoju, odłożył książkę na pierwszą lepszą półkę, oparł się plecami o bok biblioteki, obejrzał kciuk, zacisnął pięść, westchnął, położył się, wstał, wrócił na rozkopaną budowę, znów zamknął się w zadymionym baraku, ponownie pokazał dokumenty, wsiadł do samolotu, ode...

To trwało kilka tygodni, ale równie dobrze mogło trwać kilka miesięcy, a nawet lat.

Bo, ostatecznie, górę wziął jego wewnętrzny pyszałek. To chyba logiczne... Pyszałek zawsze wygrywa, nie?

Już od prawie dwudziestu lat żył z nią, a jej nie spotykał, więc czemu teraz miałyby na nim zrobić wrażenie trzy słowa, których autorowi zabrakło klasy, by się podpisać? Zgoda, to było pismo Alexisa... ale co z tego? Kim w ogóle jest ten Alexis?

Złodziejem. Facetem, który zdradza przyjaciół i pozwala, by jego ukochana usunęła ciężę samotnie i możliwie najdalej od niego.

Syn marnotrawny. Mały białas. Mały białas, utalentowany, być może, a na pewno tchórzliwy...

Przed laty, gdy miał... Albo nie, przed laty, gdy miała... Albo jeszcze inaczej, gdy życie, powiedzmy, nie okazało się dla nich łaskawe, Charles uświadomił sobie, i było to bardzo bolesne, że dużą trudność sprawia mu lektura projektu, który inni nazywali egzystencją. Nie za bardzo wiedział, jak to wszystko ma się trzymać kupy, skoro fundamenty są takie porowate, i zastanawiał się, czy się nie pomylił na samym początku. On? Z tego stosu gruzu? Miałby coś zbudować? Niezły żart. Wziął się do tego, bo nie miał wyboru, ale, Boże drogi, jakież to było... żmudne.

Aż pewnego ranka otrząsnął się, zdenerwował, odzyskał apetyt, odnalazł przyjemność w rozkoszy i radość z pracy. Był młody i zdolny, jak mu powtarzano. W chwili słabości znów w to uwierzył, zmusił się do wysiłku i poustawiał swoje cegielki, jak reszta.

Wyrzekł się jej. Nawet gorzej, całkiem ją umniejszył.

Zredukował skalę.

To znaczy... Wmówił to sobie... do chwili, w której pewnego niedzielnego popołudnia natknął się w domu rodziców na pewne czasopismo... Wyrwał stronę i ponownie przeczytał ją w metrze, trzymając pod pachą paczkę z resztkami obiadu.

Wszystko tam było, czarno na białym, między reklam? kuracji w termach a listami od czytelników.

To nawet nie było oświecenie. To była ulga. A więc cierpi właśnie na to? Na bóle fantomowe? Ona została amputowana, a jego kretyński mózg jeszcze się nie zorientował i wciąż wysyłał mu mylne sygnały. I chociaż nie ma niczego bo nie było niczego, temu nie mógł zaprzeczyć, nadal ma całkiem realne odczucia. „Ciepło, zimno, pieczenie, cierpięcie, skurcze, czasem ból...” - głosił artykuł.

Tak.

Dokładnie.

Na to właśnie cierpiał.

Choć nigdzie konkretnie go nie bolało.

Zmiał kartkę, oddał swojej współlokatorce plastry zimnej pieczeni, opuścił lampę i rozłożył stół. Cechowała go kartezyjska umysłowość, potrzebował dowodów, żeby posuwać się naprzód. To go przekonało. I uspokoiło.

Co się powinno zmienić dwadzieścia lat później?

Kochał ducha, a duchy, ech, duchy nie umierają...

Jego życie szło więc opisanym wyżej torem, chociaż on się tym za bardzo nie przejął. Schudł? To nawet lepiej. Więcej pracował? Nikt nie dostrzeże różnicy. Wrócił do papierosów? Znowu rzuci. Obijał się o przechodniów? Wybacza mu. Laurence była zdezorientowana? Akurat przyszła jej kolej. Mathilde wolała głupie seriale? Jej strata.

Nic poważnego. Po prostu trudny moment. Przejdzie.

Kto wie, rzeczywiście.

Może nadal żyłby podobnie, tylko nieco spokojniej. Może wyrzuciłby przecinki i częściej zadawałby sobie trud czytania tego, co już napisał.

Albo może jeszcze dodałby do tego jakieś bzdury o technikach oddechowych...

Ale w końcu odpuścił.

Uległ delikatnemu szantażowi, prośbom wypowiedzanym drżącym, piskliwym głosem, od którego skręcał się kabel telefonu.

Zgoda - westchnął. Zgoda.

Raz jeszcze poszedł na obiad do swoich starych rodziców.

Zignorował zapchaną konsolę i lustro w przedpokoju, powiesił płaszcz i odwróciwszy się do siebie plecami, poszedł do kuchni.

Doskonale wyglądali we troje, długo żuli każdy kęs i bardzo uważali, by nie zahaczyć o temat, który był powodem ich spotkania. Jednak przy kawie Mado nie wytrzymała i odezwała się do syna, patrząc w przestrzeń gdzieś nad jego ramieniem.

- Ach, właśnie, dowiedziałam się, że Anouk Le Men jest pochowana koło Drancy.

Zdołał zachować kamienną twarz.

- Ach, tak? Myślałam, że leży gdzieś w Finisterze... Skąd to wiesz?

- Od córki właścicielki mieszkania, które wynajmowała... Odpuścił sobie.

- A więc ścięliście tę starą czereśnię?

- Musieliśmy... Z powodu sąsiadów, wiesz... Zgadnij, ile nas to kosztowało.

Był uratowany.

Tak przynajmniej sądził, bo gdy wstawał, matka położyła mu rękę na kolanie.

- Zaczekaj...

Pochyliła się nad stolikiem do kawy i podała mu dużą kopertę z papieru Kraft.

- Ostatnio trochę sprzątałam. Znalazłam te zdjęcia. Pewnie się ucieszysz...

Charles zeszywniał.

- To zleciało tak szybko... - szepnęła matka. - Spójrz na to... Byliście obaj tacy śliczni...

Alexis i on obejmowali się ramionami. Dwóch roześmianych Popeye'ów z fajkami w zębach, przęających małeńkie bicepsy.

- Pamiętasz... Ten dziwak wiecznie was jakoś przebierał...

Nie. Nie miał ochoty pamiętać.

- No dobrze - przerwał. - Muszę już iść.

- Powinieneś wziąć je ze sobą...

- Nie. Co niby miałbym z nimi zrobić?

Szukał kluczy, gdy stanął przy nim Henri.

- Litości! - zakrzyknął. - Nie mów mi, że zapakowała ci resztki tarty!

Charles spojrział na kopertę drżącą w palcach ojca, na poły jego kamizelki, na wytarte guziki, białą koszulę, na nieskazitelny krawat, który wiązał każdego ranka, od, Bogu dzięki, sześćdziesięciu lat, na sztywny kołnierzyk, na pergaminową skórę, pasma zarostu, które pominęła brzytwa... A na koniec spojrział mu w oczy.

Oczy dyskretnego mężczyzny, który spędził całe życie u boku despotycznej kobiety, a jednak nie całkiem zrezygnował z siebie.

Nie. Nie całkiem.

- Weź je. Charles posłuchał.

Nie mógł otworzyć drzwi, dopóki ojciec stał nieruchomo.

- Tato, proszę cię...

- ...

- Hej, przesun się! Spojrzeli sobie w oczy.

- Wszystko w porządku?

Starszy pan, który go nie usłyszał, odsunął się, wyznając:

- Ja ją mniej... Przejechała ciężarówka.

Charles przez całą długość ulicy odprowadzał wzrokiem jej sylwetkę, malejącą na tle horyzontu.

O czym właściwie mamrotał ojciec?

Nigdy się nie dowiemy. Jego syn, być może, miałby jakiś pomysł, ale zgubił go na pierwszych światłach, między stronicami przewodnika po przedmieściach.

Drancy.

Ktoś na niego zatrafił. Ruszył.

## 10

Samolot do Kanady odlatywał o dziewiętnastej, a ona leżała kilka kilometrów od lotniska. Wyszedł z biura w porze obiadu.

„Z sercem w gardle”, proszę, jakie ładne powiedzonko.

Ruszył więc z sercem w gardle.

Na czczo, zdenerwowany jak przed pierwszą randką.

Żaloszny.

I nieprawdziwy.

Nie wybierał się na bal, tylko na cmentarz, i swoje zranione serce powinien raczej zacisnąć w stulonej pięści.

Owszem, biło mu w piersi, ale byle jak. Łomotało, jak gdyby ona była nadal żywa, jak gdyby czekała, zaczajona pod cisami, i jak gdyby z marszu miała go zbesztać: No, wreszcie! Nie spieszyłeś się! Co to za koszmarne

kwiaty? Dla mnie? Weź to odłóż, spadamy stąd. Też mi pomysł - umawiać się ze mną na cmentarzu... Na głowę upadłeś czy co?

Znów przesadza... Rzucił kwiatom szybkie spojrzenie. Były naprawdę w porządku...

A może - w kaftan bezpieczeństwa? Hej, Charles...

Wiem, wiem... Ale zostawcie mnie... Jeszcze kilka kilometrów, panowie kaci...

\* \* \*

Przedmieście, prowincjonalny cmentarzyk. Żadnych cisów, tylko ogrodzenie z hartowanego żelaza, Duch Święty w kapliczkach rodzinnych grobowców i bluszcz na murach. Cmentarz przykościelny z zardzewiałym kranem i cynkowymi konewkami. Obszedł go szybko. Ostatni lokatorzy spoczęli w najbrzydszych grobach w latach osiemdziesiątych.

Zwierzysł się ze swej bezradności jakiejś paniusi, która omiatała z liści własny żal.

- Pan chyba mówi o cmentarzu w Mévreuses... Teraz tam się chowa ludzi... Tutaj to już tylko rodziny. A i tak się musieliśmy wyklócać, wie pan, bo tamci...

- Ale... to daleko stąd?

- Przyjechał pan samochodem?

- Tak.

- Więc najlepiej, żeby pan wrócił na drogę, podjechał aż do Leroy Merlin i... Wie pan, gdzie to jest?

- Nie... nie... - odpowiedział Charles, któremu zaczynał ciążyć bukiet. - Ale... proszę mówić dalej, znajdę.

- Może się pan też zorientować po Leclercu.

- Ach, tak?

- Tak, będzie pan przejeżdżał obok, dalej będą tory kolejowe, wysypisko śmieci, a za nim w prawo.

Co to znowu za gówniany plan?

Podziękował i odszedł, mamrocząc przekleństwa.

Nie zdążył nawet odpiąć pasa, a już był załamany. Było dokładnie tak, jak powiedziała paniusia: za Leroy Merlin i za Leclerciem było złomowisko pełne wraków, przyklejone do terenów Departamentu Infrastruktury. A nad tym wszystkim przejeżdżały ukradkiem wagony kolejki podmiejskiej i przelatowały samoloty.

Parking z kontenerami na śmieci, plastikowe torby uczipione krzewów i mury z betonowych płyt, na których wyżywali się artystycznie wszyscy graficy z okolicy.

Nie - pokręcił głową. Nie.

A przecież takie widoki to nie była dla niego nowość. Tropienie deweloperskich machlojek to była jego robota. Ale mimo wszystko - nie.

Matka musiała się pomylić... Albo tamta coś pokręciła. Ta, pożał się Boże, córka właściciela... Ta też jej nieźle zatruwała życie... Jaki to problem - straszyc młodą kobietę, która samotnie wychowuje syna i wraca zmordowana w porze, kiedy ta idiotka wyprowadza na skwerek swoje ratlerki... Ależ tak... przypomniał sobie. Pani Fourdel... Jedna z niewielu osób na świecie, wobec której Anouk traciła rezon... Pieniądze za wynajem... Czyszczenie dla matki Fourdel...

Ten absurdalny parking to był ostatni wybryk właścicielki. Jakieś przeoczenie, plotka bez pokrycia, jakiś źle usłyszany adres. Anouk zupełnie nie pasowała do tego miejsca.

Charles długo patrzył na swoją rękę zaciśniętą na kluczyku i na kluczyk w stacyjce.

Dobra. Przebiegnie się, raz-dwa.

Zostawi kwiaty.

Biedni zmarli...

Jakże musiało im ciążyć całe to bezguście!

Marmurowe nagrobki błyszczące jak kuchenna formika, plastikowe kwiaty, otwarte księgi o artystycznie splekanych porcelanowych stronicach, brzydkie zdjęcia w pożółkłym pleksiglasie, piłki do nogi, trójki asowe, połyskujące szczupaki, idiotyczne epitafia ociekające żalobą. A wszystko wygrawerowane na wieczność.

Owczarek niemiecki ze złota.

Spoczywaj w pokoju, mój panie, ja czuwam.

To wszystko prawdopodobnie nie było wcale takie straszne, w sumie nawet dość rozczulające, lecz nasz bohater postanowił zniechęcić ich wszystkich. Jako w niebie, tak i na ziemi.

Przeciętny francuski cmentarz pocięty na kwatery jak amerykańskie miasto. Numerowane alejki, kwadratowe pomniki, strzałki wskazujące drogę do duszy B23 czy wiecznego spoczynku H175, porządek chronologiczny, ci całkiem zimni na początku, ci stygnący trochę dalej, dobrze zmiążdżony żwirek, specjalny pojemnik na odpady surowcowe i drugi na gówna wyprodukowane w Chinach. I bez przerwy, bez przerwy stukot tych kurewskich pociągów wdzierający się w wieczny sen.

Tu zbuntował się jego wewnętrzny architekt. Są chyba jakieś zasady, nawet wobec zmarłych, nie? Jakies minimum zasad? Trochę spokoju, przepraszam bardzo, tego nikt nie przewidział?

Gdzie tam! Zakpiono sobie z nich, gdy żyli, wtłoczono ich w gówniane masowe domki, za które przepłacili trzykrotnie, zadłużając się na dwadzieścia lat, więc czemu ich sytuacja miałaby się zmienić po śmierci? Ile kosztował widok na wysypisko na wieki wieków?

Och... to zresztą ich sprawa... Ale co z jego piękną... Jeżeli znajdzie ją na tym śmietniku, to...

No, dalej. Dokończ. Co zrobisz, idioto? Wykopiesz dół i wyjmiesz ją stamtąd? Poprawisz jej spódnice i obejmiesz?

Daremny trud. On i tak nas nie słyszy. Akurat przejeżdża konwój ciężarówek, pęd powietrza unosi plastikowe torby, które opadają na gałęzie nieco dalej.

\* \* \*

To już nie był Fiat, ale jeszcze nie Sokół Millennium Hana Solo, więc musiało się to dzieć w szczęśliwych czasach czerwonego renault 5, jej pierwszego nowego samochodu, i akcja toczyła się w okolicach ich dziesiątych urodzin... Może jedenastych... Chodzili już wtedy do gimnazjum? Nie pamięta...

Anouk była inna niż zwykle. Ubrała się pięknie i wcale się nie śmiała. Palila papierosa za papierosem, zapomniała wyłączyć wycieraczki, nie rozumiała ich opowieści o przygodach Toto i powtarzała im co pięć minut, że nie mogą jej przynieść wstydu.

Chłopcy odpowiadali: tak, tak, ale nie wiedzieli za bardzo, co to ma znaczyć „nie przynieść jej wstydu”, a Toto wypił całe piwo i nasikał do szklanki swojego taty i...

Wiozła ich do swojej rodziny, do rodziców, których nie widziała od lat, i zaprosiła Charles'a do udziału w tej przygodzie. Prawdopodobnie ze względu na Alexisa. Żeby ochronić go przed tym, co ją już denerwowało, poza tym pewniej się czuła, słysząc, jak śmieją się na tylnym siedzeniu z siusiaków, kiełbasek i spółki.

- U babci zapominamy o Toto, tak?

- Tak, taaak...

To były przedmieścia Rennes, ponure i brzydkie. To akurat Charles świetnie pamięta. Szukała drogi, jechała powoli, kłęła, narzekała, że niczego nie rozpoznaje, a on, tak jak w Rosji trzydzieści pięć lat później, nie mógł odebrać wzroku od tych nowych bloków, które wydawały mu się, już wtedy, takie smutne...

Nie było drzew, nie było sklepów ani nieba, okna były całkiem małe, a balkony zagracone. Nie śmiał się odezwać, ale był trochę rozczarowany, że jakaś jej część pochodzi właśnie stąd. Myślał, że przybyła na ich ulicę prosto z morza... Na muszli przegrzebka... Jak na wiosennym obrazie, który tak bardzo lubiła Edith.

Wiozła masę prezentów i zmusiła ich, żeby włożyli koszule w spodnie. Przycesała ich nawet na parkingu i w tym momencie zrozumieli, że „nie przynieść jej wstydu” oznacza zachowywać się inaczej niż zwykle. Więc nawet nie śmieli się sprzeczać o to, który z nich wciśnie guzik windy, i aż do ostatniego piętra obserwowali, jak ona stopniowo blednie.

Nawet głos miała jakiś inny... A gdy rozdała rodzinie prezenty, jej matka zaniósła wszystkie do pokoju obok.

W drodze powrotnej Alexis spytał ją:

- Czemu ich nie rozpakowali? Odpowiedziała po dłuższej chwili:

- Nie wiem... Może zaczekają do Gwiazdki.

Reszta jest zamazana. Charles pamięta, że było za dużo jedzenia i że bolał go brzuch. Dziwny zapach. Zbyt głośne rozmowy. Ciągłe włączony telewizor. Pamięta, że Anouk dała pieniądze swojej młodszej, ciężarnej siostrze i braciom oraz lekarstwa ojcu. I że nikt jej nie podziękował.

Że wyszli w końcu z Alexisem pobawić się na nieużytku obok bloku i że gdy wrócił na chwilę, sam, żeby pójść do ubikacji, spytał tę grubą kobietę, która nie wyglądała na miłą:

- Przepraszam panią... Gdzie jest Anouk?

- A kto to taki? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- No... Anouk...

- Nie znam.

I mrużąc coś, odwróciła się do zlewozmywaka. Ale Charles'a naprawdę bolał brzuch.

- Mama Alexisa...

- Ach! Chciałeś powiedzieć Annick? Ależ złośliwy był ten jej „miły” uśmiech...

- Bo moja córka ma na imię Annick! Nie ma żadnej Anouk! Tak mogą sobie na nią wołać tacy mali paryżanie jak ty... Bo ona się wstydzi, rozumiesz? Ale tutaj ma być Annick, wbij to sobie do głowy, chłopcze. A ty co? Co się tak wyginasz?

Przyszła jej starsza córka i zaprowadziła go w miejsce, którego szukał. Gdy wyszedł, Anouk kończyła zbierać rzeczy.

- Nie pożegnałem się z nimi... - zaniepokoił się Alexis.

- Nie szkodzi. Zmierzwiała im włosy.

- Dalej, księżęta. Spadamy stąd. Przez długą chwilę bali się odezwać.

- Płaczesz?

- Nie. Milczenie.

Wreszcie wytarła nos.

- No dobra. Toto mówi do nauczycielki: „Proszę pani! Wie pani, że gwiazdkowe bombki są obwisłe?” A pani na to: „Skądże, Toto, gwiazdkowe bombki są okrągłe”. Wtedy Toto odwraca się do koleżanki i mówi: „Hej, Gwiazdka! Pokaż pani swoje bombki”.

Płakała ze śmiechu.

Później, na autostradzie, gdy Alexis zasnął:

- Charles?

- Tak?

- Wiesz, ja się teraz nazywam Anouk, bo... Bo uważam, że to ładniejsze imię...

Nie odpowiedział od razu tylko dlatego, że zastanawiał się nad jakąś naprawdę fajną odpowiedzią.

- Rozumiesz?

Przechyliła lusterko, żeby uchwycić jego spojrzenie. Ale nie. Nie mógł znaleźć wystarczająco dobrej odpowiedzi. Więc tylko z uśmiechem pokiwał głową.

- A brzuch? Już lepiej?

- Tak.

- Mnie też, powiem ci - podjęła nieco dalej - mnie też zawsze bolał brzuch, gdy...

Zamilkła.

Charles nie podejrzewał, że ma jeszcze takie wspomnienia. Czemu nagle wrócił ten bumerang? Te gwiazdkowe bombki, zapomniane prezenty, stufrankowe banknoty na stole i woń tamtego mieszkania, smród przypalonego tłuszczu i zjełczałej zawiści?

Bo...

Bo na grobie w kwaterze J93, tuż nad datami, widniał napis:

LE MEN ANNICK „Gnojki...” - tylko tyle zdołał powiedzieć w zadumie.

Wrócił szybko do samochodu, otworzył bagażnik i zaczął grzebać w rozgardiaszu.

Fluorescencyjny spray budowlany. Wstrząsnął aerozolem, uklęknął przy niej i zaczął się zastanawiać, jak zaokrąglić literę „n” i połączyć „i” z „k”, aż w końcu postanowił wszystko przekreślić i zwrócić jej prawdziwą twarz.

Świetnie! Aplauz! Cóż za brawura! Cóż za wspaniały hold!

Przepraszam.

Przepraszam.

Staruszka przy sąsiednim grobie patrzyła na niego, ściągnąwszy brwi. Zamknął spray i wstał.

- Pan z rodziny?

- Tak - odpowiedział oschle.

- Nie, tak tylko pana pytam... - wykrzywiła usta. - No bo... Tutaj niby jest ochrona, ale...

Spojrzenie Charles'a zbiło ją z tropu. Zrobiła, co tam miała do zrobienia, i go pożegnała.

To pewnie żona śp. Maurice'a Lemaire'a.

Maurice'a Lemaire'a, który miał piękną tablicę, dar od przyjaciół myśliwych, z fajną płaskorzeźbą przedstawiającą strzelbę.

Wymarzony sąsiad, co, Anouk? Sama powiedz... Pierwszorzędne towarzystwo...



Gdy wychodził, zauważył faceta, który „niby” pełnił funkcję „ochrony, ale...”. Był czarny. Ach, no tak. Wszystko jasne.

Wsiadł do samochodu i owionął go zapach kwiatów. Wyrzucił je do jednego z pojemników i spojrzął na zegarek.

Dobra. Przed odprawą zdąży jeszcze zadzwonić do tego idioty.

Kilka razy dobijała się do niego asystentka. Zignorował to, a w końcu wyłączył telefon.

Z nieruchomym wzrokiem, z paznokciami kciuków wbitymi głęboko w piankę kierownicy, Charles poczuł, że kręci mu się w głowie.

Zawrócić... Wymyślić wypadek... Powiedzieć, że spóźnił się na samolot, i dorzucić „dosłownie o parę minut”, objechać Paryż, dojechać do hotelu L'Océane, odszukać zjazd Jakiś Tam, kierować się w stronę Czegoś Tam, znaleźć ulicę Byle Jaka, pchnąć drzwi numer 8.

I wreszcie się z nim spotkać.

I dać mu w mordę.

Powinien był zresztą zrobić to dwadzieścia lat temu... Ale nie ma tego złego, przez ten czas zyskał co najmniej dziesięć kilo i nagromadził немало pretensji. Szczęka Alexisa odczułaby to boleśnie.

Ale nie. Mały Rocky w tweedowej marynarce włączył kierunkowskaz i grzecznie zjechał na lewy pas. Przecież się zobowiązał. Pojedzie, wynudzi się w jednym z salonów Park Hyatt w Toronto i wróci z głową i teczką pełnymi *Advances in Building Technology*, które nie pomogą mu odzyskać ani dźwigów, ani wiary.

Tak... a nekrolog ciągle pozostanie niepełny...

Architekt, powiadacie?

Ach... zapomniałem... Dziwne, przez te wszystkie lata miałem wrażenie, że rozkręcałem działalność pracowni... Rozkręcałem. Dobre słowo. Osiołek z klapkami na oczach, który głupiej, łażąc dookoła studni.

Gdzie w tej całej zawierusze zginęła dłoń ojca Jeana Prouvé? I wszystkie te godziny spędzone z nosem w szkicownikach Alberta Laprade'a, w wieku, w którym normalne dzieci zbierają naklejki Panini? A Le Thoronet? A kreska wielkiego Álvaro? A studenckie podróże, podczas których za wszystko płacił rysunkami?

I zawsze, zawsze całe to zamieszanie, cała ta jego kariera, cała egzystencja naznaczone były piętnem, pieczęcią Anouk...

Bo, tak, ona drżała, tak, napluła na dłoń, żeby wygładzić im włosy, tak, wypadły jej z rąk wszystkie paczki, gdy zamykała bagażnik, i tak, ni z tego, ni z owego zaczęła odzywać się do nich szorstko, ale nie zmieniło to faktu, że odwróciła się i dostrzegła popłoch na twarzy tego od urodzenia dobrze uczesanego chłopczyka, i uniosła głowę, i zaczekała na niego, i oświadczyła mu uroczyście, gdy do niej dobił:

- Charles... Ty tak dobrze rysujesz... Wiesz, powinieneś zostać architektem, kiedy dorośniesz... I robić wszystko, by nie dopuścić więcej do takiego czegoś...

I chłopczyk, który tak dobrze rysował, który wstydliwie spuszczał wzrok, gdy Pawłowicz miętosił koperty, który zazwyczaj podróżował w klasie biznesowej, który wybierał się na nikomu niepotrzebną, bardzo kosztowną konferencję do hotelu FiveStar Alliance, gdzie - jak informował program - będzie mógł skorzystać z usług spa, w tym z takich atrakcji jak *water-falls* (wodospady) i *streams* (prądy), i który prawdopodobnie będzie przysypiał, założywszy słuchawki na uszy, żeby chociaż zachować pozory, tak, właśnie on, biedaczek, przegapił zjazd na terminal 2 lotniska i plastikowa kapsuła samochodu wypełniła się jego wrzaskiem. Wrzeszczał.

Do kurwy nędzy i niech to chuj strzeli. Musiał zrobić jeszcze jedno kółko.

## 11

- Halo?

Niestety, to nie był on, co gorsza, to był jakiś cienki głosik.

- Yyyy... Czy to mieszkanie Alexisa Le Mena?

- Tak... - odpowiedział głosik. Był zakłopotany.

- A czy mógłbym poprosić go do telefonu?

- Tato! Telefon! Tato?

Jeszcze tylko tego brakowało...

I wszystko, co powtarzał w myślach od niemal godziny, na parkingu, na ruchomych schodach, w rozmaitych kolejkach i w końcu przy wielkich szybach hali odlotów, to, jak się przedstawi, pierwsze słowa, które wypowie, cały plan natarcia, cała zgryźliwość, cała złość, cała żółć i gniew - wszystko to nagle z niego uleciało.

Jedynie, co udało mu się wykrztusić po tych wszystkich ołowianych latach, to:

- Ty... ty masz dziecko?

- Kto mówi? - spytał ktoś oschle.

Litości. Nie. Tego nasz superbohater zupełnie nie przewidział...

- To ty, Charles?

- Tak.

I głos stał się nagle ciepły. Zbyt ciepły, niestety...

- Czekałem na ciebie. Długa cisza.

- A więc dotarł do ciebie mój list?

Rozdarcie pogłębiło się jeszcze. Alarmująco mocno. Wstał, znalazł jakiś kąt i zaszył się w nim. Oparł się czołem o ścianę i zamknął oczy. Świat wokół niego stał się nagle... zbyt gorący.

To nic. To przejdzie. To zmęczenie. To nerwy.

- Słyszysz mnie?

- Tak, tak... Przepraszam. Jestem na lotnisku... Ogarnął go wstyd. Wstyd. Podniósł głowę.

- Ale wszystko w porządku... Słucham...

- Pytałem, czy dotarł do cie...

- Oczywiście. Po co miałbym dzwonić?

- Skąd mam wiedzieć?! Dla przyjemności! Żeby zapytać, co słyhać, żeby...

- Przestań.

No, już. Wrócił do siebie. Już rozpoznawał ten uwodzicielski ton, który przybierał Alexis, gdy chciał sobie z kogoś zakpić. To w jednej sekundzie pomogło mu wziąć się w garść i na nowo poczuć gniew.

- Nie możesz jej tam zostawić...

- Słucham?

- Na tym głównianym cmentarzu... Alexis się roześmiał i to było straszne.

- Cha, cha! Widzę, że nic się nie zmieniło... Wciąż jesteś pięknym księciem na białym koniu, co? Ciągłe stroszysz piórka, mój Balanda!

Momentalnie zmienił ton:

- Ale, powiedz no... Chyba przybywasz zbyt późno? Hej! Twój rumak jest przemęczony! Już nie ma kogo ratować, zdajesz sobie sprawę?

Nie mogę jej tam zostawić, nie mogę jej tam zostawić - naigrywał się. - Ale przecież ona nie żyje, stary! Umarła! Czy będzie tu, czy tam, co to zmieni? Myślę, że ma to głęboko w dupie...

Oczywiście, zdawał sobie sprawę. Z ich dwóch to on był tym rozsądniejszym. Metodyczny, geometryczny, dobry uczeń, zapięty po szyję, klasowy delegat, ten, który dmuchał w balonik, który... Ale... Nie dziś... Dziś czuł, że jego obieg się przegrzał, i mógł tylko wyjęczeć to, co miał na swoją obronę:

- Nie możesz jej tam zostawić... Ona tego nienawidziła... Przemysłowe przedmieście, socjalne bloki, rasiści... Wszystko, przed czym uciekała przez la...

- O czym ty mówisz? Jacy rasiści?

- Jej sąsiad...

- Jaki sąsiad?

- Ten z grobu obok.

Pełne zakłopotania milczenie.

- Chwileczkę... Rozmawiam z Charles'em Balandą, prawda? Z synem Mado i Henriego Balandów?

- Alex, proszę cię...

- Nie, no, o czym ty mi tutaj opowiadasz? Poważnie... Z głową wszystko w porządku? Nic ci się nie poprzestawiało? Zawsze pamiętasz o kasku?

- Halo?

- I w dodatku to wysypisko...

- Idę! - rzucił ponad słuchawką. - Zaczniście beze mnie! Jakie wysypisko? O czym... Charles?

- Tak?

- Minęło tyle czasu... Muszę wyznać ci coś bardzo ważnego...

- Tak, słucham.

Chrząknął, ekhem, bardzo uroczyście.

Charles zatkał sobie drugie ucho. - Po śmierci człowiek przestaje widzieć, wiesz... Co za gnój! Niby to miał się zwierzać, a zrobił z rozmówcy idiotę. Cały on.

Charles się rozłączył.

Nie dotarł jeszcze do schodków, gdy poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg: zapomniał spytać o najważniejszą rzecz.

\* \* \*

Podano mu lampkę szampana, skorzystał i połknął półtorej tabletki nasennej. Zdawał sobie sprawę, że to idiotyczna mieszanka, ale jeszcze jeden głupi postępek nie robił różnicy.

Od kilku tygodni jego życie było sekwencją niepożądanych efektów ubocznych, a ciągle jakoś się trzymał, więc... W najlepszym wypadku za kilka minut zapadnie w sen, w najgorszym - odbędzie bliższe spotkanie z sedesem.

Tak, dobrze by było wyrzygać to wszystko...

Odkręcił następną „małpkę”.

Gdy wyjmował dokumenty, z teczki wypadła koperta od rodziców i ześlizgnęła się pod jego siedzenie. Świetnie. Niech tam zostanie. On już dostał za swoje. Od śmieszności się nie umiera, zgoda, ale mimo wszystko o wiele zdrowiej byłoby wziąć się w garść. Charles nie mógł ścierpieć faceta, którym się stał: lamentującego faceta.

Dalej, dalej. Zadepczmy to. Wspomnienia, słabości, lamenty. Powietrza!

Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk.

Na próżno.

Nie wiedział, że tutaj ciśnienie powietrza jest podwyższone.

Po przebudzeniu zauważył, że marynarka jest mokra na ramieniu. Pewnie się ślinił przez sen. Spojrzał na zegarek i przestał wierzyć w skuteczność lexiomilu: spał tylko godzinę i kwadrans.

Siedemdziesiąt pięć minut wytchnienia... Tylko do tego miał prawo.

Kobieta obok miała na twarzy maseczkę. Zapalił lampkę przy swoim siedzeniu, skrzył się, żeby podnieść kopertę, uśmiechnął się na widok tatuaży na przedramionach dwóch marynarzyków, zastanowił się, kto mógł je narysować, zamknął oczy. Ależ tak... Matka miała rację... To on... Ten człowieczek o ufarbowanych włosach... Szukał w pamięci jego twarzy, imienia, głosu, odnalazł go przy szkolnej furtce i wrócił do punktu wyjścia.

A my z nim.

- Miejsce 6A?

- Tak...

- Co mu się stało?

- Nie wiem, jakieś załamanie... Masz jeszcze lód w kostkach? - odpowiedziała stewardesa koleżance na drugim końcu samolotu.

Gdzieś ponad oceanem jeden z pasażerów rozpiął pas bezpieczeństwa.

Łkał i chował twarz w dłoni.

- *Are you all right?* - zaniepokoiła się sąsiadka.

Nie usłyszał, zatopiony we własnych myślach, sponiewierany w osobistej strefie turbulencji. Wstał, przeszedł nad nią, oparł się o zagłówki, poszedł za zasłonkę, znalazł rząd pustych siedzeń i zwałił się na nie.

Koniec klasy biznesowej.

Przykleił się do okienka i pokrył je mgłą.

Wysłano do niego stewarda.

- Czy potrzebuje pan lekarza?

Charles podniósł głowę, usiłował się uśmiechnąć i wysunął swój sekretny główniany argument:

- Zmęczenie...

Facetowi to wystarczyło i zostawił go w spokoju.

Rzadko się zdarza tak niefortunnie użyte określenie.

W spokoju? Czy on kiedykolwiek miał spokój?

Po raz ostatni, gdy miał sześć i pół roku i siedł z nowym przyjacielem rue Berthelot.

Był to chłopiec z jego klasy, jego nazwisko - Le Men - składało się z dwóch słów, a on całkiem niedawno wprowadził się obok. Charles zauważył go już pierwszego dnia, bo na szyi miał zawieszony klucz od domu.

W tamtych czasach klucz na szyi to było coś. Można nim było szpanować na przerwach...

Alexis już kilka razy jadł u Charles'a podwieczorek, ale dzisiaj to on zapraszał. Zdejmując buty, powiedział:

- Wiesz co, tylko nie hałasuj, bo moja matka śpi...

- O?!

Charles był pod wrażeniem. Więc są mamy, które mogą spać po południu?

- Jest chora? - spytał szeptem.

- Nie, jest pielęgniarką. Wychodzi do pracy bardzo wcześnie rano i często po południu urządza sobie drzemkę... Patrz, drzwi jej pokoju są zamknięte... To nasz kod...

Wszystko to wydało mu się niezwykle, jak z powieści. Bo to, że musieli bawić się tak, a nie inaczej, już samo w sobie było zabawą. Jeździli resorkami tak, by się nie zderzały, szeptali i łapali się za rękawy, sami kroili sobie kawałek piernika.

Dwaj koledzy, sami na całym świecie, podskakiwali przy najcichszym psst... otwieranej butelki z lemoniadą...

Tak, wtedy spokój nie był już tak oczywisty, bo zawsze, gdy mijał te drzwi, czuł, że serce bije mu mocniej. Trochę mocniej.

Wyobrażał sobie, że za tymi drzwiami kryje się Śpiąca Królowna albo jakaś strasznie zmęczona księżniczka, zaklęta, i może nawet, kto wie, że zniekształconą twarzą? Chodził na palcach, wstrzymywał oddech, sunął do pokoju kolegi, szurając stopami po klepkach parkietu, żeby nie upaść.

Przedpokój był mostem zawieszonym nad przepaścią pełną krokodyli.

Wracał kilka razy i zawsze fascynowały go te zamknięte drzwi.

Pewnie zastanawiał się, czy ona przypadkiem nie umarła. Może Alexis kłamał... Może sam dawał sobie radę w życiu i jadał wyłącznie ciastka?

Może ona wyglądała jak te wszystkie pomniki z podręczników historii?

Może była okryta kamienną draperią, spod której wystawały jej stopy?

Ale tak przecież nie mogło być, bo na stole w kuchni wiecznie panował bałagan... Miseczki po kawie i do połowy rozwiązane krzyżówki, włosy na spince, skórka pomarańczy, rozdarte koperty, okruchy...

Charles patrzył, jak Alexis to wszystko sprząta, jak gdyby opróżnianie pustych popielniczek mamy i składanie jej szali było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

W takich chwilach jego przyjaciel nie był już tym samym chłopcem, którego kilka godzin wcześniej nauczycielka postawiła do kąta, to było...

To było dziwne. Nawet twarz mu się zmieniała. Stał wyprostowany i marszcząc brwi, liczył wypalone papierosy.

Tamtego dnia na przykład pokręcił głową i przerwał milczenie.

- Pff... To obrzydliwe.

Trzy niedopałki tkwiły w ledwo napoczętym jogurcie.

- Jak chcesz - dodał zmieszany - mam nową kulkę do gry. „Mamuta”... Leży na moim stoliku nocnym...

Charles zdjął buty i wyruszył na wyprawę.

Och, och... Drzwi były otwarte na oścież... Odwrócił wzrok, gdy szedł po kulkę, ale w drodze powrotnej nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem.

Prześcieradło ześlizgnęło się, było widać jej ramiona. A nawet połowę jej pleców. Znieruchomiał. Miała taką białą skórę i takie długie włosy...

Powinien odejść, należało odejść, już miał odchodzić, gdy ona otworzyła oczy.

Ależ była piękna... Piękna jak bohaterki opowieści w katechizmie... Milcząca i nieruchoma, ale otoczona czymś, jakby blaskiem.

- Hej... Cześć... - powiedziała, unosząc się lekko, żeby podeprzeć się na dłoni.

- Jesteś Charles, prawda?

Nie mógł odpowiedzieć, bo zobaczył koniuszek jej... To znaczy - koniuszki jej...

Nie mógł odpowiedzieć i uciekł.

- Co robisz? Idziesz już?

- Tak - wybełkotał Charles, szarpiąc nerwowo język w bucie. - Muszę odrobić lekcje.

- Hej! - zawołał Alexis. - Ale przecież jutro jest śro... Trzasnęły drzwi.

## 2

Zostawmy już tę historyjkę o spokoju, nieważne - odebrany czy utracony. To stwierdzenie było zbyt radykalne, by mogło być uczciwe. Oczywiście Charles, już na ulicy, uklęknął, porządnie zasznurował but na kokardkę i żwawo ruszył naprzód.

Oczywiście.

Teraz nawet uśmiechnął się na tę myśl. Ładna mi Święta Dziewica...

Rozśmieszył go ten mały chłopiec, którym wówczas był, oświecony i nagle w stanie łaski, a jednocześnie bezradny. Tak, bezradny. Żył wśród dziewczyn, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że to ma na koniuszkach inny kolor...

Nie, nie utracił spokoju, zyskał tylko pewien rodzaj poruszenia, wewnętrznego rozedrgania, które było odtąd tym większe, im dłuższe były nogawki jego spodni. Które, tak jak te spodnie, kryło jego skaleczenia, opasywało biodra i rozszerzało się ku dołowi. Rozedrganie sprasowane żelazkiem matki i krytykowane przez eleganckiego ojca. Po pewnym czasie - znoszone i sprute. Zwinięte w kulę i poplamione. Rozedrganie, które później dojrzało, zyskało na jakości - idealny kancik i mankiety - i wymagało prania chemicznego, a skończyło zmięte na podejrzanym cementarzu.

Opuścił oparcie fotela, błogosławiąc niebo.

W sumie ma szczęście, że jest w samolocie. Że leci tak wysoko, że się załamał, że ma pusty żołądek i że oni wrócili, że przypomniał sobie zapach perfum tej starej kokoty Niani, że kiedyś ich znał, że go kochali i że nigdy się z nich nie wyleczył.

Wtedy Anouk wydawała mu się dojrzałą kobietą, lecz teraz wie, że nią nie była. Dziś wie, że miała jakieś dwadzieścia pięć, sześć lat, i dzięki tej historii dostał do ręki jakiś argument: jej wiek nigdy nie miał żadnego znaczenia.

Anouk była bez wieku, bo nie mieściła się w żadnej rubryce, bo walczyła o to, by nie dać się zaszufladkować.

Często zachowywała się jak dziecko. Zwijała się w kłębek pośród ich resoraków i zasypiała, zagradzając drogę konwojowi. Obrażała się, gdy przychodziła pora odrabiania lekcji, podrabiała podpis swojego syna, domagała się przeprosin, potrafiła nie odzywać się całymi dniami, zakochiwała się w byle kim, wieczorami czekała, aż zadzwoni telefon, obrzucając go chmurnym wzrokiem, wkurzała ich, pytając w kółko, czy uważają, że jest piękna, nie, ale... naprawdę piękna, i wydzierała się na nich, bo nie było nic na kolację.

A innym razem - nie. Innym razem ratowała ludzi, i to nie tylko w szpitalu. Ludzi takich jak Niania i wielu innych, którzy wielbili ją niczym największą idolkę.

Nie bała się niczego i nikogo. Robiła krok w bok, gdy niebo spadało jej na głowę. Dostawała w zęby. Wyklócała się. Obrywała. Mrugała groźnie, zaciskała pięści albo unosiła palec wskazujący, zależnie od wroga, w końcu docierało do niej, że połączenie zostało przerwane, odkładała słuchawkę, wzruszała ramionami, poprawiała makijaż i zabierała wszystkich do restauracji.

Tak, wiek albo różnica wieku to były jedyne cyfry, które stawiały opór naszemu świetnemu uczniowi. Jakaś nierówność pozostawiona na marginesie... Zbyt wiele niewiadomych... A przecież pamięta, jakie wrażenie wywarł na nim za pierwszym razem widok jej twarzy. To nie zmarszczki, nie białe żyłki zbiły go z tropu, tylko... ten wyraz rezygnacji.

Coś, ktoś, życie, zgasiło jej blask.

Steward zaproponował mu kawę, okropną lurę, którą przyjął z radością. Macał gorący plastik kubka, oparłszy czoło o szybę, obserwował wstrząsy skrzydła, próbował odróżnić gwiazdy od samolotów, cofnął wskazówki zegarka i dalej przeciskał się przez bolesną noc.

\* \* \*

Drugie zdjęcie zrobił on sam... Pamięta, bo to właśnie wtedy wuj Pierre podarował mu małego kodaka instamatic, o którym marzył od dawna, a on podwinął rękawy komunijnej alby, żeby go zainauguować.

Była to pierwsza komunia jego i Alexisa i wszyscy zebrali się w rodzinnym ogrodzie. Pod czereśnią, tą, którą ścięto w zeszłym tygodniu... Wuj nie dawał mu spokoju, powtarzając, że najpierw należy przeczytać instrukcję, sprawdzić światło i... a w ogóle umyłeś ręce? Ale Charles nie słuchał: Anouk już mu pozowała.

Wsunęła kosmyk włosów między nos a górną wargę i z tą dziwną miną wyglądała, jakby posyłała mu wielkiego, wąsatego całusa spod słomianego ronda.

Gdyby wiedział, że będzie oglądał tę fotkę w którymś kolejnym życiu, na pewno posłuchałby rad wuja... Zdjęcie było źle wykadrowane i wykonanie też pozostawiało wiele do życzenia, ale... To była ona... A obraz był nieostry, bo się wygłupiała...

Tak, wygłupiała się. Nie tylko na potrzeby fotki. Nie tylko po to, by ratować Charles'a przed upierdliwym wujem. Nie tylko dlatego, że była piękna pogoda, a ona czuła się pewnie pod zakochanym okiem obiektywu. Śmiała się, lizała szklanekę, gdy wypływała z niej piana, rzucała w nich drażetkami, a nawet zrobiła sobie wampirze kły z nugatu, ale to wszystko była... zmyłka. Chciała zapomnieć i przede wszystkim sprawić, by oni wszyscy zapomnieli, że całą jej rodziną tego dnia, jedynymi ludźmi, którym będzie mogła kiedyś powiedzieć: „Ależ tak... to było na komunii małego, pamiętasz...”, i jednocześnie chrzestnymi, ustanowionymi naprędce, gdy nadeszła pora składania podpisów w księdze, byli koleżanka z pracy i stary pajac, wyfiokowany jeszcze bardziej niż zwykle.

Ach, właśnie... Oto i on... Wielki Niania... W otoczeniu swych dwóch cherubinów, dumny jak Artaban, niewiele wyższy od nich pomimo obcasików i akordeonowych fal na głowie.

- Ojej, koziołki! Uważajcie z tymi świecami! Jackie naładowała mi na głowę tyle lakieru, że zaraz wybuchnę! Dotknijcie, sprawdźcie...

Dotknęli, rzeczywiście jego włosy były jak lukier na komunijnym torcie.

- I co? Mam rację? No, dalej, a teraz się uśmiechnijcie.

Uśmiechali się na tym zdjęciu. Uśmiechali się. Wczepiali się czule w jego rękawy z alpaki i przy okazji wycierali sobie palce.

Alpaka... wtedy po raz pierwszy Charles usłyszał to słowo... Stali wszyscy na dziedzińcu kościoła, ogłuszeni hukiem dzwonów, i wgapiali się w horyzont, kręcąc w dłoniach końce opasujących ich sznurów, bo Niania się spóźniał.

Mado gubiła się w domysłach i w momencie, w którym, trudno, trzeba było iść, zobaczyli go: wysiadał z taksówki, jakby to była limuzyna na plaży Croisette.



Anouk wybuchła głośnym śmiechem.

- Ależ, Niania... Ależ... Wyglądasz wspaniale!

- Daj spokój - odpowiedział, sznurując lekko usta - to tylko zwykły garniturek z alpaki... Uszyty na tournée Orlandy Marshall w...

- Kto to taki? - spytałem w drodze do zakrystii. Długie westchnienie à la komediantka ze spalonego teatru.

- Och... moja dobrą przyjaciółka... Nie spodobała się... Tournée anulowano... To była, jeśli chcecie znać moje zdanie, łózkowa sprawa, jakich wiele.

Ucałował swój palec wskazujący i musnął nim nasze czoła (jego szminka Rouge Baiser, najwspanialsze święte krzyżmo).

- Dalej, jezuski, lecimy. A gdy ujrzycie światłość, to, bez żartów, spuśćcie głowy, tak?

Charles klepał *Ojczy nasz* z szeroko otwartymi oczyma i dobrze widział, kto się krzywo uśmiecha i mocno ściska rękę Niani.

Wtedy trochę go to rozdrażniło. Hej. Nie teraz. Ja się tak nie bawię. Co ona? Chyba się teraz nie rozplacze? Ale dziś... To wzruszenie, które jest w niebie... Święć się imię jej i bądź wola jej. To była pierwsza komunია jej jedyne dziecko, dzień pełen chwały, krótkie, oficjalne wychnienie od ciężkiego życia, a jej jedyna przeszłość, jedyne pomocne ramię, jedyne palce, które ścisłała, gdy gulgotały organy, należały do starej znajomej Orlandy Marshall w lakierowanych botkach, w różańcach na szyi i w garniturku barwy wrzosu.

Po prostu nic.

Chociaż znaczyło wiele.

A jednak - byle co.

Jej życie.

Dał mu w prezencie pióro, które należało dawniej do „proszę ja ciebie, samego Charles'a Treneta”. Nie można było zdjąć skuwki.

- No i co? Twoje serce robi „bum”? - dopytywał się na widok zakłopotanej miny Charles'a.

- Tak, tak...

A gdy mały odszedł, Niania zauważył wykrzywione usta Anouk i poczuł się w obowiązku spytać, o co chodzi:

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Nie wiem... Mnie mówiłeś, że to cholerne pióro było dawniej własnością Tina Rossiego...

- Daj spokój, Skarbie... Wielkie, alpagowe znużenie.

- Chodzi o to, żeby marzyć, dobrze wiesz... Poza tym uważałem, że Charles Trenet bardziej... bardziej pasował do pierwszej komunii...

- Masz rację. Tino Rossi byłby lepszy na Boże Narodzenie...

- Uważasz, że to śmieszne? Prychnęła, obruszył się.

- Och... Niania, kochany... kim ja bym była bez ciebie? I zaróżowił się puder na jej twarzy.

Charles odłożył zdjęcia na stolik. Chciałby przejść do następnych, ale ten stary błazen, jak zwykle, znów skupił na sobie całą uwagę. Trudno było mieć mu to za złe. To była jego racja bytu: scena, przedstawienie, entertainment, jak mówił...

No więc popatrzmy - pomyślał Charles - popatrzmy. Po występie piesków w sztucznych obrożach i zanim znów rozbłyśnie światło, przed państwem, panie i panowie, powracający z triumfalnego tournée po Nowym Świecie, tu, teraz, na waszych zdziwionych oczach: Wielki, Wspaniały, Prześwietny, Niezapomniany Niania...

\* \* \*

Pewnej styczniowej nocy w 1966 roku (gdy zapominalska Anouk znacznie później opowiadała mu tę historię, posłużyła się tą wskazówką: dzień wcześniej boeing rozbił się na Mont Blanc.) pewna starsza pani zmarła na oddziale kardiologii. Czyli trzy piętra wyżej. Czyli lata świetlne od ówczesnych zmartwień pielęgniarki dyplomowanej Le Men, która w tamtych czasach zajmowała się ratownictwem. Charles rozmyślnie użył takiego określenia, bo sam je wymyślił, ale - żeby było jasne - pracowała na pogotowiu. Anouk była pielęgniarką pogotowia, i to do niej pasowało.

Tak, umarła starsza pani, ale czemu Anouk miałyby o tym wiedzieć? Nie ma bardziej zamkniętego miejsca niż oddział szpitalny. Każdy z nich ma swoje towarzystwo, swoje sukcesy, swoje kłopoty...

Ale istnieje jeszcze coś takiego jak kularowe plotki. A zwłaszcza plotki przy automacie z kawą... Tamtego dnia pewna jej koleżanka poskarżyła się, że tam, do nich na górę, jakiś dziwak przychodzi co dzień ze świeżymi kwiatami, żeby odwiedzić zmarłą matkę, i dziwi się, gdy go wypraszają. Roześmiała się i spytała, chichocząc, czy ktoś nie mógłby mu wypisać skierowania na psychiatrię.

Nie zareagowała na to jakoś szczególnie. Jej serce i tak było ściśnięte jak ten plastikowy kubek, który wyrzuciła do kosza. Miała swoją działkę.

Rzeczony dziwak pojawił się w jej życiu dopiero wtedy, gdy do sprawy włączyła się ochrona i zakazała mu wchodzić na oddział. O każdej porze dnia i nocy, gdy szła na dyżur i gdy go kończyła, spotykała go w holu obok recepcji. Siedział między kwiatami w doniczkach a okienkiem księgowości. Nieruchomy, tolerowany, chłostany przeciągami, przesiadał się z jednego wolnego krzesła na drugie, z twarzą bez przerwy zwróconą ku drzwiom windy.

Wtedy jeszcze odwracała wzrok. Miała swoją działkę, swoje zmartwienia, zwęglone ciała, poparzone wrzątkiem noworodki, rzygających alkoholików, opieszalnych strażaków, problemy ze znalezieniem opiekunki, kłopoty finansowe, samotność... Odwracała wzrok.

Aż pewnego wieczoru, nie pytając czemu, akurat była niedziela, a niedziela to najbardziej niesprawiedliwy dzień na świecie, właśnie kończyła dyżur, Alexis znalazł schronienie u miłych sąsiadów, a ona była zbyt wyczerpana, by poczuć zmęczenie, było zimno, miała zepsuty samochód i na samą myśl o dojeździe do przystanku ścisnęło jej się gardło, a tamten facio ciągle siedział nieruchomo i pewnie siedziałby tak do śmierci, gdyby tamtego wieczoru, zamiast zniknąć za drzwiami służbowego wyjścia, nie wstąpiła na drogę jasności i, zamiast spuścić wzrok, nie usiadła obok niego.

Przez długi czas nie odzywała się, łamiąc sobie głowę nad tym, jak wyjąć mu z rąk ten bukiet, aby nie porwać go na kawałki, ale jakoś nie mogła wpaść na żaden pomysł i w końcu musiała pokornie przyznać, że sama jest zbyt załamana, by pomóc komukolwiek.

- No i? - drażzył Charles.

- Hmm... spytałam go, czy ma ogień. Umarł ze śmiechu.

- Cha! Cóż za oryginalny wstęp!

Anouk się uśmiechnęła. Nigdy nikomu nie opowiadała tej historii i była zachwycona, że tak dobrze ją pamięta, ona, która często zapominała, jak się nazywa.

- A potem? Spytałaś go, jak ma na imię właściciel tych pięknych oczu?

- Nie. Potem wyszłam i wypaliłam kilka fajek na odwagę, a gdy wróciłam, powiedziałam mu prawdę. Zwiędłałam mu się jak nikomu przedtem. Biedak, gdy sobie przypomnę...

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że wiem, dlaczego tu jest. Że się dowiadywałam i powiedziano mi, że jego mama odeszła spokojnie. Że sama chciałabym mieć pewność, że zasłużyłam na taki koniec. Że miała szczęście, bo on był przy niej. Że jedna z moich koleżanek opowiedziała mi, jak przychodził codziennie i trzymał matkę za rękę aż do końca. Że zazdroszczę im obojgu. Że ja od lat nie widziałam swojej matki. Że mam sześciolatniego synka, którego ona nigdy nie przytuliła. Że wysłałam jej kartkę, gdy się urodził, a ona w prezencie przysłała mu sukieneczkę. Że prawdopodobnie nie była to z jej strony złośliwość, ale że to jeszcze gorzej. Że większość życia spędzam na przynoszeniu ulgi innym i że nigdy nie zajmuję się sobą. Że jestem zmęczona, że nie mogę spać, że mieszkam sama i piję czasem wieczorami, by zasnąć, bo przeraża mnie myśl, że w pokoju obok śpi dziecko, którego życie zależy ode mnie... Że jego ojciec nigdy się do mnie nie odezwał, a ja nadal o nim marzę. I przeprosiłam, że mu to wszystko opowiadam, bo przecież on ma swoje zmartwienia, ale że nie musi już tutaj przychodzić, bo chyba pochował matkę dawno temu... nieprawdaż? Powiedziałam, że zdrowy człowiek nie powinien przesiadywać w miejscach takich jak te, bo jest jak kpina z cierpiących, ale skoro przychodzi, to znaczy, że ma czas, i... czy w związku z tym nie chciałby może przychodzić do mnie?

Powiedziałam mu, że zanim przeprowadziłam się tutaj, brałam nocki w innym szpitalu i mieszkałam u przyjaciół, którzy mogli się zająć moim dzieckiem, ale od dwóch lat mieszkam sama i wydaję majątek na opiekunki. Że ponieważ w tym roku synek zaczął uczyć się czytać, biorę dyżury o zabójczych porach, żeby być w domu, gdy wraca ze szkoły. Że to jeszcze maluch, ale co rano wstaje sam, a ja martwię się, czy zjadł śniadanie i... Nigdy nikomu tego nie mówiłam, bo mi bardzo wstyd... On jest taki mały... Tak. Wstyd mi. Powiedziałam, że od przyszłego miesiąca będę pracować w dzień. Że przełożona nie pozostawiła mi wyboru, a ja nie miałam jeszcze odwagi powiedzieć tego synkowi... Że opiekunki nigdy nie mają czasu sprawdzić, czy dzieciak odrobił lekcje, i przerobić z nim czytanki, w każdym razie nie te, na które mogę sobie pozwolić, i że... że będę mu, rzecz jasna, płacić!

To bardzo grzeczne dziecko, które potrafi się samo bawić, i że... u mnie w domu nie jest zbyt ładnie, ale mimo wszystko milej niż tutaj, i...

- I?

- I miałam wrażenie, że to trwa bardzo długo. Boże! Klimat jak w psychiatryku! Czułam, że jedziemy na tym samym wózku. Dwoje wariatów pod jukami... Och, jak sobie przypomnę... Musiałam naprawdę być zdesperowana... Podeszłam do niego z myślą, że mu pomogę, a tymczasem sama prosiłam go o ratunek... Bieda, mój Charles'u, bieda...

- Mów dalej...

- Cóż, w pewnej chwili po prostu wstałam. A on wstał razem ze mną. Poszłam do autobusu, a on poszedł za mną. Usiadłam, a on usiadł naprzeciwko i... obleciał mnie strach...

Zaśmiała się.

- Cholera, myślałam, nie jest dobrze... Prosiłam, żeby do mnie przyszedł, ale nie tak od razu. I nie na zawsze. Ratunku! Robiłam dobrą minę do złej gry, ale, przysięgam, nie czułam się pewnie... Oczyma wyobraźni już widziałam, jak prowadzę go na policję... Dzień dobry, panie glino, proszę bardzo... Ten osierocony kurczaczek myśli, że jestem jego mamą, i wszędzie za mną łązi... Co... co mam zrobić? Nie śmiałam na niego spojrzeć i chowałam się z zwojach szalika. Za to on nie odrywał ode mnie wzroku. Fajny klimacik... W pewnym momencie odezwał się: „Pani ręka...” „Słucham?” „Proszę mi podać rękę... Nie, nie tę, lewą...”

- Czego chciał?

- Nie wiem. Może odczytać mój życiorys... Upewnić się, że powiedziałam mu prawdę... Powrózył mi z ręki i spytał: „Mały... Jak mu na imię?” „Alexis” „Ach!” Pauza. „Jak Sverdjak...”, i ponieważ nie zareagowałam: „Alexis Sverdjak. Największy nożownik wszech czasów”. I wtedy, uwierz, jeśli chcesz, pomyślałam, że chyba po raz kolejny dałam plamę... Wyglądał jak wariat w tej babciowatej chustce na głowie... Och, ależ miałam sobie za złe...! Ty chyba lubisz kłopoty, ganiłam się w myślach, oglądając paznokcie. To twój dzieciak, do cholery! Aleś mu wytrzymała osobliwą Mary Poppins!

- Miał makijaż?

- Nie, trudno go było zidentyfikować... Taki stary bobas... Trądzik, szkliste oczy, wyświecone rękawiczki i dziwaczny kołnierz... Coś okropnego, mówię ci.

- I pojechał za tobą aż do domu?

- Tak. Chciał zobaczyć, gdzie mieszkam. Ale odmówił, gdy poprosiłam, by wszedł się czegoś napić. Bóg jeden wie, że bardzo nalegałam, ale nie, nie dał się przekonać.

- A potem?

- A potem powiedziałam mu „do widzenia”. Powiedziałam, że żałuję, iż zawracałam mu głowę swoimi opowieściami, i że może przyjść, kiedy zechce. Że zawsze będzie tu mile widziany i że mój synek z radością wysłucha historii Alexisa Śmierdziaka czy jakoś tam, ale że nade wszystko nie powinien przychodzić do szpitala. Kazałam mu obiecać.

Odeszłam, szukając kluczy, i usłyszałam: „Wiesz, Skarbie, że ja też byłem artystą?” Nie domyśliłabym się! Odwróciłam się, żeby pomachać mu ostatni raz.

„Występowałem w music-hallach”.

„Aha”.

I wtedy, Charles, właśnie wtedy... Spróbuj wyobrazić sobie tę scenę... Noc, jego cień, jego dziwny głos, chłód, śmietniki i cała reszta... Naprawdę nie czułam się najpewniej... Już widziałam swoje nazwisko w kronikach kryminalnych w jutrzejszych gazetach...

„Nie wierzysz mi? - dorzucił. - Patrz...”

Zanurzył rękę w wycięciu płaszczyka i wiesz, co stamtąd wyciągnął?

- Zdjęcie?

- Nie. Gołębicę.

- Mocne...

- Tak jak mówisz... Różne nam robił przedstawienia, nie?

Ale to zawsze będzie dla mnie najpiękniejsze... To było jednocześnie takie fikuśne, takie staroświeckie i takie poetyckie... To był... cały Niania... Gdybyś mógł widzieć jego minę... Jak się puszył... Wtedy uśmiechnęłam się

szeroko i już nie mogłam przestać się uśmiechać. Wypiłam kawę, umyłam zęby i poszłam spać z tym uśmiechem i...  
i wiesz co?

- Co?

- Tamtej nocy po raz pierwszy od lat... od wielu, wielu lat... dobrze spałam. Wiedziałam, że wróci... Wiedziałam, że zajmie się nami i że... sama nie wiem... po prostu mu ufałam... Widział, że moja linia szczęścia jest jeszcze krótsza niż linia serca... Nazwał mnie Skarbem i głaskał główkę swojej gołębiczy, szczerząc spróchniałe zęby... Byłam pewna, że nas pokocha. I, widzisz, chociaż raz w życiu się nie pomyliłam... Lata z Nianią to był najpiękniejszy czas w moim życiu. W każdym razie najmniej ciężki... I całe to zamieszanie, te fajerwerki, które wybuchły w kraju dwa lata później, w sześćdziesiątym ósmym... Ja osobiście nie miałam wątpliwości. To był on. To on je dla mnie rozpałił. On był moją rewolucją i... Och... Naprawdę dobrze nam to zrobiło...

- Eee... przepraszam, że pytam tak obcesowo, ale... on ten drób nosił w kieszeni codziennie, gdy przychodził do szpitala?

- Zabawne, że o to pytasz. Ja spytałam go jakiś czas później, a on nigdy nie chciał mi odpowiedzieć... Wyчуłam jego zakłopotanie, więc nie nalegałam. Dopiero wiele lat później, w dniu, w którym czułam się wyjątkowo beznadziejnie i załamalam się po raz nie wiem który, wysłał do mnie list. Zresztą jedyny, jaki kiedykolwiek do mnie napisał... Mam nadzieję, że go nie zgubiłam... Pisał bardzo miłe rzeczy, komplementy, jakich nikt nigdy mi nie powiedział... Tak, teraz widzę, że to był list miłosny... a kończył się tak:

*Pamiętasz ten wieczór, wtedy, w szpitalu? Wiedziałem, że nigdy nie wrócę do domu, i dlatego miałem w kieszeni Mistinguett. Chciałem ją puścić wolno, zanim... Lecz pojawiłaś się Ty i mimo wszystko poszedłem do domu.*

Oczy jej błyszczały.

- Kiedy do was wrócił?

- Dwa dni później... W porze podwieczorku... Pięknie się wystroił, zmienił kolor włosów, przyniósł bukiet kwiatów dla mnie i cukierki dla Alexisa. Pokazaliśmy mu mieszkanie, szkołę, sklepy, twój dom... I... I tyle. Znasz resztę.

- Tak.

Oczy mi błyszczały.

- Tylko Mado robiła problemy...

- Pamiętam. Nie pozwalała mi do was przychodzić.

- Tak. No i widzisz. Ją też udało mu się owinać wokół palca.

\* \* \*

Wtedy nie bałem się jej zaprzeczyć, ale to akurat nie było takie proste...

Matka nie była wcale białą gołębicą, która przymyka oczy, gdy ktoś gładzi jej piórka. Alexis nadal był u nas mile widziany, ale ja nie miałem prawa wstępu pod numer 20.

Usłyszałem nowe słowa, słowa, które, czułem to, nie były zbyt pochlebne dla Niani. Moralność, obyczajowość, niebezpieczeństwo. Słowa, które wydały mi się całkiem debilne. Jakie niebezpieczeństwo? Że niby dostaniemy próchnicy, bo przekarmia nas cukierkami? Że będziemy pachnieć jak dziewczyny, bo nas za często całuje? Że opuścimy się w nauce, bo on bez przerwy nam powtarza, że jesteśmy książętami i kiedyś wcale nie będziemy musieli pracować? Ależ, mam... My mu nie wierzyliśmy, wiesz... Zresztą wszystkie jego przepowiednie były do ni-

czego. Przysięgał nam, że na kiermaszowej loterii wygramy tor wyścigu „24 godziny”, a nie wygraliśmy kompletnie niczego, więc...

Nie, wcale nie odpuściła, po prostu ja raz w życiu naprawdę się uparłem. Przez dwanaście godzin odmawiałem jedzenia, a przez dziewięć dni nie odezwałem się do niej słowem! Poza tym wydarzenia maja sześćdziesiątego ósmego nieco ją rozchwiały... Ponieważ ten świat zmierza ku zagładzie, idź, synku, idź. Idź pograć w kulki...

Wróciłem tam, ale zgodziła się z oporami, udzieliła mi mnóstwa wskazówek i wyznaczyła godziny pobytu, których miałem bezwzględnie przestrzegać. Dostałem od niej ostrzeżenia, w których była mowa o gestach, o moim ciele, o jego rękach, o... Słowa, których nie rozumiałem za grosz.

Dziś oczywiście widzę to wszystko inaczej... Czy gdybym miał dziecko, powierzyłbym je opiekunowi równie androginicznemu jak Niania? Nie wiem... Pewnie też miałbym lekkie opory... Ale nie... Nie mieliśmy się czego bać... W każdym razie nigdy nie odczuliśmy żadnego zażenowania. To, co Niania robił nocami, to była całkiem inna historia, ale wobec nas był ekstremalnie wstydlivy. Jak anioł. Pachnący perfumami marki „Tais-toi mon cœur” anioł stróż, który pozwalał nam w spokoju bawić się w wojnę.

Poza tym stał się pretekstem. Anouk wkurzała moją matkę, i to też mogę zrozumieć. Zmieszanie ojca, wtedy, w domu, jest warte wszystkich opowieści świata...

Mogłem iść grać w kulki, ale nadszedł czas, w którym nie miałem prawa wypowiadać w domu jej imienia. Nie wiem, co się dokładnie zdarzyło. Albo raczej - nie wiem dokładnie. Żaden mężczyzna nie chciałby z nią żyć, ale wszyscy byli gotowi jej pokazać, że jest całkiem odwrotnie...

Gdy była wesola, gdy nie miała zawrotów głowy, gdy rozpuszczała włosy i wołała chodzić boso, gdy przypominała sobie o swojej gładkiej skórze i o... była słońcem. Gdziekolwiek poszła, cokolwiek powiedziała, twarze zwracały się ku niej i każdy chciał jej dla siebie. Wszyscy chcieli ją złapać za rękę, nawet jeśli sprawiali jej przy tym nieco bólu, albo celowo sprawiając jej przy tym ból, żeby ucichł na sekundę grzechot jej bransoletek. Tylko na sekundę. Na czas jednego grymasu albo spojrzenia. Milkła, odwracała wzrok, bez sensu - mówiła. Tak, bez sensu. Ale miało się ją dla siebie.

Och, tak... Wielu kłamstw musiała nasłuchać się w życiu...

Czy byłem zazdrosny? Tak. Nie.

Po pewnym czasie nauczyłem się rozpoznawać te spojrzenia, przestałem się ich bać. Wystarczyło mi, że robię się coraz starszy, tego się trzymałem. Dzień po dniu. Wierzyłem w to.

No i tego, co o niej wiedziałem, tego, co mi dała, co należało tylko do mnie - oni nie mieli dostać nigdy. Dla nich zmieniała głos, mówiła za szybko, śmiała się zbyt głośno, a ze mną - nie. Ze mną była zwyczajna.

A więc to mnie kochała.

Ale ile ja miałem lat, żeby tak twierdzić? Dziewięć? Dziesięć?

I skąd ten pomysł? Z powodu matki, sióstr, z powodu nauczycielek i skautowskich drużynowych. Wszystkie inne kobiety z mojego otoczenia przyprawiały mnie o rozpacz. Były brzydkie, niczego nie rozumiały, obchodziło je tylko to, czy znam tabliczkę mnożenia albo czy zmieniłem podkoszulek.

Oczywiście.

Oczywiście w związku z tym jedynym moim celem było urosnąć i pozbyć się ich wszystkich.

Za to Anouk... Może dlatego, że czas jej się nie imał, albo dlatego, że byłem jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił jej słuchać i wiedział, kiedy kłamię, ona nigdy nie pochyliła się nade mną, nie lubiła, gdy nazy-

wano mnie Charlie albo Chariot, mawiała, że noszę imię brzmiące słodko i delikatnie, takie imię, które do mnie pasuje, zawsze pytała mnie o zdanie i często przyznawała mi rację.

Ale skąd u takiego smarkacza jak ja wzięła się ta pewność?

Bo mi to wyznała, do diabła!

Spędziłem u nich noc i zanim wyszliśmy do szkoły, wsunęła nam do tornistrów drugie śniadanie.

Podczas przerwy dołączyliśmy do kolegów, niosąc w jednej ręce torebki z kulkami, w drugiej - paczuski w folii aluminiowej.

- Och! - wykrzyknął podekscytowany Alexis, odwinąwszy swoją. - Ciastka z napisami!

Ja siedziałem w kucki i wyznaczałem teren (już wtedy!) na żwirowej drodze.

- „Mam cię na końcu języka” i „Rozśmieszasz mnie” - przeczytał na głos i wepchnął sobie wafelki do ust.

Tarłem dłońmi o uda.

- A ty? Jakie masz?

- Ja? - powiedziałem, nieco rozczarowany, że mam tylko jedno.

- No?

- Nic...

- Żadnego napisu?

- Nie, jest napis „Nic”.

- Och... Beznadziejne... No, dobra... Kto zaczyna?

- Zaczynaj - rzuciłem, wstając, żeby włożyć ciastko do kieszeni kurtki.

Zagraliśmy, dużo tamtego dnia przegrałem... Wszystkie moje „kocie oczka”...

- Hej! Co tak słabo grasz?

Uśmiechałem się. Tam, w pyle, i później, gdy stałem w szeregu, macając kieszeń, i później, przy szafce w szatni, i w łóżku, z którego wstawałem kilka razy, żeby zmienić kryjówkę dla nowego skarbu. Cały czas się uśmiechałem.

*Do szaleństwa*

Nawet dziś, z dystansu czterdziestu lat, Charles nie pamięta skuteczniejszego wyznania niż to...

Wafelek się pokruszył i w końcu Charles go wywalił. Dorósł, odchodził, wracał, a ona się śmiała. Uwierzył jej. Postarzał się, przytył, a... a ona umarła.

I tyle.

Daj spokój, Balanda, to było zwykłe ciastko... Wiesz, jak dziś nazywają je w staroświeckich sklepikach? Zabawne wafelki. Poza tym byłeś dzieckiem.

To wszystko jest żałośnie śmieszne, nieprawdaż?

Żałośnie śmieszne.

Tak, ale...

Nie zdążył się usprawiedliwić. Zapadł w sen.

## 3

Na lotnisku czekał szofer z jego nazwiskiem wypisanym na tabliczce.

W hotelu czekał pokój z jego nazwiskiem wypisanym na ekranie telewizora.

Na poduszce - czekolada i prognoza pogody na jutro. Będzie pochmurnie.

Nadchodziła kolejna noc, a jemu nie chciało się spać. No i masz - westchnął - znów różnice stref czasowych dają mi w kość. Dawniej nie przywiązywał do nich żadnej wagi, ale dziś jego biedny organizm cierpiał. Poczul się... zniechęcony. Zszedł do baru, zamówił burbona, przejrzał lokalną prasę i potrzebował dłuższej chwili, by stwierdzić, że ogień w kominku jest sztuczny.

Podobnie jak skóra foteli. I kwiaty. I obrazy. I boazerie. I stiuki na suficie. I patyna żyrandoli. I książki w bibliotece. I zapach żywicy. I śmiech ładnej kobiety przy barze. I troska pana, który go podtrzymał, żeby nie spadł z barowego stołka. I muzyka. I blask świec. I... Wszystko, absolutnie wszystko było fałszywe. To był Disneyland dla bogaczy, do których on także się zaliczał, pomimo całego dystansu do sprawy. Brakowało mu tylko uszu Myszki Miki.

Wyszedł na zimne powietrze. Chodził godzinami. Zobaczył same budynki konsumpcyjne. Wsunął kartę magnetyczną w szparę czytnika przy drzwiach pokoju 408. Wyłączył klimatyzację. Włączył telewizor. Wyłączył dźwięk. Wyłączył obraz. Próbował otworzyć okno. Zaklął. Zrezygnował. Odwrócił się i po raz pierwszy w życiu poczul się jak w potrzasku.

03:17 położył się

03:32 i zaczął się zastanawiać

04:10 powoli

04:14 spokojnie

04:31 co on

05:03 tutaj robi.

Wziął prysznic. Zamówił taksówkę. Wrócił do siebie.

## 4

Jeszcze nigdy nie zapłacił tak dużo za bilet lotniczy i nie stracił tyle czasu. Całe dwa dni przeciekły mu między palcami. Stracone. Nie do odzyskania. Bez dokumentacji, bez telefonów, bez decyzji do podjęcia i bez odpowiedzialności. Zrazu wydało mu się to nienormalne, a później... strasznie egzotyczne.

Połąził po lotnisku w Toronto i podczas przesiadki w Montrealu kupił stos gazet, drobiazgi dla Mathilde, wagon papierosów i dwa kryminały, które zostawił na ladzie.

O ósmej rano siedział w swoim samochodzie. Potarł powieki, poczul kłujący zarost na policzkach i skrzyżował ręce na kierownicy.

Zamyślił się.

Z braku ogólnej perspektywy określił swoją geograficzną pozycję na tym świecie, postanowił zwrócić się ku rzeczom najprostszy, pożałował, że nie ma w pobliżu niczego piękniejszego, i przyznał, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, jakiegokolwiek stare mury będą mile widziane... Przejrzał mapy, odwrócił się plecami do stolicy i bez piel-



grzymiego kostura, za jedyny cel mając odpoczynek od brzydoty, którą od wielu tygodni chłonał wzrokiem i zbierał pod podeszwami butów, ruszył ku cysterskiemu opactwu Royaumont.

I gdy tak przesuwiał, znowu, paciorki różańca przedmieść mieszkalnych, przemysłowych, zabudowywanych, rezydencyjnych i mieszczących się w jeszcze innych, jeszcze bardziej pokreślonych kategoriach, przypomniał sobie surrealistyczną rozmowę z taksówkarzem, rankiem tamtego dnia, w którym dowiedział się o jej śmierci... Czy Bóg jest w jego życiu...? Jak widać - nie... Za to architekci - jak najbardziej. I to od zawsze.

Bardziej jeszcze niż proście Anouk - u stóp tamtych betonowych koszmarków, które pomogły jej ostatecznie zerwać stosunki z rodziną - Charles zawdzięczał swoje powołanie cystersom. A dokładniej - pewnej młodzieńczej lekturze. Pamiętał, jakby to było wczoraj... On, rozgorączkowany, w pokoiku na przedmieściu, na poddaszu domu o rzut kamieniem od nowej obwodnicy, czyta z zapartym tchem książkę *Dzikie kamienie* Fernanda Pouillona.

Chłonał opowieść o genialnym mnichu, który miesiąc po miesiącu, wyrzeczenie po wyrzeczeniu walczył ze zwątpieniem i gangreną, wznosząc na jałowej ziemi swoje arcydzieło - opactwo. Charles przeżył szok tak wielki, że zabraniał sobie powracać do tej książki. Żeby choć ta jedna jego cząstka, pomimo czekających go rozczarowań, pozostała nietknięta...

Nie, nie przeżywał już udręk mistrza Paula związanych z tym strasznym przedsięwzięciem ani klasztornej reguły, przed którą musieli się ugiąć konwersi, ani straszliwej śmierci muła rozprutego przez dyszel, ale pierwszych zdań nie zapomniał nigdy i zdarzało mu się jeszcze niekiedy recytować je sobie cicho, żeby znów poczuć chropowatość kamieni barwy ochry, twarde trzonki narzędzi i swoją egzaltację piętnastolatka.

*Niedziela Oculi*

*Deszcz wsiąkł w tkaninę habitów, mróz usztywnił ciężki materiał naszych oponcz, utwardził brody, sprawił, że ścierpły członki nasze. Błoto uwalalo nam ręce, stopy i twarze, wiatr obsypał nas piaskiem. Nasz marsz...*

- ...nie wprawia już w ruch fałd ubrań, przymarzniętych do wychudłych ciał naszych - melorecytował cicho, spuściwszy szybę, by oddymić samochód.

Oddymić... A to co znowu za słowo? Hej, Charles... Nie chciałeś raczej powiedzieć „żeby odetchnąć”?

Tak - z uśmiechem zaciąga się papierosem. Dokładnie tak. Widzę, że nic się przed wami nie ukryje.

O tej porze powinien śmiertelnie się nudzić w przybytku dla Wujków Sknerusów i łykać brednie sprzedawców *reinforced concrete*, tymczasem wytrzeszczał oczy, żeby nie przegapić zjazdu.

Oddychał, potrząsał grubą tkaniną oponczy i jechał ku światłu.

Ku swoim połamanym marzeniom, ku naiwności, ku szkicownikowi z młodości, ku tym nielicznym rzeczom, które jeszcze go poruszały.

Przeszył go dreszcz. Nie zastanawiał się, czy to dreszcz rozkoszy, chłodu, czy emocji, zakręcił szybę i zaczął szukać baru, przy którym mógłby się napić autentycznej kawy, owiany autentyczną wonią ostygłego papierosowego popiołu, pośród autentycznie wyświechtanych ścian, usłyszeć autentyczne wyniki piątego wyścigu i autentyczne sprzeczki, popatrzeć na autentycznych pijaków i autentycznego szefa w autentycznie złym humorze i z autentycznym wąsem.

\* \* \*

*Imponująca architektura kościoła, dorównującego wielkością katedrze w Soissons, powstała jako owoc kompromisu między przepychem królewskiego opactwa i cysterską surowością.*

Zamyślony Charles uniósł głowę i... nie zobaczył niczego. *Jednak krótko po Wielkiej Rewolucji - głosił dalej tekst na tablicy - markiz de Travelet, który już wcześniej przekształcił opactwo w przędzalnię, polecił je całkowicie zburzyć i z odzyskanych kamieni wybudować domy dla robotników. Ach?*

Jak to? A ten dlaczego nie został ścięty?

Nie ma więc już dzisiaj mnichów w opactwie Royaumont. Są rezydenci - artyści. I herbaciarnia. Cóż.

Na szczęście jest wirydarz.

Załoczył ręce na plecy, oparł się o kolumnę i długo obserwował kształt jaskółczych gniazd przylepionych w miejscach przecięcia ostrołuków.

To są dopiero budowniczy!

Stwierdził, że to absolutnie idealne miejsce i chwila, by kurtyna opadła po raz ostatni.

Dobry wieczór, dobry wieczór, jaskółki, na rocznicę komunii Niania już się nie wystroił w śliczny garnitur.

Pewnego dnia nie przyszedł. Nazajutrz - też nie. Ani w następnym tygodniu.

Anouk pocieszała ich: pewnie coś mu wypadło. Zastanawiała się: „Może pojechał do rodziny, mówił mi coś o siostrze w Normandii, o ile pamiętam...” Tłumaczyła sobie: „Gdyby miał jakiś problem, powiedziałby mi”, i... milkła.

Milkła i wstawała w nocy, by spytać pierwszej napotkanej butelki, czy przypadkiem nie ma od niego wieści.

Sytuacja była kłopotliwa. Wiedzieli wszystko o Niani w sztucznych rżęsach, o jego kabarecie Bobino i teatrze Tête de l'Art, jego Alhambrze i całym tym cyrku, ale nie znali ani jego nazwiska, ani miejsca, w którym mieszkał. Pytali go o to, a jakże, ale... „Tam...” - pierścienie Niani błyskały nad dachami Paryża. Nie nalegali. Zresztą jego dłoń opadła szybko, a „tam” wydawało się takie odległe...

- Powiedzcie wam, gdzie mieszkam? Mieszkam we wspomnieniach... W świecie, który od dawna nie istnieje... Opowiadałem wam, jak rozgrzewaliśmy olówki lampą i...

Chłopcy wzdychali. Tak, opowiadałeś nam milion razy. André Jakiś-tam, jego różowe drzewko czereśniowe i biała jabłonka, mistrz Yo-Yo i jego oswojone słowiki, kurtyna w górę każdego wieczoru i ten Rosjanin, któremu wiązano ręce i który żeby wypić butelkę wódki, musiał odgryzać jej szyjkę, i właścicielka Drabiny Jakubowej, paniusia, która zamknęła dziennikarza w piwnicy na węgiel, i Milord Łajdak, i pies Jeannota z Flandrii, który wskakiwał na stoły, wkładał pysk do szampanówek ślicznych klientek i tak niósł je panu pijakowi, i wieczór, gdy Barbara weszła na scenę w L'Ecluse i musiałeś poprawiać makijaż, bo się strasznie popłakałeś, i...

W obliczu takiego pokazu zły woli Niania się obrażał i żeby przerwać to przedstawienie, trzeba było poprosić, by zaczął udawać śpiewaczkę Fréhel. Oczywiście pozwalał się trochę prosić, ale w końcu nadymał policzki, podbierał papierosa Anouk, przyklejał go sobie do dolnej wargi, kładł ręce na biodra i wydzierał się ochryple:

*Hej-ho, koleedzy! Przyjdźcie pić do raanaaa! Dzisiaj jestem saaaamaaaa! Starego trafił szlag!*

Śmiali się jak szaleńcy, Stonesi mogli się schować. Mieli z tego satysfakcję.

- A jak nie żyję we wspomnieniach, to żyję z wami, jak widzicie.

Dobra, ale gdzie byłeś przez cały ten czas, skoro twą najpiękniejszą miłością byliśmy my?

Anouk przeszukała archiwa w szpitalu, znalazła historię choroby jego matki, przedstawiła się przez telefon, zwierzyła się ze swego niepokoju słynnej siostrze, wysłuchiwała odpowiedzi, odłożyła słuchawkę i osunęła się z krzesła.

Podniosły ją koleżanki, siłą zmierzyły jej ciśnienie i podały kawałek cukru, który wypluła w stróżce śliny.

Gdy po powrocie z gimnazjum chłopcy zobaczyli tamtego wieczoru jej twarz, wiedzieli, że Niania już nigdy więcej ich nie wzruszy.

Anouk zaprosiła ich na czekoladę.

- Tego może nie było aż tak widać przez makijaż i fatalaszki, ale, wiecie... on był tak naprawdę bardzo stary...

- Na co umarł? - spytał Charles.

- No właśnie powiedziałam. Ze starości...

- I nigdy więcej go nie zobaczymy?

- Dlaczego tak mówicie? Nie... ja... ja go będę widzieć zaw...

To był pierwszy pogrzeb w ich życiu i chłopcy zawahali się przez sekundę, zanim sypnęli na trumnę garścią cekinów i konfetti: kim był Maurice Charpieu?

Nikt nie przyszedł go pożegnać.

Alejki pustoszały. Anouk złapała ich za ręce, podeszła na skraj przepaści i szepnęła:

- Jak tam, Nianiu? Już? Już spotkałeś wszystkich tych cudownych ludzi, o których opowiadałeś nam do znudzenia? Niezła prywatka trwa tam teraz na górze, co? A... twoje pudelki? Powiedz... One też tam są?

Później chłopcy poszli się przejść, a ona usiadła przy nim, tak jak to zrobiła wiele lat wcześniej.

Rzuciła mu na głowę kilka kamyczków po to tylko, żeby się z nim podroczyć i raz jeszcze zobaczyć, jak wznosi oczy ku niebu, i wypaliła ostatniego papierosa w jego towarzystwie.

Dziękuję - mówiły kłęby dymu. Dziękuję.

Wracali w milczeniu i w momencie, w którym prawdopodobnie wszyscy troje myśleli to samo, że życie jest najmarniejszym numerem kabaretowym na świecie, Alexis pochylił się i zrobił głośniej.

Léo Ferré wmawiał im, że „jest ekstra”, i - tylko dlatego, że to był on i że Niania znał go jeszcze jako małego chłopca - zgodzili się wierzyć mu przez trzy minuty, czas trwania tej kurewskiej piosenki. Później Alexis wyłączył radio, zmienił temat i musiał powtarzać pierwszą gimnazjalną.

Pewnego dnia Anouk, którą cała ta historia męczyła od dawna, zaryzykowała:

- Słuchaj, kotku...

- Tak?

- Czemu zawsze zmieniasz temat, gdy rozmowa schodzi na Nianię? Czemu nigdy nie płakałeś? To przecież był ktoś ważny w twoim życiu, nie?

Alexis skoncentrował się na swoim makaronie. Ponieważ ser ciągnął się, musiał unieść głowę. Wtedy napotkał jej spojrzenie i odpowiedział po prostu:

- Zawsze gdy otwieram futerał trąbki, czuję jego zapach. Wiesz, taki trochę zapach starości i...

- I?...

- Gdy gram tak, że ludziom się podoba, to wydaje mi się, że płaczę...

Gdyby mogła, w tym właśnie momencie ich życia wzięłaby go w ramiona. Ale nie mogła. On tego nie chciał.

- Ale... to znaczy, że jesteś smutny?

- Och, nie! Wręcz przeciwnie. Jest mi dobrze.

Zamiast go objąć uśmiechnęła się. Na chwilę uśmiechnęły się jej ramiona, ręce, szyja i kark.

Charles spojrział na zegarek, zawrócił, rzucił okiem na mikroskopijną grootę w stylu Lourdes (trasa Świętego Ludwika - głosił napis na drogowskazie. Dajcie spokój...) i zaczekał, aż z powrotem znajdzie się na parkingu, żeby dokończyć i wyrzygać wreszcie swój Dies Irae.

„Tak. No i widzisz. Ją też udało mu się owinąć wokół palca...” - odbijał się echem głos Anouk.

Nie, nie próbował się jej sprzeciwiać w tej kwestii.

Matka... Matka szybko znalazła sobie inne zajęcia... Miała swój dom, swoje porządki, swoje miejsce w szeregu, swoje terytorium i całą resztę. No i do władzy powrócił de Gaulle. Mogła się więc wyluzować.

Nie w tej kwestii oczywiście, ale:

- Anouk...

- Charles...

- Dzisiaj możesz mi powiedzieć...

- Co?

- Jak on umarł. Milczenie.

- Powiedziałaś, że ze starości, ale kłamałaś. Kłamałaś, prawda?

- Tak...

- Popęłnił samobójstwo?

- Nie. Milczenie.

- Nie chcesz?

- Bywa, że kłamstwa są dobre, wiesz... Zwłaszcza w jego przypadku... On, który potrafił was oczarować... I te wszystkie sztuczki magiczne, które...

- Wpadł pod samochód?

- Poderżnęli mu gardło.

- Wiedziałaś - zaczęła sobie wyrzucać. - Czemu ja zawsze ciebie słucham?

Odwróciła się i poprosiła o rachunek.

- Wiesz, Charles, masz tylko jedną wadę, ale, jasna cholera... to jest straszna wada... Jesteś zbyt inteligentny... Jednak są w życiu sprawy, wierz mi, które nie podlegają żadnym instrukcjom obsługi... Gdy weszłam tutaj przed chwilą i zobaczyłam, jak głowisz się nad tymi wszystkimi obliczeniami, ucałowałam cię i jednocześnie zrobiło mi się ciebie żal. Pomyślałam, że jak na swój wiek spędzasz zdecydowanie zbyt wiele czasu na próbach ułożenia świata. Wiem, wiem! Odpowiesz mi, że takie akurat masz studia, ale... No i proszę... Od dziś, gdy pomyślisz o ostatnich chwilach najwspanialszej niańki świata, nie będziesz wyobrażał sobie starszego pana, który śpi otulony w swe szale pośrodku wspomnień, lecz, i nie bierz tego tylko do siebie, moje serce, zamkniesz się u siebie z kalkulatorem i nie zdołasz się skoncentrować, bo między tymi cholernymi nawiasami, pełnymi iksów i igreków, będziesz widział jedynie nagiego starca znalezionego w męskim kiblu...

- Bez sztucznej szczęki, bez pierścionków, bez dokumentów i bez... Starca, który prawie trzy tygodnie czekał w kostnicy, aż zawstydzona kobieta, jedyna, która miała prawo go stamtąd zabrać, przyzna z wielkim wysiłkiem, lecz ostatni raz w swoim życiu, Bogu niech będą dzięki, że, owszem, łączą ich pewne więzy, więzy krwi, bo ten rozpruty wrak człowieka to, tak jest, to jej młodszy brat.

Potem odprowadziła mnie pod szkołę, odwróciła się i padła mi w ramiona.

Nie mnie tak mocno ścisnęła, tylko wspomnienie o Niani, a ja przez całe zajęcia czułem się bardziej zmieszany niż zaraz po wysłuchaniu tego, co mi opowiedziała przez zaciśnięte zęby, i nie była to bynajmniej wina tego starego cudaka - który, jakkolwiek by patrzeć, umarł na scenie... nie, to była moja wina, bo pomimo wysiłku, z jakim próbowałem sobie wyobrazić etykietkę zawieszoną na zimnym palcu stopy, nie zdołałem ukryć przed Anouk tego, co działo się w moich spodniach i... Och, no i po co takie rokokowe zdanie? Stał mi i się zawstydzilem, kropka.

I oto już od ponad dwóch godzin nabijaliśmy sobie głowy d'Ocagne'em i jego traktatem o normogramach, a ja myślałem: niech mi nie mówi, że jestem inteligentny tylko dlatego, że wiem mniej więcej, do czego zmierza profesorka... Ale tam... Dobrze widziała, że byłem strasznie zmieszany! Zresztą zaraz odsunęła się, kręcąc głową.

Jak zwykle czekałem, aż zadzwoni do mnie, żeby umówić się na obiad, i z tego, co pamiętam, czekałem długo...

To ponure, niepotrzebne wyznanie, które sam od niej wyzebrałem jak idiota - i tak nim byłem - oznaczało dla mnie tylko jedno: wraz z Nianią tamtego dnia ostatecznie umarło moje dzieciństwo.

\* \* \*

Było jeszcze zbyt wcześnie, by wracać do Paryża, gdzie nikt na niego nie czekał, więc wyjął kalendarz i wystukał numer, który od miesiący przepisywał na następny dzień.

- Balanda? Już traciłem nadzieję! Oczywiście, że czekam, a co ty myślisz?

Philippe Voernoodt był przyjacielem Laurence. Facet, który zbił majątek na nieruchomościach... Albo na Internecie... Albo może na nieruchomościach w Internecie? Tak czy inaczej był to facet jeżdżący groteskowym wozem i prawdopodobnie nie miał czasu na wizytę u dentysty, bo wiecznie stukał w klawisze swojego palmtopa wilgotną wykałaczką.

Gdy serdecznie klepał Charles'a po plecach, ten tracił zawsze kilka centymetrów wzrostu i nie mógł opędzić się od myśli, czy ta ręka, co prawda mocna, ale dość krótka, zawędrowała już wyżej niż na przedramię jego ukochanej...

Pewne przesłanki utwierdzały go w tym przekonaniu, ale dziś, gdy zobaczył tego faceta, jak się gramoli ze swojego bunkra metalik, z telefonem komórkowym zawieszonym przy uchu, uśmiechnął się do niego czule.

Nie - upewnił się. Nie. Laurence ma na to zbyt dobry gust.

Umówili się w północnej części Paryża, w starej drukarni, którą podwójny slash Voernoodt kropka głąb kupił za jakieś nędzne pieniądze (oczywiście) i którą chciał przekształcić w wyrafinowany loft (bis). Jeszcze kilka lat temu Charles nie pofatygowałby się na tego typu spotkanie. Obrzydła mu praca dla klientów indywidualnych. A jeśli już, to wybierał takich, którzy go inspirowali. Ale cóż... Banki... Od pewnego czasu banki zmusiły go, by spuścić nieco z tonu, i zatruwały mu życie. Więc gdy trafiał na jakiegoś megalomana, wystarczająco solidnego, by pomóc mu w opłaceniu rachunków, chował do kieszeni swoją kokieterię i wypijał ten kielich goryczy aż do kosztorysu.

- No? I co o tym myślisz?

To było przepiękne miejsce. Przestrzeń, światło, nagromadzenie pomieszczeń, nawet echo ciszy, wszystko było... proste.

- I to tak leży odłogiem już od sześciu lat - uściślił właściciel, rozgniatając niedopałek na podłogowej mozaice.

Charles go nie słuchał. Miał wrażenie, że to po prostu przerwa obiadowa, że wszyscy za chwilę wrócą, włączą maszyny, wyciągną taborety, zaczną żartować, otwierać setki tych niezwykłych szafek, podnosić stojącą tu bańkę z atramentem, zerkać na wielki okrągły zegar z ołowiu i że za chwilę zabrzmi tutaj piekielny zgiełk.

Odszedł jeszcze dalej i zajrzał przez szybę do wnętrza biura.

Uchwyty szuflad, oparcia krzeseł, drewniane pieczęcie, grzbiety książek rachunkowych - wszystko tu miało ten piękny szlif upływających lat i ludzkich rąk.

Pewnie, teraz mało co widać w tym burdelu, ale wyobraź sobie, jak się to uprzątanie... Niezła powierzchnia, co nic?

Charles podziwiał właśnie jakieś narzędzie, coś w rodzaju dziwacznej lupy. Wsunął je do kieszeni.

- Co nie? - zadzwoniły kluczyki jeepa.

- Tak, tak. Niezła powierzchnia, dobrze mówisz...

- Więc? Jak to widzisz? Co z tym zrobisz?

- Ja?

- No tak, ty... Przypominam, że czekam na ciebie od kilku miesięcy! I przez cały ten czas bulę podatek gruntowy. Cha! Cha! (Śmieje się).

- Ja bym tutaj nic nie robił. Niczego nie zmieniał. Mieszkałbym gdzie indziej, a tu przyjeżdżałbym odpocząć. Poczytać. Pomyśleć...

- Żartujesz, tak?

- Tak - skłamał Charles.

- Jakiś dziwny dzisiaj jesteś.

- Zmiana stref czasowych. No dobra... masz plany?

- W samochodzie.

- Rozumiem. Czyli możemy już iść...

- Gdzie iść?

- Wracać.

- Nie przejdiesz się...

- Dokąd?

- No nie wiem... Na zewnątrz...

- Jeszcze tu wrócę.

- Jak to? Nawet mnie nie spytałeś, czego chcę...

- Och... - westchnął Charles. - Ja przecież wiem, czego chcesz... Chcesz, żeby to wnętrze pozostało lekko surowe, tyle ile trzeba, i jednocześnie stało się wygodne, tak jak trzeba. Chcesz, żeby podłogi były betonowe albo drewniane, nieco *rough*, w stylu podłóg wagonowych, chcesz, żeby zrobić tutaj kładkę, szklaną ścieżkę i poręczę ze szrotkowanej stali, o, tam, chcesz kuchnię *high-tech*, profesjonalny sprzęt w stylu Boffi albo Bulthaup, jak sądzę... Chcesz dużo bazaltu, granitu albo łupka. Chcesz światła, linii prostych, szlachetnych materiałów i ekologicznych rozwiązań. Chcesz, żeby ci tu zrobić duży gabinet, półki na miarę, skandynawskie kominki i jeszcze do tego salę kinową, nie? A do zagospodarowania terenu na zewnątrz mam odpowiedniego zieleniarza, faceta, który stworzy ci, jak to mówią, ruchomy ogród, pełen starannie dobranej roślinności, ze zintegrowanym systemem nawadniającym. A

do tego jeden z tych bezcennych basenów, które ratują honor właścicieli. Wiesz, wyglądających na dzikie, ale z wodą pitną... Poglaskał belki.

- No i dodatkowo pakiet „domofon, system alarmowy, kod cyfrowy z kamerą i brama automatyczna”, to się rozumie samo przez się.

- Pomyliłem się?

- Eee... nie... Jak się domyśliłeś?

- Cóż...

Charles był już na zewnątrz i nie miał ochoty wracać myślami do czekającej to miejsce jatki.

- To w końcu mój zawód.

Odczekał, aż tamten przestanie się szarpać z zamkiem (litości, nawet breloczek był w odpowiednim, ciężko eleganckim stylu...), zdejmie to coś, co miał przyłączone do ucha, zbeszta swój personel i wreszcie poda mu klucze.

- Na kiedy możesz mi to zrobić? „To” - odpowiednie słowo.

- Na kiedy byś chciał...

- Na Boże Narodzenie?

- Nie ma sprawy. Będziesz miał tę swoją luksusową oborę...

Nowy klient spojrział na niego krzywo. Zastanawiał się pewnie, czy mówi do wołu, czy do osła.

Charles uściśnął serdecznie jego małą rączkę i ruszył do samochodu, przeciągając dłonią wzdłuż prętów ogrodzenia.

Odpryski farby dostały mu się pod paznokcie.

Chociaż tyle uratuję - pomyślał, wrzucając wsteczny bieg.

Interesy Rosjan, problemy HSBC i wymagania tego kretyna z aparatem w uchu - miał o czym myśleć przez całą drogę do domu. I bardzo dobrze, bo trafił akurat na godziny szczytu.

Co za...

Co za dziwne życie...

Dopiero po dłuższej chwili doszedł do wniosku, że najbardziej wkurza go radio. Przerwał w pół słowa słuchaczom, którym nieroztropnie oddano głos, i uspokoił się, kiedy znalazł stację, gdzie w kółko puszczały jazz.

*Bang Bang, my baby shoot me down* - skarżyła się wokalistka.

*Bang bang* to zbyt łatwa wymówka - odgryzł się. Zbyt łatwa.

„Jesteś zbyt inteligentny...” Ale co ona przez to chciała powiedzieć?

Tak, układałem się ze światem. Tak, szukałem wyjścia. Tak, wracałem do domu, gdy inni szukali akurat czystej koszulki. Tak, łamałem sobie głowę, tworząc dla niej maleńkie i bardzo skomplikowane figurki origami, w których kłamstwa kryły się zawsze pod zagięciami papieru, i nadal widywałem się z Alexisem, i cierpiałem, i pozwalałem, żeby mnie łamsił - tylko po to, by pomiędzy łykiem alkoholu a uśmiechem, który nie był przeznaczony dla mnie, mogła ode mnie usłyszeć: „On ma się dobrze”.

On ma się dobrze. Okradał mnie, okrada i będzie okradał.

Okradł moich rodziców i zaszokował moją babcie, żeby się naćpać po białka oczu, ale ma się dobrze, zapewniam cię.

Babcia - nie. Babcia od tego, zdaje się, umarła. To była starsza pani, która kochała wspomnienia...

Ale... Czy sam nie robił tego samego? Czy nie dawał się unicestwić kupie zakurzonych bibelotów? Kiedyś być może cennych, ale dziś? Jaką one dziś miały wartość?

*Bang Bang*, na wysokości przystanku Porte-de-la-Chapelle, tak blisko celu i tak daleko od domu, Charles poczuł, poczuł to fizycznie, że przyszedł czas pozbyć się tego wszystkiego raz na zawsze.

Przepraszam, ale ja już nie mogę.

To już nawet nie było zmęczenie, to było... znużenie.

Daremność.

Widzicie... Ja jestem ciągle tym nieszczęśnikiem, który czyta klasówki, zanim odda je nauczycielowi, płaci czynsz przed terminem i traci wzrok nad stołem kreślarskim. Chociaż próbowałem wam uwierzyć. Tak, próbowałem was zrozumieć i za wami podążać, ale... gdzie skończyłem?

W ulicznym korku?

A ty, Alexis, ty, który tamtego wieczoru byłeś dla mnie taki wyniosły, ty, z tą swoją Corinne i chałupą, i bamboszami, nie byłeś aż taki dumny, gdy odbierałem cię z komisariatu XIV Dzielnicy, prawda?

Nie, ty oczywiście niczego nie pamiętasz, ale włącz no jeszcze na sekundę automatyczną sekretarkę, to ci opowiem, jakim byłeś wtedy gównem... Mnóstwo czasu minęło, zanim cię ubrałem, wstrzymując oddech, i zanieśliem do samochodu. Zanieśliem, słyszysz? Nie zaprowadziłem, zanieśliem. A ty płakałaś i znów mnie okłamywałaś. I to było najgorsze. Że robisz to nadal, że po tych wszystkich latach, po naszych dziecięcych przysięgach na moc Jedi, po tych wszystkich wydarzeniach z Nianią i z muzyką, z Claire i z twoją matką, i z moją, po tym, jakie pozostawiłaś wokół mnie zgliszczka, ty nadal opowiadasz mi głupstwa.

Uderzyłem cię, żebyś wreszcie zamknęła ryj, i zostawiłem cię na ostrym dyżurze w szpitalu Hôtel-Dieu.

Po raz pierwszy nie zostałem tam z tobą i miałem sobie za złe, wiesz?

Tak, miałem sobie za złe, że nie pozwoliłem ci zdechnąć tamtego wieczoru...

Można powiedzieć, że się odbiłaś od dna. Dziś czujesz się dostatecznie silny, by wysyłać anonimy, wyrzucić matkę na złom i śmiać mi się w twarz. Cóż ja ci mogę powiedzieć? Gdy o tobie myślę, nadal czuję ten smród, ten odór szczylny.

I rzygowin.

Nie wiem, na co zmarła Anouk, ale pamiętam tamto niedzielne popołudnie, gdy zaszedłem do was w drodze do internatu...

Byłem pewnie w wieku Mathilde, ale, niestety, nie byłem tak sprytny jak ona... Nie umiałem być taki wyrachowany. Jeszcze się od niej nie nauczyłem, że nie należy ufać dorosłym i trzeba przemykać oczy na fakt, że życie mija niepostrzeżenie. Nie, ja byłem dzieckiem. Małym, grzecznym chłopcem, który niósł sąsiadom kawałek niedzielnego ciasta i pozdrowienia od mamy.

Nie widziałem się z wami od dawna i zanim zadzwoniłem do drzwi, rozpiąłem guzik przy kołnierzyku koszuli.

Byłem taki szczęśliwy, że udało mi się wyrwać na kilka godzin z objęć mej świętej rodziny i że mogłem przyjść do was i swobodnie odetchnąć. Usiąść w waszej zagraconej kuchni, ocenić humor Anouk po liczbie jej bransoletek, usłyszeć, jak cię błaga, żebyś nam coś zagrał, wiedząc jednakże, że odmówisz, porozmawiać z nią, ugiąć się pod ciężarem jej pytań, pozwalać jej dotykać moich rąk, ramion, włosów i opuścić głowę, słysząc: Aleś ty duży, aleś ty piękny, jak ten czas leci, ale... dlaczego? - i czekać na moment, w którym zacznie mówić o Niani, kła-



dąc machinalnie dłoń na swoim nadgarstku, żeby się uspokoić, dotykając nią czoła i znów wybuchając śmiechem. Mieć tę pewność, że wkrótce się złamiesz i uwalisz na pierwszy lepszy fotel, żeby dostroić się do naszej paplaniny i ładnie dopełniać nasze milczenie...

Nie mogliście tego wiedzieć, nie wiedzieliście tego, ale co było moim sposobem na długie wieczory, niemiłych sąsiadów i głupich nauczycieli? Wy.

Byliście moim życiem.

Nie, nie moglibyście tego zrozumieć. Wy, którzy nigdy nikomu nie byliście posłuszni i nie znaliście nawet znaczenia słowa „dyscyplina”.

A może ja was po prostu idealizowałem? W każdym razie tak to sobie tłumaczyłem i, przyznajcie, było to dość kuszące... Próbowałem przekonać samego siebie, odbierałem wam znaczenie, testowałem na was sfumato wielkiego Leonarda, mojego ówczesnego absolutnego idola, i zamazywałem wspomnienia, żeby umniejszyć waszą rolę, a wszystko do chwili, w której, zajmwszy swoje stałe miejsce przy waszym stole, skubiąc znowu waszą zniszczoną ceratę i słuchając waszych sprzeczek, czułem, że moje serce znowu zaczyna bić.

Krew.

Krew zaczynała krążyć mi w żyłach.

- Czemu uśmiechasz się jak idiota? - rzucał mi Alexis.

Czemu?

Bo odzyskałem grunt pod nogami.

Od piętnastu lat, dwa ogrody dalej, wbijano mi do głowy, że życie to nieustający ciąg zadań i cierpienia wszelkiego rodzaju. Że nie ma nic za darmo, że na wszystko trzeba zasłużyć i że zasługi - porozmawiajmy o nich! - stały się bardzo rzadkim pojęciem w społeczeństwie, które nie szanuje już niczego, nawet kary śmierci! A tymczasem wy...

Wy... Uśmiechałem się, bo wy i wasza wiecznie pusta lodówka, wiecznie otwarte drzwi, wasze psychodramy, wasze śmieszne kombinacje, barbarzyńska filozofia, ta pewność, że nie ma na świecie niczego, co można by oszczędzać, i że szczęście jest tu i teraz, że nieważne, co jemy, bylebyśmy tylko brali się do tego ze szczerym zapalem - wy udowadnialiście mi, że jest całkiem odwrotnie.

Dla Anouk naszą jedyną liczącą się zasługą był fakt, że nie umarliśmy i nie jesteśmy chorzy, reszta nie miała żadnego znaczenia. Reszta to był dodatek. Jedźcie, chłopcy, jedźcie, a ty, Alexis, przestań chociaż na chwilę brzęczeć tymi sztuczkami, będziesz miał całe życie, żeby hałasować.

Ale tamtego dnia kilka razy zapukałem do waszych drzwi i już miałem odchodzić, gdy nagle usłyszałem jakiś nieznamy głos:

- Kto tam?

- Czerwony Kapturek.

- Hej! Jest tam kto?

- Przyniosłem placek i garnuszek masła. Drzwi się otworzyły.

Odwróciła się ode mnie. Przygarbiona sylwetka w szlafroku, tłuste włosy i paczka papierosów w dłoni.

- Anouk?

- Coś się stało?

- Boję się odwrócić, Charles. Ja... Nie chcę, żebyś widział mnie w tym stanie, ja...

Milczenie.

- Dobrze - wydusiłem w końcu. - Postawię tylko na stole tacę z ciastem i...

Odwróciła się.

Jej oczy. Przeraziły mnie zwłaszcza jej oczy.

- Jesteś chora?

- Odszedł.

- Słucham?

- Alexis.

W drodze do kuchni, gdzie chciałem pozbyć się tego okropnego tortu, żałowałem, że w ogóle przyszedłem, i czułem niejasno, że to nie jest moje miejsce i że sytuacja znacznie mnie prędko przerastać.

Miałem obowiązki. Pomyślałem: jeszcze tu wrócę.

- Dokąd poszedł?

- Poszedł za swoim ojcem...

To akurat wiedziałem. Że kilka miesięcy wcześniej powrócił ojciec marnotrawny w pięknym alfa romeo. „Fajny jest?” „Może być...” - odpowiedział Alexis i na tym stanęło, na tych dwóch słowach. Zblazowanych. Nieszkodliwych, jak mi się zdawało.

Nie jest dobrze. Chyba przegapiłem kilka odcinków... I co mogłem teraz zrobić? Zadzwoić do matki?

- Ale, eee... on wróci.

- Tak sądzisz?

- Zabrał wszystkie swoje rzeczy, wiesz?

- Będzie robić tak jak ty... Będzie przychodził na ciasto w niedzielę.

Wolałbym, żeby oszczędziła mi tamtego uśmiechu.

Odwróciła do góry dnem kilka butelek, zanim napelniła sporą szklanekę i wypila ją, krztusząc się, jednym haustem.

No, dobra. Szukałem sposobu, by ją obejść i znaleźć się w przedpokoju. Nie chciałem być świadkiem tego wszystkiego. Wiedziałem, że pije, ale nie miałem zamiaru wiedzieć, jak dużo. To mnie w niej akurat nie interesowało. Pomyślałem, że wrócę, jak się ubierze.

Ale ona nie ruszała się z miejsca. Patrzyła na mnie twardo.

Muskała swoją szyję, włosy, pocierała nos, otwierała i zamykała usta, jak gdyby tonęła. Przypominała zwierzę w potrzasku, gotowe odgryźć sobie łapę, żeby pójść i zdechnąć gdzieś dalej. A ja... a ja patrzyłem na chmury za oknem.

- Wiesz, co to znaczy samotnie wychowywać dziecko?

Nie odpowiedziałem. To zresztą nie było pytanie, to była bruźda, którą drążyła, żeby się o nią potknąć. Nie byłem zbyt odważny, ale też nie byłem idiotą.

- Ty tak dobrze liczysz. Powiedz mi, ile to dni - piętnaście lat?

O, to już było pytanie.

- Hmm... Jakoś tak... ponad pięć tysięcy... Odstawiła szklanekę i zapaliła papierosa. Drżała jej ręka.

Pięć tysięcy... Pięć tysięcy dni i pięć tysięcy nocy... Zdajesz sobie sprawę? Pięć tysięcy dni i pięć tysięcy nocy sama... Zastanawiasz się, czy robisz wszystko jak trzeba... Martwisz się... Głównie, czy dasz radę. Pracu-

jesz. Zapominasz o sobie. Pięć tysięcy dni i pięć tysięcy nocy w zamknięciu. Żadnej chwili dla siebie, ani dnia wakacji, żadnych rodziców, żadnej siostry, nikogo, kto zabierze na chwilę dziecko i pozwoli ci odetchnąć. Nikogo, kto by ci przypomniał, że kiedyś byłaś nawet ładna... Miliony godzin strawione na domysłach, dlaczego on nam to zrobił, aż wreszcie, któregoś ranka, jest, wrócił skurwiel. A ty w tym momencie myślisz... wiesz co? Że już żałujesz tych milionów godzin, bo w porównaniu z tym, co ma nadejść, były niczym... Uderzyła czołem o ścianę.

- A co? Ojciec pianista grający po hotelach dla bogaczy jest atrakcyjniejszy od matki pielęgniarce, no nie?

Zwracała się do mnie, ale ja robiłem wszystko, żeby nie wpaść w jej sidła. Wybrała złego słuchacza. Byłem na to wszystko za młody, nie moja kategoria wiekowa, jak mawiał ojciec. Nie, nie do mnie należało orzekanie, czy ma rację, czy nie. W końcu choć raz mogła sobie poradzić sama.

- Nic nie mówisz?

- Nie.

- Masz rację. Co tu jest do gadania? Ja też kiedyś wpadłam jak śliwka w kompot, więc... Rozumiem go... Nie ma nic gorszego od muzyków, wierz mi... Mieszają ludziom w głowach. Bierzą ich za Mozartów, a tymczasem to są zwykli szarlatani, którzy zamykają na ciebie oczy, uświadomiwszy sobie, że wygrali. Że cię mają w garści. Zamykają oczy z uśmiechem, a potem cię... Nienawidzę ich.

Teraz dociera do mnie, że miałam dobrą matkę, ale było mi ciężko, wiesz? Gdy urodził się Alexis, nie miałam jeszcze dwudziestu lat, a tamten... zapadł się pod ziemię... Położna poszła zgłosić narodziny małego w meroście podczas przerwy obiadowej i wróciła, cała dumna, z czymś, co się nazywało „książeczka rodzinna”. Znow się wtedy rozplakałam. Na co mi była książeczka rodzinna? Ja przecież nawet nie wiedziałam, gdzie będę za tydzień. Kobieta z łóżka obok powtarzała mi w kółko: „No, niechże pani tak nie płacze, mleko pani skwaśnieje...” Ale ja nie miałam mleka! Nie miałam go, do kurwy nędzy! Patrzyłam na to pokwikujące dziecko i...

Zacisnąłem zęby. Na litość boską, niech ona się wreszcie zamknie, niech się zamknie. Po co mi to opowiada? Wszystkie te babskie sprawy, których nie mogę zrozumieć. Dlaczego obarcza nimi właśnie mnie, kogoś, kto zawsze był wobec niej lojalny? Kto zawsze stał w jej obronie... A teraz oddałbym wszystko, żeby znaleźć się w towarzystwie swoich rodziców. Tych normalnych, zrównoważonych, szanowanych ludzi, którzy się nie wydzierali, nie składowali pustych butelek pod zlewem i byli na tyle eleganccy, że wysyłali nas do swoich pokoi, gdy mieli potrzebę się posprzezać.

Popiół z papierosa posypał jej się do rękawa.

- Ani jednego znaku życia, żadnego listu, zero pomocy, zero wyjaśnień, nic... Nawet się nie zainteresował, jak ma na imię jego syn... Podobno był w Argentynie. Tak powiedział

- Alexis, ale ja mu nie wierzę. W Argentynie, kurwa, akurat! A może od razu w Las Vegas? Płakała.

Począł, aż odrobę najgorsze, a teraz, gdy dzieciak zaczyna być samodzielny, pisk opon, dwie obietnice, trzy prezenty i żegnaj, Gienia. Coś ci powiem, chcesz? To ohydne...

- Muszę już iść, bo spóźnię się na pociąg.

- No pewnie, idź sobie, tak jak oni. Jasne, jeszcze ty mnie porzuć.

Przechodząc obok niej, zauważyłem, że ją przerosłem.

- Proszę cię... Zostań...

Złapała moją rękę i przyłożyła sobie do brzucha. Odsunąłem się przerażony, była wstawiona.

- Przepraszam - wyszeptła, owijając się ciasniej połami szlafroka. - Przepraszam...

Stałem już na schodach, gdy zawołała:

- Charles!

- Słucham.

- Przepraszam.

- ...

- Powiedz mi coś... Obejrzałem się.

- On wróci.

- Tak sądzisz?

Tkwiał w korku na placu Clichy za autobusem numer 81, błądząc myślami w poprzednim wieku, i wspominał ten pełen niedowierzania uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, gdy wreszcie zdecydowała się unieść głowę. Świetnie pamiętał tę twarz, tak wstrząsającą, tak... naga, skrzywienie drzwi za swoimi plecami i liczbę stopni, które dzieliły go od świata żywych: dwadzieścia siedem.

Dwadzieścia siedem stopni, które pokonywał z poczuciem, że nagle stał się grubszy, ociężały. Dwadzieścia siedem razy jego stopa zawisała w próżni, a pięści wbite w kieszenie stawały się coraz twardsze. Dwadzieścia siedem stopni wystarczyło, by zdał sobie sprawę, że oto właśnie osiągnął drugi brzeg. Bo zamiast współczuć jej w nieszczęściu i potępiać zachowanie Alexisa nie posiadał się z radości: miejsce się zwolniło.

I gdy matka zaczęła głądzić, że zapomniał przynieść tacę, po raz pierwszy w życiu wysłał ją do diabła.

Skóra małego chłopca została na schodach.

Nie uczył się w pociągu, a wieczorem zasnął pogodzony ze swoją prawą ręką. W końcu trzymała ją Anouk... Nie było mu mniej wstyd niż zwykle, poczuł się tylko... starszy.

Co do reszty - znowu miał rację. Alexis wrócił.

- Kiedy znów przyjedzie po ciebie ojciec? - spytała Anouk pod koniec ferii wielkanocnych.

- Nigdy.

Dzięki mojej matce i jej dobroczynnej działalności znalazło się dla niego miejsce w gimnazjum Saint-Joseph, a ja odnalazłem swoje, w jego cieniu.

Czułem ulgę. Anouk chyba dobiła targu ze swoim losem - albo, co bardziej prawdopodobne, z diabłem - i zmieniła styl życia. Przestała pić, ostrzygła się całkiem na krótko, złożyła prośbę o przeniesienie na blok operacyjny i przestała pocieszać chorych. Zadawała się ich usypianiem.

Postanowiła także przemałować mieszkanie, ot tak, w jednej chwili, po wypiciu kawy.

- Jedź po Charles'a! W weekend bierzemy się za kuchnię!

I właśnie wtedy, gdy we troje czyściliśmy ściany, usłyszeliśmy zakończenie tej historii... Nie pamiętam już, w jaki sposób rozmowa zeszała na ojca Alexisa, ale Anouk i ja przestaliśmy na moment wyżywać się na gąbkach.

- On po prostu potrzebował partnera do gry, ale gdy zdał sobie sprawę, że jestem za młody, żeby grać na pieniądze, przestałem go interesować, koniec...

- Daj spokój... - westchnęła Anouk.

- Przysięgam ci! Ten debil źle sobie obliczył. „Masz piętnaście lat? Masz piętnaście lat?“, powtarzał mi to w kółko, zdenerwowany. „Jesteś pewien? Masz dopiero piętnaście lat?“

Ponieważ się śmiał, poszliśmy w jego ślady, ale... jak to powiedzieć... proszek do czyszczenia ścian to środek żrący... Nie, no, mówię tak, bo minęła dłuższa chwila, zanim znów zaczęliśmy rozmawiać. Milczeliśmy, zajęci wypływaniem naszych kryształków sody...

Widzę, że psuję atmosferę - zażartował Alexis. - Ale, hej! Spokojnie. Przecież nie umarłem...

Za to ona, i tu akurat wszystkie moje piękne rachunki okazały się mylne, umarła na czas nieobecności syna. Już nigdy, przez cały ten okres, nie pozwoliła, bym ją zobaczył. Pukałem do niej na próżno i odchodziłem, przeskakując co cztery stopnie jej spróchniałych schodów.

Wynik moich rachunków był fałszywy. To miejsce nigdy się nie zwolniło.

Ale dostałem od niej list... Jedyne zresztą, jaki otrzymałem w ciągu czterech lat spędzonych w internacie...

*Wybacz, że Ci wczoraj nie otworzyłam. Często o Tobie myślę. Tęsknię za Wami. Kocham Was.*

Z początku byłem tym trochę rozdrażniony, później wyparłem ze świadomości zaimek „Was” i spaliłem list po przeczytaniu. Tęskniła za mną, tylko to chciałem wiedzieć.

Ale dlaczego teraz to wszystko rozgrzebuje? Aha... cmentarz...

To prawda, Alexis, teraz jesteś pełnoletni... Twoje zdrady są legalne...

Po twoim krótkim skoku w bok we włoskim *coupé* ona już nigdy nie była taka sama. Czy to abstynencja sprawiła, że stała się bardziej... zdystansowana? Czy to z powodu abstynencji nie dotykała nas, nie przytulała, nie jadła nas łyżkami, nie dawała wszystkiego, co miała? Nie sądzę.

To była nieufność. Pewność samotności. I ta nagła wstydlivość, ta dziwaczna delikatność, zmiana napięcia, to było jak staza, jak ucisk żyły głównej. Już się z nami nie droczyła, nie mówiła, chichocząc: „Yyyyy... jakaś Julie do ciebie...”, gdy dzwonił Pierre, który znów zapomniał książki od geografii, i zamykała się w swoim pokoju, kiedy grałeś szczególnie dobrze.

Bała się.

\* \* \*

Za dworcem Saint-Lazaire trochę się przeredziło. Charles odbił w bok i wy dostał się ze stada, podążając trasą wytyczoną przez radiowego „Sprytnego Bizona”. I znów mógł podziwiać fasady paryskich kamienic, stojąc na czerwonych światłach. Zwłaszcza tę ulubioną, wznoszącą się wzdłuż skweru Ludwika XVI, z secesyjnymi rzeźbami zwierząt.

Właśnie w ten sposób uwiódł Laurence...

On był splukany, ona była przepiękna, cóż mógł jej zaoferować? Paryż.

Pokazał jej to, czego inni nie dostrzegają nigdy. Otwierał przed nią bramy kamienic, wspinał się na murki, trzymał ją za rękę i zrywał liście winobluszczu znad jej czoła. Pokazał jej maskarony, altany i cyzelowane frontony. Wyznaczał jej spotkania w pasażu Désir i wyznał jej miłość na ulicy Gît-le-Cœur. Sądził, że jest bardzo sprytny, był bardzo głupi.

Był zakochany.

Oglądała swoje obcasy, podczas gdy on pokazywał legitymację studencką konsjerżkom w kapciach, żywcem wyjętych z fotografii Doisneau. Obejmował ją wokół talii, unosił palec wskazujący i całował ją w szyję, i kazał jej szukać twarzy Madame Lavirotte na avenue Rapp albo szczurów na fasadzie kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois.

„Nie widzę ich...” - traciła nadzieję.

Nic dziwnego: pokazywał jej nie te rzygacze, co trzeba, żeby jak najdłużej wciągać swoją kreskę N° 5.

Jego najpiękniejsze szkicowniki pochodzą z tamtych lat. Każda paryska kariatyda miała wtedy coś z Laurence: krągłość ramienia, ładny nos albo wypukłość piersi.

Wyprzedził go jakiś typ i zajechał mu drogę, wymachując pięścią.

Charles uspokoił się na drugim brzegu Sekwany. Przypomniawszy sobie, że jedzie do niej, i poczuł się szczęśliwy. Ona i Mathilde, jego dwie megiiery...

Które wywijały mu barwne numery.

Ale Charles przecież lubił barwy... Życie było przez to nieco męczące, ale za to weselsze.

## 5

Postanowił zrobić im niespodziankę i przygotować dobrą kolację. Obmyślił jadłospis, stojąc w kolejce u rzeźnika; kupił kwiaty i wstąpił do sklepiku z winem.

Włączył muzykę, zakasał rękawy, znalazł czystą ściereczkę i wszystko drobno posiekał: czosnek, dymkę, swoją własną słabość i błędy. Dziś wieczorem - rozejm. Wysłucha ich uważnie.

Upije ją i będzie pieścił, najdłużej, jak to możliwe. Rozbierając ją, zrzuci swą własną skórę upióra, a liżąc ją, zapomni o goryczy ostatnich dni. Pogrzebie Anouk, wyrzuci z głowy Alexisa, zadzwoni do Claire i powie, że życie jest piękne i że jej durna automatyczna sekretarka brzmi jak pustułka. Pojedzie jutro po Mathilde do gimnazjum i kupi jej w prezencie szorstki głos Niny Simone.

*I sing just to know that I'm alive.*

Tak.

On. On żył.

Przytłumił ogień, nakrył pięknie do stołu, wziął prysznic, ogolił się, nalał sobie kieliszek wina i przyłożył głowę do głośnika, myśląc o drukarni grubego Voernoodta.

A co tam, to przecież nic strasznego... Po raz pierwszy miał pracować bez kosztorysu, bez przekładania terminów i bez dramatów. Ależ luksus... Przypomniawszy sobie powiedzenie wkurzonych zecerów, które przypadło mu do gustu: gdy któryś z nich chciał rzucić wszystko w cholerę, groził, że „nasra w kasztę z apostrofami”. Cóż, może im obiecać, że aż tak dokładnie celował nie będzie.

Postara się przynajmniej uratować światło.

Wino było doskonałe, poświstywał szybkar, a on słuchał Sibeliusa i czekał na powrót ślicznych paryżanek. Wszystko było w porządku.

Zbliżał się finał *Symfonii nr 2*. Cisza.

Cisza pod jego czaszką.

\* \* \*

Obudził go chłód. Jęknął „moje plecy” i dopiero po kilku sekundach odzyskał świadomość. Noc była spalona, a kolacja... cholera, która godzina?

Wpół do jedenastej.

Wystukał numer Laurence, odezwała się sekretarka. Dodzwonił się do Mathilde.

- Gdzie jesteście, dziewczyny? Charles? Ale... miałaś być w Kanadzie...

- Gdzie jesteście?

- Są ferie... Ja jestem u taty...

- Ach...

- A mamy nie ma w domu?

Och, nie lubił tego smutku w jej głosie...

- Zaczekaj, właśnie trzasnęły drzwi windy - skłamał. - Muszę kończyć... Zadzwoń do ciebie jutro.

- Hej!

- Tak?

- Powiedz jej, że sobota aktualna. Będzie wiedziała, o co chodzi.

- Okay.

- I jeszcze coś... Wiesz, słucham w kółko tej twojej piosenki...

- Której?

- No wiesz... Tej... tej Cohena...

- Naprawdę?

- Uwielbiam ją.

- To wspaniale. Więc mogę cię wreszcie adoptować? I rozłączył się, wyobrażając sobie jej uśmiech.

Dalsza część wieczoru była już smutniejsza.

Schował Sibeliusa do pudełka, włożył sweter, poszedł do kuchni, podniósł przykrywkę, chciał pousuwać zwęglone kawałki, a w końcu wyrzucił do kosza wszystko. Zachował jeszcze na tyle przytomności, że zalał wodą przypalone garnki chwycił butelkę i ostatni raz obrzucił spojrzeniem te żałosne świeczniki...

Zgasił światło, zamknął drzwi i... nie wiedział, co robić.

Więc nie robił nic.

Czekał.

Pił.

I tak jak w hotelowym pokoju poprzedniej „nocy” gapił się na wskazówkę sekundnika. Próbował czytać. Nic z tego.

Posłuchać jakiejś opery? Zbyt głośna.

Wziął się w garść około północy. Laurence nie była z tych które ryzykują utratę szklanego pantofelka na schodach... Nic z tego.

To nie był wieczór dobrej wróżki.

Pomyślał: o drugiej. Kolacja w dobrym towarzystwie i czas na złapanie taksówki. Druga, całkiem możliwe. Nic z tego.

Otworzył drugą butelkę.

Za piętnaście trzecia - witaj, chandro.

Umarł w butach.

Powiedzonko Mathilde, które nic nie znaczy. Co umarło?

Nie.

Wszystko.

Pił w ciemności.

Miał za swoje.

Następnym razem nie wróci bez uprzedzenia.

Poszedł po kopertę ze zdjęciami.

A niech tam, rozdrapie jeszcze kilka ran.

Alexis i on. Dzieci. Przyjaciele. Bracia. W parku. W ogrodzie. Na boisku szkolnym. Nad morzem. Podczas Tour de France. U jego babci. Karmiący króliki w gospodarstwie i za traktorem pana Canut.

Alexis i on. Pod rękę. Zawsze. I na zawsze. Pomieszała swoją krew, uratowali pisklaka i ukradli numer „Lui” w kiosku. Przeczytali miesięcznik dla dorosłych, ukryci na tyłach pralni, parszając co chwila śmiechem, ale nadal woleli przygody psa Pifa. Dali pismo grubemu Didierowi w zamian za przejażdżkę na motorowerze.

Alexis przed przesłuchaniem. Poważny, z porządnie zapiętą koszulą, w krawacie - prezencie od Henriego, z trąbką przyciśniętą do serca.

Anouk po tym samym przesłuchaniu. Dumna. Wzruszona. Palec wskazujący przy oku i rozmazane rzęsy.

I na końcu Niania z Claire siedzącą mu na kolanach. Claire ze spuszczoną głową, pewnie bawi się jego pierścionkami.

Ojciec. Zdjęcie przecięte. Bez komentarza.

On - student o bujnej czuprynie. Potrząsa dłonią przed obiektywem i robi miny.

Anouk tańcząca w domu jego rodziców.

Biała sukienka, ściągnięte włosy, dokładnie ten sam uśmiech co na pierwszym zdjęciu, zrobionym pod czerśnią niemal piętnaście lat wcześniej.

A przecież ona kilka godzin później... Nieważne.

Charles opadł w tył. Ale... co to w ogóle jest? - zganił się w myślach. Siedzisz i babrzesz się w przeszłości jak świnia w błocie, choć powinienes martwić się terażniejszością. To terażniejszość szwankuje, stary. Dociera do ciebie, że twoja kobieta jest teraz z kimś innym, a ty się mażesz, wspominając szczeniące lata?

Zareaguj, do cholery. Wstań. Wrzeszcz. Wal w ściany. Znienawidź ją. Krzaw. Dajcie spokój. To chociaż płacz!

Wypłakałem wszystko w samolocie. No, już, powiedz, że jesteś nieszczęśliwy! Nieszczęśliwy? Pokręcił głową. Ale... co to znaczy „nieszczęśliwy”?

Za dużo wypiełeś, poczujesz to za kilka godzin. Przeciwnie. Jeszcze nigdy nie byłem równie trzeźwy. Charles...

Czego? - zirytował się.

„Nieszczęśliwy” to przeciwieństwo „szczęśliwego”.

A co to znaczy „szczęś...”? Nie. Nic. Zamknął oczy.

I właśnie w chwili, gdy postanowił wygrzebać się z marazmu i pójść popracować, usłyszał zgrzytanie zamków. Minęła go, nie dostrzegła i poszła do łazienki. Splukała z siebie spermę tamtego. Poszła do ich pokoju, ubrała się i wróciła się umalować. Otworzyła drzwi do kuchni.

Nie była wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Charles wyobraził sobie tylko jej rozdrażnienie. Mimo wszystko zdołała zrobić kawę i ruszyć ku niemu, by stawić mu czoło.

Cóż za zimna krew - pomyślał Charles. Cóż za kurewsko zimna krew...

Podeszła, dmuchając do filiżanki, usiadła w fotelu naprzeciwko i wytrzymała w mroku jego spojrzenie.

- Co mam ci powiedzieć? - spytała, podciągając nogi.



- Nic.

- Tym razem pamiętałeś o walizce.

- Tak. Dzięki. A właśnie...

Sięgnął po plastikową reklamówkę leżącą obok teczki.

- Patrz, co znalazłem dla Mathilde...

Załóżył bejsbolówkę z napisem *I ♥ Canada*, ozdobioną po obu stronach futerkowymi rogami łosia.

- Zabawne, nie? Chyba ją sobie zostawię...

- Charles...

- Zamknij się - przerwał jej. - Przecież powiedziałem, że nic mam ochoty cię słuchać.

- To nie to, co...

Wstał i odniósł do kuchni swoją filiżankę.

- Co to za fotografie?

Wrócił, wyjął zdjęcia z ręki Laurence i włożył je z powrotem do koperty.

- Zdejmij tę głupią czapkę - westchnęła.

- Co my robimy?

- Słucham?

- Co my robimy razem?

- Robimy to, co wszyscy. Robimy, co możemy. Byle do przodu.

- Beze mnie.

- Wiem. Wyobraź sobie, że nie ma cię tu już od pewnego czasu.

- Daj spokój - odpowiedział, uśmiechając się do niej czule. - Po co ten cyrk? Nie odwracaj kota ogonem, moja Pomponette, powiedz mi lepiej, co...

- Co?

- Nie. Nic.

Poruszyła biodrami i podrapała się w coś pod spódnicą.

- Słuchaj... Ty chyba zeszczuplałeś, co?

Zebrał swoje zabawki, zmienił koszulę i zostawił za drzwiami ten żaloszny wodewil.

- Charles!

Dogoniła go na schodach.

- Przestań... To nic dla mnie nie znaczy... Dobrze wiesz, że nic...

- Oczywiście. I dlatego właśnie pytam cię, co my razem robimy.

- Nie, ale ja miałam na myśli tę noc...

- Och, naprawdę? Więc nawet nie było fajnie? Moje biedne maleństwo... Jak pomyślę, że czekałem na ciebie z butelką *pomerola*... Przyznaj, życie jest brutalne.

Zszedł jeszcze kilka schodków i oznajmił:

- Nie czekaj na mnie wieczorem. Mam spotkanie w Arsenale i...

Przytrzymała go za rękaw marynarki.

- Przestań - mruknęła. Znieruchomiał.

- Przestań.

I odwrócił się.

- Mathilde?

- Co Mathilde?

- Pozwolisz mi ją widywać, prawda?

Nowość! Dostrzegł coś w rodzaju popłochu na tej pięknej twarzy.

- Czemu o to pytasz?

- Ja już nie mam siły tego naprawiać, Laurence. Ja... chyba ciebie potrzebowałem i...

- Ale co... Ale gdzie ty teraz jesteś? Dokąd idziesz? Co robisz?

- Jestem zmęczony.

- Wiem. Dzięki. Sto razy mi mówiłeś. Ale co to za zmęczenie? Co ono właściwie oznacza?

- Nie wiem. Szukam odpowiedzi.

- Chodź - poprosiła bardzo cicho.

- Nie.

- Dlaczego?

- To zbyt smutne. To, czym się staliśmy. Nie możemy ciągnąć tego tylko ze względu na nią. To nie... Przypomnij sobie... To zresztą też było na schodach... Przypomnij sobie, co mi powiedziałaś wtedy... pierwszego dnia...

- No, co ja ci znów takiego powiedziałam? - spytała znużona.

„Ona zasługuje na więcej”. Milczenie.

- Gdyby nie ona - mówił dalej Charles - odeszłabyś. I to już dawno...

Poczuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w ramię:

- Co to za brunetka na zdjęciach? To ta nieboszczka, o której powiedziałeś mi niedawno? Matka kogoś tam? To ona od kilku tygodni zatruwa nam życie? Kto to jest? Co to jest? Jakaś Mrs Robinson za dychę?

- I tak byś nie zrozumiała...

- Ach, tak? No to proszę! - wybuchła. - Wytłumacz mi. Wytłumacz mi, skoro jestem taką idiotką...

Charles się zawahał. Było jedno takie słowo, ale nie śmiał go wypowiedzieć.

Nie ze względu na Laurence. Ze względu na Anouk. Słowo, którego nigdy nie był pewien. Słowo, które przez te wszystkie lata tkwiło między trybikami ich wspólnego życia i w końcu wykończyło tę piękną maszynę.

Więc zdecydował się na inne słowo. Nie tak definitywne, mniej odważne:

- Czulość...

- Nie sądziłam, że już do tego doszliśmy - odparowała.

- Naprawdę? Szczęściara z ciebie...

- Laurence...

Ale ona już się odwróciła. I już stała wyżej.

Przez ułamek sekundy miał ochotę ją złapać, ale usłyszał, jak nuci: *God bless you, please, Mrs Robinson, trala la la la...* i dotarło do niego, że ona niczego nie rozumiała.

Że ona nigdy nie chciała zrozumieć.

I wsparł się o poręcz, ruszył w dół.

O, właśnie. Niech ją Bóg błogosławi.

Chociaż raz mógłby jej wynagrodzić wszystkie te dopusty, którymi ją częstował.

Samochód Laurence stał kilka metrów dalej. Minął go, zatrzymał się, zawrócił, nabazgrał kilka słów na kartce szkicownika, i wsunął ją za jedną z wycieraczek.

Co to było? Wyrzut sumienia? Pretensje? Wyznanie? Pożegnanie?

Nie. Napisał:

„Mathilde powiedziała, że sobota aktualna”. Taki był. Dokładnie taki.

Charles Balanda. Nasz bohater. Czterdzieści siedem lat bez jednego tygodnia, konkubent-rogacz bez prawa do dziecka, które wychowywał. Dobrze wiedział, że właśnie tak jest: nie miał żadnego prawa. Ale miał coś więcej. Jego czujność, ta źle wyrwana kartka z liścikiem świadczyły o tym, że maszyna ich wspólnego życia nie jest jeszcze tak całkiem zepsuta. Wiedział, że mała to przetrzyma.

Odszedł, obmacując kieszenie. Znow się pomylił.

Nie wyplakał wszystkiego w samolocie.

## 6

Pozdrowił ich krótko. Usiadł w fotelu o wytartych oparciach. Nie mógł się skupić. Zaczął od komputera. Pięćdziesiąt osiem nowych wiadomości. Westchnął. Oddzielił ziarno od plew, potrząsając raz po raz głową, żeby zapomnieć o domowych kłopotach. Przez nieuwagę otworzył taki spam: *Greeting charles balanda did you ever ask yourself is my penis big enough?* Uśmiechnął się nieco ironicznie, wysłuchał skarg i zażaleń współpracowników, udzielił rad i pochwał, sprawdził robotę młodego Favre'a, zmarszczył brwi, chwycił szkicownik i zaczernił go z zadziwiającą prędkością, zmienił wygaszacz ekranu, myślał, myślał długo, przegonił obraz twarzy. I... próbował zrozumieć, nie odebrał kilku połączeń, żeby nie zgubić wątku myśli; poprawił niektóre błędy, popełnił kilka nowych, sprawdził notatki, przekartkował swoje biblie, popracował, znow trochę pomyślał, puścił plik do wydruku i przeciągając się, wstał.

Zobaczył, że już trzecia. Czekał długo przy drukarce, w końcu ocknął się i zaczął szukać nowej ryzy papieru. Bez skutku.

Zareagował z przesadną wściekłością.

Walił w urządzenie, kopnął i wypaczył jeden z podajników, kłął, grzmiał, obrzucił wyzwiskami biednego Marca, który wpadł na fatalny pomysł, żeby przyjść mu z pomocą. Wyżył się na wszystkich za absurd ostatnich miesięcy i ciężar własnych rogów.

„Papier! Papier!” - powtarzał jak półgłówek. Nie chciał iść na obiad. Zszedł zapalić na podwórze, spotkał sąsiada z dołu i jego problemy z przeciekającą rurą.

- Po co mi pan to wszystko opowiada? Nie jestem hydraulikiem.

Wybąkał słowa przeprosin, których nikt nie słuchał. O mało znow nie wpadł we wściekłość, przeglądając teczkę „koszty” budowy PRAT w Valenciennes, ale się jakoś powstrzymał, I wrócił, doświadczeń pełen i pogody, do swych projektów, dawne znowu czcząc zwyczajnie.

Pod wieczór zadzwonił jego adwokat.

- Chciałbym panu powiedzieć, jak się mają pańskie sprawy w sądzie! - zażartował.

- Litości! Nie! - odpowiedział tym samym tonem. - Słono panu płacę właśnie za to, żeby mi pan o tym nie opowiadał.

Pod koniec trwającej ponad godzinę rozmowy, w trakcie której licznik prawnika nie przestawał bić, Charles wypowiedział pewne słowa i natychmiast ich pożałował.

- Czy pan... Czy zajmuje się pan również prawem rodzinnym?

- Na Boga, nie! Skąd to pytanie?

- Nie, nic. No cóż... Wracam do swoich zadań... Idę stwarzać kolejne okazje, które pozwolą panu mnie oskubać...

- Już panu mówiłem, Balanda, odpowiedzialność prawna jest konsekwencją kompetencji zawodowych.

- Przyznam się panu do czegoś. Nie mogę znieść tego powiedzonka. Niech pan następnym razem znajdzie coś innego.

- Cały czas pamiętam, że jestem panu winien obiad w L'Ambroisie!

- Właśnie. Chyba że do tego czasu wyląduję w więzieniu.

- To najlepsze, co mogłoby się przytrafić Francji, przyjacielu! Gdyby ktoś taki jak pan miał okazję przyjrzeć się z bliska naszym więzieniom...

Charles przez długą chwilę patrzył na swoją rękę spoczywającą na słuchawce telefonu. „Skąd to pytanie?”

Właśnie, skąd? To śmieszne. On przecież nie ma rodziny.

\* \* \*

Wyjątkowo nie wyszedł z biura ostatni i postanowił pójść pieszo do pawilonu Arsenału.

Na place de la Bastille odsłuchał wiadomości.

„Musimy porozmawiać” - twierdziło urządzenie.

Porozmawiać.

Cóż za dziwaczny pomysł!

Brzegi oddalały się od siebie, lecz nie to czyniło go bezludnym, tylko ich... niestałość.

A jednak... Kto wie? Może odwoła niektóre spotkania i wyjadą daleko, i zaciągną zasłony w oknie hotelowego pokoju w środku dnia... Ale te męskie fantazje, nachodzące go podczas przechadzek bulwarem Bourdon, brutalnie przerwał wewnętrzny architekt, który mówił: grunt po obu stronach stał się zbyt grząski, a przyszłość - i czas najwyższy, żeby to przyznać - nie nadaje się do zagospodarowania.

Budynek przetrwał jedenaście lat.

Architekt zachichotał, przechodząc przez ulicę. Tym razem nikt mu nie będzie robił problemów w związku z dziesięcioletnią gwarancją.

Wykonał zadanie, uścisnął odpowiednie dłonie i zostawił po sobie dobre wspomnienia odpowiednim osobom. Około jedenastej w nocy stanął przed pomnikiem Rimbauda, którego nienawidził, przez chwilę się zawahał i zgubił drogę.

Albo, przeciwnie, odnalazł ją.

- A ty o której przychodzisz, co? - zaatakowała go, oparłszy pięść na biodrze.

Udał, że przypiera ją do ściany, i poszedł do kuchni.

- Hej, odbiło ci? Czemu nie zadzwoniłeś? Mogłam akurat mieć randkę, wiesz?

Skrzywiła się lekko, a potem roześmiała.

- Wiem, dobra... Powiedziałam „mogłam”, okay? Mogłam... Ucałowała go.

- Wejź, czuj się jak u siebie w domu - ciągnęła. - To zresztą jest twój dom... *Welcome home*, kotku, co cię sprowadza? Chcesz mi podwyższyć czynsz... Och... - Przestała się wygłupiać. - Z tobą coś nie tak... Znów ci straszni Rosjanie?

Nie wiedział, od czego zacząć ani nawet czy będzie miał dość odwagi, żeby znaleźć odpowiednie słowa. Wybrał więc najprostszą opcję.

- Zimno mi, jestem głodny i potrzebuję miłości.

- O, kurwa... Niewesoło, naprawdę niewesoło. Chodź... Chodź ze mną.

- Zrobię ci jajecznicę z przeterminowanych jajek na zjełczałym maśle, może być?

Patrzyła, jak Charles je, otworzyła dwa piwa, odkleiła plaster nikotynowy i podebrała mu papierosa. Odsunął talerz i spojrzał na nią w milczeniu.

Wstała, zapaliła lampkę pod okapem, wyłączyła wszystkie inne światła i wróciła, przesunawszy taboret tak, by się oprzeć plecami o ścianę.

- Od czego zaczniemy? - szepnęła. Zamknął oczy.

- Nie wiem, Claire.

- Oczywiście, że wiesz... Ty zawsze wszystko wiesz...

- Nie. Już nie.

- Ty...

- Ja?

- Wiesz, na co ona umarła?

- Nie.

- Nie dzwoniłeś do Alexisa?

- Zadzwoniłem, ale zapomniałem zapytać.

- Coś ty?

- Wkurzył mnie i się rozłączyłem.

- Rozumiem. Chcesz deser?

- Nie.

- To dobrze, bo nic nie mam... Napi...

- Laurence mnie zdradza - przerwał jej.

- Też mi nowina! - parsknęła. - Przepraszam...

- To było aż tak widać?

- Ależ skąd, żartowałam. Kawy?

- A więc to było aż tak widać...

- Mam też herbatkę ziołową „płaski brzuch”, jeśli wolisz.

- Czy to ja się tak zmieniłem, Claire?

- Albo ziółka „spokojny sen”... Fajne są te ziółka... Relaksujące... Co mówiłeś?

- Ja już nie mam siły. Nie mam siły.

- Hej? Czy ty przypadkiem nie przechodzisz kryzysu pięćdziesięciolatka? *Midlife crisis*, jak to się mówi...

- Tak sądzisz?

- Wszystko na to wskazuje...

- Coś strasznego. Wolałbym być bardziej oryginalny... Chyba jestem trochę sobą rozczarowany - zdołał żartować.

- To chyba nic poważnego?

- Starzenie się?

- Nie, Laurence... Ona to traktuje jak wizytę w gabinecie spa. To jest... sama nie wiem... taka maseczka upiększająca... Takie małe, ukradkowe zabiegi są bezpieczniejsze niż botoks...

- ...

- Poza tym...

- Tak?

- Ciebie nigdy nie ma. Pracujesz jak wariat, jesteś wiecznie zasepiony, pomyśl, jak ty byś się czuł na jej miejscu...

- Masz rację.

- No pewnie, że mam rację! A wiesz dlaczego? Bo mam to samo, co ty. Pracuję, żeby nie myśleć. Im więcej mam gównianych spraw, tym bardziej zacieram ręce. Genialnie, myślę, ileż uratowanych godzin i... Wiesz, po co pracuję?

- Po co?

- Żeby zapomnieć, że moja maselniczka śmierdzi...

- ...

- W jaki sposób inni mają być nam wierni? Wierni - komu, czemu? Wierni - jak? Ale... Ty kochasz swoją pracę, nie?

- Sam już nie wiem.

- Tak, tak, kochasz. Zabraniam ci grymasić w tej kwestii. To przywilej, za który i tak płacimy dość drogo... No i - masz Mathilde...

- Miałem Mathilde. Milczenie.

- Przestań - zirytowała się. - Nie możesz zredukować tego dzieciaka do punktu w intercyzie. Poza tym nie odszedłeś od niej.

- ...

- Odszedłeś?

- Nie wiem.

- Nie. Nie odchodź.

- Dlaczego?

- Ciężko jest żyć w pojedynkę.

- Tobie się udaje. Wstała, otworzyła wszystkie szafy i drzwiczki lodówki, ukazując wymarłe pustkowie, i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ty to nazywasz życiem?

Podał jej filiżankę.

- Nie mam do niej żadnych praw, tak? Z prawnego punktu widzenia...

- Oczywiście, że masz. Przepisy się zmieniły. Możesz bez problemu założyć teczkę, dostarczyć odpowiednie zaświadczenia i... Ale nie masz takiej potrzeby i dobrze o tym wiesz...

- Dlaczego?

- Bo ona cię kocha, idioto... No dobra. - Przeciągnęła się. - Może trudno w to uwierzyć, ale mam robotę...

- Mogę zostać?

- Tak długo, jak zechcesz... Czeka na ciebie ta sama co zwykle, przedwojenna kanapa, dobra okazja do wspomnień...

Przesunęła górę skotłowanych szmat i podała mu czystą pościel.

Jak za starych, dobrych czasów weszli po kolei do maleńkiej łazienki i umyli zęby tą samą szczoteczką, ale... ulotniła się gdzieś dawna atmosfera.

Minęło tyle lat, a oni nie dotrzymali najważniejszych obietnic, które kiedyś złożyli. Zmieniło się tylko to, że oboje płacili dziś dziesięć, sto razy wyższe podatki.

Położył się, współczując własnemu kręgosłupowi, i znów usłyszał znajomy dźwięk, który tak często urozmaicał mu studenckie noce: zgrzyt naziemnego metra.

Musiał się uśmiechnąć.

- Charles?

W drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka.

- Mogę cię o coś spytać?

- Nie musisz. Oczywiście, że nie zabawię tu długo. Nie martw się...

- Nie... Nie o to chodzi...

- W takim razie słucham.

- Czy ty i Anouk...?

- Tak? - Zmienił pozycję.

- Czy wy... Nie. Nic.

- Co my?

- Chcesz wiedzieć, czy ze sobą spaliśmy?

- Nie. To znaczy... nie to akurat chciałam wiedzieć. Moje pytanie dotyczyło raczej... uczuć...

- Przepraszam. Odwróciła się.

- Dobranoc - dorzuciła tylko.

- Claire?

- Nie było pytania. Śpij.

I wtedy - wyznanie w ciemności:

- Nie.

Przytrzymała klamkę i położyła rękę płasko na drzwiach, żeby zamknąć je możliwie najdyskretniej.

Po piątym łomocie wagonu metra linii numer sześć Charles zrobił korektę:

- Tak.

I wreszcie, o wiele później, złożył broń:

- Nie.

\* \* \*

„Biała sukienka, ściągnięte włosy, dokładnie ten sam uśmiech co na pierwszym zdjęciu, zrobionym pod czereś...”

Biała sukienka. Ściągnięte włosy. Dokładnie ten sam uśmiech.

Wielki raut. Tamtego wieczoru świętowali wszystko: trzydziestą piątą rocznicę ślubu Mado i Henriego, pierwszy rok prawa Claire, zaręczyny Edith i egzamin Charles'a.

Który? Nie pamiętał. Któryś tam... Wtedy po raz pierwszy przyprowadził do rodziców „przyjaciółkę”. Którą? Mógłby sobie przypomnieć, ale to nie ma żadnego znaczenia. Dziewczynę podobną do niego... Poważną, z dobrej rodziny, która miała poukładane w głowie i nieco zbyt grube kostki... Studentkę pierwszego roku, której chyba nawet urządził otrzęsiny w tym mieszkaniu, w pokoju obok...

Nie, no, Charles... Przyzwyczyłeś nas do większej elegancji... Podaj chociaż imię...

Laure... chyba. Tak, na pewno, Laure... Niezbyt zabawna, z grzywką. Domagała się zgaszonego światła i zawsze po miłości głądziła o energii kinetycznej... Laure Dippel...

Obejmował ją w talii, głośno rozmawiał, wznosił toasty, gadał głupoty, od miesiący nie widywał światła dziennego, czuł, jak uchodzi z niego napięcie, i deptał swoje laury, tańcząc bez ładu i składu.

Był już mocno wstawiony, gdy pojawiła się Anouk.

- Przedstawisz nas sobie? - Uśmiechnęła się, zerkając prędko w dekolt tamtej.

Charles wykonał zadanie i wykorzystał moment, żeby się ulotnić.

- Kto to? - spytała jego mała matematyczka.

- Sąsiadka.

- A dlaczego ma mokre włosy?

(Oto jedno z przykładowych pytań, jakie bez przerwy zadawała ta dziewczyna).

- Dlaczego? Skąd mam wiedzieć?! Pewnie przed chwilą wzięła prysznic!

- A dlaczego przyszła dopiero teraz?

(Sami widzicie. Dziś pewnie dorobiła się dwóch kolumn w *Who's Who...*)

- Bo była w pracy.

- Kim...

- Pielęgniarką - przerwał jej. - Jest pielęgniarką. A jeśli chcesz wiedzieć, na jakim oddziale, poznać jej wysługę lat, obwód bioder i nazwę funduszu emerytalnego, to sama ją o to zapytaj.

Skrzywiła się, a on się oddalił.

- Jak tam, młodzieńcze? Jest pan gotów się poświęcić i zatańczyć taniec geriatryczny? - usłyszał za plecami, gdy próbował wyłowić zapalniczkę z ogromnego kotła z ponczem.

Jego uśmiech odwrócił się pierwszy.

- Odłóżcie laskę, babciu. Jestem do waszej dyspozycji. Biała sukienka, zabawna, piękna, o diabelnie dobrej kinetyce.



To znaczy, że ruch był jej żywiołem.

Rozpłynęła się w ramionach swojego laureata. Miała trudny dzień, walczyła z upartymi infekcjami i przegrała. Ostatnio ciągle przegrywała. Teraz chciała tańczyć.

Tańczyć i go dotykać. Miliony jego białych krwinek i jego wydajny układ immunologiczny. Był taki wstydlivy i tak się starał, żeby nie zbliżać się zbyt mocno do jej białej sukienki, a ona przyciągała go do siebie ze śmiechem. Mamy to gdzieś, Charles, mamy to gdzieś - mruzczały jej oczy. Żyjemy, rozumiesz? Ży-je-my.

A on się temu poddawał, pod zaalarmowanym spojrzeniem swojej dziewczyny. Jednak rozsądek, niestety, zwyciężył i Charles w końcu puścił jej rękę, oddając jej całą energię proporcjonalną do masy, a potem wyszedł się przewietrzyć pod rozgwieżdżonym niebem.

- Gorąca ta twoja sąsiadka...

Zamknij ryj.

- Nie, no, ale, jak na swój wiek...

Dziwko.

- Muszę wracać do domu.

- Już? - wysilił się.

- Dobrze wiesz, że w poniedziałek mam ustny - westchnęła dulcynea.

Zapomniał.

- Idziesz?

- Nie.

- Słucham?

Cóż, oszczędźmy sobie dalszego ciągu tej ogłupiającej rozmowy. Stało na tym, że wezwał dla niej taksówkę, a ona pojechała przypominać sobie to, co prawdopodobnie znała już na pamięć.

Gdy ruszył w stronę domu, dając jej na drogę niewyraźny pocałunek i słowa chłodnej otuchy, na ścieżce pod jaśminami zachrząścił żwirek.

- A więc jesteś zakochany? Chciał odpowiedzieć, że nie, a wyszło mu coś zupełnie przeciwnego.

- Naprawdę? To dobrze...

- ...

- A... Od jak dawna ją znasz?

Charles podniósł głowę, uśmiechnął się, znowu ją opuścił.

- Tak.

I ruszył w stronę hałasów. Od dawna.

Był niespokojny, od czasu do czasu szukał jej wzrokiem, nie dostrzegł, pił, zapomniał o sobie, zapomniał o niej.

Ale gdy siostry poprosiły wszystkich o ciszę, gdy zgasły światła, gdy na stół wjechał wielki tort, matka złożyła dłonie, a ojciec przy akompaniamencie „ciiiii...”, „ach...” i znowu „ciiiii...” wyjął z kieszeni kartkę z przemówieniem, ktoś chwycił Charles'a za rękę i wyciągnął z kręgu.

Biegł za nią, przeskakiwał stopnie, wylapując po drodze co bardziej brawurowe kawałki przemówienia: „ty-le lat... drogie dzieci... trudności... zaufanie... wspierani... zawsze...”, aż wreszcie ona otworzyła przypadkowe drzwi i odwróciła się.

Nie poszli dalej, stali w ciemności i wszystko, co w tamtej chwili wiedział o życiu, sprowadzało się do jednego: jej włosy już nie były mokre.

Pchnęła go tak mocno, że klamka wbiła mu się w nerki. Nawet nie pomyślał, że mogłoby to zboleć. Ona już go całowała.

Tak długo się szukali. Teraz rzucili się na siebie. Lizali się po twarzach. Pożerali nawzajem i... Byli sobie dalecy jak nigdy dotąd...

Charles walczył ze szpilkami w jej koku, Anouk mocowała się z jego paskiem, odgarniał jej włosy, odpinał mu rozpiętkę, próbował patrzeć jej w oczy, trzymała głowę spuszczoną, szukał słów, tych, które powtarzał tysiące razy, które dojrzały wraz z nim, błagała go, żeby zamilkł, zmuszał ją, żeby na niego spojrzała, uchylała się w bok i kąsała płatek jego ucha, przywierał do jej szyi, drapała go do krwi, jeszcze nawet nie zaczął jej dotykać, a ona już owinęła się wokół jego nogi i ocierała się o nią, jęcząc.

Trzymał w ramionach miłość swojego życia, madonnę swojego dzieciństwa, najpiękniejszą ze wszystkich, obsesję tyłu nocy i motywację tyłu sukcesów, tymczasem ona trzymała... całkiem co innego...

Smak krwi, wyziewy alkoholu, woń jej potu, wibracja jej jęków, ból pleców, jej gwałtowność, jej rozkazy, jej paznokcie - wszystko to nijak się miało do jego *fine amor*. Był silniejszy, udało mu się ją unieruchomić i nie miała wyboru: musiała usłyszeć, jak szepcze jej imię. Lecz przez pokój przemknęły smugi dalekich świateł samochodu i zauważył, że się uśmiecha.

Więc dał sobie spokój. Puścił wolno jej ręce, jej dziwaczne bransoletki, ugiał kolana i zamknął oczy.

Dotykała go, głaskała, napierała na niego, wsuwała mu palce do ust, lizała powieki, szeptała do ucha niedo-słyszalne słowa, rozwierała mu szczękę, żeby go zmusić do krzyku i do milczenia jednocześnie, złapała jego dłoń, napluła do wnętrza i prowadziła ją tam, gdzie chciała, wiła się, chwiała, przesuwiała go, o mało go nie roztrzaskała, o mało go...

I niech będzie przeklęty. Niech będzie przeklęty ten, którym był. Przeklęte uczucia. Przeklęta. Odepchnął od siebie to przeklęte oszustwo.

Nie chciał w ten sposób.

A przecież wszystko sobie wcześniej nakreślił w swoich fantazjach. Najwstrętniejszą rozpustę, najbardziej nieprawdopodobne scenariusze, porwane ubrania, ból, rozkosz, błagalne jęki, ślinę, spermę i pocałunki, i... Wszystko. Przewidział wszystko, tylko nie to. Za bardzo ją kochał.

Zbyt mocno, zbyt głupio, nieważne, po prostu - za bardzo.

- Nie mogę - jęknął. - Nie mogę tak...

Zastygła i stała tak przez chwilę, zdumiona, zanim opadła w przód i oparła się czołem o jego pierś.

- Przepraszam - ciągnął Charles. - Przepra...

Po raz ostatni poruszyła biodrami, ześlizgnął się materiał sukienki. Ubrała Charles'a w milczeniu, uśmiechnęła się, dostrzegłszy sporą liczbę dziurek, które bolały nad utratą swoich guzików, i wreszcie, delikatniejsza, z rękoma wzdłuż ciała, pozwoliła się objąć.

Przepraszam. Przepraszam. Jedynie tyle potrafił powiedzieć. Nie wiedząc zresztą, czy zwraca się do niej, czy do niego.

Do jej pięknej duszy czy do swojego krocza. Przepraszam.

Przytulał ją mocno, oddychał jej w kark, głaskał po włosach, odzyskiwał dwadzieścia lat opóźnienia i dziecię straconych minut. Słyszał bicie jej serca, powstrzymywał ten kataklizm, czuł, jak od oklasków dobiegających zza drzwi drżą klepki parkietu, i szukał... innych słów. Innych słów.

- Przepraszam.

- Nie... to ja... - zabrzmiał cichy głosik i zaraz się załamał. - Ja... myślałam, że dorosłeś.

Ktoś krzychał jego imię. Ktoś go szukał w ogrodzie. Charles! Zdjęcie!

- Idź. Idź do nich. Zostaw mnie. Później dołączę.

- Anouk...

- Powiedziałam: zostaw mnie.

„Ja dorosłem” - to jej chciał odrzec, ale ton, jakim wymówiła ostatnie słowa, zbił go z tropu. Więc wykonał rozkaz i poszedł pozować z siostrami, dla rodziców, jak przystało na dobrego syneczka.

\* \* \*

Claire zgasła światło. Usunęła ciężę.

A Alexis nie przestawał się staczać. Chociaż nadal grał niczym bóg, jak twierdzono. Charles wyjechał. Najpierw do Portugalii, później do Stanów.

Z Massachusetts Institute of Technology wywiózł piękny medal, zasób słownictwa wystarczający, by tłumaczyć piosenki o miłości, i australijską narzeczoną.

Zgubił ją w drodze powrotnej.

Cierpiał z tego powodu. Bardzo cierpiał. Aby temu zaradzić, zdobył ostatni dyplom. Zapisał się do związku. Przykręcił do drzwi odpowiednią tabliczkę. Z nieznanym mu powodów wygrał konkurs zdecydowanie wykraczający poza zasięg jego własnych horyzontów. Naharował się po łokcie. Wyniósł z tego naukę, że „odpowiedzialność niezależnego architekta jest nieograniczona i musi dotyczyć wszystkiego, co mówi, robi i pisze”; boleśnie odczuła to również jego kieszeń. Zaczął więc wymagać potwierdzenia odbioru po każdym ruchu ołówkiem. Założył spółkę z chłopakiem znacznie bardziej utalentowanym od niego, lecz znacznie mniej sprytnym. Odstąpił mu splendory, flesze i wywiady. Usunął się w cień, poczuł ulgę, wziął na siebie czarną robotę i od tej pory dbał, żeby grunt był zawsze odpowiednio przygotowany.

Spotykał się z Anouk. Jadał z nią przyzwoite kolacje, podczas których rozmawiali wyłącznie o jednym: o jego dzieciństwie. Nadal cholernie mu się podobała, ale już nigdy nie dał jej okazji, by się tego domyśliła. Umarła mu babcia. Definitywnie zerwał znajomość z Alexisem. W tamtych latach stracił pierwszą garść włosów i zyskał, z podniesionym wysokim czołem - pewną reputację. Znak jakości, „wzorcowość”, jak mówią hodowcy. Po raz ostatni trzymał ją za rękę. Nie miał siły patrzeć, jak się pograża. Odwołał jeden obiad, miał dużo pracy, później drugi. I trzeci.

Odwołał wszystko.

Wypełniał rubryki, kupował ściany, miewał przygody, przestał chodzić do knajp jazzowych, które zawsze przyprawiały go o lekki smutek, wreszcie spotkał, przy okazji jednej z fuch bez faktury, miłośnika marmuru, który miał piękną żonę.

Zbudował domek dla lalek. I się do niego wprowadził.

Skończył, śpiąc niemal na podłodze, na rozkładanej kanapie, pijany, pośród ścian, które widziały wszystko. Czyli - niewiele.

Wrócił do punktu wyjścia, stracił jedną i drugą, a może także i trzecią, i wiedział, że za kilka godzin będzie go potwornie bolał kręgosłup.

## 8

Charles wrócił do domu w tym samym czasie co Mathilde i przystał na to, co Laurence szumnie nazwała rozmową i na czym tak jej zależało tamtego wieczoru, w sobotę, gdy byli sami w mieszkaniu.

Ale to wcale nie była rozmowa. Raczej długa skarga. Któryś tam z kolei proces. Na koniec nawet się rozplakała. Po raz pierwszy poczuł, że go to rusza. Wziął ją za rękę. Zatuszowała swą niezręczność, opowiadając o niechybnym spadku estrogenów i rozstroju hormonalnym. Dodała, że on nie może tego zrozumieć, i wyjęła rękę z jego dłoni. Zatuszował swoją niezręczność, otwierając butelkę szampana.

- Świątujemy suchość mojej pochwy? - parsknęła, biorąc od niego kieliszek.

- Nie. Moje urodziny.

Stuknęła się w czoło i ucałowała go.

Chwilę później przyszła Mathilde. Była z koleżankami na pchlim targu. Natychmiast zamknęła się w swoim pokoju, zostawiwszy za sobą niewyraźne „brywieczór...” i przydeptane balerinki.

Laurence westchnęła z zażenowania i chyba trochę z ulgi, że nie jest osamotniona w swojej ignorancji...

W tej samej chwili Panna Pędziwiatr pojawiła się z powrotem, niosąc wielką pakę, niestarannie owiniętą w gazetowy papier.

- Powiem ci, że ekhem-wsko długo szukałam tego dla ciebie, wiesz?

I z szerokim uśmiechem podała mu prezent.

- Byłam tam w każdą sobotę!

- A ja myślałam, że się uczysz z Camille do testu! - zgasiła ją matka.

- Fakt, Camille bardzo mi pomogła! Zostało trochę bąbelków?

Charles uwielbiał tego dzieciaka.

- Nie otworzysz?

- Już. - Uśmiechnął się. - Ale... trochę dziwnie pachnie, nie?

- No. - Wzruszyła ramionami. - Nic dziwnego. Śmierdzi starością.

Charles klasnął w dłonie.

- To co? Robimy jak zwykle, dziewczyny? Zabieram was na kolację do Maria?

- No, ale chyba nie pójdziesz w tym - zakrztusiła się Laurence.

Nie słyszał jej. Podziwiał swoje odbicie w wystawach sklepowych i w zachwyconych oczach pasierbicy.

- Co wy jeszcze wymyślicie...? - dobiegło go zza pleców zrządzenie.

Ta, która uwiesiła się na jego ramieniu, zapewniła:

- Ja uważam, że wyglądasz megaelegancko... Odpowiedział, że też tak myśli.

To był płaszcz marki Renoma z lat siedemdziesiątych. Nieprzemakalne cacko z przetartym kołnierzem i rękawami, które sięgały Charles'owi do łokci. Bez paska, niestety, i bez kilku guzików.

W dodatku w paru miejscach podarty.

Śmierdzący.

Naprawdę.

Ale... Niebieski.

\* \* \*

Wieczorem nie było rymy wyślubionej w haftowanej kołdrze, był za to przygotowany w ostatniej chwili prezent, opakowany w uroczą koszulkę nocną.

Żeby przerwać niezręczną sytuację, Charles przekręcił się na bok.

Milczenie, które nastąpiło po tej pantomimie, było... dość ciężkie. Żeby nieco je rozładować, zażartował gorzko:

- To pewnie solidarność... Najwidoczniej moje hormony nie są bardziej posłuszne od twoich.

Rozbawiło ją to, taką miał przynajmniej nadzieję, i po pewnym czasie zasnęła. On - nie.

To była jego pierwsza wpadka.

A przecież tydzień wcześniej, gdy zdobył się na odwagę i spytał w aptece o coś na te przekłete włosy, które ostatnio wypadały garściami, usłyszał, że nic na to nie można poradzić, że to nadmiar testosteronu.

- Proszę to traktować jak oznakę męskości... - doradził mu na koniec aptekarz z uroczym uśmiechem (był łyśy jak kolano).

Czyżby?

Następna zagadka, która wymykała się prawom jego pięknej logiki.

To o jedną zagadkę za dużo. O tę najbardziej poniżającą.

A teraz stop - pomyślał. Stop. Musi się uwolnić od ciężaru tych wszystkich nedorzeczności, pozbyć się po-  
zy Kłapouchego i odbić od dna.

Nie dotrzymuje obietnic, ucieka z konferencji na końcu świata, wywala w błoto firmowe pieniądze, traci czas w zrujnowanych opactwach, gada z duchami, wskrzesza zmarłych, żeby ich prosić o wybaczenie, i sprawia mu to chorą przyjemność, niszczy sprzęt, strzela sobie w płuca i łamie kręgosłup. W łóżku, w którym przespał młodość... no dobra, to wszystko ostatecznie ujdzie. Ale żeby przestał mu stawać? Co to, to nie!

- Rozumiesz? Stop! - powtórzył głośno, żeby upewnić się, że dotarło.

I żeby udowodnić sobie własną dobrą wolę, zapalił światło. Sięgnął na półkę i zanurzył się w rozporządzeniu z 22 marca 2004 roku dotyczącym „odporności na działanie ognia produktów, elementów konstrukcyjnych i budowli”.

Dyrektywy, decyzje, kodeks, dekret, rozporządzenia, opinia komitetu, propozycje dyrektora do spraw bezpieczeństwa cywilnego, dwadzieścia pięć artykułów i pięć załączników.

Potem zasnął, głaszcząc penisa.

Och. Ledwo ledwo.

Delikatny kuksaniec wymierzony przez wycofującego się generała najwierniejszemu z wiarusów. Wracajmy, stary, wracajmy.

Kruki zrobią resztę.

Zrobił tak, jak powiedział: odrzucił wszystko. Tristana, Abelarda, Marcelka Prousta i całą tę bandę kretyków.

Nie zauważył nadejścia wiosny. Pracował jeszcze więcej niż zwykle. Grzebał w rzeczach Laurence i podkładał jej tabletki nasenne. Obozował na kanapie, wrócił do sypialni, gdy minęło niebezpieczeństwo niemożliwej sytuacji intymnej, zapuścił brodę, na co jego współlokatorki zareagowały zrazu narzekaniem, następnie pogroźkami, a w końcu - obojętnością.

Był. I go nie było.

Wykańczał się, obiecując coś w zamian, ale bez żadnych konkretów. Udawał skupienie, kiedy ktoś się do niego zwracał, i prosił o dodatkowe informacje, gdy rozmówca był już nieosiągalny.

Nie słyszał szeptów za swoimi plecami.

I jakoś nie mógł zrozumieć, czemu zawieszono mu tyle projektów. Wybory - tak mu odpowiadano. Ach, tak... Wybory...

Rozwiązywał skomplikowane problemy, całe godziny spędzał przy telefonie i na niekończących się spotkaniach mężczyzn i kobiet, którzy operowali coraz to innymi skrótami. Biura weryfikacji, komitety obrony, misje koordynacyjne, centra badań, kontrolerzy techniczni, Socotec i biuro Veritas, do wyboru do koloru, nowe poprawki do KB, narzucające obowiązkowe zastosowanie CB we wszystkich BUP należącym do czterech pierwszych kategorii, w BW i budynkach klasy C. Tłumy w izbach przemysłowych, merowie megalomani, niekompetentni zastępcy, szaleni prawodawcy, nieuczciwi przedsiębiorcy, głosiciele alarmujących prognoz i sprawozdawcy wszelkiej maści.

Pewnego ranka jakiś głos przypomniał mu, że trwające obecnie budowy produkują 310 milionów ton odpadów rocznie. Pewnego wieczoru inny głos, już nie tak agresywny, w związku z projektem, który zapowiadał się piekielnie, przedstawił mu liczbowy wykaz istniejących zagrożeń.

Był wykończony, nie słuchał, ale zapisał w notesie słowa „istniejących zagrożeń”.

- Miłego weekendu!

Młody Marc z wielką torbą na ramieniu przyszedł się pożegnać, ale ponieważ boss nie zareagował, dorzucił:

- A pan w ogóle pamięta jeszcze to słowo?

- Słucham? - Odkręcił się na krześle przez grzeczność i żeby na chwilę wybić się z letargu.

- „Weekend”, zna pan to słowo? Dwa absurdalne dni pod koniec tygodnia...

Charles wykrzywił twarz w znużonym uśmiechu. Lubił tego chłopaka. Odnajdywał w nim niektóre ze swoich dawnych cech...

To dość głupkowate rozgorączkowanie, nienasyconą ciekawość, potrzebę posiadania mistrzów i wysysania z nich, co tylko się da. Potrzebę czytania absolutnie wszystkiego na ich temat, zwłaszcza tego, do czego najtrudniej dotrzeć. Wyszukiwanie szalonych teorii, trudno dostępnych wykładów, faksymiliów szkiców, kompendiów tłumaczonych na angielski, wystrzelonych w kosmos, wysłanych do diabła, których nikt nigdy nie był w stanie zrozumieć. (I tu, przy okazji, Charles dziękował niebiosom, bo gdyby w czasach jego młodości istniał Internet i wszystkie związane z nim pokusy, przepadłby ze szczętem...)

Tak jak Charles w młodości, Marc miał skłonność do wzmożonej pracy, cechowała go podobna uprzejma dyskrecja i opory przed przechodzeniem na „ty” oraz ta pewność siebie, która nijak się miała do ambicjonalnych

rozgrywek, ale za to pozwalała wierzyć, że Nagroda Pritzкера to, daję słowo, bardzo prawdopodobna opcja. Miał nawet - nawet! - taką samą długą czuprynę, która wkrótce zacznie się przerzedzać...

- A gdzie się pan wybiera taki obładowany? - odezwał się. - Na koniec świata?

- Tak, prawie. Na prowincję... Do rodziców...

Charles miał ochotę przedłużyć nieco tę chwilę nieoczekiwanego porozumienia. Kontynuować rozmowę, spytać na przykład: „Ach, tak? Na prowincję? A dokładnie? Dokąd?”, albo zagaić: „Zawsze zastanawiałem się, z którego jest pan rocznika...”, albo może: „Jak to się właściwie stało, że wylądował pan u nas?”, ale był zbyt wyczerpany, niestety, żeby się złapać tej deski ratunku. Dopiero gdy ów błyskotliwy dryblas ruszył ku wyjściu, Charles zauważył, że z jego torby wystaje książka.

Oryginalne wydanie *Delirious New York* Rema Koolhaasa.

- Widzę, że pan nadal w okresie holenderskim.

Zaczął się jąkać jak dzieciak przyłapany na wtykaniu palców w konfitury:

- Tak, przyznaję... fascynuje mnie ten facet... serio... i...

- Świetnie pana rozumiem! Dzięki tej książce Koolhaas dał się poznać w Ameryce i zyskał renomę, nie postawiwszy ani jednego budynku... Proszę zaczekać... Wyjdę z panem.

I wystukując kod alarmu, dorzucił:

- W pańskim wieku byłem strasznie ciekawski i miałem szczęście przyglądać się wielu zapierającym dech w piersi pokazom, ale tylko raz zaniemówiłem z podziwu i było to, wic pan, gdy Koolhaas prezentował projekt biblioteki uniwersyteckiej dla Jussieu, w osiemdziesiątym dziewiątym...

- Tę sztukę z wycinanką?

- Tak.

- Ach! Szkoda, że nie mogłem tego zobaczyć!

- To było naprawdę... jak to powiedzieć... inteligentne... Tak, trudno mi znaleźć inne słowo, inteligentne...

- Ale podobno to stary numer. Podobno robi to za każdym razem...

- Tego nie wiem...

Zeszli po schodach ramię w ramię.

- ...ale wiem na pewno, że powtórzył to co najmniej raz, bo przy tym byłem.

- Nie? - Młody znieruchomiał, podtrzymując torbę.

Wstąpili do pobliskiego baru i Charles po raz pierwszy od miesiący przypomniał sobie, na czym polega jego zawód. Opowiadał.

W 1999 roku, czyli dziesięć lat po „szoku Jussieu”, dzięki znajomości z facetem z grupy inżynieryjnej Arup miał okazję zająć miejsce w Benaroya Hall w Seattle i obejrzeć jeden z najlepszych show, jakie widział w życiu. (Wliczając w to wybryki Niani). Na błyszczącej świeżością widowni - wszyscy, których władze miasta zaliczyły do grona bogatych darczyńców, praworządnej burżuazji i *powerful citizens*. Rozbiegane walkie-talkie i sznury limuzyn wzdłuż Trzeciej Alei.

Kilka miesięcy wcześniej ogłoszono konkurs na projekt gigantycznej biblioteki. Uczestniczyli w nim także Pei i Forster, ale dwa zwycięskie projekty należały do Stevena Halla i Koolhaasa. Praca pierwszego była dość marna, ale cóż, to był ich człowiek, chłopak z okolicy, a to mocno przeważało szalę. *Buy american, you know...*

Nie, on nie opowiadał, on przeżywał to jeszcze raz. Wstawał, rozkładał ramiona, siadał z powrotem, odsuwał kufle, bazgrał coś w szkicowniku i tłumaczył, w jaki sposób ten geniusz, wtedy pięćdziesięcioletni, czyli niewiele tylko starszy niż on dzisiaj, przedstawivszy swój projekt w sposób bardzo teatralny, przy użyciu jednej białej kartki, ołówka i nożyczek - kreśląc w powietrzu kształt budynku, rozkładając i składając pocięty papier - mógł wygrać ten konkurs i uzyskać zgodę na realizację, której ostateczny budżet wyniósł 270 milionów dolarów.

- To był zwykły format A4!

- Tak, tak, rozumiem... pięć gramów za dwieście siedemdziesiąt milionów...

Zamówili jajecznicę, więcej piwa, i Charles, ponaglany pytaniami swojego ucznia, dalej rozkładał na czynniki pierwsze postać wielkiego architekta. Analizował, w jaki sposób jego wyczucie formuły matematycznej, złożoność, zamiłowanie do diagramów, jego nastrój, witalność umysłu, a nawet skłonność do szyderstwa umożliwiły mu przekazanie, w czasie niespełna dwóch godzin i w sposób jasny i zrozumiały, skrajnie skomplikowanej wizji.

- To ten budynek z poprzesuwanymi względem siebie platformami?

- Właśnie ten. Gra poziomów w kraju, gdzie wszystko pnie się ku niebu... Proszę przyznać, że to dość szalony pomysł... Nie mówiąc już o ograniczeniach wynikających z ruchów sejsmicznych i o całkiem nieprawdopodobnych parametrach technicznych. Facet, o którym panu mówiłem, ten z Arup, opowiadał mi, że o mało nie oszaleli...

- Widział pan realizację?

- Nie. Nigdy. Zresztą nie to lubię w nim najbardziej.

- Proszę mi opowiedzieć.

- Słucham?

- Co pan lubi najbardziej...

Kilka godzin później wypchnięto ich na ulicę i stali tak jeszcze długą chwilę, oparci o dach samochodu Marca, konfrontując swoje gusta, opinie i dwudziestoletnią różnicę wieku.

No dobrze, muszę już jechać. Nie zdążyłem na kolację, ale postaram się przynajmniej dotrzeć na śniadanie...

Rzucił torbę na tylne siedzenie i zaproponował Charles'owi, że go podwiezie. Charles skorzystał z okazji i zapytał, gdzie mieszkają jego rodzice, z którego jest rocznika i jak to się stało, że wylądował u nich.

Z pańskiego powodu...

Jak to z mojego? - Wybrałem staż w tym biurze z pańskiego powodu.

To dopiero dziwny pomysł...

No... i do czego to doprowadziło... Skończyło się na tym, że musiałem się nauczyć naprawiania drukarek - odgryzł się z uśmiechem cień jego młodości.

W drzwiach zderzył się ze szkolnym plecakiem Mathilde.

„SOS, najdroższy Ojczyźnie, ukochany z całego serca, nie mogę zrobić zadania, a mam je na jutro (jest na ocenę i będzie się liczyć do średniej) (jeżeli wiesz, co mam na myśli...)”

PS: pliz, LITOŚCI, żadnych objaśnień! Same odpowiedzi.

PSS: wiem, nadużywam, ale gdybyś tym razem się przyłożył i zadbał o ładne pismo, byłabym wdzięczna.

PSSS: dzięki.

PSSSS: dobranoc.

PSSSST: uwielbiam Cię”.



Na ciało o masie 2 kg działają cztery siły w płaszczyźnie  $xy$ :  $F_1[0,7N]$ ,  $F_2[0, 5N]$ ,  $F_3 [-8N, 2N]$ ,  $F_4 [4N, 0]$ .

- oblicz współrzędne siły wypadkowej oraz jej wartość;
- oblicz współrzędne i wartość wektora przyspieszenia ciała;
- podaj kąt i  $B$ , jakie wektor przyspieszenia tworzy z osiami  $x$  i  $y$ ;
- oblicz współrzędne siły równoważącej układ czterech danych sił.

Z palcem w nosie...

I Charles znowu usiadł przy stole w opustoszałej kuchni. Otworzył wychudzony piórnik, zaklął na widok ogryzionych ołówków, wyjął własny przyborek i przyłożył się, kreśląc krągłe litery.

A obliczając ów kąt i  $B$ , skupiając się na osi  $x$  i  $y$ , tnąc papierową kalkę, nie mógł się powstrzymać i w myślach mierzył przepaść dzielącą go od Rema Koolhasa...

Pocieszał się, że przynajmniej - i to się liczyło do średniej - jest w ostateczności uwielbiany.

Spał kilka godzin, kawę wypił na stojąco, sprawdził nieuważnie swoje obliczenia i na wczorajszej kartce od Mathilde dopisał: „Przesadzasz”, nie precyzując, czy jest to odpowiedź na jej ostatnie postscriptum, czy na radosną prośbę.

Aby jej podpowiedzieć, wyjął z kieszeni swojego staedlera i wrzucił go pomiędzy puste naboje do pióra, ogryzki biców i karteluszek zagryzmołonych błędami ortograficznymi.

„Jak by sobie poradziła, gdybym odszedł?” - pomyślał, wkładając marynarkę. A ja? Jak...

Czekała na niego taksówka, która odwoziła go do innych zadań.

- Na który terminal?

Na byle który, jest mi to całkiem obojętne.

- Proszę pana...

- Na C - odpowiedział.

I znowu, znowu ten licznik.

## 10

Korki były dantej... a raczej - dostojewskie. Potrzebowali niemal czterech godzin na pokonanie trzydziestu kilometrów, byli świadkami dwóch poważnych wypadków i obejrzeni festiwal stłuczek.

Wpychali się na przeciwny pas, wyzywając niezadowolonych od najgorszych, jechali poboczem, zakręcając szyby, by się chronić przed kurzem, podskakiwali na spektakularnych dziurach w asfalcie i rozpychali się wśród mniejszych samochodów, traktując je zderzakiem made in Zachód.

Gdyby mogli, przejechaliby nawet po rannych.

Szofer pokazywał na szosę, a później na pokrętko od wycieraczek, i wyglądał na tak ubawionego swoim żartem, że Charles mocno się wysilił, by zrozumieć jego narzecze. To na krew - bełkotał - ty rozumieć? Krew! *Krowi* Cha, cha. Dobrze.

Było duszno, stężenie spalin w powietrzu osiągało szczyty, migrena przeszkadzała Charles'owi skupić się na przygotowaniach do jutrzejszego spotkania. Łykał proszek z saszetek i przejeżdżał językiem po dziąsłach, żeby przyspieszyć działanie aspiryny. Papiery zsunęły mu się do stóp i tak już zostały.

No, już... Włączył wreszcie te kurewskie wycieraczki i skończmy z tym.

Gdy - nareszcie - pod czujnym okiem hotelowych osiłków Wiktor życzył mu dobrej nocy, Charles nie miał siły zareagować.

- Bla, bla, *szto żalujeties?* Charles spuścił głowę.

- Bla, bla, bla, *bolnyj?* Rozluźnił rękę na klamce.

- *Musit staboje*, bla, bla, *wodki!* - zdecydował Wiktor, ruszywszy z kopyta.

Jego uśmiech rozświetlił lusterko wsteczne.

Zapuszczali się w coraz ciemniejsze uliczki i gdy ich samochód zaczął zbyt kłuć w oczy, Wiktor powierzył go bandzie podeksycytowanych dzieciaków. Udzielił im wskazówek, groźnie zamachnął się wielką ręką, pokazał plik banknotów, który natychmiast włożył z powrotem do kieszeni, i na zachętę zostawił paczkę papierosów.

Charles wypił jeden kieliszek, drugi i zaczął się rozluźniać, trzeci... obudził się o świcie pośród budowlanych baraków. Nie pamiętał niczego, co zdarzyło się między „trzecim” a chrapaniem, które doszło go z sąsiedniego zagłówka. Czarna dziura.

Po raz pierwszy w życiu poczuł, że zapach własnego oddechu... zbija go z tropu.

Światło dnia rozsadzało mu czaszkę. Doczłapał do pompy, ochlapał się wodą, poczekał, aż wrzód kaca napuchnie i wreszcie pięknie, zwymiotował, wstając, i znów się ochlapał.

Nie musiał kartkować rozmówek francusko-rosyjskich, by zorientować się, że Wiktorek ma z niego niezły ubaw.

Wreszcie szofer zlitował się, podszedł i podał mu butelkę.

- Pij, przyjacielu. Dobre!

Proszę, proszę. Jego pierwsze francuskie słowa... To musiała być, jak widać, noc poliglotów... Charles zrobił, jak mu kazał, i...

*Spasibo, dorogoj! Wkusno!* Poczował się świeżo.

Kilka godzin później nazwał Pawłowicza gnojkiem i zrobił mu takiego „niedźwiedzia”, że omal go nie uduśli. Stało się, był Rosjaninem.

Zaczął trzeźwieć na lotnisku, gdy postanowił przeczytać swoje... notatki (?), a całkowicie oprzytomniał, gdy zadzwonił Philippe i zaczął go opieprzać.

- Słuchaj, rozmawiałem przed chwilą z tym szpiclem Beckerem... Co to znów za burdel z tym szalowaniem podwójnych belek na B minus jeden? Do jasnej cholery, czy ty sobie zdajesz sprawę, ile my dziennie tracimy pieniędzy? Zdajesz sobie...

Charles odsunął telefon od ucha i przyjrzał mu się nieufnie. Mathilde, która, nawiasem mówiąc, sama przejmowała się tym tyle co zesłorocznym śniegiem, powtarzała mu w kółko, że to urządzenie jest pełne rakotwórczych zagrożeń. „Przysięgam! To jest tak samo szkodliwe jak mikrofalówka!” Ech... - westchnął, zaciskając mocniej rękę na słuchawce, żeby stłumić gromy współnika - ta mała ma bez wątpienia rację.

Otworzył książkę na chybił trafił, kupił bez gadania siedemnaście wybornych ogierów od oficera kawalerii w stanie spoczynku, właściciela wspaniałych koni, tkalni dywanów, stuletnich likierów i starego tokaja, po czym udał się z Mikołajem Rostowem na bal u gubernatora Woroneża.

Razem z nim zagiął parol na ponętą blondynkę, którą obsypywał „mitologicznymi” komplementami.

Gdy podszedł jej mąż, gwałtownie wstał. Wysłuchał poleceń, pokazał dokument przewozowy, rozpiął pasek, zdjął buty i szablę, i surdut, i włożył wszystko do pojemników z plastiku.

Czujnik ni stąd, ni zowąd zabręczał, Charles przeszedł na bok i pozwolił się obmacać.

- Ach, ci Francuzi - zgrzytnął Nikita Iwanycz, szczypiąc żonę w kark. Wszyscy tacy sami...

## 11

Nic nie jadł, powstrzymywał się od picia, łagodził wątrobę za pomocą tabletek musujących, masował skroń, zaciągał rolety i odsuwał lampę, a i tak efekty pamiętnej popijawy nic miały zamiaru odpuścić.

Ubieranie się, jedzenie, picie, spanie, mówienie, milczenie, myślenie - wszystko - wszystko mu ciążyło.

Czasem przez głowę przemykał mu niepokojący i nieprzyjemny wyraz na „d”. Trzy sylaby. Dręczyły go trzy sylaby i... Nie. Zamknij się. Bądź ponad to. Schudnij jeszcze i wydostań się z tego gówna. To nie dla ciebie. Zresztą i tak nie masz czasu na depresję. Idź do przodu.

Nawet jeśli miałbyś zdechnąć po drodze, to nic. Byle do przodu.

Zbliżało się lato, jeszcze nigdy dni nie ciągnęły mu się tak jak teraz i wróciły wszystkie wymienione wcześniej stany, ta sama, co zawsze, długa litania czasowników w czasie przeszłym (a czas przeszły, jak pamiętamy, wskazuje i nazywa czynność wcześniejszą niż moment mówienia czy pisania o niej). Był, mógł, musiał. Zrobił, powiedział, przyjął. Poszedł, poobserwował, przerwał.

Wytrzymał, otrzymał.

Otrzymał z recepcji pewnej lecznicy polecenie stawienia się poza godzinami przyjęć pacjentów.

Rozebrał się, zważono go. Obmacano mu szyję, zmierzono puls, obadano łeb. Spytano go, co widzi i co słyszy. Poproszono o większą precyzję. Kazano określić, czy ból jest miejscowy, czołowy, potyliczny, mózgowy, genitalny, grypowy, zębowy, gwałtowny, poranny, ogólny... Czy...

- Boli mnie tak, że chodzę po ścianach - uciął Charles. Lekarz z westchnieniem wypisał receptę.

- Ja tu niczego nie widzę. Może to stres? I unosząc głowę, dorzucił:

- Proszę mi powiedzieć... Ma pan jakieś lęki?

*Danger, danger*, zamigotały resztki instynktu samozachowawczego. Byle do przodu, pamiętaj.

- Nie.

- Bezsensowność?

- Nie.

- Proszę posłuchać, przepiszę panu środki przeciwzapalne, ale jeśli bóle nie ustąpią w ciągu kilku tygodni, trzeba będzie zrobić tomografię...

Charles nie zareagował. Wyjmując książeczkę czekową, zastanawiał się tylko, czy ta maszyna wykrywa kłamstwa. I zmęczenie... I wspomnienia...

Zdradzoną przyjaźń, stare cioty wykastrowane w szaletach, cmentarze przy torowiskach, poniżającą czułość kobiety, której nie umiał zaspokoić, miłe słowa, wydzielane w zamian za dobre oceny, a do tego tysiące ton metalowych konstrukcji, które gdzieś w moskiewskich obłastiach prawdopodobnie nigdy niczego nie udźwigną.

Nie, nie miał lęków. Miał po prostu trzeźwe spojrzenie.

W domu panowało zamieszanie. Laurence przygotowywała sezonowe obniżki (albo nowy pokaz, Charles nie dosłyszał), a Mathilde pakowała walizki. W przyszłym tygodniu leciała do Szkocji, *to improve*, a później miała dołączyć do kuzynów na wybrzeżu baskijskim.

- A jak tam test?

- Uczę się, uczę - rzuciła, kreśląc długie arabeski na marginesach zeszytów. - Akurat powtarzam figury stylistyczne.

- Właśnie widzę. Dość zawiły ten twój styl, co?

Mieli dojechać do niej na początku sierpnia i spędzić tydzień we troje, a potem odwiedzić ją do ojca. Przez chwilę była mowa o Toskanii, ale Laurence przestała o tym wspominać, a Charles'owi nie chciało się wracać do tematu Sieny i cyprysów.

Wcale nie zachwycała go wizja spędzenia urlopu w jednej willi z ludźmi, których poznał kilka tygodni wcześniej na jednym z tych ciągnących się bez końca przyjęć w mahoniowym kurniku swojej szwagierki.

- No? Jak ci się podobają? - zapytała go Laurence w drodze powrotnej.

- Są przewidywalni.

- Oczywiście.

W tym jej „oczywiście” brzmiały nuty znużenia, ale cóż innego miał jej powiedzieć? Że są pospolici?

Nie. Nie mógł... Było zbyt późno, zbyt daleko do łóżka, a rozmowa była zbyt... Nie.

Może powinien był raczej powiedzieć, że są przewidyujący? Tak dużo mówili o zniesieniu podatków... Tak... Może powinien... Milczenie w samochodzie byłoby bardziej znośne.

Charles nie lubił wakacji.

Znowu wyjazd, zdejmowanie koszul z wieszaków, pakowanie walizek, wybieranie, liczenie, selekcja książek, pokonywanie kilometrów, mieszkanie w szkaradnych wynajętych domach albo - tak, znowu - lądowanie w hotelowych korytarzach, używanie hotelowych ręczników śmierdzących pralnią chemiczną, wygrzewanie się przez kilka dni na słońcu, powtarzanie sobie: ach, nareszcie... robienie wszystkiego, żeby w to uwierzyć, i koniec końców - znużenie.

A on lubił eskapady, spontaniczne wyprawy, zaburzony porządek tygodnia. Lubiał, pod pretekstem spotkania na prowincji, zbaczać z autostrady.

Kręciły go oberże w stylu Pod Białym Koniem, gdzie talent szefa kuchni wynagradzał ohydę wystroju wnętrza. Stolice świata. Ich dworce i schody, ich rzeki, ich historia i architektura. Opustoszałe muzea pomiędzy jednym roboczym spotkaniem a drugim, miasteczka bez miast bliźniaczych, pagórki bez punktów widokowych i kawiarnie bez ogródków. Chciał widzieć wszystko, nie chciał być turystą. Nigdy więcej nie wbijać się w ten nędzny kostium.

Słowo „wakacje” miało sens, gdy Mathilde była mała i gdy na plażach całego świata wygrywali razem konkursy na zamek z piasku. Jakież Babilony wznosił wtedy Charles między przyływem a odpływem! Jakież miniatury Taj Mahal dla maleńkich krabów... Spalony słońcem kark, komentarze gapiów, muszelki i mleczne szkiełka... Ileż talerzy odsunął, by dokończyć rysunek na papierowej serwetce, ileż sprawił forteli, by ukołysać mamę i nie obudzić przy tym córki, ile było beztroskich śniadań, podczas których troszczył się jedynie o to, by portretować je obie, nie pozostawiając okruszków na kartkach szkicownika.

Tak, same akwarelki... i jak pięknie rozpląwały się pod jego pędzlem...

I jak to było dawno...

- Jakaś pani Béramiand prosi o rozmowę...

Charles rozparcelowywał właśnie codzienną porcję korespondencji. Ich projekt siedziby Borgen & Finker w Lozannie został odrzucony.

Na barki spadła mu tona ołowiu.

Dwie linijki. Żadnego uzasadnienia, żadnych argumentów. Nie motywuje się takiej porażki. Grzecznościowa formułka była dłuższa od ich pogardy.

Położył list na biurku swojej asystentki.

- Do archiwum.

- Mam skopiować dla pańskich kolegów?

- Jeśli się pani chce, Barbaro, jeśli się pani chce... Powiem pani, że...

Setki, tysiące godzin pracy poszły z dymem. A spod popiołu wzywały inwestycje, straty, skarb państwa, banki, operacje finansowe, czekające ich negocjacje, rekalkulacja stawek, energia.

Energia, której zaczęło brakować.

Był już dość daleko, gdy asystentka rzuciła:

- A co z tą panią?

- Słucham?

- Bérám...

- W jakiej sprawie?

- Niezbyt dobrze zrozumiałam. Coś osobistego...

Charles zmiótł ostatnie zdanie pełnym zniecierpliwienia gestem.

- Tak samo. Do archiwum.

Nie zszedł na obiad.

Gdy przepadał jakiś projekt, w jego miejsce natychmiast powinien pojawić się nowy. Ostatnie zawodowe przekonanie, które uwarunkowało resztę jego poglądów. Nieważne co, nieważne, jaki miałby to być projekt. Świątynia, zoo, w ostateczności jego własna klatka, miał być pomysł, ruch ołówkiem i człowiek czuł się uratowany.

Siedział więc, pogrążony w lekturze wyjątkowo skomplikowanej specyfikacji technicznej, przyciskając dłoń do skroni, jak gdyby starał się skleić swoją biedną, pękającą głowę, i coś notował z zaciśniętymi zębami, gdy w drzwiach pojawiła się asystentka i chrząknęła. (Telefon odłączył z gniazdka).

- To znowu ona...

- Firma Borgen & Finker?

- Nie... ta osobista sprawa, o której mówiłam panu rano... Co mam jej powiedzieć?

Westchnienie.

- Chodzi o jakąś kobietę, którą pan dobrze znał... Charles uśmiechnął się w odruchu rozpaczliwej uprzejmości. Był jej winien ten uśmiech.

- Ach! Znałem w życiu tyle kobiet! Niech mi pani wszystko o niej opowie. Coś o jej głosie. Ma chrypkę?

Ale Barbara nie odwzajemniła uśmiechu.

- Chodzi o jakąś Anouk...

- To pan zrobił ten napis na grobie, prawda?

- Słucham?

- Wiedziałam. Charles, mówi Sylvie... Nie przypominasz mnie sobie? Pracowałam z nią w szpitalu Pitié Salpêtrière... Myłam na waszej komunii i...

- Sylvie... No jasne... Sylvie.

- Nie będę ci dłużej zajmować czasu, chciałam tylko... Lekko ochrypła.

- ...podziękować.

Charles zamknął oczy, przeciągnął ręką po twarzy, zapomniał o bólu, chwycił się za nos i próbował jeszcze powalczyć.

Przestań. Przestań natychmiast. To nic, to tylko jej emocje. To te leki, które otumaniają cię, nie przynosząc ulgi, i te perfekcyjne projekty, które coraz liczniej zalegają w waszych archiwach. Weź się w garść, do jasnej cholery.

- Jesteś?

- Sylvie?

- Tak?

- Naaa, ehem - wybąkał. - Na co ona umarła?

- Halo!

- Alexis ci nie powiedział?

- Nie.

- Ona się zabiła.

- ...

- Charles?

- Gdzie pani mieszka? Chciałbym się z panią spotkać.

- Mów mi po imieniu, Charles. Kiedyś tak się do mnie zwracałeś, wiesz... Poza tym mam coś dla...

- Teraz? Wieczorem? Kiedy?

Jutro o dziesiątej rano. Poprosił, żeby powtórzyła adres i wrócił do przerwanej pracy.

Szok. Stan szoku. Nauczył się tego słowa od Anouk. To jest wtedy, gdy ból jest tak duży, że mózg przez pewien czas odmawia wykonywania swojej pracy przekaźnika.

To jest ten stan zawieszenia pomiędzy tragedią a płaczem.

- Więc to właśnie dzieje się z kaczkami pana Canut, gdy biegają z uciętymi głowami jak szalone?

- Nie - odpowiedziała, wznosząc oczy ku niebu. - To jest tylko bardzo kiepski żart, który wymyślili wieśniacy, żeby straszyć paryżan. To zresztą strasznie głupie... Boimy się czegoś, czego nie ma, prawda?

Gdzie prowadzili tę rozmowę? Pewnie w samochodzie. Właśnie w samochodzie mówiła najwięcej głupstw.

Mieliśmy w sobie, jak to dzieci, coś z sadystów i pod pretekstem powtórki z biologii przepytawali ją zawsze z tego, co w jej pracy było najobrzydliwsze. Lubowaliśmy się w ranach, ropie i amputacjach. W szczegółowych opisach objawów trądu, cholery, wściekliczyny. Piana z ust, napady tężyczki i koniuszki przytrzaśniętych palców, które pozostawały w rękawiczkach na wieczność. Dawła się wrabiać? Oczywiście, że nie. Przejrzała na wylot

to nasze szaleństwo i przy każdej możliwej okazji ubarwiała swoje opowieści a gdy czuła, że mamy już dość, rzucała od niechcienia:

- No, ale... ból jest dobry, naprawdę... Dobrze, że istnieje... Ból pozwala nam przetrwać, moi mili... Tak, tak! Gdyby nie ból, wkładalibyśmy ręce do ognia, i chociaż klniemy, gdy przy wbijaniu gwoźdźcia uderzymy się młotkiem, tylko dzięki temu nie tracimy palców! Chcę wam przez to powiedzieć... A ten co na mnie miga? Wyprzedzaj, grubasie, wyprzedzaj! Eee... na czym to ja stanęłam?

- Gwoźdź - wzdychał Alexis. - Ach, tak! Chcę wam przez to powiedzieć, że majsterkowanie, grillowanie to fajna sprawa, sami wiecie... Lecz później, zobaczycie, pojawią się sprawy, przez które będziecie cierpieć. Powiedziałam „sprawy”, ale tak naprawdę mam na myśli ludzi... Ludzi, sytuacje, uczucia...

Na tylnym siedzeniu Alexis dawał mi znaki, że matka totalnie bredzi.

- Skoro widzę, że tamci na mnie migają, to ciebie też chyba widzę, kretynie! Chłopaki! To, co mówię, jest bardzo ważne. Uciekajcie od cierpienia, kochani. Uciekajcie biegiem. Najszybciej, jak się da. Obiecujecie?

- Jasne, jasne... Będziemy jak te kaczki, nie martw się...

- Charles?

- Słucham?

- Jak ci się udaje go znosić?

Uśmiechałem się. Dobrze się bawiłem w ich towarzystwie.

- Charles?

- Słucham?

- Zrozumiałeś, co powiedziałam?

- Tak.

- Co powiedziałam?

- Że ból jest dobry, bo dzięki niemu żyjemy, ale że trzeba przed nim uciekać, nawet gdy już się nie ma głowy.

- Liiiizus - dobiegł jęk z miejsca obok.

Czym się przygwoździłaś, Anouk Le Men? Jakimś wielkim młotem?

## 13

Sylvie mieszkała w XIX Dzielnicy, w pobliżu szpitala imienia Roberta Debré. Charles dotarł godzinę przed czasem. Przeszedł się wzdłuż bulwaru Maréchaux, wspominając tego trzymającego się zawsze prosto pana, który zaprojektował szpitalny budynek w latach osiemdziesiątych. Pierre'a Ribouleta, swojego profesora urbanistyki na ENPC.

Wyprostowany, bardzo przystojny, bardzo inteligentny. Mówił niewiele. Ale jak pięknie. Charles uważał, że jest on najbardziej przystępnym spośród wszystkich wykładowców, ale nigdy nie śmiał go zaczepić. Riboulet urodził się w zapyziałym budynku, dusznym i ciemnym, i nigdy o tym nie zapomniął. Powtarzał często, że tworzenie piękna to kwestia „oczywistej użyteczności społecznej”. Wyrażał pogardę dla konkursów i postulował powrót do zdrowej rywalizacji między pracownikami. Studenci odkryli dzięki niemu *Wariacje Goldbergowskie*, *Odę do Charles'a Fouriera*, teksty Fryderyka Engelsa i przede wszystkim - przede wszystkim - pisarza Henriego Caleta. Wzno-

sił budowie dla ludzi i dla dusz, szpitale, uniwersytety, biblioteki i - na ruinach blokowisk - mieszkania, w których żyło się godnie. Zmarł kilka lat temu, osierociwszy wiele placów budowy.

Zapewne taką właśnie drogę wymarzyła dla Charles'a Anouk...

Zawrócił i zaczął szukać rue Haxo.

Minął właściwy numer. Krzywiąc się, pchnął drzwi jakiejś knajpki, zamówił kawę, której nie miał zamiaru wypić, i ruszył w głąb sali. Trzewia znów dawały mu się we znaki.

Ciaśniej zapiął pasek. Dotarł do ostatniej dziurki.

Odrzuciło go od umywalki. Facet obok miał taką zakazaną gę... Przecież to ty, biedaku. To ty.

Od dwóch dni nie miał niczego w ustach, nie wyszedł z biura, rozłożył sobie „kozioł”, piankowy fotel śmierdzący papierosami, mało spał i przestał się golić.

Miał długie (ach, ach) włosy, ciemne sińce pod oczami i ironiczny głos.

- Dalej, Jezusie... odwagi. To już ostatnia stacja twojej drogi...

Za dwie godziny będzie po temacie.

Rzucił monetę na ladę baru i ruszył z powrotem.

\* \* \*

Była tak samo wzruszona jak on, nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Przepraszając za bałagan, zaprowadziła go do nieskazitelnie czystego pokoju i zaproponowała coś do picia.

- Ma pani colę?

- Och, przewidziałam wszystko, ale tego się nie spodziewałam... Chwileczkę...

Wróciła do sieni i otworzyła szafę śmierdzącą starymi adidasami.

- Ma pan szczęście... Dzieciaki chyba coś zostawiły...

Charles nie śmiał poprosić o lód, przełknął letnią ciecz i niemal uprzejmym tonem spytał, ile ma wnuków.

Wysłuchał odpowiedzi, nie dosłyszał liczby i zapewnił, że to fantastycznie.

Nie poznałby jej, gdyby ją spotkał na ulicy. Zapamiętał niską brunetkę, dość pulchną i zawsze wesołą. Zapamiętał jej pośladki, które były w tamtym czasie częstym tematem ich rozmów, i to, że dała im singiel Polnareffa *Bal des laze*.

Anouk szalała na punkcie tej piosenki, za to oni w pewnym momencie naprawdę mieli jej dość.

- Zamknijcie się, zamknijcie się. Słuchajcie, jakie to piękne...

- Cholera, wieszają tego faceta, wieszają i nie mogą powiesić!!! My już nie możemy, mamó, już dość.

Pamięć to dziwaczna kartoteka... Jane z piosenki, Anouk i ich narzeczoncy... Przypomniało mu się to przed chwilą.

Dziś jej włosy miały przedziwny kolor, nosiła okulary w ozdobnych oprawkach i musiała być bardzo mocno umalowana. Puder w kremie kończył się linią demarkacyjną pod podbródkiem, a brwi były wyrysowane ołówkiem. Wtedy był zbyt przerażony, by zdać sobie z tego sprawę, ale później, gdy rozmyślał o tamtym poranku, a Bóg mu świadkiem, że często wracał do niego pamięcią - wtedy zrozumiał. Zalotna kobieta przed wizytą mężczyzny, którego nie widziała od trzydziestu lat, nie mogła pozwolić sobie na mniej. Uczciwie rzecz biorąc - nie mogła.

Zajął miejsce na skórzanej kanapie, śliskiej jak woskowany papier, i postawił szklankę na spodku, między gazetką z sudoku i olbrzymim pilotem do telewizora.



Spojrzeni na siebie. Uśmiechnęli się. Charles, który był najbardziej szarmanckim mężczyzną na świecie, szukał w głowie jakiegoś komplementu, uprzejmego słowa, jakiegoś zdanka bez znaczenia, które mogłoby umniejszyć ciężar wszystkich tych warstw pudru, ale - nie. To było ponad jego siły.

Spuściła głowę, przekręciła pierścionki na palcach, każdy po kolei, i spytała:

- A więc jesteś architektem?

Spiął się, otworzył usta i już miał odrzec, że... lecz wyrwało mu się:

- Proszę mi powiedzieć, co się stało.

Chyba jej ulżyło. Miała w nosie, czy Charles jest architektem, czy rzeźnikiem, i nie mogła już dłużej dusić w sobie tego, co miała do powiedzenia. Zresztą tylko z tego powodu pozwoliła sobie tak długo naciskać na tę gęsiowatą asystentkę... Dotrzeć do kogoś, kto ją znał, pozbyć się tego balastu, odkręcić ten wentyl, zrzucić na czyjeś ramiona ten pakunek nieszczęścia i zająć się czymś innym.

- Co się stało od którego momentu? Charles zastanowił się.

- Ostatni raz widziałem ją pod koniec lat dziewięćdziesiątych... Zazwyczaj jestem bardziej precyzyjny, ale... - pokręcił głową z uśmiechem - w tym wypadku chyba bardzo się starałem stracić precyzję... Jak co roku zaprosiła mnie na kolację z okazji moich urodzin i...

Gospodyni zachęciła go, żeby mówił dalej. Mały ruch głową, serdeczny, a jednocześnie tak okrutny. Mały gest, który oznaczał: „Nie martw się, nie spiesz się, nic nas nie goni... Tak, teraz już nic nas nie goni...”

- ...to były moje najsmutniejsze urodziny... Bardzo się postarzała przez rok. Miała nabrzmiałą twarz, ręce jej drżały... Nie chciała, żebym zamówił wino, i paliła papierosa za papierosem, by się nie skusić. Pytała mnie o różne rzeczy, ale odpowiedzi miała gdzieś. Kłamała, mówiła, że Alexis jest w dobrej formie, że mnie pozdrawia, a przecież ja świetnie wiedziałem, że to nieprawda. A ona wiedziała, że ja wiedziałem... Miała na ramionach poplamiony szal, który czuć było... nie wiem... zmartwieniem... mieszanką popiołu i wody kolońskiej... Oczy zaświeciły jej się tylko raz, gdy zaproponowałem, że zawiozę ją któregoś dnia na grób Niani, nie była tam od pogrzebu. Och, tak! To świetny pomysł! - ożywiła się. Pamiętasz go? Pamiętasz, jaki był miły? Pamiętasz... I zalała się łzami wielkimi jak grochy.

Jej dłoń była lodowata. Gdy zamknąłem ją w swoich dłoniach, dotarło do mnie nagle, że ten starszy pan, który mógłby być jej ojcem i który nie lubił kobiet, to była jedyna prawdziwa miłość Anouk...

Nalegała, żebym jej o nim opowiadał. Żebym go wspominał, jeszcze i jeszcze, choć te historie znała na pamięć. Trochę się zmuszałem, po południu miałem ważne spotkanie i robiłem różne sztuczki z rękawem, żeby niepostrzeżenie spoglądać na zegarek. Poza tym ja nie miałem już ochoty go wspominać... W każdym razie nie z nią. Nie mogłem znieść widoku jej zniszczonej twarzy...

Milczenie.

- Nie zaproponowałem deseru. Po co? I tak nic nie zjadła... Zamówiłem dwie kawy i dałem kelnerowi znak, żeby od razu przyniósł rachunek, później odprowadziłem ją do metra i...

Sylvie poczuła chyba, że nadeszła chwila, w której trzeba będzie nieco mu pomóc:

- I?

- Nigdy nie zawiozłem jej do Normandii. Nigdy więcej do niej nie zadzwoniłem. Stchórzyłem. Nie chciałem jej widzieć w takim stanie, nie taką chciałem ją zachować w pamięci. Nie chciałem dawać sobie powodów do wyrzutów sumienia. To było zbyt... A wyrzuty sumienia i tak mnie męczyły, puszczały trochę, gdy wysyłałem kartki z

życzeniami. To były, oczywiście, firmowe kartki pracowni... Bezosobowe, komercyjne, nijakie, na których wielko-  
pańskim gestem dopisywałem ręcznie jedną lub dwie linijki, a do tego „całuję”, taki amortyzator. Zadzwo-  
niłem też do niej, pamiętam, może dwa razy, w tym raz, gdy moja siostrzenica połknęła niechcący jakieś lekarstwo... Aż  
wreszcie pewnego dnia moi rodzice, którzy nie widywali się z nią już od dawna, powiedzieli mi, że się wyprowa-  
dziła albo wyjechała... Chyba do Bretanii...

- Nie.

- Słucham?

- Nie do Bretanii.

- Naprawdę?

- Zamieszkała niedaleko stąd.

- Gdzie?

- Na osiedlu koło Bobigny... Charles zamknął oczy.

- Jak to? - wymamrotał. - To znaczy - dlaczego? Tylko to było pewne w jej życiu, to była jedyna obietnica,  
jaką sama sobie złożyła, dobrze pamiętam. Nigdy nie... Jak to możliwe? Co się stało?

Uniosła głowę, spojrzała mu prosto w oczy, opuściła rękę obok fotela i wyrzuciła z siebie potok słów:

- Na początku lat dziewięćdziesiątych... Być może... Nie mam pamięci do dat... Prawdopodobnie byłęś  
ostatnią osobą, z którą w tamtym czasie chodziła na kolację... Od czego mam zacząć? Trochę się pogubiłam... Chy-  
ba zacznę od Alexisa... Bo to z jego powodu wszystko się popsuło... Od lat nie miała o nim prawie żadnych wiado-  
mości. Z tego, co pamiętam, ty jako jeden z niewielu spotykałeś się z nimi obojgiem, prawda?

Charles potwierdził.

- Ciężko to znosiła... Więc zaczęła bardzo dużo pracować, kumulowała dyżury i nadgodziny, nigdy nie brała  
urlopów i szpital stał się jedynym sensem jej życia. Sądzę, że już wtedy sporo piła, ale cóż... Nie przeszkodziło jej to  
zostać oddziałową i pracować na najtrudniejszych oddziałach... Z zakaźnego przeniosła się na neurologię i wtedy ją  
spotkałam. Lubiłam z nią pracować... Chociaż oddziałową nie była najlepszą... Woląla leczyć pacjentów niż układać  
grafiki dyżurów... Pamiętam, że zakazywała chorym umierać... Wydzierała się na nich, prowokowała do płaczu, do  
śmiechu... Krótko mówiąc - robiła wszystko, czego nie powinna...

Uśmiech.

- A mimo to była nietykalna, bo najlepsza. Braki w znajomości medycyny kompensowała największą uwa-  
gą, jaką przywiązywała do stanu pacjentów. Nie tylko pierwsza rozpoznawała najmniejszą zmianę, najlżejsze obja-  
wy, ale w dodatku miała niesamowity instynkt... Miała nosa... Nawet nie wiesz, jakiego... Lekarze szybko to za-  
uważyli i planowali swoje obchody, opierając się na jej grafiku... Oczywiście słuchali pacjentów, ale gdy ona coś  
dodawała, to, możesz mi wierzyć, nie puszczali tego mimo uszu. Zawsze uważałam, że gdyby miała inne dzieciń-  
stwo, gdyby mogła studiować, zostałaby wielkim lekarzem. Jednym z tych, którzy stanowią dumę oddziałów i nigdy  
nie tracą z oczu nazwiska, imienia, twarzy ani lęków związanych z konkretną historią choroby... Westchnienie.

- Była świetna i myślę, że przywracała tym ludziom wolę życia, bo sama już jej nie miała... Otaczała opieką  
nie tylko pacjentów, lecz także ich rodziny... I te najmłodsze salowe, co to bały się chodzić do niektórych pacjentów  
i z takim trudem wsuwały baseny pod ciała, że... Dotykała ludzi, brała ich pod ramiona, głaskała, wracała po dyżu-  
rze, bez fartucha i w lekkim makijażu, żeby ci, których nikt nie odwiedzał - albo przestał odwiedzać - mieli wraże-  
nie, że przyszła z wizytą. Opowiadała im różne historie, pamiętam, że dużo mówiła o tobie... Twierdziła, że jesteś

najinteligentniejszym chłopakiem na świecie... Była taka dumna... Wtedy jeszcze od czasu do czasu jadaliście razem obiady i obiad z tobą to była świętość, mój Boże! Z tym nie było żartów... kiedy szła z tobą na obiad, to grafik i szpital mogły się schować! Opowiadała też o Alexisie, o muzyce... Wymyślała niestworzone rzeczy, koncerty, owa-cje na stojąco, kontrakty na nieprawdopodobne pieniądze... Wieczorami, gdy wszyscy padali ze zmęczenia, jej głos niósł się po korytarzach... Jej kłamstwa, majaki... Sama siebie koiła, nikt się na to nie dawał nabrać. Aż pewnego ranka zadzwonili do niej z pogotowia i to był kubel zimnej wody: jej wirtuoz z bożej łaski umierał z przedawkowa-nia...

Od tej chwili zaczął się jej upadek. Przede wszystkim ona się tego w ogóle nie spodziewała... I ja się temu za każdym razem dziwię... Jak to się mówi: szewc bez butów chodzi... Była przekonana, że Alexis popała od czasu do czasu trawkę, bo to mu pomaga „lepiej grać”. Mowa... Ona, największa profesjonalistka, z jaką kiedykolwiek pra-cowałam... ja ci tu opowiadam o jej delikatności, ale kiedy chciała, potrafiła być twarda, umiała trzymać wszystkich na dystans. Śmierć, wiecznie przepracowani lekarze, pyszałkowaci interniści, zblazowane koleżanki, urzędasy, na-chalne rodziny, jęczący pacjenci - nikt, słyszysz? Nikt się jej nie postawił. Mówiłeś: Ta Men, mówiłeś: Amen. To była mieszanka delikatności i profesjonalizmu, zdumiewająca, wyjątkowa, jej nie sposób było nie szanować... Cze-kaj, straciłam wątek...

- Pogotowie...

- Ach, tak... otóż ona wtedy całkiem wpadła w panikę. Sądzę, że miała uraz - w rozumieniu medycznym: „uszkodzenie tkanki lub funkcji ciała” - po tym, co się działo w pierwszych latach AIDS. Sądzę, że nigdy nie doszła po tym do siebie... A myśl, że jej syn ma dużą szansę... nie, to nie jest dobre słowo... że istnieje duże prawdopodo-bieństwo, iż skończy tak jak ci nieszczęśnicy... To ją... Sama nie wiem... To ją złamało. Trzask. Jak suchą gałązkę. Coraz trudniej jej było ukrywać problemy z alkoholem. Była taka sama jak przedtem, ale nie ta sama. Duch. Auto-mat. Maszyna do rozdawania uśmiechów, robienia opatrunków i budzenia respektu. Nazwisko i numer pracownika na śmierzącym alkoholem fartuchu... Oddała czepek oddziałowej ze słowami, że ma powyżej uszu grzebania w durnych papierach, chciała przejść na pół etatu, żeby się zająć Alexisem. Żyły sobie wypruwała, żeby go z tego wy-ciągnąć, zabiegała o przyjęcie do najlepszych ośrodków. To się stało sensem jej życia i w pewien sposób ją urato-wało... Powiedzmy, że była to dobra podpórka... Krótkotrwałe wytchnienie, bo...

Zdjęła okulary, chwyciła się za czubek nosa, na dłuższą chwilę zastygła w bezruchu, wreszcie zaczęła mó-wić dalej:

- Bo ten... ten skurwiel, przepraszam, wiem, że to twój przyjaciel, ale nie znajduję innego określenia...

- Nie. To...

- Co takiego?

- Nic. Słucham pani.

- Odrzucił ją. Gdy odzyskał siły na tyle, by wyartykułować jakąś składną myśl, oświadczył jej spokojnie, że w związku z pracą, jaką wykonał w swojej „grupie wsparcia”, nie powinien się z nią więcej widywać. Oświadczył jej to zresztą bardzo grzecznie... rozumiesz, mam, to dla mojego dobra, nie powinnaś być moją matką. Następnie ucałował ją, a nie robił tego od lat, i poszedł do tamtych, czekających na niego w ślicznym parku otoczonym wyso-kim płotem...

Wtedy poszła na swoje pierwsze w życiu zwolnienie lekarskie... Cztery dni, dobrze pamiętam... Po czterech dniach wróciła i poprosiła o przeniesienie na nocne dyżury. Nie wiem, czym to umotywowowała, ale ja znam przyczy-

nę: łatwiej jest pić, gdy w szpitalu mniej się dzieje... Cały zespół zachował się wobec niej fantastycznie. Ona, dotąd nasza opoka, nasz punkt odniesienia, stała się naszą najważniejszą rekonwalescentką. Pamiętam tego cudownego staruszka, Jeana Guillemarda, który przez całe życie prowadził badania nad stwardnieniem rozsianym. Napisał do niej wspaniałą, bardzo szczegółowy list, wymienił w nim wszystkie przypadki, przy których pracowali razem, i zakończył konkluzją, że gdyby miał w życiu więcej okazji do pracy z ludźmi jej formatu, dziś wiedziałby jeszcze więcej o tej chorobie i odchodziłby na emeryturę szczęśliwszy... Dobrze się czujesz? Może dołąć ci coli?

Charles drgnął.

- Nie, nie, ja... dziękuję.

- Za to ja, wybacz, napiję się czegoś... Nawet nie wiesz, jak mnie poruszyło mówienie o tym wszystkim. Cóż za strata... Cóż za potworna strata... To było całe jej życie, rozumiesz?

Milczenie.

- Nie, wy tego nie możecie zrozumieć... Szpital to inny świat i ci, którzy w nim nie żyją, nie mogą go zrozumieć...

Ludzie tacy jak Anouk czy ja spędzili więcej czasu z chorymi niż z własną rodziną... To z jednej strony bardzo ciężkie, a z drugiej bardzo hermetyczne życie... Życie zuniformizowane... Nie wiem, jak w tym zawodzie wytrzymują dziewczyny, które nie mają tego staromodnego bzika nazywanego powołaniem. Zastanawiam się, ale nie wiem jak. Bez tego nie da się wytrzymać... I nie mówię tutaj o śmierci, mówię o czymś znacznie trudniejszym. Mówię o... wierze w życie... Tak, to jest najtrudniejsze w pracy na ciężkich oddziałach, bo nie można stracić z oczu faktu, że życie jest bardziej... sama nie wiem... uzasadnione od śmierci. Bywają wieczory, wierz mi, kiedy zmęczenie jest piekielne... Pojawia się ten zawrót głowy i... No, no - zażartowała. - Zaczynam ni z tego, ni z owego filozofować! Ach, nasze bitwy na drażetki w ogrodzie twoich rodziców wydają się takie odległe...

Wstała i poszła do kuchni. Ruszył za nią.

Nalała wody gazowanej do dużej szklanki. Charles oparł się plecami o balustradę balkonu i stał tak, na drugim piętrze, zapatrzony w próżnię. Milczący. Niedysponowany.

- Oczywiście, wszystkie te dowody sympatii były dla niej ważne, ale tym, co wtedy najbardziej jej pomogło... można to nazwać pomocą, bo to, co nastąpiło potem, nie było już takie oczywiste... tym, co najbardziej jej pomogło, były słowa jednego jedyne mężczyzny: Paula Ducata. Psychologa, który nie był przypisany do żadnego konkretnego oddziału, ale przychodził raz w tygodniu spotkać się z pacjentami, jeśli ci zgłaszali taką potrzebę.

Był bardzo dobry, muszę to przyznać... To idiotyczne, ale naprawdę odnosiłam wrażenie, że wykonuje podobną robotę jak ekipy sprzątające. Wchodził do sal pełnych chorób, zamykał drzwi, zostawał czasem dziesięć minut, czasem dwie godziny, nigdy z nami nie rozmawiał, prawie się z nami nie witał, ale gdy po jego wyjściu slishmy do pacjentów, było... jak by ci powiedzieć... było tak, jakby zmieniło się światło...

Jakby ten facet otworzył okno. Jedno z tych dużych okien bez klamek, których nie otwiera się nigdy z prostego powodu, są... zabite...

Pewnego wieczoru wszedł do dyżurki, nigdy wcześniej tego nie robił, ale chyba potrzebował jakiegoś papieru, a... A ona robiła sobie makijaż w półmroku, trzymając w ręku lusterko. „Przepraszam - powiedział. - Mogę zapalić światło?” I wtedy ją zobaczył. I zobaczył też, że to, co trzyma w drugiej ręce, to nie jest kredka czy szminka, tylko skalpel.

Pociągnęła długi łyk wody.

- Uklęknął przy niej, oczyścił jej rany, tamtego wieczoru i potem przez wiele miesięcy... Długo jej słuchał, zapewnił, że to, co zrobił Alexis, jest czymś zupełnie normalnym. Nawet więcej - czymś potrzebnym do życia, czymś zdrowym. Że wróci, że zawsze wracał, prawda? Że nie, ona nie była złą matką. Nigdy. Że pracował długo z narkomanami i wie, że ci „mądrze kochani” wychodzą z tego skuteczniej od innych. A przecież Bóg jeden wie, jak ona go kocha, prawda? Tak - śmiał się. Bóg jeden wie! I był o to nawet zazdrosny! Mówił, że jej syn znajduje się teraz na pewnym etapie, że zapyta o niego, przekaże jej informacje, i że powinna nadal zachowywać się tak jak do tej pory. To znaczy trwać, po prostu, i przede wszystkim pozostać sobą, bo Alexis ma teraz do przejścia pewną drogę i ta droga, być może, go od niej oddali... Przynajmniej na jakiś czas... Wierzy mi pani, Anouk? Uwierzyła mu i... Żle wyglądasz... Jak się czujesz? Strasznie zbladłeś...

- Chyba powinienem coś zjeść, ale... - Próbował się uśmiechnąć. - Cóż... ma pani kawałek chleba?

- Sylvie? - wybełkotał między jednym kęsem a drugim.

- Tak?

- Dobrze pani opowiada... Jej oczy zaszyły mgłą.

- Nic dziwnego... Od jej śmierci nie myślę o niczym innym... Nocą, w ciągu dnia wracają do mnie bez przerwy okruchy wspomnień... Nie mogę spać, gadam do siebie, zadaję jej pytania, próbuję zrozumieć... To ona nauczyła mnie zawodu, to jej zawdzięczam najlepsze chwile w całej mojej praktyce i najwspanialsze wybuchy śmiechu. Była zawsze przy mnie, gdy jej potrzebowałam, zawsze znajdowała słowa, dzięki którym ludzie stawali się silniejsi, bardziej... tolerancyjni... Jest chrzestną mojej najstarszej córki, a gdy mój mąż miał raka, Anouk była, jak zwykle, wspaniała. Wobec mnie, wobec niego, wobec dziewczynek...

- Czy on...

- Nie, nie. - Rozpogodziła się. - Nadal żyje! Ale nie zobaczysz go, stwierdził, że lepiej zostawić nas samych... Mogę mówić dalej? Chcesz jeszcze coś zjeść?

- Nie, nie, słucham panią... Słucham cię.

- Więc uwierzyła mu i wtedy zobaczyłam to... zobaczyłam na własne oczy, słyszysz?... to, co nazywają siłą miłości. Wstała, odcięła pępownię, zeszczuplała, odmłodziła i spod skorupy... zmartwienia, jak to przed chwilą nazwałeś, wyłoniła się jej dawna twarz. Te same rysy, ten sam uśmiech, ta sama radość w oczach. Pamiętasz, jaka była, gdy kroilo się jakieś szaleństwo? Żywa, zwariowana, nie można było jej się oprzeć. Jak te sprytne pensjonarki, które przekradają się do dormitorium chłopców i nigdy nie dają się przyłapać... I piękna, Charles... Taka piękna...

Nie musiała mu przypominać.

- To dzięki niemu... temu Paulowi... Nawet nie wiesz, jak bardzo byłam szczęśliwa, widząc ją taką. Myślałam: Nareszcie. Życie zrozumiało, co jest jej winne. Życie jej wreszcie dziękuje... Ja wtedy odeszłam z pracy... Właśnie z powodu męża... Niemal cudem uniknął śmierci i nieco zaciskając pasa, mogliśmy się obyć bez mojej pensji. Poza tym córka oczekiwała dziecka, a Anouk odzyskała formę, więc... Czas już był najwyższy, żebym zajęła się bliskimi. Urodziło się dziecko, mały Guillaume, a ja nauczyłam się żyć jak normalni ludzie. Bez stresów, bez dyżurów, bez konieczności zaglądania do kalendarza za każdym razem, gdy ktoś proponował mi spotkanie, i bez tych wszystkich zapachów... Szpitalne jedzenie, środki dezynfekujące, parzona kawa, krew, płytki... Zamieniłam to wszystko na popołudnia spędzane na skwerku i na paczkę ciastek... Nieco straciłam z oczu Anouk, ale dzwoniłyśmy do siebie od czasu do czasu. Wszystko było dobrze.

Aż pewnego dnia, a raczej pewnej nocy, zadzwoniła do mnie, a ja nie mogłam zrozumieć jej bełkotu... Od razu jednak wiedziałam, że piła... Poszłam do niej na drugi dzień.

Napisał do niej list, którego nie mogła zrozumieć. Miałam go przeczytać, ja, i wytłumaczyć jej, o co chodzi. „O co mu chodzi?! O co mu w końcu chodzi? Zostawia czy nie zostawia?” Była... zdruzgotana.

Sylvie potrząsnęła głową.

- ...to było gównie naspikowane specjalistycznym żargonem podlanym psychologicznym sosem... Elegancki i świetnie sklecony list pełen ładnych słów. To niby miało być godne i wyrozumiałe, lecz tak naprawdę... było szczytem tchórzostwa.

„No? No? - błagała. - Co to znaczy, jak myślisz? Co mam z tym zrobić?”

No i co ja jej miałam powiedzieć? Nie rób nic. Spójrz... ty już nie istniejesz. Pogardza tobą do tego stopnia, że nie zadaje sobie trudu, by się jasno wyrażać... Nie... Nie mogłam... Zamiast tego przytuliłam ją, a ona oczywiście rozumiała.

Widzisz, Charles, to jest rzecz, której często byłam świadkiem i której nigdy nie zrozumiałam... dlaczego ludzie, którzy w pracy są nadzwyczajni, którzy, obiektywnie rzecz biorąc, czynią na ziemi Dobro, w życiu okazują się wstrętnymi łajdakami? No? Jak to możliwe? Gdzie w ogólnym rozrachunku podziewa się ich człowieczeństwo?

Byłam z nią przez cały dzień. Bałam się zostawić ją samą. Byłam pewna, że w najlepszym razie utopi smutki w alkoholu, a w najgorszym... Błagałam ją, żeby na jakiś czas przeprowadziła się do nas, pokój dziewczynek był wolny, obiecałam, że będziemy dyskretni i... Porządnie się wysmarkała, związała włosy, otarła powieki, podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Najbardziej zabójczym uśmiechem, jaki w życiu widziałam.

A przecież Bóg jeden wie... Zresztą... Nic takiego. Próbowała rozciągnąć usta najszerzej, jak potrafiła, spryciara, i w drodze do drzwi zapewniła mnie, że mogę już iść, że mi tego nie robi, że miała już w życiu gorsze chwile i że po tylu latach się uodporniła. Uległam, ale postawiłam warunek, że ma do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Roześmiała się. Powiedziała, że dobrze. I dodała, że jedna nachalna koleżanka więcej, jedna mniej... Rzeczywiście wytrzymała. Nie mogłam się nadziwić. Widywałam ją w tamtym czasie nieco częściej niż zwykle i chociaż doszukiwałam się najdrobniejszych sygnałów, przyglądałam się białkom jej oczu, obwachiwałam jej płaszcz, gdy go wieszalałam do szafy, i... ale nie... Była trzeźwa.

Milczenie.

- Z perspektywy czasu widzę, że przeciwnie, powinno mnie to być zaniepokoić. To, co ci powiem, zabrzmi strasznie, ale koniec końców, dopóki piła, oznaczało to, że żyje i w pewien sposób... sama nie wiem... reaguje... No, ale cóż... Dziś dostrzegam tyle różnych rzeczy... Pewnego dnia powiedziała mi, że zwalnia się z pracy. Poczulałam się tak, jakbym dostała obuchem. Dobrze to pamiętam, wyszliśmy właśnie z herbaciarni i szliśmy wzdłuż ogrodu Tuilleries. Było ciepło, trzymałyśmy się pod rękę. I wtedy ona oświadczyła mi: Koniec. Odchodzę z pracy. Zwolniłam kroku i długą chwilę nie odzywałam się w nadziei na ciąg dalszy: odchodzę, bo... albo odchodzę, ponieważ... Ale nie, nic. „Dlaczego, Anouk, dlaczego? - wydusiłam z siebie w końcu. - Przecież masz tylko pięćdziesiąt pięć lat... Jak ty będziesz żyć? Z czego będziesz żyć?” Myślałam bardziej o tym, dla kogo i dla czego będzie żyć, ale nie śmiałam tak sformułować pytania. Nie odpowiedziała. Cóż. A za chwilę wymamrotała: „Wszyscy, wszyscy... Wszyscy mnie opuścili. Jeden po drugim... Ale nie szpital, rozumiesz? Muszę odejść pierwsza, bo w przeciwnym razie wiem, że nie dam rady. Niech chociaż to jedno w moim psim życiu nie zostawi mnie na lodzie... Wyobrażasz

mnie sobie w dniu mojej pożegnalnej imprezy? - parsknęła. - Wezmę prezent, dam każdemu po buziaku, a potem? Dokąd pójde potem? Co zrobię? Kiedy umrę?"

Nie umiałam odpowiedzieć, ale nie robiło jej to różnicy: już wsiadała tylnymi drzwiami do autobusu, już machała do mnie przez szybę.

Odstawiła szklankę i zamilkła.

- A potem? - ośmielił się Charles. - Potem był... koniec?

- Nie... Ale w sumie... tak.

Przeprosiła, zdjęła okulary, udarła kawałek papierowego ręcznika i zniszczyła sobie makijaż.

Charles wstał, podszedł do okna i tym razem, odwróciwszy się do niej plecami, wyszedł na balkon jak na szaniec.

Chciało mu się palić. Nie ośmielił się. W tym domu mieszkał człowiek chory na raka. Być może nie miało to żadnego związku z papierosami, ale jak się tego dowiedzieć? Popatrzył na bloki w oddali i pomyślał o tych ludziach...

Tych, którzy nigdy nie kochali swej córki. Którzy nigdy nie zwracali się do niej, używając jej prawdziwego imienia. Którzy wraz z genami przekazali jej niedostatek, brud i pijaństwo. Którzy nigdy nie wyciągnęli do niej ręki w innym celu niż po forszę. Forszę, którą zarabiała, zakazując chorym umierać, a w tym czasie Alexis sam sobie zapinał tornister i zakładał klucz na szyję. Myślał o ludziach, którzy - oddajmy im sprawiedliwość - pewnego depresyjnego wieczoru dali Niani okazję do zaimprovizowania wspaniałego pokazu sztuczek magicznych.

- Daj sobie spokój, Skarbie, z tymi idiotami... Daj sobie z nimi spokój... Czego ty się w sumie po nich spodziewasz? Powiedz...

I chwyciwszy w kuchni potrzebne rekwizyty, odegrał ich wszystkich.

A raczej się w nich wcielił.

Tata, który krzyczy. Mama, która pociesza. Starszy brat, który zaczepia. Młodsza siostra, która sepleni. Dziadek, który gędzi. Stara ciotka, która daje klujące całusy z dubeltówki. I wuj, który pierdzi. I pies, i kot, i ksiądz proboszcz, i nawet komendant policji, dzięki trąbce Alexisa... I było wesoło jak na prawdziwej rodzinnej kolacji, i...

Wciągnął w płuca głęboki haust smogu z obwodnicy i... Boże, ależ to nieładne słowo... zwerbalizował to, co nie dawało mu spokoju od pół roku. Nie, od dwudziestu lat.

- Ja... ja jestem jednym z nich...

- Z których?

- Z tych, którzy ją opuścili...

- Tak, ale ty ją bardzo lubiłeś...

Odwrócił się, a ona dodała z szelmowską miną:

- Zresztą powinnam chyba nazwać to inaczej...

- To było aż tak widać? - zaniepokoił się stary chłopczyk.

- Nie, nie, zapewniam cię. Tylko trochę. To było niemal tak dyskretne jak garnitury Niani...

Charles spuścił głowę. Jej uśmiech łaskotał go w uszy.

- Wiesz, nie śmiałam ci przerywać, gdy mówiłeś, że Niania był jej jedyną miłością, ale gdy ostatnio poszłam na cmentarz i zobaczyłam te pomarańczowe litery, jak fajerwerki pośród całej tej... nędzy, to chociaż przysięgam sobie, że już nie będę płakać, przyznam ci się, że... I ta wstrętne baba przy grobie obok, która podeszła, cmokając z

dezaprobatą. Mówiła, że widziała chama, który to zrobił, no, żeby tak zbeczczyć... Nic nie odpowiedziałam. Czy taka stara idiotka mogła cokolwiek zrozumieć? Ale pomyślałam: Ten cham, jak go pani nazywa, to była miłość jej życia... Nie patrz tak na mnie, Charles, mówiłam ci przed chwilą, że nie chcę więcej płakać. Mam już dość... Poza tym ona nie chciałaby widzieć nas w takim stanie, to jest... Papierowy ręcznik.

- Nosila w portfelu twoje zdjęcie, bez przerwy o tobie opowiadała, nigdy nie potraktowała cię złym słowem. Mówiła, że jesteś jedynym mężczyzną na świecie, który obszedł się z nią jak dżentelmen, a w tej konkurencji biedny Niania oczywiście nie brał udziału.

Mówiła: dobrze, że go spotkałam, uratował honor całej reszty... Mówiła też, że Alexis wyszedł na ludzi tylko dzięki tobie, bo gdy byliście mali, opiekowałaś się nim lepiej niż ona... Że zawsze pomagałaś mu w lekcjach, wspierałaś, kiedy szedł na przesłuchanie, i że bez ciebie skończyłby jeszcze gorzej... Że byłeś człowiekiem z silnym kręgosłupem pośród wariatów i...

- Jedyne, co... - dodała Sylvie.

- Co?

- ...co doprowadzało ją do rozpacz, to świadomość, że się na siebie pogniewaliście.

Milczenie.

- Dalej, Sylvie - zdołał tylko wydusić. - Dokończmy to wreszcie.

- Masz rację. Teraz pójdzie szybko... Tak więc Anouk dyskretnie odeszła ze szpitala. Dogadała się z dyrekcją i zaczęto wmawiać ekipie, że wyjechała na wakacje i nigdy nie wróciła. Wszyscy byli strasznie zawiedzeni, że nie mieli okazji przekazać jej wyrazów podziwu i przywiązania, ale skoro podjęła taką decyzję... Zamiast tego dostawała listy. Pierwsze przeczytała, ale kolejnych... Przyznała mi się, że nie ma na to siły. Szkoda, że tego nie widziałeś... To było niesamowite... Nasze rozmowy telefoniczne stały się coraz rzadsze i coraz krótsze. Po pierwsze dlatego, że nie miała mi wiele do powiedzenia, po drugie, moja córka urodziła bliźniaki i byłam bardzo zajęta. Poza tym oświadczyła mi, że Alexis i ona wreszcie się odnaleźli, a ja, raczej podświadomie, poczułam, że teraz on się nią zajmie. Że nadeszła jego kolej... Gdy sytuacja wydaje się polepszać, człowiek tak bardzo się cieszy, że wreszcie może odetchnąć... Więc robiłam to, co ty... Rodzaj niezbędnego minimum... Urodziny, życzenia, zawiadomienia o narodzinach i pocztówki... Czas upływał, aż w końcu ona stała się wspomnieniem z mojego dawnego życia. Cudownym wspomnieniem...

Aż któregoś dnia wrócił list, który do niej wysłałam. Chciałam zadzwonić, ale jej telefon był odcięty. Cóż. Pomyślałam, że zamieszkała u syna gdzieś na prowincji i bawi gromadkę wnuków... Że pewnego dnia zadzwoni i będziemy sobie opowiadać wszystkie te tui-tui-tui-tui rozanielonych babć...

Nigdy nie zadzwoniła. Cóż... Pomyślałam, że takie jest życie... Jakieś... trzy lata temu, tak, chyba trzy,jechałam kolejką RER i na końcu wagonu siedziała taka starsza, wyprostowana dama. Pamiętam, że w pierwszym odruchu pomyślałam: Chciałabym być taka jak ona w jej wieku... Wiesz, czasem się tak o kimś mówi: „piękny starzec”. Wspaniałe siwe włosy, zero makijażu, skóra jak u zakonniczki, pomarszczona, ale nadal świeża, szczupła talia... Przesunęła się nieznacznie w moją stronę, żeby przepuścić kogoś do wyjścia, a wtedy... szok.

Ona też mnie rozpoznała i uśmiechnęła się miło, jak gdybyśmy ostatni raz widziały się wczoraj. Zapropnowałam, żebyśmy wysiadły na następnym przystanku i poszły na kawę. Czulałam, że się do tego nie pali, ale cóż... skoro sprawi mi to przyjemność...



Kiedyś była taka gadatliwa, taka... wylewna, a teraz musiałam ciągnąć ją za język, żeby coś mi o sobie powiedziała. Tak, nie było już jej stać na wynajmowanie domu, więc się przeprowadziła. Tak, na osiedle, niełatwo tam żyć, ale takiej solidarności nie spotkała dotąd nigdzie... Rano pracuje w przychodni, a przez resztę czasu jest wolontariuszką. Ludzie przychodzą do niej albo ona jeździ do nich... I tak nie potrzebuje pieniędzy... To taki handel wymienny: opatrunek za talerz kuskusu, zastrzyk za pomoc hydraulika... Była dziwnie spokojna, ale nie wyglądała na nieszczęśliwą. Powiedziała, że nigdy tak dobrze nie wykonywała swojego zawodu. Czuje, że jest potrzebna, obraża się, gdy ktoś nazywa ją panią doktor, i cichcem wynosi leki z przychodni. Wszystkie leki, którym kończy się data ważności... Tak, mieszka sama i... A ty? - spytała. A ty?

Więc zaczęłam jej opowiadać o swoim szarym życiu, ale w pewnym momencie dostrzegłam, że mnie nie słucha. Musi już iść. Ktoś na nią czeka.

A Alexis? Och... Zachmurzyła się nieco... Mieszka daleko, a ona czuje, że nie cieszy się sympatią synowej... Za każdym razem odnosi wrażenie, że jej przeszkadza... No, ale Alexis ma dwoje ślicznych dzieci, dużą dziewczynkę i trzyletniego chłopczyka, i to jest najważniejsze... Wszyscy są zdrowi...

Znów stałyśmy na chodniku i spytałam ją, czy miała jakieś wieści od ciebie. A jak tam twój Charles? Uśmiechnęła się. Ależ tak. Oczywiście... Powiedziała, że dużo pracujesz, podróżujesz po świecie, masz spore biuro w okolicach Gare du Nord, żyjesz z przepiękną kobietą. Prawdziwą paryżanką... Najelegantszą ze wszystkich... I że wy też macie dużą córkę... Która, nawiasem mówiąc, jest do ciebie niesamowicie podobna.

Charles drgnął.

- Co... Ale skąd ona wie...

- Nie mam pojęcia. Sądzę, że nie straciła cię z oczu. Jego twarz była jednym wielkim skurczem.

Wysiadłam na przystanku wstrząśnięta do głębi i... Ostatnią wieścią o niej, jaka do mnie dotarła, była informacja: „Pogrzeb odbędzie się pojutrze”.

I wcale nie powiedział mi o tym Alexis, tylko jedna z sąsiadek, z którą się kolegowała i która znalazła w jej rzeczach mój numer...

Otuliła się szczerzej szalem.

- I tak doszliśmy do ostatniego aktu... Jest pioruńsko zimno, scena ma miejsce na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, na nędznym cmentarzu. Żadnej ceremonii, żadnych przemówień, niczego. Nawet faceci z zakładu pogrzebowego byli dość zażenowani. Kręcili rozpaczliwie głowami, żeby zobaczyć, kto zabierze głos, ale nic z tego. Więc po pewnym czasie podeszli bliżej i przez pięć minut udawali, że się modlą, z rękoma skrzyżowanymi na poziomie rozporków, a potem, cóż, rozluźnili te swoje liny, w końcu za to im płacono...

Dziwiłam się, że cię nie widzę, ale przecież Anouk mówiła, że dużo podróżujesz...

Przede mną nie stał prawie nikt. Jakaś kobieta, chyba jedna z jej siostr, która wyglądała na śmiertelnie znużoną i bez przerwy obmacywała telefon komórkowy, Alexis, jego małżonka, jakaś druga para, mocno starszy pan, który miał na sobie coś w rodzaju uniformu Czerwonego Krzyża i płakał jak bóbr, i... nikt więcej.

Ale za mną, Charles, za mną... Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób... a może nawet jeszcze więcej... Dużo kobiet, pełno dzieciaków, tych całkiem małych i nastolatków, wielkich dryblasów, którzy nie wiedzieli, gdzie schować długie łapy, staruszki, staruszkowie, niedzielne garnitury, bukiety kwiatów, wspianała biżuteria i tanie świecidełka na markowych kurtkach, kulawi, pokiereszowani... Ludzie wszelkiego pokroju, wszelkiego pochodzenia... Wszyscy, którym kiedyś pomogła, tak sądzę...

Niezła klika... Ale stali jak trusie, cisza była niewiarygodna, i dopiero gdy grabarze cofnęli się z nad grobu, zaczęli klaskać jak jeden mąż. Długo, długo...

Po raz pierwszy w życiu słyszałam brawa na cmentarzu i wtedy wreszcie pozwoliłam sobie na płacz: to był hołd godny Anouk... i nie sądzę, żeby ksiądz czy jakikolwiek okolicznościowy gaduła mógł to zrobić lepiej...

Alexis rozpoznał mnie i padł mi w ramiona. Łkał tak mocno, że nie rozumiałam, co mówi. Ogólnie chodziło mu o to, że był złym synem, że nie zajął się nią do samego końca. Włożyłam ręce do kieszeni, było zimno, poza tym on szedł na łatwiznę. Jego żona uśmiechnęła się zażenowana i oderwała go od mojego płaszcza. Poszłam sobie, bo... nic tam było po mnie... Ale na parkingu usłyszałam wołanie jakiejś kobiety. To ona zadzwoniła do mnie przed pogrzebem... Powiedziała: „Chodźmy, napijemy się czegoś ciepłego”. Gdy się do niej przysunęłam, rozumiałam, że ciepłe napoje nie były jedynymi, jakie w życiu pijała... zresztą zamówiła anyżówkę.

To ona opowiedziała mi o ostatnich latach życia Anouk. O tym, co zrobiła dla innych, a i tak nie wszyscy mogli przyjechać! Bo nie było miejsca w busie syna Sandy! W dodatku to nie był nawet jego bus.

Nie będę ci tu wygłaszać przemówień, znałeś ją tak samo dobrze jak ja... Wyobrażasz to sobie... Ta pani miała lekkie problemy z... eee... wysłowieniem się, ale w pewnym momencie wyartykułowała jedną bardzo ładną rzecz: „Co powiem, to powiem, ale ta babeczka miała serce wielkie jak gumowy worek... Tyle pani powiem...”

Uśmiechy.

„Na co umarła?” - spytałam ją. Ale ona nie mogła mówić. To było ponad jej siły. I wtedy nagle poczułam na plecach przeciąg, a ona się wydarła: „Jeannot! Chodźże no się tu z panią przywitaj! To przyjaciółka Anouk!”

To był ten bek z pogrzebu, ten z chusteczką wielką jak ścierka, w pelerynie Czerwonego Krzyża model 1914-18.

Uśmiechnął się do mnie krzywo i natychmiast zrozumiałam, że musiał być jej ostatnim pupilem... Facet z wyglądu równie nieprzewidywalny jak Niania. W każdym razie równie fajnie przebrany... Miło mi... Usiadł naprzeciw mnie, a tamta pobiegła topić smutki bliżej baru. Czułam, że on też ma wielką ochotę na zwierzenia, ale byłam zmęczona. Chciałam stamtąd iść, zostać wreszcie sama... Więc spytałam bez ogródek: co się zdarzyło pod koniec? I wtedy, w jazgocie flipperów i telewizorów, dowiedziałam się, że nasza piękna Anouk, która przez całe życie kpiła sobie ze śmierci, w końcu sama ją sobie zadała.

Dlaczego? Nie wiedział. To musiały być różne rzeczy...

Dwa razy w tygodniu pracowała w Pain de l'Amitié, socjalnym sklepiku dla nędzarzy, w którym sprzedawano żywność za grosze. Przyszła do niej „klientka” z kupą dzieciaków i nie chciała wziąć mięsa, bo nie było *halal*, ani bananów, bo miały czarne plamki, ani jogurtów, bo na drugi dzień traciły ważność, a jak już przy okazji sprząła swojego dzieciaka, to Anouk, zazwyczaj miła, zaczęła się na nią wydzierać.

Że nie ma się co dziwić, że biedacy są biedni, skoro są takimi głupcami. I co się krzywi jak idiotka na to mięso, niech popatrzy na dzieciaki, jakie blade i anemiczne. I a tknij go jeszcze raz, głupia pindo, jeden jedyny raz, słyszysz? To cię zabiję. I co to w ogóle znaczy - nowiutka komórka, fajki za dziesięć euro dziennie, a dzieciaki w środku zimy nie mają nawet skarpetek! I a co to za siniak? Ile ten mały ma lat? Trzy? Czym go zbiłaś, dziwko, że mu taki ślad został? Co?

Babka wyszła, złorzecząc, a Anouk rozwiązała fartuch. Powiedziała, że z tym koniec. Że już tu nie wróci. Że już nie daje rady.

Inna sprawa - wymamrotał gruby... Jeannot - że był już piętnasty grudnia, a syn ciągle jeszcze nie zaprosił jej na święta, więc nie wiedziała, czy ma trzymać prezenty dla wnuków, czy wysłać je pocztą. To idiotyczne, ale cała ta historia nie dawała jej spokoju... No i była jeszcze ta dziewczuszka... nie pamiętam już, jak miała na imię... Anouk bardzo jej pomogła ze szkołą i w ogóle, nawet załatwiła jej staż w merostwie, a mała na to wszystko oświadczyła jej, że jest w ciąży... Siedemnaście lat... Więc Anouk powiedziała, żeby jej się na oczy nie pokazywała, jeśli nie usunie i...

Powiedzieć pani, na co umarła? Umarła ze zniechęcenia. Właśnie na to umarła. To Joëlle - ruchem brody pokazał panią od „ciepłych napojów” - to ona ją znalazła. U niej w domu już niczego nie było. Ani jednego mebla. Niczego. Powiedzieli mi później, że wszystko oddała Emausowi. Stał tylko fotel i, wie pani, ten taki dynks z płynącą wodą... „Fontanna?” Nie, nie, takie coś ze szpitala, wie pani, z rurką... „Kroplówka?” Tak! Właśnie! Policja stwierdziła, że Anouk popełniła samobójstwo, a lekarz mówił, że nie, że dokładniej to była eutanazja... Joëlle płakała, więc powiedzieli jej, że Anouk to nie bolało, że sobie po prostu zasnęła. Więc mimo wszystko... Nie jest tak źle...

„Ale pan, pan... był jej przyjacielem?”

„Och, można powiedzieć, ale przede wszystkim byłem asystentem, rozumie pani... Chodziłem z nią do ludzi, torbę za nią nosiłem...”

Milczenie.

„Teraz będzie drożej...” „Co?”

„No, doktor...”

Sylvie wstała. Rzuciła okiem na zegar, postawiła na gazie garnek z wodą i błędząc wzrokiem, mówiła dalej bardzo cicho:

- W drodze powrotnej, stojąc w korku, przypomniałam sobie zdanie, które wypowiedziała wieki wcześniej, gdy jęczałyśmy w szatni po jakimś szczególnie wyczerpującym dniu pracy: „Powiem ci coś, kochana... ten zawód ma jedną zaletę: dzięki niemu będziemy mogły odejść, nie sprawiając nikomu kłopotu”.

Podniosła głowę.

- To wszystko, Charles, wiesz teraz tyle co ja...

Zaczęła się wiercić i wyczuł, że powinien zostawić ją w spokoju. Nie śmiał jej pocałować. Dogoniła go na klatce schodowej.

- Zaczekaj! Mam coś dla ciebie...

I podała mu pudełko oklejone grubą taśmą, na której widniało jego imię wypisane wielkimi literami.

- Dał mi to tamten facet... Spytał, czy znam jakiegoś Charles'a, i wyjął coś spod peleryny. U niej w domu - mówił - była tylko duża torba z prezentami dla dzieciaków i to...

Charles wcisnął pakunek pod pachę i szedł jak upiór. Przed siebie. Rue de Belleville, Faubourg du Temple, plac Republiki, Turbigo, Sébastopol, Hale, Châtelet, Sekwana, Saint-Jacques na azymut i Port-Royal na czuja, i gdy skonstatował, że to już, że zmęczenie fizyczne zaczyna brać górę nad drzeniem z emocji, wyjął pęk kluczy i nie zwalniając kroku, najcieńszym z nich rozciął taśmę.

To był karton po dziecięcych butach. Charles włożył klucze z powrotem do kieszeni, zderzył się ze słupem, przeprosił i uniósł pokrywkę.

Kurz, mole i po prostu czas zdążyły już zrobić swoją brudną robotę, ale Charles mimo to rozpoznał: to była Mistinguett, wypchana gołąbica Nia...

Ale? Co...

Miał w głowie tylko jedno: unieść to pudełko i mocno przytulić. Potem - nic.

Nic więcej już nie mogło mu się przytrafić.

Tym lepiej. I tak był już zbyt zmęczony, żeby ciągnąć to dalej.

## 14

Miał coś ciepłego na policzku. Zamknął oczy, czuł się dobrze.

Niestety, już ktoś mu przeszkadzał. Pełno ludzi.

Nie widziałem, nie widziałem! To przez te nowe, gówniane zjazdy! Ile tu jeszcze będzie ofiar? No i, to też trzeba powiedzieć, facet przechodził w niewłaściwym miejscu, nie? O, kurwa... Nie zauważyłem go...

Proszę pana? Proszę pana?

Dobrze się pan czuje?

Uśmiechał się.

Spierdalajcie, wszyscy.

„Zadzwońcie po pogotowie” - usłyszał. Co to, to nie. Postanowił się podnieść. Nie do szpitala. Szpitala miał dość na długo.

Wyciągnął rękę, wsparł się na czyimś ramieniu, potem jeszcze na czyimś, pozwolił się podnieść, ruchem ręki wskazał pudełko, podziękował ruchem głowy i czując wsparcie gapiów, podreptał na drugi brzeg.

Proszę poruszyć ręką... Drugą... I nogami... Najgorzej wygląda twarz... Tak, ale uderzenie, trudno powiedzieć... Czasem obrażenia nie są widoczne od razu... Wymiotuje czy nie wymiotuje? Lepiej go za bardzo nie dotykajcie...

Nie chce pan, żeby zadzwonić po pogotowie? Mogę pana zawieźć na izbę przyjęć... Proszę... Jesteśmy całkiem blisko szpitala Cochin... Jest pan pewien? Nie można go tutaj tak zostawić. Co on mówi? Mówi, że jest pewien.

Więc zbiegowisko się rozpięchło. Ofiara śmiertelna, która nie umiera, przestaje być interesująca.

Poza tym... nie ma zamieszania, nie ma tłumu. Jakiś prawy obywatel zaproponował, że zanotuje numery z tablicy rejestracyjnej kierowcy i pójdzie z nim w charakterze świadka do firmy ubezpieczeniowej.

Charles przycisnął do serca swoje pudełko i pokręcił głową.

Nie. Dzięki. Jest po prostu trochę ogłuszony. To przejdzie. Nie ma problemu.

W końcu został przy nim na ławce tylko jeden facet, jakiś kloszard. To nie było z jego strony żadne poświęcenie. Po prostu się nudził.

Charles spytał go, czy ma papierosa.

Pochylając się nad płomieniem, poczuł, że zaraz zemdleje. Odchylił się z powrotem, najwolniej, jak potrafił, przejechał językiem po wargach, żeby nie pobrudzić filtra, i mocno zaciągnął się spokojem.

Po długim czasie, mniej więcej po godzinie, jego anioł stróż wyciągnął rękę.

Pokazywał mu wystawę apteki.

Drobna pani magister, Géraldine, jak głosił napis na identyfikatorze, krzyknęła na jego widok. Przybiegła jej szefowa, poprosiła go, żeby usiadł na krześle, i zaczęła zadawać mu ból.

O, psiakrew...

Nowy przyjaciel stał po drugiej stronie szyby i żeby mu dodać odwagi, unosił kciuk.

Nowemu przyjacielowi podobała się Géraldine.

Charles mocno się krzywił. Twarz, a raczej to, co z niej zostało, oskrobano, umyto, zdezynfekowano, obejrzano, skomentowano i wreszcie oklejono małymi plasterkami.

Wstał, wsparłszy się o jakiś regał, dokuśtykał do kasy, wyżebrał maści i kremy w zamian za obietnicę, że pójdzie do lekarza, skłamał, podziękował, zapłacił i wyruszył na dalszy podbój świata.

Dawny przyjaciel gdzieś znikł. Charles dowlókl się do baru, zdziwiony, że przyciąga tak wiele ukradkowych spojrzeń.

Właściciel baru był mniej taktowny. Widział gorsze rzeczy...

- No, co tam? - zażartował. - Wpadło się pod autobus?

Charles uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalał mu na to ból:

- Pod furgonetkę.

- Nic straconego... Następnym razem będzie autobus. Właściciel baru. Paryski właściciel baru z poczuciem humoru. Cudowna sprawa.

Żeby to uczcić, Charles zamówił małe piwo.

- Proszę. Włożyłem panu słomkę... Że co? Głodny? Nicole! Purée dla tego młodzieńca!

I Charles, usiadłszy jednym pośladkiem na barowym stołku, jadł półgębkiem, słuchając, jak małżonek Nicole wymienia długą listę rannych, przejechanych, okaleczonych, kulawych, zmarłych i innych amputowanych, których dzięki temu, że jego bar stał w dobrym miejscu (róg dużego skrzyżowania to najlepsza lokalizacja na działalność handlową), miał okazję zobaczyć w ciągu dwudziestu pięciu lat służby.

- Mam tu chyba nawet jakąś petycję przeciwko temu nowemu, głupiemu przepisowi o autobusach jeżdżących w przeciwnym kierunku, interesuje to pana?

- Nie.

Szedł z wielkim trudem, w jednej ręce trzymał pudełko, drugą ciągnął nogę. Zgubił się.

Oczywiście, nie na rue Monge, ale...

Wystukał numer Laurence, jakby wystrzelił pięć kul z bębena rewolweru, przyłożył telefon do skroni i czekał.

Sekretarka.

Zawrócił i pchnął drzwi wypożyczalni samochodów, przed którą przykuśtykał pięć minut intensywnego myślenia wcześniej.

Uspokoił pracownika, że to nic takiego, że się zderzył ze szklanymi drzwiami. Ach... - odetchnął z ulgą tamten. Mój kolega tak samo, dokładnie... Trzy szwy. Charles wzruszył ramionami. Co to jest trzy szwy...

W ostatniej chwili dało o sobie znać spuchnięte kolano i zmusiło go do zmiany zdania.

- Zaraz! Może raczej jakiś z automatyczną skrzynią biegów...

Powstrzymując łyzy bólu, skulił się za kierownicą małego miejskiego samochodu kategorii A, zajrzał do kalendarza, otworzył go jeszcze raz na dobrej stronie, po czym ustawił lusterka i ujrzał w nich... Człowieka-Słonia.

Był mu wdzięczny za... niespodziewane towarzystwo. Skręcił w lewo i skierował się ku Porte d'Orléans.

Miał zielone światło. Ruszył, zerkając na tablicę rozdzielczą.

Jak wszystko pójdzie dobrze, zajedzie do Alexisa na kolację.

Powstrzymał się od uśmiechu, bo uśmiech był zbyt bolesny, ale poczuł go w sercu.

### III

## 1

Na początku było łatwo, po prostu podjął decyzję. Opuścił miasto, jechał szybko, nie zachowywał bezpiecznej odległości.

Nie wiedział, co go czeka, ale nie bał się. Niczego już się nie bał. Nie bał się własnego odbicia ani tego, co zostało mu z twarzy, ani zmęczenia, ani widoku, który raz po raz stawał mu przed oczami: widoku skrupulatnej kobiety, która szuka żyły, wbija w nią długą igłę, starannie poprawia, po raz ostatni otwiera dłoń, uciska gumową opaskę i sprawdza przepływ własnej śmierci, a później siada na jedynym fotelu w pustym mieszkaniu... Jak... Nie. Umiał się przed tym chronić.

Między jednym wyprzedzaniem a drugim połączył się z sekretarką, a później zostawił wiadomość dla Laurence.

- Świetnie, odwołuję. Jeśli chodzi o poniedziałkowy wieczór... Odlot o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Chyba udało mi się przenieść pana do biznesowej... Znam już kod biletu, ma pan coś do pisania? - spytała go ta pierwsza.

- Odsłuchałam twoją wiadomość - zadzwoniła w końcu ta druga. - Słuchaj, to się dobrze składa, bo w ten weekend mam na głowie Koreańczyków... (Nie, nie wiedział). Powiedz, skoro już rozmawiamy, nie zapomnisz o Mathilde, co? Obiecałeś, że odwieszysz ją na lotnisko w poniedziałek... Jakoś tak zaraz po południu, jeszcze zadzwonię... (Poczekalnia Air France, drugie skrzydło). A kieszonkowe? Zostały ci jakieś funty?

Nie. Nie zapomniał. Ani o dziewczynie, ani o Howardzie.

Charles nigdy o niczym nie zapominał. To była zresztą jego pięta achillesowa... Jak to mówiła Anouk? Że jest inteligentny? Ależ skąd... Często miał okazję współpracować z ludźmi o wybitnej umysłowości i nie miał co do siebie złudzeń. Przez te wszystkie lata wykręcał kota ogonem i mamił ludzi właśnie za sprawą pamięci... Zapamiętywał wszystko, co czytał, widział i słyszał.

Dziś czuł się przytłoczony, przeładowany, po angielsku *loaded*, jak ich oszukane kostki do gry. A te straszliwe migreny, na które ostatnio nie cierpiał, bo tłumili je bóle znacznie... wyraźniejsze, nie miały fizjologicznego podłoża. To był raczej głupi błąd w systemie. List od Alexisa i czara, która się po nim przelała, dzieciństwo, wspomnienia, Anouk, niewiele rzeczy, które o niej wiemy, i wszystko, czego nam nie opowiedział, wszystko, co wolał zachować dla siebie, żeby nadal ją chronić, i ze względu na własną powściągliwość, ta nadwyżka niespodziewanych emocji w pewien sposób przeładowała mu pamięć. Chemia, molekuly, może nawet tomograf... Pewnie, że można spróbować, chociaż to wszystko nie miało żadnego wpływu. Charles musiał sam odzyskać swoje pliki.

I właśnie dlatego w tej chwili zwalniał przed barierką rogatek.

- Gdzie jesteś? - spytała Laurence.

- Saint-Arnoult... Autostrada...

- Co to? Jakiś nowy projekt?

- Tak - skłamał.

To zresztą była prawda.

Ale im bardziej rozległy stawał się horyzont, tym mniej oczywista wydawała mu się ta podróż. Zjechał z lewego pasa i rozmyślał w cieniu olbrzymiej ciężarówki.

Przed każdą tablicą zapowiadającą zjazd muskał instynktownie gałkę kierunkowskazu.

To wina pamięci - zapewniał nas. Akurat... fałszywa skromność... taka osłona przed słońcem, wszak jedzie na południe... Pomówmy trochę o Charles'u i zapalmy ogarek temu, komu się należy.

Charles został architektem przez przypadek, w hołdzie, na pociechę, a także dlatego, że wyjątkowo dobrze rysował. Rysował, rzecz jasna, to, co widział, co rozumiał, co zapamiętywał, ale także z wyobraźni. Bez trudu. Naturalnie. Na kartce, w przestrzeni, przed każdą publicznością. Nawet najbardziej zniechęcające spojrzenia z czasem łagodniały. Ale ten talent nie wystarczył. O prawdziwej wartości szkiców decydował jego sposób myślenia, jasność jego umysłu.

Był spokojny, cierpliwy i już sam fakt, że można myśleć i pracować u jego boku, stał się przywilejem. A nawet więcej - grą. Z powodu braku czasu zawsze odmawiał przyjęcia posady wykładowcy, którą proponowało mu wielu, ale w biurze lubił otaczać się młodymi. W tym roku byli to Marc i Pauline, wcześniej genialny Giuseppe albo syn jego przyjaciela O'Briena. Wszyscy ci studenci witani byli w przestronnych lokalach przy rue La Fayette z otwartymi ramionami.

Był dla nich surowy i obciążał ich ogromną pracą, ale traktował jak równych. Jesteście młodszy, więc bardziej witalni ode mnie - grzmiał im nad głowami. Pokażcie to. Jak wy byście to zrobili?

Miał czas, żeby ich wysłuchać, i wytykał niedorzeczności, nigdy ich przy tym nie poniżając. Zachęcał ich, żeby kopiowali, możliwie dużo rysowali, nawet źle, żeby słuchali muzyki, wrócili do nauki solfeżu, odwiedzali muzea, kościoły, ogrody...

Ubolewał nad ich niechlujną ignorancją, a w końcu patrzył na zegarek i podrywał się z miejsca. Ależ...? Nie jesteście głodni? Oczywiście, że byli. Więc jak to? Czemu się godzicie, żebym wam tu perorował jak idiota? Nikt wam nie powiedział, że dinozaury z Akademii Sztuk Pięknych już dawno wymarły? Dobra... Zrehabilituję się; kierunek - bar Terminus Nord. Półmisek owoców morza dla każdego chętnego! Ale wystarczyło, że usiedli przy stole, a - to było silniejsze od niego - wrywał im z rąk karty dań i kazał się rozglądać wokół. Szkoła Nancy, art déco, nowe uproszczenia, reakcja na modernizm, prostota form, proste, geometryczne linie, bakelit, stal chromowana, rzadkie gatunki drewna i... i przychodził kelner. Westchnienie ulgi.

W mikrokosmosie jego branży ludzie nie mieli oporów, żeby sobą wzajemnie pogardzać. Zarzucano mu, że jest... jak by to powiedzieć... nieco klasyczny, nieprawdaż? Gdy był młody, cierpiał z tego powodu. Ale słyszał takie opinie. Dlatego właśnie związał się z Philippe'em, chłopakiem bardziej... subiektywnym, który nie obawiał się reagować emocjonalnie na różne sytuacje. Podziwiał jego bezkompromisowość, talent, kreatywność. W branży świetnie funkcjonowali jako tandem, ale to Charles'a domagali się studenci.

Nawet ci najbardziej „oświeceni”. Rozgorączkowany wizjonerzy, gotowi, podobnie jak on, zdechnąć z głodu u stóp własnej świątyni Sagrada Familia.

Tak, domagali się Charles'a.

Jego rozsądku, wyważenia... Długo czuł z tego powodu zmieszanie. W gorsze dni myślał, że jest nieodrodnym synem swego ojca i że, w rzeczy samej, nie zaszedł i nigdy nie zajdzie daleko. W dni lepsze czuł się pewniej, tak jak w ten zimowy poranek kilka miesięcy temu, gdy, i tak już spóźniony, wysiadł z taksówki w korku, nagle znalazł się pośrodku dziedzińca Luwru, na którym nie był całe wieki, i zapomniał o spotkaniu. Przestał biec i uspokoił oddech.

Chłód, światło, te absolutnie doskonałe proporcje, to poczucie siły bez najmniejszej woli przytłoczenia kogokolwiek, boski ślad ludzkiej ręki... Okręcił się wokół własnej osi i zagał gołębie:

- No i co? Cholernie klasyczne, nie?

Tylko ta absurdalna fontanna... Ruszył biegiem w nadziei, że Lescot, Lemercier i cała reszta czasem spluwają do niej z wysokości niebios.

Żeby uniknąć nieporozumień: te krytyki, w arcyfrancuskim zresztą stylu, dotyczyły - albo miały ambicję dotyczyć - postawy moralnej Charles'a, jego usposobienia, nie zaś sposobu jego pracy. Dzięki inżynierskiemu wykształceniu (bywały wieczory, gdy Charles uważał je za swoją słabość i ułomność), obsesji na punkcie detali, doskonałej znajomości struktur, materiałów i wszelkich zjawisk fizycznych renoma Charles'a pozostawała, i to od dawna, poza wszelkim podejrzeniem.

Tyle że Charles zgadzał się z teorią głoszoną przez genialnego Petera Rice'a i wcześniej przez Audena, iż podczas realizacji projektu muszą się znaleźć tacy, którzy wykonają brudną robotę szekspirowskiego Jagona, regularnie przesiewając przez sito racjonalnego myślenia chaotyczne i pełne pasji wizje kolegów.

Klasyk? Cóż... niech będzie. Ale konserwatysta - nie. Nie. Dowód? Przekonywanie przemysłowców, deweloperów, polityków i użytkowników, że pomysły jego pracowników są sto, tysiąc razy lepsze od innych projektów, zwykłych, lecz przybranych w ładne, postmodernistyczne albo pseudohistoryczne gadzety, było najbardziej wyczerpującą częścią jego pracy.

W końcu, zmęczony, osiągał stan, który nazwać można *Perplex'd in the extreme*, żeby pozostać przy nawiązaniach do *Otella*.

Tym lepiej zresztą, tym lepiej. Jego rola kończyła się nieco wcześniej, ale...

- Hej! Co z tobą, staruszkę? - otrząsnął się, zjeżdżając na środkowy pas. Co znów wygadujesz? Skąd się tu nagle wzięli Rice i Maur Otello?

- Przepraszam, przepraszam. Pamięć znów płata mi figle.

Ona miała rację...

Przypomnij sobie.

Ostatni raz.

*Gdy weszła tutaj przed chwilą i zobaczyła, jak się głowisz nad tymi wszystkimi obliczeniami, ucałowała cię i jednocześnie zrobiło jej się ciębie żal. Pomyślała, że jak na swój wiek spędzasz zdecydowanie zbyt wiele czasu na próbach ułożenia świata. Wiedziała, wiedziała! Chciałaś jej odpowiedzieć, że takie akurat masz studia, ale...*

- Ale?

Zamilkł. Nie próbował więcej argumentować, był zmęczony. Następny zjazd miał być tym właściwym.

- Nie.

- Proszę cię.



- Wracaj.

- Nie po to jechaliśmy z tobą aż tutaj, żebyś teraz nagle zrobił w tył zwrot w Rambouillet.

- Po co się wiecznie zastanawiać? Żyć jak kierownik projektu, drukować plany, robić makiety, stawiać rusztowania, kalkulować, antycypować, przewidywać? Po co ten wieczny przymus? Przecież powiedziałeś, że niczego się nie boisz...

- Kłamałem.

- Czego się boisz?

- Chciałbym, żeby...

- Tak?

Dobra. Udawajmy Greka. Spójrzmy w inną stronę. Na kształt chmur, na pierwsze krowy, na ostatnie audi, na posesję La Brigandière, na trajektorię krowiego placka, na cenę bezołowiowej na stacji siedemnaście kilometrów dalej, na...

Kiedy byliśmy dziećmi - odezwało się cichutko jego sumienie - i gdy się sprzeczaaliśmy... co zdarzało się często, bo obaj mieliśmy niezłe charakterki i w gruncie rzeczy, jak sędzę, rywalizowaliśmy o uwagę i pocałunki tej samej kobiety... Niania, gdy już zaczynał tracić cierpliwość i wyczerpał zapas gróźb, przy użyciu których próbował nas godzić, w końcu i tak zawsze szedł po swoje wypchane ptaszysko, które obrastało kurzem na lodówce, wciskał mu w dzióbek coś, co miał akurat pod ręką, najczęściej gałązkę zielonej pietruszki, i machał nim przed naszymi nosami na kwintę.

- Gru-chuuu... Oto gołąbek pokoju, koziołki... Gru-chuuu...

Prychaliśmy. A gdy ludzie prycają jednocześnie, to znaczy, że już się na siebie nie gniewają, i... pudełko po butach leżało teraz tu, na „miejscu trupa”...

Co nas obchodzi bezołowiowa? Samochody z wypożyczalni to przecież i tak zawsze diesle, nie? Co? Słucham? O czym to mówiliśmy?

Wyprostował się, zaciągnął pasek. Czy... Czy w tej kurewskiej kropłówce nie płynęło choć trochę nadziei? Czy przypadkiem Anouk znów nas nie przeceniła, czy przypadkiem po raz kolejny nie wystawia nas na próbę?

Czy nigdy nie da nam spokoju z tą swoją cholerną nadwyżką miłości, którą tyle już razy...

Ach? 1,22 euro? Jednak... Wiesz co, Balanda, męczą nas ten twój bełkot... Twoja niezwykła inteligencja, cytaty w oryginale, dyscyplina, zapatrzeni w ciebie studenci, twoje obycie, pomysłowość i co tam jeszcze... Chyba wiesz, że zamienilibyśmy ten chłam na jedno trzymające się kupy zdanie?

Zmarszczył brwi, zapalił papierosa, zaczekał, aż nikotyna przeniknie go do szpiku kości, i sam przed sobą przyznał się, o co chodzi:

„Chciałbym, żeby nie umarła na próżno”.

No, i o to właśnie chodziło. Dobra, spokojnie. Odetchnij głęboko. Nareszcie. Udało ci się stworzyć koncepcję.

Co? Masz ten swój projekt? To teraz jedź spokojnie. Jedź, nie odzywaj się i, wybaczone, ale nie oddychaj tak mocno. Nie wiesz o tym, ale masz złamane żebro.

No tak, ale jeśli pójdzie źle...

Nie odzywaj się, tak? Wyłącz się.

Bo on niezbyt sobie ufa, przynajmniej w tej kwestii. Wyciągnął (ała!) rękę ku radiodbiornikowi.

Między dwie głupie reklamy wdarł się popowy piosenkarz i ze dwanaście razy zabeczał piskliwym głosem: *Relax, take it easy.*

*Iiiii-iiii-ziii.*

Spoko, spoko. Zrozumiałem.

Znalazł okulary przeciwsłoneczne i natychmiast je zdjął, były zbyt ciężkie, miał zbyt dużo zadrapań, zamknął schowek i wyłączył radio.

Rozdzwoniła się komórka. Taki los.

Ogryziona przez mole gołębica i kulawiec z rozkwaszoną gębą w mikroskopijnym japońskim samochodzie. Jak na Arkę Noego mogłoby być lepiej, a mimo to, mimo to... Charles rozpadał się bezgłośnie pod paskami plastrów Steri-Strip.

Po nim choćby potop...

\* \* \*

Zjechał z autostrady, potem z krajowej, a zaraz też i z lokalnych.

Wtedy, po raz pierwszy od miesiący, dotarło do niego, że Ziemia kręci się wokół Słońca, tak, tak, i że żyje w kraju, w którym panuje określony rytm pór roku.

Jego własne odretwienie, lampy, neony, poświata monitorów i zmiana stref czasowych - wszystko sprzysięgło się, żeby odwrócić jego uwagę od tego faktu. Pod koniec czerwca, u progu lata, otworzył wszystkie okna i poznał zapach siana.

Kolejne odkrycie - Francja.

Tyle krajobrazów w obrębie tak niewielkiego kraju... I te kolory... Ta niezwykła, zmienna, pełna kontrastów paleta barw, zależna od regionu i używanych w nim materiałów budowlanych... Cegła, brunatne i płaskie gonty, ciepłe odcienie regionu Sologne. Pokryte patyną kamienie, zaprawy, rzeczny piach koloru ochry... A dalej Loara, łupek i tufit.

Niekończąca się gra szarości i bieli fasad... Kość słoniowa połyskująca jak jedwab w świetle kończącego się dnia... Od błękitu dachów odbija się czerwień ceglanych kominów... Stolarka - często bardzo jasna, czasem ciemniejsza, zależnie od fantazji i zasobów właścicieli...

I dalej całkiem inny region, inne kamienie, inne skały... Łupek, piaskowiec, bazalt, a nawet gdzieś granit. Inne kamienie licowe, inne narzędzia, inne faktury, inne pokrycia... Tutaj w miejsce okazałych fasad wejda ściany okapowe, tam znów zimy są bardziej srogie, a zabudowa ciaśniejsza. Jeszcze gdzie indziej ramy okienne i nadproża są mniej wymyślne, a tony bardziej...

To byłaby dla Charles'a niespotykana okazja, by przywołać godną podziwu pracę Jeana-Philippe'a Lenclosa i jego Atelier, ale cóż... Zmusiliśmy go przecież, żeby do tego nie wracał, więc... Więc zachował dla siebie swoje zabawki, kontakty i referencje, i jechał coraz wolniej. Odwracał się i krzywił z bólu, zwalniał na pochyłościach, gwałtownie kręcił kierownicą, odbijał na pobocza i przejeżdżał przez maleńkie wioski, ciągnąc za sobą spojrzenia wszystkich mieszkańców.

Zbliżał się czas kolacji. To była pora obrywania geranium, pora ławek, krzeseł wynoszonych przed fasady domów, nadal mocno nagrzanego słońcem. Ludzie na jego widok kręcili głowami i komentowali jego przejazd dopóty, dopóki nie zbulwersowało ich coś nowego.

Za to psy ledwo tylko strzygły uszami. Paryżanin obchodził je mniej niż własne pchły...

Charles nie znał się na przyrodzie. Pola, żywopłoty, drzewostany, wrzosowiska, łąki, pastwiska, wzniesienia, zagajniki, skraje lasów, graby - znał te słowa, ale zupełnie nie wiedział, w której rubryce zestawienia topograficznego mógłby je umieścić... Nigdy nie zbudował niczego z dala od miasta i nie pamiętał żadnej książki, do której mógłby się odnieść, na przykład jakiegoś Lenclosa wyspecjalizowanego wyłącznie w wolnostojących budynkach mieszkalnych.

Dla Charles'a wieś była tylko jednym: miejscem, w którym człowiek może czytać. Zimą - przed kominkiem, wiosną - oparty o pień drzewa, latem - w cieniu. Choć przecież poznał życie na wsi... Jako dziecko - u dziadków, razem z Alexisem - w czasach pana Canut, i później, w dorosłym życiu, gdy Laurence zabierała go do... letnich rezydencji tych czy innych przyjaciół.

Pamięta te „swojskie” weekendy, kiedy bez przerwy ktoś sępił od niego a to opinię, a to kosztorys, a to poradę, a to zdanie na temat wyburzenia kawałka ściany... Zaciskał wtedy zęby i przyglądał się okropnym oszklonym drzwiom, otworom nie na miejscu, niedopasowanym basenom, piwnicom zamkniętym na kłódki i pseudowieśniakom w strojach weekendowych, w wykwintnie uwalanych błotem kaloszach i kolorystycznie dobranych kaszmirach.

Odpowiadał bez konkretów: trudno powiedzieć, trzeba by się przyjrzeć, lepiej poznać okolicę - i gdy już starannie rozczarował całe towarzystwo, oddalał się z książką pod pachą w poszukiwaniu jakiegoś zapadłego kąta na drzemkę.

Właśnie, zapadłego! Takiego jak tu. Żadnych tablic, żadnych drogowskazów, jakaś osada widmo, zachwaszczony nieużytek i - jedyna eskorta - zastęp rozbrykanych królików.

Czego szuka w takiej dziurze syn duchowy Milesa Davisa? I w ogóle - co to za miejsce?

Notatki w kalendarzu były do niczego, podobnie jak GPS. Gdzie jest droga D73? I dlaczego jeszcze nie dojechał do tej wsi, której nazwy nie mógł rozczytać?

Anouk...

Dokąd ty mnie znowu ciągniesz?

Widzisz, jak ja wyglądam? Z pustym bakiem i żołądkiem, zagubiony na rozstaju dróg, które prowadzą donikąd, jeśli nie liczyć „drewna opałowego - 8 kilometrów” i festynu świętojańskiego, na którym na pewno dogasły już ogniska.

Dokąd pojechałabyś na moim miejscu?

Prosto przed siebie, prawda?

No, to już...

Jadąc przez kolejną wioskę, spuścił szybę w samochodzie. Zgubił się. Marcy? Manery? A może Margery? Czy te nazwy mówiły coś napotkanym ludziom? Nie.

A droga D73?

Ach! To, tak. To tamta droga po lewej, przy wyjeździe z wioski, trzeba przejechać przez most na rzece i od razu za tartakiem w lewo...

Jedna pani powiedziała:

- A czy ten pan z Oise nie szuka przypadkiem Les Marzeray?

W tym momencie, trzeba przyznać, Charles poczuł się naprawdę wyobcowany. Nic już z tego...

Uśmiechnął się głupkowato i dał mózgowi czas na uporanie się z tą zagwozdką.

Najpierw Oise - to pewnie tablica rejestracyjna, nie zwrócił uwagi, gdy brał samochód, ale załóżmy. No dobra, to Marzere, jak to się pisze? Z „y” na końcu? Pośród bazgrołów na kartce kalendarza z datą dziewiąty sierpnia pewne były tylko dwie litery, „M” i „y”, oraz drukowana informacja o imieninach obchodzonych tego dnia. Próbował rozczytać własne pismo, ale, niestety, było całkowicie niewyraźne.

Rozpętała się ogólna dyskusja, dość długa debata zakończona ugodą. Niech będzie igrek.

Dziwne pytania zadają próżniaki z Oise...

- Ale... Czy to daleko stąd?

- Jakieś... dwadzieścia kilometrów.

Dwadzieścia kilometrów, które pokonywał, czując, jak kierownica coraz bardziej wilgotnieje, a serce bije coraz mocniej. Dwadzieścia długich kilometrów, które potwierdzały tylko jedno: Charles całkiem stracił twarz.

Gdy w oddali zamajaczyła dzwonnica Marzeray, zatrzymał samochód na poboczu.

Wygramolił się na zewnątrz, wysikał w zaroślach, zaczerpnął powietrza, poczuł ból, westchnął, rozpiął koszulę, złapał za rogi kołnierzyka i załopotał nią, żeby szybciej wyschła. Otarł czoło ramieniem. Zadrapania i dotyk koszuli sprawiły mu dodatkowy ból. Jeszcze raz zaczerpnął powietrza, Boże, ależ śmierdział, zapiął koszulę, założył marynarkę i jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza.

Zaczęło burczeć mu w brzuchu. Nie miał nic przeciwko temu, ale z zasady zaczął strofować żołądek. Uszanuj tę chwilę, do cholery! Że co? Że stek? Nie ma miejsca na stek, kretynie. Zamieniłeś się w jaszczura, sam widzisz...

Tak... Właśnie... Duży stek w towarzystwie Alexisa... Żeby jej sprawić przyjemność... „Jedźcie, chłopcy, jedźcie, reszta przyjdzie sama...”

Jedynym problemem (znowu? zaczynało go to porządnie wkurzać) było serce.

Stało mu kołkiem w gardle. Więc zapalił.

Żeby przepłoszyć je na swoje miejsce.

Usiadł na stygnącej klapie silnika i bez pośpiechu naraził się na impotencję i raka płuc, zacadzając przy okazji masę małych muszek. Przypomniał sobie, ile się nacierpiał, żeby rzucić palenie... Był wtedy wyjątkowym cynikiem. Powtarzał, że rzucanie palenia to jedyna wielka przygoda, jaka jeszcze pozostała im, sytym ludziom Zachodu. Jedyna.

Teraz już cynikiem nie był.

Czuł się stary, bliski śmierci i uzależniony.

Włączył komórkę i sprawdził. Niestety. Nie było zasięgu.

Przed merostwem zmienił datę w kalendarzu - dziesiąty sierpnia. Alexis mieszkał w Wiązowym Zakątku. Charles poczekał na dobry moment i znów przełączył się na Radio Poczta Pantoflowa.

- Och... To niedaleko... To te nowe domy za spółdzielnią.

Na razie nie zauważył tu żadnych „nowych domów”, pewnie chodziło o te parcele porośnięte porządnym perzem. Zaczynało się nieźle... Tak jak lubił. Gówniane budynki, gówniane tynki, rozsuwane okiennice, seryjne skrzynki na listy i lampy uliczne w kształcie kiczowatych latarek.

A najgorsze, że cały ten chłam kosztuje cholerne pieniądze...

Dobra, streszczaj się. A gdzie jest numer osiem?

Tuże, pretensjonalne ogrodzenie i brama ozdobiona wyrobami kowalstwa artystycznego w stylu marketowo-średniowiecznym. Brakuje tylko małych lwów na filarach po obu stronach... Charles wygładził kieszenie marynarki i zakolał do drzwi.

Za szybą ukazała się jasna główka. Odciągnęły ją czyjeś ręce. Cóż.

Jeszcze raz zadzwonił. Rozległ się kobiecy głos.

- Tak?

Nie. Niemożliwe. Mają domofon? Nie zauważył. Domofon? Tutaj? W jednym z najbardziej wyludnionych regionów Francji? Wpisany na listę parków narodowych i czego tam jeszcze? Domofon? W czwartym domu na paskudnej parceli, na której w sumie było ich dwanaście? Ależ... do czego to podobne?

- Kim pan jest? - powtórzyło... urządzenie.

Charles odpowiedział „spierdalaj”, ale wyartykułował coś całkiem innego:

- Charles... Przyja... dawny przyjaciel Alexisa... Cisza.

Bez trudu wyobraził sobie to zaskoczenie, to poruszenie u państwa Przeciętniaków, te ich „Jesteś pewien?” i „Dobrze usłyszałaś?”. Wyciągnął do góry ramiona, wyobraził sobie, że stoi w przepięknej draperii, i czekał, aż brama (automatyczna?) rozewrze się i ochlapie Mojżesza.

Nic z tego.

- Nie ma go w domu...

Cóż... Taktyka i czas to coś więcej niż siła, itd. itp. Było coś niemiłego po tamtej stronie kabla, więc postanowił zająć stanowisko i wytoczyć ciężkie działa:

- Pani jest Corinne, prawda? - podlizzał się. - Dużo o pani słyszałem. Nazywam się Balanda... Charles Balanda...

Drzwi wejściowe (drewno egzotyczne, model Cheverny albo Chambord, produkcja seryjna, krzyżownice z imitacji łożowiu, podwójne oszklenie i uszczelniana ościeżnica) otworzyły się, ukazując... niezbyt zachęcającą twarz.

Kobieta wyciągnęła ku niemu dłoń, ramię jak taran, i gdy usiłował się do niej uśmiechnąć, żeby ją oczarować, zrozumiał, co ją tak odpychało: jego gęba. Jego własna gęba.

No i przecież... już o tym zapomniał, ale... miał dziurawe spodnie, podartą marynarkę, koszulę poplamioną krwią i maścią Betadine...

- Dzień dobry... przepraszam... To znaczy... Właśnie... Przewróciłem się rano... Nie przeszkadzam pani?

- Przeszkadzam?

- Nie, nie... On powinien za chwilę wrócić.

I odwróciwszy się do małego chłopczyka, krzyknęła:

- A ty do domu, ale już!

- Świetnie. To ja na niego poczekam...

W normalnej sytuacji powiedziałyby pewnie: „Ależ proszę wejść”. Albo: „Napije się pan czegoś tymczasem?”, albo... ale ona tylko powtórzyła to samo „Świetnie”, tylko bardziej oschle, i wróciła do swojej murowanej chatki.

Autentycznej.

I wysokiej jakości.

Więc Charles mógł się zabawić w antropologa. Zwiedził Wiązowy Zakątek.

Porównywał ze sobą żłobione, powyginane filary ze sztucznego, źle ociosanego granitu, balustrady, niecałe dziesięć euro za metr bieżący, kostki brukowe postarzone fabrycznie, betonowe płyty imitujące kamienie, ogromne grille, meble ogrodowe z żywicy akrylowej, fluorescencyjne zjeżdżalnie, poliestrowe altanki, drzwi do garaży równie obszernych jak część zwana mieszkalną i...

Wszystko w świetnym guście.

Nie, nie był cynikiem. Był snobem.

Wrócił tą samą drogą. Za jego samochodem stał teraz jeszcze jeden samochód. Zwolnił, poczuł, że znowu sztywnieje mu noga, do ogrodu wyskoczył ten sam blondynek co wcześniej, a za nim mężczyzna, który był pewnie jego tatą.

I choć, gdy o tym teraz pomyśleć, było to dość przygnębiające, niestety, taka właśnie jest prawda, pierwszą myślą, jaka po tych wszystkich wstrząsach przysła Charles'owi do głowy, było:

„Skurczybyk... On ma jeszcze wszystkie włosy...” Przygnębiające.

Ale, ale. Niby jak to miało wyglądać? Skrzypce? Zwolnione tempo? Zamglony obraz?

- A ty co? Widzę, że chodzisz jak staruszek... A jak inaczej to miałoby wyglądać?

Charles nie wiedział, co odrzec. Był chyba zbyt sentymentalny.

Alexis sprawił mu ból, klepiąc go po ramieniu.

- Jakież dobre wiatry cię tu sprowadzają? Kretyn.

- To twój syn?

- Lucas, chodź tutaj! Chodź, przywitaj się z wujkiem Charles'em!

Pochylił się, żeby go ucałować. Nie spieszył się. Zapomniał już, że są aromaty świeże jak ciała dziecinne.

Spytał, czy nie znudził mu się Spiderman przypięty do koszulki, dotknął włosów chłopca, jego karku... Co? Masz go nawet na skarpetkach? No, nie... Na majtkach też? Nauczył się, jak składać palce, żeby wytworzyć „klejącą pajęczynę”, spróbował, pomylił się, obiecał, że potrenuje, po czym wstał i zobaczył, że Alexis Le Men płacze.

Natychmiast zapomniał o radach aptekarki i cała jej robota poszła na marne.

Popękały strupy, guzy, opatrunki, tamy i wszystkie życiowe plastry.

Rzucili się sobie w ramiona i obaj poczuli, że przytulają Anouk.

Charles cofnął się pierwszy. Ból, krwiaki. Alexis podniósł synka, rozśmieszył go, łaskocząc, podgryzając mu brzuch ale zrobił to głównie po to, żeby się schować, obetrzeć twarz - i posadził sobie małego na ramionach.

- Co ci się stało? Spadłeś z rusztowania?

- Tak.

- Widziałeś Corinne?

- Tak.

- Akurat tędy przejeżdżałeś?

- Akurat.

Charles znieruchomiał. Po trzech krokach Alexis się odwrócił. Zrobił arogancką minę właściciela ziemskiego i pociągnął za nogi synka, żeby zrównoważyć ciężar. Chociaż ten jeden.

- Przyjechałeś robić mi wymówki, tak?

- Nie.

Długo na siebie patrzyli.

- Nadal świrujesz z tym cmentarzem?

- Nie - odpowiedział Charles. - Nie. Już o tym nie myślę...

- A o czym myślisz?

- Zaprosisz mnie na kolację?

Alexis poczuł ulgę i posłał mu jeden ze swoich dawnych, ładnych uśmiechów, ale było już za późno. Charles właśnie zebrał wszystkie kulki w tej partii.

Mistinguett w zamian za kolację w Wiązowym Zakątku, za cenę złego smaku, benzyny i straconego czasu... To chyba dość uczciwa propozycja?

Niebo się rozchmurzyło, moja piękna. Widzisz? Dostałaś tę swoją gałązkę oliwną, prawda?

Pewnie, że krótko to trwało, raczej chwila zapomnienia niż poryw serca, zgadzam się z tobą i wiem, że ci to nie wystarczy. Ale dla ciebie nic nigdy nie było wystarczające, więc...

Poczucie, że znów ma kieszenie pełne kulek, ta pewność, że rozgrywka skończona, że już więcej nie zagra, a więc i nie przegra, bo tor przeszkód, choć śmiertelnie trudny, stał się teraz zbyt krótki, by zmierzyć się na nim z tak słabym przeciwnikiem, to poczucie sprawiło mu niewymowną ulgę.

Zaczął kuśtykać raźniej, poślaskotał superbohatera w kolanka, wystawił dwa palce i fiuuuu, owinał pajęczyną małego wróbla, który podskakiwał na drutach elektrycznych.

- Akurat! - powiedział na to mały Lucas. - No, to gdzie on jest?

- Mam go w samochodzie.

- Uważaj, bo ci uwierzę.

- A powinieneś.

- To ci powiem, że gdyby to była prawda, tobym widział, jak go tam niesiesz.

- To ja ci powiem, że nic byś nie widział, bo się gapiłeś na psa sąsiadów...

I gdy Alexis wynosił z samochodu zakupy na tydzień, chodząc w tę i z powrotem między bagażnikiem a swym przepięknym garażem, Charles zamknął buzię podejrzliwemu chłopcu.

- Tak, ale dlaczego ten ptaszek jest przyklejony do gałęzi?

- No... chyba wiesz, że pajęczyna Spidermana się klei.

- Pokażemy go tacie?

- Nie. Ptak jest w szoku... Powinniśmy zostawić go w spokoju.

- On nie żyje?

- Ależ skąd! Oczywiście, że żyje. Jest w szoku, mówiłem ci. Później go wypuścimy.

Lucas skinął poważnie głową, po czym uniósł ją, spojrzał wesoło i spytał:

- Jak się nazywasz?

- Charles - uśmiechnął się Charles.

- A dlaczego masz tyle plastrów na głowie?

- Zgadnij...

- Bo jesteś słabszy od Spidermana?

- Niestety... czasem nie trafiam.

- Pokazać ci mój pokój?

Matka Lucasa przerwała tę pajęczą nić porozumienia. Przede wszystkim kazała im przejść przez garaż i tam zdjąć buty. (Charles się wzdygnął, nigdy jeszcze u nikogo nie zdejmował butów). (Poza Japonią, oczywiście...) (Och, tak. Charles był snobem...) Następnie pokiwała palcem wskazującym: żadnego bałaganu, zrozumiano? Wreszcie odwróciła się w stronę tego, którego miała za intruza.

- Zostaje... Zostaje pan na kolacji?

Zza reklamówek od Championa wyjrzał Alexis. (Ależby się szwagier ucieszył... I jak mu z tym było do twarzy... Gdyby miał odwagę i zasięg, wysłałby Claire smakowitego MMS-a...)

- Oczywiście, że zostaje. No, co? Co jest?

- Nic - odpowiedziała mu żona tonem, który sugerował coś całkiem odwrotnego. - Tylko że nic jeszcze nie jest gotowe. Przypominam ci, że jutro jest festyn w szkole, a ja ciągle jeszcze nie skończyłam kostiumu dla Marion. Przecież nie jestem krawcową!

Alexis, rozgorączkowany, naiwny, ciągle pod wrażeniem pięknej powitalnej sceny, odstawił siatki i zmiotł jej argumenty:

- Nie ma problemu. Nie martw się. Sam się zajmę kolacją...

I już przez ramię:

- Właśnie, a Marion? Nie ma jej? Gdzie ona jest?

I jeszcze jedno westchnienie znad filcowych bamboszy:

- Gdzie ona jest... Gdzie ona jest... Dobrze wiesz, gdzie...

- U Alice?

Ach, nie, przepraszam, to nie było ostatnie westchnienie.

- No oczywiście.

- Zadzwoń do niej.

To było przedprzedostatnie.

- Powodzenia. Tam nikt nigdy nie odbiera... Nie wiem, po co w ogóle mają telefon...

Alexis zamknął oczy, przypomniał sobie, że jest wesoły, i ruszył w kierunku kuchni.

Charles i Lucas nie mieli odwagi się ruszyć.

- Pyta, czy może zostać na noc! - krzyknął Alexis.

- Nie może. Mamy gościa.

Charles zaprzeczył ruchem głowy: nie, nie, nie. Nie miał zamiaru służyć za niedobre alibi.

- Mówi, że powtarzają układ taneczny na jutro...



- Nie. Ma wrócić!

- Błaga cię - nie dał za wygraną tata Marion. - I dodaje nawet „na kolanach”.

Wyczerpawszy niemal wszystkie argumenty, Corinne impulsywnie posłużyła się najgłupszym z możliwych:

- Nie ma mowy. Nie wzięła aparatu na zęby.

- Czekaj, jeśli tylko o to chodzi, mogę jej zawieźć.

- Czyżby? Myślałam, że zajmiesz się kolacją?

Ale atmosfera! Charles poczuł nagle, że musi się trochę przewietrzyć. Wmieszał się w sprawy, które nie powinny go obchodzić:

- Jeżeli to coś pomoże, to ja mogę być gońcem...

Spojrzenie, które mu rzuciła, utwierdziło go w tym przekonaniu: cała ta sprawa abssolutnie nie powinna go obchodzić.

- Nawet pan nie wie, gdzie to jest...

- Ale ja wiem! - wrzasnął Lucas. - Pokażę mu drogę! Pełna napięcia cisza.

Pan domu poczuł, że nadszedł czas, by pokazać kumplowi, towarzyszowi, byłemu koledze z wojska, kto tutaj naprawdę rządzi. Co to ma znaczyć!

- Dobra, niech będzie, Marion. Ale wrócisz jutro zaraz po śniadaniu.

Charles posadził go z tyłu, wykręcił i szybko się wymiksował ze smerfowego zakątka. Zapytał lusterko:

- No? To dokąd teraz jedziemy?

Po ogrooomnym uśmiechu wywnioskował, że wróżka-zębuszka była z wizytą dwa razy.

- Jedziemy do najbardziej superanckiego domu na świecie!

- Coś ty? A gdzie jest ten dom?

- No...

Lucas odpiął pas, pochylił się do przodu, popatrzył na drogę i krzyknął dźwięcznie:

- Prosto!

Kierowca wzniósł oczy ku niebu. Prosto. No jasne. Ależ był głupi.

Ku niebu...

Które się różowiło.

Które upudrowało się, by towarzyszyć im w drodze.

- Ty chyba płaczesz? - zaniepokoił się mały pasażer.

- Nie, nie. Po prostu jestem bardzo zmęczony...

- Dlaczego jesteś zmęczony? Bo mało spałem.

- Odbyłeś długą podróż, żeby się ze mną zobaczyć?

- Och! Nawet nie wiesz, jak długą...

- Walczyłeś z potworami?

- A jak? - cheplił się Charles, wskazując kciukiem swoją zakazaną gębę. - Chyba nie myślisz, że sam to sobie zrobiłem.

Pełne szacunku milczenie.

- A to? To jest krew?

- A jak ci się wydaje?

- Dlaczego jedne plamy są ciemnobrązowe, a drugie jasnobrązowe?

No tak, to ten wiek: dlaczego, dlaczego, dlaczego. Już nie pamiętał...

- To zależy od potworów...

- A najstraszniejsze to były które? Paplali, jadąc środkiem jakiejś wiochy...

- Hej, daleko jeszcze do tego twojego superdomu? Lucas wyjrzał przez tylną szybę, zrobił podkówkę, odwrócił się.

- Och... Właśnie go mineliśmy...

- Brawo! - zrzędził na niby Charles. - Brawo, pilocie. Nie wiem, czy wezmę cię ze sobą na następne wyprawy!

Milczenie pełne skruchy.

- No pewnie... Pewnie, że cię zabiorę... Chodź, usiądziesz mi na kolanach. Będziesz lepiej widział...

Tym razem wszystko było jasne, żadnych powodów do skruchy. Właśnie zyskał w małym Le Menie przyjaciela na całe życie.

Tylko, Boże słodki, jak wszystko go bolało...

Wykonali elegancki manewr na wysokości pastwiska nakrapianego brązowymi krowami, wjechali na rozmiękczony asfalt, skręcili przed tablicą z napisem „Les Vesperies”, połączonymi siłami wstawili wóz w rozjeżdżone koleiny i znaleźli się na wspaniałej alei, po obu stronach wysadzonej dębami.

Charles, który nie zapomniał ani o swoim zapachu, ani o ubraniu, zaczął panikować:

- To Alice mieszka w zamku?

- No tak...

- Ale... dobrze znasz tych ludzi?

- Najlepiej znam baronową i Victorię... Victoria, sam zobaczysz, jest najstarsza i najgrubsza...

O cholera! Żebrak i jego dziecię z wizytą u miejscowej arystokracji... Tylko tego mu brakowało. Co za dzień, no naprawdę, co za dzień...

- A... One są miłe?

- Nie. Baronowa nie. Ona jest g-ł-u-p-i-a.

Świetnie, świetnie, świetnie. Po akrylowym tynku czas na machikuły.

Francja, ojczyzna kontrastów...

Niesforne kosmyki małego pilota połaskotały go w nos, przywracając do rzeczywistości.

Naprzód, chłopie! Do boju! Prosto na donżon!

Tak, ale problem w tym, że zamku jakoś nie było... Wiekowa aleja prowadziła do wielkiej, na wpół skoszonej łąki.

- Musisz tutaj skręcić...

Przez jakieś sto metrów jechali wzdłuż wąskiej rzeczki (dawnej fosy?), aż wreszcie pośród drzew dał się zauważyć ciąg mniej lub bardziej zapadłych dachów (w większości bardziej). Może te drzewa to wiązy? - zaśmiał się w myślach paryżanin snobek, który na co dzień widywał tylko pnie obsikane przez francuskie pieski.

A więc kierunek - stare budynki gospodarcze.

Poczuł się lepiej.

- A teraz lepiej się zatrzymaj, bo ten mostek mógłby się zawalić.

- Naprawdę?

- Tak. A to jest bardzo niebezpieczne - dodał radośnie.

- Rozumiem...

Zaparkował obok starego, opryskanego błotem volvo kombi. Kłapa była otwarta, w bagażniku jazgotały dwa psy.

- Ten to Egli, a ten to Hideus...

Dwa ogony gwałtownie zamerdały, wzniecając tumany słomy i kurzu.

- Są bardzo brzydkie, nie?

- Tak, ale to tak specjalnie - uspokoił miniprzewodnik. - Oni co roku jadą do schroniska i proszą faceta o najbrzydszego psa...

- Coś ty? Dlaczego?

- No... Żeby go wziąć ze schroniska!

- Ale... Ile ich w sumie jest?

- Nie wiem.

Rozumiem - zadrwił Charles w duchu. Nie jesteśmy u żadnego Godfryda z Bouillon, tylko raczej w siedzibie neohipisów w stylu „wielki powrót do natury”.

Litości!

- Kozy też tu są?

- Tak.

- Wiedziałem.

- A baronowa? Pali trawkę?

- Głupi jesteś. Nie pali, tylko je.

- Jest krową?

- Jest kucykiem.

- Gruba Victoria też?

- Nie. Ona chyba była królową... *Help!*

A później Charles się zamknął. Wcisnął do kieszeni swoje uprzedzenia i przykrył je ufajdaną chusteczką. To było takie urokliwe miejsce...

Przecież dobrze wiedział, że służba jest zawsze bardziej poruszająca od jaśniepaństwa... Miał w głowie mnóstwo przykładów... Ale nie szukał ich, nie myślał, podziwiał.

Już most mówił sam za siebie. Sposób ułożenia kamieni, elegancja pomostu, przęsła, barierki, filary...

I ten dziedziniec nazywany zamkniętym, tak pełen wdzięku... Te budynki... Ich proporcje... To poczucie bezpieczeństwa, siły, choć wszystko sypało się w gruzy...

Na drodze wałało się jakieś dziesięć porzuconych rowerów, kury skubały trawę pośród przerzutek. Były tu także gęsi i przede wszystkim przedziwny kaczor. Jak by to powiedzieć... trzymał się niemal pionowo... Jak gdyby chodził na czubkach pal... na czubkach łap.

- Idziesz? - zniecierpliwiał się Lucas.

- Dziwny kaczor, nie?

- Który? Ten? A jak szybko biega! Zobaczysz...

- Ale co to jest? Jakaś krzyżówka z pingwinem?

- Nie wiem... Mówią na niego „indyjski”... A jak jest z rodziną, to chodzą jedno za drugim, śmiesznie to wygląda.

- Czyli gęsiego?

- Idziesz?

Charles znowu się zdziwił:

- A to co znowu?

- To jest kosiarka.

- Ale przecież... to lama!

- Lepiej jej nie głaszcz, bo potem będzie za tobą wszędzie chodziła i nie dasz sobie z nią rady...

- Pluje?

- Czasami... Ale to nie jest ślina z pyska, tylko z żołądka, a jak cuuuuchnie...

- Powiedz, Lucas... Co to za miejsce? Coś w rodzaju cyrku?

- Tak - roześmiał się. - Można tak powiedzieć. Właśnie dlatego mama, eee...

- Niezbyt lubi, gdy tu przychodzicie?

- Nie co dzień... Idziesz?

Drzwi uginały się pod naporem... jakichś roślin (z botaniki Charles był równie słaby). Była tam winorośl i krzewy róż, to rozpoznał, ale oprócz tego coś, co się pięło, jaskrawopomarańczowe, o liściach w kształcie małych trąbek, i jeszcze jakieś rośliny, niesamowite, fioletowe, z poskręcanym wnętrzem i... pręcikami (?), jakich nigdy nie widział, trójwymiarowymi, niemożliwymi do narysowania, i do tego doniczki... wszędzie... Na parapetach, wzdłuż podmurówki, przy pompie, poustawiane na stołach i żelaznych podstawkach.

Poprzesuwane, ściśnięte, zebrane, a nawet niektóre z etykietkami. Wszystkich rozmiarów i ze wszystkich epok, począwszy od żeliwnych „medyceuszy”, skończywszy na starych puszkach, poprzez pozbawione szyjek butelki, wiadra po suchej karmie Wyjątkowo Lekkostrawnej i duże szklane słoje, w których widać było blade korzenie wyzierające spod napisu „Le Parfait”.

No i gliniane figurki... Najwidoczniej ulepione przez dzieci... Surowe, brzydkie, zabawne, i inne, znacznie starsze, niezwykle, jak ten pokryty porostem kosz na owoce z XVIII wieku czy figura fauna bez dłoni (tej, w której trzymał flet?), lecz o ramieniu wystarczająco długim, by przywiązać do niego skakankę.

Miski, czarki, szybkar bez ucha, złamany wiatrowskaz, plastikowy barometr wychwalający zalety przynęt wędkarskich firmy Sensas, bezwłosa lalka Barbie, drewniane kręgle, konewki z zeszłego wieku, zakurzony tornister, na wpół ogryziona kość, stara dyscyplina zawieszona na zardzewiałym gwoździu, linka, dzwonek na jej końcu, ptasie gniazda, pusta klatka, szufelka, mocno zużyte miotły, dziecięcy wóz strażacki i... I pośrodku tej rupieciarni - dwa koty.

Niewzruszone.

Zaplecze pałacu marzeń Ferdinanda Chevala.

- Na co się tak patrzysz? Chodź!

- Rodzice Alice handlują starzyzną?

- Nie. Nie żyją.

- Idziesz?

Drzwi wejściowe były uchylone. Charles zapukał i przyłożył rozpląszczoną dłoń do ciepłej deski. Nikt się nie odezwał.

Lucas wślizgnął się do środka. Klamka była jeszcze cieplejsza, Charles przytrzymał ją przez moment i ruszył za malcem.

Zanim źrenice zdążyły się przyzwyczaić do zmiany oświetlenia, nos był oczarowany.

Combray, powrót.

Ten zapach... O którym zapomniał. Który, jak sądził, stracił. Który lekceważył. Którym pogardzał, a który teraz sprawił, że znów się rozczulił. Zapach czekoladowego ciasta pieczonego w starej kuchni, w prawdziwym domu...

Nie miał jednak okazji zbyt długo przełykać śliny, bo, tak jak przed wejściem kilka minut wcześniej, nie wiedział, na czym najpierw zawiesić zdumiony wzrok.

Panował tu znaczny burdel, który sprawiał jednak niezwykle wrażenie. Wrażenie delikatności, radości. Ładu...

Kalosze ustawione w porządku malejącym na całych metrach terakotowych kafli, kolejne sadzonki (?) (roszady?) na wszystkich oknach, powkładane w skrzyneczki z polistyrenu i wystające z pudełek po lodach waniliowych, gigantyczny kominek wymurowany z kamienia, a nad nim nadproże z bardzo ciemnego, niemal czarnego drewna, na którym ktoś położył smyczek, orzechy oraz gniazda i ustawił świece, upstrzone lusterko, zdjęcia, a także przedziwną procesję zwierzątek zrobionych z darów lasu: z kory, liści, gałązek, żołądzi, żołądziowych czapecek, mchu, piórek, szyszek, kasztanów, suchych jagód, maleńkich kostek - koguciki, łupinki, skrzydełka, kotki...

Charles był zafascynowany. Kto to wszystko zrobił? - rzucił w próżnię.

Była tu też imponująca kuchenka, pokryta błękitną emalią, o dwóch wielkich, pękatych pokrywach i pięciorgu drzwiczkach na froncie. Była zaokrąglona, gładka, ciepła, aż się prosiła, by ją pogłaskać...

Przed nią, na kocu, leżał pies, chyba stary wilczur, który na widok przybyłych zaczął piszczeć i próbował wstać, żeby ich przywitać albo przestraszyć, ale zrezygnował i opadł na koc, ciągle pojękując.

Wiejski (refektarzowy?) stół, ogromny, obstawiony krzesłami z różnych parafii, przy którym niedawno jedzono kolację i z którego nie posprzątało. Srebrne sztucce, talerze mocno umazane sosem, szklanki po musztardzie z postaciami z kreskówek Walta Disneya i obrączki na serwetki z kości słoniowej.

Uroczy kredens, stylowy, delikatny, wyładowany po brzegi formami do pasztetów, fajansami, miseczkami, talerzami i wyszczerbionymi filiżankami. W głębi wnęki - kamienny zlew, z wyglądu bardzo niewygodny, w którego pożółklej komorze piętrzyły się stosy garnków. Z sufitu zwisały koszyki, dziurawe sito, porcelanowe wisioriki, coś w rodzaju skrzyni, niemal tak długiej jak stół, głębokiej, pełnej otworów i żłobień, a w niej łyżki i łyżeczki z wszelkich możliwych epok, lep z zeszłego stulecia i muchy, które, lekceważąc poświęcenie swoich poprzedniczek, już zacierały łapki na myśl o czekającej je uczcie z okruszków ciasta...

Na ścianach, niebielonych prawdopodobnie od epoki Walezjuszy - daty i imiona dzieci wypisane wzdłuż niewidocznej miarki, liczne pęknięcia, jakaś martwa natura, niemy zegar z kukułką i półki, dzięki którym można było sobie uzmysłowić, że jednak nie cofnęliśmy się w czasie... Uginając się bowiem pod ciężarem spaghetti, ryżu, płatków zbożowych, mąki, słoiczków z musztardą i innych produktów żywnościowych znanych marek, w opakowaniach zwanych rodzinnymi, dowodziły, że toczy się tutaj życie ludzi mniej więcej nam współczesnych.

A do tego... Jeszcze... To światło... Ostatnie promienie słoneczne jednego z najdłuższych dni w roku, przenikające przez zasnutą pajęczyną szybę.

Akakajowe, bursztynowe, pełne ciszy światło. Przesycone woskiem, kurzem, sierścią i popiołem... Charles się odwrócił.

- Lucas!

- Przesuń się, muszę ją wyprowadzić, bo inaczej wszystko ofajda.

- A to co znowu?

- Kozy nie widziałeś?

- Ale ona jest całkiem malutka!

- Co z tego? I tak robi pełno bobków... Mógłbyś odejść od drzwi?

- A gdzie jest Alice?

- Na górze jej nie ma... Chodź, poszukamy na podwórku... Kurczę, zwiła mi!

Koza wlaźła na stół, a Lucas stwierdził, że to nic, że to nie szkodzi. Że Yacine pozbiera bobki do pudełka po cukierkach i zaniesie do szkoły.

- Jesteś pewien? Temu psisku się to chyba nie podoba...

- Może i nie, ale ten pies nie ma już zębów. Chodź!

- Trochę wolniej, szefie, noga mnie boli.

- Ach, tak... Zapomniałem... Przepraszam.

Ten chłopaczek był niesamowity. Charles miał wielką ochotę go spytać, czy znał babcię, ale się nie odważył. Nie śmiał już o nic pytać. Bał się, że coś zepsuje, że okaże się gburem, że wyjdzie na głupka na tej rozbrajającej planecie poza światem, do której można było dotrzeć walącym się mostem, na której rodzice byli nieboszczykami, kaczki chodziły pionowo, a kozy siedziały w koszu na chleb.

Położył rękę na ramieniu chłopca i poszedł z nim ku zachodzącemu słońcu.

Okrążyli dom, przecięli łąkę porośniętą wysoką trawą, pośród której wykoszono wąskie przejście. Przyłączyły się do nich psy z bagażnika. Poczuli zapach palonych gałęzi (o nim też zapomniał...) i zauważyli ich z daleka na skraju lasu, w kręgu, śmiali się i hasali wokół ognia.

- Kurczę, idzie za nami.

- Kto?

- Kapitan Haddock...

Charles nie musiał się odwracać, żeby zgadnąć, o jakiego zwierzaka tym razem chodzi. Dobrze się bawił.

Komu mógłby to wszystko powiedzieć? Kto by w to uwierzył?

Przyjechał tu nastawiony bojowo, chciał wziąć za rogi własne dzieciństwo i się z nim rozprawić, by wreszcie zacząć spokojnie się starzeć, ale na razie dzieciństwo samo do niego wracało, a on szedł szybko, powłócząc kulawą nogą, bo nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać po lamach. Tak, bawiło go to, i tak bardzo by chciał, żeby Mathilde też tutaj była... O cholera... Lama będzie pluła... Będzie pluła. Czuję to.

- Ciągłe za nami idzie? Ale Lucas już go nie słuchał.

Teatr cieni...

Pierwsza sylwetka odwróciła się, druga dała im znak, przywitał się z nimi jakiś nowy pies, trzecia sylwetka pokazała ich palcem, czwarta, maleńka, ruszyła biegiem ku drzewom, piąta skoczyła przez ogień, szósta i siódma zaklaskały, ósma rozpędziła się przed skokiem i wreszcie dziewiąta - też się odwróciła.

Charles na próżno mrużył oczy i przykładał do nich dłoń, Lucas powiedział prawdę: tu nie było dorosłych. Zaniepokoił się... Śmierdziało roztopionym kauczukiem... Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? Te wszystkie tenisówki ślizgające się po rozżarzonych polanach?

Zachwiał się. Uciekła mu podpora. Ostatnia sylwetka, ta, która się odwróciła, ta z końskim ogonem, pochyliła się, rozłożyła ramiona i Lucas wystrzelił prosto w jej stronę.

Ding.

Jak kulka we flipperze.

- Helooo, Mister Spiderman...

- Czemu ty zawsze mówisz „spajdamaen”? - zdenerwował się mały. - To jest spaj-der-men, tyle razy ci mówiłem...

- Okay, okay... Przepraszam. Dzień dobry, Mister Spajdermen, jak leci? Weźmiesz udział w naszym konkursie śmiertelnych skoków?

Wyprostowała się i puściła go wolno.

Rozumiem - oświeciło Charles'a. Mały zrobił mi kawał. Rodzice nie umarli, tylko wyjechali, a zagraniczna au-pair pozwala dzieciakom na wszystko.

Au-pairka, która stała tyłem do światła i była niezbyt rozsądna, miała uroczy uśmiech. Niemal niedoskonały. Jeden z jej siekaczy lekko nachodził na drugi.

Wyszła z kręgu światła, żeby się z nim przywitać, i... wtedy ją zobaczył.

Zbyt dużo przeżyła, żeby być au-pairką, wszystko, co otaczało ten uroczy uśmiech, sugerowało takie stwierdzenie.

Wszystko.

Zdmuchnęła kosmyk z oczu, żeby lepiej widzieć nowo przybyłego, zdjęła grubą skórzaną rękawicę, wytarła rękę w spodnie i wyciągnęła ją do Charles'a. Poczul, że jej dłoń pokryta jest wiórami i drzazgami.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odpowiedział. - Ja... Charles.

- Miło mi, *Charles*...

Powiedziała to po angielsku, *Charles*, i na dźwięk znajomego imienia wypowiedzianego w całkiem inny sposób coś się w nim poruszyło.

Poczul się kimś innym. Kimś lżejszym, kimś wyraźniejszym.

- Jestem Kate - dodała.

- Ja... Przyszedłem z Lucasem, żeby... Wyjął z kieszeni małą kosmetyczkę.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się, inaczej, jeszcze bardziej odsłaniając siekacze, istne narzędzie tortur... - *So*, jest pan przyjacielem Le Menów?

Charles się zawahał. Wiedział, że to taka forma grzecznościowa, ale czuł, że nie ma sensu oszukiwać dziewczyny takiej jak ta.

- Nie.

- Ach...
- Byłem... To znaczy... Alexisa... Nie... Nic... Stara historia...
- Znał go pan, gdy był muzykiem?
- Tak.

- Więc rozumiem pana... Gdy gra, czuję, że jest także moim przyjacielem.

- Często gra?

- Nie. Niestety. Milczenie.

Powrót do form grzecznościowych.

- Skąd pani jest? Od Jej Królewskiej Mości?

- *Well... Yes...* i nie. Jestem... - ciągnęła, zataczając wokół ręką - jestem stąd...

Objęła tym gestem ognisko, dzieci i ich śmiechy, psy, konie, łąki, lasy, rzekę, Kapitana Haddocka, osadę domów o walących się dachach, pierwsze, niemal przezroczyście gwiazdy, a nawet jaskółki, które usiłowały wziąć w nawias całe niebo.

- Piękna okolica - wyszeptał. Jej uśmiech był gdzieś daleko.

- Dzisiaj - tak... Wrócił.

- Jef! Podciągnij nogawki od dresu, bo się podpalisz, dzieciaku...

- Już pachnie pieczonym prosiakiem! - odezwał się czyjś głos.

- Pieczeń z Jefa! Pieczeń z Jefa! - krzyknął ktoś z naprzeciwka.

I Jef, zanim się rozpędził, ukucnął, żeby podwinąć nogawki stuprocentowo syntetycznych dresów z trzema paskami.

W sumie z sześcioma - poprawił Charles, który, choć skołowany, lubił, jak mu się zgadzały rachunki.

Dobra. Z sześcioma. Ale nie mydl nam oczu, dobra?

Że co?

Hej... „Piękna okolica”... Podlizywałeś się, a tak naprawdę patrzyłeś na jej ramię.

No jasne. Widzieliście, jakie kształtne? Tyle mięśni, a takie szczupłe, to dość zadziwiające, prawda?

Tak, tak...

Bardzo przepraszam, ale linie i krzywizny to przecież mój fach, no nie? No, no...

Wspaniały śmiech przepłoszył cię przemądrzałego świerszcza.

Ból pod złamanym żebrem. Charles odwrócił się bardzo powoli, zlokalizował źródło szalonej kaskady śmiechu i już wiedział, że nie przyjechał tu na darmo.

- Anouk - szepnął.

- Słucham?

- Ona... Tam...

- Jaka ona?

- Ta mała... Córka Alexisa.

- Tak.

To była ona. Ta, która skakała najwyżej, krzyczała najgłośniej i najdonośniej się śmiała.

To samo spojrzenie, te same usta, to samo czoło, ta sama zawadiacka mina.

Ta sama energia. Ta sama zadziorność.



- Piękna, prawda?

Charles przytaknął, był w siódmym niebie. Cóż to za szczęście choć raz w życiu poczuć się wzruszonym!

- *Yes... beautiful... but a proper little monkey* - zgodziła się Kate. - Nasz przyjaciel Alexis będzie miał z nią wesoło... On, który tak się postarał, żeby upchnąć w futerale cały nadmiar... Jeszcze się zdziwi...

- Dlaczego pani to mówi?

- To o futerale?

- Tak.

- Nie wiem... mam takie wrażenie...

- On naprawdę nigdy nie gra?

- Gra... Jak jest podpity...

- Często mu się to zdarza?

- Nigdy.

Przeszedł słynny Jef, masując sobie łydki. Tym razem naprawdę zapachniało spalenizną.

- Jak pan ją rozpoznał? Nie jest zbyt podobna do ojca...

- Jej babcia...

- Manouk?

- Tak. Pani... Pani ją znała?

- Nie... Prawie wcale... Raz przyjechała do Alexisa...

- Pamiętam... Piliśmy kawę w kuchni i w pewnej chwili, niby to odstawiając filiżankę do zlewu, stanęła za mną i pogłaskała mnie po karku...

- To głupie, ale się rozplakałam... Po co ja to panu opowiadam! - skarciła się. - Przepraszam.

Charles nie miał nic przeciwko temu.

- Ależ nie mam nic przeciwko temu.

- To był dość trudny czas... Myślę, że wiedziała o... o *my predicament*... nie ma na to we francuskim dobrego słowa... powiedzmy... o moich tarapatkach... Zaraz potem pojechali, ale po kilku metrach ich samochód zatrzymał się, a ona wysiadła i podeszła do mnie. „Zapomniała pani czegoś?” „Kate - szepnęła do mnie - niech pani nie pije w samotności”.

Charles patrzył w ogień.

- Tak... Anouk... Pamiętam ją... Hej! Teraz niech maluchy trochę poskaczą! Lucas, skacz raczej z tej strony! Tam jest szerzej... Jezu, jak ich oddam podpieczonych matce, to mnie poda do sądu.

- À propos - zareagował Charles. - Musimy już iść. Pewnie czekają na nas z kolacją.

- Już pan jest spóźniony - zażartowała Kate. - Są ludzie, którzy zawsze zachowują się tak, jakby ktoś kazał im czekać, nawet jeśli przyjdzie punktualnie... Odprowadzę was...

- Nie, nie...

- Tak, tak!

I krzyknęła do najstarszych:

- Sam! Jef! Idę sprawdzić ciasta! Właśnie! Kto mi pomoże? Siedźcie przy ognisku i nie skaczcie więcej, dobra?

- Tak, tak - poniosło się echo.

- Idę z tobą - oświadczył okrągłutki dzieciak o bardzo ciemnej skórze i mocno poskręcanej czuprynce.

- Ale... Powiedziałaś, że też chciałbyś skoczyć. Skocz, popatrzę.

- No, ale...

- Ma cykora! - wrzasnął ktoś z prawej. - *Go, Yaya! Go!* Wytop sobie trochę tłuszczyku!

Mały wzruszył ramionami i się odwrócił.

- Zna pan Ajschylosa?

- Eeeee... - wydusił Charles, wytrzeszczając oczy. - To... to jeden z psów?

- Nie, to taki Grek, pisał tragedie.

- Ach! Mam za swoje! - roześmiał się Charles. - Znam go... Tak sobie...

- A wie pan, jak zginął?

- Bo orły, jeśli chcą zjeść żółwia, to muszą go upuścić z bardzo dużej wysokości, żeby rozbić skorupę, a ponieważ Ajschylos był łysy, orzeł myślał, że to skała - i pam! Zrzucił mu żółwia na głowę. Koniec.

Po co on mi to opowiada? Ja mam jeszcze trochę włosów...

- Charles - przyszła mu z pomocą Kate - przedstawiam panu Yacine'a. Zwanego Wikim. Od Wikipedii... Jeśli potrzebuje pan wiadomości czy notki biograficznej albo jeśli chce się pan dowiedzieć, ile razy Ludwik XVI wykapał się w ciągu całego życia - trafił pan na właściwego człowieka...

- A ile razy? - spytał Charles, ściskając małą rękę chłopaczka.

- Dzień dobry, czterdzieści. Kiedy ma pan imieniny? Czwartego listopada?

- Znasz na pamięć cały kalendarz?

- Nie, ale czwarty listopada to bardzo ważna data.

- To twoje urodziny?

Lekka. Lekka dziecięca pogarda.

- Rzekłbym raczej, że urodziny metra i kilograma... Czwarty listopada tysiąc osiemsetnego roku, oficjalna data przejścia Francji na dziesiętny system miar i wag.

Charles spojrział na Kate.

- Tak... To bywa męczące, ale w końcu człowiek się przyzwyczaja... Dalej... Idziemy... A Nedra? Znikła?

Pokazał jej drzewa.

- Mam wrażenie, że...

- Och, nie... - zmartwiła się Kate. - Biedna mała... Hat-tie! Chodź tu na chwilę!

Odeszła na bok z jakąś nową dziewczynką, powiedziała jej coś na ucho i posłała w stronę zarośli.

Charles spojrział pytająco na Yacine'a, ale ten udął, że nie rozumie.

Wróciła i pochyliła się, żeby podnie...

- Proszę to zostawić - powiedział, też się pochyliwszy.

Okay. Był dość łysy i dość gburowaty, ale nigdy, przenigdy by nie pozwolił, żeby idąca obok niego kobieta niosła coś ciężkiego.

Nie wyobrażał sobie, że to tyle waży. Wyprostował się, odwróciwszy głowę, żeby ukryć grymas wysiłku, i ruszył naprzód z... hm... dezynwolturą, zacisnąwszy mocno zęby.

O, kurwa... A przecież nanosił się w życiu kobiecych kłopotów... Torby, reklamówki po shoppingach, płaszcze, kartony, plany, a nawet teczki, ale żeby piłę mechaniczną...

Poczuł, że pęknięte żebro zaczyna brać górę.

Wydłużył krok i uczynił ostatni wysiłek, żeby sprawić wrażenie takiego, ach, ach, męskiego.

- A co jest za tym murem?

- Warzywnik - odpowiedziała.

- Taki duży?

- Należał do zamku...

- I... i pani uprawia warzywa?

- Oczywiście... Ale to przede wszystkim lenno Reného... Dawnego gospodarza...

Charles nie mógł dłużej udawać, ból był zbyt dotkliwy. Doskwierał mu nie tyle ciężar urzędnika, ile plecy, noga, nieprzespane noce...

Ukradkiem rzucił okiem na kobietę.

Na jej ogorzałą twarz, krótkie paznokcie, żdzbla trawy we włosach, ramię wyrzeźbione przez Michała Anioła, szal, który owinęła sobie wokół talii, znoszony podkoszulek, ślady potu na piersi i na plecach - i poczuł się całkowitym mięczakiem.

- Pachnie pani zielonym lasem... Uśmiech.

- Naprawdę? - zdziwiła się, opuszczając ramię wzdłuż ciała. - To... to ładnie powiedziane...

- A wiesz... Wiesz, dlaczego on się nazywa René?

Uf, to nie do niego, to do niej zwracał się Trivial Pursuit Junior.

- Nie wiem, ale dowiem się od ciebie.

- Bo jego matka miała już przed nim jednego syna, który umarł zaraz po urodzeniu, więc on był tym od-rodzonym, czyli „Re-né”.

Charles nieco ich wyprzedził, by szybciej pozbyć się ciężaru, ale usłyszał, jak Kate mruczy:

- A ty, mój Yacine? Wiesz, dlaczego cię uwielbiam? Trzepot skrzydeł.

- Bo wiesz nawet takie rzeczy, których nigdy nie przeczytasz w Internecie...

Już myślał, że nie doniesie do końca, zmienił rękę, było jeszcze gorzej, pocił się obficie, przebiegł ostatnie metry i w końcu ciężko postawił piłę przed drzwiami pierwszej nadarżającej się szopy.

- Świetnie... I tak muszę zdemontować łańcuch... Ach?

A niech to!

Poszukał chusteczki, żeby ukryć zażenowanie.

Mój Boże, mógłby przysiąc, że żaden Guillaume czy inny śmiałek nie zrobiłby tego, co on przed chwilą... Dobra... A gdzie Lucas?

Odprowadziła ich na drugi brzeg.

Charles miałby jej mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale mostek groził zawaleniem. Jakieś „Miło mi było panią poznać” wydało mu się przesadzone. Czy poznał coś więcej niż jej uśmiech i szorstką rękę? Tak, ale... Co należy powiedzieć w podobnych okolicznościach? Szukał, szukał, szukał... i znalazł kluczyki.

Otworzył tylne drzwiczki i odwrócił się.

- Byłoby mi miło, gdybym mogła pana poznać - powiedziała po prostu.

- Ja...

- Jest pan cały pokiereszowany.

- Słucham?
- Pańska twarz.
- Tak, ja... Zamyśliłem się...
- Ach, tak?
- Ja też... To znaczy... Byłbym szczęśliwy...

Minąwszy czwarty dąb, mógł wreszcie zadać pytanie, które siedziało mu w głowie niemal od początku.

- Lucas?
- Słucham?
- A Kate ma męża?

### 3

- Nieźle! Trochę wam to zajęło czasu!

- Bo oni siedzieli na łące - wytłumaczył się mały.

- A nie mówiłam? - skrzywiła się jego matka. - Chodźcie. Siadamy do stołu... Mam jeszcze trzy guziki do przyszywania...

Taras był wyłożony płytkami, obrus był nieplamiący, a grill był na gaz. Wskazano Charles'owi biały plastikowy fotel. Usiadł na poduszce w kwiatki.

Cóż, było to wszystko dosyć sielankowe...

Pierwszy kwadrans trwał całe wieki.

Penelopa była naburmuszona, Alexis nie wiedział, co robić, a nasz bohater siedział zatopiony w myślach.

Patrzył na tę twarz, którą znał od małego, widział, jak dorośleje, raduje się, cierpi, kocha, pięknieje, obiecuje, kłamie, zapada się, skręca i znika, i był zafascynowany.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Nie... Tak sobie właśnie myślałem, że przeciwnie... Wcale się nie zmieniłeś.

Alexis uniósł w jego kierunku butelkę wina.

- Nie wiem, czy powinienem uznać to za komplement... Żona westchnęła.

- Litości... Nie urządzicie mi tu chyba wieczorku kombatantów, co?

- Tak - powiedział Charles, patrząc mu prosto w oczy. - Możesz to uznać za komplement.

I zwracając się do Lucasa:

- Wiesz, że twój tata był mniejszy od ciebie, gdy go poznałem?

- Naprawdę, tato?

- Naprawdę...

- Alex, przypała się, jakbyś nie wiedział...

Ona była doskonała. Charles zastanawiał się, czy opowie o tym wieczorze Claire... Nie, najprawdopodobniej nie... Chociaż... Alexis w bermudach marki Quechua, w sztywno nakrochmalonym fartuszku z napisem „Szefto ja"... Mogłoby to jej skutecznie zohydzić mit...

- I był mistrzem wszech czasów w grze w kulki...

- Naprawdę, tato?

- Nie pamiętam.

Charles mrugnął do małego, by go upewnić, że to prawda.

- Mielicie tę samą panią?

- Oczywiście.

- Więc ty też znałeś Manouk...

- Lucas - przerwała matka. - Jedz. Wystygnie.

- Tak, świetnie ją znałem. I zawsze twierdziłem, że mój przyjaciel Alexis ma wielkie szczęście, że to właśnie ona jest jego mamą. Uważałem, że jest piękna i miła, i zawsze było z nią dużo śmiechu...

Mówiąc to, Charles nie miał już wątpliwości, że powiedział wszystko, co trzeba, że nie posunie się dalej. Żeby dać to Alexisowi do zrozumienia i uspokoić go, obdarzył zainteresowaniem panią domu, posłał jej uśmiech i przełączył się na tryb starego hipokryty.

- No dobrze... Dość wspomnienia... Ta sałatka jest przepyszna... A pani, Corinne? Czym się pani zajmuje w życiu?

Zawahała się chwilę i ostatecznie postanowiła odłożyć pudełko ze szpilkami. Jednak pochlebiało jej, że zainteresował się nią elegancki mężczyzna, który nie podwija rękawów koszuli, ma szykowny zegarek i mieszka w Paryżu.

Rozgadała się o sobie, a on potakiwał i pił więcej, niż powinien.

Żeby zachować dystans.

Nie dosłyszał wszystkiego, ale rozumiał, że pracuje w zasobach ludzkich (wypowiadając te dwa ostatnie słowa, zapewne nie domyślała się prawdziwej natury uśmiechu swojego gościa) w jednej z filii France Telecom, że jej rodzice mieszkają w regionie, że ojciec posiada niewielką firmę - chłodnie i lodówki - obsługującą masowe restauracje, że nastaly trudne czasy, że powietrze jest zanieczyszczone, a Chińczycy zalewają świat.

- A ty, Alexis?

- Ja? Ja pracuję z teściem! Handlowiec... Co jest? Powiedziałem coś nie tak?

- ...

- To wino? Jest kwaśne, tak?

- Nie, ale ja... Ty... Myślałem, że jesteś nauczycielem muzyki albo... Sam nie wiem...

Dokładnie w tym momencie, w tym jego lekkim grymasie, w dłoni, którą przeganiał jakiegoś... powiedzmy... komara z „szefa” na ukrytym pod blatem fartuchu, Charles dostrzegł wreszcie te dwadzieścia pięć lat rozdzielania. Dostrzegł je na czole handlarza komorami chłodniczymi.

- Och... - westchnął niedbale Alexis. - Muzyka... W domyśle: ta dziewczka, ta miłostka...

Ten uporczywy trądzik młodzieńczy.

- No i co ja takiego powiedziałem? - znów się zaniepokoił. - Jakąś głupotę?

Charles odstawił kieliszek, zapomniał o rulonie rolety nad głową, o śmietniku dobranym kolorystycznie do obrusa i pani domu dobranej kolorystycznie do śmietnika.

- Oczywiście, że powiedziałeś głupotę. I dobrze o tym wiesz... Przez wszystkie lata, które spędziliśmy razem, zawsze gdy miałeś coś ważnego do powiedzenia, pamiętam dobrze, zawsze, posługiwałeś się muzyką... Kiedy nie miałeś przy sobie instrumentu, grałeś na wymyślonym; gdy wstąpiłeś do konserwatorium, wreszcie byłeś dobrym uczniem; gdy grałeś na przesłuchaniach, wszyscy siadali z wrażenia; gdy byłeś smutny, grałeś wesołe kawałki;

gdy byłeś wesoły, wyciskałeś nam łzy z oczu; gdy Anouk zaczynała śpiewać, akompaniowałeś Broadwayem; a kiedy moja matka robiła nam naleśniki, wyskakiwałeś z tym swoim cholernym *Ave Maria*; gdy Niania miał chandrę...

Nie dokończył zdania.

- Czas przeszły, Balanda. Wszystko, co powiedziałeś, powiedziałeś w czasie przeszłym.

- Dokładnie tak - ciągnął Charles jeszcze bardziej bezbarwnym głosem. - Tak. Masz rację... Trudno to lepiej określić... Dzięki za lekcję gramatyki...

- Ej... Zaczekajcie z odkrywaniem blizn, aż Lucas pójdzie spać, co?

Charles zapalił papierosa.

Corinne natychmiast wstała i zebrała brudne nakrycia.

- A kto to znów jest ta niania?

- Nigdy pani o nim nie mówiła? - Charles się poderwał.

- Nie, ale opowiedział mi mnóstwo innych rzeczy, wie pan... Te całe naleśniki i ta rzekoma radość to, wie pan, przepraszam bardzo, ale...

- Stop - przerwał jej oschle Alexis. - Dość tego. Charles - jego głos zmiękł - przegapiłeś niektóre odcinki, pewnie zdajesz sobie sprawę... a przecież nie muszę ci robić wykładów o... niepewności teorii, którym brakuje danych do obliczeń, co?

- Jasne. Przepraszam. Milczenie.

Zrobił sobie prowizoryczną popielniczkę z kawałka folii aluminiowej i dodał:

- A lodówki jak tam? Trzymają się mocno?

- Kretyn...

To był ładny uśmiech i Charles odwzajemnił go z przyjemnością.

Zmienili temat. Alexis poskarżył się, że popękał mu tynk na klatce schodowej, i nasz fachowiec obiecał, że pójdzie i rzuci na to okiem.

Przyszedł Lucas i ucałował ich na dobranoc.

- A ptak?

- Jeszcze śpi.

- Kiedy się obudzi?

Charles rozłożył ręce, by pokazać, że nie wie.

- A ty? Będziesz tu jeszcze jutro?

- Pewnie, że będzie - uspokoił go ojciec. - No, dalej... Śmigaj do łóżka. Mama na ciebie czeka.

- W takim razie przyjdiesz na mój występ do szkoły?

- Masz ładne dzieci.

- Tak... A Marion? Widziałaś ją?

- No jasne, że widziałem - mruknął Charles. Milczenie.

- Alexis...

- Nie. Nic nie mów. Wiesz co, nie miej za złe Corinne, że tak się wobec ciebie zachowuje... Tak naprawdę to ona odwaliała całą brudną robotę i... I sądzę, że boi się wszystkiego, co jest związane z moją przeszłością... Czy... rozumiesz to?

- Tak - odpowiedział Charles, który niczego nie rozumiał.

- Bez niej zostałbym tam, gdzie byłem, i...

- I?

- Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale uważałem, że aby wyjść z piekła, muszą zerwać z muzyką. Coś w rodzaju paktu, wiesz...

- W ogóle już nie grasz?

- Gram... Jakieś drobiazgi... Na przykład podczas jutrzejszego występu akompaniuję małemu na gitarze, ale takie prawdziwe granie... to nie...

- Nie mogę uwierzyć...

- To... to mnie rozmiękcza... Ja już nigdy nie chcę odczuwać żadnego braku, a muzyka sprawia, że... ona mnie wciąga...

- Miałeś jakieś wieści od ojca?

- Nigdy. A ty... powiedz... Masz dzieci?

- Nie.

- Żonę?

- Nie. Milczenie.

- A Claire?

- Claire też nie. Nadciągała Corinne z deserem.

\* \* \*

- Wyśpisz się na tym?

- No jasne - odpowiedział Charles. - Jesteś pewien, że wam nie przeszkadzam?

- Przestań...

- Zresztą i tak wyjadę bardzo wcześnie. Mogę wziąć prysznic?

- Tędy...

- Nie pożyczylbyś mi jakiegoś podkoszulka?

- Mam coś lepszego.

Alexis wrócił ze starą koszulką polo marki Lacoste.

- Pamiętasz?

- Nie.

- Ukradłem ci ją...

Jak wiele innych rzeczy - pomyślał Charles i podziękował.

Sprawdził, czy żaden opatrunek się nie odkleja, i wszedł pod strumień wody. Stał pod nim długo.

Wytarł lustro rogiem ręcznika, żeby się sobie przyjrzeć. Wysunął wargi.

Pomyślał, że przypomina lamę.

Pokiereszowany... To było jej określenie.

Wychyliwszy się, żeby zamknąć okiennice, dostrzegł, że Alexis siedzi na schodach tarasu z kieliszkiem w dłoni. Wciągnął spodnie i chwycił paczkę papierosów.

I butelkę - po drodze.

Alexis przesunął się i zrobił mu miejsce.

- Spójrz na niebo... Jakie gwiazdy...

- A za kilka godzin znów będzie dzień... Milczenie.

- Po co przyjechałeś, Charles?

- Przeprowadzę żalobę...

- Co ja takiego grałem dla Niani? Nie pamiętam już...

- To zależało, w co był wystrojony... Gdy zakładał ten swój śmieszny płaszcz nieprzemakalny...

- Wiem! Różowa pantera... Mancini...

- Gdy wychodził spod prysznic i pokazywał owłosiony tors, grałeś ten kawałek na wejście gladiatorów na arenę...

- Do... do-sol...

- A jak miał skórzane gatki... z haftowanymi żółdziejami na karczku z przodu, te, które tak nas śmieszyły, to grałeś tę polkę bawarską...

- Lohmanna...

- Gdy chciał nas zmusić do odrabiania lekcji, rozmięczałeś go *Mostem na rzece Kwai*...

- Uwielbiał to! Wkładał sobie bagietkę pod pachę i miał się za totalnego...

- A gdy za pierwszym podejściem udawało mu się wyrwać włos z ucha - grałeś *Aidę*...

- Taak! *Marsz triumfalny*...

- A jak nas wkurzał, robiłeś iii-jaaa, jak karetka, która niby miała go odwieźć do wariatkowa. Kiedy coś zbroiliśmy i zamykał nas w twoim pokoju, czekając, aż przyjdzie Anouk i wymierzy nam karę, jęczałeś mu Milesem przez dziurkę od klucza.

- *Windę na szafot*?

- Oczywiście. A gdy chciał nas zagonić do kąpieli, włożyłeś na stół i grałeś *Taniec z szablami*.

- Myślałem, że płuca wypluję, pamiętam... Cholera, kilka razy o mało nie padłem...

- A gdy chcieliśmy, żeby nam dał cukierki, sprzedawałeś mu Gounoda...

- Albo Schuberta... Zależnie od tego, ile chcieliśmy tych cukierków... A gdy robił nam głupie psikusy, masakrowałem go *Marszem Radetzkiego*...

- Tego nie pamiętam...

- Tak było!

Zanucił - pum, pum - Straussa. Charles się uśmiechnął.

- Ale i tak najbardziej...

- Najbardziej lubił to... - dokończył Alexis i zagwizdał.

- Tak! Dzięki temu mogliśmy z nim robić, co nam się żywnie podobało... Mogliśmy go nawet skłonić, żeby podrobił podpis mojego ojca...

- *La strada*...

- Pamiętasz? Zaciągnął nas na ten film na rue de Rennes...

- A my przez cały dzień się na niego o to boczyliśmy.

- Tak... Niczego nie zrozumieliśmy... Po jego opowieściach spodziewaliśmy się komedii... Ależ byliśmy rozczarowani...

- Ależ byliśmy idiotami...



- Wyglądałeś na zdziwionego, że nikomu o nim nie mówiłem, ale komu miałem opowiedzieć? Ty komuś opowiedziałeś?

- Nikomu.

- Widzisz... O Niani nie da się opowiedzieć... - dodał Alexis i łyknął wina. - Trze... Trzeba było go widzieć... Gdzieś blisko pohukiwała sowa. I co? I okazało się, że nie mogą się porozumieć w ciemności!

- Wiesz, dlaczego ci nie powiedziałem?

- O pogrzebie...

- Bo jesteś skurwielem.

- Nie. Tak... Nie... Bo raz w życiu chciałem ją mieć tylko dla siebie.

- Od pierwszego dnia, Charles... Byłem o nią śmiertelnie zazdrosny... Zresztą ja...

- Proszę... Mów dalej... Opowiedz... Bardzo chciałbym zrozumieć, czemu ćpałeś na umór z mojego powodu.

Dobre wytłumaczenie złej woli. Zawsze mnie to fascynowało...

- Cały ty... Wielkie słowa...

- To zabawne, ja zawsze miałem wrażenie, że ty nie za bardzo się przejmowałeś matką... Miałem wrażenie, że pod koniec czuła się dość osamotniona...

- Dzwoniłem do niej...

- Wspaniale... Dobra... Idę spać... Jestem taki zmęczony, że nie wiem nawet, czy będę mógł zasnąć.

- Znałeś ją tylko z dobrej strony... Gdy byliśmy dziećmi, to ciebie rozśmieszała, ale to ja czyściłem po niej kibel i wlokłem ją do łóżka...

- Czasem czyściliśmy razem... - mruknął Charles.

- Ciągle byłeś tylko ty i ty... Ty byłeś inteligentniejszy, zdolniejszy, bardziej interesujący...

Charles wstał.

- Widzisz, jakim jestem dobrym kolegą Alexisie Le Men? Ten cudowny chłopiec, którym byłem... i zadaje sobie trud, żeby ci o tym przypomnieć, abyś ty z kolei mógł poświęcić parę chwil i opowiedzieć swoim dzieciakom, jak to sikaliśmy ze śmiechu, gdy stary transwestyta na szkolnym dziedzińcu udawał pijanego Freda Astaire'a... tak, ten cudowny chłopiec porzucił ją znacznie wcześniej niż ty, jak starą skarpetkę, i ani razu do niej nie zadzwonił... I prawdopodobnie nie przyjechałby nawet na jej pogrzeb, gdybyś wielkodusznie go o nim poinformował, bo za sprawą swej pracowitości, inteligencji i uzdolnień stał się bardzo zajęтым i bardzo głupim człowiekiem. A teraz dobranoc.

Alexis ruszył za nim.

- A więc wiesz, co to znaczy...

- Co?

- Zostawić coś na dzień...

- Poświęcić kawałek życia, żeby wrócić na powierzchnię...

- Poświęcić... kawałek życia... Niezła retoryka jak na sprzedawcę lodów Bambino - wkurzył się Charles. - Z tym że my niczego nie poświęciliśmy! Byliśmy zwykłymi tchórzami! Zgoda, „tchórz” to mniej szykowne określenie... Mniej... górnołotne... Połączył kciuk i palec wskazujący: malusieńka trąbeczka, nie? Malutka, maleńka...

- Samobiczowanie... Zawsze to lubiłeś... Ach, prawda, wyszedłeś spod skrzydeł ojcuzłków zakonników, zapomniałem... Wiesz, co różni nas od siebie najbardziej?

- Wiem - powiedział Charles głosem pełnym empatii. Cierpienie. Cierpienie przez duże „C”. I zaczyna się podobnie jak ćpanie. Praktyczne, można łatwiej zapamiętać. Co byś chciał ode mnie usłyszeć?

- Różni nas to, że ty zostałeś wychowany przez ludzi, którzy wierzyli w mnóstwo rzeczy, a ja dorastałem przy kobiecie, która nie wierzyła w nic.

- Wierzyła w ży...

Charles natychmiast pożałował, że wypowiedział tę ostatnią sylabę. Za późno.

- Oczywiście. Wystarczy popatrzeć, co zrobiła ze swoim. Alex... Ja rozumiem... Rozumiem, że masz potrzebę mówienia o tym... Zresztą słysząc, że starannie dopracowałeś tę scenkę... Zaczynam nawet się zastanawiać, czy to nie dlatego wysłałeś mi ten serdeczny nekrolog zeszłej zimy... Żeby sprzedać mi wszystko to, czego nie masz już możliwości zostawić gdzieś w katakumbach... Ale ja już się do tego nie nadaję, słyszysz? Mam za... za dużo do stracenia... Nie mogę ci pomóc. Nie chodzi o to, że nie chcę, po prostu - nie mogę. Ty przynajmniej zrobiłeś dzieci, przynajmniej... A ja... Idę się położyć. Pozdrów ode mnie swoją wybawicielkę. Otworzył drzwi do pokoju.

- I jeszcze jedno... Dlaczego nie podarowałeś ciała Anouk na potrzeby nauki, choć tak często cię prosiła, żebyś to obiecał?

- A co, kurwa? Myślisz, że jeszcze za mało dała szpitalowi?

Coś w nim pękło.

Alexis oparł się o ścianę i osunął na podłogę:

- Co ja takiego zrobiłem, Charles? - Zaczął łkać. - No powiedz, co ja takiego zrobiłem?

Charles nie mógł nawet ukucnąć, a co dopiero uklęknąć... Dotknął tylko jego ramienia.

- Przestań... Ja też gadam bzdury... Gdyby naprawdę tego chciała, zostawiłaby ci jakiś list.

- Zostawiła mi list.

Ból, sygnał, przetrwanie, ostrzeżenie. Zabrał rękę.

Alexis pokręcił się, poszukał portfela, znalazł białą kartkę złożoną na czworo, potrząsnął nią i chrząknął:

- Miłości moja... - zaczął.

Znów się rozpląkał, podał mu kartkę. Charles nie miał przy sobie okularów. Cofnął się o krok, do światła wydostającego się z pokoju.

Nie musiał.

Nic więcej nie było.

Długo i mocno wciągał powietrze. Żeby zmienić źródło bólu.

- Widzisz, jednak w coś wierzyła... Wiesz - ciągnął pogodniejszym tonem - chciałbym ci podać rękę i pomóc wstać, ale dziś rano wpadłem pod furgonetkę...

- Spadaj. - Alexis się uśmiechnął. - Zawsze musisz być najlepszy...

Chwycił go za połą marynarki, podciągnął się, zabrał swój list i odszedł, naśladowując cienki głos Niani:

- Dalej, koziołki! Raz-dwa! Idziemy spać!

Charles dokuśtykał do łóżka, opadł na nie (ała!) jak kłoda i pomyślał, że właśnie kończy się najdłuższy dzień w jego...

I już spał.

Gdzie on jest?

Co to za pościel? Co to za hotel?

Widok okropnych draperii na oknach całkiem go orzeźwił. Ach, tak... Wiązowy Zakątek.

Cisza jak makiem zasiał. Spojrzał na zegarek i w pierwszej chwili myślał, że trzyma go do góry nogami.

Jedenasta piętnaście.

Wieki całe nie wstawał o tak późnej porze.

Przed drzwiami do pokoju leżał liścik: „Nie śmieliśmy cię budzić. Jeżeli nie będziesz miał czasu wpaść do szkoły (naprzeciw kościoła), to zostaw klucz sąsiadce (zielona furtka). Całusy”.

Podziwiał tapetę w ubikacji, papier toaletowy pod kolor motywów pasterek na płótnie z Jouy, odgrzał sobie filiżankę kawy i jęknął na widok swojego odbicia w lustrze.

Przez noc siniak się ożywił. Piękna gama fioletoów nabierała zielonkawego odcienia... Nie miał odwagi napluć sobie w twarz i pożyczył od Alexisa maszynkę do golenia.

Ogolił, co się dało, i natychmiast tego pożałował. Wyglądał jeszcze gorzej.

Koszula śmierdziała padliną. Założył więc swoje młodzieńcze polo z krokodylkiem i poczuł się w nim przedziwnie szczęśliwy.

Choć koszulka była zdeformowana i mocno znoszona - nie mówiąc już o ogonie krokodylka, który się nadpruł i zwisał teraz żałośnie - Charles ją rozpoznał. To był prezent od Edith. Z czasów, w których dawali sobie jeszcze prezenty. Powiedziała: „Kupiłam ci białą, bo jesteś taki konwencjonalny”, i dziś, niemal trzydzieści lat później, był jej wdzięczny za te jej uparte przekonania. Przy takim wyglądzie każdy inny kolor byłby... mniej twarzowy...

Kilka razy zadzwonił do sąsiadki za zieloną furtką. Nikt mu nie otworzył. Nie miał odwagi zostawić kluczy u jakiejś innej (bał się świętego gniewu Corinne!) i postanowił jednak zahaczyć o szkołę.

Czuł się trochę nieswojo na myśl o ujrzaniu Alexisa w świetle dnia. Wolałby zachować w pamięci ostatnie nocne akordy i ruszyć w dalszą drogę bez niego... ale pocieszał się, że przynajmniej ucałuje Lucasa i śliczną Marion, zanim na zawsze straci ich z oczu...

\* \* \*

Naprzeciw kościoła, rzeczywiście. Ale to była najzwyczajniejsza laicka szkoła pod słońcem.

Szkoła - spadkobierczyni idei Jules'a Ferry'ego, prawdopodobnie wzniesiona w latach trzydziestych, koedukacyjna, jak głosił wygrawerowany w kamieniu napis pod splecionymi literami „R” i „F”, z prawdziwym dziedzińcem, którego ściany pomalowano na wagonową zieleń, by uchronić je przed kopniakami nóg obutych w chodaki i kasztanami uwalanymi kredą. Namalowane farbą klasy (zapewne mniej zabawne od kredowych) i pofałdowany asfalt, prawdopodobnie ulubione miejsce posiedzeń graczy w kulki...

Bardzo piękny ceglany budynek, prosty, surowy, republikański, pomimo balonów i lampionów, które go dzisiaj zdobiły.

Charles uniósł ręce i torował sobie przejście pośród biegających we wszystkie strony dzieciaków. Po czekoladowym cieście i leśnym ognisku teraz wracała do niego atmosfera szkolnych imprez Mathilde. Przyprawiona szczyptą wiejskiego powietrza... Zamiast elegantek z V Dzielnicy przechadzali się tutaj dziadkowie w czapkach z

daszkciem i babcie w grubych skarpetkach, a straganiki z żywnością ekologiczną zastąpił prawdziwy pieczony prosiak...

Była piękna pogoda, grała wesola muzyka, Charles spał ponad dziesięć godzin, a komórkę i tak miał rozładowaną. Włożył ją z powrotem do kieszeni, oparł się plecami o murek i wdychając z jednej strony zapach waty cukrowej, a z drugiej - pieczonego prosięcia, pasł oczy wspaniałym widokiem.

Dzień świąteczny...

Brakuje tylko listonosza...

Jakaś pani podała mu plastikowy kubek. Podziękował jej skinieniem głowy, jak gdyby był cudzoziemcem, zbyt zdezorientowanym, by pamiętać podstawowe francuskie zwroty. Wypił łyk ciecicy... nieokreślonej, wytrawnej, cierpkiej, wystawił swe rany do słońca, zamknął oczy i podziękował sąsiadce za to, że nie było jej w domu.

Ciepło, alkohol, cukier, miejscowy akcent, okrzyki dzieci, łagodne kołysa...

- To ty jeszcze śpisz?

Nie musiał otwierać oczu. Rozpoznał głos swego znakomitego współpasażera.

- Nie śpię. Opalam się...

- To ja bym ci radził przestać, bo już jesteś cały brązowy! Charles pochylił głowę.

- O! Przebrałeś się za pirata? Kiwnął głową w czarnej chustce.

- I nie masz papugi na ramieniu? Hak opadł w dół.

- A... nie...

- Chciałbyś ptaka z samochodu?

- A już się obudził?

Chociaż po części wychował go Niania, a może właśnie dlatego, Charles zawsze uważał, że znacznie prościej jest mówić dzieciom prawdę. Nie miał zbyt wielu zasad w dziedzinie pedagogiki, ale o to jedno dbał. Prawda nigdy nie wykrzywiła wyobraźni. Wręcz przeciwnie.

- Wiesz... On się nie może obudzić, bo jest wypchany... Wąsy Lucasa rozciągnęły się od kolczyka do kolczyka.

- Wiedziałem, tylko nie chciałem ci mówić. Bałem się, że będzie ci smutno...

Kto? Kto wpadł na ten świetny pomysł? Kto wymyślił dzieci? - rozculił się Charles, wciskając kubek za dachówkę.

- Chodź. Pójdziemy po niego.

- Tak, ale... - zamarudził mały - to nie jest prawdziwa papuga...

- Tak, ale... - zagrzmiął duży - ty też nie jesteś prawdziwym piratem.

W drodze powrotnej zatrzymali się U Myśliwych, w sklepiku, który był jednocześnie butikiem rusznikarskim, bankiem i salonem fryzjerskim w czwartki. Kupili kłębek sznurka. Charles uklęknął przed kościołem, przywiązał mocno Mistinguett do ramienia pirata i odesłał ich na estradę.

- A gdzie są twoi rodzice?

- Nie wiem.

Zadowolony chłopiec dołączył do klasy, poruszając się tak, jakby stąpał po lodzie. Już gadał do gołębic:

- Umiesz powiedzieć „Koko”, Koko?

Charles wrócił pod swoją ścianę. Pomyślał, że zaczeka na występ Lucasa i odjedzie do Paryża...

Jakaś dziewczynka przyniosła mu parujący talerz.

- Och, dziękuję... To bardzo miłe...

Tam, za ogromnym stołem, ta sama pani co wcześniej, ta z ogromnym biustem, rzucała mu co chwila jakieś miłe słówko.

Ups, niechcący jej dotknął... Szybko wrócił do swoich sztuców i chichocząc, skupił się na kawałku pieczonej szynki.

Właśnie sobie przypomniał rozwieszony na sznurku pranie pani Canut...

- Przysięgam ci, że to jej stanik - powtarzał Alexis.

- Skąd masz taką pewność?

- No, przecież... to widać... To było... fascynujące.

Zamieszanie na estradzie. Babcie drobiły już prędko ku najlepszym miejscom, a reżyser dźwięku powtarzał: raz, dwa, słyhać mnie? Wizg, raz, dwa, Jean-Pierre, zajmij się, proszę, techniką, odstaw kieliszek, raz, dwa, wszyscy już są? Witam przybyłych, proszę siadać, przypominam, że losowanie na naszej tombo... wizg, Jean-Pierre! Do jasnej cho... kwik.

No dobrze.

Mamy, klęcząc, sprawdzały fryzury i makijaże, a tatusiowie dłubali przy kamerach. Charles zastał Corinne pogrążoną w rozmowie z dwiema innymi paniami - chodziło o jakiś dres, najwyraźniej ukradziony - i oddał jej pęk kluczy.

- Pamiętał pan o bramie?

Tak. Pamiętał. Pochwalił jej cudowną gościnność i odszedł. Najdalej, jak mógł.

Poszukał nasłonecznionego miejsca, przeciągnął krzesło pod prawą kulisę, skrył się dyskretnie między dwiema tablicami, wyciągnął nogi i ponieważ odpoczynek dobiegał już końca, zaczął myśleć o pracy. Wyjął kalendarz, sprawdził czekające go w tygodniu spotkania, zdecydował, którą dokumentację weźmie ze sobą na Roissy, i zaczął ustalać...

Zdekoncentrował go jakiś hałas po lewej. Trwało to sekundę. Nawet nie. Wdzięczna wędrówka informacji pomiędzy okiem a korą mózgową. Zdążył tylko stwierdzić, że w okolicach Marzeray też mieszkają całkiem seksowne mamy... i dalej: lista telefonów do wykonania, porozmawiać z Philippe'em o całej tej historii z...

Podniósł głowę.

Uśmiechała się do niego.

- Hełoł...

Charles upuścił kalendarz, nadepnął na niego, podając jej rękę, a gdy schylał się, żeby go podnieść, Kate przesunęła się i usiadła obok. Prawdę mówiąc, nie tak całkiem obok, między nimi było puste krzesło.

Może coś w rodzaju przyzwoitki?

- Przepraszam. Nie poznałem pani...

- To dlatego, że nie mam kaloszy - zażartowała.

- Tak. Pewnie dlatego.

Portfelowa sukienka, którą miała na sobie, opinała jej biust, owijała talię, podkreślała ładne uda i odsłaniała kolana, gdy Kate zakładała nogę na nogę albo zdejmowała ją, wygładzając błękitnoszarą tkaninę, po której biegły maleńkie turkusowe arabeski.

Charles lubił modę. Kroje, tkaniny, szablony, wykończenia... Zawsze uważał, że praca architektów i krawców jest w zasadzie podobna, i właśnie obserwował sposób, w jaki arabeski wiły się wokół pachy, nie tracąc ciągłości.

Poczuła to spojrzenie. Skrzywiła się.

- Wiem. Nie powinnam była jej zakładać... Sporo przytyłam od czasu...

- Ależ skąd! - zaprotestował. - Skądże... Przyglądałam się pani...

- Mojemu czemu? - przycisnęła go.

- Pani... pani motywom...

- Moim motywom? *My God...* Chce pan powiedzieć, że już je pan zna?

Charles z uśmiechem spuścił głowę. Nawet nie próbował wygrywać z kobietą, która umie zdjąć łańcuch z piły mechanicznej, pochyła się, pokazując blad różowy biustonosz, i ze swobodą żongluje dwoma językami...

Poczuł, o zgrozo, że teraz ona mu się przygląda.

- Spał pan dziś pod tęczą?

- Tak... Z Judy Garland... Miała naprawdę piękny uśmiech...

- Wie pan co, właśnie tego najbardziej mi tu brakuje... - westchnęła.

- Musicali?

- Nie... Idiotycznych ripost w tym stylu... Bo... - dodała, poważniejąc - najgorsza jest samotność... Nie to, że się robi ciemno o siedemnastej, że muszę karmić zwierzęta i że dzieci sprzeczą się od rana do nocy. Najgorszy jest brak... Judy Garland...

- *Well, to tell you truth, I feel more like the Tin Man right now...*

- *I knew you must speak English...*

- Nie na tyle dobrze, żeby *to catch your... motives*, niestety...

Powrót pięknych siekaczy.

- Tym lepiej...

- A pani? Jaki jest pani język ojczysty?

- Ojczysty? *English. On my father's side...* Francuskiego nauczyłam się od matki, która urodziła się w Nantes.

- A gdzie pani dorastała?

Nie dosłyszał odpowiedzi, bo przy mikrofonie znów stanął superdidżej.

- Witam wszystkich po raz drugi, dziękuję za liczne przybycie. Za chwilę zacznie się przedstawienie... Dzieci się bardzo denerwują... Przypominam, że mają jeszcze państwo czas na zakup losów naszej wielkiej tomboli. W tym roku czekają fan-ta-stycz-ne wygrane!

Pierwsza nagroda - romantyczny weekend dla dwojga w trzygwiazdkowym ośrodku nad jeziorem Charmièges, a w nim - uwaga - rowery wodne, pole do gry w bule i gigantyczne karaoke do dyspozycji gości!

Druga nagroda - odtwarzacz DVD marki Toshiba, dzięki uprzejmości firmy Frémouille, którą z tego miejsca pozdrawiamy. U Frémouille dobrze się czuj! Pamiętajcie!

Charles przyłożył palec wskazujący do górnego opatrunku. Czuł, że jeżeli nie przestanie chichotać jak głupek, to zaraz go stąd wyprowadzą.

- ...no i oczywiście kosze pełne specjalów firmy Graton i Synowie, z siedzibą przy rue Lavoisier de Saint Germain 3, masarnia i garmazzeria, wyroby z nóżek wieprzowych, kaszanki, wesela, stypy i przyjęcia komunijne. A także dziesiątki nagród pocieszenia, bo przecież nie każdy ma szczęście być rogaczem, prawda, Jean-Pierre? Ha, ha! Dobrze, dobrze... Oddaję głos artystom i proszę o wielkie brawa... Jeszcze większe, co jest? Jacqueline, prosimy o... Miłego dnia wszys... - kwik bis.

Jean-Pierre nie znał się na żartach.

Alexis, w towarzystwie najlepszej uczennicy z kokardami i klarnetem, usiadł w głębi sceny, podczas gdy nauczycielki ustawiały najmłodsze dzieci, przebrane za rybki, pomiędzy falami z kartonu. Zabrzmiała muzyka i dzieciaki rozbiegły się na wszystkie strony. Były zbyt zajęte machaniem do mam, żeby płynąć z nurtem...

Charles rzucił okiem na uda... przepraszam, na program, który Kate rozłożyła sobie na kolanach:

*Zemsta pirata z Karaibów.*

No, no...

Zobaczył też, że przestała udawać twardzielkę i że oczy zaczęły jej trochę za bardzo błyszczeć, więc odwrócił się i spojrzał na scenę, starając się zrozumieć, która z sardynek wprawiła ją w taki stan...

- Które z nich jest pani?

- Żadne - odpowiedziała zduszonym śmiechem. - Ale te dziecięce przedstawienia zawsze mnie wzruszają...

To głupie, nie?

Przyłożyła sobie dłonie do twarzy po obu stronach nosa i gdy dotarło do niej, że on nie spuszcza z niej wzroku, zmieszała się jeszcze bardziej.

Och... Proszę nie patrzeć na moje ręce... Są takie...

- Nie. Podziwiam pani intaglio.

- Ach? - odetchnęła z ulgą, odwracając dłoń i patrząc na nią jakby ze zdziwieniem.

Jest wspaniałe.

Tak... Bardzo stare... Prezent od mojego... Nie - szepnęła, pokazując papierowe fale. - Resztę opowiem panu później...

Mam taką nadzieję - szepnął Charles jeszcze ciszej.

Ciąg dalszy przedstawienia Charles wyczytał z twarzy Alexisa.

Na scenę wpadli Lucas i banda piratów. Z minami wyrażającymi srogi zawód, zaśpiewali:

*My jesteśmy straszni, groźni,*

*A na łajbie co?*

*Pokład szorujemy, naczynia myjemy,*

*Kapitanie, dość już, dość!*

*Dość polerowania sztućców, wynoszenia śmieci.*

*Kapitanie, słyszysz nas?*

*Znajdź nam fregatę, okręt nam znajdź!*

*Bo taka była umowa:*

*Bijatyka i rum.*

Alexis skupił się na strunach i w pierwszej chwili niczego nie zauważył.

Lecz zaraz się wyprostował, szeroko uśmiechnął, odszukał wzrokiem syna i pochylił głowę nad pudłem gitary. Nie.

Znów spojrzał.

Zmrużył powieki, opuścił dwa, trzy akordy, wytrzeszczył oczy, pomylił chwyt. To nie miało większego znaczenia. I tak nic nie było słyhać pośród wybuchów gniewu rozczarowanych piratów. „Bijatyka i ru-u-um!” - wydzielali się we wszystkich tonacjach, aż wreszcie znikli za grubą kotarą.

Zagrzmiał wystrzał armatni i piraci wyskoczyli znów, uzbrojeni po zęby. Kolejna piosenka, inne nuty, Mistinguett bawiła się dobrze, w przeciwieństwie do Alexisa.

Oderwał wreszcie wzrok od ramienia syna i zwrócił go ku widowni, szukając wyjaśnienia.

Jego wysiłki zostały nagrodzone. Zauważył wreszcie ironiczny uśmieszek starego przyjaciela i udowodnił mu, że nie jest trudno czytać z ruchu warg...

Podbródkiem wskazał na Lucasa. *To ona?*

Charles kiwnął głową. *Ale... skąd ty...*

Uśmiechnął się i pokazał palcem niebo. Alexis pokręcił głową, opuścił wzrok. Dopiero gdy piraci zaczęli dzielić łupy, znów spojrzał na scenę.

Charles wykorzystał aplauz publiczności i dyskretnie się zmył. Nie miał ochoty po raz kolejny być świadkiem długiego łkania.

Misja wykonana.

Czas na powrót do życia.

Wychodził przez szkolną furtkę, gdy zatrzymało go gromkie: *Hey!* Włożył papierosa z powrotem do kieszeni i odwrócił się.

- *Hey, you bloody liar!* - krzyknęła, wymachując lewą pięścią. - *Why did you say „Mam taką nadzieję” if you don't give a shit?*

I nie czekając, aż jego twarz całkiem się rozpadnie, dodała znacznie łagodniej:

- Nie... przepraszam... To nie całkiem to, co chciałam powiedzieć... Po prostu chciałam pana zaprosić na... nie... nic...

Spojrzała mu w oczy i powiedziała jeszcze o ton ciszej:

- Już... już pan jedzie?

Charles nawet nie próbował wytrzymać jej spojrzenia.

- Tak. Ja... - jękał się - powinienem był się z panią pożegnać, ale nie chciałem pani przeka... to znaczy - przeszkadzać.

- Aha...

- Wcale nie miałem tu przyjeżdżać. Zrobiłem sobie... jak by to powiedzieć... wagary i teraz naprawdę już muszę wracać.

- Rozumiem.

Do ostatniego uśmiechu, jednego z tych, których Charles jeszcze nie znał, dołączyła bez większego przekonania najgłupszy argument:

- A losowanie?

- Nie kupiłem losu.



- Jasne. No to... do widzenia...

Podala mu rękę. Pierścień się przekręcił, kamień był zimny.

Zaprosić mnie na co? - przypomniał sobie Charles. Za późno. Kate była już daleko.

Westchnął i popatrzył za oddalającą się... najbardziej rozgałęzioną arabeską na jej sukience.

\* \* \*

Szukając swojego samochodu, rozpoznał jej volvo, stało krzywo pod platanami naprzeciwko poczty.

Bagażnik znów był otwarty i te same psy co wczoraj powitały go tak samo dobrodusznie.

Otworzył kalendarz, odszukał stronę z dziewiątego sierpnia i przypomniał sobie nazwy miejscowości, przez które przejeżdżał.

Jechał dobre pół godziny, nie stworzywszy niczego, co mógłby jasno wyrazić. Szukał stacji benzynowej, była za supermarketem, stracił mnóstwo czasu na znalezienie tego kurewskiego przycisku do otwierania baku. Otworzył schowek, zaczął szukać podręcznika dla użytkowników, położył się jeszcze głośniejszy, znalazł go, nalał do pełna, pomylił karty płatnicze, potem PIN-y, zrezygnował, zapłacił gotówką i trzy razy objechał rondo, zanim rozszyfrował własny drobny maczek.

Włączył radio, wyłączył. Zapalił papierosa, rozgniół. Pokręcił głową, pożałował. Przywołał migrenę. Wreszcie znalazł tablicę, której szukał. Stanął przy białym pasie, spojrział w lewo, spojrział w prawo, spojrział przed siebie i...

...i przećwiczył odmianę czasownika „być”: - Ale jestem głupi. Ale jesteś głupi... Ale on jest głupi!

## 5

Akurat szukała czegoś w kieszeni fartucha.

- Słucham?

- Dzień dobry... Chciałbym kawałek tego czekoladowego ciasta, które piekło się w pani piecu wczoraj, mniej więcej za piętnaście dziewiąta. Uniosła głowę.

- Tak, tak - mówił dalej, machając karnecikiem z wydartą większością losów. - Jednak. Pole do gry w bule i gigantyczne karaoke... Pożałowałem...

Zareagowała dopiero po kilku sekundach. Zmarszczyła brwi i przygryzła wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

- Tam były trzy.

- Słucham?

- Trzy ciasta w piecu.

- Naprawdę?

- Tak - odpowiedziała, ciągle zacięta. - Tak się składa, że niczego nie robię na pół gwizdka...

- Chyba zrozumiałem...

- So...

- W takim razie może... Może mogłaby mi pani dać po kawałeczku z każdego.

Nie patrząc na niego, ukroiła trzy maleńkie kawałeczki i podała mu talerzyk.

- Dwa euro. Kasuje dziewczyna obok...

- Na co chciała mnie pani zaprosić, Kate?

- Chyba na kolację. Ale zmieniłam zdanie.

- Aha.

Ale ona obsługiwała już kogoś innego.

- A gdybym to ja panią zaprosił? Wyprostowała się i grzecznie posłała go do diabła.

- Obiecałam, że pomogę im sprzątać, mam pod opieką pół tuzina dzieciaków, a w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma restauracji. A tak poza tym - dobre?

- Co takiego?

- Ciasto.

Hm... Charles nie miał za bardzo ochoty... Właśnie szukał taktownej odpowiedzi, gdy wtargnął między nich jakiś zdyszany i wyraźnie zdenerwowany facet:

- Proszę pani! Czy to nie pani syn miał dziś po południu pilnować stanowiska z grą w strącanie puszek?

- Tak, ale poprosił go pan, żeby stanął w bufecie.

- Ach! No tak! Oczywiście. Trudno. Poproszę...

- Chwileczkę! - zatrzymała go, odwracając się w stronę Charles'a. - Alexis mówił, że jest pan architektem, to prawda?

- Eeee... Tak.

- Więc to jest zadanie dla pana. Ustawianie puszek po konserwach nie wykracza chyba poza pańskie kompetencje, prawda?

I krzyknęła do tamtego:

- Gérard! Proszę nikogo nie szukać!

Charles ledwo miał czas przełknąć kęs ciasta, a już ktoś pociągnął go w głąb szkolnego dziedzińca.

- Hey! No pewnie.

Odwrócił się, rozmyślając, od jakich to jeszcze bloodych zostanie za chwilę wyzwany. Ale nie.

Nic z tych rzeczy.

Po prostu szybkie perskie oko znał wielkiego noża.

\* \* \*

Przed każdą rozgrywką dziecko powinno dać panu niebieski bilet, wiedzą, gdzie je kupować... zwycięzca ma prawo wybrać nagrodę z tego pudła... Po południu przyjdzie jeden z ojców i zastąpi pana na chwilę, gdyby potrzebował pan zrobić sobie przerwę - wyjaśnił mężczyzna, odsuwając dzieciaki, które się wokół nich tłoczyły. - Wszystko jasne? Ma pan jakieś pytania?

- Nie mam pytań.

- A więc powodzenia. Mam zawsze problem ze znalezieniem chętnego do zajmowania się tym stanowiskiem, bo... sam pan zobaczy - zatkał sobie uszy - to dość hałaśliwe miejsce...

Przez pierwsze dziesięć minut Charles zadowalał się zbieraniem biletów, rozdawaniem kulek wykonanych z wypełnionych piaskiem skarpetek i ustawianiem strąconych puszek, ale gdy poczuł się trochę pewniej, zrobił to, co zawsze w takich sytuacjach: zaczął usprawniać robotę.

Położył marynarkę na taborecie i ogłosił nowy plan zagospodarowania przestrzennego:

- Dobra... Uciszcie się na chwilę, bo nic nie słyhać... Ty... Idź po kredę... Przede wszystkim nie chcę bałaganu. Ustawcie się w ładną kolejkę, jedno za drugim. Tego, kto wyjdzie z kolejki, postawię pośrodku tych puszek, rozumiano?

Złapał kredę, narysował dwie wyraźne linie i zrobił znak na drewnianym słupie.

- To jest miarka. Ci, którzy nie sięgają tej kreski, mają prawo stanąć przy pierwszej linii, reszta cofa się za drugą, rozumiano?

Zrozumieli.

- Teraz tak... Mali mają prawo celować w te puszki (pokazał największe, te od kucharza, w których z powodzeniem mogło się zmieścić dziesięć kilo sałatki albo pomidorów bez skórki), natomiast więksi muszą strącać te tutaj (znacznie mniejsze i znacznie liczniejsze). Każdy dostaje cztery skarpetki i żeby zdobyć nagrodę, musi, rzecz jasna, całkowicie oczyścić deskę... Rozumiecie, co mówię? Pełne szacunku kiwanie głowami.

- Na koniec... Nie mam zamiaru spędzić całej soboty na sprzątanii po was bałaganu, więc potrzebuję asystenta... Kto chce być moim asystentem numer jeden? Powiem tylko, że asystent ma prawo do dodatkowych rzutów...

Prawie się pobily o tę funkcję.

- Doskonale - ucieszył się generał Balanda. - Doskonale. A teraz... Niech wygra najlepszy...

I nie miał już nic więcej do roboty, oprócz liczenia punktów, dodawania otuchy najmłodszym i prowokowania starszych. Pomagał rzucać małym, udawał, że podaje okulary tym, którzy stawali na linii, demonstracyjnie okazując pogardę - leeeee, strącanie puszek, łatwizna - a potem trafiali w ścianę częściej, niż powinni...

Zaczęły się schodzić tłumy. Charles czuł się, jakby siedział w pudle rezonansowym, i myślał, że choć udało mu się uratować głowę i honor, to pod koniec dnia najprawdopodobniej przypłaci to utratą słuchu...

No właśnie, honor... Od czasu do czasu unosił głowę i szukał jej wzrokiem. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby go teraz zobaczyła, triumfującego na czele swej elitarnej jednostki strzelców, ale niestety... Kate nadal stała pośród ciast i paplała, śmiała się, pochylała ku kohortom dzieciaków, które przychodziły, żeby ją ucałować, i... Niewiele ją obchodził... Charles, ma się rozumieć.

Jeżeli w ogóle da się coś zrozumieć w tym jazgocie.

Trudno. Był szczęśliwy. Lubił prowadzić całkiem nowe projekty, a zarządzanie aluminiowymi konstrukcjami jeszcze nigdy dotąd mu się nie przytrafiło.

Jean Prouvé byłby z niego dumny...

Oczywiście nikt nie przyszedł, żeby go zastąpić, oczywiście chciało mu się sikać i palić i oczywiście w pewnym momencie dał sobie spokój z niebieskimi biletami. Nie masz już biletów? No... nie...

Dobra... zagraj sobie...

Bez biletu? Informacja rozeszła się tak szybko, że musiał zrezygnować ze swoich spacerowych zachcianek. To on był dziś Królem Konserw, zaakceptował tę funkcję i po raz pierwszy od lat żałował, że nie ma pod ręką szki-cownika. Kilka uśmiechów, kilka rozmów, kilka śmiesznych póż zdecydowanie zasługiwało na uwiecznienie...

Odwiedził go Lucas.

- Oddałem papugę tacie...

- Dobrze zrobiłeś.

- To nie była papuga. To był biały gołąb.

- Proszę, proszę... Czyżby zaraził się głodem wiedzy od Yacine'a?

Uratowała go tombola. Zapowiedziano losowanie i wszystkie dzieci rozpięchły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. „Niewdzięcznicy” - pomyślał Charles i westchnął z ulgą. Powierzył zeszyt chłopcom, odnalazł wszystkie skarpetkowe kulki porozrzucane po kątach szkolnego dziedzińca, wrzucił puszki to jutowego worka i pozbierał papierki po cukierkach, krzywiąc się za każdym razem, gdy się schylał.

Pomacał się po żebrach.

Dlaczego tak go bolały?

Dlaczego?

Wziął marynarkę i ruszył na poszukiwanie miejsca, w którym mógłby zapalić, nie narażając się na reprimendę dyżurnego.

Najpierw wstąpił do toalety i poczuł lekkie... skrępowanie... Sedesy były tak nisko... Celował jak mógł najlepiej, a w łazience poczuł znajomy zapach żółtego mydła, które niezbyt dobrze się pienilo. Leżało na wpół zeschnięte w mydelniczce z chromowanego mosiądzu.

Nostalgio, jak już raz człowieka dopadniesz... Schował się za starym budynkiem, żeby zapalić sobie papieroska.

Och... Ale był dobry...

Nawet napisy na ścianach nie zmieniły się od jego czasów... Te same serca, te same „Ten + Tamta = Wielka Miłość”, te same „cycki”, te same „fiuty” i te same gniewnie zamazane czyjeś zdradzone sekrety...

Wyrzucił niedopałek za róg i ruszył z powrotem w stronę głośników.

Szedł powoli. Nie wiedział za bardzo, dokąd ma iść. Nie miał ochoty na spotkanie z Alexisem. Słuchał tego, co wygadywał kumpel Jeana-Pierre'a, i odliczał w myślach godziny dzielące go od paryskiej obwodnicy.

Cóż... Tym razem mimo wszystko powiem jej do widzenia... *Goodbye, so long, farewell*, nie brakowało mu słownictwa w tej dziedzinie... Nawet *adieu*, które, jak wiele innych bardzo ładnych słów, elegancko podróżowało bez paszportu po całym świecie.

Tak... *adieu*... niezłe pożegnanie z kobietą, która...

Te mozolne rozmyślania przerwał nagle Lucas, który biegł szybko w jego stronę:

- Charles! Wygrałeś!

- Rowery wodne?

- Nie! Wielki kosz pełen pasztetów i kielbas! Litości!

- Nie cieszysz się?

- Tak, tak... Bardzo się cieszę...

- Przyniosę ci go. Nie ruszaj się stąd, dobra?

- No, to teraz może mnie pan zaprosić do mnie... Odwrócił się.

Zdejmowała fartuch.

- Nie mam kwiatów - uśmiechnął się do niej.

- Nie szkodzi... Pożyczę panu...

Jeden z chłopców, którego widział wczoraj wieczorem, pozdrowił go i przerwał ich uprzejmą rozmowę.

- Czy Jef, Fanny, Mikaël i Léo mogą dziś do nas przyjść?

- Charles - odezwała się Kate. - Przedstawiam panu Samuela. Mojego dużego Samuela.

Faktycznie - był duży... Niemal tak wysoki jak on... Długie włosy, cera nastolatka, biała koszula, wygnieciona, ale niezmiernie elegancka, którą odziedziczył zapewne po kimś z wcześniejszego pokolenia, ze skromnym monogramem L.R., dziurawe džinsy, prosty nos, szczerze spojrzenie, smukła sylwetka... Za kilka lat... będzie pięknym mężczyzną.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Hej, ty pileś? - stwierdziła Kate, marszcząc brwi.

- Przypominam ci, że nie sprzedawałem ciastek...

- W takim razie nie wracasz na skuterze...

- Nie, nie... tylko wylałem sobie na spodnie piwo z dna baryłki... Patrz... No to jak? Co z wieczorem?

- Jeżeli ich rodzice się zgodzą, to ja nie mam nic przeciwko temu. Ale najpierw pomożecie mi to wszystko poskładać, okay?

- Sam! - zawołała go jeszcze. - Niech przyniosą śpiwory, dobra?

Uniósł kciuk, żeby pokazać jej, że usłyszał. Zwróciła się do Charles'a.

- Rozumie pan, co chciałam powiedzieć... Mówiłam panu o półtuzinie dzieciaków, ale zawsze nieco zaniżam... No i nie mam nic do jedzenia... Na szczęście kupił pan losy...

- Nie musi pani tego mówić.

- A strącanie puszek? Dobrze panu...

Znów ktoś im przerwał. Tym razem mała dziewczynka, którą poprzedniego wieczoru Kate nazywała Hattie, zapamiętał to.

- Kate?

- A oto nasza Miss Harriet... Nasz numer trzy.

- Dobry wieczór. Charles ją ucałował.

- Czy Camille mogłaby dziś u nas spać? Tak... wiem... śpiwór...

- Skoro wiesz, to świetnie - odpowiedziała Kate.

- A Alice? Też kogoś dzisiaj zaprasza?

- Nie wiem. Ale mówię ci, jakie cuda znalazła na wyprzedaży staroci! Będziesz musiała podjechać bliżej samochodem...

- *Good Lord, no!* Już nam chyba wystarczy kłopotów?

- Ale nie, to są naprawdę piękne rzeczy. Jest nawet fotel dla Nelsona...

- Rozumiem... Chwila! - Przytrzymała ją i podała jej portmonetkę. - Biegnij do piekarni i kup wszystek chleb, jaki im jeszcze został...

- *Yes, M'am...*

- Ależ organizacja! - zachwycił się Charles.

- Ach? Więc tak to pan nazywa? Ja odnoszę wrażenie, że to raczej coś przeciwnego... Czy pan... przyjedzie do nas, mimo wszystko?

- No jasne!

- Kto to jest Nelson?

- To jest pies - snob.

- A L.R.?

Kate znieruchomiła. Co... Dlaczego pan o to pyta? Koszula Samuela...

- Ach, tak... Przepraszam. Louis RAVENNES... Jego dziadek... Widzę, że nic nie ujdzie pana uwagi...

Przeciwnie, bardzo wiele spraw, ale nastolatek z monogramem to niezbyt częsty widok... Milczenie.

- Dalej. - Otrząsnęła się. - Sprzątnijmy to i wracajmy. Zwierzęta są głodne, a ja jestem zmęczona.

Związała włosy.

- A Nedra? - spytała Yacine'a. - Gdzie ona się znów podziała?

- Wylosowała złotą rybkę...

- Cóż... Przy rybce raczej się nie rozgada... Dalej... Do roboty...

W ciągu godziny z małym kawałkiem Charles i Yacine zebrali krzesła i zdemontowali namiot. Właściwie... głównie Charles... Mały pracował mniej wydajnie, bo bez przerwy zabawiał go dykteryjkami:

- Przed chwilą, jak rozwiązywałeś węzeł, to wystawiłeś język. A wiesz, dlaczego?

- Bo to było trudne, a ty mi nie pomagałeś?

- Wcale nie. Dlatego, że gdy się na czymś koncentrujesz, używasz tej samej półkuli mózgowej, która jest odpowiedzialna za czynności motoryczne, więc gdy specjalnie blokujesz coś w swoim ciele, jesteś bardziej skoncentrowany. To dlatego idący człowiek zwalnia kroku, gdy zaczyna myśleć o skomplikowanym problemie... Rozumiesz?

Charles wyprostował się, łapiąc się za krzyż.

- Hej! Panie encyklopedysto! Nie zechciałbyś powystawiać trochę języka? We dwóch pracowalibyśmy szybciej...

- A wiesz, który mięsień w twoim ciele jest najsilniejszy?

- Wiem. Mój biceps, którym zaraz cię uduszę.

- A wcale nie! To język!

- Powinienem być się domyślić... Dobra... Chwyć za drugi koniec stołu...

Wykorzystał fakt, że półkule mózgowe Yacine'a skupiają się na wysiłku, i też zadał mu pytanie:

- Kate to twoja mama?

- Och - odpowiedział dźwięcznym głosikiem, jakiego używają wszystkie dzieci, gdy chcą nas owinąć sobie wokół palca. - Ona mówi, że nią nie jest, ale ja dobrze wiem, że jest... przynajmniej trochę, nie?

- A ile ona ma lat?

- Mówi, że dwadzieścia pięć, ale my jej nie wierzymy.

- A to dlaczego?

- Bo gdyby naprawdę miała dwadzieścia pięć lat, toby już nie mogła chodzić po drzewach...

- No jasne.

Przestań - pomyślał Charles, daj sobie z tym spokój. Im głębiej drążysz, tym mniej rozumiesz. Zapomnij o instrukcji obsługi... Pobaw się trochę, ty też...

- No to ja ci powiem, że ona naprawdę ma dwadzieścia pięć lat...

- Skąd wiesz?

- Bo to widać.

Gdy wszystko zostało już zamiecione, Kate spytała go, czy może odwiedzić dwoje dzieciaków.

Sadowił je właśnie z tyłu, gdy podeszła do niego wysoka gidia.

- Jedzie pan do Vesp'?

- Dokąd?

- No, do Kate... Mógłby pan podwieźć mnie i koleżankę? Wskazała na drugą wysoką gidie.

- Tak... oczywiście.

Wszyscy wtoczyli się do małego wypożyczonego samochodu i Charles z uśmiechem słuchał ich paplaniny.

Od lat nie czuł się tak użyteczny.

Autostopowiczki rozmawiały o dyskotecie, na którą nie mogły jeszcze chodzić, a Yacine tłumaczył Nedrze, tajemniczej dziewczynce podobnej do balijskiej księżniczki:

- Twoja rybka... Nigdy nie zobaczysz, jak śpi, bo ona nie ma powiek, i będziesz myślała, że nie słyszy, bo nie ma uszu... Ale tak naprawdę to ona odpoczywa, wiesz? W dodatku złote rybki mają najlepszy słuch, ponieważ woda świetnie przewodzi dźwięk, a kościec rybki jest tak zbudowany, że przenosi ten dźwięk aż do niewidocznego ucha, więc...

Zafascynowany Charles skupiał się, żeby wyłowić jego głos pośród chichotów dziewczyn.

- ...więc będziesz mogła do niej mówić, rozumiesz?

Charles zobaczył w lusterku, jak mała poważnie kiwa głową.

Yacine przyłapał go na tym spojrzeniu, pochylił się do przodu i szepnął:

- Ona się prawie nigdy nie odzywa...

- A ty? Skąd wiesz to wszystko, co wiesz?

- Nie wiem.

- Pewnie jesteś świetnym uczniem... Malutki grymas.

I w lusterku wielki uśmiech Nedry, która pokręciła głową.

Próbował przypomnieć sobie Mathilde w tym wieku. Nic z tego... Nie pamiętał... On, który niczego nigdy nie zapominał, akurat to zgubił gdzieś po drodze. Dzieciństwo naszych dzieci...

Pomyślał o Claire.

O tym, jaką mamą mogłaby...

Yacine, jak zwykle czujny, położył brodę na ramieniu Charles'a (był jego papugą...) i skierował jego myśli na inny tor.

- Ale powiedz... cieszysz się, że wygrałeś te kielbasy, nie?

- Tak - odparł. - Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

- Tak naprawdę to nie mam prawa ich jeść... Z powodu mojej religii, wiesz... Ale Kate mówi, że Bogu to obojętne... Że Bóg to nie pani Varon, więc... Myślisz, że ma rację?

- Kto to jest pani Varon?

- Taka pani, co pilnuje nas w stołówce... Myślisz, że ma rację?

- Tak.

Przypomniała mu się historia o sklepiku dla biedaków, którą Sylvie opowiedziała mu dzień wcześniej, i wytrąciło go to z równowagi.

- Hej! Uważaj! Musisz tutaj skręcić!

## 6

- No, no! Widzę, że nie tracił pan czasu! Już pan znalazł najładniejsze dziewczyny w okolicy!

Dziewczyny zachichotały jak głupie, spytały, gdzie reszta, i rozplynęły się w powietrzu. Kate zdążyła włożyć kalosze.

- Wybieram się na obchód koryt. Pójdzie pan ze mną? Przeszli przez podwórze.

- Zazwyczaj to dzieci zajmują się karmieniem menażerii, ale cóż... Dziś jest ich święto... Poza tym w ten sposób będę mogła wszystko panu pokazać...

Odwróciła się.

- Dobrze się pan czuje, Charles?

Bolało go wszystko. Głowa, twarz, plecy, ramię, tors, nogi, stopy, kalendarz, coraz większe spóźnienie, sumienie, Laurence i telefony, których ciągle jeszcze nie wykonał.

- Świetnie. Dziękuję pani.

Wokół jej nóg tłoczył się cały drób. I trzy psy. I lama.

- Proszę jej nie głaskać, bo...

- Tak, tak. Lucas mnie uprzedził... Będzie upierdliwa...

- Ze mną jest to samo... - parsknęła, pochylając się, żeby podnieść wiadro.

Nie, nie. Wcale tego nie powiedziała.

- Czemu się pani tak uśmiecha?

- Nie, nic. *Saturday Night Fever*... Więc tak. To kiedyś był chlew, teraz jest tu spiżarnia... Uwaga na gniazda... Tutaj, jak we wszystkich innych budynkach, przez całe lato jest pełno ptasich kup... Tu przechowujemy worki z ziarnem i z granulatem, bo gdy mówię „spiżarnia”, mam na myśli przede wszystkim myszy i popielice, niestety...

I już gadała do kota, który drzemał na starej pierzynie.

- Jak tam, staruszkule? Jak tam życie płynie? Podniosła deskę i za pomocą starej puszkę napełniła wiadro. Proszę... Mógłby pan wziąć tę konewkę?

Ruszyli z powrotem przez podwórze. Odwróciła się.

- Idzie pan?

- Boję się, że zdepczę jakiegoś kurczaka.

- Kurczaka? Niemożliwe. To są kaczęta... Niech pan idzie i nie zwraca na nie uwagi. Proszę. Tutaj jest wąż ogrodowy...

Charles nie wypełnił konewki po brzegi. Bał się, że nie będzie mógł jej unieść...

- Tutaj jest kurnik... Jedno z moich ulubionych miejsc... Dziadek Renégo miał bardzo nowoczesne pomysły w dziedzinie hodowli drobiu i dla swoich kurek był gotów zrobić wszystko... To stanowiło zresztą, jeśli dobrze rozumiałam, motyw przewodni jego sprzeczek z żoną...

Charles w pierwszym odruchu cofnął się, zniechęcony zapachem, ale już za chwilę zdumiała go... jak by to powiedzieć? Staranność i troska, z jaką ktoś zaprojektował wnętrze... Drabinki, półeczki do spania i huśtawki w pięknym rzędzie, ładnie ozdobione, wycięte z drewna, wręcz wyrzeźbione!



- Proszę tylko spojrzeć... Naprzeciw belki wybił nawet okienko, żeby jaśnie panie mogły sobie ulżyć, podziwiając pejzaż... A dalej, proszę za mną... woliera, żeby kurki miały gdzie baraszkować, oczko wodne, poidła, nieco kurzu, żeby miały gdzie polować na robactwo i... Właśnie, proszę spojrzeć, jaki widok... Jak tu pięknie...

I gdy opróżniał konewkę, dodała:

- Kiedyś, w akcie jakiejś... sama nie wiem... straszliwej desperacji... - zaśmiała się - wpadłam na idiotyczny pomysł, żeby zawieźć dzieci do jednego z tych wakacyjnych ośrodków spod szyldu Center Parcs, zna pan?

- Z nazwy...

- To był chyba mój najgorszy pomysł w życiu... Schować dzikusów pod kloszem... Zachowywali się koszmarnie... O mało nie utopili jednego dzieciaka... Wiem, dziś mamy z tego niezły ubaw, ale wtedy... a tanio nie było... krótko mówiąc, lepiej zapomnieć... Chcę panu tylko powiedzieć, że pierwszego dnia, po obejściu tamtego... przybytku, Samuel oświadczył uroczyście: nawet nasze kury mają lepiej. A później przez cały tydzień oglądali telewizję... Od rana do wieczora... Prawdziwe upiory... Dałam im spokój... W końcu na tym polegała dla nich... egzotyka...

- Nie macie telewizora?

- Nie.

- Ale macie Internet?

- Tak... Przecież nie mogę całkiem odciąć ich od świata...

- Często z niego korzystają?

- Tak, zwłaszcza Yacine... Do swoich poszukiwań. - Uśmiechnęła się.

- Przedziwny dzieciak.

- Dobrze określenie.

- Proszę powiedzieć, Kate, to jest...

- Później.

- Uwaga, przelewa się... Dobrze... Zostawimy jajka, Nedra uwielbia je zbierać...

- No właśnie, a ona? Odwróciła się:

- Lubi pan świetną whisky?

- Tak.

- W takim razie później.

- Tu kiedyś była pralnia... Służy za dom dla psów... Uprzedzam, smród jest nie do wytrzymania... Tutaj - składzik... Tu - stajnia... Przekształcona na garaż dla rowerów... Tutaj jest piwniczka... niech pan nie patrzy na ten burdel... Kiedyś René miał tu swój warsztat...

Charles nigdy nie widział czegoś podobnego. Ile stuleci nagromadziło się w jednym miejscu? Ilu trzeba by ciężarówek, ilu rąk do pracy, ilu tygodni, żeby to wszystko odgruzować?

- Widziała pani te wszystkie narzędzia! - krzyknął. - Istne Muzeum Sztuki i Tradycji Ludowej. To jest niesamowite...

- Tak pan uważa? - skrzywiła się Kate.

- Dzieciaki nie mają telewizora, ale pewnie nie nudzą się ani sekundy...

- Ani jednej, niestety...

- A to? Co to jest?

- To jest słynny motorower, przy którym René majstruje... chyba od wojny.

- A to?

- Nie wiem.

- To jest niewiarygodne...

- Niech pan zaczeka... Mamy tu jeszcze lepsze rzeczy... Wyszli na światło dzienne.

- Tu klatki dla królików... Puste... Moja pracowitość ma swoje granice... Tu pierwsza szopa na siano... A tam znosimy słomę... Na co pan patrzy?

- Na wiązania dachowe... Ci ludzie mnie zdumiewają... Wyobraża sobie pani, jak rozległą trzeba mieć wiedzę teoretyczną, żeby wznosić takie budynki... Nie - ciągnął zamyślony - nie może sobie pani tego wyobrazić. Nawet ja, chociaż siedzę w branży, nie mogę... Jak oni się do tego zabrali? To tajemnica... Na starość zapiszę się na kurs ciesielstwa.

- Uwaga na kota...

- Znowu kot! Ile ich tutaj macie?

- Och... O wiele za dużo... Rodzą się i umierają na potęgę... Zwłaszcza z winy rzeki... Te głupki połykają haczyki z przynętami i już nie wstają...

- A dzieci?

- Przeżywają dramat. Aż do następnego miotu... Milczenie.

- Jak pani sobie daje radę, Kate?

- Nie daję sobie rady, Charles, nie daję rady. Czasem udzielam lekcji angielskiego córce weterynarza w zamian za kilka wizyt...

- Nie, ja mówiłem o całej reszcie...

- Jestem jak dzieci: czekam na następny miot. Tego nauczyło mnie życie... Dzień... - zamknęła zasuwkę - za dniem... I to wystarczy.

- Zamyka pani koty?

- Przecież koty nigdy nie wychodzą drzwiami...

Odwrócili się i ujrzeni... Dziedziniec Cudów... Pięć psów, każdy kolejny skundlony bardziej od poprzednika, czekało na jedzenie.

- Chodźcie, brzydale... Teraz wasza kolej... Wróciła do spiżarni i napełniła ich miski.

- A ten... tam...

- Tak...

- Ma tylko trzy łapy...

- I tylko jedno oko... Dlatego nazywamy go Nelsonem. Zauważyła zmieszanie swojego gościa i uściśliła:

- *Admiral Lord Nelson... Battle of Trafalgar...* Mówi to panu coś?

- Tutaj jest skład drewna... Tu jeszcze jedna szopa... I stara komórka... Na ziarno, więc... Nic specjalnego... Same kłamoty... Kolejne muzeum, jak to pan nazywa... Ta tutaj jeszcze mocniej się zawaliła... Ale ma za to piękne dwuskrzydłowe drzwi, bo tutaj stały powozy konne... Zachowały się dwa, ale są w oplakany stanie. Proszę zobaczyć. Wystraszyli jaskółki.

- Ten jest jeszcze całkiem ładny...

- Ta dwukółka?

- No, no! Samuel ją odremontował. Dla Ramona...

- Kim jest Ramon?

- To jego osioł - wyjaśniła, wznosząc oczy ku niebu. - Jego uparty osioł...

- Skąd ta desperacja w głosie?

- Bo Sam ubzdurał sobie, że weźmie udział w wyścigu zaprzęgów, który latem odbywa się w okolicy...

- I co? Nie jest przygotowany?

- Och, tak, jest przygotowany! Tak się pilnie przygotowywał, że nie zdał do następnej klasy... Ale nie rozmawiamy o tym, nie mam ochoty psuć sobie humoru...

Oparła się o jeden z wózków.

- Bo, jak sam pan widzi... Wszystko tutaj jest do niczego... Wszystko krzywe, popękane, zawalone... Dzieci całymi dniami latają boso albo w kaloszach, a to też... jeśli akurat je mają... Muszę odrobaczać je dwa razy do roku, wszędzie biegają, wymyślają milion psot na minutę i mogą zapraszać kolegów, ale tej jednej rzeczy nie odpuszczę: nauki. Zobaczyłby nas pan wieczorem, przy kuchennym stole... To nie przelewki! Doktor Katyll przemienia się w Mister Hyde'a! A teraz... Samuel... To moja pierwsza porażka... Wiem, nie powinnam mówić „moja”, ale cóż... to dość zagmatwana sprawa...

- Ale to chyba nic strasznego?

- Chyba nie. Ale...

- Proszę mówić dalej, Kate, proszę mówić...

- W zeszłym roku dostał się do liceum, musiałam go wysłać do internatu... Nie miałam wyboru... Już nawet tutejsze gimnazjum jest do niczego... A w internacie... Katastrofa...

Zupełnie się tego nie spodziewałam, bo mam wspaniałe wspomnienia z lat spędzonych w *boarding school*, ale... sama nie wiem... być może we Francji wygląda to inaczej... Tak się cieszył, gdy wracał tu na weekendy, że nie miałam serca zmuszać go do nauki. No i mam rezultaty... Uśmiechnęła się krzywo.

- Ale za to może będę miała w domu mistrza świata w powożeniu oślim zaprzęgiem... No... Chodźmy stąd... Matki boją się o swoje młode...

Fakt, z gniazd nad ich głowami rozbrzmiewał przeraźliwy pisk.

- Ma pan dzieci? - spytała.

- Nie. Tak... Mam Mathilde, czternastolatkę... Nie ja ją zrobiłem, ale...

- Ale to nie ma znaczenia...

- Nie ma.

- Wiem. Chodźmy... Jest jedno miejsce, które na pewno się panu spodoba...

Zapukała do drzwi kolejnego budynku.

- Tak?

- Jestem z Charles'em, możemy obejrzeć? Otworzyła im Nedra.

I jeśli Charles myślał, że nie zniesie już żadnej nowej niespodzianki, to się grubo mylił. Zatkąło go na długą chwilę.

- Pracownia Alice - odpowiedziała mu Kate. Mimo to nie mógł dojść do słowa.

Było tyle do oglądania... Obrazy, rysunki, freski, maski, marionetki z piórek i kory, meble z drewniaków, girlandy z liści, makiety i mnóstwo nadzwyczajnych zwierzątek...

- A więc tam na nadprożu nad kominkiem - to jej dzieła? Jej...

Alice siedziała przy stole ustawionym pod oknem, odwróciła się, pokazując im jakieś pudełko.

- Patrzcie, ile guzików znalazłam na wyprzedazy staroci! Spójrzcie na ten, jaki piękny... To mozaika... A ten... To jest rybka z macicy perłowej... Będzie dla Nedry... Zrobię jej naszyjnik, żeby uczcić przybycie Pana Blop...

- Można wiedzieć, kim jest Pan Blop?

Charles ucieszył się, że nie tylko on zadaje głupie pytania. Nedra wskazała na koniec stołu.

- Ale... - ciągnęła Kate - wpuściłyście ją do pięknego wazonu *Granny*?!

- No tak... Chciałyśmy ci to powiedzieć... Nie znalazłyśmy akwarium...

- Bo źle szukałyście. Wygrałyście dotąd dziesiątki rybek i nigdy nie udało wam się utrzymać ich przy życiu dłużej niż jedno lato, a ja kupiłam już mnóstwo słoików...

- Słoi - poprawiła artystka.

- Dzięki, *bowls*... *So*... radźcie sobie...

- Ale one są całkiem małe...

- W takim razie nie zostało wam nic innego, tylko samemu skombinować akwarium! Jak Gaston!

Zamknęła drzwi i odwróciła się do Charles'a.

- Nie powinnam była nigdy wymówić tych słów: „Nie zostało wam nic innego...” To zawsze oznacza wyczerpujące konsekwencje... Chodźmy... Zakończymy zwiedzanie na stajniach i proszę nie zapomnieć przewodnika...  
Idziemy...

Poszli w stronę innego podwórza.

- Kate? Mogę pani zadać ostatnie pytanie?

- Słucham.

- Kim jest Gaston?

- Nie zna pan Gastona Lagaffe'a z komiksu? - zdziwiła się. - Gastona i jego rybki Bubulle?

- Znam, znam, oczywiście...

- Ja zaczęłam się na serio uczyć francuskiego, żeby zrozumieć Gastona. Nawiasem mówiąc, nieźle się namęczyłam... Z powodu onomatopej...

- Ale... Ile pani ma lat? Oczywiście nie chciałbym być niedyskretny... Od razu uspokajam, zapewniłem Yacine'a, że ma pani dwadzieścia pięć lat, ale...

- Myślałam, że to było ostatnie pytanie. - Uśmiechnęła się.

- Pomyliłem się. Nigdy nie będzie ostatniego pytania. To nie moja wina, to pani...

- Co ja?

- Czuję się z tym bardzo głupio, ale mam wrażenie, że odkrywam... Nowy Świat... więc siłą rzeczy rodzi się wiele pytań...

- No nie... Nigdy pan nie był na wsi?

- Miejsce jako takie nie czyni na mnie wrażenia, tylko to, co pani z niego zrobiła...

- Ach tak? A co, według pana, z niego zrobiłam?

- Sam nie wiem... Taki jakby raj, nie?

- Mówi pan tak, bo mamy lato, jest piękne światło i skończyła się szkoła...

- Nie. Mówię tak, bo widzę zabawne, inteligentne i szczęśliwe dzieci.

Znieruchomiała.

- Czy... czy naprawdę wierzy pan w to, co pan powiedział?

Jej głos stał się taki poważny...

- Ja nie wierzę, ja jestem o tym przekonany.

Wsparła się na jego ramieniu, by wyjąć kamyczek z kalosza:

- Dzięki - mruknęła, krzywiąc się niemiłosiernie. - Ja... Idziemy?

„Głupio” to było zbyt łagodne słowo, Charles czuł się kompletnym idiotą, tak...

Czemu doprowadził do łez tę uroczą dziewczynę?

Przeszła kilka kroków i odezwała się weselszym głosem:

- Akurat... Prawie dwadzieścia pięć lat... Nie całkiem... Trzydzieści sześć, jeśli mam być bardziej dokładna...

Więc teraz już pan widzi, szeroka dębowa aleja nie prowadziła do tego skromnego gospodarstwa, lecz do zamku, który należał do dwóch braci... Niech pan sobie wyobrazi, sami go spalili, w latach Terroru... Dopiero co powstał, włożyli w niego całe serce, wszystkie oszczędności, to znaczy... wszystkie oszczędności przodków, a gdy poczuli, że mogą wkrótce zawisnąć na latarni z woli ludu, to, jak mówi legenda, która mnie zachwyca, nie spiesząc się, starannie opróżnili piwniczkę, a później podłożyli ogień i powiesili się sami. Usłyszałam to z ust dziwaka, który pewnego pięknego dnia zjawiał się u nas w domu, bo szukał... Nie... To zbyt długa historia... Opowiem ją panu innym razem... Wracając do braci... To byli starzy kawalerowie, żyli wyłącznie po to, żeby polować... A polowanie to także konie i dla tych koni robili wszystko. Niech pan sam oceni...

Wyszli właśnie zza rogu ostatniej szopy.

- Niech pan popatrzy, jak cudownie...

- Słucham?

- Nic. Przekląłem, bo nie mam ze sobą szkicownika.

- No... to wróci pan... Rano jest tu jeszcze piękniej.

- Powinniście tutaj mieszkać.

- Dzieci spędzają tu całe lato... Tutaj jest mnóstwo małych izdebek dla stajennych, zobaczy pan.

Z rękoma na biodrach, z urwanym oddechem, Charles podziwiał robotę swojego dalekiego kolegi po fachu.

Prostokątny budynek pokryty tynkiem w kolorze ochry, mocno sfatygowanym, spod którego wyzierały tylko boniowane rogi i zarysy łupanego kamienia wokół otworów okiennych, popękane więzary dachu pokryte cienką, płaską dachówką, rygorystyczny, naprzemienny rytm lukarn z wolutami i wolic oczu oraz duże, sklepione wejście z bardzo długimi korytami po obu stronach...

Ta stajnia, prosta, elegancka, wzniesiona na końcu świata wyłącznie dla kaprysu dwóch szlachciurów, którzy nie mieli cierpliwości, by czekać na własny proces, całą sobą ucieleśniała ducha wielkiego wieku XVIII.

- Ci faceci mieli manię wielkości...

- Podobno wcale nie. Tamten dziwak opowiadał, że w przeciwieństwie do tego plany zamku są nieszczerzone... Mieli obsesję na punkcie koni... A teraz - roześmiała się - korzysta z tego nasz gruby Ramon... Proszę tutaj... Niech pan spojrzy na posadzkę... To rzeczne otoczaki...

- Takie jak na moście...

- Tak... Żeby kopyta się nie ślizgały...

Wnętrze było bardzo ciemne. Bardziej niż inne, z wszystkimi belkami i beleczkami oblepionymi gniazdami jaskółek. Pomieszczenie miało jakieś dziesięć na trzydzieści metrów i było podzielone na sześć boksów odgrodzonych od siebie ścianami z ciemnego drewna, rozciągniętymi pomiędzy słupami uwieńczonymi kulami z mosiądzu.

*Pegaz, Dzielny, Węgierka...* Ponad dwa stulecia, trzy wojny i pięć republik nie zmasało tych napisów...

Chłód kamieni, liczne poroża pokryte pajęczynami, światło, które wpadało przez zaokrąglone okienka, tnąc wnętrze długimi wiązkami fosforyzującego kurzu, i ta nagła cisza, zakłócana jedynie echem ich ostrożnych kroków, odbijającym się od pokrytych reliefem otoczków, to było... Charles, który zawsze panicznie bał się koni, odnosił teraz wrażenie, że wstąpił do jakiejś starej świątyni, i nie miał odwagi zapuszczać się poza nawę.

Z osłupienia wyrwało go głośne przekleństwo. Kate.

- Niech pan spojrzy na ten sweter... Stało się... Zżarły go myszy... *Fuck...* Tędy, Charles... Powtórzę panu to, co jeszcze powiedział mi Pan od Zabytków, gdy tu przyjechał... Tego być może nie widać, ale znajdujemy się w bardzo nowoczesnej stajni... Kamienne koryta zostały oszlifowane dla większej wygody wierzchowców... Wierzchowców?

- Wierzchowców *sounds good* - uśmiechnął się.

- ...dla wygody szkap i podzielone na indywidualne korytka, żeby kontrolować ich codzienne racje, a drabinki na siano, proszę sobie wyobrazić, są godne Wersalu... Z giętego dębu, ozdobione na końcach maleńkimi, rzeźbionymi wazonikami...

- Naszczytnikami...

- Skoro tak pan mówi... Ale to jeszcze nie jest szczyt wyrafinowania... Proszę spojrzeć... Każdy szczebelek również jest gięty, żeby... jak to on powiedział... „żeby nie stawiać oporu przy wykładaniu karmy"... Karmy, która zawsze była pełna kurzu i mysich odchodów, co powodowało liczne choroby, i dlatego te drabinki, w przeciwieństwie do drabinek w stajni zwykłych wieśniaków, nie są nachylone, lecz stoją niemal pionowo i mają, tu, na dole, małą rynienkę, do której spadały te przeklęte zanieczyszczenia... I ponieważ konie stały naprzeciw ślepej ściany, w każdej przegródce umieszczono kraty, żeby nie czuły się samotne i mogły gadać ze sobą po sąsiedzku... *Hello, dear, did you see the fox today?* Proszę spojrzeć, jakie ładne... Wygląda jak fala, która płynie aż do słupa... A nad głową ma pan liczne otwory, przez które zrzucało się siano ze stryszku i...

Pociągnęła go za rękaw, zmuszając, żeby szedł za nią.

- Tu jest jedyny zamknięty boks. Bardzo duży i wyłożony płytkami... Przebywały w nich ciężarne klacze i źrebięta... Proszę podnieść głowę... Dzięki temu okienku, tam, wysoko, chłopiec stajenny mógł obserwować przebieg porodu, nie wstając z łóżka... Rozłożyła ramiona.

- Powinien też pan się przyjrzeć trzem latarenkom pod sufitem... Światło było bardzo liche i trudne do obsługi, ale znacznie mniej niebezpieczne od ręcznych lampek stawianych na parapetach i... Co... co w tym śmiesznego?

- Nic. Jestem oczarowany... Mam wrażenie, że odbywa się tu wykład specjalnie dla mnie...

- Pfff. - Wzruszyła ramionami. - Wysilam się, bo jest pan architektem, ale jeśli to pana wkurza, proszę mi przerwać.

- Powie mi pani, Kate?

- Co? - Odwróciła się.

- Nie ma pani przypadkiem cholernego, trudnego charakterku?

- Tak - zgodziła się w końcu po serii minek całkiem w stylu omawianej epoki, bardzo osiemnastowiecznych.

- To możliwe... Idziemy dalej?

- Proszę przodem.

Założył ręce za plecy. Nieco przygasił uśmiech.

- Tutaj - kontynuowała uczenie Kate - niech pan spojrzy na schody. Czyż nie są szlachetnie piękne?

- Są.

A przecież nie miały w sobie niczego niezwykłego. Dwubiegowe kręte schody, które, jako że nie były przeznaczone dla najdroższych koników, wycięto z najzwyczajszego drewna. Schody, które z czasem, wytarte przez kalosze, przybrały barwę kamienia, lecz których proporcje, jak wszystko w tym miejscu, były absolutnie doskonałe. Charles przestał przez chwilę podziwiać proporcje swej ślicznej przewodniczki, która stała tuż przed nim, zbyt zajęty określaniami wysokości pionowych i poziomych części stopni.

Tych poziomych części, które cieśle nazywają wprawdzie posunięciem, ale to było raczej bez związku... Jajogłowi! Cóż z nich za idioci!

- A oto izby... Są cztery... A właściwie trzy... Czwarta nie nadaje się do użytku...

- Wali się?

- Nie, czeka na sowie piskłeta... Właśnie, jak one się nazywają? Sowieta?

- Nie wiem...

- Niewiele pan wie, co? - podoczyła się z nim, przechodząc tuż przed jego nosem, żeby otworzyć drugie drzwi.

Sprzęty były tu dość prymitywne. Małe żelazne łóżka pokryte poprutymi słomiankami, kulawe krzesła, haczyki, z których zwisały zmurszałe rzemienie. Tu nieczynny kominek, tam... coś... jakby falbanka, dalej na wpół rozmontowany silnik, jakieś wędkę, stopy książek pożeranych i trawionych przez całe pokolenia gryzoni pasjonatów, płyty obsypanego gipsu, kolejny kot, kalosze, stare numery czasopisma „La Vie Agricole”, puste butelki, osłona chłodnicy Citroëna, karabin, pudełka po nabojach... Na ścianach - naiwne malowanki pomieszane z zalotnymi obrazkami, jakaś Playmate, trzymająca w palcach kokardkę swojego bikini, puszczała oko do mocno przekrzywionego krucyfiksu, kalendarz z 1972 roku, prezent od nawozów sztucznych Derome, i wszędzie, wszędzie ta sama wykładzina, ciemna, gruba, cierpliwie utkana z dziesiątków tysięcy martwych much...

- Za czasów rodziców Renégo kwaterowano tutaj najemnych rolników...

- I tutaj śpią pani dzieci?

- Nie - uspokoiła go. - Nie pokazałam panu ostatniego pokoju pod schodami... Ale zaraz... Ponieważ tak pan lubi więzary dachowe... Chodźmy najpierw zobaczyć strych... Uwaga na gło...

- Za późno - jęknął Charles, któremu następny guz do kolekcji nie robił różnicy.

Szybko odjął dłoń od czoła.

- Wyobraża to sobie pani? Jakże ci ludzie musieli być pracowici i inteligentni, żeby stworzyć strukturę taką jak ta? Widziała pani rozmiary tych wsporników? I długość tej płatwi kalenicowej? A tam, na górze, jest belka wieńcząca. Już samo ścięcie, ociosanie i ustawienie takiego pnia to niezła łamigłówka. I wszystko perfekcyjnie załkowane... Wieszak nawet nie jest wzmocniony metalem. - Pokazał jej miejsce, na którym wszystko wydawało się opierać. - To są dachy o łamanych połaciach, à la Mansart, dzięki którym zyskują na wysokości... Stąd właśnie tutaj te śliczne lukarny...

- A jednak. Jednak coś pan wie...

- Nie. Nie znam się na budownictwie wiejskim. Nigdy nie podejmowałem, mówiąc językiem moich kolegów po fachu, działań na rzecz dziedzictwa. Lubię wymyślać, a nie restaurować. Ale oczywiście, widząc to, ja, człowiek kochający eksperymenty, szukający nowych materiałów i nowych technologii, wykorzystujący obliczenia dokonywane przez bezustannie doskonalone programy, czuję się... jak by to powiedzieć... przytłoczony...

- A na rzecz małżeństwa? - rzuciła, gdy znów stali na schodach.

- Słucham?

- Powiedział pan przed chwilą, że nie podejmuje pan działań na rzecz dziedzictwa, ale jeśli chodzi o resztę... ma pan żonę?

Charles przytrzymał się stoczonej przez robaki poręczy.

- Nie.

- Ale pan... żyje pan z... eee... mamą pańskiej Mathilde?

- Nie. Aj...

Nic takiego. Złośliwa drzazga, kara za kłamstwo. Czy skłamał?

Tak.

Ale czy on rzeczywiście żył z Laurence?

- Proszę spojrzeć... Już się rozłożyli z całym swoim kramem...

Pośrodku pokoju sterczała góra poduszek i śpiworów. Była tam też gitara, paczki cukierków, butelka coli, karty do tarota i zgrzewki piwa.

- No, no... Obiecujące. - Kate gwizdnęła. - Tak więc jesteśmy w siodlarni... Jedynym wygodnym miejscu w przybytku zwanym Les Vesperies... Jedynym miejscu, w którym parkiet jest ładny, a boazeria zadbana... Jedynym miejscu, w którym stoi piecyk godny swojej nazwy... A dlaczego to wszystko, jak pan sądzi?

- Dla zarządcy?

- Dla skór, mój miły panie! Żeby je chronić przed wilgocią. Żeby siodła i wędzidła jaśnie panów były przechowywane w odpowiedniej wilgotności! Wszyscy wokół marzli na kość, ale szpicrutom było ciepłutko. Wspaniale, nie? Zawsze uważałam, że właśnie to pomieszczenie zadecydowało o losie gołębnika...

- Jakiego gołębnika?

- Tego, który miejscowy lud zdemontował kamień po kamieniu, na pociechę, skoro ominął ich zamek... To raczej pańska historia, nie moja, ale wiadomo, że gołębniki były znienawidzonymi symbolami ancien régime'u... Im bardziej jaśnie pan chciał zaszpanować, tym większy stawiał gołębnik, a im większy gołębnik, tym więcej zboża żarły gołębie. Jeden gołąb może pochłonąć ponad pięćdziesiąt kilo ziarna rocznie... Nie mówiąc już o nowalijkach z warzywnika, uwielbiają to...

- Wie pani tyle samo co Yacine...

- Yyyyy... To on mi o tym powiedział! Zaśmiała się.

Ten zapach... Tak pachniała mała Mathilde... Właściwie dlaczego przestała jeździć konno? Przecież tak się tym pasjonowała...

Tak... Dlaczego? I czemu on tego nie wiedział? Co jeszcze ominęło go na własne życzenie? W jakie interesy był zaangażowany, na jakim siedział tego dnia spotkaniu? Któregoś ranka powiedziała mu: Nie musisz już więcej odwozić mnie do klubu - a on nawet nie szukał przyczyny tej rezygnacji? Jak to było...



- O czym pan myśli?

- O kłapkach na własnych oczach...

Odwrócił się do niej plecami i oglądał haki, stojaki na siodła, połamane szpicruty, ławkę, która była jednocześnie kufrem, mały narożny marmurowy zlew, słój wypełniony... smołą (?), bidon z silnym środkiem na muchy Emouchine, lepy, mysie odchody, prawidła pod oknem, idealnie utrzymaną uprzęż, prawdopodobnie oślą, podkowy ułożone równo na półce, szczotki, haki kopytowe, dziecięce toczki, derki dla kucyków, piecyk, który stracił komin, ale za to zyskał pięć piw Kronenbourg, i coś w rodzaju mebla w kształcie tipi, który go zaintrygował...

- Co to jest? - spytał.

- Stojak na harapy. Dobra.

Sprawdzi sobie w słowniku...

- A tam? - spytał Charles z nosem przy oknie.

- Psiarnia... To, co z niej zostało...

- Była ogromna...

- Tak. A to, co z niej zostało, pozwala przypuszczać, że psy były tu równie dobrze traktowane jak konie...

Nie wiem, czy pan to stąd widzi, ale nad wszystkimi drzwiami wiszą medaliony, a na nich rzeźbione profile psów... Nie... Stąd już nic nie widać. Będę musiała powycinać krzaki... Zaczekamy na jeżyny... Proszę spojrzeć. Nawet ogrodzenie jest piękne...

Gdy dzieci były małe, a ja chciałam mieć chwilę spokoju, wpuszczałam je tutaj. To był dla nich taki kojec, a ja mogłam zająć się czymś innym i nie martwić się, że rzeka blisko... Pewnego dnia nauczycielka... chyba nauczycielka Alice, wezwała mnie do szkoły: „Przykro mi to mówić, ale mała opowiada na lekcji, że zamyka ją pani z roźnięciem w psiarni. Czy to prawda?”

- No i? - delectował się Charles.

- Spytałam, czy mówiła jej także o biczu. Krótko mówiąc, wyrobiłam sobie reputację...

- To jest cudowne...

- Biczowanie dzieci?

- Nie... Wszystkie historie, które mi pani opowiada...

- Och... Właśnie, a pan? Nic pan nie mówi...

- Nie. Ja... lubię słuchać...

- Tak, wiem, za dużo gadam... Ale cywilizowani ludzie docierają do nas tak rzadko...

Otworzyła drugie okno i rzuciła na wiatr:

- Tak bardzo rzadko...

Wrócili tą samą drogą:

- Umieram z głodu... Pan nie? Charles wzruszył ramionami.

To nie była odpowiedź, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Nie wiedział już, jaki ułożyć plan. Już nie potrafił odczytać skali. Nie wiedział, czy powinien wyjechać, czy zostać. Słuchać jej dalej czy uciec? Poznać historię do końca czy włożyć kluczyki do skrzynki na listy, jak zostało ustalone w umowie.

Nie był wyrachowany, ale przez całe życie starał się kontrolować i...

- Ja też - zgodził się, żeby wygnać z siebie tego Kartezjusza, logistyka z parafką na marginesie, z pieczęcią „zaakceptowane”, tego gościa wtłoczonego w ramy życia pełnego rozporządzeń, klauzul i gwarancji. - Ja też.

W końcu odbył tę podróż, by odnaleźć Anouk, i czuł, że jest już całkiem blisko.

Nawet dotknęła tego karku, tutaj.

Właśnie tu.

- Więc chodźmy sprawdzić, co zostawiły nam ślimaki... Odszukała koszyk, a on natychmiast wyjął go jej z rąk.

I tak jak wczoraj, pod tym samym wielkim bladym płótnem nieba, opuścili dziedziniec i poszli na skróty przez łąkę.

Tasznik pospolity, margerytki, krwawniki o wdzięcznych kwiatach, ziarnopłon, glistnik jaskółcze ziele, gwiazdnica. Charles miał w nosie wszystkie te kwietne nazwy, ale postanowił być nieco nadgorliwy.

- A co to jest tam... ta biała łodyżka, o tam?

- Gdzie?

- Tu, przed nami.

- Psi ogon.

- Ach?

Jej uśmiech, nawet kpiący, był... pasował do krajobrazu...

Mur warzywnika był w bardzo złym stanie, ale furtka, obramowana dwoma słupami, nadal robiła wrażenie. Charles, przechodząc, pogłaskał te słupy i poczuł, jak łaskoczą go szorstkie porosty.

Kate skrzypnęła drzwiami altany, poszukała noża, a on ruszył za nią między warzywa. Wszystkie grządki były równiutkie, idealnie wypielegnowane i otoczone z każdej strony krzyżującymi się ścieżkami. Pośrodku była studzienka, a we wszystkich rogach rosły pęki kwiatów.

Nie, Charles nie był nadgorliwy, on lubił się uczyć.

- A te drzewka, tam, takie powyginane, wzdłuż alejek, co to jest?

- „Powyginane...” - oburzyła się. - Chciał pan powiedzieć: przycięte! To są jabłonie... I ustawione w szpalerze, proszę pana...

- A ten piękny niebieski kolor na murze?

- To? Środek owadobójczy. Dla ochrony winorośli.

- Robi pani wino?

- Nie. Nawet nie jemy tych winogron. Mają wstrętny smak...

- A te duże żółte gwiazdy?

- Koper.

- A to? Te jakby piórka?

- Ogonki szparagów...

- A te spore bulwy?

- Główki czosnku... Odwróciła się:

- Pierwszy raz w życiu widzi pan warzywnik, Charles?

- Pierwszy raz z tak bliska...

- Naprawdę? - odparła z miną wyrażającą szczere zdziwienie. - To jak pan żył do tej pory?

- Też się nad tym zastanawiam.

- Nigdy nie jadł pan pomidorów czy malin prosto z krzaka?

- Może kiedyś, jako dziecko...

- Nigdy nie rozgniół pan językiem porzeczek na podniebieniu? Nigdy nie zjadł pan jeszcze ciepłej poziomki? Nigdy nie łamał pan sobie zębów i języka na niedojrzałych orzechach?

- Obawiam się, że nie... A te ogromne czerwone liście po lewej?

- Wie pan co... Powinien pan zadać wszystkie te pytania staremu René, byłby wniebowzięty... Poza tym opowiada o tym znacznie lepiej niż ja... Ja ledwo mam prawo tutaj przychodzić... Zresztą, proszę spojrzeć... - Schyliła się. - Weźmiemy tylko kilka główek sałaty, jako dodatek do pańskiej uczyty, odłożymy nóż i hop! jakby nas tutaj w ogóle nie było.

Tak zrobili.

Charles przejrzał zawartość swojego kosza.

- Czym się pan znowu martwi?

- Pod liściem... jest wielki ślimak...

Pochyliła się. Jej szyja... Złapała robala i wrzuciła do wiadra przy furtce.

- Dawniej René wszystkie rozgniatł, ale Yacine tak mu marudził, że teraz nie śmie ich nawet dotknąć. Teraz wyrzuca je do ogrodu sąsiada.

- Dlaczego sąsiada?

- Bo zabił mu koguta.

- A dlaczego Yacine interesuje się ślimakami?

- Tylko tymi dużymi, bez skorup... Bo wyczytał gdzieś, że mogą żyć od ośmiu do dziesięciu lat...

- I co z tego?

- *My godness!* Jest pan tak samo męczący jak on! Nie wiem... Uważa, że skoro Natura, czy Bóg, czy co tam pan sobie życzy, specjalnie stworzyła takie żyjątko, małe, obrzydliwe, a jednocześnie tak długowieczne, to miała ku temu jakieś powody, i że gwałtowny cios łopata, żeby się go pozbyć, to zniewaga wobec wszelkiego stworzenia. Ma zresztą jeszcze inne podobne teorie... Patrzy, jak pracuje René, i godzinami zabawia go rozmową, opowiadając mu o historii świata od chwili pojawienia się pierwszego ziemniaka aż po dzisiejsze czasy.

Mały się cieszy, ma publiczność, stary jest wniebowzięty... wyznał mi któregoś dnia, że wychowa sobie przed śmiercią godnego następcę... a tłuste ślimaki są zachwycone. Chodzą na spacerki do miasta... Krótko mówiąc, każdy znajdzie tu coś dla siebie... Chodźmy, wrócimy drogą z widokiem, a później sprawdzimy, co tam broją młodzi... Cisza jest zawsze dość niepokojąca.

Poszli wzdłuż pozostałości mura i wstąpili na ubitą drogę, która zawiodła ich na szczyt wzgórza.

Pagórkowate łąki pocięte żywopłotami, ciągnące się po horyzont, baloty siana, połacie lasów, rozległe niebo i banda dzieciaków na dole, mniej lub bardziej odzianych w stroje kąpielowe i mniej lub bardziej siedzących okrajkami na obrośniętych sierścią zwierzakach, dzieciaków roześmianych, rozgadanych, rozwrzeszczanych, biegających wzdłuż brzegów bardzo ciemnej rzeki, która płynęła własnym nurtem i zniknęła gdzieś za ostatnimi zagajnikami...

- Dobrze... Wszystko w porządku - westchnęła. - Możemy chwilę odpocząć, my też...

Charles nie ruszył się z miejsca.

- Idziemy?

- Można się przyzwyczaić?

- Do czego?

- Do tego...

- Nie. Codziennie jest inaczej...

- Wczoraj - rozmyślał na głos - niebo było różowe, obłoki niebieskie, a dziś jest odwrotnie, to obłoki są...

Pani... Pani mieszka tutaj od dawna?

- Od dziewięciu lat. Chodźmy, Charles... Jestem zmęczona... Wstałam bardzo wcześnie, jestem głodna i trochę mi zimno...

Zdjął marynarkę.

Stary numer. Robił to już tysiąc razy.

Tak, to stary numer - okryć marynarką ramiona ładnej dziewczyny, jednak nowością był fakt, że dzień wcześniej nosił za nią piłę mechaniczną, a dziś koszyk pełen ślimaków...

A jutro?

- Pan też wygląda na zmęczonego - zauważyła.

- Dużo pracuję.

- Wyobrażam sobie. A cóż takiego pan buduje? Nic.

Opuścił rękę.

Nagle dopadła go straszliwa chandra.

Nie odpowiedział na jej pytanie...

Kate spuściła głowę. Pomyślała, że ona też ma bose stopy w kaloszach...

Że jej sukienka jest cała w plamach, paznokcie połamane, ręce w strasznym stanie. Że nie ma już dwudziestu pięciu lat. Że spędziła całe popołudnie na sprzedawaniu domowych ciast na dziedzińcu maleńkiej szkoły. Że skłamała. Że piętnaście kilometrów stąd jest restauracja. Że pewnie się ośmieszyła, oprowadzając go po kupie kamieni, jakby to był jakiś wspaniały pałac. W dodatku właśnie jego... Faceta, który zapewne zwiedził wszystkie pałace... Że pewnie go wymęczyła tymi historiami o koniach, kurach i nieokrzesanych dzieciakach...

Tak, ale... O czym innym mogłaby mu opowiedzieć? Cóż innego działo się teraz w jej życiu? Na początek wsunęła rękę w kieszenie. Resztę trudno będzie ukryć.

Schodzili ze wzgórza ramię przy ramieniu, milczący, bardzo od siebie oddaleni.

Słońce zachodziło im za plecami, a ich cienie były ogromne.

- *I... - szepnęła Kate powoli... I will show you something different from either Your shadow at morning striding before you Or your shadow at evening rising to meet you I will show you your fear in a handful of dust\**.

Ponieważ zatrzymał się i patrzył na Kate w sposób, który ją krępował, poczuła się zobowiązana uściślić: - T.S. Eliot.

\* Pokażę ci coś, co nie jest Twoim cieniem, który rano wydłuża się przed tobą, Ani twoim cieniem, który wieczorem wychodzi ci na spotkanie. Pokażę ci twój strach ukryty w garści kurzu.

Ale Charles miał głęboko gdzieś nazwisko poety, to raczej reszta go... jak... jak ona to odgadła?

Ta kobieta... królowa w świecie pełnym duchów i dzieci, o pięknych rękach, recytująca przenikliwie wiersze o zmroku... kim ona jest?

- Kate?

- Mmmm...

- Kim pani jest?

- Dziwne, właśnie sama zadawałam sobie to pytanie... Cóż... Z daleka, ot tak, wyglądam pewnie na grubą farmerkę w kaloszach marki Le Chateau, która próbuje się popisywać, recytując fragmenty dołączającego poematu mężczyźnie całemu w plastrach...

I jej śmiech rozchwiał ich cienie.

- *Come along*, Charles! Idziemy zrobić sobie wielkie kanapki! Zasłużyliśmy na to...

## 7

Przywitały ich skargi starego psa wyciągniętego na posłaniu. Kate kucnęła, położyła sobie na kolanach jego głowę i podrapała go po uszach, przemawiając czule. Następnie - i w tym momencie Charles poczuł, że nie wierzy, jak to lubiła mawiać Mathilde - rozłożyła ramiona, złapała go od spodu, uniosła z podłogi (przygryzając usta) i wyszła z nim na podwórze, żeby się wysikał.

Charles tak bardzo nie wierzył, że nawet za nią nie poszedł.

Ile może ważyć takie bydlę? Trzydzieści? Czterdzieści kilo?

Ta dziewczyna nigdy nie przestanie go... co? Zdziwiał. Rozwalać, jeśli wrócić do słownika najmłodszej francuszczyzny. Tak, rozwalać go na maksa.

Ten jej uśmiech, jej kark, koński ogon, sukienka w stylu lat siedemdziesiątych, biodra, balerinki, zgraja dzieciaków na łonie przyrody, jej plany wycieczki krzaków, jej riposty, łyż w najmniej oczekiwanym momencie, a teraz jeszcze to wydzwignięcie brytana w ciągu czterech i pół sekundy, to było...

To było dla niego za wiele.

Wróciła z pustymi rękoma.

- Co się panu stało? - spytała, otrzepując uda. - Wygląda pan, jakby właśnie ujrzał Matkę Boską w szortach. Tak mówią dzieciaki stąd... Uwielbiam to powiedzonko... „Hej, Mickaël! Matkę Boską w szortach ujrzałeś czy co?”... Piwa?

Sprawdziła zawartość półek na drzwiczkach lodówki.

Musiał wyglądać naprawdę głupio, bo wyciągnęła rękę, żeby pokazać mu, co to jest piwo.

- Nadal pan tu jest?

I nie biorąc pod uwagę, że to ona sama, osoba tak banalna, zafundowała Charles'owi ten wstrząs, znalazła bardziej racjonalne wytłumaczenie:

- On ma sparaliżowany tył ciała... To jedyny pies bez imienia... Nazywamy go Dużym Psem, jest ostatnim arystokratą w tym domu... Gdyby nie on, prawdopodobnie nie byłibyśmy dziś tutaj... W każdym razie mnie by już nie było...

- Dlaczego?

- Hej... Nie ma pan dość? - Westchnęła.

- Czego?

- Moich wiejskich opowiastek?

- Nie.

I ponieważ zaczęła krzątać się przy zlewie, wstał z krzesła i stanął obok niej.

- Umyć salatekę to akurat potrafię - zapewnił ją. - Proszę... Niech pani tu usiądzie... Proszę wziąć piwo i opowiedzieć mi...

Wahała się.

Architekt zmarszczył brwi i uniośł palec wskazujący, jak gdyby przymierzał się do lekcji treserki.

- *Sit!*

Wreszcie usiadła, ściągnęła kalosze, szczerzej okryła nogi sukienką i odchyliła się.

- Och... - jęknęła. - Usiadłam po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru... Nigdy nie wstanę...

- Nie mogę zrozumieć - dodał Charles - w jaki sposób gotuje pani dla tylu osób, używając tak niepraktycznego zlewu. To już nawet nie jest rustykalny sprzęt, to jest... To jest masochizm! Albo może snobizm, nie?

Szyjką swojej butelki wskazała mu drzwi obok kominka.

- Zaplecze kuchni... Nie ma tam wprawdzie subretki, ale za to znajdzie pan duży zlew, a nawet zmywarę, jeśli pan dobrze poszuka...

Po czym głośno beknęła.

Jak przystało na prawdziwą *lady*.

- Doskonale... tylko że eee... Trudno, zostanę z panią. Poradzę sobie.

Znikł, wrócił, pokrzątał się, pootwierał szafki, znalazł co trzeba i wziął się do roboty.

Pod obstrzałem rozbawionego spojrzenia.

Walcząc ze ślimakami, rzucił:

- Cały czas czekam na kolejny odcinek... Odwróciła się do okna.

- Przyjechaliśmy tu w... chyba w październiku... Później powiem panu, w jakich okolicznościach, teraz jestem zbyt głodna, żeby grzebać w sumieniu... I po kilku tygodniach, gdy noc zapadała już coraz wcześniej, zaczęłam się bać... To było dla mnie coś całkiem nowego - strach.

Byłam z dziećmi sama i co wieczór widziałam w oddali wiązki samochodowych świateł... Najpierw na końcu alei, później - coraz bliżej... A to przecież nie było nic takiego... Tylko reflektory stojącego samochodu... Ale to właśnie było najgorsze: to „nic”. Jak para śledzących nas żółtych oczu... Powiedziałam o tym Renému. Dał mi strzelbę swojego ojca, ale... Za bardzo się bałam... Więc pewnego ranka odwiozłam dzieci do szkoły i pojechałam do schroniska, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. To zresztą nawet nie było schronisko... Raczej coś w rodzaju przytułku, który jednocześnie służył za złomowisko starych samochodów. Bardzo... yyy... sympatyczne miejsce, z dość... powiedzmy... malowniczym szefem. Teraz to nasz przyjaciel, wystarczy spojrzeć, ile nam od tego czasu wcisnął zapchlonych kundli, ale wtedy, proszę mi wierzyć, nie czułam się zbyt pewnie. Myślałam, że mnie udusi, zgwałci i zmiażdży w rozdrabniarce - śmiała się. - Mówiłam sobie: kurczę, kto o czwartej odbierze dzieci?

Ale nie. Bielmo na oku, dziura w głowie, brakujące palce i fantazyjne tatuaże to był tylko... taki styl. Powiedziałam mu, jaki mam problem. Długo się nie odzywał, po czym dał mi znak, że mam iść za nim. „Weźmie pani tego i nikt już nie będzie pani nachodził, mówię pani”. Aż podskoczyłam ze strachu. W śmierdzącej głównym klatce objęło się wściekle o kraty jakieś bydlę podobne do wilka; wyglądało, jakby chciało nas pożreć. Facet splunął i spytał: „Ma pani smycz?”

Yyyy...

Charles porzucił listki sałaty i odwrócił się ze śmiechem.

- Miała pani smycz, Kate?

- Nie tylko nie miałam smyczy, ale przede wszystkim zastanawiałam się, jakim cudem wsiądę z nim do samochodu! Było jasne, że mnie pożre żywcem! Ale cóż... Udałam niespeszoną... Wziął pasek i wrzeszcząc, otworzył klatkę. Wyprowadził z niej oślinionego potwora, podał mi ten rzemień, jak gdyby to była chłodnica albo chromowana obręcz. „Normalnie się zawsze coś należy, ale ten i tak był na odstrzał... No, to sobie już pójdę, nie? Robotę mam...” I zostawił mnie tak, jak stałam. „Stałam” to zresztą tylko metafora, bo sekundę później bydlak mną szarpnął. Musi pan wiedzieć, że wtedy byłam jeszcze dość kobieca, jeszcze się nie przeobraziłam w Charlesa Ingallsa!

Drugi Charles, ten nasz, zbyt dobrze się bawił, żeby próbować jej zaprzeczyć.

- W końcu udało mi się doprowadzić go do bagażnika i wtedy...

- I wtedy?

- I wtedy się wystraszyłam...

- Oddała go pani facetowi?

- Nie. Postanowiłam wracać pieszo... Dałam się jeszcze ciągnąć temu wariatowi przez jakieś sto metrów, a w końcu go wypuściłam. Powiedziałam mu: „Albo idziesz ze mną i będziesz miał życie jak pasza, a gdy się zestarzejesz, będę ci siekać mięso i co wieczór wносить cię na dwór, albo wracasz, skąd przyszedłeś, i skończysz jako dywanik w jakimś przerdzewiałym renault 5. Wybieraj”. Oczywiście natychmiast czmychnął w pole. Myślałam, że już nigdy go nie zobaczę. A jednak... Pojawiał się od czasu do czasu... Widziałam, jak biega za krukami, jak wychodzi na skraj lasu i zatacza wokół mnie wielkie wolty. Wielkie wolty, z czasem coraz ciaśniejsze... I trzy godziny później, gdy mineliśmy miasteczko, szedł już za mną spokojnie, z wywalonym jęzorem. Dałam mu pić, a potem chciałam go zamknąć w psiarni, żeby pojechać z Reném motorem po samochód, ale w zamknięciu znów mu odbiło, więc kazałam mu na siebie poczekać. Zostawiliśmy go tu.

Złapała oddech, łyknąwszy piwa.

- W drodze powrotnej miałam lekkiego cykora...

- Że uciekł?

- Nie, że pożre dzieciaki. Nigdy nie zapomnę tej sceny... Wtedy jeszcze parkowałam na dziedzińcu... Nie wiedziałam, że most się wali... Pies leżał przed drzwiami, uniósł głowę, a ja wyłączyłam silnik i odwróciłam się do dzieci. „Mamy nowego psa, wygląda groźnie, ale myślę, że to pozory... Zobaczymy, okay?”

Wysiadłam pierwsza, wzięłam Hattie na ręce i obeszałam samochód, żeby wypuścić resztę. Pies wstał, próbowałam zrobić kilka kroków, ale Sam i Alice uczepili się mojego płaszcza. Podszedł do nas, warcząc. Powiedziałam mu: „Przestań, idioto, chyba widzisz, że to moje małe, nie?” I poszliśmy na spacer. Nie będę ukrywać, że miałam nogi... *like jelly* i że dzieciaki też nie czuły się pewnie... W końcu jednak puściły mój płaszcz... Poszliśmy na huśtawkę, a Duży Pies położył się na drodze. Wróciliśmy, zjedliśmy kolację, a on znalazł sobie miejsce przy kominku... Kłopoty zaczęły się później... Zagryzł jednego barana, dwa barany, trzy barany... Jedną kurę, dwie kury, dziesięć kur... Oddawałam wszystkim pieniądze, ale jeden z pomruków, jakie potrafi wydawać tylko René, dał mi do zrozumienia, że myśliwi dużo o nim mówią w barze... Że w powietrzu wisi jatka... Więc pewnego wieczoru ostrzegłam go: „Jak będziesz tak dalej robił, to cię zabiją, wiesz...”

Charles walczył z wirówką na sałacie, pochodzącą prawdopodobnie z lat sześćdziesiątych.

- No i?

- Zrobił to, co zawsze: posłuchał mnie. Trzeba dodać, że w tym czasie dostaliśmy szczeniaka i... nie wiem... może chciał mu dać dobry przykład... W każdym razie uspokoił się.

Zanim tu przyjechałam, nigdy nie miałam zwierząt i uważałam, że to żalosne, ludzie i te ich pieski, ale ten pies, widzi pan...

Dobrze mnie wytresował...

To jest panisko, mówiłam już... Bez niego nie dałabym sobie rady... Był aniołem stróżem, niańką, ratownikiem, powiernikiem, posłańcem, antydepresantem, był... wieloma rzeczami... Gdy traciłam dzieci z oczu, przyprowadzał mi całe stado, a gdy miałam chandrę, zmuszał się, żeby zrobić coś głupiego i zająć moje myśli czymś innym... Jakaś kurka po drodze, jakaś piłka, noga listonosza, najlepszy niedzielny rostbef... Och, tak! Niezłe się nakombinował, żeby uniosła głowę! Właśnie dlatego... będę go nosić do końca...

- A pani wieczorni goście?

- Na drugi dzień reflektory znów się pojawiły. Stałam w koszuli nocnej w kuchni, przy oknie, i myślę, że on poczuł mój strach. Zaczął wyc pod drzwiami jak opętaniec. Ledwo mu otworzyłam, już był na końcu alei. Sądzę, że obudził całą okolicę... Mogłam spać spokojnie. Tamtej nocy i każdej następnej... Z początku ludzie stąd nazywali mnie kobietą od wilka... No, dobrze. - Przeciągnęła się. - Gotowe?

- Zrobiłem sos winegret.

- *Excellent. Thank you, Jeeves.*

\* \* \*

- A tutaj - powiedziała - jest mój ogród... Przeszli na drugą stronę domu.

Charles jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu kwiatów. To było równie chaotyczne, dzikie i zadziwiające jak cała reszta.

To nie były żadne alejki, żadne grządki, żadne kępy, rabatki czy gazony. Po prostu kwiaty. Wszędzie.

- Kiedyś był przepiękny... Zaprojektowała go moja matka, a później... sama nie wiem... Z czasem wszystko się rozrosło... Muszę przyznać, że nie zajmuję się nim zbyt... Zawsze, gdy tu przyjeżdża, jest przygnębiona tym widokiem i spędza całe wakacje na czworakach, próbując odnaleźć etykiety... Pod tym względem jest bardziej angielska od mojego ojca... Wielka, wielka pasjonatka ogrodnictwa... Fanka Vity Sackville-West, członkini Royal Horticultural Society, Royal National Rose Society, British Clematis Society i... Rozumie pan, jaki to styl...

Charles myślał, że róże to kwiaty spiczaste, najczęściej różowe albo białe, albo czerwone, pomocne w poderwaniu wrażliwej kobiety, więc bardzo się zdziwił, gdy dowiedział się, że wszystkie te krzewy, te liany, te spore rozety, te pnącza i te dziwne pojedyncze płatki to także są róże.

Pośród kwiatów, w altance, której czepiało się wszystko, co miało liście i lubiło się piąć, stał duży stół otoczony krzesłami, jeszcze bardziej zdekompletowanymi niż te w kuchni. Kate chętnie sporządziła inwentarz:

- Glicynia... Klematis... Wiciokrzew... Milin... Akebia... Jaśmin... Najładniej jest tu w sierpniu. Usiąść tu w sierpniu, pod koniec dnia, gdy człowiek jest bardzo zmęczony i wszystko tak świeżo pachnie, to... coś cudownego.

Rozłożyli na obrusach talerze, koszyk z wędlinami, cztery duże bochny chleba, butelkę wina, serwetki, słonki korniszonów, baniaki z wodą, dziesięć musztardówek, dwa kieliszki i wielką salaterkę.

- Dobrze... Chyba możemy ich wołać...

- Wygląda pan na zmartwionego - powiedziała mu, gdy wrócili do domu.

- Mogę skorzystać z pani telefonu? Ich spojrzenia się skrzyżowały. Kate spuściła głowę.



Poczuła, że w oddali zapalają się reflektory.

- O... oczywiście... - wyjąkała, trzepocząc rękoma wokół siebie w poszukiwaniu nieistniejącego fartucha. - Tel... tam, na końcu korytarza.

Ale Charles nie ruszył się z miejsca. Czekał, aż na niego spojrzy.

Zrobiła to, przygryzając wargi w uśmiešku.

- Muszę poinformować agencję... Chodzi o samochód, wie pani...

Przytaknęła nerwowo. Dając do zrozumienia, że nie, nie chce wiedzieć. I gdy wykręcał kierunkowy do Paryża, wyszła i ukucnęła przy pompie.

Wiedziałaś, że to zły pomysł - strofowała się, oblewając strumieniem coraz zimniejszej wody.

Co ty sobie myślałaś, *you silly old fool*, że przyjechał fotografować mosty Madison County?

To był stary aparat z okrągłą tarczą. Długo trwa wykręcanie numeru na takiej tarczy. Zaczął od Mathilde, żeby dodać sobie odwagi.

Sekretarka.

Ucałował i zapewnił, że może na niego liczyć w poniedziałek rano.

Później agencja.

Przedstawił się, wyjaśnił sytuację i pogodził się ze wzrostem kosztów wynajmu samochodu. Wreszcie Laurence.

Odliczył siedem sygnałów, zastanowił się, co jej...

Sekretarka.

I co jeszcze?

„Bardzo proszę o uprzejme pozostawienie wiadomości” - zachęcała wszystkich głosem bardzo *haute couture*.

Uprzejme? Charles był uprzejmy. Wdał się w poplątane wyjaśnienia, użył określenia „nieszczęśliwy zbieg okoliczności” i ledwo miał czas ją ucałować... a już przerwało mu piknięcie.

Odłożył słuchawkę.

Przyjrzał się śladom saletry i pęknięciom wzdłuż ściany. Dotknął tego liszaja i przez długą chwilę sam rozpadał się w próżni.

Dźwięk dzwonka przywołał go do rzeczywistości. Poszedł do Kate na dziedziniec.

Siedziała na trzecim stopniu kamiennych schodków, znów założyła balerinki i miała na sobie grubego sweter.

- Zapraszam na przedstawienie! - rzuciła mu. - Będę dla pana komentować zza kadru.

Zawahał się, zanim usiadł u jej stóp... Zobaczy jego łysiejącą głowę... Cóż... Trudno.

- Pierwszy będzie Yacine. Bo jest najbardziej łakomy i nigdy nie jest akurat w trakcie robienia czegokolwiek... Yacine nie bierze udziału w zabawach... Jest bojaźliwy i niezdarly... Reszta mówi, że ma za ciężką głowę... Będą mu towarzyszyć Hideous i Uggly, nasi uroczy Dupont i Dupond rodzaju psiego... Proszę... Oto oni... Dalej Nelson w towarzystwie swej pani, a za nimi Nedra, która dzieli z nim uwielbienie do jednej i tej samej Alice...

Otworzyły się drzwi pracowni.

- Mówiłam panu... Czas na młodzież... To chodzące żołądki, do których nie dociera nic prócz dźwięku dzwonka na posiłek. Trzy wózki z supermarketu raz na dwa tygodnie,

Charles... Trzy wypełnione po brzegi wózki! Z nimi przyczłapią Ramon, Kapitan Haddock, a orszak zamknie koza... Całe towarzystwo przybiegnie na wieczorną marchewkę... Tak, marchewkę... - Westchnęła. - W naszym domu mamy pełno idiotycznych rytuałów, takich jak ten... Zajęło mi to trochę czasu, ale pewnego dnia zrozumiałam, że idiotyczne rytuały pomagają żyć...

Później zjawia się ostatnie psy, które włóczą się jeszcze tu i ówdzie... szczeniak, o którym panu opowiadałam i który wyrósł na pięknego... eee... na coś w rodzaju bassetta, ma uszy zadziwiającej długości... i *last but not least* nasz drogi Freaky, który w poprzednim życiu był bez wątpienia pupilkiem Frankensteina... Zauważył go pan?

- Nie - odezwał się Charles ze swej łóżki, z dłonią przy oczach i z uśmiechem na ustach. - Nie sądzę...

- Zobacz pan, to grubasek cały w bliznach, ze źle zrośniętym uchem i wybaluszonymi oczami...

Milczenie.

- Po co? - spytał.

- Co: po co?

- Te wszystkie zwierzęta?

- Pomagają mi. Pokazała palcem wzgórze.

- Nadchodzą... Mój Boże... Jest ich jeszcze więcej, niż sądziłam... A tam, całkiem nisko, tuż przy sosnach, nie wiem, czy je pan dostrzega... Nasze duże dżokejki... Harriet i jej koleżanka Camille na kucykach, które kłusują szybko jak nigdy. Zostaną dla nich jakieś marchewki???

Defilada, która nastąpiła potem, potwierdziła jej słowa w stu procentach. Dziedziniec wkrótce wypełniły okrzyki, kurz i paplanina.

Kate kątem oka obserwowała reakcję swego gościa.

- Od jakiegoś czasu próbuję postawić się w pana sytuacji - wyznała mu w końcu. - Zastanawiam się: Co on o tym wszystkim myśli? Że trafił do jakiegoś domu wariatów?

Nie. Myślał o kontraście między aktualnym poruszeniem a jego męczącym miotaniem się na korytarzu...

Miał wrażenie, że ostatnimi czasy spędza życie na rozmawianiu z maszynami...

- Nie odpowiedział mi pan...

- Niech pani nie próbuje stawiać się w mojej sytuacji - zażartował z nutką goryczy w głosie. - Jest znacznie bardziej...

- Bardziej jaka?

Noskiem buta rysował na żwirku łuki i okręgi.

- Mniej życiowa.

Nagle naszła go wielka ochota, żeby porozmawiać o Anouk.

- Do stołu! - krzyknęła Kate, wstając. Wykorzystał jej nieobecność, żeby zapytać Yacine'a:

- Powiedz... jak nazywają się małe sowy?

- Sowusie - uśmiechnęła się Alice. Yacine był załamany.

- Hej! Nic się nie stało, że nie wiesz... - uspokoił go Charles.

A jednak. Coś się stało.

- Wiem, że mówi się „młode” o ptakach, które nie są jeszcze dorosłe, ale sowy, yyy...

- A małe wielbłądy? - rzucił Charles na chybił trafił, żeby mu podać pomocną dłoń.

Szeroki uśmiech.

- Wielbłądzięta. Uf.

To znaczy „uf... Tak się tylko mówi... Dzieciak nie odpuszczał przez sporą część kolacji. Kocięta, szczenięta, gęsięta, cieleta, orleeta, strusięta, wiercipięta, bawoleta, ośleeta, kaczęta, źrebięta, goryleeta i żyrafięta... Nie. Przepraszam. Żyrafki.

Kate siedziała na drugim końcu stołu, patrzyła, jak Charles gorliwie kiwa głową, i bawiła się *very much*.

Jedli w cieniu listowia i było ich dwanaścioro. Wszyscy mówili jednocześnie. Chleb i korniszony podróżowały z miejsca na miejsce, opowiadano sobie anegdoty z dzisiejszego festynu.

Kto co wygrał, jak oszukiwał syn nauczycielki i po ilu kieliszkach stary Jalet zasnął na kontuarze bufetu.

Starsi chcieli spać pod gołym niebem, a młodszy zapewniali, że oni też są starsi. Charles jedną ręką napełniał kieliszek Kate, drugą odpychał pysk czegoś, co śliniło mu się na ramieniu... Kieliszek Kate, która grzmiała: „*For Christ sake! Przestańcie karmić psy!*” i której nikt nie słuchał, bo mówiła po chińsku. Kate, która w końcu wzdychała i ukradkiem rzucała kanapki z pasztetem swojemu Dużemu Psu.

Do deseru zapalono pochodnie i świece. Samuel i jego banda sprzątnęli ze stołu i poszli po niesprzedane ciasta. Było trochę kłótni. Nikt nie chciał tarty pani Takiejowakiej, bo pani Takaowaka nieładnie pachnie. Młodzież, obmacując schowane w rękawach ekrany telefonów komórkowych najnowszej generacji, gadała o dobrych miejscach na ryby, o problemach z cieleniem się krów i o nowej sieczkarni państwa Gagnoux. Jedna z ładnych dziewczyn miała na sobie biały podkoszulek, na którym ktoś w miejscu lewej piersi narysował czarną kropkę i strzałkę z ostrzeżeniem „dystrybutor klapsów”, i maszyna działała raczej dobrze.

Yacine zastanawiał się na głos, czy należy mówić „wielorybię”, czy „wielorybiątko”, Nedra kontemplowała płomień świecy, a Charles kontemplował Nedrę.

De La Tour...

Autostopowiczki ruszyły na poszukiwanie miejsca „z zasięgiem”, a Alice robiła biedronki z wosku i ziarenek pieprzu z kielbasy.

Pomiędzy jednym rozbłyskiem głosu a drugim słysząc było wiatr i młodzieńcze pokrzykiwania.

Charles z napiętą uwagą chłonał wszystko na potem.

Ich psoty, śmiechy, ich twarze.

Tę wysepkę pośrodku nocy.

Nie chciał o niczym zapomnieć.

Powstrzymała go, kładąc mu dłoń na rękawie.

- Nie, proszę nie wstawać... Teraz dzieci trochę popracują... Chce pan kawy?

Alice powiedziała, że mu ją przygotuje, Nedra przyniosła cukier, a reszta wyjęła z ziemi pochodnie, żeby odprowadzić zwierzęta na łąkę.

To była wesoła kolacja, pełna efemeryd.

Znów zostali sami.

Kate wzięła kieliszek i odwróciła swoje krzesło przodem do ciemności. Charles przesiadł się na miejsce Alice. Chciał obejrzeć jej małe figurki... Pokręcił się, poszukał papierosów, poczęstował Kate.

- To straszne - jęknęła. - Z ogromną chęcią zapaliłabym z panem, ale z tak wielkim trudem się od tego uwolniłam...

- Kate, zostały mi tylko dwa. Wypalmy razem po ostatnim-ostatnim i nie rozmawiajmy o tym więcej.

Kate potoczyła na wszystkie strony zaniepokojonym spojrzeniem.

- Są dzieci?

- Nie widzę żadnego.

- Dobra... Super. Zaciągnęła się i zamknęła oczy.

- Już zapomniałam...

Wymienili uśmiechy i truli się z namaszczeniem.

- To z powodu Alice - oświadczyła. Spuściła głowę i zniżyła głos:

- Byłam w kuchni. Dzieci spały od dawna. Paliłam papierosa za papierosem i... piłam w samotności, że powtórzę słowa mamy Alexisa...

Alice przyszła, popłakując. Bolał ją brzuch. W tamtym czasie wszystkich nas mniej lub bardziej bolał brzuch, jak sądzę... Chciała przytulania, pieszczot, pocieszenia, wszystkiego, czego ja nie potrafiłam już jej dać... Zdołała jednak się na mnie wdrapać i wślizgnęła mi się na kolana.

Zaczęła ssać kciuk i chociaż szukałam, nie znalazłam niczego, co mogłoby ją uspokoić albo pomóc jej zasnąć. Ja... Niczego.

Zamiast tego patrzyliśmy w ogień.

Po upływie bardzo długiej chwili spytała mnie: Co to znaczy „przedwcześnie”?

Wcześniej, niż to było przewidziane - odpowiedziałam. Znowu zamilkła i znów się odezwała: Kto się nami zajmie, kiedy umrzesz przedwcześnie?

Pochyliłam się ku niej i dotarło do mnie, że położyłam jej na kolanach swoją paczkę cravenów.

I że ona niedawno nauczyła się czytać...

Co można na to odpowiedzieć?

„Wrzuc je do ognia”.

Patrzyłam, jak kartonik wygina się i znika, i zaczęłam płakać.

Naprawdę, zdawało mi się, że właśnie tracę ostatnią podporę... O wiele później zaniósłam ją do łóżka i wróciłam biegiem. Dlaczego biegiem? Żeby grzebać w popiele, tak!

Byłam już *down* i to dzikie odstawienie pograżyło mnie jeszcze bardziej... Nienawidziłam wtedy tego zimnego, smutnego domu, który zabrał mi wszystko, ale doceniałam go za jedną zaletę: najbliższy kiosk z papierosami był oddalony o sześć kilometrów i kończył pracę o osiemnastej...

Rozgniotła niedopałek na ziemi, położyła go na stole i naląła sobie wody do szklanki.

Charles nic nie mówił. Mieli przed sobą całą noc.

- To są dzieci mojej sio... - Głos jej się załamał. - Przepraszam... mojej siostry i... Och - skarciła się - właśnie dlatego nie chciałam pana zapraszać na kolację.

Poderwał się.

- Bo gdy wczoraj wieczorem przyjechał pan tu z Lucasem, pomimo tych wszystkich ran, a może z ich powodu, zobaczyłam to w pańskich oczach i...

- I? - podjął, nieco zaniepokojony.

- I wiedziałam, że to się stanie... Wiedziałam, że zjemy kolację przy tym stole, że dzieci się rozpierzchną, że zostaniemy sami i opowiem panu to, czego nigdy nikomu nie mówiłam... Czuję się zmieszana, wyznając to panu, panie Charles'u Nieznany, ale wiedziałam, że padnie na pana... Tak jak panu powiedziałam niedawno, w siodlarzni... przybywają tu różne wycieczki, ale pan jest pierwszą cywilizowaną osobą, która zapuściła się aż do kurnika, i jeśli chce pan wiedzieć wszystko, już... straciłam na pana nadzieję.

Dość nieudana próba uśmiechu.

Ciągle ten problem ze słowami, cholera. Charles nigdy nie miał w pogotowia tych, co trzeba. Gdyby choć obrus był papierowy, mógłby jej coś naszkicować. Linię zbiegu albo horyzont, pomysł perspektywy albo choćby znak zapytania, ale mówić, mój Boże... Co powiedzieć słowami?

- Może pan jeszcze wstać, wie pan? - dodała. Tym razem uśmiech się udał.

- Pani siostra - szepnął.

- Moja siostra była... Dobra, niech pan posłucha. - Przybrała pogodniejszy ton. - Rozplączę się od razu, przynajmniej będziemy to mieli za sobą.

Pociągnęła za rękaw swetra, jakby rozkładała chusteczkę.

- Moja siostra, moja jedyna siostra, miała na imię Ellen. Była pięć lat ode mnie starsza i była... cudowną dziewczyną. Piękną, zabawną, promienną... Nie mówię tak dlatego, że to była ona, mówię tak dlatego, że to była ona. Była moją przyjaciółką, chyba jedyną, i kimś jeszcze ważniejszym... Dużo się mną zajmowała, gdy byliśmy dziećmi. Pisała do mnie listy, kiedy mieszkałam w internacie, i nawet gdy była już mężatką, dzwoniłyśmy do siebie niemal codziennie. Rzadko trwało to dłużej niż dwadzieścia sekund, bo dzielił nas zawsze ocean albo dwa kontynenty, ale dwadzieścia sekund, jak najbardziej.

A przecież byliśmy bardzo różne. Jak w powieściach Jane Austen, wie pan... Duża rozważna i mała romantyczna... Była moją Jane i moją Elinor, była spokojna, ja byłam niesforna. Była słodka, ja byłam trudna. Pragnęła rodziny, ja - kolejnych misji. Czekwała na dzieci, ja - na wizy. Była wspaniałomyślna, ja - ambitna. Słuchała ludzi. Ja - nigdy... Tak jak teraz... I ponieważ była doskonała, ja miałam pretekst, żeby taką nie być... To ona była ostoją, i to solidną ostoją, więc ja mogłam chodzić swoimi ścieżkami... Wiedziałam, że rodzina będzie się trzymać...

Zawsze mnie wspierała, dodawała mi odwagi, pomagała, kochała. Nasi rodzice byli uroczy, ale całkiem nieżyciowi, to ona mnie wychowała.

Ellen...

Dawno już nie wymawiałam na głos jej imienia... Milczenie.

- I choć w tamtym czasie byłam bardzo cyniczna - ciągnęła Kate - musiałam przyznać, że *happy ends* nie są wyłączną domeną wiktoriańskich powieści... Poślubiła swoją pierwszą miłość i pierwsza miłość spełniła jej oczekiwania... Pierre Ravennes... Francuz... Uroczy facet. I równie wspaniałomyślny... Określenie *beau-frère* pasowało do niego znacznie lepiej niż *brother-in-law*. Bardzo go kochałam i prawo nie miało tu nic do rzeczy. Był jedynakiem,

dużo z tego powodu wycierpiał. Nawiasem mówiąc, został położnikiem... Tak, to był taki facet... Wiedział, czego chce... Myślę, że zachwyliłaby go taka kolacja jak dziś... Mówił, że chciałby mieć siedmioro dzieci, i nigdy nie było wiadomo, czy żartuje. Urodził się Samuel... Jestem jego matką chrzestną... Potem Alice i Harriet. Nie widywałam się z nimi często, ale zawsze robiła na mnie wrażenie atmosfera panująca w ich domu. To było... Zna pan Roalda Dahla? Przytaknął.

- Uwielbiam tego człowieka... Pod koniec książki *Danny mistrz świata* jest odezwa do młodego czytelnika, która brzmi mniej więcej tak: Gdy będziecie już duzi, proszę, nie zapominajcie, że dzieci zasługują na rodziców, którzy są *sparky*.

Nie wiem, jak to przetłumaczyć... Błyskotliwi? Zabawni? Musujący? Dynamiczni? Może szampańscy... Wiem jednak, że ich rodzina była po stokroć *sparky*... Byłam oczarowana i jednocześnie nieco *confused*, mówiłam sobie, że nigdy nie będę w stanie czegoś takiego dokonać. Że nie mam w sobie tej wspaniałomyślności, radości i cierpliwości, niezbędnych, by uszczęśliwić dzieci...

Świetnie pamiętam, że mówiłam sobie dla żartu i aby się pocieszyć: Jeżeli kiedyś będę mieć dzieci, oddam je Ellen... a potem...

Smutny grymas.

Charles miał ochotę dotknąć jej ręki albo ramienia. Ale nie śmiał.

- A teraz proszę... Teraz to ja czytam im książki Roalda Dahla.

Wyjął jej kieliszek z rąk, napełnił, podał.

- Dziękuję.

Długie milczenie.

Śmiechy i gitarowe akordy, które słyhać było w oddali, dodały jej odwagi. Znow zaczęła mówić.

- Pewnego dnia przyjechałam z krótką wizytą... Na urodziny mojego chrześniaka, właśnie... Mieszkałam wtedy w Stanach, dużo pracowałam i nie miałam jeszcze okazji zobaczyć ich najmłodszej córki... Byłam u nich już kilka dni, gdy zapowiedział swój przyjazd ojciec Pierre'a. Louis, ten od koszuli... To była szalona, wyrazista, zabawna postać. Koncentrat *sparky* w czystej postaci... Handlarz winem, który lubił pić, jeść, śmiać się, podrzucać ukochane dzieci pod sufit, łapać je za stopy i przytulać do grubego brzucha.

Był wdowcem, uwielbiał Ellen, i myślę, że poślubiła go na równi z jego synem... Trzeba dodać, że gdy pojawiłyśmy się na świecie, nasz ojciec był już starszym panem... Profesorem greki i łaciny na uniwersytecie... Był miły, ale dość... odległy... Lepiej czuł się w towarzystwie Pliniusza Starszego niż własnych córek... Gdy Louis wyraził, że u nich jestem i mogłabym zostać z dziećmi, zaczął błagać Pierre'a i Ellen, żeby pojechali z nim odwiedzić jakąś piwnicę w Burgundii czy coś. Jedźcie ze mną - nalegał - dobrze wam to zrobi... Dawno już nigdzie nie wyjeżdżaliście! Proszę, jedźcie... Zwiedzimy piękną posiadłość, zjemy dobrą kolację, wyśpimy się w świetnym hotelu i jutro po południu będziemy z powrotem... Pierre! Zrób to dla Ellen! Oderwij ją na chwilę od zupek-kupek!

Ellen się wahała... Chyba wcale nie miała ochoty się ze mną rozstawać... I tu powiem panu, Charles, że życie bywa głupią dziwką bo to ja nalegałam, żeby pojechała. Czułam, że ta przejażdżka bardzo cieszy Pierre'a i jego ojca... Jedź, mówiłam jej, zjedz dobrą kolację i wyśpij się w łóżu z baldachimem, *we'll be fine*.

Powiedziała „zgoda”, ale wiedziałam, że się zmusza. Że jak zwykle dba o potrzeby innych, nie o swoje...

Wszystko działo się tak szybko. Dzieciom, które oglądały właśnie bajkę w telewizji, postanowiliśmy nic nie mówić, żeby nie prowokować niepotrzebnych scen. Myślałam: gdy Mowgli odnajdzie drogę do wioski, powiem im, że mama wróci jutro, i tyle.

*Auntie* Kate czuła, że jest zdolna wziąć to na siebie. *Auntie* Kate jeszcze nie wyjęła wszystkich prezentów z torby podróźnej... Milczenie.

- Tylko że mama nigdy nie wróciła. Ani tata. Ani dziadek.

- W środku nocy zadzwonił telefon, jakiś głos, twardo wymawiając „r”, spytał mnie, czy łączą mnie więzi rodzinne z Rravennes Louistem, Rravennes Pierre'em albo Szerrajngton Elin. Jestem jej siostrą, odpowiedziałam, więc przekazano słuchawkę komuś wyższemu stopniem i ten wyższy stopniem miał do wykonania najgorszą robotę.

Czy kierowca za dużo wypił? Zdrzemnął się? To wykaże śledztwo, pewne jest jednak, że jechał o wiele za szybko i że tamten drugi, szofer ciężarówki wiozącej maszyny rolnicze, powinien był przepisowo zjechać na pobocze i włączyć światła awaryjne, zanim się poszedł wysikać.

Nim zapał rozporek, nie było już czego zbierać ze „sparkych” za jego plecami.

Kate wstała. Przeciągnęła krzesło bliżej psa, zdjęła buty i wsunęła stopy pod jego bezwładny bok.

Do tej pory Charles jakoś się trzymał, ale widok tego zwierzaka, który nie był już w stanie poruszyć ogonem, patrzącego na nią poważnie i z wdzięcznością, że może się jeszcze na coś przydać, rozkleił go do szcztetu.

Nie miał więcej papierosów.

Przyłożył dłoń do posiniaczonego policzka.

Dlaczego życie obchodzi się tak okrutnie z tymi, którzy służą mu najbardziej lojalnie? Dlaczego?

Czemu właśnie z tymi?

Miał szczęście. Musiał czekać czterdzieści siedem lat, żeby zrozumieć, co tak naprawdę celebrowała Anouk, gdy posyłała wszystko do diabła, mówiąc: Najważniejsze, że żyjemy.

Mandaty, ich złe stopnie, odcięty telefon, znowu zepsuty samochód, problemy z pieniędzmi i szaleństwo świata.

Wtedy wydawało mu się, że to jest trochę pójście na łatwiznę, a nawet tchórzostwo, jak gdyby to proste słówko miało usprawiedliwiać wszelkie słabości.

„Żyjemy”.

No jasne. I co jeszcze? Zresztą to się wcale nie liczyło. Naprawdę go tym wkurzała.

- Ellen i jej teść zginęli na miejscu. Pierre, który siedział z tyłu, zczekał, aż odwiozą go do szpitala w Dijon, i pożegnał się ze światem otoczony kolegami po fachu... Nieraz miałam już okazję (grymas) relacjonować fakty, zdaje pan sobie sprawę... Ale tak naprawdę nigdy niczego nie powiedziałam.

- Nadal pan tu jest, Charles?... Należę panu, mogę? Pokiwał głową. Był zbyt poruszony i wolał się nie odzywać. Nie chciał, by usłyszała jego głos.

Minęło kilka minut. Już myślał, że zrezygnowała.

- Wie pan, jak człowiek słyszy coś takiego, to nie wierzy, wydaje mu się to całkiem bez sensu, myśli, że to jakiś zły sen. Wraca do łóżka.

Oczywiście nie może spać i przez resztę nocy czuwa, ogłupiały, i gapi się na telefon w nadziei, że kapitan Jakiśtam zaraz zadzwoni i przeprosi. Prrrroszę posłuchać, źle zidentyfikowaliśmy ciała... Ale nie, Ziemia kręci się dalej. Meble w salonie wróciły na miejsce i nowy dzień atakuje znienacka.

Dochodzi szósta, a ty, kobieto, ruszasz na obchód mieszkania, żeby ocenić zasięg dramatu. W niebieskim pokoiku Samuel, od wczoraj sześćoletni, *teddy bear* przy czole i otwarte dłonie. W pokoiku różowym Alice, trzy i pół roku, już wtedy przyssana do kciuka... I, przy łóżku rodziców, Harriet, osiem miesięcy, która otwiera szeroko oczy, gdy się pochylasz nad jej kołyską, i która, dobrze to widać, jest, już teraz, nieco zawiedziona, że zamiast twarzy mamy widzi jakąś inną twarz...

Bierzesz to dziecko na ręce i zamykasz drzwi do innych pokoi, bo mała zaczyna gaworzyć, a ty, prawdę mówiąc, nie masz ochoty, żeby reszta obudziła się zbyt wcześnie... Gratulujesz sobie, że zapamiętałaś ilość miarek mleka w proszku, siadasz w fotelu przy oknie, bo przecież w końcu i tak trzeba będzie stawić czoło temu kurewskiemu porankowi, więc lepiej, żeby rozpląnął się w oczach pijącego mleko niemowlęcia, a ty... ty nie płaczesz, jesteś w stanie...

- Szoku - mruknął Charles.

- *Right. Numb.* Przytulasz małą, żeby się jej odbiło, i sprawiasz jej ból, bo trzymasz się dziecka tak mocno, jak gdyby to ciche *bee*... było najważniejszą rzeczą na świecie. Jedyną, jakiej jeszcze się można uczeplić. Przepraszam, mówisz jej, przepraszam... I kołyszysz się z nosem wtulonym w jej szyjkę.

Przypominasz sobie, że jutro odlatuje twój samolot, że dopiero co otrzymałaś stypendium, na które czekałaś od dawna, że masz narzeczonego, który właśnie zasnął tysiące kilometrów stąd, że macie w planach *garden party* u Millerów w przyszły weekend, że twój ojciec skończy wkrótce siedemdziesiąt trzy lata, że matka, ten niekonsekwentny ptaszek, nigdy nie potrafiła zająć się nawet samą sobą, że... na horyzoncie nikogo nie ma. Lecz przede wszystkim - i to jeszcze do ciebie nie dociera - że już nigdy nie zobaczysz Ellen.

Wiesz, że trzeba zadzwonić do rodziców, choćby dlatego, że ktoś musi tam pojechać. Odpowiedzieć na pytania, zaczekać, aż otworzą worki, podpisać papiery. Myślisz: *Dad* nie może tam pojechać, on jest... niedostosowany do tego typu sytuacji, a mama... Patrzysz na ludzi, którzy chodzą po ulicy wielkimi krokami, i masz im za złe ich egoizm. Dokąd oni tak idą? Dlaczego zachowują się, jakby nic się nie stało? Z letargu wyrывa cię Alice i pierwsze, o co pyta, to: Mama już wróciła?

Robisz drugą butelkę mleka, sadzasz ją przed telewizorem, błogosławiąc serial *Sylwester i Tweety*. Zresztą oglądasz to razem z nią. Przychodzi Samuel, wtula się w ciebie, mówi: To głupie, i tak zawsze wygrywa Tweety. Zgadzasz się z nim. To wręcz idiotyczne... Siedzisz z nimi przed telewizorem do oporu, aż wreszcie przychodzi moment, w którym nie ma już nic do obejrzenia... Obiecałaś dzień wcześniej, że zabierzesz ich do Ogrodu Luksemburskiego, więc trzeba się chyba ubrać, co?

Samuel pokazuje ci, gdzie się wynosi śmiecie i jak się ustawia oparcie w spacerówce. Patrzysz na niego i czujesz, że ten mały chłopiec dopiero zaczyna uczyć cię życia...

Idziesz ulicą i niczego nie rozpoznajesz, naprawdę powinieneś zadzwonić do rodziców, ale nie możesz się na to zdobyć. Nie ze względu na nich, dla siebie. Im dłużej o tym nie mówisz, tym dłużej oni żyją. Żandarm zawsze jeszcze może zadzwonić i przeprosić.

Przecież jest niedziela. A niedziela się nie liczy. To jest dzień, w którym nic się nie dzieje. Albo człowiek spędza czas z rodziną.

Woliery nad stawem, karuzele, huśtawki, kukielki - wszystko jest dobre. Jakiś duży chłopak posadził Samuela na grzbiecie osła. Mały rozpromienia się w uśmiechu. Nie możesz tego wiedzieć, ale to jest początek wielkiej fascynacji, która dziesięć lat później zaprowadzi nas aż na konkurs zaprzęgów w Meyrieux-sur-Lance...



Uśmiechnęła się.

Charles - nie.

- Później prowadzisz ich na frytki do Quicka na rue Soufflot i przez całe popołudnie pozwalasz bawić się w basenie z kulkami.

Siedzisz. Nie tknąłeś jedzenia. Patrzysz na nich.

Dwójka dzieci bawi się wariacko w sali zabaw paryskiego fast foodu, jest kwietniowy poranek, a reszta nie ma znaczenia.

W drodze powrotnej Samuel pyta, czy rodzice już będą, gdy wrócimy, i ponieważ jesteś tchórzem, odpowiadasz, że nie wiesz. Jak ktoś, kto nigdy nie miał dzieci, zastanawiasz się, czy poinformować ich o tym „na żywo”, czy tworzyć coś w rodzaju... dramatycznej progresji, żeby im umożliwić oswojenie się z najgorszym. Powiedzieć najpierw, że rodzice mieli wypadek, dać im podwieczorek, następnie oświadczyć, że rodzice są w szpitalu, przygotować kąpiel, dodać, że wypadek był dość poważny i... Pan na moim miejscu powiedziałby im natychmiast, ale to, niestety, byłam ja. Nagle zaczynasz żałować, że nie jesteś akurat w *States*, tam od razu znalazłbyś numer jakiejś *helpline* i jakąś bardzo pewną siebie psycholog, która by ci pomogła przez telefon. Jesteś zmieszany i żeby zyskać na czasie, długo oglądasz wystawę sklepu z zabawkami na rogu rue de Rennes...

Gdy otwierasz drzwi mieszkania, Samuel podbiega do migającego przycisku automatycznej sekretarki. Nie zauważasz tego, bo właśnie walczysz z miniaturowym płaszczkiem Harriet, i teraz spoza paplaniny Alice, która otwiera w przedpokoju swojego danonka, dociera do ciebie głos kapitana.

Wcale cię nie przeprasza. Raczej ochrzania. Nie rozumie, dlaczego do niego nie zadzwoniłeś, i prosi o zainotowanie numeru komisariatu i adresu szpitala, w którym znajdują się ciała. Pozdrowia cię niezręcznie i powtórnie prosi o przyjęcie kondolencji.

Samuel patrzy na ciebie, a ty... ty patrzysz w inną stronę... Z Harriet przyciśniętą do biodra, pomagasz jej starszej siostrze nieść podwieczorek i gdy wkładasz małą do kojca, zza twoich pleców odzywa się głosik: Czyje ciała?

Więc idziesz z nim do jego pokoju i odpowiadasz na pytanie. Słucha cię uważnie, i jesteś zdumiona jego... *self-control*, i zaraz, on też, wraca do swoich samochodzików.

Nie możesz się nadziwić, czujesz ulgę i jednocześnie wydaje ci się to bardzo... *fishy*... Cóż, wszystko w swoim czasie. Na razie niech się bawi, niech się bawi... Ale gdy wychodzisz z jego pokoju, pyta cię, pomiędzy jednym brum-brum a drugim: Zgoda, już nigdy nie wrócą, ale w takim razie do kiedy ich nie będzie?

Więc uciekasz na balkon i zastanawiasz się, gdzie w tym domu są mocne alkohole. Bierzesz telefon ze stolika i nadal ukryty na balkonie dzwonisz najpierw do ukochanego. Chyba go obudziłaś, wyluszczasz mu chłodno całą sytuację, a on na drugim brzegu ciszy długiej jak... Atlantyk mówi coś, co ostatecznie doprowadza cię do rozpacz: *Ohm honey... I feel so terrible sorry for you but... when are you coming back?* Odkładasz słuchawkę i nareszcie zaczynasz płakać.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułeś się równie samotny, a to, rzecz jasna, dopiero początek.

W tego typu sytuacjach dzwoniłeś zawsze do Ellen...

- Charles?

- Tak?

- Nudzę pana?

- Nie.

- Mówiłam o mocnym alkoholu... Lubi pan whisky? Proszę sekundkę poczekać...

Pokazała mu butelkę.

- Wiedział pan, że jedna z najlepszych whisky świata nazywa się Port Ellen?

- Nie. Ja nic nie wiem, sama pani mówiła.

- Bardzo trudna do zdobycia... Gorzelnię zamknięto jakieś dwadzieścia pięć lat temu...

- Więc niech ją pani trzyma! - zaprotestował.

- Nie. Cieszę się, że będę ją mogła wypić z panem. Zobacz pan, jest niezwykła. Prezent od Louisa, nawiasem mówiąc... Jedna z niewielu rzeczy, które przyjechały tu z nami... On lepiej niż ja opowiedziałby panu o nutach cytrusów, torfu, czekolady, drewna, kawy, orzecha i czego tam jeszcze, ale dla mnie to jest po prostu... Port Ellen... I najwspanialsze w niej jest to, że się uchowała! Kiedyś musiałam pić, żeby zasnąć, nie oglądałam zbyt uważnie etykiet... Ale trunku z tej butelki nigdy nie odważyłabym się użyć jako środka nasennego. Czekałam na pana.

- Żartuję - wytłumaczyła się, podając mu szklankę. - Niech mnie pan nie słucha. Co pan sobie o mnie pomyśli? Jestem żałosna.

I znów zabrakło mu odpowiednich słów. Ona wcale nie była żałosna, była... sam nie wiedział... kobietą z nutą drewna, soli i może czekolady...

- Dobrze, dokończę tę opowieść... Myślę, że najtrudniejsze za mną... Później trzeba było jakoś żyć i nieważne, co mówią inni - jest lżej, gdy musimy żyć. Zadzwoiłam do rodziców. Ojciec zasklepił się w milczeniu, *as usual*, a matka wpadła w histerię. Powierzyłam dzieci córce dozorczyńni, pożyczyłam samochód od siostry i pojechałam spotkać się z nią w piekle. Wszystko było strasznie skomplikowane... Nie wiedziałam, że śmierć jest aż tak skomplikowana... Zostałam tam dwa dni... W dołującym hotelu... To chyba właśnie tam zaczęłam naukę picia... W okolicach dworca w Dijon po północy łatwiej jest dostać butelkę J & B niż środki nasenne... Poszłam do zakładu pogrzebowego i tak wszystko zorganizowałam, żeby ciała zostały skremowane w Paryżu. Dlaczego kremacja? Chyba dlatego, że nie wiedziałam, gdzie zamieszkają dzieci... To idiotyczne, ale nie chciałam pochować rodziców z dala od dzie...

- To nie jest idiotyczne - przerwał jej Charles. Zaskoczył ją ton jego głosu.

- Louis został pochowany przy żonie, w okolicach Bordeaux. Gdzież by indziej? - uśmiechnęła się. - Ale Pierre i Ellen są tutaj.

Charles drgnął.

- W jednej z szop... W całym tym bałaganie... Myślę, że dzieci widziały ich tysiące razy, ani przez sekundę nie domyślając się, że... No, w każdym razie wrócimy do tematu, gdy trochę podrosną... To także jedna z tych rzeczy, które odkryłam... Co robić z naszymi zmarłymi? W teorii to takie proste... Uważa się, że pamięć o nich jest znacznie ważniejsza niż sposób, w jaki zostali pochowani, i to jest oczywiście racja, ale w praktyce, zwłaszcza gdy zmarli nie są tak naprawdę „twoi”, co robić? Dla mnie było to strasznie trudne, bo... Bo potrzebowałam znacznie więcej czasu od dzieci, żeby przejść żałobę... Teraz już go tu nie ma, ale przez długi czas w kuchni wisiało olbrzymie zdjęcie. Chciałam, żeby Pierre i Ellen uczestniczyli we wszystkich naszych posiłkach... Wszędzie stawiałam ich zdjęcia... Byłam opętana myślą, że dzieci mogą zapomnieć o swoich rodzicach... Teraz myślę, że musiała to być dla nich tortura... W salonie była półka, na której z namaszczeniem stawialiśmy wszystkie upominki wykonane w szkole na Dzień Matki. Któregoś roku Alice przyniosła... nie pamiętam... chyba jakąś szkatułkę... I oczywiście jak

wszystko, co robi Alice, to było prawdziwe cacko. Pogratulowałam jej i poszłam postawić szkatułkę na ołtarzyku. Nie odezwała się, ale gdy wyszłam, chwyciła ją i z całej siły rzuciła nią o ścianę. „Zrobiłam ją dla ciebie! - wrzeszczała. - Dla ciebie! Nie dla jakiejś zmarłej!” Pozbierałam skorupki i poszłam zabrać to zdjęcie z kuchni. Kolejny raz dzieci dały mi lekcję życia i chyba właśnie tamtego dnia wyszłam z mroku... Dobra, nie?

- Boska - odpowiedział Charles między jednym łykiem a drugim.

- Z tego samego powodu zawsze zakazywałam im nazywać mnie mamą i myślę, że wiele ich to kosztowało... Samuela może mniej, ale dziewczynki - tak... Zwłaszcza w szkole... Na boisku podczas przerw... Ale ja nie jestem waszą mamą, powtarzałam im, wasza mama była znacznie lepsza ode mnie... Często ją wspominałam... I Pierre'a też... Pierre'a, którego w sumie niewiele znałam... Aż wreszcie pewnego dnia pojęłam, że oni przestali mnie słuchać. Myślałam, że im pomagam, a to było po prostu... niezdrowe. To sobie tak naprawdę chciałam pomóc... Nad tą „mamą” zawisł cień, jak gdyby to był jakiś brzydki wyraz. To przecież szczyt, gdy się nad tym zastanowić... A jednak nie potrafię mieć do siebie o to żalu, ja... ja uwielbiałam siostrę... Nawet teraz nie ma dnia, żebym o niej nie mówiła. Wydaje mi się, że zachowywałam się tak, żeby... złożyć jej hołd... No, no - podniosła głowę. - Ale atmosfera...

Od wzgórza niosły się chichoty i pluski.

- Zanoszą się na kąpiel o północy... Wracając do opowieści, to Yacine, mędrzec Yacine sprawił, że się odprężyliśmy. Był u nas drugi dzień, nie odzywał się, wsłuchiwał we wszystkie nasze rozmowy, aż wreszcie przy stole, podczas kolacji, uderzył się w czoło: „Aaaach, już wieem... Już rozuuumiem... Po prostu Kate to po angielsku znaczy mama!” Spojrzeliśmy po sobie z uśmiechem: on wszystko zrozumiał...

- Ale na przykład facet, który zatrudnił mnie do pilnowania stanowiska z puszkami... powiedział o Samuełu „pani syn”...

- No, tak... Skąd mógł wiedzieć, że „pani syn” w języku mieszkańców Les Vesperies znaczy *your nephew*...  
Idziemy sprawdzić, co robią?

Jak zwykle towarzyszyło im kilka kundli wyrwanych cudem z rąk raka.

Kate, na bosaka, szła bardzo ostrożnie. Charles podał jej ramię.

Zapomniał o ranach i wyprężył się dumnie. Miał wrażenie, że eskortuje królową przez sam środek nocy.

- Nie będziemy im przeszkadzać? - zaniepokoił się.

- Akurat... Będą zachwyceni...

Starsi wygłupiali się radośnie na brzegu rzeki, a młodszy zabawiali się w przypiekanie cukierków nad ogniem.

Charles przyjął na wpół stopionego żelkowego krokodylka, podobnego nieco do tego, którego nosił na sercu.

Był obrzydliwy.

- Mmmmm... Przepyszny.

- Chcesz jeszcze jednego?

- Bez obraz, ale dzięki.

- Idziesz się wykąpać?

- Eeee...

Dziewczyny rozmawiały nieco dalej, a Nedra siedziała oparta o ramię Alice.

To dziecko rozmawiało tylko z płomieniami...

Kate domagała się serenady. Dyżurny muzyk ochoczo wykonał zlecenie.

Siedzieli wszyscy z podkulonymi nogami i Charles'owi zdawało się, że znów ma piętnaście lat.

I gęstą czuprynę. Myślał o Mathilde... Gdyby tu była, nauczyłaby go kawałków znacznie ciekawszych niż ta żmudna szarpanina. Myślał o Anouk, osamotnionej na tamtym gównianym cmentarzu, oddalonej setki kilometrów od wnuków. O Alexisie, który oddał duszę do przechowalni i musiał teraz „osiągać cele”, upłynniając chłodnie stołwkom w podprefekturach. Myślał o twarzy Sylvie. O tym, z jakim taktem i serdecznością opowiedziała mu o życiu, które przegapił... I znów o Anouk, za którą przyjechał aż tutaj i która byłaby taka szczęśliwa, mogąc wygłupiać się z dziećmi Ellen... Która pożerałaby kilogramy okropnych cukierków i dałaby się namówić na „numer cygański” - tańczyłaby wokół ogniska, klaszcząc w dłonie.

A może nawet o tej porze siedziałyby już w wodzie...

- Muszę się oprzeć o jakieś drzewo. - Skrzywił się, położywszy rękę na piersi.

- Jasne... Chodźmy tam. - Chwyciła po drodze pochodnię. - Boli pana, tak?

- Nigdy nie czułem się lepiej, Kate...

- Ale... co się panu właściwie przytrafiło?

- Wczoraj rano potrafił mnie samochód. Nic poważnego.

Wskazała mu dwa klubowe fotele obite korą i ustawiła lichtarz pod sufitem nieba.

- Dlaczego?

- Słucham?

- Dlaczego potrafił pana samochód?

- Bo... Długo by opowiadać... Najpierw chciałbym wysłuchać do końca pani historii. Następnym razem opowiem pani swoją.

- Nie będzie następnego razu, dobrze pan o tym wie... Charles odwrócił się do niej i...

- Dalej, wróćmy do naszej historii - wołał powiedzieć to niż jakąś deklarację, miękką jak żelki Haribo.

Usłyszał jej westchnienie.

- Opowiem ją pani, bo... Jestem dokładnie taki jak pani, ja...

Cholera, ciąg dalszy był... Kleił mu się do palców.

Przecież nie mógł jej wyznać, że stracił już na nią nadzieję. Ona powiedziała to, bo taki miała kaprys, tak jak opowiadała o kurniku, konkwistadorach i reszcie, tymczasem on... to było...

To nie były szklane paciorki...

- Co pan?

- Nic. Czekam na swoją kolej. Milczenie.

- Kate...

- Tak?

- Jestem bardzo szczęśliwy, że panią spotkałem... Bardzo, bardzo szczęśliwy...

- ...

- A teraz proszę mi opowiedzieć, co wydarzyło się pomiędzy krzykami pani mamy a dzisiejszym piknikiem...

- Hmm... Yacine! Chodź tu, chłopcze! Proszę cię, przynieś nam butelkę i dwa kieliszki, te, które stoją na stole.

I zwracając się do Charlesa:

- Proszę sobie niczego nie wyobrażać, posłuchałam jej.

- Kogo?

- Manouk. Nie piję w samotności. Po prostu potrzebuję port ellen, żeby doprowadzić pana aż tutaj... Czemu pan tak na mnie patrzy?

- Nie, nic... Jest pani prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która jej zaufała...

Zdyszany Yacine podał im kieliszki i pobiegł do swoich spraw.

- *So... Back to Hell...* Na drugi dzień przyjechali rodzice. Jeśli nawet dotąd dzieci nie zdawały sobie sprawy, że ich życie legło w gruzach, straszne miny *Granny* nie pozostawiły im nadziei... Przez jedną z przyjaciółek Ellen znalazłam im do pomocy au-pairkę i wróciłam na kampus w Ithaca.

- Była pani jeszcze studentką?

- Nie, jestem... to znaczy byłam... inżynierem agronomem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, matka nauczyła mnie ogrodnictwa. Ale ja chciałam ratować ludzkość! Nie chciałam dostać medalu na Chelsea Flower Show, chciałam rozwiązać raz a dobrze problem głodu na świecie! Cha, cha - dodała całkiem poważnie - kochana byłam, nie? Dużo pracowałam nad różnymi chorobami i... Później panu opowiem... Wtedy właśnie otrzymałam stypendium na badanie czarnych plamek na papai.

- Naprawdę? - Rozbawiło to Charlesa.

- Naprawdę. *Ring Spot Virus*... Ale cóż... Poradzono sobie beze mnie... Chociaż... Tego akurat panu nie pokazałam, ale mam takie małe laboratorium...

- Nie?!

- Tak... Teraz nie ratuję świata, pracuję nad roślinami, które pomogłyby bogatym ludziom żyć lepiej i dłużej... Powiedzmy, że opracowuję parafarmaceutyki na dobre samopoczucie... W tej chwili interesują mnie przede wszystkim właściwości cisu. Może pan słyszał o taksolu w cisie jako środka antynowotworowym? Nie? *Well*... To temat na inną dyskusję... Na razie jestem w służbowym mieszkanku z moim narzeczonym, który pyta mnie, czy zrobię sałatkę makaronową na grilla u Millerów.

*The situation was totally insane.* Co ja, do cholery, robiłabym u Millerów ze świadomością, że mam dwie urny na dnie szafy, troje sierot pod skrzydłami i rodziców wymagających pocieszenia? Nadeszła bardzo długa noc. Rozumiałam, słuchałam jego argumentów, ale cóż, było za późno... To ja zmusiłam Ellen, żeby pojechała spędzić miło czas, i wydawało mi się, że ponoszę... jak by to powiedzieć... po części... odpowiedzialność w całej tej aferze...

Haust torfowej pomógł jej przełknąć to słowo.

- Najgorsze, że my naprawdę się kochaliśmy, ten Matthew i ja... Chyba nawet planowaliśmy się pobrać... Cóż, są takie noce, gdy w ciągu kilku godzin znika całe życie... Miałam dobre podstawy, żeby to wiedzieć... Na drugi dzień obeszłam wszystkie biura i sumiennie się... *deleted*... Anulowałam, wykreśliłam, wymazałam z pamięci wielu kolegów i ze stosu papierów, które mi podawano, patrząc na mnie takim wzrokiem, jak gdybym była egoistyczną dziewczynką, niszczącą zabawki i niedotrzymującą obietnic.

Harowałam jak koń, żeby dojść tam, gdzie byłam, a odchodziłam z podkulonym ogonem, chyba nawet czułam się winna... Prosiłam ich o wybaczenie... W ciągu kilku godzin zostawiłam wszystko, co miałam: dziesięć lat studiów, przyjaciół, przybraną ojczyznę, swoje słabe szczepy, swoje DNA, papaje, a nawet kota...

Matt odprowadził mnie na lotnisko. To było potworne. Powiedziałam mu: Wiesz, jestem pewna, że w Europie też jest pełno pasjonujących projektów... Wykonujemy ten sam zawód... Pokiwał głową i wypowiedział zdanie, które prześladowało mnie bardzo długo: Myślisz tylko o sobie.

Plakałam, przechodząc przez bramkę. Ja, weteranka, która szlajała się po plantacjach całego świata, od tamtego dnia ani razu nie leciałam samolotem...

Zdarza mi się jeszcze o nim myśleć... Gdy tak tutaj siedzę w tej dziurze, w kaloszach, zmarznięta na kość, i patrzę, jak Sam trenuje osła, i mam przy sobie te swoje parszywe psy, starego René, który mówi w niezrozumiałym dialekcie, i wszystkie dzieciaki z wioski, które uwieszone drzwi sekundują każdemu piekącemu się ciastu, to czasem myślę o nim, o tym, co mi powiedział, i wielkie, wspaniałe *fuck you* rozgrzewa mi serce jeszcze skuteczniej niż moja gruba Aga...

- Kto to jest?

- Kuchenka... Pierwsza rzecz, jaką kupiłam, gdy tu przyjechałam... To było zresztą czyste szaleństwo... Władowałam w nią wszystkie swoje oszczędności... Ale moja *nanny* w Anglii taką miała i wiedziałam, że bez niej nie dam rady... Po francusku *cuisinière* to sprzęt i kobieta, która gotuje, i ta dwuznaczność zawsze wydawała mi się bardzo trafiona. Dla mnie, dla nas wszystkich, to jest ktoś żywy. To taka dobra, ciepła babcia, miła, zawsze bliska, a my bez przerwy tulimy się do jej spódnicy. Bardzo przydaje się na przykład ten dolny piekarnik po lewej...

Gdy dzieci śpią, a ja mam wszystkiego dość, siadam przy nim i wkładam stopy do środka. To jest... *lovely*... Dobrze, że nikt tu nas nigdy nie odwiedza... Kobieta ze stopami w piekarniku, mieliby o czym plotkować przez kilka sezonów! Tak, mieliśmy wtedy naprawdę zdezelowany samochód, ale ta niebieska aga wedgwood, która kosztowała mnie tyle co jaguar...

No dobrze... Wróćmy do naszych baranów... Naszych jagniątek, chciałoby się powiedzieć. Naszych jagniątek ofiarnych. Rodzice wyjechali, au-pairka dała mi do zrozumienia, że najtrudniejsza do opanowania była moja matka, i... I co?

I było bardzo ciężko...

Samuel znów zaczął moczyć się w nocy, Alice miała koszmary i bez przerwy pytała mnie, kiedy mama przestanie być nieżywa.

Zaprowadziłam ich do psychiatry dziecięcego, który powiedział mi: Proszę stale zadawać im pytania, dopytywać się, proszę ich skłaniać do werbalizacji cierpienia, a przede wszystkim, przede wszystkim nie może im pani pozwalać, żeby z panią spali. Mówiłam: tak, tak, i po trzech sesjach dałam sobie spokój.

Nigdy im nie zadawałam pytań, za to zostałam największą specjalistką od playmobila, od lego i od naklejek z całego świata. Zamknęłam drzwi do sypialni Pierre'a i Ellen i spaliśmy wszyscy razem w pokoju Samuela. Trzy materace na podłodze... To jest podobno karygodne, ale według mnie niezwykle skuteczne. Żadnych koszmarów, żadnego sikania, za to mnóstwo opowieści przed snem... Wiedziałam, że Ellen rozmawiała z nimi po francusku, ale Enid Blyton, Beatrix Potter i wszystkie książki naszego dzieciństwa czytała im po angielsku, i przejęłam to po niej.

Nie skłaniałam ich do „werbalizacji cierpienia”, ale Samuel często mnie poprawiał i wyjaśniał, jak mama czytała ten czy inny fragment, albo mówił, że udawała głos zagniewanego pana MacGregora czy Kubusia Puchatka znacznie lepiej niż ja... Do dziś czytam Yacine'owi i Ndrze *Olivera Twista* w oryginale. Co nie zmienia faktu, że w szkole dostają najgorsze oceny, zapewniam pana!

Aż wreszcie nadszedł pierwszy Dzień Matki... Pierwszy z długiej serii, która zawsze wytrąca nas nieco z równowagi... A później poszłam do pań w przedszkolu i poprosiłam, żeby dały sobie spokój z tą cholerną „porą mamuś”... Alice opowiedziała mi o tym któregoś wieczoru... Że za każdym razem płacze... „A teraz, dzieci, zakładamy kurteczki, bo za chwilę będzie pora mamuś!” Spytałam je, czy mogą dodawać „i cioc”, ale to się nigdy nie przyjęło...

Ach! Grono pedagogiczne... To są moje wiatraki... Czy uwierzy pan, że Yacine jest najgorszym uczniem w klasie?

On? Najbardziej błyskotliwy i ciekawski chłopiec, jakiego w życiu spotkałam? A wszystko dlatego, że nie potrafi prawidłowo trzymać ołówka... Przypuszczam, że nikt nigdy nie uczył go pisać... Próbowałam, ale nic z tego, stara się, ale pisze całkiem nieczytelnie. Kilka miesięcy temu miał przygotować informacje o Pompejach. Siedział nad tym strasznie długo, wyszło wspaniale. Lucy wykonała ilustracje, zrobiliśmy nawet na kuchennym stole kilka kopii odlewów. Wszyscy się zaangażowaliśmy... No i dostał dziesięć punktów na dwadzieścia możliwych, ponieważ pani wyraźnie powiedziała, że teksty mają być napisane ręcznie. Poszłam i zapewniłam ją, że wszystkie wystukał własnoręcznie, a ona odpowiedziała mi na to, że nie może być traktowany „inaczej niż reszta”...

Inaczej niż reszta...

Nienawidzę tego powiedzenia.

Rzygam nim.

Od dziewięciu lat żyjemy inaczej niż reszta. Czym więc jest nasze życie? Katastrofą? Radosną katastrofą...

Teraz się powstrzymuję, bo niedługo do szkoły pójdzie Nedra, ale gdy tylko skończy podstawówkę, pójdę do tej nauczycielki i powiem: „Droga pani Christèle P., jest pani straszną kretynką”. Tak, jestem wulgarna, ale nie mam czego żałować, bo dostałam za to wspaniałą nagrodę...

Opowiadałam to już nie pamiętam komu, mówiłam, że któregoś dnia przygadam tej głupiej krowie, a Samuel, który akurat był tu z kolegami, westchnął głęboko i powiedział: „Moja prawdziwa matka nigdy by tego nie zrobiła...” To była wspaniała nagroda, bo ostatnio nie mam z nim najłatwiej... Przypuszczam, że to klasyczny kryzys wieku dojrzewania, ale w naszym przypadku sprawa jest bardziej skomplikowana... Nigdy wcześniej aż tak nie tęsknił za rodzicami... Nosi już tylko ubrania po ojcu, po dziadku, no więc oczywiście... ciocia Kate ze swoimi ciastami i marchewkami wydawanymi przez okno przestała być dla niego wystarczającym autorytetem... Na szczęście owo czule wypowiedziane zdanko przypomniało mi, że ten niewdzięczny, leniwy, przyszczaty darmozjad ma nadal poczucie humoru... Ale cóż, nie odwiódł mnie od mojego zamiaru. Jeszcze sobie poużywam na tej kretynce! Śmiechy.

- Ale jak to się stało, że wylądowaliście tutaj?

- Zaraz do tego dojdę... Niech mi pan poda swój kieliszek.

Charles był pijany. Pijany opowieścią.

- Więc robiłam, co mogłam... Byłam beznadziejna, ale dzieci wykazały się przykładowym taktem i cierpliwością... Jak ich mama... Ich mama, za którą tak bardzo tęskniłam... Bo tak naprawdę to ja płakałam nocami. Gdy dzieci czuły się nieszczęśliwe, chciałam, żeby z nami była, a gdy czuły się szczęśliwe, było jeszcze gorzej. Żyłam w jej mieszkaniu, pośród jej rzeczy, używałam jej szczotki do włosów i pożyczałam od niej swetry. Czytałam jej książki, jej zapiski na drzwiach lodówki, a nawet, jednego beznadziejnego wieczoru, jej listy miłosne. Nie miałam nikogo, z

kim mogłabym o niej porozmawiać. Moje *dearest friends* kładły się spać, gdy ja wstawałam, a nie było jeszcze Internetu, Skype'a i tych wszystkich genialnych satelitów, które zmieniły naszą wielką planetę w mały buduar...

Chciałam, żeby mnie nauczyła naśladować głos Puchatka. I Tygrysa. I Królika też. Chciałam, żeby sygnalizowała mi z góry, co sądzi o moich narwanych inicjatywach i czy rzeczywiście spanie pokotem jest takie straszne... Chciałam, żeby mi powiedziała, że tamten chłopak nie był mnie wart i że dobrze zrobiłam, nie dając mu szansy. Chciałam, żeby mnie przytuliła i przygotowała, dla mnie też, dużą miseczkę mleka z olejkiem pomarańczowym...

Chciałam do niej zadzwonić, opowiedzieć, jak ciężko jest wychowywać dzieci siostry, która odeszła, nie pożegnawszy się nawet z nimi, żeby nie robić im przykrości. Chciałam wszystko przewinać do tyłu i powiedzieć jej: Puść ich obu, niech jadą napić się tego wińska, a my dokończymy sherry i poopowiadam ci o papajach i o łóżkowych przygodach na kampusie.

Byłaby zachwycona, gdybym jej tak wtedy powiedziała. Tego zresztą ode mnie oczekiwała...

Myślę, że trochę mi odbijało i że wyprowadzka była najlepszym rozwiązaniem, ale nie mogłam im tego zrobić... Poza tym to nie było takie proste... Zapomniałam panu powiedzieć o technicznym aspekcie całej sprawy... Rada rodzinna, wezwania do sądu dla nieletnich, notariusz i wszystkie te przekręty, żeby mieć środki na ich utrzymanie... To też pana interesuje, Charles, czy od razu jedziemy na wieś?

- Interesuje mnie to niezmiernie, ale... - Ale?

- Czy oni nie zmarzną, pluskając się o tej porze?

- Pfff... Te bestie są nie do zdarcia... Za dwie minuty chłopcy zaczną ganiać dziewczyny i wszyscy się rozgrzeją, proszę mi wierzyć...

Milczenie.

- Jest pan bardzo opiekuńczy, prawda? Zarumienił się w ciemności.

Rozwrzeszczana dystrybutorka klapsów śmignęła im przed nosem, a za nią młody Bob Dylan.

- A nie mówiłam... No właśnie... Na moim miejscu położyłby pan w siodlarni prezerwatywy?

Charles zamknął oczy...

Ta dziewczyna to istny diabelski młyn...

- Bo ja położyłam... Koło pudełka z cukrem dla koni... Gdy powiedziałam o tym Samowi, spojrzął na mnie przerażony, jakbym była jakąś zboczoną babą, ale ja wolę być zboczoną babą o czystym sumieniu!

Nie starał się o tym dyskutować. Ich ramiona dotykały się od czasu do czasu, a temat był nieco... no, dobrze...

- Tak. Aspekt techniczny niezmiernie mnie interesuje. - Uśmiechnął się, patrząc na dno swojego kieliszka.

Trudno było to stwierdzić w ciemności, ale zdawało mu się, że usłyszał jej uśmiech.

- To będzie długie - uprzedziła.

- Mam czas...

- Wypadek zdarzył się osiemnastego kwietnia, ja zaś zajmowałam się nimi „na dziko”, jak mówi moja młodzież, do końca maja. Następnie miała się zebrać tak zwana rada rodzinna, czyli trzy osoby ze strony ojca i tyle samo od matki. Z naszej strony wiadomo - *dad*, mama i ja, po stronie Pierre'a sprawa okazała się znacznie bardziej skomplikowana. To nie była rodzina, to było istne kłębowisko Mauriaca i zanim się dogadali, musieliśmy odroczyć pierwsze posiedzenie.



Widziałam, jak wchodzi, i zalała mnie ogromna fala ciepłych uczuć do Louisa i jego syna. Zrozumiałam, dlaczego ten pierwszy nie chciał ich widzieć, a drugi szaleńczo zakochał się w mojej siostrze. To byli ludzie... jak by to powiedzieć... odpowiednio uzbrojeni... tak, właśnie... Odpowiednio uzbrojeni na życie... Była tam starsza siostra Louisa, jej mąż i Edouard, wuj Pierre'a od strony matki... No i... nadaża pan za mną?

- Cały czas za panią nadażam.

- Wujek Edouard miał miły uśmiech i prezenty dla dzieci, a tamtych dwoje, nazwijmy ich wykwalifikowanymi księgowymi, ponieważ on uprawiał ten zawód, a jej obsesją były, rzekłabym, sprawiedliwe porachunki, zadało mi najpierw pytanie, czy mówię po francusku. Bardzo, bardzo mocny początek!

Śmiała się.

- *I think I never spoken French as well as...* nigdy tak dobrze jak wtedy! Poczęstowałam tych prostaków z prowincji całym swoim Chateaubriandem i najpiękniejszymi czasownikami w *imparfait du subjonctif*, jakie znałam!

Więc punkt pierwszy... Kto zostanie mianowany prawnym opiekunem dzieci... Cóż... Nikt nie przepychał się przy furtce. Sędzia spojrzała na mnie, a ja się do niej uśmiechnęłam. I po sprawie. Punkt drugi: kto zostanie mianowany zastępcą opiekuna... To znaczy - moim policjantem? Który „będzie kontrolował moje zarządzanie”? Ach, ach! Natychmiastowe poruszenie w kaszmirach. Przeziębienia dzieci, ich koszmary senne i rysunki przedstawiające bezrękich ludzików nie miały większego znaczenia, ale ich spadek to już inna sprawa...

Przedrzeźniając krewnych Pierre'a, Kate delikatnie rozpychała powietrze łokciami...

- Cóżem miała uczynić przeciw im obojgu? Skonać czy li też pogрузić się w pięknej rozpaczy? Patrzyłam na twarz ojca, który sporządzał notatki, podczas gdy matka miała chusteczkę, łkając, i słuchałam, jak tamci targują się z sędzią. Biedny Doudou był splukany, to Louis miał w zanadru nieco gotówki... Mieszkanie w Cannes, drugie w Bordeaux, nie licząc mieszkania Pierre'a i Ellen... Właściwie... głównie Pierre'a... Pani wykwalifikowana znała akt notarialny lepiej niż ja... Problem w tym, że Louis i jego siostra od dziesięciu lat procesowali się o jakiś kawałek ziemi czy coś i... nie, oszczędzę panu szczegółów...

*Good Lord*, czułam, że to będzie burzliwa historia... Koniec końców tytuł przypadł szwagrowi Louisa. *Kodeks cywilny, artykuł 420 i następne*, przypomniała sędzina, *rola zastępcy opiekuna prawnego polega na reprezentowaniu spraw małoletnich w przypadku zaistnienia konfliktu interesów tychże z interesami opiekuna prawnego*. Dogadaliśmy się, kancelistka notowała, ale ja czułam, że już mnie tam nie ma. Myślałam:

Siedemnaście lat...

Siedemnaście lat i dwa miesiące pod ich czujnym okiem. *Help!*

Po wyjściu z sądu ojciec nareszcie otworzył usta: *Alea iacta est*.

Aha... Nieźle mnie wsparł, naprawdę... A ponieważ widział, że jestem przygnębiona, dodał, że nie mam się czego bać, że już u Wergiliusza stoi: *Numero deus impare gaudet...*

- A to oznacza? - spytał Charles.

- Dzieci jest troje, a bogowie kochają liczby nieparzyste. Spojrzała na niego roześmiana.

- No, przecież wspomniałam panu, że czułam się samotna z tym wszystkim! Później były liczne spotkania u notariusza, żeby omówić ideę renty, która - co trzy miesiące przelewana na moje konto - miała zagwarantować dzieciom dobre studia, jeżeli będę się nimi do tego czasu odpowiednio opiekowała... Nie ukrywam, że sprawiło mi to ogromną ulgę. Wiedziałam, że wytrzymam siedemnaście lat i dwa miesiące, nawet jeśli bym miała utrzymywać nas z

tej jałmużny, a później powinni dać sobie radę w życiu, chyba że gdy osiągną pełnoletność, zwieją z kasą i przegrają wszystko w kasynie.

Zresztą... Zobaczymy... Już panu mówiłam: dzień za dniem... Dalej, po ostatnim kieliszku, zanim dojdziemy do tej rzeki...

- Pośród tych spotkań i tysiącami rozmów telefonicznych życie toczy się normalnym rytmem.

Gubię książeczki zdrowia, kupuję buty na lato, zapoznaję się z innymi mamami, dużo mi mówią o Ellen, uśmiecham się niewyraźnie, otwieram jej korespondencję i wysyłam nekrologi albo kserokopie aktu zgonu w kopertach zwrotnych, biorę się do gotowania, uczę się przeliczać *pounds and ounces, cups, tablespoons, feet, inches* i całą resztę, uczestniczę w moim pierwszym szkolnym pikniku, zaczynam nareszcie radzić sobie z debilnym głosem Tygrysa, trzymam się, pękam, w nocy dzwonię do Matthew, przeszkadzam mu, właśnie przeprowadza doświadczenie, nie może ze mną rozmawiać, oddzwoni. Płacę do rana i zmieniam numer ze strachu, że rzeczywiście zadzwoni i znajdzie przekonujące argumenty, by mnie ściągnąć z powrotem...

Nadchodzi lato. Jedziemy do moich rodziców, do wiejskiego domku w okolicach Oksfordu. To są straszne tygodnie. Strasznie smutne. Ojciec jest znękanym rozpaczą, a matka bez przerwy myli Alice i Hattie. Nie wiedziałam, że we francuskich szkołach wakacje trwają tak długo... Mam wrażenie, że postarzałam się o dwadzieścia lat. Chciałabym znów włożyć fartuch i zamknąć się z moimi nasionami... Czytam dzieciom mniej bajek, ale pomagam Harriet robić pierwsze kroki i... nie nadążam za nią...

Myślę, że wszystko zaczęło ze mnie spływać... Dopóki stawia... wznosi... liśmy? Stawialiśmy?

- Co takiego? - zaniepokoił się Charles.

- To nowe życie...

- W takim razie niech pani powie „wznosiliśmy”. Jak katedrę.

- Ach? Dopóki się na tym skupialiśmy, dopóty działałam, walczyłam, ale tam się to wszystko skończyło. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wytrzymać siedemnaście lat i miesiąc. Mam na swoich barkach pięć osób i skracam te wykańczające wakacje. Ponieważ bardzo schudłam i wszystko zostawiłam tam, coraz częściej noszę ubrania Ellen i... nie jest ze mną dobrze, o nie...

Dusimy się w Paryżu, dzieci nie mogą usiedzieć na miejscu, daję Samuelowi pierwszego klapsa i w pewnym momencie, kierowana jakimś impulsem, postanawiam wynająć domek w pobliżu małej, zapadłej wioski... Nazywa się Les Marzeray i chodzimy tam co dzień ze spacerówką, żeby się odświeżyć i napić wody z miętą w kawiarence naprzeciw kościoła.

Uczę się grać w bule i czytam książki, które opowiadają historie smutne, lecz wymyślone. Właścicielka kawiarenki pokazuje mi drogę do gospodarstwa, w którym mogę kupić jajka, a nawet kurczaka. Mieszka tam taki niesympatyczny staruch, ale zawsze mogę spróbować...

Dzieci nabierają kolorów, dużo chodzimy, piknikujemy i odpoczywamy na łąkach. Samuel mdleje z zachwytu na widok oślicy z młodym, a Alice zaczyna tworzyć przepiękny zielnik. *It runs in the blood...* Uśmiech.

- Robię to, co ona, poznaję albo odkrywam naturę na nowo, w innej postaci niż mikroskopowe preparaty, kupuję aparat jednorazowy i proszę jakiegoś turystę, żeby zrobił mi zdjęcie z dziećmi. Pierwsze... Stoi na kominku w kuchni i jest tym, co mam w życiu najdroższego... Nasza czwórka przed wodotryskiem koło piekarni w Marzeray tamtego lata... Wycieńczeni, ledwo utrzymujący równowagę na brzegu fontanny, nieśmiało uśmiechnięci do tego nieznanego człowieka, ale... żywi.

Łzy.

- Przepraszam - odezwała się, wycierając nos w rękaw. - To ta whisky... Która godzina? Dochodzi pierwsza... Muszę zagonić ich do spania...

Charles, wzmocniony przez wszystkie te historie, zaproponował Nedrze, że weźmie ją na ręce. Odmówiła.

Yacine siedł obok niego, milczał. Bolał go brzuch. Harriet i Camille podążyły za nimi, ciągnąc po ziemi swoje śpiwory. Świeże powietrze było zbyt zimne...

\* \* \*

Kate przyniosła swojego psa z powrotem do kuchni i zniknęła na pięterku, poprosiwszy wcześniej Charles'a, aby rozpałił ogień.

Przeżył krótką chwilę grozy, ale nie, nie był przecież aż takim niezdarą... Znalazł drewno pod zadaszeniem, przepłukał kieliszki i poszedł się przytulić, on też, do grubej żeliwnej *nanny*. Ukucnął, pogłaskał psa, dotknął emalii, otworzył wszystkie piekarniki i uniósł dwie pokrywy.

Za każdym razem czuł inną temperaturę.

Ileż rzeczy zdołał tu odkryć...

Odnalazł zdjęcie, o którym mu opowiedziała, i skrzywił się z przykrością. Byli tacy mali...

- Piękne, prawda? - usłyszał za plecami. Nie. Tego by nie powiedział.

- Jakoś nie dotarło do mnie, że oni byli tacy mali...

- Niecałe osiemdziesiąt kilo - odparła.

- Słucham?

- Tyle wtedy wazyliśmy... Wszyscy czworo, na wadze dworca autobusowego... Ale cóż... Skacząc obunóż na szali, z rękoma pełnymi książek i maskotek, zdołaliśmy wreszcie wkurzyć gościa z okienka. Proszę pani! Niechże pani trzyma te swoje dzieciaki! Jak się będziecie wygłupiać, to w końcu rozregulujecie maszynę.

*Good.*

Dokładnie to zamierzałam zrobić.

Odwróciła fotel obrotowy bez jednej poręczy. Charles siedział niżej, obejmując kolana ramionami, na małym podnóżku obitym pączkami różyczek i dziurami wygryzionymi przez mole.

- Ten niesympatyczny staruch to był René, prawda?

- Tak - uśmiechnęła się. - A teraz sprawię sobie przyjemność... Nie będę się spieszyć... Ale obawiam się, że panu nie jest wygodnie, prawda?

Odwrócił się tak, by oprzeć się o ścianę kominka.

Po raz pierwszy siedział naprzeciw niej. Patrzył na jej twarz, oświetloną tylko tym ogniem, który sam podsycał, i rysował ją w myślach.

Zaczął od brwi, były niezwykle proste, a później, hmm... Same cienie.

- Proszę się nie spieszyć - mruknął.

- To był dwunasty sierpnia... Urodziny Harriet... Jej pierwsza świeczka na torcie... Dzień smutny albo wesoły, trzeba było podjąć decyzję. Postanowiliśmy upiec ciasto i ruszyliśmy na poszukiwanie tych słynnych świeżych jaj. To był tylko pretekst... Już dawno podczas spacerów wypatrzyłam to gospodarstwo położone z dala od wioski i chciałam obejrzeć je z bliska.

Pamiętam, że było strasznie gorąco, lecz już na tej wielkiej dębowej alei poczuliśmy się lepiej... Niektóre drzewa były chore i pomyślałam o genomach grzybów, które w tym samym czasie oddzielali moi koledzy...

Samuel jechał przed nami na rowerku i liczył dęby, Alice szukała „dziurawych” żołądź, a Hattie spała w wózku.

Niezależnie od przygotowań do urodzin miałam lekką chandrę. Niezbyt dobrze wiedziałam, dokąd zmierzamy... Sama też czułam się zżerana przez jakieś parchy czy jakieś inne pasożyty... Może *Solitudina vulgaris*? Dzieci, upojone marszem i świeżym powietrzem, zasypiały bardzo wcześnie i zostawiały mi długie wieczory na rozmyślanie o własnym losie. Wróciłam do papierosów i trochę pana przed chwilą okłamałam... Nie czytałam wszystkich tych książek, które ze sobą przywiozłam... Ale czytałam haiku... W książeczce ukradzonej z nocnego stolika Ellen...

Zaginałam rogi na stronach, które mówiły:

*Opadły kwiat*

*Wrócił na gałąź?*

*To był motyl\*.*

Albo:

*Nigdy nie zapominaj*

*Chodźmy nad piekłem*

*Oglądając kwiaty.*

\* Wszystkie haiku w przekładzie Czesława Miłosza, z tomu *Haiku*, „M”, Kraków 1992.

Ale to, na którego punkcie miałam wtedy obsesję, przeczytałam na drzwiach toalety w kampusie:

*Life's a bitch and then you die.*

Tak. To naprawdę dobrze brzmiało...

- Ale jednak pamięta je pani jeszcze - zauważył Charles. - Mam na myśli te japońskie...

- Żadna w tym moja zasługa. Dziś ten zbiorek leży w naszej toalecie - odparła z uśmiechem.

- Opowiadam dalej... Przeszliśmy przez mostek i dzieci wpadły w trans. Żaby! Wodne pająki! Ważki! Nie wiedziały, w którą stronę patrzeć.

Samuel porzucił rower, a Alice podała mi sandaalki. Pozwoliłam im się przez chwilę pobawić, nazrywać si-towia i włosiecznika wod... *Ranunculus aquatilis*... Odezwała się Harriet, którą zostawiłam nieco dalej w wózku, więc ruszyliśmy, niosąc nasze skarby. Później... Nie wiem, co pan sobie pomyślał, gdy pan tu wczoraj przyjechał z Lucasem, ale dla mnie te murki, to podwórko, ten domek oplątany dzikim winem i wszystkie te zabudowania wokół... zmęczone, ale ciągle jeszcze mocne, to była... *love at first sight*. Zapukaliśmy do drzwi, nikogo, i ponieważ upał był straszny, poszliśmy zjeść podwieczorek do jednej z szop. Samuel od razu pobiegł do traktorów i oglądał zafascynowany stare wozy. Myślisz, że są tu konie? Dziewczynki ze śmiechem kruszyły ciastka, więc zaraz oblażyły je kury, a ja miałam sobie za złe, że nie wzięłam aparatu. Po raz pierwszy ich takich widziałam... Zachowywali się, jak przystało na dzieci w ich wieku.

Przyszedł pies. Taki jakby mały terierek, który też lubił ciastka HIT i potrafił skakać na wysokość ramienia Sama. Za nim zbliżał się jego pan... Zaczekałam, aż odstawi wiadra i odświeży się przy pompie, i dopiero wtedy ośmieliłam się mu przeszkodzić.

Szukał psa, więc zauważył naszą trójkę i spokojnie wyszedł nam na spotkanie. Nawet nie zdążyłam go pozdrowić, a dzieci już zasypywały go pytaniami.

„Hej, hej! - powiedział, unosząc ręce do góry. - Macie nietutejszy akcent, dzieciaki!”

Powiedział im, że pies wabi się Filut, i kazał mu robić mnóstwo śmiesznych sztuczek.

Istny cyrkowy kundel...

Powiedziałam, że przyszliśmy kupić jajka. „Ach, no pewnie, mam kilka w kuchni, ale mali to pewnie będą woleli sami je spod kurów wyjąć, co nie?” I zaprowadził nas do kurnika. Jak na niemilego starucha był całkiem uprzejmy...

Później poszliśmy z nim do kuchni po pudełko i już wiedziałam, że od lat żyje sam... Tam było tak brudno... Nie mówiąc już o smrodzie... Zapropował nam coś do picia i usiedliśmy wokół jego ceraty, która kleiła się nam do łokci. Podał jakiś dziwny sok, a w puszcze z cukrem były zdechłe muchy, ale dzieci zachowały się doskonale. Bałam się wyjąć Hattie z wózka. Podłoga była równie... lepka jak reszta... W pewnej chwili nie wytrzymałam, wstałam i otworzyłam okno. Spojrzał na mnie bez słowa, ale myślę, że nasza przyjaźń narodziła się właśnie wtedy, gdy odwróciłam się, mówiąc: „Aaach... Tak jest znacznie lepiej, nie?”

On był starym kawalerem, który wydawał się zmieszany, bo jeszcze nigdy nie widział dzieci z bliska, a ja byłam przyszlą starą panną, która poradziła sobie z oporną klamką i musiała jeszcze się trzymać przez siedemnaście lat. Uśmiechnęliśmy się do siebie, owiewani tym letnim wietrzykiem...

Sam powiedział mu, że jajka są na tort urodzinowy dla siostrzyczki. Spojrzał na Harriet, którą trzymałam na kolanach. „Dzisiaj są jej urodziny?” Pokiwałam głową, a on dodał: „No, to ja będę miał taką maskotkę dla tej maluchy...” Litości, zaczęłam się zastanawiać, jakie ohydztwo wciśnie jej do rączki... Różowego królika, którego ktoś wygrał na strzelnicy w wesołym miasteczku w tysiąc dziewięćset dwunastym roku?

„Chodźcie ze mną” - zażądał, pomagając Alice zejść z krzesła. Zaprowadził nas do drugiego budynku i zaczęła zrzędzić w ciemności: „Gdzież to się oni znowu pochowali...?”

To dzieci je znalazły. I wtedy nie miałam już wyjścia, musiałam puścić Hattie...

Charles zaczynał dobrze znać uśmiechy Kate, ale ten był naprawdę bardziej zaraźliwy od poprzednich.

- Co to było?

- Kocięta... Cztery maleńkie kocięta schowane pod starym samochodem... Dzieci oszalały. Spytały, czy mogą wziąć je na ręce, i poszliśmy się z nimi pobawić na trawniku za domem.

Gdy dzieci bawiły się tak, jak gdyby kocięta były z plasteliny, usiedliśmy na ławce. Na kolanach trzymał psa, skrzył sobie papierosa, uśmiechnął się, patrząc na nich, i pogratulował mi: że niby też mam ładne kociaki. Momentalnie się rozplakałam. Byłam mocno niewyspana i nie rozmawiałam z żadnym przychylnie nastawionym dorosłym od... od czasów Ellen, więc wszystko z siebie wylałam.

Długo milczał, obracał w wielkiej łapie zapalniczkę, po czym orzekł: „Ale oni i tak będą szczęśliwi, pani zobaczy... No? I którego sobie śmiesznotka wybrała?”

Starsze rodzeństwo podjęło tę decyzję za nią i obiecałam, że przyjdziemy po kotka w dniu wyjazdu. Odprowadził nas aż do dębów. Koszyk pod wózkiem pełen był warzyw i dzieci długo się odwracały, żeby pomachać gospodarzowi.

Gdy dotarliśmy do naszej wynajętej kuchenki, zdałam sobie sprawę, że nie mamy piekarnika. Wbiłam świeczkę w magdalenkę i wyczerpane dzieci poszły spać... Postanowiłam, że ten dzień będzie wesoły, ale nigdy by taki nie był, gdyby nie ten dom, który nosi taką przepiękną nazwę, pochodzącą od słowa „zmiersch”.

Gdy paliłam na tarasie papierosa, przyczłapał Sam, ciągnąc za sobą pluszowego misia. Po raz pierwszy przyszedł do mnie w ten sposób. Po raz pierwszy się do mnie przytulił...

Tym razem nie ogień, ale gwiazdy były usprawiedliwieniem naszego milczenia...

„Wiesz, myślę, że nie trzeba brać tego kotka” - oświadczył w końcu, strasznie poważny. „Boisz się, że będzie mu nudno w Paryżu?” „Nie, ale nie chcę oddzielać go od mamy i rodzeństwa...”

Och, Charles... miałam oczy w mokrym miejscu... Od wszystkiego. Od wszystkiego chciało mi się płakać...

„Ale będziemy mogli jutro pójść go zobaczyć, co?” - dodał.

Oczywiście. Wróciliśmy tam na drugi dzień, i jeszcze następny, i koniec końców resztę wakacji spędziliśmy na fermie. Dzieci majstrowały coś w szopach, a ja wyniosłam wszystko z kuchni i wyszorowałam ją do czysta. Pan René i jego kury, krowy, stary koń, któremu udzielił schronienia, mały piesek i gigantyczny rozgardiasz stali się naszą nową rodziną. Po raz pierwszy czułam się dobrze. Bezpiecznie. Miałam wrażenie, że za tymi murkami nie może nas osiągnąć nic złego, że reszta świata została na drugim brzegu fosy...

W dniu wyjazdu wszyscy byliśmy wzruszeni i obiecaliśmy, że przyjedziemy do niego podczas przerwy na Wszystkich Świętych. „To będziecie mnie musieli poszukać we wsi - powiedział - bo tutaj już nie będę mieszkał...” Jak to? A dlaczego? Był zbyt stary, nie chciał spędzać tutaj samotnie zimy. Rok wcześniej bardzo chorował i postanowił zamieszkać u siostry, która dopiero co owdowiała. Wynajmie dom jakimś młodym i będzie dbał już tylko o warzywnik.

A zwierzęta? - zaniepokoiły się dzieci. No... Weźmie kury i Filuta, a reszta to...

„To” lekko pobrzmiwało rzeźnią...

No dobrze. To pójdziemy do wsi... Po raz ostatni obeszliliśmy wszystko przed odjazdem, nie mogłam zabrać wszystkich tych skrzynek, które mi uprzejmie przygotował: nie zmieściłyby się w samochodzie.

Wstała, podniosła lewą pokrywę i napełniła czajnik.

- Mieszkanie też wydało nam się zbyt małe... I chodniki... I skwerek... I alimenty... I niebo... I drzewa na bulwarze Raspail... I nawet Ogród Luksemburski, do którego nie chciałam chodzić, bo krótkie przejażdżki na ośle stały się zbyt dużym luksusem...

Co wieczór mówiłam sobie, że wyjmę kartony i urządzę na nowo mieszkanie, i co rano przekładałam tę ciężką próbę na jutro. Mój dawny kolega polecił mi American Chestnut Foundation, która zaproponowała mi tłumaczenie niezwykle obszernego doktoratu o chorobach kasztanowców. Zapisałam Hattie do żłobka... Oszczędzę panu wszystkich administracyjnych komplikacji, nędznych upokorzeń... I gdy starsi byli w szkole, walczyłam z *Phytophthora cambivora* i innymi *Endothia parasitica*.

Nienawidziłam tej roboty, traciłam czas, gapiąc się na szarość za oknem, i zastanawiałam się, czy w kuchni Reného jest patelnia do prażenia kasztanów...

Aż wreszcie nadszedł dzień czarniejszy od innych...

Hattie była bez przerwy chora, smarkała, kaszłała i dusiła się nocą we własnej wydzielinie. Piekielnie trudno było zapisać się do lekarza, a terminy wizyt u fizjoterapeutów przyprawiały mnie o szaleństwo. Samuel, który praktycznie potrafił już czytać, śmiertelnie się nudził w zerówce, a wychowawczyni Alice, ta sama co rok wcześniej,

nadal wymagała podpisu dwojga rodziców na informacjach, które rozdawała dzieciom. Oczywiście nie mogłam mieć jej tego za złe, ale gdybym to ja wybrała ten zawód, obdarzyłabym większą uwagą tę dziewczynkę, która już wtedy rysowała lepiej od innych...

Co jeszcze zdarzyło się tego dnia? Dozorczyni wydarła się na mnie, że brudzę wózekm korytarz, dostałam list od zarządu budynku z wyliczeniem bardzo wysokich i całkiem nieprzewidzianych kosztów naprawy windy, zepsuł się kocioł, komputer miał awarię i czternaście stron moich kasztanowców wyleciało w cyberprzestrzeń... i, *icing on the cake*, kiedy wreszcie załatwiłam tę cholerną wizytę u fizjoterapeuty, straż miejska odholowała mi samochód... Jakaś inna, sprytniejsza kobieta zadzwoniłaby po taksówkę, ale ja się popłakałam.

Płakałam tak strasznie, że dzieci bały się nawet powiedzieć, że są głodne.

W końcu Samuel przygotował dla wszystkich po miseczce płatków z mlekiem i... mleko okazało się skwaśniałe...

Nie płacz - zatroszczył się o mnie - możemy zjeść z jogurtem, wiesz...

Dopiero teraz widzę, jacy oni byli grzeczni...

Położyliśmy się w naszym barłogu. Nie miałam siły przeczytać im bajki, więc opowiadaliśmy ją sobie w ciemności... I jak zwykle odlatywaliśmy w marzeniach do *Les Vesperies*... Jak duże są dziś kocięta? Czy René zabrał je ze sobą? A osiołek? Czy dzieci przynoszą mu jabłka po szkole?

Poczekajcie na mnie - powiedziałam im.

Była gdzieś tak dziewiąta wieczorem, poszłam zadzwonić i wróciłam, potykając się o brzuch Samuela, żeby trochę ponarzekał. Wsunęłam się pod kołdrę pomiędzy ich troje i powoli wypowiedziałam te słowa: Jeśli chcecie, możemy zamieszkać tam na zawsze...

Długa cisza i wreszcie jego szept: Ale... będziemy tam mogli zabrać zabawki?

Rozmawialiśmy o tym jeszcze przez chwilę i gdy w końcu zasnęli, wstałam i zaczęłam się pakować.

Gwizdał czajnik.

Kate postawiła tacę przy kominku. Zapach lipy.

- René powiedział mi przez telefon jedynie tyle, że dom jeszcze nie został wynajęty. Młodzi, którzy mieli w nim zamieszkać, uznali, że jest na zbyt dużym odludziu. Być może powinno było mnie to zaalarmować... Że ludzie stamtąd, z małymi dziećmi, nie zdecydowali się tam zamieszkać... Ale byłam zbyt podekscytowana, żeby to usłyszeć... Znacznie później, zimą, często miałam okazję sobie o tym przypomnieć. Tak strasznie marzliśmy w niektóre noce... Ale cóż, przyzwyczailiśmy się do spania w obozowisku i spaliśmy wszyscy w salonie, przy kominku. Nasze pierwsze lata tutaj były najbardziej wyczerpujące fizycznie w całym moim życiu, ale byłam w pewien sposób... znieczulona.

Później nastał Duży Pies i osiołek, którego podarowałam małemu, by podziękować mu za noszenie drewna co wieczór, a później koty urodziły następne koty i tak wszystko przeistoczyło się w radosny burdel, który pan już zna... Chce pan miodu?

- Nie, dziękuję. Ale... była pani sama przez wszystkie te lata?

- Ach! - Uśmiechnęła się, schowana za kubkiem. - Moje życie uczuciowe... Nie wiedziałam, czy mam cytować ten rozdział...

- Oczywiście, że mi pani o tym opowie - odparł, grzebiąc w żarze.

- Czyżby? A to dlaczego?

- Potrzebuję tego, by dokończyć zestawienie topograficzne.

- Nie wiem, czy warto...

- Niech pani opowie...

- A pańskie?

- No dobrze. Widzę, że to ciągle jeszcze moja kolej! Niech będzie, ale to nic chwalebne, wie pan...

Przesunęła się bliżej ognia i przewróciła stronę niewidzialnej książki. Teraz jej profil...

- Pierwsze miesiące były ciężkie, ale minęły szybko. Miałam tyle do zrobienia... Nauczyłam się zalepiać pęknięcia w ścianach, tynkować, malować, rąbać drewno, wlewać kroplę wybielacza do wody dla kur, żeby nie chorowały, skrobać okiennice, zabijać szczury, walczyć z przeciągami, kupować w promocji kawałek mięsa i kroić je przed zamrożeniem, i... i wielu innych rzeczy, o które nigdy się nie podejrzewałam, i przez cały czas kręciła mi się pod nogami ciekawska mała dziewczynka...

Kładłam się spać razem z dziećmi. Po ósmej wieczorem byłam *out of order*. Zresztą to było najlepsze, co mogło mi się przytrafić... Nigdy nie żałowałam swojej decyzji. Dziś sprawa się skomplikowała z powodu szkół, jutro będzie jeszcze trudniej, ale dziewięć lat temu, proszę mi wierzyć, ta robinsonada uratowała nam życie. Nastaly ciepłe dni... Dom stał się niemal wygodny i znów zaczęłam przeglądać się w lustrze, żeby się uczesać. Śmieszne, ale nie robiłam tego przez blisko rok...

Pewnego ranka włożyłam sukienkę, a nazajutrz się zakochałam.

Śmiała się.

- Oczywiście, wtedy ta historia wydawała mi się szczytem romantyzmu. Nieoczekiwana strzała Kupidyna, która pomyliła tor, i inne tego typu *foolisheries*. Ale dziś, z dystansu i znając ciąg dalszy... No, w każdym razie dziś już nie wierzę w amorka.

Tamtej wiosny chciałam się zakochać. Potrzebowałam mężczyzny, który mnie przytuli. Miałam powyżej uszu bycia Superwoman, której zdjęcie kaloszy zajmuje wieki i która w czasie krótszym niż dziewięć miesięcy dorobiła się trojga dzieci. Chciałam, żeby ktoś mnie całował i mówił, że mam gładką skórę. Nawet jeśli to już wcale nie była prawda...

Więc założyłam sukienkę, żeby towarzyszyć klasie Samuela w zwiedzaniu nie pamiętam już czego, razem z klasą innego nauczyciela, i... i w drodze powrotnej usiadłam obok niego w autokarze...

Charles odłożył szkice. Jej twarz była zbyt zmienna. Dziesięć minut temu była stara jak cała ludzkość, a teraz, gdy się tak uśmiechała w kącie autokaru, nie miała nawet piętnastu lat.

- Na drugi dzień wymyśliłam jakiś pretekst, żeby go tutaj zwabić, i zgwałciłam go.

Odwróciła się do Charlesa.

- Eee... Za jego przyzwoleniem! To był przyzwalający, miły, trochę ode mnie młodszy, wolny chłopak stąd, zdolny majsterkowicz, wspaniale radził sobie z dziećmi, świetnie znał się na drzewach, gwiazdach, pieszych wędrówkach... Ideał po prostu.

Proszę mi go zaraz zapakować, mój zamrażalnik już czeka.

Nie... Nie powinnam okazywać takiego cynizmu... Byłam zakochana... Umierałam z miłości i naprawdę go lubiłam... Życie stało się znacznie prostsze... Wprowadził się tu. René, który znał go od małego, udzielił mi błogosławieństwa, Duży Pies go nie pożarł, a on przyjął całe dobrodziejstwo inwentarza bez większych grymasów. To było piękne lato i na swoje drugie urodziny Hattie dostała prawdziwy tort... A później piękna jesień... Nauczył nas



kochać przyrodę, przyglądać się jej, rozumieć ją, opłacił nam prenumeratę pisma przyrodniczego „La Hulotte”, przedstawił mi wielu miłych ludzi, których inaczej nigdy bym nie poznała... Przypomniiał, że nie mam jeszcze trzydziestu lat, że jestem wesoła i lubię rano poleżeć sobie w łóżku...

Zamieniłam się w kompletną idiotkę. Powtarzałam: „Znalazłam swojego pana! Znalazłam swojego pana!”

Wiosną zapragnęłam dziecka. Prawdopodobnie zbyt wcześnie, ale bardzo mi na tym zależało. Myślałam chyba, że to jest sposób na zacieśnienie wszystkich więzów. Z nim, z dziećmi Ellen, z tym domem... Chciałam mieć własne dziecko, by zyskać pewność, że nigdy nie opuszczę tych trojga... Nie wiem, czy może mnie pan zrozumieć.

Nie. Charles był zbyt zazdrosny, żeby próbować to wszystko rozwikłać.

Naprawdę go lubiłam...

To „naprawdę” złapało go za serce pod krokodylkiem. Nie wiedział nawet, co chciała przez to powiedzieć...

Poza tym chyba każdy wiejski nauczyciel umie postępować z dziećmi i rozpoznać Wielką Niedźwiedźkę, to niezbędne minimum!

- Oczywiście, że rozumem - mruknął posępnie.

- Nie udawało się... Inna dziewczyna miałaby, być może, więcej cierpliwości, ale ja po roku pojechałam do większego miasta i zrobiłam sobie serię badań. Bez gadania wzięłam na wychowanie troje, więc miałam chyba prawo do własnego, nie?!

Tak się skupiłam na swoim brzuchu, że chyba trochę zaniedbałam resztę...

Nie sypiał w domu co noc? Po prostu potrzebował spokoju, żeby sprawdzić dyktanda... Nie przeczesywał z nami co niedziela okolicy w poszukiwaniu kolejnego targu staroci? Po prostu miał już trochę dość naszej graciarni... Nie kochał się ze mną tak czule jak dawniej? To była także moja wina! Wszystkie te mało podniecające obliczenia... Uważał, że dzieci są wszędzie? No tak... to w końcu trójka... I że są źle wychowane? No tak... uważałam, że należy im się to od życia... Ich dzieciństwo miało być jak wyzwanie rzucone innym... Że zbyt często zwracam się do nich po angielsku? No tak... gdy jestem zmęczona, mówię w języku, który jest dla mnie bardziej naturalny...

Że... Że... Że... Że poprosił o przeniesienie w przyszłym roku szkolnym?

Ach... Na to już nie miałam argumentów.

Niczego nie zauważyłam... Myślałam, że jest taki jak ja, że wszystkie słowa, obietnice i gwarancje, nie tylko te wypowiedziane w obecności sędziego i kancelistki, mają swoją wagę. Pomimo zim, które zapowiadały się srogie, i dość ciężkiego posagu...

Przenieśli go do innej miejscowości, a ja stałam się kobietą, o której mówiłam panu, gdy opowiadałam o swoim ostatnim papierosie...

Opuszczoną opiekunką prawną...

Teraz widzę, jaka byłam nieszczęśliwa. - Uśmiechnęła się zmieszana. - Ale też co ja wyprawiałam?! Marnowałam sobie życie w jakiejś zatechłej chałupie. Karen Blixen za dychę, po kolana w nawozie... Co wieczór wygrzebywałam się z lasu i jeździłam po zakupy do coraz odleglejszych sklepów, żeby nikt mi nie wytykał ilości butelek, które wsuwałam dyskretnie między paczki biszkoptów i puszki dla kotów...

Na całe to załamanie nałożyło się coś jeszcze bardziej szkodliwego: pogarda dla siebie samej. Okay, nasz związek skończył się szybko, ale przecież... to się przytrafia wielu ludziom... Przeszkodą były te trzy lata, które nas dzieliły... Nie myślałam: odszedł, bo już mnie nie kocha, myślałam: odszedł, bo jestem stara.

Za stara, żeby ktoś mnie pokochał. Za brzydka, za ciężka. Za dobra, za głupia, za cnotliwa.

Niedostatecznie *glamour* z tą swoją piłą mechaniczną, spękanyimi ustami, czerwonymi dłońmi i z kuchenką, która waży sześćset kilo...

Nie... Niedostatecznie.

Nie miałam do niego żalu o to, że odszedł, rozumiałam go. Na jego miejscu zrobiłabym dokładnie to samo...

Napełniła kubek i długo dmuchała na ostygłą wodę.

- Jedyna pozytywna rzecz w tej historii - zażartowała - to fakt, że nadal prenumerujemy „La Hulotte”! Zna pan faceta, który tworzy to pismo? Tego Pierre'a Déoma?

Charles pokręcił głową.

- Jest świetny. Prawdziwy... Prawdziwy geniusz... Zdziwiłabym się, gdyby tego chciał, ale ten człowiek zasługuje na wielki grobowiec w Panteonie... No, ale... Nie miałam głowy do tego, by odróżniać orzeszek ogryziony przez wiewiórkę od innego, podjedzonego przez mysz polną... Chociaż... Musiałam się tym trochę interesować, inaczej nie byłoby nas tu dziś wieczorem...

Wiewiórka rozbija orzech na dwie części, a mysz polna zostawia ładnie wyczelowany otworek. Więcej szczegółów znajdzie pan na kominku...

Moja sprawa przypominała raczej efekt działań polnej myszy... Nie rozpadłam się, ale byłam kompletnie pusta w środku. Macica, serce, przyszłość, zaufanie, odwaga, szafy... Wszystko było puste. Palłam, piłam nocami coraz dłużej, ale gdy Alice nauczyła się czytać, nie mogłam już umrzeć przedwcześnie, więc zamiast tego wpadłam w coś w rodzaju depresji...

Pytał mnie pan dzisiaj, po co mi tyle zwierząt; właśnie w tamtym czasie dowiedziałam się po co. Żeby wstać rano, nakarmić koty, otworzyć psom drzwi, zanieść koniom siano i oderwać myśli od dzieci. Dzięki zwierzętom ten dom nadal żył, one zajmowały się dziećmi i w razie potrzeby trzymały je z dala ode mnie...

Zwierzęta rozmnażały się w porze godów, a przez resztę roku myślały tylko o jedzeniu. Godny podziwu przykład. Przestałam czytać dzieciom bajki i nie dawałam im więcej upiornych buziaków, ale co wieczór, zamykając drzwi od ich pokojów, pilnowałam, żeby każde z nich miało swojego ulubionego kota jako przytulankę...

Nie wiem, jak długo jeszcze to mogło trwać ani dokąd dokładnie... Zaczęłam mieć wątpliwości. Czy nie lepiej byłoby im w prawdziwej rodzinie zastępczej? Z tatą i mamą, którzy spełniają wszelkie normy? Czy nie lepiej będzie, jeśli rzucę to wszystko w cholerę i wyjadę z nimi do Stanów? Albo nawet bez nich...

Przestałam rozmawiać z Ellen i spuszczałam głowę, żeby przypadkiem nie napotkać jej wzroku...

Któregoś ranka zadzwoniła moja matka. Podobno kończyłam trzydzieści lat.

Ach?

Już?

Tylko?

Zalałam się, żeby to uczcić.

Zmarnowałam sobie życie. Mogłam zapewnić minimum, trzy posiłki dziennie i odwożenie do szkoły, ale to wszystko.

Reklamacje proszę zgłaszać sędziemu.

I właśnie w tych odmętach spotkałam Anouk, która położyła mi rękę na karku...

Charles przyglądał się kratce kominka.

- Pewnego dnia zadzwonili do mnie z recepcji gabinetu ginekologicznego, w którym przebrałam się kilka tygodni wcześniej... Nikt nic mi nie chciał powiedzieć, musiałam stawić się osobiście. Zanotowałam godzinę wizyty, wiedząc, że nie pojedę. Ta kwestia rozwiązała się sama i nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek stanie się aktualna.

A jednak pojechałam... Żeby wyjść z domu, zmienić klimat, no i Alice potrzebowała farbek w tubce czy jakiegoś innego towaru niedostępnego w okolicy.

Przyjął mnie lekarz. Omówił wyniki prześwietleń. Moje jajowody i macica były w całkowitym zaniku. Małeńkie, niedrożne, nienadające się do prokreacji. Powinnam poddać się serii dokładniejszych badań, ale lekarz przeczytał w mojej historii choroby, że mam za sobą długie pobyty w Afryce, i doszedł do wniosku, że musiałam zarazić się gruźlicą.

Ale... nie pamiętam, żebym była chora - broniłam się. Był bardzo spokojny, pewnie miał większą klasę od pamiętnego żandarma i przywykł do przekazywania złych wiadomości. Mówił do mnie długo, ale go nie słuchałam. To był rodzaj gruźlicy, który z powodzeniem mógł przebiegać bezobjawowo i... reszty nie pamiętam... mój mózg był równie martwy jak inne organy...

Pamiętam tylko, że gdy wyszłam na ulicę, dotknęłam swojego brzucha pod swetrem. Pogłaskałam go nawet... Byłam całkiem zagubiona.

Na szczęście czas płynął. Musiałam się pospieszyć, jeśli chciałam zdążyć do sklepu papierniczego przed odebraniem dzieci ze szkoły. Wszystko kupiłam... Wszystko, o czym Alice marzyła... Farby, pastele, pudełko akwareli, węgle, papier, szczoteczki i pędzle, zestaw do chińskiej kaligrafii, paciorki... Wszystko.

Później poszłam do zabawkowego i nakupiłam mnóstwo różności dla pozostałej dwójki... To było bardzo nierozsądne, i tak już ledwo wiązałam koniec z końcem, ale trudno. Ostatecznie *life was a bitch*.

Wyjechałam o wiele za późno, o mało nie spowodowałam wypadku, ale wreszcie, potargana, dotarłam pod szkolną bramę. Dostrzegłam ich w zapadającym zmroku, czekali na mnie wystraszeni, wszyscy troje, pod wiatą na boisku.

Oprócz nich na dziedzińcu nie było nikogo.

Zobaczyłam, jak unoszą głowy, i ujrzałam ich uśmiechy. Uśmiechy dzieci, do których dotarło właśnie, że jednak nie zostały opuszczone. Rzuciłam się na nie i zaczęłam przytulać. Śmiałam się, płakałam, prosiłam o wybaczenie, mówiłam, że je kocham, że nigdy ich nie opuszczę, że są najlepsze, że... oj, psy chyba na nas czekają, nie?

Rozpakowali prezenty, a ja wróciłam do życia.

- I tyle - dodała, odstawiając kubek. - Już pan wszystko wie... Nie wiem, jaki raport sporządzi pan dla tych, którzy wysłali pana z misją aż tutaj, ale opowiedziałam panu o wszystkim, co mnie dotyczy.

- A tamtych dwoje? Yacine i Nedra? Skąd się wzięli?

- Och, Charles - westchnęła. - Niedługo minie... Wyciągnęła ku niemu rękę i chwyciła go za nadgarstek, żeby spojrzeć na jego zegarek...

- Siedem godzin, jak mówię bez przerwy... Nie ma pan dość?

- Nie. Ale jeśli pani jest zmęczona, to...

- Nie ma pan już papierosów? - przerwała mu.

- Nie.

- *Shit*. Trudno... Niech pan dołoży drewna... Zaraz wracam.

Założyła dzinsy pod sukienkę.

- Powrót do życia, dla mnie, kobiety z martwym brzuchem, oznaczał otwarcie domu dla innych dzieci.

Jest taki duży, mieszka w nim tyle zwierząt, tyle tu szop... A ja miałam w sumie tak dużo czasu... Złożyłam wniosek, postanowiłam utworzyć opiekuńcze pogotowie rodzinne. Miałam pomysł, żeby przyjmować tu dzieciaki na wakacje. Podarować im wspaniałe kolonie letnie, miłe wspomnienia i... Tak naprawdę nie wiedziałam jeszcze co, ale wydawało mi się, że nasze życie bardzo do tego pasuje... Że wszyscy jedziemy na tym samym wózku i że trzeba sobie pomagać... Że możemy się jeszcze na coś przydać... mimo wszystko... Powiedziałam o tym moim podopiecznym i zareagowali w stylu: Ale... to znaczy, że będziemy musieli dzielić się zabawkami?

Żadnej traumy na horyzoncie...

Poznałam nowy świat. Poszłam po papiery do opieki społecznej i starannie wypełniłam rubryki. Stan cywilny, motywacja... Wsparłam się swoim Harrapem, żeby pisać bez błędów ortograficznych, i dołączyłam zdjęcia domu. Myślałam, że o mnie zapomnieli, ale po kilku tygodniach zapowiedziała się pracownica opieki społecznej, chciała sprawdzić, czy mogą mi udzielić pomocy finansowej.

Ze śmiechem dotknęła czoła.

- Pamiętam, że w przeddzień wizyty wykapaliśmy na podwórzu wszystkie psy! Trzeba przyznać, że strasznie śmierdziały! Zaplotłam dziewczynom warkocze... Chyba nawet sama przebrałam się za damę... Byliśmy do-sko-na-li!

Pracownica opieki społecznej była młoda i uśmiechnięta, jej koleżanka, pielęgniarka, hm... mniej uprzejma... Na początek zaproponowałam im obejrzenie obejścia i ruszyliśmy w drogę, a za nami Sam, jego siostry, dzieciaki ze wsi, które kręciły się zawsze w okolicy, psy, la... nie, lamy jeszcze wtedy nie było... w każdym razie... wyobraża pan sobie ten orszak...

Charles sobie wyobrażał.

- Byliśmy dumni jak pawie. To przecież najpiękniejszy dom na świecie, nie? Pielęgniarka psuła nam przyjemność, dopytując się co trzy sekundy, czy to jest bezpieczne. A rzeka? Chyba nie jest bezpieczna? A fosy? Chyba nie są bezpieczne? A narzędzia? Chyba nie są bezpieczne?

A studnie? A trutka na szczury w stajniach? A... A ten, tam, wielki pies?

A pani pusta głowa? - miałam ochotę się odgryźć. Ile już narobiła szkód?

Ale cóż, byłam bardzo *fair play*. Wie pani, moje dotąd jakoś sobie z tym radzą - zażartowałam.

Później zaprosiłam je do pięknego salonu... Nie widział go pan, jest bardzo szykowny. Nazywam go moim Bloomsbury. To nie Vanessa Bell i Duncan Grant wymalowali mi freski na ścianach i na kominku, tylko piękna Alice... Reszta przypomina nieco klimatem Charleston. Nagromadzenie przedmiotów, rozcgardiasz, obrazy... Za czasów tamtej wizyty salon był bardziej cywilizowany. Meble Pierre'a i Ellen jeszcze nie całkiem straciły wygląd, a psy nie miały prawa włączyć na obite chintzem kanapy.

Z tą młodą od razu złapałyśmy kontakt. Zadawała mi bardzo trafne pytania o moją... wizję... Moje poglądy na temat wychowania, umiejętność podania w wątpliwość własnych metod, dostosowania się do wymagań trudnych dzieci, o moją cierpliwość, stopień tolerancji... Nawet przy tej pogardzie do siebie samej, o której już panu mówiłam i która od tamtego czasu wiernie mi towarzyszy, czułam się nietykalna. Wydawało mi się, że zdałam egzamin... Że ten pełen przeciągów dom oddycha tolerancją, a okrzyki dzieci na podwórzu mówią same za siebie...

Ta druga kłępa nas nie słuchała. Patrzyła przerażona na kable, na gniazdko elektryczne, na ogryzioną kość, która uszła mojej uwagi, na zbitą szybę, plamy wilgoci na ścianach...

Rozmawialiśmy spokojnie, gdy rozległ się jej krzyk: mysz przyszła sprawdzić, czy pod stół nie spadło trochę okruchów...

*Holy Shit!*

Nie, ale my tę myszkę dobrze znamy! - zapewniłam ją. Należy do naszej rodziny, wie pani... Dzieci każdego ranka dają jej płatki kukurydziane...

To była prawda, ale dobrze widziałam, że mi nie wierzy...

Pod wieczór wyjechały, a ja modliłam się do niebios, żeby most nie zawalił się pod ciężarem ich samochodu. Zapomniałam poprosić, by zaparkowały na tamtym brzegu...

Charles uśmiechnął się. Siedział w pierwszym rzędzie, a spektakl był wprost wyśmienity.

- Nie uzyskałam zgody. Nie pamiętam już całego tego bełkotu, chodziło mniej więcej o to, że instalacja elektryczna nie odpowiada normom. Cóż... Najpierw strasznie się wkurzyłam, a potem zapomniałam... Chciałam dzieci? Wystarczyło spojrzeć przez okno! Były wszędzie...

- To właśnie powiedziała mi żona Alexisa.

- Co?

- Że jest pani jak Szczurołap z Hamelin... Że potrafi pani wyprowadzić wszystkie dzieci z wioski...

- Żeby je utopić, tak? - odparła zirytowana.

- Pff... Z niej też jest niezła idiotka... Jak ten pański przyjaciel z nią wytrzymuje?

- Mówiłam już pani, że to nie jest mój przyjaciel.

- To będzie ta pańska historia, tak?

- Tak.

- Przyjechał pan dla niego?

- Nie... Dla siebie...

- Nadejdzie moja kolej. Obiecuję pani... Proszę mi teraz opowiedzieć o Yacinie i Nedrze...

- Dlaczego pan się tak tym wszystkim interesuje?

Cóż mógł jej odpowiedzieć?

Żeby jak najdłużej na panią patrzeć. Bo jest pani jasną stroną tej kobiety, która przywiodła mnie aż do pani. Bo, na swój sposób, ona stałaby się tym, kim pani jest, gdyby dzieciństwo mniej ją okaleczyło...

- Bo jestem architektem - odpowiedział.

- Jaki to ma związek?

- Lubię rozumieć, w jaki sposób powstają budowle.

- Ach, tak? A czym my jesteśmy? A zoo? *Some kind of boarding house or... A hippy camp?*

- Nie. Jesteście... Jeszcze nie wiem... Zastanawiam się. Powiem pani później... Dalej... Czekam na Yacine'a...

Kate wyciągnęła szyję. Była zmęczona.

- Kilka tygodni później zadzwoniła do mnie ta milsza, ta, której odpowiadały moje normy... Powtórzyła, że bardzo jej przykro, zaczęła narzekać na administrację i jej debilne zasady... Przerwałam jej. Nie ma problemu. Poradziłam sobie.

No właśnie, w związku z tym... Jest taki jeden chłopiec, któremu potrzebne by były wakacje... Mieszkał u jednej ze swoich ciotek, ale tam się nie działo dobrze... Czy ewentualnie mogłybyśmy się obejść bez błogosławieństwa rady? To byłaby kwestia kilku dni... Żeby dać mu możliwość zobaczenia czegoś nowego... Gdyby chodziło o innego chłopca, nigdy nie dopuściłaby się takiego „wykroczenia”, ale ten, przekona się pani, jest zadziwiający... I dodała ze śmiechem: Uważam, że zasługuje na to, żeby zobaczyć pani myszy!

To były chyba ferie wielkanocne... Przywiozła mi go rano, można powiedzieć „nielegalnie”, i... Zna go pan... Pokochaliśmy go natychmiast.

Nie można mu się było oprzeć, zadawał masę pytań, wszystkim się interesował, oddawał tysiące przysług, zapalał wielką miłością do Hideousa, wstawał wcześniej rano, żeby pomóc Renému w warzywniku, wiedział, co oznacza moje imię, i opowiadał masę niesamowitych historyjek moim kmiotkom, którzy nigdy nie wyściubili nosa z wioski.

Gdy przyjechała zabrać go z powrotem, to było... straszne.

Plakał rzewnymi łzami... Pamiętam, że wzięłam go za rękę i poszliśmy w głąb podwórza. Powiedziałam mu: Za kilka tygodni zaczną się wakacje, a wtedy będziesz mógł u nas zostać na dwa miesiące... Ale on łkał, że chce tu zostać na za-a-a-a-wsze. Obiecałam mu, że będę często pisać. No, w takim razie, jeżeli udowodnię mu, że o nim nie zapominałam, to zgoda, wsiądzie do samochodu Nathalie...

Gdy głąskał na pożegnanie swojego ukochanego psa, ta mała urzędniczka, która w pracy kierowała się sercem, powiedziała mi, zamykając drzwiczki, że ojciec go bił, a matka zmarła na jego oczach.

To mnie ściągnęło na ziemię. A ja, naiwna, chciałam odgrywać dobrą panią... Chciałam zorganizować kolonię, a nie oberwać w twarz następnym workiem gówna...

No, ale... Było już za późno. Yacine wyjechał, ale została mi wyobraźnia. Obsesyjnie powracający obraz ojca masakrującego matkę swoich dzieci w kącie salonu... A myślałam, że trochę mi przeszło... Nie. Życie trzyma dla nas w zanadrzu piękne niespodzianki...

Więc napisałam do niego... Wszyscy napisaliśmy... Zebrałam mnóstwo zdjęć psów, kur, Reného i wkładałam po jednym lub po dwa do każdego listu... Wrócił pod koniec czerwca.

Mijało lato. Przyjechali moi rodzice. Okręcił sobie matkę wokół palca i powtarzał za nią łacińskie nazwy wszystkich kwiatów, po czym prosił ojca o tłumaczenie. Ojciec czytał pod wielką akacją, deklamował mu: *Tytire, tu patulae recubans sub tegmine fagi*, i uczył go wyśpiewywać imię pięknej Amaryllis...

Tylko ja znałam jego historię i byłam zachwycona faktem, że chłopczyk, który tyle w życiu widział, potrafi tak skutecznie uśmierzać ból...

Dzieci ciągle się z niego nabijały, bo był bardzo niezdarny, ale on nigdy się nie obrażał. Mówił: patrzę na was, bo rozmyślam nad tym, co robicie... Ja wiedziałam, że on nie chce nigdy więcej ryzykować i cierpieć. Zostawiał ich, gdy bawili się w „torturujących Indian”, i szedł pogadać z *Granny* o różach...

Od połowy sierpnia zaczął obawiać się wyjazdu.

Nathalie miała przyjechać po niego dwudziestego ósmego sierpnia. Dwudziestego siódmego znikł.

Na drugi dzień zorganizowałam gigantyczną zabawę w chowanego. Na próżno. Nathalie wyjechała bardzo zmartwiona. Ta historia mogła ją słono kosztować... Obiecałam jej, że sama odwiozę Yacine'a, jak tylko go znajdę. Ale następnego dnia nadal nie można było go znaleźć... Wpadła w panikę. Powiedziała, że trzeba zadzwonić na po-

licję. A jeśli utonął? I gdy próbowałam ją pocieszać, zobaczyłam w kuchni coś dziwnego, więc powiedziałam jej: Daj mi jeszcze trochę czasu, zawiadomię ich, obiecuję...

Dzieci były zestresowane, jadły kolację w milczeniu i jeszcze rozchodząc się do łóżek, wołały go po korytarzach.

W środku nocy przyszłam zrobić sobie herbatę. Nie zapaliłam światła, usiadłam przy stole i odezwałam się do niego: Yacine, wiem, że tu jesteś. Musisz teraz wyjść. Chyba nie chcesz, żeby przyjechała po ciebie policja?

Brak odpowiedzi.

Oczywiście...

Na jego miejscu zachowałabym się tak samo, więc spróbowałam dać mu to, czego sama bym potrzebowała, gdybym była na jego miejscu.

Yacine, posłuchaj mnie. Jeżeli wyjdiesz teraz, to dogadam się z twoją ciotką i twoim wujkiem i obiecuję, że będziesz mógł z nami zostać.

Oczywiście, że ryzykowałam, ale cóż... z różnych aluzji Nathalie wywnioskowałam, że rzeczonemu wujkowi niezbyt zależało na dodatkowej gębie do wykarmienia...

Yacine, *please*. Złapiesz wszystkie pchły od tego psa! Czy odkąd mnie znasz, chociaż raz cię okłamałam?

I usłyszałam: O la la... Nawet nie wiesz, jaki jestem głodny!

- Gdzie był? - spytał Charles. Kate się odwróciła.

- Ława, ta przy ścianie, podobna do kufra... Nie wiem, czy pan to widzi, ale z przodu są dwa otwory... To ławka-buda. Znalazłam ją u antykwariusza zaraz po tym, jak się tu wprowadziliśmy... Uważałam, że to genialny pomysł, ale psy oczywiście nigdy do niej nie wchodziły... Wołały kanapy Ellen... A wtedy, jakoś dziwnie, Hideous siedział w niej non stop i nawet się nie pofatygował, żeby wypraszać kąski podczas kolacji...

- *Elementary, my dear Watson* - uśmiechnął się.

- Nakarmiłam go, zadzwoniłam do wuja i zapisałam chłopca do szkoły... I to by było na tyle, jeśli chodzi o Yacine'a... Nedra znalazła się tu w podobny sposób, nielegalnie, choć w znacznie bardziej dramatycznych okolicznościach... Nie wiedzieliśmy o niej nic, poza tym, że została znaleziona w czymś w rodzaju squatu i miała rozbitą twarz. To było dwa lata temu, więc ona musiała mieć jakieś trzy, chociaż... nigdy nie poznaliśmy jej dokładnego wieku... I to także była kombinacja Nathalie.

I też miała to być tylko tymczasowa przygoda... Byle zdołano naprawić jej szczękę, przetrąconą przez czyjąś ciężką pięść, i zapewnić spokojną rekonwalescencję, zanim zgłosi się po nią jakaś rodzina...

I, proszę mi wierzyć, Charles, życie małego człowieka, który ma wszystkie zęby mleczne, ale nie ma papierów, jest bardzo, bardzo skomplikowane... Znaleźliśmy lekarza, który zgodził się ją zoperować na czarno, ale reszta zapowiadała się beznadziejnie. Nie chcieli jej przyjąć do przedszkola, sama z nią pracowałam. To znaczy... robiłam, co mogłam, bo ona nie mówi...

- W ogóle?

- Trochę... Gdy jest sama z Alice... Ta mała ma pieskie życie... Nie. Przepraszam. Żadnego związku z moimi psami. Nie jest idiotką, świetnie rozumie sytuację... Wie, że któregoś dnia ktoś może po nią przyjechać, a ja nic nie będę mogła dla niej zrobić.

Charles zrozumiał, dlaczego Nadra uciekła wczoraj do lasu.

- Zawsze będzie mogła schować się pod ławą...

- Nie... To nie to samo... Yacine ma prawo tu być, jest w internacie. Po prostu przestawiłam daty i każę mu jeździć do rodziny podczas wakacji. Natomiast ona... Nie wiem... Zbieram dokumenty potrzebne do wszczęcia procedury adopcyjnej, ale to też jest istne piekło. Jak zwykle problem z normami... Musiałabym znaleźć sobie milego męża, pracownika budżetówki. - Uśmiechnęła się. - Jakiegoś nauczyciela czy kogoś...

Zgarbiła się i przeciągnęła w blasku ognia.

- Nooooo - ziewnęła. - Wie pan wszystko.

- A tamtych troje?

- Co?

- Też mogłaby ich pani zaadoptować...

- Tak... Myślałam o tym... Na przykład po to, żeby pozbyć się swoich przybocznych opiekunów, ale...

- Ale?

- Czuję się tak, jakbym po raz drugi zabijała im rodziców...

- Nigdy pani o to nie prosili?

- Owszem. Oczywiście. To zresztą stało się czymś w rodzaju dyżurnego żartu: „Tak, tak, posprzątam pokój... jak mnie zaadoptujesz...”. I tak jest bardzo dobrze...

Długie milczenie.

- Nie wiedziałem, że istnieją... - szepnął Charles.

- Co takiego?

- Ludzie tacy jak pani...

- I ma pan rację. Nie istnieją. W każdym razie ja nie czuję, że istnieją...

- Nie wierzę pani.

- A jednak... Od dziewięciu lat mało się stąd ruszaliśmy... Cały czas próbuję odłożyć trochę pieniędzy, żeby ich zabrać w daleką podróż, ale nie dają rady. Zwłaszcza że w zeszłym roku kupiłam ten dom... To była moja *idée fixe*, chciałam, żebyśmy byli u siebie. Chciałam, żeby dzieci miały gdzieś później swoje miejsce. Będę je nakłaniać, żeby wyjechały, ale chciałam, żeby miały tę bazę... Nagabywałam Renégo dzień w dzień, aż wreszcie się zламаł. No, ale - jęczał - dom należy do rodziny od pierwszej wojny światowej... Czemu miałyby się to zmienić? No i ma siostrzeńców w Guéret...

Przestałam zajeżdzać do niego na kawę w drodze powrotnej ze szkoły i po pięciu dniach dał za wygraną.

Głuptasie, dobrze wiesz, że to my jesteśmy twoimi prawdziwymi siostrzeńcami - obsztorcowałam go delikatnie.

Rzecz jasna, musiałam o tym poinformować sędziego i mojego drogiego zastępcę, a oni zaraz zaczęli się mnie czepiać. Jak to? Czy to rozsądne? Czemu tę ruinę? Kto to będzie utrzymywał?

O, kurwa... Oni nie wiedzieli, czym jest prawdziwa zima... W końcu powiedziałam im: To proste, albo pozwalcie mi sprzedać jedno z mieszkań i kupić ten dom, albo oddaję wam dzieciaki. Nowa sędzia miała już inne problemy na głowie, a tamci dwoje są na tyle głupi, że potraktowali moje słowa poważnie...

Poszłam do notariusza z Reném i jego siostrą i zamieniłam głównianą rezydencję o nazwie „Mimoza” na to wspaniałe królestwo. Ależ zrobiliśmy imprezę tamtego wieczoru... Zaprosiłam całą wioskę... Nawet Corinne Le Men...

Więc widzi pan, jaka byłam szczęśliwa...



Teraz żyję z wynajmu dwóch mieszkań, które mają nadgorliwych administratorów... Ciagle jakieś roboty, nowe tynki, gówna... *Well...* Tak jest chyba lepiej... Kto zająłby się zwierzętami, gdybyśmy stąd wyjechali? Milczenie.

- Żyć? Przeżyć? Być może... Ale nie egzystować. Urosły mi mięśnie, ale mój biedny mózg zmałał po drodze. Teraz piekę ciasta i sprzedaję je na pikniku...

- Nadal pani nie wierzę.

- Nie?

- Nie.

- I znowu ma pan rację... Oczywiście z daleka można powiedzieć „niemal święta”, nie? Ale nie należy wierzyć w dobroć szlachetnych ludzi. Tak naprawdę to oni są największymi egoistami...

Przyznałam się panu, gdy opowiadałam o Ellen, że byłam kobietą ambitną...

Ambitną i bardzo pyszną! Może byłam śmieszna, ale nie żartowałam, gdy mówiłam panu, że chciałam zlikwidować głód na świecie. Mój ojciec wychowywał nas w martwych językach, a matka uważała, że Mrs Thatcher ma dobrą fryzurę, a najnowszy kapelusz *Queen Mum* w Ascot nie pasował do jej sukienki. *So...* niewielka w tym moja zasługa, że aspirowałam do lepszego życia, co?

Tak, byłam ambitna. No i tak... Te dzieci dały mi w prezencie życie, jakiego sama nigdy nie mogłabym mieć, bo nie dorastałam do pięt moim modelom... Całkiem małe życie - skrzywiła się - ale jednak... na tyle zabawne, że słucha pan o nim do trzeciej w nocy...

Odwróciła się i z uśmiechem popatrzyła mu w oczy.

I wtedy, dokładnie w tym momencie, Charles już wiedział.

Że wpadł po uszy.

- Wiem, że pan się spieszy, ale chyba nie wyjedzie pan teraz, co? Może się pan przespać w pokoju Samuela, jeśli pan chce...

Ponieważ skrzyżowała ramiona, a takiej jej jeszcze nie widział, i ponieważ teraz już nie spieszył się wcale, odezwał się:

- Ostatnia rzecz.

- Tak?

- Nie opowiedziała mi pani historii swojego pierścienia...

- Ależ tak! Jak mogłam zapomnieć! Spojrzała na niego.

- Otóż...

Pochyliła się ku niemu i położyła palec wskazujący na prawym policzku.

- Widzi pan tę małą gwiazdkę? Między kurzymi łapkami?

- Oczywiście, że widzę - zapewnił Charles, który tak naprawdę nie widział nic.

- Pierwszy i ostatni policzek, jaki kiedykolwiek wymierzył mi mój ojciec... Miałam jakieś szesnaście lat, zranił mnie pierścieniem... Biedak, odchorował to... Tak to odchorował, że później już nigdy go nie założył...

- Ale co takiego pani zrobiła? - oburzył się.

- Nie pamiętam już... Pewnie powiedziałam, że mam w dupie Plutarcha!

- A to dlaczego?

- Proszę sobie wyobrazić, że Plutarch napisał traktat o wychowaniu dzieci, który mnie strasznie wkurzał! Nie, żartuję, myślę, że poszło o jakieś wieczorne wyjście... Nieważne... Krwawiłam... Oczywiście trochę przesadzałam, ale tak czy inaczej już nigdy nie ujrzałam tego intaglio...

Które zresztą bardzo lubiłam... O którym marzyłam jako mała dziewczynka... Ten niebieski kamień... Nie pamiętam dokładnie... Chyba nazywa się niccolo... I ten motyw... Teraz jest bardzo brudny, ale niech się pan przyjrzy temu młodzieńcowi, idącemu różnym krokiem, z zającem na ramieniu... Uwielbiałam go... Ma taki ładny tyłek... Często pytałam ojca, co się stało z tym pierścieniem, lecz mówił, że nie pamięta. Że może go sprzedał...

Aż dziesięć lat później, gdy wyszliśmy od sędziego i gdy

„kości zostały rzucone”, poszliśmy napić się herbaty przy placu Saint-Sulpice. Mój stary tata zaczął udawać, że szuka okularów, i wyjął pierścień owinięty w chusteczkę. *You make us proud, he said* i podarował mi go. *Here, you'll need it too when you're looking for respect...* Początkowo był za luźny i latał mi wokół środkowego palca, ale po tej tonie drewna, które porąbałam, moje paluchy stały się tak grube, że teraz trzyma się świetnie!

Ojciec zmarł dwa lata temu... Znow rozpacz... Ale rozpacz bardziej naturalna...

Gdy przyjeżdżał latem, kazałam mu pilnować gotujących się konfitur... To naprawdę była robota dla niego... Brał książkę, siadał obok Agi i jedną ręką przewracał strony, a drugą kręcił drewnianą łyżką... Właśnie w jedno takie morelowe popołudnie udzielił mi ostatniej lekcji starożytnej cywilizacji.

Wyznał mi, że mocno się wahał, zanim podarował mi to intaglio, bo, jak twierdził jego przyjaciel Herbert Boardman, sygnet ów nawiązuje do bardzo częstego tematu w starożytnej gemmologii, mianowicie do „ofiar po-  
lnych”.

Tu nastąpił długi wykład na temat pojęcia ofiary, z elegiami Tibullusa i spótki jako ilustracją dźwiękową, ale ja się wyłączyłam. Przyglądałam się jego odbiciu w miedzianej misie i myślałam, że miałam szczęście, dorastając pod okiem tak delikatnego mężczyzny...

Bo, widzisz, owo pojęcie ofiary jest względne i...

*Take it easy, Dad* - zapewniłam go. Dobrze wiesz, że w tym wszystkim *there is no sacrifice at all...* Dalej... Skup się, bo to przypalisz...

Wstała i westchnęła.

- No. To już koniec. Zrobi pan, co pan zechce, ale ja idę spać...

Wyjął jej tacę z rąk i poszedł na zaplecze kuchni.

- Nie do wiary - rzucił. - Dla pani wszystko jest opowieścią i każda opowieść jest piękna...

- Ależ wszystko jest opowieścią, Charles... Absolutnie wszystko i dla wszystkich... Z tym że nikt nigdy nie może znaleźć słuchacza...

Powiedziała mu: ostatni pokój na końcu korytarza. To była niewielka mansarda i Charles, tak jak w pokoju Mathilde, długo oglądał ściany obklejone przez nastolatka. Zwłaszcza jedno zdjęcie przykuło jego uwagę. Było przypięte pinezką nad łóżkiem, w miejscu, gdzie wiesz się krucyfiks, i para, która się na nim uśmiechała, zafundowała mu ostatnie tego dnia poruszenie.

Ellen była dokładnie taka, jak opisała ją Kate: promienna... Pierre całował ją w policzek, trzymając w ramionach śpiącego chłopczyka.

Charles usiadł na brzegu łóżka ze spuszczoną głową i złączonymi dłońmi.

Co za podróż...

Poczuł, że jego życie jest takie inne... Tym razem się nie skarżył, był po prostu... zgubiony.

Anouk.

Co to znowu za cholerstwo?

I dlaczego odeszłaś, skoro ci wszyscy ludzie, których byś uwielbiała, tak się natrudzili, by trwać?

Dlaczego nie przyjeżdżałaś do niej częściej? Zawsze nam powtarzałaś, że prawdziwą rodzinę spotykamy gdzieś po drodze...

No i co? Ten dom byłby twoim domem... I ta piękna dziewczyna też... Pocieszyłaby cię po tamtym...

I dlaczego nigdy do ciebie nie zadzwoniłem? Tyle pracowałem przez te wszystkie lata, a jednak nie pozostawię niczego, co mnie przeżyje... Jedyne ważne fundamenty, te, które zawiodły mnie do tego pokoiku i które zasługiwały na moją całkowitą uwagę, wypełniłem własnym egoizmem i konkursami... najczęściej przegranymi...

Nie, nie użalam się nad sobą, nienawidziłaś tego, ja po prostu...

Drgnął. Jeden z kotów znalazł jego dłoń.

Na ścianie toalety natrafił na pismo Kate w wersji oryginalnej. To był cytat z E.M. Forstera, siedł mniej więcej tak:

*I believe in aristocracy, though... „...a jednak wierzę w arystokrację. Jeżeli to odpowiednie słowo i jeżeli może go użyć demokrat. Nie wierzę w arystokrację władzy opartej na randze i wpływach, lecz w arystokrację uprzejmości, dyskrecji i uporu. Członków takiej arystokracji można znaleźć wszędzie, we wszystkich klasach społecznych i pośród ludzi w każdym wieku. I gdy się spotykają, istnieje między nimi rodzaj sekretnego porozumienia. Są przedstawicielami jedynej prawdziwej ludzkiej tradycji, jedynym stałym zwyczajem naszej dziwnej rasy nad okrucieństwem i chaosem.*

Tysiące z nich giną w mrokach; niewielu zyskuje sławę. Interesują się innymi tak, jak interesują się sobą, są uważni, ale nie do przesady, a ich odwaga nie jest pozą, lecz raczej umiejętnością przetrzymania wszystkiego. I w dodatku... *they can take a joke...* mają poczucie humoru..."

No, no... - westchnął Charles, który już wtedy, gdy jej słuchał, czuł, że robi się coraz mniejszy. - Jeszcze tylko tego brakowało... Zaledwie kilka godzin temu przeczytałby ten tekst, głowiąc się wyłącznie nad kilkoma tłumaczeniowymi zagwozdkami, *queer race, swankiness...* Ale teraz go słyszał. Spróbował ich ciast, wypił ich whisky, łąził z nimi całe popołudnie i widział, jak wszyscy odradzają się w uśmiechu przez łzy.

Zamek już nie istniał, arystokracja trwała.

Skulony, ze spodniami spuszczone do kostek, poczuł się brudny.

Szukając papieru, odkrył jej antologię haiku. Otworzył na chybił trafił i przeczytał:

*Śliniaczku,*

*Wspinaj się na górę Fudzi,*

*Ale powoli, powoli!*

Uśmiechnął się, podziękował Kobayashi Issie za moralne wsparcie i zasnął w łóżku młodego człowieka.

\* \* \*

Wstał o świcie, wypuścił psy. Idąc do samochodu, zboczył, by złapać pierwsze promienie słońca na ochrze stajni. Przyłożył ręce do okna, zobaczył masę uspiionych nastolatków, pojechał do piekarni i kupił mnóstwo croissantów. To znaczy... tego, co zaspana sprzedawczyni nazywała croissantami...

Paryżanin powiedziałby pewnie „tych waszych pulchnych, zakrzywionych bułeczek”.

Gdy wrócił, w kuchni pachniało kawą, a Kate była w ogrodzie.

Przygotował tacę ze śniadaniem i poszedł do niej.

Odłożyła sekator. Chodziła bosą po rosie, była jeszcze bardziej rozczochrana niż sprzedawczynie w piekarni i wyznała mu, że nocą nie zmrużyła oka.

Zbyt wiele wspomnień...

Ścisnęła filiżankę z kawą, żeby się ogrzać.

Słońce wschodziło po cichu. Nie miała nic więcej do powiedzenia, a Charles miał do przemyślenia zbyt wiele... Przyszły dzieci i ocierały się o nią jak koty. - Co pani będzie dziś robić? - spytał.

- Nie wiem... - Miała dość smutny głos. - A pan?

- Mam dużo pracy...

- Wyobrażam sobie... Ściągnęliśmy pana na złą drogę...

- Tego bym nie powiedział...

I ponieważ rozmowa schodziła na smutne tory, dodał weselej:

- Jutro muszę lecieć do Nowego Jorku i raz jeden jadę tam jako turysta... Wieczór poświęcony staremu architektowi, którego bardzo lubię...

- Naprawdę, jedzie pan tam? - Poweselała. - Ależ okazja! Gdybym mogła pana poprosić...

- Śmiało, Kate, śmiało. Proszę powiedzieć.

Kazała Nedrze przynieść coś ze swojego nocnego stolika i podała mu to.

Małe blaszane pudełko z borsukiem namalowanym na wieczku.

*Badger*

*Healing balm*

*Relief for hardworking hands* Przynosi ulgę spracowanym rękom...

- To jest sadło borsuka? - roześmiał się.

- Chyba bobra... W każdym razie nigdy nie znalazłam niczego skuteczniejszego... Dotąd przysyłała mi to przyjaciółka, ale się przeprowadziła...

Charles odwrócił pudełeczko i przetłumaczył głośno:

- „Paul Bunyon rzekł pewnego dnia: dajcie mi odpowiednią ilość badgeru, a zakleję wszystkie rysy w Wielkim Kanionie”. W rzeczy samej. Niezły program... Gdzie to mogę dla pani znaleźć? W jakimś drugstorze?

- Będzie pan w okolicy Union Square?

- Ma się rozumieć - skłamał.

- Kłamie pan.

- Ma się rozumieć, że nie.

- Kłamca.

- Kate, będę miał kilka wolnych godzin i byłbym... zaszczycony, mogąc poświęcić je pani... To na samym Union Square?

- Tak. W sklepiku o nazwie „Vitamin Shoppe”, chyba... A jeśli nie, to może w „Whole Foods”...

- Świetnie. Poradzę sobie.

- I...

- I?

- Jeśli pójdzie pan niżej, na Broadway, jest tam taka księgarnia, Strand. Gdyby miał pan dwie dodatkowe minuty, mógłby pan w moim imieniu szybko przejść się między półkami? Marzę o tym od tak dawna...

- Mam pani przywieźć jakąś konkretną książkę?

- Nie. Tylko atmosferę... Proszę wejść, pójść do końca na lewo, tam gdzie stoją biografie, proszę na to wszystko popatrzeć i odetchnąć z myślą o mnie.

Oddychać z myślą o pani? Mmmm... Czy muszę jechać tak daleko?

Szukając drogi do łazienki, natknął się na Yacine'a pogrążonego w lekturze słownika.

- Powiedz mi, jak wysoka jest góra Fudzi.

- Eeee... zaczekaj... „Najwyższy szczyt Japonii, wygasły wulkan o wysokości trzech tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu metrów”.

Wygasły? Akurat!

Wziął prysznic, zastanawiając się, jakim cudem tak liczna rodzina wytrzymuje w tak spartańskich warunkach. Nie było tu ani śladu kremu upiększającego... Obszedł wszystkie pokoje, wycalował dzieci i poprosił je, żeby pozdrowiły starsze, jak się obudzą.

Wszędzie szukał Kate.

- Pojechała zawieźć kwiaty Totette - poinformowała go Alice. - Kazała mi cię pożegnać od siebie.

- Ale... Kiedy wróci?

- Nie wiem.

- Ach?

- No tak, dlatego kazała mi cię pożegnać...

Więc ona również wolała unikać niepotrzebnych scen...

Ten niemożliwy odjazd wydał mu się bardzo trudny.

Pod ciemnym sklepieniem dębów pomyślał o odjeździe Ellen i o tym, jak Baloo uczył Mowglię piosenki:

*Niewiele potrzeba do szczęścia,*

*O! tak! Niewiele do szczęścia potrzeba...*

Odetchnął, poczuł ból, skręcił w lewo i wjechał na asfalt.

## PARYŻ 389

Przez pierwsze trzysta osiemdziesiąt osiem kilometrów Charles myślał tylko o tych, nadal świeżych, godzinach. Włączył GPS i dał się osaczyć tysiącom obrazów.

Zraniony ptaszek, Nedra z poluzowaną szczęką, imiona koni, uśmiech Lucasa w lusterku, jego wielka szabla ze złoczonego kartonu, dzwonnica kościoła, kasztanowce obrzucane gąbkami do tablicy, list miłosny, który Alexis nosi w portfelu, smak port ellen, wrzaski jednej z gidii, gdy Léo chciał opryskać ją sprayem „Gratka dla dzika, woń lochy podczas rui”, zapach truskawkowych żelków Haribo, które skwierczały nadziane na patyki, plusk rzeki w nocy, noc pod gwiazdami, gwiazdy, podobno rozpoznawane przez mężczyznę, z którym chciała mieć dziecko, osły w Ogrodzie Luksemburskim, Quick, do którego często zabierał Mathilde, sklep z zabawkami przy rue Cassette, przed którym oni też lubili marzyć i który nazywał się „Był sobie raz...”, martwe muchy w pokojach masztalerzy, ten idiota Matthew, który nie umiał wyizolować DNA Od szczęścia, kragłość jej kolana, gdy usiadła obok, rozmowa, która nastąpiła potem, wstrząs Alexisa, ten futerał, którego nie chciał już otwierać, smutny uśmiech Dużego Psa, krzywe spojrzenie lamy, mruczenie kota, który przyszedł go wyciągnąć z nieutulonej rozpaczki, widok znad filizanek z kawą dziś rano, ten mur powszedniej nudy, jakim Corinne otoczyła swojego wrażliwego męża, śmiech ich Marion, która niedługo przyjdzie i ten mur roztrzaska, sposób, w jaki dmuchała w grzywkę, nawet gdy jej włosy były porządnie związane, krzyki dzieci i łoskot puszek na szkolnym boisku, różany krzak Wedding Day uginający się przed altaną, ruiny Pompei, taniec jaskółek i stukanie miotłą w sufit, gdy powtarzali kawałek Nina Roty, głos Niani, który wysłał ich do łóżek ostatni raz, pęcherz moczowy kierowcy ciężarówki, stary profesor, który zostawił na twarzy młodszej córki ślad po pięknym efebie, smak jeszcze ciepłych owoców, którego nie znał, ta koszulka polo, której nigdy więcej nie włoży, przepowiednia Renégo, ich wygłupy na wadze, mysz na dywanie, dziesięcioro dzieci, z którymi zjedli wczoraj kolację, zadania domowe odrabiane w świetle lampy i zgoda, której nie przyznano, ten most, który zawali się pewnego dnia i na dobre odetnie ich od świata, piękno wiązań dachowych, zielonoszare plamy porostów na kamiennych schodach, jej kostka na wyciągnięcie ręki, zarys zamków, delikatność gzymsu, wrak samochodu, dwie noce, które Kate spędziła w hotelu obok domu pogrzebowego, pracownia Alice, smród przypalonych trampków, kark ozdobiony pieprzykiem, o którym bez przerwy maniakalnie myślał, słuchając jej zwierzeń, jak gdyby Anouk puszczała do niego oko za każdym razem, gdy Kate kryła twarz w dłoniach, żeby śmiać się albo płakać, odporność małego Yacine'a, odporność ich wszystkich, zapach wiciokrzewu i lukarny „kapucyńskie”, korytarz na pierwszym piętrze ze ścianą, na której wszyscy zapisywali swoje marzenia, marzenie Kate, kondolencje od mundurowego, urny w szopie, prezerwatywy pośród kawałków cukru, twarz jej siostry, to życie, które zostawiła, te łóżka, które ze sobą zsunęła, ten paszport, który pewnie już stracił ważność, marzenia o obfitości, które uczyniły ją bezpłodną, grubość ścian, zapach poduszki Samuela, śmierć Ajschylosa, samochodowe reflektory nocą, cienie, które rzucały, okno, które otworzyła, i...

Na ostatnim kilometrze w Paryżu, gdzie aktualny stan powietrza był, jak informowały tablice świetlne, „dość dobry”, zdał sobie sprawę, że drogę „tam” odbył opętany śmiercią, a drogę „z powrotem” - zadziwiony życiem.

Jedna twarz nałożyła się na drugą i litera, która łączyła imiona ich obu, wstrząsnęła nim ostatecznie.

Nie potrzebował instrukcji obsługi, wiedział już, że przeznaczenie ma kształt litery „K”.

## 2

Od razu pojechał do pracowni. Już miał wpaść we wściekłość, bo nie wszystkie światła były wyłączone. Po-  
stanowił, że nie. Innym razem. Podłączył telefon do ładowarki, odszukał torbę i nareszcie się przebrał. Walcząc z  
nogawką, dostrzegł stos korespondencji oczekujący na biurku.

Zapiął pasek i nie mrugnawszy nawet okiem, włączył komputer. Złe wiadomości zostawił w tyle, reszta to  
będą tylko przeszkody, a przeszkodami nie będzie już się martwić. Te ich nowe normy, debata Grenelle o ochronie  
środowiska, ich wszystkie prawa, ich pełne hipokryzji dekrety o ratowaniu i tak już wykrwawionej Ziemi, ich kosz-  
torysy, kursy, odsetki, konkluzje, wezwania, ponowne wezwania i reklamacje, szumowiny, szumowiny, wszystko to  
tylko szumowiny. Tu, obok nas, żyją ludzie, którzy należą do innej kasty, rozpoznają się wśród tłumu. I oni dopu-  
ścili go do swoich tajemnic.

On jednak nie był jednym z nich. Nie charakteryzował się odwagą i był daleki od „przetrzymywania” nawet  
najmniejszych przeciwności. No, ale właśnie. Teraz już nie mógł udawać, że ich nie zna. Anouk dała mu zdechłe  
ptaszysko, a on zapuścił się aż do kurnika...

Wrócił ze zmasakrowaną twarzą, ale wioził w swych ładowniach przyprawy i złoto.

Nie obrzucajcie kartografa zaszczytami, nie przyjmujcie go na dworze, pozwólcie mu po prostu przetopić to  
wszystko na ołów.

Poruszyła go nie tyle opowieść o jej życiu, ile to, co powiedziała jego cieniowi.

Być może nigdy już tam nie wróci, może nigdy nie będzie miał okazji powiedzieć jej do widzenia, być może  
nigdy się nie dowie, czy Samuel wystarczająco dobrze trenował, ani nie usłyszy głosu Nedry, ale jedno jest pewne:  
w jakimś sensie pozostanie tam na zawsze.

Od tej pory, gdziekolwiek pójdzie, cokolwiek zrobi, będzie z nimi i będzie szedł naprzód z otwartymi dłoń-  
mi.

Anouk nie dbała o to, czy rozkłada się tam, czy gdzie indziej. Nie dbała o nic, tylko o to, co właśnie mu po-  
darowała, a czego sama sobie odmówiła.

Posługując się określeniem Kate, Charles „nie dorastał do pięt swoim modelom”, nie miał dzieci i zginie „w  
mrokach”, ale zanim to nastąpi, będzie żył. Żył.

I to był ten jego szczęśliwy los, schowany pod stosem pasztetów i kielbas.

Pogrążony w swych złotych, liryczno-wędliniarskich myślach, przeczytał e-maile i wziął się do pracy. Po  
kilku minutach wstał i ruszył ku regałom. Poszukał słownika kolorów.

Było coś, co od samego początku nie dawało mu spokoju... *Blond wenecki: kolor włosów o mahoniowych  
refleksach. Nazwa „blond wenecki” wzięła się od urody Wenecjanek.* Tak właśnie myślał...

Przy okazji w słowniku Petit Larousse poszukał „harapu”.

Masz rację, chłopie, rób tak dalej.

Wzruszył ramionami i naprawdę wziął się do pracy. Kłopoty atakowały go z każdej strony? To bez znaczenia.

Miał przecież pod ręką „wielki bicz na konie pracujące w kieratach”.

Utrzymał się w stanie koncentracji do godziny dziewiętnastej, oddał samochód i wrócił do domu pieszo.

Miał nadzieję, że spotka kogoś za drzwiami... Dwie automatyczne sekretarki, które kolejno przepętał na tę okoliczność, nie potrafiły udzielić mu odpowiedzi.

Ciągle nieco sztywny, poszedł w górę rue des Patriarches.

Był głodny i marzył, by usłyszeć w oddali dźwięk dzwonka...

### 3

- Nie całuję cię, właśnie nałożyłam sobie maseczkę - uprzedziła go, ledwo poruszając ustami. - Nawet nie wiesz, jaka jestem wykończona... Spędziłam weekend z histerycznymi Koreankami... Chyba wezmę kąpiel i pójdę się położyć...

- Nie zjesz kolacji?

- Nie. Nasiedziałyśmy się w Ritzu, za dużo zjadłam. A ty? Wszystko dobrze poszło?

Nie podniosła głowy. Zapadła się w kanapę, przeglądając amerykańskiego „Vogue'a”.

- Spójrz tylko, jakie to wulgarne...

Nie. Charles nie miał ochoty spojrzeć.

- A Mathilde?

- U koleżanki...

Przytrzymał się klamki i poczuł chwilowe... wyczerpanie.

To była kuchnia na wymiar, wymyślona przez jednego z przyjaciół Laurence, architekta wnętrz, aranżera przestrzeni, stwórcy powierzchni, wyzwoliciela światła i innych przygnębiających debilizmów.

Fronty z bardzo jasnego klonu, szerokie pionowe pilastry ze stali nierdzewnej, blat z dolomitu, przesuwne drzwi, jednokomorowy przyspawany zlew, pion ciepły, pion zimny, sprzęt od Miele, mocny okap, ekspres do kawy, piwniczka na wina, piekarnik parowy i tego typu bajery. Tak, tak. Była piękna...

Czysta, porządna, nieskalana. Piękna jak kostnica.

Problem w tym, że nie było w niej nic do jedzenia... Sporo pudełek z kremami na drzwiczkach lodówki, ale żadnego mleka... La Prairie... Coca Cola light, jogurty zero procent, dania pakowane próżniowo i mrożone pizze.

No tak, Mathilde odlatywała na drugi dzień... A to ona nadawała rytm tym namiastkom posiłków, które tutaj przygotowywano... Laurence gotowała dla przyjaciół, ale, jak twierdziła, rozpraszały ją częste podróże i nieprzewidywalny czas pracy.

Teraz zadowalali się mrożonkami...

Jednak, ponieważ postanowił już więcej nie wdychać nad jej niedostatkami, wyjął z teczki ostatni numer pisma „Moniteur” i poszedł ją poinformować, że idzie na dół, do knajpki.

- Ależ... - zmarszczyła się maseczka - co ci się stało? Musiał wyglądać na równie zaskoczonego, bo dodała:

- Biłeś się? Ach... To?



To było tak dawno... W poprzednim życiu...

- Nie, ja... Wpadłem na drzwi...

- To okropne.

- Och... Są gorsze rzeczy.

- Nie, ale ja mówiłam o twojej twarzy!

- Ach. Przepraszam.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku? Jakoś dziwnie wyglądasz...

- Jestem głodny... Idziesz ze mną?

- Nie. Mówiłam ci, że jestem wykończona.

Przekartkował nad antrykotem swoją cotygodniową biblię i zamówił drugie piwo, żeby popić frytki z sosem béarnaise. Jadł z apetytem i prawie świeżym okiem czytał strony z ogłoszeniami o przetargach. Nie wiedział, czy sprawiła to dwunastogodzinna dawka snu u Alexisa, czy też noc spędzona w Les Vesperies, ale w ogóle nie czuł zmęczenia.

Zamówił kawę i wstał, żeby kupić paczkę papierosów.

Zawrócił przed samym kontuarem.

Poczucie solidarności.

Zaniechanie palenia miało być sposobem na zaćmienie natury braku.

(Nie był autorem tej myśli).

Usiadł, ścisnął kostkę cukru, wsunął paznokieć pod opakowanie z białego papieru i zastanowił się, co też ona robi w tej samej sekundzie...

Za dwadzieścia dziesiąta...

Czy siedzą jeszcze przy stole? Czy jedzą na powietrzu? Czy jest równie ciepło jak wczoraj? Czy dziewczynki znalazły odpowiednie akwarium dla Pana Błopa? Czy starsi zostawili siodlarnię w stanie, a jakim chcieliby ją zastać bracia Blason, gdyby wrócili z wygnania? Czy ogrodzenie łąki jest dobrze zamknięte? Czy Duży Pies znów leży u stóp żeliwnej *nanny*?

A ona?

Czy siedzi przy kominku? Czyta? Marzy? A jeśli tak, to o czym? Czy myśli o...

Nie dokończył ostatniego pytania. Przez pół roku walczył z duchami, właśnie zafundował sobie górę frytek, żeby odzyskać stracony czas i centymetry w pasie, i nie chciał już więcej tracić z oczu swojego szczęśliwego losu.

Nie, wcale nie był zmęczony. Zakreślił dwa-trzy projekty, które wydały mu się ciekawe. Miał przecież do spełnienia arcyważną misję: musiał znaleźć borsuka w Nowym Jorku. Nie znał jej nazwiska, ale był pewien, że jeśli napisze: „Panna Kate, Les Vesperies”, listonosz odnajdzie ją i przekaże jej maść.

Zadzwoił do Claire, opowiedział jej o Alexisie, rozśmieszył ją. Miał jej tyle do powiedzenia... Mam jutro bardzo ważne posiedzenie, muszę koniecznie przejrzeć akta - powiedziała z żalem. Umówimy się niedługo na obiad?

I gdy miała odkładać słuchawkę, powtórzył jej imię.

- Tak?

- Czemu mężczyźni są takimi tchórzami?

- A... Czemu mnie o to tak nagle pytasz?

- Nie wiem... Ostatnio spotkałem ich naprawdę wielu...

- Czemu? - westchnęła. - Chyba dlatego, że nie dają życia... Wybacz, to stereotypowa odpowiedź, ale zaskoczyłeś mnie i nie zdążyłam dogłębnie zbadać tej sprawy... Ale... Mówisz to w związku ze mną?

- W związku z wami wszystkimi...

- Na głowę upadłeś czy co?

- Tak. Zaczekaj, pokażę ci.

Bezradna Claire odłożyła telefon na stos trudnych akt. Zawibrował ponownie. Zobaczyła na ekranie poturbowaną twarz brata i parsknęła po raz ostatni, po czym wróciła do swoich oczyszczalni ścieków.

Alexis w klapkach nad gazowym grillem... Coś pięknego... I brat, który miał dziś taki wesoły głos...

Więc odnalazł tę swoją Anouk... - pomyślała z nieco melancholijnym uśmiechem.

\* \* \*

Melancholijnym? Słabe słowo. Gdy Kate wróciła przed południem do domu, wiedziała, że nie będzie już jego samochodu, a jednak... nie mogła się powstrzymać, by nie poszukać go wzrokiem.

Zmarnowała cały dzień. Wróciła sama do wszystkich miejsc, które mu pokazała. Szopy, kurnik, stajnie, wazownik, wzgórze, rzeka, altana, ławka, na której jedli śniadanie pośród szaławii - i... wszystko było wyludnione.

Kilka razy powiedziała dzieciom, że jest zmęczona.

Że jeszcze nigdy nie była taka zmęczona...

Dużo gotowała, żeby zostać w tej kuchni, w której spędzili część nocy w towarzystwie Ellen.

Po raz pierwszy od wielu lat przerażała ją perspektywa wakacji. Dwa miesiące sama z dziećmi... Mój Boże...

- Co ci się stało? - spytał Yacine.

- Czuję się stara...

Siedziała na podłodze, oparta plecami o swoje piekarniki, z głową Dużego Psa na kolanach.

- No coś ty, nie jesteś stara! Zostało dużo czasu do twoich dwudziestych szóstych urodzin...

- Masz rację - roześmiała się. - Nawet bardzo dużo czasu!

Robiła dobrą minę aż do ostatniej jaskółki, ale leżała już w łóżku, gdy Charles spotkał Mathilde na korytarzu.

- No, no - wystraszyła się. - Z czego były te drzwi? - Stała na palcach. - No dobra... Gdzie celować, żeby dać ci buzi?

Poszedł za nią i zwałił się na jej łóżko, tymczasem ona pakowała walizki i opowiadała mu, co robiła podczas weekendu.

- Jaką chcesz muzykę?

- Coś cool...

- Ale chyba nie jazz? - spytała przerażona.

Odwróciła się do niego plecami i liczyła właśnie skarpetki, gdy spytał:

- Czemu przestałeś jeździć konno?

- Czemu mnie o to pytasz?

- Bo właśnie spędziłem dwa dni wśród dzieci i koni i cały czas myślałem o tobie...

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się.

- Cały czas. Co minuta zastanawiałem się, czemu nie zabrałem cię ze sobą.

- Nie wiem... Bo trzeba było daleko jeździć... Bo...

- Bo co?

- Bo ty się ciągle bałeś.

- Koni?

- Nie tylko. Że spadnę... Że przegram... Że się uderzę... Że będzie mi za zimno albo za ciepło... Że są korki... Że mama czeka... Że nie zdążę odrobić lekcji... Że... Miałam wrażenie, że marnuję ci weekendy...

- Ach, tak? - szepnął.

- Nie, ale nie tylko to...

- Co jeszcze?

- Nie wiem... Dobra, będziesz musiał zejść z łóżka...

Zamknął za sobą drzwi i poczuł się, jak gdyby wygnano go z raj.

Pozostała część mieszkania onieśmielała go.

Dalej - otrząsnął się. A co to znowu za komedia? Jesteś u siebie! Mieszkasz tutaj od lat! To są twoje meble, twoje książki, twoje ubrania, twój czynsz... *Come on, Czarlz...*

Wróć.

Łaził bez celu po salonie, zrobił sobie kawę, wytarł blat, przekartkował magazyny, nie przejrzał nawet obrazków, podniósł wzrok na bibliotekę, stwierdził, że jest za bardzo uporządkowana, zaczął szukać kompaktu, ale zapomniał, jakiego, umył filiżankę, osuszył ją, schował, znów wytarł blat, odsunął taboret, dotknął żebra, postanowił wypastować buty, poszedł do przedpokoju, kucnął, znowu się skrzywił, otworzył szafkę i wypastował wszystkie buty.

Zdjął z kanapy poduszki, zapalił lampę, położył teczkę na stoliku do kawy, znalazł okulary, wyjął dokumentację, przejrzał obrazki, przebiegł po tekście niewidzącym wzrokiem, zaczął od początku, opadł w tył i nasłuchiwał odgłosów z podwórza. Wyprostował się, spróbował raz jeszcze, zsunął okulary i potarł powieki, zamknął teczkę i położył na niej rękę. Widział tylko jej twarz.

Chciał być zmęczony.

Umył zęby, dyskretnie pchnął drzwi wspólnej sypialni, zauważył w półmroku plecy Laurence, położył ubranie na wyznaczonym do tego fotelu, wstrzymał oddech i uniósł swoją część kołdry.

Przypomniał sobie swój ostatni popis. Poczul jej zapach, jej ciepło. Miał zamęt w sercu. Chciał kochać.

Przytulił się do niej, wyciągnął rękę i wsunął między jej uda. Jak zwykle przeszył go dreszcz, gdy poczuł gładkość jej skóry. Podniósł jej ramię i polizal ją pod pachą, czekając, aż się odwróci i całkiem otworzy. Przesunął pocałunkami po linii jej biodra, złapał ją za łokieć, żeby się nie ruszała, i...

- A co to za zapach? - odezwała się.

Nie zrozumiał jej pytania, naciągnął na siebie kołdrę i...

- Charles? Co to za zapach? - spytała drugi raz, odkrywając się.

Westchnął. Odsunął się od niej. Odpowiedział, że nie wie.

- Twoja marynarka, prawda? Twoja marynarka śmierdzi ogniskiem...

- Być może...

- Zdejmij ją z tego fotela, proszę cię. To mnie dekoncentruje.

Wyszedł z łóżka. Zebrał ubranie. Wrzucił je do wanny.

Jeżeli nie wrócę tam teraz, nie wrócę już nigdy. Wrócił i położył się plecami do niej.

- No i co? - pytały jej paznokcie, rysując długie ósemki wzdłuż jego ramienia.

No i nic. Udowodnił jej, że nadal mu staje. A teraz niech spada.

Wielkie ósemki zmieniły się w małe zera, aż całkiem zniknęły.

I znów to ona zasnęła pierwsza. Nic dziwnego.

Nasiedziała się w Ritzu z histerycznymi Koreankami.

Charles za to liczył barany.

I krowy, i kury, i koty, i psy. I dzieci.

I jej *beauty marks*.

I kilometry...

Wstał o świcie, wsunął liścik pod drzwi Mathilde. „O jedenastej na dole. Nie zapomnij dowodu”. A do tego trzy krzyżyki, bo tak właśnie całowano tam, dokąd jechała.

Otworzył drzwi na dwór. Odetchnął.

## 4

- Mamy jeszcze prawie godzinę, chcesz coś zjeść?

- ...

To nie była Mathilde, jaką znał.

- Hej! - Złapał ją za kark. - Stresujesz się czy co?

- Trochę... - Dmuchnęła mu w pierś. - Nie wiem nawet, dokąd jadę...

- Przecież pokazałaś mi zdjęcia, wyglądają na bardzo *kind* ci MacJacyśtam...

- Ale miesiąc to jednak długo...

- Skąd... Szybko minie... Poza tym Szkocja jest taka piękna... Spodoba ci się... No, chodź, zjemy coś...

- Nie jestem głodna.

- No to się napijemy. Chodź...

Utorowali sobie drogę pośród walizek i wózków i znaleźli miejsce w jednej z obskurnych lotniskowych kafejek. Tylko w Paryżu lotniska są takie brudne - pomyślał Charles. Trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy, *famous* frenczi-dezynwoltura czy pewność siebie wynikająca z tego, że najpiękniejsze miasto świata jest na wyciągnięcie ręki, wystarczy spędzić parę chwil w towarzystwie zrzedzającego taksówkarza. Nie znał przyczyny, ale za każdym razem go to przygnębiało.

Przygryzała koniec słomki, rzucała wokół zaniepokojone spojrzenia, sprawdzała godzinę na wyświetlaczu telefonu i nawet nie założyła słuchawek.

- Nie martw się, kochanie, jeszcze nigdy w życiu nie spóźniłem się na samolot...

- Czyżby? A co, lecisz ze mną? - udała, że nie rozumie.

- Nie - zaprzeczył ruchem głowy. - Ale co wieczór będę ci wysyłał SMS-a.

- Obiecujesz?

- *I promise*.

- Ale nie po angielsku?

Musiała się wysilać, żeby zachować pozory dezynwoltury...

Charles także.

Po raz pierwszy jechała tak daleko i na tak długo. Perspektywa wakacji przerażała go. Miesiąc w mieszkaniu, we dwoje, bez tego dzieciaka... Mój Boże...

Wyjął jej z rąk plecak i odprowadził aż do rentgena.

Szła powoli, więc sądził, że ogląda wystawy. Zaproponował, że kupi jej gazety.

Nie miała ochoty.

- To może gumę do żucia?

- Charles... - Znieruchomiała.

Przeżywał już podobne sceny. Często odprowadzał ją, gdy jechała na kolonie, i wiedział, jak bardzo ta przebojowa dziewczynka traciła rezon, gdy zbliżał się czas odjazdu.

Odnalazł jej dłoń, poczuł, że schlebia mu fakt, iż to właśnie on jest dla niej wsparciem. Przygotowywał w myślach kilka zdań, zdecydowanych, lecz pocieszających, które mógłby jej wsunąć do tylnej kieszeni.

- Tak?

- Mama powiedziała, że się rozstaniecie...

Zadrżał lekko. Poczul, jak airbus wbija mu się w skroń.

- Ach?

Krótką, zduszona sylaba, która mogła oznaczać: „Ach?

Więc ci powiedziała?“, jak również: „Ach? Nic mi o tym nie wiadomo...”

Nie miał siły na zabawę w kotka i myszkę.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Wiem... Czekala, aż się lepiej poczujesz, żeby ci o tym powiedzieć.

Jakiś strasznie wielki model ten ich A3 80, nie?

- Mówi, że od kilku miesięcy nie jesteś sobą, ale jak tylko poczujesz się lepiej, rozstaniecie się...

- Wy... macie niezłe tematy, chyba nie jesteś w odpowiednim wieku... - zaledwie tyle zdołał z siebie wydusić.

Naprzeciw nich wznosił się terminal.

- Charles?

Odwróciła się do niego.

- Mathilde?

- Zamieszkam z tobą.

- Słucham?

- Jeżeli naprawdę się rozstaniecie, to, uprzedzam, odejdę razem z tobą.

Ponieważ ostatnie słowa wybełkotała tonem *cowgirl* plującej tytoniem, odpowiedział jej w podobnym stylu.

- Och, już to widzę! Mówisz tak, żebym nadal robił za ciebie zadania z matmy i z fizyki!

- *Damned*. Jak na to wpadłeś? - zmusiła się do uśmiechu. Nie mógł dłużej utrzymać tego tonu. Miał w żołądku turbulencje.

- A nawet jeśli to prawda, to dobrze wiesz, że to niemożliwe... Nigdy nie ma mnie w domu...

- Właśnie dlatego... - zażartowała znowu. Ale widząc, że on się wyłączył, dodała:

- To są wasze sprawy, mam to gdzieś, ale odejdę z tobą. Musisz to wiedzieć...

Zaproszono pasażerów na pokład.

- Jeszcze się nie rozstaliśmy - szepnął jej do ucha, objąwszy ramionami.

Nie odpowiedziała. Uważała pewnie, że jest naiwniakiem. Przeszła przez bramkę, odwróciła się, posłała mu całusa. Ostatniego całusa swojego dzieciństwa.

Jej lot zniknął z tablicy informacyjnej. Charles nadal tam stał. Nie ruszył się o milimetr, czekał na ratunek. Zadzwoiła jego kieszeń: *masz nową wiadomość. „♥ CIE”*

Zaczął dziać klawisze, i musiał wytrzeć sobie dłoń o serce, żeby przypomnieć jej, jak to się robi. „MI 2”

Spojrzał na zegarek, zawrócił, potrącił kilka osób, potknął się o torby, swoją zostawił w przechowalni, biegł aż do postoju taksówek, próbował wepchnąć się bez kolejki, dostał burę, zlokalizował motocyklistę „przewóz osób” i poprosił, żeby zawiózł go tam, gdzie właśnie przeląła się czara.

Nigdy więcej nie wsiądzie do samolotu chwiejnym krokiem.

Nigdy więcej.

## 5

Jakieś sto metrów od liceum, do którego po wakacjach miała chodzić Mathilde, pchnął drzwi agencji nieruchomości, oświadczył, że szuka mieszkania, dwie sypialnie i salon, możliwie najbliżej, pokazano mu zdjęcia, dodał, że nie ma czasu, wybrał najbardziej jasne, zostawił wizytówkę i podpisał czek na grubą sumę, żeby potraktowali go poważnie.

Powiedział, że wróci za dwa dni.

Znowu włożył kask i poprosił swojego szofera, żeby go zawiózł na drugi brzeg.

Powierzył mu swoją teczkę i zapewnił, że to nie potrwa długo.

Słynna beżowa wykładzina od Chanel... Cofnął się dziesięć lat wstecz, znów miał ciężkie buty i siedł pod obstrzałem wzroku uniozonego posługacza.

Kazał ją poprosić. Dodał, że to pilne.

Zadzwoiła komórka.

- Spóźniłeś się na samolot - zaniepokoiła się Laurence.

- Nie, ale możesz zejść?

- Mam spotkanie...

- Więc nie schodź. Chciałem ci tylko powiedzieć, że czuję się lepiej.

Usłyszał, jak pod jej ładną opaską brzęczą kolczyki.

- Ale... Ty chyba też miałeś gdzieś lecieć?

- Polecę. Nie martw się... Czuję się lepiej, Laurence, czuję się lepiej.

- Posłuchaj, bardzo się cieszę - roześmiała się nieco nerwowo.

- Więc możesz mnie zostawić.

- A co... A co to znów za historia?

- Mathilde zwierzyła mi się z waszych wzajemnych zwierzeń...

- To śmieszne... Zaczekaj, zaraz przyjdę...

- Spieszę się.

- Już idę.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, uznał, że Laurence ma zbyt mocny makijaż.

Nie miał nic do dodania.

Znalazł mieszkanie, musiał się streszczać, miał lot.

- Charles, przestań. To nic takiego... Takie babskie rozmowy... Wiesz, jak to jest...

- Wszystko w porządku. - Uśmiechnął się do niej. - Wszystko w porządku, to ja odchodzę. To ja jestem dra-  
niem.

- Cóż... Skoro tak mówisz...

Do końca będzie podziwiał jej klasę.

Coś jeszcze mówiła, ale ponieważ miał kask, kiwnął tylko głową, nie dosłyszawszy niczego.

Klepnął chłopaka w udo i kazał mu wieść się wężykiem między samochodami.

Nie mógł nie zdążyć na ten lot. Musiał wypłoszyć borsuka.

\* \* \*

Kilka godzin później Laurence Viard pójdzie do fryzjera. Wkładając pelerynę, uśmiechnie się do małej Jessiki i usiądzie przed lustrem, podczas gdy druga fryzjerka będzie przygotowywać jej kolor. Weźmie magazyn, przejrzy plotki, uniesie głowę, spojrzy przed siebie i zacznie płakać.

Co się stanie z nią później, nie wiadomo.

Przestała być elementem tej opowieści.

## 6

Rzucił się na ogromną dokumentację zatytułowaną *P.B. Tran Tower/Exposed structures* i obrabiał ją aż do momentu, w którym stewardesa poprosiła go o złożenie stolika.

Przeczytał notatki, sprawdził nazwę hotelu, popatrzył przez okienko na zarysy miast i pomyślał, że chętnie by się przespał.

Że jest wykończony.

Myślał też o wielu innych sprawach. O pracy, którą właśnie wykonał, która sprawiała mu radość i którą mógłby wykonywać w każdym miejscu na świecie. W swoim biurze, w obcym dwupokojowym mieszkaniu, w fo-  
telu w samolocie, w...

Zamknął oczy, uśmiechnął się.

Wszystko to będzie bardzo skomplikowane.

I dobrze.

Szukanie rozwiązań to jego fach.

„Detal połączenia pomiędzy kamiennymi modułami kolumn, przykład zastosowania systemu stalowych złą-  
czek” - informował opis pod jego ostatnim szkicem.

Grawitacja, trzęsienia ziemi, cyklony, wiatr, śnieg... Wszystkie te gówniane przeszkody, które noszą nazwę  
„koszty eksploatacyjne” i które, właśnie sobie o tym przypomniał, zawsze bardzo go bawiły...

Wysłał SMS-a do Highlands i postanowił nie dotykać zegarka.

Chciał żyć w tym samym czasie co ona.

\* \* \*

Wstał bardzo wcześnie, umówił się z portierem w sprawie odbioru wypożyczonego smokingu, wypił kawę z kartonowego kubka, idąc w dół Madison. Jak zawsze w tym mieście szedł z nosem zadartym do góry. Faceta, który jako dziecko lubił bawić się konstrukcyjnymi klockami Meccano, Nowy Jork przyprawiał o ból szyi.

Po raz pierwszy od lat wstąpił do butiku i kupił sobie ubrania. Marynarkę i cztery nowe koszule.

Cztery!

Odwracał się od czasu do czasu. Nasłuchiwał, obawiał się czegoś. Czyjeś dłoni na ramieniu, oka wpisanego w trójkąt, głosu, który zagrzmi z drapacza chmur: „Hej, ty... Nie masz prawa być taki szczęśliwy... Co ty znowu ukradłeś, co tam chowasz na sercu?”

Nie... ja tylko... mam chyba złamane żebro.

Podnieś rękę i pokaż.

I Charles posłuchał, i popłynął z nurtem *passers-by*.

Kręcił głową, wyzywał siebie od idiotów i patrzył na zegarek, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest.

Zaraz czwarta... Przedostatni dzień w szkole... Dzieci już pewnie przełożyły zawartość szafek do sfatygowanych tornistrów... Opowiadała mu, że co wieczór, w towarzystwie psów, czekała na nich na końcu alei, tam gdzie dojeżdżał autobus, i że kładli wszystkie swoje klamoty na grzbiecie osła, „...jeśli udało mi się go złapać”.

Dodała, że setka dębów wzdłuż alei nie wystarczała, żeby opróżnili plecaki i opowiedzieli swoje...

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu... Odwrócił się.

Jakiś mężczyzna w ciemnym garniturze pokazywał mu drugą, wolną ręką trójkolorowe światła: DON'T WALK. Podziękował mu i usłyszał: *You are welcome*.

Znalazł witaminowy butik i zgarnął wszystkie sześć pudełek, które mieli na stanie. Będzie czym zaklejać liczne spękania... Zostawił na ladzie papierową torbę i włożył je do kieszeni.

Podobała mu się ta myśl.

Choć trochę poczuć jej ciężar.

Pchnął drzwi księgarni Strand. „Osiemnaście tysięcy książek” - przechwalał się reklamowy slogan. Charles nie mógł przejrzeć ich wszystkich, ale spędził tu kilka godzin. Rzecz jasna, opustoszył zwłaszcza dział „architektura”, ale kupił sobie także w prezencie *digest* korespondencji Oscara Wilde'a, krótką powieść Thomasa Hardy'ego *Fellow-Townsmen*, zachęcony streszczeniem: „Barnet i Downe, notable miasta Port Bredy w Wessex, to starzy przyjaciele. Jednak ich losy układają się całkiem inaczej: Barnet, człowiek zamożny, nie miał szczęścia w miłości i dziś ponosi konsekwencje małżeństwa z rozsądku, odartego z wszelkiego uczucia. Downe, adwokat bez grosza, promienie szczęściem, żyjąc w skromnym domu u boku kochającej żony i dzieci, które go uwielbiają. Pewnej nocy za sprawą przypadku zostaną zmuszeni do zmiany spojrzenia na własny los...” - *their different lots in life* - i genialne *More Than Words* Lizy Kirwin, które przejrział uszczęśliwiony, jedząc kanapkę na schodach, w słońcu.

Był to wybór ilustrowanych listów ze zbiorów *Smithsonian's Archive Of American Art*.

Wysyłanych do żon, do ukochanych, przyjaciół, szefów, klientów i powierników przez malarzy, młodych artystów, zupełnie nieznaną, ale także przez Mana Raya, genialnego Gio Ponti, Caldera, Warhola czy Fridę Kahlo.

Listy wyrafinowane, wzruszające albo czysto informacyjne, zawsze opatrzone rysunkiem, szkicem, karykaturą albo winietką przedstawiającą miejsce, pejzaż, stan ducha czy nawet uczucie, gdy nie wystarczał alfabet.



*More than words...* Więcej niż słowa... Ta książka, którą nasz mrukiwy Charles odkrył przez przypadek na jednym z wózków w drodze do kasy, przywróciła mu część jego samego. Tę, którą zatrzasnął w szufladzie razem z obłożonymi w płótno szkicownikami i maleńkim pudełkiem akwareli.

Częstkę tego Charles'a, który rysował dla przyjemności, nie zawsze skupiał się na ilustrowaniu rozwiązań i bimbał sobie na stalowe złączki i inne okablowania betonu sprzężonego.

Zapałał tkliwą sympatią do niejakiego Alfreda Frueha, który zanim stał się jednym z największych karykaturzystów „New Yorkera”, wysłał setki absolutnie cudownych liścików do narzeczonej. Opowiadał jej o swoich podróżach po Europie na krótko przed pierwszą wojną, portretując na każdym kolejnym etapie miejscowe obyczaje, tradycje, otaczający go świat... Pod ramię swojej ołówkowej podobizny wsuwał autentyczną ususzoną szarotkę, którą niósł ukochanej aż ze Szwajcarii, albo pokazywał, jak bardzo jest szczęśliwy, gdy czyta jej listy, wycinając z nich kwadraciki wielkości znaczka i posługując się tym rekwizytem w różnych scenkach: czytał je zatem, siedząc w miednicy, stojąc przed sztalugami, przy stole, na ulicy, pod ciężarówką, która właśnie po nim przejeżdżała, w łóżku, w płonącym domu, a nawet gdy tygrys wbijał mu kły w ciało. Wysłał jej także prywatną *art gallery* z tysiąca skrawków, w trzech wymiarach, żeby podzielić się z nią obrazami, które wzruszyły go w Paryżu, a wszystko to okraszone tekstami skrzącymi się humorem, czułymi i tak... eleganckimi...

Chciałby być tym mężczyzną. Wesołym, ufnym, kochającym. I utalentowanym.

Chciałby też być Josephem Lindonem Smithem, artystą o doskonałej kresce, który opowiadał w szczegółach swym zaniepokojonym rodzicom o perypetiach początkującego malarza na starym kontynencie. Rysującym siebie w deszczu monet na rue de Venise albo na wpół nieżywego, przejeźdzonego melonami.

*Dear Mother and Father, behold Jojo eating fruits!*

Saint-Exupéry jako Mały Książę, pytający Hedde Sterne, czy ma czas zjeść z nim kolację, i... dobra, później do tego wrócisz... kartkując książkę po raz ostatni, już miał ją zamykać, gdy dostrzegł autoportret zagubionego mężczyzny, zgarbionego, z głową opartą na dłoniach, wpatzonego w fotografię ukochanej. *Oh! I wish I were with you.*

Tak, och.

Chciałbym.

Zahaczył jeszcze o Flatiron Building, ogromny budynek przypominający kształtem żelazko, który wywarł na nim ogromne wrażenie podczas jego pierwszego pobytu. Wzniesiony w 1902 roku, jeden z najwyższych w tamtych czasach i przede wszystkim jeden z pierwszych o stalowej konstrukcji.

1902...

1902, cholera. Ale geniusze...

Ponieważ zabłądził, nagle znalazł się przed wystawą sklepu z narzędziami dla cukierników. N.Y. Cake Supplies. Pomyślał o niej, pomyślał o nich wszystkich i wydał fortunę na foremki do ciastek.

Nigdy w życiu nie widział takiej ilości. Wszystkie możliwe kształty, jakie tylko można sobie wyobrazić...

Zdejmował z wieszaczków psy, koty, kure, kaczkę, konia, kurczaka, kozę, lamę (tak, były foremki lamy), gwiazdkę, księżyc, chmurkę, jaskółkę, myszkę, traktor, kalosz, rybkę, żabkę, kwiatek, drzewo, truskawkę, psią budę, gołębia, gitarę, ważkę, koszyk, butelkę i eeee... serce.

Sprzedawczyni zapytała, czy ma dużo dzieci.

*Yes, he replied.*

Wrócił do hotelu zmordowany i obwieszony torbami, jak przystało na głupiego turystę, którym był i którym dziś lubił być.

Wziął prysznic, przebrał się za pingwina i spędził uroczy wieczór. Howard uściskał go, nazwał *my son* i przedstawił wielu pasjonującym ludziom. Rozmawiał długo na temat Ove Arupa z jakimś Brazylijczykiem i spotkał inżyniera, który pracował przy budowie dachu opery w Sydney. Im więcej pił, tym płynniej mówił po angielsku. W pewnym momencie wylądował nawet na tarasie z widokiem na Central Park i zaczął zagadywać ładną dziewczynę *in the moonlight*.

Doszło do tego, że spytał ją, czy jest architektem.

- *Nat meeee* - kwęknęła.

Była...

Nie zrozumiał kim. Stwierdził, że to wspaniale, i wysłuchał głupot, jakie wytrajkotała na temat Paryża, że jest *so romantic*, a włoskie seły *so good*, a Francuzi *so great lovers*.

Patrzył na jej doskonale zęby, wypielegnowane ręce, chuderlawe ramiona, słuchał jej nieskazitelną monarchią angielszczyzny. Zaproponował, że przyniesie jej kieliszek szampana, i zgubił się gdzieś po drodze.

W pakistańskim sklepiku kupił taśmę klejącą i blok papieru, machnął na taksówkę, zerwał sztuczny kołnierzyk i czuwał długo w noc.

Owinął papierem osobno psy, koty, kurę, kaczkę, konia, kurczaka, kozę, lamę, gwiazdkę, księżyc, chmurkę, jaskółkę, myszkę, traktor, kalosz, rybkę, żabkę, kwiatek, drzewo, truskawkę, psią budę, gołębia, gitarę, ważkę, koszyk, butelkę i serce.

Wszystko było tak dobrze opakowane i wymieszane, że nie miała prawa się domyślić.

Zasnęła, myśląc o niej.

I trochę o jej ciele.

Ale przede wszystkim o niej.

O niej i jej ciele dookoła.

To było duże łóżko, rodzaj podwójnego łoża dla grubasów King Size, więc jak to możliwe?

Że ta kobieta, którą ledwo znał, zdołała już zapełnić je całe? Jeszcze jedno pytanie dla Yacine'a...

Kazał sobie podać śniadanie na patio i narysował na firmowym papierze hotelu perypetie borsuka w Nowym Jorku. Swoje perypetie.

Kieszenie pełne bobrzeżo sadła, szaleństwa w księgarni Strand, lekturę pośród kloszardów i zbuntowanych nastolatków (bardzo się postarał, żeby widać było napis na koszulce jednego z nich: *Keep shopping everything is under control*), swą gładką sierść odzianą w piękny smoking, rozwiany ogon na tarasie z borsuczką, której nie mógł strawić, noc spędzoną na rwaniu taśmy, która kleiła mu się do pazurów, i... nie... nie opowiedział, że było mu ciasno w łóżku.

Znalazł w Internecie kod pocztowy Marzeray, udał się na *post office* i sprecyzował na paczce *Kate and Co*.

Przeleciał z powrotem przez ocean, poznając losy Downe'a i Barneta.

Straszne.

Później przeczytał listy, które Wilde pisał z więzienia. *Refreshing*.

Podczas lądowania rozdrażniła go myśl o straconych pięciu godzinach życia. Założył teczkę pod nazwą „lokator wypłacalny”, wstąpił do Laurence, włożył ubrania, parę płyt i książek do większej walizki i zostawił klucze w widocznym miejscu na stole w kuchni.

Nie. Tu ich nie zobaczy.

Na stoliku w łazience.

Zupełny z niego głupiec. Zostało mu do zabrania jeszcze tyle rzeczy, ale cóż... Powiedzmy, że to zły wpływ dandysa... tego, który opuszczony przez wszystkich umierał, patrząc na jakąś okropną tapetę, lecz zdobył się jeszcze na fanfaronadę i szepnął: „W rzeczy samej, jedno z nas musi odejść...”

Odszedł.

## 7

Jeszcze nigdy nie pracował tyle co wtedy, w lipcu.

Dwa ich projekty przeszły pierwszy etap. Jeden niezbyt ciekawy, jakiś budynek dla administracji, którym mogliby zarobić na chleb, i drugi, bardziej ekscytujący i znacznie bardziej skomplikowany - i na tym Philippe'owi zależało szczególnie. Nowa strefa użyteczności publicznej na nowym przedmieściu. To był ogromny projekt i Charles długo nie dawał się przekonać.

Teren był tam pochyły.

- No i co z tego? - odparł jego wspólnik.

- Ano to, że biorę pierwszy lepszy przepis... choćby ten z piętnastego stycznia tego roku, na przykład:

„Pochyłość konieczna do pokonania nierówności terenu jest niższa niż 5%. Jeżeli pochyłość jest wyższa niż 4%, w górnej i dolnej części każdego pochyłego terenu należy co 10 metrów ustawić odpowiedni wspornik. Montaż balustrady ochronnej, umożliwiającej oparcie się, jest obowiązkowy wzdłuż całej różnicy poziomów wynoszącej więcej niż 0,40 metra wysokości. W przypadku przeszkód technicznych, związanych zwłaszcza z ukształtowaniem terenu i umiejscowieniem istniejących konstrukcji, dopuszczalna jest pochyłość większa niż 5%. Pochyłość ta może wynosić do 8% na długości niższej lub równej 2 metry i do...”

- Stop.

Kręcąc głową, wziął się do pracy. Pod tym wywoodem godnym Ubu Króla kryła się wiadomość od administracji, że średnia pochyłość terenu przeznaczonego pod zabudowę nie powinna przekraczać 4%.

Czyżby?

Pomyślał o wielkim zagrożeniu, jakie stanowią rue Mouffetard, rue Lepic, wzgórze Fourvière i wszystkie strome uliczki, jak te w Rzymie.

I Alfama, i Chiado w Lizbonie. I San Fran...

Dobra... Do roboty... Spłaszczajmy, niwelujmy, uniformizujmy, bo przecież oni tego chcą, zamienić ten kraj w gigantyczne suburbia.

Tylko proszę mi to zrobić w zgodzie z zasadami zrównoważonego rozwoju, dobra?

Jasne. Jasne.

Żeby się jakoś pocieszyć, na koniec zostawił sobie kładki. Charles uwielbiał szkicować i wymyślać kładki i mosty. Tutaj, jak mniemał, widoczny jest ślad ludzkiej ręki.

Przemysł nadal musiał się naginać do autora koncepcji...

Gdyby mógł wybierać, urodziłby się w XIX wieku, w epoce, w której wielcy inżynierowie byli jednocześnie wielkimi architektami. Uważał, że najbardziej udane realizacje pojawiały się, gdy używano jakiegoś materiału po raz pierwszy. Beton użyty przez Mailarta, stal przez Brunela, Eiffla albo żeliwo przez Telforda...

O tak, ci faceci na pewno mieli zabawę... Inżynierowie tamtej epoki byli jednocześnie przedsiębiorcami i korygowali swe błędy, gdy się takowe pojawiały. W rezultacie ich błędy były doskonałe.

Prace Heinricha Gerbera, Ammanna czy Freyssineta, wiadukt Kochertala de Leonhardt i ten podwieszony Brunela w Clifton... I Verreza... No dobra, zbaczasz z tematu, zbaczasz... Masz na głowie strefę użyteczności publicznej, więc weź się w garść i zajrzyj do kodeksu urbanistycznego...

„...do 12% na odcinku o długości równej lub mniejszej niż 0,50 metra”.

Jednakże te wątpliwości mogą mieć dobroczynny wpływ... Postawienie się w sytuacji zwycięzcy to także postawienie się w sytuacji przegranego. W chęć zrobienia interesu za wszelką cenę wpisują się działania nieśmiałe i przesiąknięte konserwatyzmem... Nie szokować... Philippe i on byli co do tego zgodni i Charles pracował nad tym projektem jak wariat. Ale na luzie.

Giętki, skupiony.

Życie było gdzie indziej...

Prawie co wieczór szedł na kolację z młodym Markiem. W głębi zapadłych uliczek odkrywali salki czynnych po północy knajpek, jedli w milczeniu i próbowali piwa z całego świata.

Na koniec, pijani z wyczerpania, obiecywali sobie zawsze, że napiszą podręcznik. *Pochyła jama gardłowa* albo *SUG* (Strefa Użyteczności Głośni). I że nareszcie, nareszcie wszyscy poznają się na ich geniuszu!

A potem Charles odwoził go taksówką do domu i walił się na materac leżący na gołej podłodze w pustym pokoju.

Materac, kołdra, mydło i maszynka do golenia to było wszystko, co w tej chwili posiadał. Słyszał głos Kate: „Uratowała nas ta robinsonada...”, zasypiał nagi, wstawał o świcie z poczuciem, że właśnie przerzuca most przez swoje życie.

Kilka razy rozmawiał z Mathilde przez telefon, powiedział jej, że opuścił dom przy rue Lhomond i obozuje teraz po drugiej stronie, u stóp wzgórza Sainte-Geneviève.

Nie, na razie nie wybrał swojego pokoju.

Czeka na jej powrót.

Jeszcze nigdy nie prowadził z nią tak długich rozmów i zdał sobie sprawę, jak bardzo dojrzała przez ostatnie kilka miesięcy. Opowiedziała mu o swoim ojcu, o Laurence, o młodszej siostrze przyrodniej, spytała, czy był kiedyś na koncercie Led Zeppelin, dlaczego Claire nie ma dzieci i czy ta historyjka z drzwiami to prawda?

Po raz pierwszy Charles opowiedział o Anouk komuś, kto jej nie znał. Nocą, na długo po tym, jak ucałował ją przez telefon, wydawało mu się to oczywiste. Że podzielił się Anouk z kimś, kto miał tyle lat co on, gdy...

- Ale ty ją kochałeś miłością? - spytała go na koniec.

I ponieważ nie opowiedział od razu, szukając jakiegoś innego słowa, bardziej odpowiedniego, bardziej precyzyjnego, mniej kompromitującego, usłyszał jej odkrywczy pomruk. I to był ten policzek, na który czekał od dwudziestu lat i dzięki któremu wrócił do siebie.

- No jasne, ale ja jestem głupia... Czym innym można kochać?

Siedemnastego lipca po raz ostatni uściskał ogromną łapę swojego rosyjskiego szofera. Spędził właśnie dwa dni, rwąc sobie resztki włosów z głowy, na budowie widmie. Pawłowicz zapadł się pod ziemię, większość robotników przeszła do Bouygues, reszta groziła, że zacznie wszystko sabotować, jeśli nie dostanie *siu minutu* pieniędzy, z dwustu pięćdziesięciu kilometrów kabli zostało tylko dwanaście, a do tego jeszcze to pozwolenie...

- Jakie pozwolenie?! - zagrmiał Charles, nie zadając sobie nawet trudu przejścia na angielski. - Jaki znów szantaż? Ile wy chcecie za to wszystko, do kurwy nędzy? I gdzie się podział ten gnój Pawłowicz? On też przeszedł do Bouygues?

Ten projekt od początku był jakiś lewy. To zresztą nawet nie był ich projekt, tylko jakiegoś przyjaciela Philippe'a,

Włocha, który przyjechał i błagał ich *di salvargli*, żeby ratowali *l'onore i la reputazione*, i *le finanze*, i *lo studio*, i *la famiglia*, i *la Santa Vergine*. Jeszcze tylko brakowało, żeby się przeżegnał, całując złożone palce... Philippe się zgodził, a Charles się nie odezwał.

Przeczuwał, że to wszystko jest przykrywką dla swoistej bilardowej rozgrywki, o której wiedział jego genialny wspólnik. Uratowanie tej budowy oznaczało przekabacenie Tego-a-tego, który był prawą ręką Owego, który z kolei miał dziesięć tysięcy metrów do rozparcelowania i... Krótko mówiąc, Charles przejrzał plany, myślał, że będzie łatwo, wziął poźółkłego Tolstoja i jak mały cesarz wyruszył na czele sześciotysięcznej armii pokazać im, jak świetnym jest taktykiem...

I tak jak on wrócił unicestwiony.

Nie, nawet nie. Miał to głęboko gdzieś. Po prostu dość długo trzymał w dłoni rękę Wiktora i poczuł, że jego knykcie lekko strzykają, a uśmiechy ich obu bledną. W innym życiu byliby dobrymi kolegami...

Podał mu także plik rubli, to, co miał przy sobie.

Tamten się krygował.

- Za lekcje rosyjskiego.

- *Niet, niet* - miażdżył mu kości śródreńca.

- Dla dzieci...

Teraz tak. Teraz uwolnił go z uścisku.

Odwrócił się po raz ostatni i nie ujrzał pustego pola walki ani wygłodzonych niedobitków o odmrożonych stopach, owiniętych w lachmany i baranie skóry, tylko ostatni tatuaż. Kolczasty drut wokół ramienia, które tamten uniół wysoko, by życzyć mu dużo *szczęścia*...

Łądowanie natomiast było dość twarde. Studenckie życie w sytuacji, gdy los biegł szybkim tempem, nie ciążyło mu wcale, jednak powrót po odniesionej klęsce do domu, który nie istniał, to była... kolejna klęska.

Nie miał siły wołać taksówki, więc wtłoczył swoją porażkę do kolejki podmiejskiej.

Biedna trasa. Smutna i brudna. Po lewej wieżowce, po prawej obozowiska Romów. Zresztą - dlaczego „Romów”? Nie bądźmy aż tak delikatni, „slumsy” to odpowiednie określenie. Oddajmy hołd globalizacji za to, że pozwala nam ciągle jeszcze cieszyć oczy widokami podobnych kuriozów, które gdzie indziej... Czuł, że coraz mu ciężiej, patrzył na bezmiar obrzydliwości przesuwający się przed jego oczyma, i przypominał sobie, że gdzieś tutaj właśnie zgasła Anouk.

Niania w miejskim kiblu, a ona - tam, skąd przyszła...

W takim właśnie nastroju, z poczuciem ogromnej straty, dotarł do swojego własnego obozowiska, po drugiej stronie Gare du Nord.

Natychmiast udał się do biura wspólnika i otworzył swój plecak.

- *Terror belli, decus pacis...*

- Słucham? - Philippe zmarszczył groźnie brwi.

- Postrach na wojnie, ozdoba wczasach pokoju. Oddaję ci ją...

- O czym ty mówisz?

- O mojej buławie marszałkowskiej. Już tam nie pojedę...

Ciąg dalszy ich rozmowy dotyczył aspektów technicznych, albo raczej finansowych, i gdy Charles zostawił za drzwiami całą swoją gorycz, postanowił od razu wyjść, nawet na moment nie usiadłszy przy biurku.

Miał w sercu klęskę ciężką jak dwa i pół tysiąca kilometrów, a na zegarze biologicznym - dwie godziny do przodu. Znowu czuł się zmęczony i musiał jeszcze zajść do pralni, jeśli chciał mieć jutro co na siebie włożyć.

Przekraczał właśnie próg, gdy Barbara, nie przerywając rozmowy telefonicznej, coś mu pokazała.

Jakaś paczkę na półce.

Jutro zobaczy... Trzasnął drzwiami, znieruchomiał, uśmiechnął się głupkowato, wrócił i rozpoznał pieczętkę. Która mówiła sama za siebie.

Nie otworzył paczki od razu, tylko tak jak kilka tygodni wcześniej szedł przez Paryż, niosąc niespodziankę pod pachą. Z tym że bez tamtego niepokoju.

Szedł bulwarem Sebastopol, lekkim krokiem, z ruchomym żebrem, z rozmarzoną miną dryblasza, który właśnie umówił się na pierwszą randkę. Uśmiechał się do daty na pieczętce i ciągle od nowa i od nowa kontemlował własny adres, stojąc na czerwonym świetle.

(Nie trzeba chyba przypominać, że bulwar ów zawdzięcza swą nazwę francusko-angielskiemu zwycięstwu na Krymie. Ach!)

I znowu patrzył na swój adres, stojąc na przejściu. Tak właśnie wyobrażał sobie jej pismo. Zamaszyste i kręte... Jak motywy na jej sukience... Wiedział, że nie będzie się mieścić w rubrykach. I że Kate wybierze ładne znaczki...

Nazywała się Cherrington.

Kate Cherrington...

Ależ był głupkowaty...

I jaki dumny.

Że ma tyle lat, ile ma.

Wykorzystał ten haust helu i zrobił zapasy. Zostawił ogromny wózek przed kasami w supermarkecie i obiecał, że będzie u siebie w porze dostawy.

Wyszedł ze sklepu, niosąc miotłę i wiadro pełne środków czystości. Wysprzątał mieszkanie po raz pierwszy, odkąd je zobaczył, podłączył lodówkę, rozpakował butelki z wodą, metodycznie poustawiał paczki z płatkami śniadaniowymi dla Mathilde, jej ulubione konfitury, mleko półtłuste i jej ultradelikatny szampon, porozkładał ręczniki, wkręcił żarówki i przygotował sobie swój pierwszy stek na *impasse des boeufs*.

Odsunął talerz, strzepnął okruchy, poszedł po swój prezent.

Uniósł pokrywkę cynowego pudełka i ujrzał psy, koty, kury, kaczki, konie, kurczaki, kozy, lamy, gwiazdki, księżycy, chmurki, jaskółki, myszki, traktory, kalosze, rybki, żabki, kwiatki, drzewa, truskawki, psie budy, gołębie, gitary, wazki, koszyki, butelki i...

No dobrze. Ułożył wszystko na stole. Tak jak lubił, metodycznie, kategoriami.

Było po kilka ciasteczek każdego kształtu, ale serce było tylko jedno.

Czy to był znak? Tak, to był znak... To był znak! Określenie „głupkowato” chyba trochę nie pasowało do sytuacji, nie?

*Dear Charles,*

*ja przygotowałam ciasto, Hattie i Nedra wycięły ciasteczka, Alice zrobiła im oczy i wąsy, Yacine znalazł Pański adres (to Pan, prawda?), a Samuel poszedł to wysłać...*

*Thanks.*

*I miss you.*

*We all miss you.*

*K.*

Nie zjadł ani jednego, znów poustawiał je w jednej linii na kominku w pokoju, w którym przebywał, i zasnął z myślą o niej.

O tym, jaki przybrałby kształt, gdyby położyła się na nim jak foremka do ciastka.

Rano narysował kominek zawieszony w próżni i dopisał: *Ja też tęsknię.*

I przypomniawszy sobie, co Kate mówiła o swojej kuchence, pomyślał, że również to niedomówienie jest dosyć wygodne.

To „tęsknię” mogło się odnosić i do „nich”, i do „niej”. Wybierze sobie...

Mógłby, albo powinien, jeszcze trochę niżej spuścić gardę, ale tego nie potrafił.

Jego separacja z Laurence, choć przełknął ją gładko, zostawiła mu w ustach niemiły posmak słabości.

I jak to czynił wiele razy, wznosił sobie barykadę ze stołu, własnych perspektyw i programu AutoCad. Programu, w którym wszystko było doskonałe, ponieważ wszystko było wirtualne. Założył sobie, że nie będzie wymyślał niczego od siebie, a podpieranie się na nierównościach terenu dawało mu przynajmniej tę pewność, że się nie zachwieje.

Kalkulował. Ciągłe i znowu.

Myślał o Kate bez przerwy, ale nigdy naprawdę.

To było... Nie byłby w stanie tego wyjaśnić... Jak światło... Jak gdyby pewność, że ona istnieje, nawet gdzieś daleko, nawet poza nim, wystarczyła, by go uspokoić. Oczywiście, pozwalał sobie na myśli bardziej... cielesne, od czasu do czasu, ale nie za często. Trochę żartobliwie marzył o wspólnej zabawie w wycinanie ciastek. Tak naprawdę czuł się... może pod wrażeniem? Tak, dobrze... niech będzie *impressed*. Mogła robić wszystko, żeby udawać niezależną, mogła się pocić, bekać, posyłać go do diabła, pokazując mu palec z pierścieniem, obrażać się, zrzędzić, przeklinać, wycierać nos rękawem, pić *like a fish*, pieprzyć edukację narodową, pierdolić opiekę społeczną, krytykować się za krągłości i pychę, dawać często wyraz pogardy do samej siebie i opuszczać go bez jednego *adieu*, to słowo pasowało do niej najbardziej.

To było głupie i pożałowania godne, to go hamowało, ale tak właśnie było. Gdy o niej myślał, przed oczami stawał mu raczej całkiem nowy świat aniżeli kobieta z blizną w kształcie gwiazdki.

Zresztą, gdy się nad tym dobrze zastanowić, ona od początku rozdała role. On był tym obcym, tym gościem, *the explorer*, Kolumbem, który przybił do tych brzegów, bo pomylił drogę.

Bo jakaś dziewczyna miała krzywe zęby i jeszcze bardziej skrzywioną matkę.

I pozwalając mu odejść, nie pożegnawszy się z nim, Kate świadomie rozregulowała kompas...

Widzę, że wróciliśmy do instrukcji obsługi... Więc co to znowu za historia z mostem, co to za mnisi żywot, to wielkie Wysublimowane Ubóstwo? Brakuje ci pierzynki z gęsiego puchu?

Nie, tylko...

Tylko co?

Bolą mnie plecy, do cholery... Tak bardzo bołą mnie plecy...

Kup sobie łóżko!

Nie, ale nie tylko o to chodzi...

A o co?

O poczucie winy...

Aaaach! No, to powodzenia... Bo, sam zobaczysz, do tego nie ma instrukcji obsługi. Nie?

Nie. Jeżeli będziesz szukał, to znajdziesz, świat jest pełen świątynnych sprzedawców, ale lepiej zrobisz, jeśli trochę zaoszczędzisz i kupisz sobie porządne łóżko. Poza tym właśnie ci napisała, że za tobą tęskni.

Pff... *Miss you* to tylko takie angielskie wyrażenie. Tak jak *Take care* albo *All my love*...

Nie napisała *Miss you*, napisała *I miss you*.

Tak, ale...

Ale?

Ona mieszka w jakimś Wygwizdowie, ma pełno dzieciaków, zwierzęta, które wyzdychają za trzydzieści lat, dom, w którym śmierdzi mokrym psem, i...

Stop, Charles, stop. To ty śmierdzisz.

I ponieważ tego typu słowne potyczki pomiędzy Cogito a nim do niczego nie prowadziły, a przede wszystkim dlatego, że miał mnóstwo roboty, wołał wziąć się do pracy...

Ależ z niego idiota!

Na szczęście jest Claire.

## 8

Powiedziała mu: Muszę ci koniecznie pokazać takie jedno miejsce. Świetne jedzenie i genialny facet.

- Jaki facet?

- Kelner...

- Nadal marzysz o kawiarnianym chłopcu? Z kciukiem w kieszeni kamizelki i biodrami omotanymi szerokim białym fartuchem?

- Nie, nie, to nic takiego. On, sam zobaczysz, jest... Nie umiem ci powiedzieć... Uwielbiam go... To arystokrata, ma wielką klasę. Facet z księżycą. Skrzyżowanie pana Hulot z księciem Windsoru...

Zapisując datę spotkania w kalendarzu, Charles wzniósł oczy ku niebu.

Wymyślił jego siostry...



Zdzwonili się w pierwszych dniach sierpnia, gdy tylko dopięli na ostatni guzik wszelkie projekty i życzyli miłych wakacji swoim asystantkom. Claire pod wieczór miała pociąg, jechała na festiwal muzyki soul w Perigord Noir.

- Odwieszysz mnie?

- Weźmiemy taksówkę, dobrze wiesz, że nie mam samochodu...

- No właśnie, to chciałam ci powiedzieć... Mógłbyś mnie odwieźć i wziąć mój samochód? Skończył mi się abonament na parking...

Charles po raz kolejny wznosił oczy ku niebu. Nie uśmiechała mu się walka z paryskimi parkometrami. Co tam... odstawi go do rodziców... Tak dawno się z nimi nie widział...

- Okay.

- Zapisalesz adres?

- Tak.

- Wszystko w porządku? Masz smutny głos... Mathilde wróciła?

*Yes, she is*, ale jej nie widział. Laurence odebrała ją z lotniska i od razu ruszyły do Biarritz.

Charles nie miał jeszcze okazji, albo odwagi, opowiedzieć siostrze o swoich damsko-męskich przejściach.

- Kończę, mam spotkanie - odpowiedział jej.

\* \* \*

Nie można było określić go lepiej: niezręczność, poezja, niezgrabność pana Hulot, a do tego klasa i kwiatek w butonierce, jak u jego wysokości Edwarda.

Otworzył szeroko ramiona i powitał ich w swoim maleńkim bistrze, jak gdyby stał na dziedzińcu Saint James's Palace. W aleksandrynach wyraził zachwyt nad nową sukienką Claire i jękając się lekko, wskazał im stolik przy oknie.

- Na co patrzysz? - spytała.

- Na rysunki...

Opuściła kartę dań i obserwowała profil brata.

- Jak myślisz, to jest mężczyzna czy kobieta? - ciągnął.

- Co? Te plecy?

- Nie. Ta dłoń trzymająca hematyt.

- Nie wiem. Zapytamy go.

Windsorski Tati zaserwował im z urzędu po kieliszku czerwonego wina i odwrócił się, żeby skomentować menu na tablicy, gdy z okienka dobył się czyjś skrzekliwy głos:

- Telefon!

Przeprosił ich i chwycił komórkę, którą ktoś mu właśnie podawał.

Charles i Claire ujrzeni, jak czerwienieje, blednie, czuje, jak dreszcz wstrząsa jego nieprzytomną duszą, przykładają dłoń do czoła, upuszczają telefon, schyla się, gubi okulary, zakłada je krzywo, biegnie do wyjścia, łapie po drodze kurtkę z wieszaka i trzaska drzwiami, a wieszak leci na podłogę, ciągnąc za sobą obrus, butelkę, dwa nakrycia, krzesło i stojak na parasole.

W sali zaległo milczenie. Wszyscy, oszołomieni, patrzyli po sobie.

Z kuchni posypały się paciorki przekleństw. Na scenę wkroczył kucharz, młody facet ze zgorszoną miną, wytarł ręce o fartuch i zaczął zbierać upadłe ruchomości.

Mamrocząc coś pod wąsem, ułożył to wszystko na barze, pochylił się, wyjął butelkę „magnum” szampana i nie spiesząc się, zaczął wyciągać korek.

W tym czasie jego marsowa mina zmieniła się w coś, co od biedy mogło przypominać uśmiech...

- No dobrze... - odezwał się do zgromadzonych. - Można powiedzieć, że mój wspólnik właśnie obdarzył koroną następcę...

Świsnął korek. Kucharz dodał:

- Kolejka dla wszystkich od wujka...

Podał butelkę Charles'owi i poprosił, żeby obsłużył resztę. On miał robotę.

Odszedł z kieliszkiem w rękę, potrząsając czapą, jak gdyby sam nie mógł uwierzyć we własne wzruszenie...

Odwrócił się. Ruchem brody wskazał na bloczek porzucony na kontuarze.

- Proszę osobiście składać zamówienia, a następnie wyrwać pierwszą kartkę i położyć ją w okienku - mruknął. - Jeden egzemplarz proszę zachować. Powierzę państwu również obliczenie własnych rachunków...

Drzwi się zamknęły, a oni usłyszeli jeszcze:

- I jeśli to możliwe, proszę pisać wielkimi literami! Jestem analfabeta!

I ten śmiech.

Gigantyczny. Gastronomiczny.

- O kurde, Philou... O kurde!

Charles odwrócił się do siostry.

- Masz rację, to rzeczywiście malownicze miejsce...

Nalał im szampana i podał butelkę gościom przy stoliku obok.

- Nie wierzę - powiedziała Claire. - Myślałam, że ten facet jest całkowicie aseksualny...

- Ach, takie właśnie jesteście, dziewczyny... Kastrujecie każdego miłego chłopaka.

- No, no, no - mruknęła. Pociągnęła łyk szampana i dodała:

- Zobacz. Ty. Jesteś najmilszym chłopakiem, jakiego znam, a...

- A co?

- Nie. Nic... A żyjesz z kobietą... eee... o niezwyklej fantazji...

- Przepraszam - zorientowała się. - Wybacz mi. To było beznadziejne.

- Odszedłem, Claire...

- Dokąd odszedłeś?

- Z domu.

- Niiieeeee - zaśmiała się.

- Taaaaak. - Sposepniał.

- Szampan!

I ponieważ nie zareagował:

- Jesteś nieszczęśliwy?

- Jeszcze nie.

- A Mathilde?

- Nie wiem... Mówi, że chce iść do mnie...

- Gdzie mieszkasz?

- Blisko rue des Carmes...

- Nie dziwi mnie to...

- Że odszedłem?

- Nie. Że Mathilde idzie za tobą...

- Dlaczego?

- Bo nastolatki lubią dobrych ludzi. Później hardzieją, ale w tym wieku ciągle jeszcze potrzebują nieco serdeczności... Powiedz, a co zrobisz z pracą?

- Nie wiem... Przypuszczam, że będę się musiał inaczej zorganizować...

- Będziesz musiał zmienić swoje życie...

- To nawet lepiej. Tamto mnie męczyło... Myślałem, że to kwestia zmiany stref czasowych, a tu wcale nie. To było... to, co przed chwilą powiedziałaś... problem z serdecznością...

- Nie mogę w to uwierzyć... Kiedy?

- Miesiąc temu.

- A więc zaraz po spotkaniu z Alexisem? Charles się uśmiechnął. Sprytna z niej bestia...

- Właśnie.

Claire schowała się za kartę win i rzuciła z za niej krótkie:

- Dzięki, Anouk!

Nie odpowiedział. Ciągłe się uśmiechał.

- Och, ty... - powiedziała, patrząc znad karty - ty kogoś spotkałeś...

- Nie.

- Kłamca. Zarumieniłeś się.

- To od bąbelków!

- Ach, tak? Ładne są te bąbelki? Blondynki?

- Bursztynowe.

- No, proszę... Zaczekaj... Zamówmy coś, bo ten pierwotniak z kuchni zaraz nas objedzie, a potem mam... - spojrzała na zegarek - trzy godziny, żeby pociągnąć cię za język... Co zamawiasz? Karczocha? Serce wołu?

Poszukał okularów.

- Gdzie ty to widzisz?

- Naprzeciw mnie - roześmiała się.

- Claire?

- Hmmm?

- Jak sobie radzą twoi przeciwnicy w sądzie?

- Wołają mamusię... No, wybrałam. Więc? Kto to jest?

- Nie wiem.

- O, cholera, nie. Nie rób mi tego...

- Słuchaj, wszystko ci opowiem, a ty, spryciaro, powiesz mi, czy wiesz, kto to jest...

- To jakaś mutantka? Pokiwał głową.

- Co ona ma specjalnego?

- Lamę.

- ?!?

- Lamę, trzy tysiące metrów kwadratowych dachu, rzekę, pięcioro dzieci, dziesięć kotów, sześć psów, trzy konie, osła, kury, kaczki, kozę, chmary jaskółek, mnóstwo blizn, intaglio, baty, kieszonkowy cmentarz, cztery piekarniki, piłę łańcuchową, rozdrabniacz do pni, siedemnastowieczną stajnię, zapierające dech w piersi wiązanie dachowe, dwa języki, setki róż i niezrównany widok.

- A cóż to znowu? - wytrzeszczyła oczy.

- Ach! Widzę, że wiesz niewiele więcej ode mnie...

- Jak ma na imię?

- Kate.

Chwycił blankiet zamówienia i zaniósł go na brzeg jaskini niedźwiedzia.

- A... - wróciła do tematu Claire - ładna jest?

- No przecież ci powiedziałem...

\* \* \*

Charles usiadł i zaczął od początku.

Grób przy wysypisku śmieci, spray na nagrobku, Sylvie, opaska uciskowa, gołębica, wypadek na bulwarze Port-Royal, puste spojrzenie Alexisa, jego małe życie bez marzeń i bez muzyki, jak terapia zastępcza, sylwetki wokół ogniska, spuścizna po Anouk, strącanie puszek, kolor nieba, głos kapitana żandarmerii, zimy w Les Vesperies, kark Kate, jej twarz, ręce, jej śmiech, te usta, które przygryzała bez przerwy, ich cienie, Nowy Jork, ostatnie zdanie krótkiej powieści Thomasa Hardy'ego, łóżko pełne drzazg i ciasteczka, które przeliczał co wieczór.

Claire nie tknęła jedzenia.

- Wystygnie - ostrzegł ją.

- No... Jeśli będziesz siedział jak idiota i miętosił ciasteczka, to wystygnie na pewno...

- To co ja mogę innego zrobić?

- Zachować się jak architekt...

- Nie widziałaś budowli...

Opróżniła kieliszek, przypomniała mu, że to ona dziś płaci, spojrzała na tablicę i zostawiła pieniądze na stole.

- Musimy iść...

- Już?

- Nie mam biletu.

- Dlaczego wtedy przejeżdżasz? - spytał ją.

- Wiozę cię do domu.

- A samochód?

- Zostawię ci go, jak położysz na tylnym siedzeniu plecak i szkicowniki.

- Słucham?

- Jesteś za stary, Charles. Musisz działać natychmiast. Nie powtórzysz z nią tego, co robiłeś z Anouk... Jesteś po prostu... za stary. Rozumiesz?

- Nie mówię ci, że się uda, wiesz, ale... Pamiętasz, jak mnie zmusiłeś, żebym pojechała z tobą do Grecji?

- Tak.

- No to... teraz moja kolej...

Wziął jej walizkę i odprowadził ją do przedziału.

- A ty, Claire?

- Ja?

- Nie opowiedziałas mi o swoich miłościach...

Zasklepiła się w okropnym grymasie, żeby nie musieć mu odpowiadać.

- To za daleko - nie dawał za wygraną.

- Co takiego?

- Wszystko.

- Pewnie. Masz rację. Wróc do Laurence, pal gromnice Anouk, daj się wykorzystywać Philippe'owi i czytaj Mathilde bajki na dobranoc, dopóki sobie nie pójdzie, a na pewno mniej się zmęczysz.

Cmoknęła go soczyscie i dodała:

- Nasyp też nieco chleba gołębiom, skoro już o tym mówimy.

I znikła, nie odwróciwszy się nawet.

Charles zatrzymał się przed butikiem Vieux Campeur, wstąpił do pracowni, załadował bagażnik książkami i papierami, wyłączył komputer i lampę i zostawił Marcowi długą listę rzeczy do zrobienia. Nie wie, kiedy wróci, raczej trudno będzie się dodzwonić do niego na komórkę, sam zadzwoni - i powodzenia.

Zahaczył jeszcze o rue d'Anjou. Wiedział, że znajdzie to w jednym z tamtejszych butików...

## 9

Wyświetlił sobie w głowie film. Pięćset kilometrów zwiastunów i niemal tyle samo różnych wersji pierwszej sceny.

To było piękne jak szabadabada. On się pojawia, ona się odwraca. On się uśmiecha, ona zastyga w bezruchu. On otwiera ramiona, ona w nie wpada. On zaplątany w jej włosy, ona wtulona w jego szyję. On mówi: Nie mogę bez was żyć, jej wzruszenie odbiera głos. On ją unosi, ona się śmieje. On ją niesie do... eee...

No, to byłaby już druga scena, a plan zdążyłby się zapełnić statystami...

Przez pięćset kilometrów wyświetlał sobie film... Wszystko przewidział i oczywiście nic nie potoczyło się tak, jak to sobie wyobraził.

Dochodziła dziesiąta, gdy przekroczył most. Dom był pusty. Z ogrodu dobiegały śmiechy i brzęk sztućców, poszedł w stronę blasku świec i tak jak wtedy, na łące, zobaczył najpierw wiele innych twarzy, zanim dostrzegł jej twarz.

Twarze i sylwetki nieznanymi dorosłych. Cholera... Był gotów cofnąć taśmę...

Yacine pospieszył mu na powitanie. Pochylając się, żeby go pocałować, zobaczył, że i ona wstaje.

Zapomniał już, że jest tak piękna, jak ją sobie wyobrażał.

- Cóż za miła niespodzianka - stwierdziła.

- Nie przeszkadzam wam?

(Ach! Ależ dialogi! Ależ emocje! Ależ gwałtowne uczucia!)

- Nie, oczywiście, że nie... Moi amerykańscy przyjaciele przyjechali na kilka dni... Proszę... Przedstawię pana...

Cięcie! - pomyślał Charles. Wypieprzcie mi ich zaraz! Co na planie robią te nachalne gnojki?!

- Z przyjemnością.

- Co pan tutaj ma? - spytała, mierząc wzrokiem tobół, który trzymał pod pachą.

- Śpiwór.

I, jak w filmie Charles'a Balandy, Kate odwróciła się, uśmiechnęła do niego w mroku, po czym, spuszczac głowę, pozwoliła mu spojrzeć na swój kark i położyła dłoń na jego plecach, żeby pokazać drogę.

Nasz debiutant instynktownie zwolnił kroku.

Widz zapewne nie dostrzeże tego ze swojego miejsca, ale ta dłoń, pięć długich, lekko rozstawionych palców obciążonych pierścieniem z ofiarą polną, dokładnie przyłożona do lędźwi, przyciskająca delikatnie ciepłą bawełnę koszuli, to było... coś...

Zajął miejsce na końcu stołu i zaraz dostał kieliszek, talerz, sztucce, chleb, serwetkę, gromkie *Hi!* i *Nice to meet you*, buziaki od dzieci, niuchy od psów, uśmiech od Nedry, grzeczne skinienie głową od Sama, coś w rodzaju „witaj, gringo, zawsze możesz próbować nasikać na moje terytorium, jest tak ogromne, że nigdy nie zdołasz obsikać całego”, zapach kwiatów i siekanych ziół, świetliki, ćwiartkę księżycy, zbyt szybką rozmowę, z której nic nie rozumiał, krzesło, którego tylna lewa noga zatapiała się miękko w salonie jakiegoś kreta, ogromny kawał tarty z gruszkami, następną butelkę, drózkę z okruszków wijącą się pomiędzy jego talerzem a talerzami reszty, sprzeczki, pytania, stanowiska zajmowane w sprawie, w której nie umiał się połapać. Słyszał dość często słowo *bush*, ale nie wiedział, czy chodzi o faceta, czy o rośliny, i... krótko mówiąc, dostał coś w rodzaju słodkiej niepewności.

Ale dodatkowo ramiona Kate owinięte wokół kolan, jej nagie stopy, jej nagłą wesołość, głos, który brzmiał nieco inaczej, gdy mówiła w swoim języku, i jej ukradkowe spojrzenia, które łapał pomiędzy kolejnymi łykami i które, jak mu się wydawało, mówiły za każdym razem: *So... to prawda? Wrócił pan...*

Odwzajemniał jej uśmiechy i choć ciągle milczał, miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie był tak rozmowny w towarzystwie kobiety.

Później była kawa, przedstawienia, coś mocniejszego po kawie, parodie, burbon, znowu śmiechy, znowu jakieś *private jokes*, a nawet nieco architektury, bo to byli dobrze wychowani ludzie...

Tom i Debbie byli profesorskim małżeństwem z Cornell, a ten trzeci, Ken, wysoki i kudłaty, był naukowcem. Chyba trochę za bardzo kręcił się wokół Kate... *Well*, nigdy nic nie wiadomo z tymi Amerykanami, którzy kleili się do siebie przy każdej najmniejszej okazji. Te ich wszystkie *sweeties*, ich *honeys*, ich *hugs* i ich *gimme a kiss*, rozdawane na prawo i lewo...

Charles miał to gdzieś. Po raz pierwszy w życiu postanowił, że da sobie pożyć. Da. Sobie. Pożyć.

Nie wiedział nawet, czy jest zdolny wytrwać w takim postanowieniu.

Był tu na wakacjach. Szczęśliwy i lekko wstawiony. Budował z kostek cukru świątynię dla efemeryd poległych za Światło, które Nedra przynosiła mu w kapslach od piwa. Odpowiadał „*yes*” or „*sure*”, gdy było trzeba, „*no*”, gdy tak było lepiej, i koncentrował się na czubku swojego noża, żeby nadać kolumnom bardziej dorycki charakter.

Te wszystkie jego ZAC, PLU, PAZ i WZP i tak szybko go dopadną.

Pomiędzy kolejnymi konduktami owadów przyglądał się swojemu rywalowi.

No, a już takie włosy w tym wieku to takie... *pathetic*.

I nosił grubą bransoletę ze swoim imieniem, na wypadek gdyby go zapomniał. Właśnie, imię, porozmawiajmy o nim. Pasowało tylko do Barbie.

Brakowało tylko samochodu kempingowego...

Ale przede wszystkim, i o tym ten kudłaty dupek w hawajskiej koszuli nie mógł wiedzieć, Charles wybrał model Himalaya light.

Drogi jak cholera, zgoda, ale wypełniony kaczym puchem i impregnowany teflonem.

Słyszysz, Samsonie?

Teflonem, chłopcze, teflonem.

A to oznacza, że wytrzymam tu jakiś czas...

Himalaya, ale light.

To jego program na lato.

Gdy ze świecą w rękę oddalił się na podwórze, Kate zaczęła pozbywać się balastu *perfect housewife*, która przysypiała, opierając się o nią, i zaproponowała jej przejście na kapa... kana...

Ale tam... Wszyscy byli zbyt wstawieni, żeby się przejmować dobrymi manierami.

- *Hey* - rzuciła w jego stronę. - *Don't...* Niech mi pan tu nie wznieci pożaru, dobra?

Charles uniósł rękę, co miało oznaczać, że aż tak *stupid* to nie jest.

- Za późno, *baby*, za późno - zachichotał, potykając się o żwirek.

Tak, tak. Był pijany jak bela.

Umościł się w stajni, namęczył się jak głupi, żeby znaleźć zamek tego kurewskiego śpiwora, i zasnął na materacu ze śniętych much.

Coś cudownego...

## 10

Ma się rozumieć, tym razem po croissanty wyruszył Ken. Biegiem...

Piękne najki, koński ogon (?) i rękawy koszulki zawinięte na ramiona. (Lśniące). (Od potu).

Fajnie, fajnie, fajnie...

Charles odkasznął i pozbierał gorące scenariusze.

Gdyby jeszcze ten facet był jakimś debilem... Ale nie... To był świetnie zbudowany intelektualista. Wspomniały gość. Gość z pasją, pasjonujący i zabawny. I jego rodacy *as well*.

Ton już został nadany. W tym domu zapanuje teraz atmosfera *give me five*, koleżeński klimat w stylu Baden-Powella i hej ho, hej ho. Trudno. Tym lepiej. Dzieci cieszyły się z tej nagłej obfitości dorosłych, których mogły oblegać, a Kate cieszyła się, widząc, że dzieci się cieszą.

Była piękna jak nigdy dotąd... Nawet rano, skacowana, schowana za wielkimi, ciemnymi okularami...

Piękna jak kobieta, która zna na pamięć cenę samotności i wreszcie składa broń.

Dostała kilkudniową przepustkę i *little by little* oddalała się od nich. Już nie chciała przejmować inicjatywy, powierzyła im dom, dzieciaki, zwierzęta, niekończące się prognozy pogody Reného i pory posiłków.

Czytała, opalała się, spała na słońcu i nawet nie próbowała udawać, że im pomaga.

Ale to jeszcze nie wszystko... Nigdy więcej nie dotknęła Charles'a. Żadnych uśmiechów w kącikach ust ani powłóczyстых spojrzeń. Żadnych więcej *kidding me or teasing you*. Żadnych więcej skarbów znalezionych na słomie i misjonarskich marzeń.

Cierpiał zwłaszcza z powodu tego widocznego ochłodzenia uczuć, które przyjęło niemiłą formę gościnności.

A więc to tak? Fakt, nie robił sobie zbyt dużych nadziei, ale żeby tak zaraz zostać relegowanym do roli członka jakiejś większej grupy? Już nigdy nie zwracała się do niego bezpośrednio, tylko zbiorowo: *you guys*.

*Shit.*

Miała coś do tego wielkoluda? Chyba nawet nie... Miała coś do siebie samej...

Bawiła się, żartowała, znikła gdzieś z dziećmi i się z nimi kłóciła.

Tak samo jak one między sobą.

Błogosławiła wszystkim dorosłym, wznosiła na ich cześć dziesiątki toastów podczas coraz dłuższych posiłków i skorzystała z ich obecności, żeby powymować z ziemi paliki.

Uważała się za doskonale szczęśliwą.

Charles, który mógłby albo powinien być... jak by to powiedzieć... onieśmielony?... zmieszany widokiem jej łopatek wystających jak kikuty skrzydełek spod ramiączek biustonosza, pokochał ją, w sposób całkiem nieświadomy, jeszcze bardziej.

Ale cóż. Powstrzymał się przed powiedzeniem jej tego... Ostatnimi czasy zbyt często obrywał, a kość, która wsparta o kręgosłup chroniła jego serce, właśnie teraz zaczęła się zrastać. To nie był dobry moment na otwieranie ramion.

Nie. Ona nie była święta... Była leniwym nierobem, piła jak żul, hodowała marihuanę (więc to były te jej „parafarmaceutyki na dobre samopoczucie“) i nawet nie słyszała dzwonka na obiad!

Nie było w niej żadnej siły moralnej.

Uf!

Odkrycie warte tych kilku objawów obojętności. Powoli, ślimaczku, powoli...

A właśnie, co robił Charles, żeby dać sobie czas na przetrwanie owych cierpień starego zakochanego nastolatka? Zmiał muchy.

Nie był sam. Natychmiast przyłączyli się do niego Yacine i Harriet, którzy oddali swoje pokoiki przybyszom spod gwiazdzistego sztandaru i postanowili schronić się przy nim.

Wylosowali pokoje i spędzili dwa całe dni na likwidowaniu pajęczyn i zwiedzaniu kolejnych komórek, jakby to były magazyny jakiegoś antykwariatu. Komentowali, naprawiali, oskrobywali farbą i malowali na nowo stoły, krzesła, lustra i inne szczątki zjedzone przez termyty i korniki. (Yacine, nieco zirytowany ich marną wiedzą na temat kanalików w drewnie, zafundował im przyspieszony kurs: dziurki - to były korniki, a to z wyglądu nadgniłe rozwarstwione, sypkie drewno - to termyty).

Zorganizowali małą parapetówkę i Kate na widok jego pokoju, ogołoczonego, oskrobanego z farby, wybielonego czystym wapnem, skromnego jak klasztorna cela, i tych wszystkich papierów ułożonych w stos przy łóżku, i laptopa, i książek na biurku, które sprytnie zmajstrował w alkwie... na ten widok na moment ją zatkało.

- Przyjechał pan tutaj, żeby pracować?



- Nie. Chciałem tylko zrobić na pani wrażenie.

- Ach?

Reszta siedziała u Harriet.

- Jest coś, co chciałabym panu powiedzieć - dodała, wyglądając przez okno.

- Tak?

- Ja... Pan... To znaczy... Ja dlatego...

Charles zatrzymał wzrok na garści orzeszków ziemnych.

- Nie. Nic - powiedziała, odwracając się. - Bardzo *cosy* pokoik...

Od trzech dni, odkąd tu przyjechał, po raz pierwszy miał ją tylko dla siebie, więc na tę chwilę odłożył na bok insygnia grzecznego skauta.

- Kate... Proszę ze mną porozmawiać...

- Ja... Ja jestem jak Yacine - oświadczyła nagle.

- ...

- Nie wiem, jak to panu powiedzieć, ale... ja już nigdy więcej nie zaryzykuję i nie będę cierpieć.

- ...

- Rozumie pan?

- ...

- Kiedyś Nathalie opowiedziała mi taką rzecz... Często zdarza się, że dzieci w rodzinach zastępczych, czując nadchodzące zmiany, stają się nagle okropne i zaczynają sprawiać swoim przybranym rodzicom największy kłopot. Wie pan, dlaczego reagują w ten sposób? Instykt samozachowawczy. Żeby odciąć się psychicznie i fizycznie od następnego rozstania. Stają się okropne, żeby ich odejście zostało przyjęte z ulgą. Żeby zniszczyć miłość... Tę... tę z grubą ciosaną pułapkę, w którą znowu wpadły...

Przesuwała palcami wzdłuż lustra.

- No i, proszę sobie wyobrazić, ja jestem taka jak one. Ja już nie chcę cierpieć.

Charles szukał odpowiednich słów. Jednego, dwóch, trzech. A może nawet więcej, gdyby te trzy nie wystarczyły, ale słów, błagam, słów...

- Pan nigdy nic nie mówi - westchnęła. I przechodząc do sąsiedniego pokoju:

- Nic o panu nie wiem. Nie wiem nawet, kim pan jest ani dlaczego wrócił, ale muszę panu powiedzieć jedną rzecz. Przyjęłam pod ten dach wielu ludzi i, to prawda, *there is a welcome on the mat, but...*

- Ale?

- Nie pozwolę, by pan mnie opuścił, nie dam panu do tego okazji...

Wychyliła się jeszcze przez drzwi, zmierzyła wzrokiem znokautowanego zawodnika wagi piórkowej i przerwała odliczanie:

- A wracając do poważniejszych tematów, wie pan, czego tu brakuje, *darling*?

I widząc, że facet jest naprawdę *down*, dodała:

- Takiej jednej Mathilde.

Charles wypluł ochraniacz, kilka zębów, odwzajemnił jej uśmiech i ruszył za nią na obchód bufetu.

I patrząc, jak się śmieje, jak wznosi kieliszek i gra w lotki z innymi, pomyślał, że, cholera, jego chyba raczej nie zgwałci...

Przypomniał sobie też kawał, usłyszany od rzeczonyj nieobecnej.

Wiesz, czemu ślimaki poruszają się tak wolno? No?

Bo się kleją do własnej wydzieliny. I przestał się ślinić.

## 11

To, co nastąpiło później, można nazwać szczęściem, i to dość kłopotliwym szczęściem. Tego nie można opowiedzieć. Tak się mówi. Tak mówią.

Szczęście jest płaskie, ckliwe, *boring* i zawsze mozolne. Szczęście nudzi czytelnika. Zabija miłość.

Gdyby autor miał choć krztynę zdrowego rozsądku, użyłby elipsy.

Pomyślał o tym. Zajrzał do słownika.

*ELIPSA Konstrukcja polegająca na opuszczeniu w zdaniu jakiegoś słowa lub słów, których znaczenia można się domyślić z kontekstu.*

???

Po co opuszczać jakieś słowa w opowieści, w której i tak zabrakło już tylu słów?

Czemu odmawiać sobie przyjemności?

Pod pretekstem, że to „literatura”, napisać: „Te trzy tygodnie w Les Vesperies były najszczęśliwszym okresem w jego życiu”, i odesłać go z powrotem do Paryża?

To prawda: te pięć słów - „najszczęśliwszy okres w jego życiu” - pozwala świetnie domyślić się znaczenia reszty...

„Żyli długo i szczęśliwie i mieli dużo dzieci”.

Ale autor się nie zgadza.

Przetrwał już kierowców taksówek, rodzinne obiady, listy pułapki, zmiany stref czasowych, bezsenność, impotencję, przegrane konkursy, ubłocone budowle, kroplówkę z mieszanki valium/potas/morfina, cmentarze, kostnice, prochy, likwidację kabaretów, zrujnowane opactwo, rezygnacje, zaprzeczenia, zerwane związki, złote strzały, aborcję, kontuzję, zbyt wiele enumeracji, decyzje prawne, a nawet histeryczne Koreanki.

Wypoczywał także na trawce. Przepraszam - na zielonej trawce.

Co robić?

Dalej studiować słownik terminów literackich.

INNE DEF. *Wypowiedź eliptyczna skupia się wyłącznie na jedności akcji, pomijając wszelkie zbyteczne epizody i zawierając to, co najważniejsze, w kilku scenach...*

A więc mamy prawo do kilku scen?

Dzięki, autorzy słownika są bardzo szczydzy.

Ale - które wybrać?

Bo przecież wszystko jest opowieścią...

Autor nie chce wziąć na siebie tej odpowiedzialności. Nie będzie oddzielał tego, co „zbyteczne”, od tego, co zbyteczne nie jest.

I zamiast oceniać swojego bohatera przejmuje jego wrażliwość i punkt widzenia. Pokazał, co potrafi.

Otwiera szkicownik.

W którym elipsa będzie rzymskim amfiteatrem, kolumnadą na Placu Świętego Piotra albo pekińską operą Paula Andreu, ale w żadnym razie pominięciem.

*Na stronie po lewej rachunek ze sklepu dla majsterkowiczów, do którego Ken, Samuel i on pojechali poprzedniego dnia. Trzeba zawsze przechowywać rachunki. Każdy to wie.*

*Zawsze coś jest nie tak. Albo zła nakrętka, albo nie ta długość gwoździ... Zawsze się okazuje, że o czymś się zapomniało albo że nie wystarczy papieru ściernego. Dziewczyny narzekały na drzazgi...*

*Po drugiej stronie - szkice i obliczenia. Nic trudnego. Gratka.*

*Kate, która nigdy nie pójdzie wykąpać się z nim w rzece... - Za dużo szlamu - skrzywiła się.*

*Charles był głową, Ken - ramionami, a Tom - ekipą wspierającą, z chłodnymi puszkami piwa przywiązany linką do dulki. We trzech zaprojektowali i wybudowali wspaniałą przystań. A nawet trampolinę na palach.*

*Z sąsiedniego wysypiska przywieźli ogromne kanistry po oleju i połączyli je sosnowymi deskami.*

*Charles zaprojektował nawet schodki i poręcz w stylu „rosyjska dacza”, żeby można było rozwiesić ręczniki i wygodnie obserwować niekończące się konkursy w nurkowaniu, które miały nastąpić potem...*

*Myślał przez całą noc, a rano wspiął się na drzewo z Samem i przerzucił stalową linkę między dwoma brzegami.*

*To, co widać na trzeciej stronie.*

*Coś w rodzaju dziwnego uchwytu zrobionego ze starej kierownicy rowerowej: kolejka tyrolska dzieci.*

*Po raz trzeci (!) pojechał do Brico-CoŃtam i przywiózł dwie solidne drabiny. Później wraz z innymi „dorosłymi” spędził resztę dnia, całkiem wyczerpany, na szykownej drewnianej plaży, a nad głowami co chwila przelatował im jakiś urwis, który z zachęcającym okrzykiem: Iiiihaaa! - rzucał się do wody pośrodku rzeki.*

*- Ile ich tutaj jest? - spytał, wstrząśnięty.*

*- Cała wioska - uśmiechnęła się Kate. Przyszedł nawet Lucas ze starszą siostrą...*

*Ci, którzy nie umieli pływać, byli zrozpaczeni. Ale nie trwało to długo.*

*Kate nie znosiła zrozpaczonych dzieci. Poszła po sznurek.*

*I teraz ci, którzy nie umieli pływać, zanurzali się w wodzie tylko do połowy. Wyciągano ich na brzeg, po czym czekano, aż wrócą do siebie po takich emocjach i wykaszlą całą tę wodę, której się nalykali, i będą mogli powtórzyć wyczyn.*

*Psy jazgotały, lama przeżuwała, a wodne pająki szukały innego mieszkania.*

*Dzieciaki, które nie miały kąpielówek, pływały w slipkach, a te po zmoczeniu stawały się przezroczyste.*

*Najbardziej wstydlivi wskakiwali znów na rowery. Większość wracała z kąpielówkami i śpiworem na bagażniku.*

*Debbie zajęła się przyrządzaniem podwieczorków. She loved piekarnik do ciastek kuchenki Aga.*

*Rysunki na kolejnych stronach przedstawiają tylko to: sylwetki małych Tarzanów uczeponych starej rowerowej kierownicy między niebem a ziemią. Dwoma rękoma, jedną ręką, dwoma palcami, jednym palcem, na prawą stronę, na lewą stronę, na wisielca. Na śmierć. Na życie.*

*Ale jest także Tom na swojej łódce, zbierający najbardziej ogłuszonych zawodników, dziesiątki sandałów i trampków ustawionych w rzędzie na brzegu, są słoneczne plamki rozbłyskujące na fali, które prześlizgują się między gałęziami topól, jest Marion na pierwszym schodku, podająca bratu kawałek ciasta, i wielki dryblas za jej plecami, który za chwilę ze śmiechem pchnie ją do wody.*

*Jej profil narysował dla Anouk, profil Kate - dla siebie.*

*Szybki szkic. Nie miał śmiałości rysować zbyt długo.*

*Uciekał od dywagacji opiekunek społecznych.*

*Z tej wypełnionej dziećmi sielanki wyrwał go Alexis.*

*- Charles?! Co ty tutaj robisz?*

*- Inżynieria offshore...*

*- Ale... Na jak długo tu przyjechałeś?*

*- Zależy... Jeśli pod dnem rzeki znajdziemy ropę, to chyba zostanę na dłużej...*

*- To przyjdź kiedyś do nas na kolację!*

*I Charles, uprzejmy Charles, odpowiedział, że nie. Że nie ma ochoty.*

*I gdy tamten oddalał się, strofując swoje dzieciaki, że co to za siniaki na nogach, i co mama na to powie, i masz dziurawe kąpielówki, i gdzie posiałeś skarpetki, i w ogóle, i w szczególności, Charles odwrócił się i zrozumiał, że Kate ich słyszała.*

*Jeszcze mi pan nie opowiedział swojej historii... mówiły jej oczy.*

*- Mam w teczce butelkę port ellen.*

*- Nie?*

*- Yes.*

*Uśmiechnęła się i z powrotem założyła okulary.*

*Ani razu się nie wykąpała, nie mówiąc już o włożeniu kostiumu kąpielowego. Nieźle ich zrobiła...*

*Nosiła długie koszule z białej bawełny, rozcięte bardzo wysoko i zawsze bez kilku guzików... Charles nie rysował jej, tylko to, co było za nią, tak żeby móc się na nią bezkarnie gapić. Dlatego na wielu rysunkach z tej strony zaznaczył obecność jej ciała. Przyjrzyjcie się, na pierwszym planie zawsze można dostrzec kawałek kolana, fragment ramienia albo rękę na poręczu...*

*Kim jest ten ładny chłopiec?*

*Nie, to nie jest Ken. To jest jej tysiącdziewięćsetletni boy friend z pierścionka.*

*Dwie następne strony zostały wyrwane.*

*To była ta sama przystań i ta sama tyrolka, ale na czysto i starannie opisane.*

*Dla Yacine'a. Tak, wysłał to do redakcji magazynu „Nauka i Życie Junior”, do rubryki „Konkurs na wynalazek”.*

*- Patrz - zagaił mały któregoś wieczoru, włączając mu na kolana.*

*- O, nie! - jęknął Samuel. - Znów zaczyna... Zamęcza nas tym od dwóch lat...*

*A ponieważ Charles, jak zwykle, niczego nie rozumiał, interweniowała Kate:*

*- Co miesiąc pospiesznie zagląda na tę stronę, żeby sprawdzić, jaki to młody geniusz, siłą rzeczy nie tak mądry jak on, wygrał tysiąc euro...*

*- Tysiąc euro - powtórzyło echo. - A to są zawsze beznadziejne wynalazki. Patrz, Charles, trzeba przysłać „prototyp oryginalnego wynalazku, użytecznego, sprytnego, ewentualnie zabawnego. Schematyczne rysunki i dokładny opis prosimy wysyłać pod adresem...” To jest dokładnie to, co ty zrobiłeś, prawda? Więc? Chciałbyś? Chciałbyś?*

*Tak więc kartki zostały wysłane i od następnego dnia aż do końca wakacji on, Yacine i Hideous wychodzili codziennie listonoszowi na spotkanie.*

*Przez resztę czasu zastanawiali się, co zrobią z taką kupą pieniędzy...*

*- Opłacisz lifting swojemu kundlowi - szydzili zazdrośnicy.*

*Kilka linijek...*

*Moja kochana, moja pchełko, moja mała duża dziewczynko, moja ulubiona ściągaczko plików...*

*Gdzie jesteś? Co robisz? Surfujesz czy podrywasz surferów?*

*Często myślę o...*

*Tu wpis się urywa. Zadzwoił dzwonek i Charles, ciągle jeszcze pełen tęsknych myśli, dołączył do reszty, wszedłszy po drodze na pagórek. To było jedyne miejsce, w którym łapał jeszcze trochę zasięgu, pod warunkiem że stanął na jednej nodze, z ręką wyciągniętą do góry, i wykręcał się całym ciałem na zachód.*

*Zaczekał na jej głos, jej śmiech, na odgłos plusku fal i piña colady.*

*Spytała, kiedy do nich dołączy, ale nie wysłuchała do końca jego wykrętów. Ktoś na nią czekał.*

*Ucałowała ojczyrna przez telefon i dorzuciła: - Dać ci mamę? Charles opuścił rękę.*

*„Tylko alarmowe” - zamigotał ekran.*

*W co pogrywała ta córka rozwiedzionych rodziców?*

*Udawala, że myśli, iż wynajął sobie garsonierę na lato?*

*Trochę wypił tego wieczoru i wrócił do mansardy na długo przed wygaśnięciem ogniska. Napisał do niej długi list. Mathilde, te piosenki, których słuchasz całymi dniami... Poszukał drugiej koperty.*

*Żadnej nadziei na wygraną. Nie wymyślił niczego oryginalnego i po raz pierwszy w życiu nie umiał dostarczyć precyzyjnego schematu.*

*Pęcina, chrapy, wręb, kulsze, słabizny, kłęb, Charles nie znalazł żadnej z tych nazw, a jednak to właśnie te rysunki są prawdopodobnie najpiękniejsze w całym szkicowniku.*

*Kate zabrała turystów na wycieczkę, a on mógł pracować przez cały ranek.*

*Gdy powiedziano mu, że to pora obiadu, zjadł kilka jeszcze ciepłych pomidorów, które podkrał z warzywnika, i zagryzł kawałkiem sera, po czym ruszył skrajem lasu, niosąc książkę, którą pożyczyła mu Kate, „wspaniały traktat o architekturze”.*

*Życie pszczoł Maurice'a Maeterlincka.*

*Szukał ładnego punktu widokowego, żeby przepędzić swój splin.*

*Tak, rozmyślał coraz dłużej w noc, po dziesięć razy zaczynał obliczenia i wywracał się na swoich czteroprocentowych nachyleniach.*

*Był głową rodziny bez rodziny. Miał czterdzieści siedem lat i nie potrafił zbyt dobrze umiejscowić się na wykresie. Czy miał za sobą połowę drogi? Nie. Tak?*

*Mój Boże...*

*A teraz? Czy aby nie tracił tej niewielkiej resztki czasu, jaka mu jeszcze została? Czy powinien odejść? Dokąd?*

*Do pustego mieszkania z nieczynnym kominkiem? Jak to możliwe? Tyle pracował, a teraz nie ma niczego. W tym wieku?*

*Tamta kłępa miała rację.*

*Poszedł za nią jak szczur aż na brzeg rzeki.*

*A teraz co?*

*Sznur!*

*Kto wie, może ona zalicza pana Barbie nocą, w czasie gdy on fabrykuje te główniane mieszkania. A jego śwędzi krocze... (Swędziki jesienne).*

*Oparł się plecami o cień drzewa. Pierwsze zdanie:*

*„Nie zamierzam zgoła pisać traktatu apidologicznego ani też podręcznika hodowli pszczół”.*

*Wbrew wszelkim oczekiwaniom połknął tę książkę. To był JEGO kryminał lata. Zawierał wszystkie niezbędne elementy: życie, śmierć, konieczność życia, konieczność śmierci, wiernopoddanie, masakry, szaleństwo, poświęcenie, budowę miasta, młode królowe, lot godowy, zabicie samców i ich geniusz budowlany. Ta niezwykła ósmio-kątna komórka, która „z każdego punktu widzenia osiąga absolutną doskonałość i [której] żadne siły połączonego geniuszu nie byłyby w stanie w niczym ulepszyć”.*

*Pokiwał głową. Odszukał wzrokiem trzy ule Renégo i przeczytał jeden z ostatnich akapitów:*

*„Podobnie jak jest zapisany na języku, żuchwach i żołądku pszczoły, która ma produkować miód, tak samo widnieje on w naszych oczach, uszach, w rdzeniu, kościach czaszki i całym systemie nerwowym naszego ciała. Wynika stąd jasno, że po to jesteśmy na Ziemi, by przetwarzać to wszystko, co spożywamy i użytkujemy z wytworów ziemskich, w specjalny rodzaj energii takiej jakości, jakiej nie wytwarza twór żaden inny. Nie ma, o ile wiem, drugiej tak zorganizowanej istoty na świecie, która by produkować mogła ów dziwny fluid zwany myślą, inteligencją, świadomością, rozumem, duszą, duchem, mózgową energią, cnotą, dobrocią, sprawiedliwością i mądrością. Fluid ten, mimo iż posiada tysiące nazw, jest w każdym nazwaniu tą samą rzeczą. Wszystko w nas zostało mu oddane w ofiarę: mięsny, zdrowie, zwinność członków, równowaga naszych funkcji animalnych, fizjologicznych, spokój życia, a wszystko to coraz dotkliwiej i boleśniej odczuwa jego przewagę. Jest to najcenniejszy, najsubtelniejszy stan, do jakiego podnieść można materię. Nie wiemy, do czego nas doprowadzi, co z nas uczyni, co my uczynimy z nim”\**

*No, no... - pomyślał Charles - ależ w świetnym położeniu jesteśmy...*

*Zapadał w drzemkę, chichocząc. Był gotów wydać z siebie ów dziwny fluid, któremu zostały oddane w ofiarę mięsny, zwinność członków i równowaga funkcji animalnych.*

*Kretyn.*

*Przebudził się w całkiem innym nastroju. Koń, wielki, gruby, straszliwy, skubał trawę niecały metr od niego. Charles pomyślał, że za chwilę zemdleje, i doznał takiego ataku paniki, jaki zdarzał mu się bardzo rzadko.*

*Nie poruszył się o milimetr, mrugał tylko, gdy kropelka potu spływała mu na rzęsy.*

*\* Maurice Maeterlinck, Życie pszczoł, przeł. Franciszek Mirandola.*

*Po trwającej kilka minut tachykardii dyskretnie chwycił szkicownik, wytarł dłoń o suchą trawę i postawił kropkę.*

*„Jeśli czegoś nie rozumiecie - powtarzał do znużenia młodym współpracownikom - jeśli coś wam umyka, narysujcie to. Nawet źle, choćby grubą kreską. Chęć narysowania czegoś oznacza znieruchomienie i obserwację, a obserwować, przekonacie się sami, to znaczy zrozumieć...”*

*Pęcina, chrapy, wręb, kulsze, słabizny, kłęb, nie wiedział o istnieniu tych słów, a małe, zaokrąglone literki pod szkicami, podmalowanymi akwarelą i wypaczonymi od kropli jego potu, to opisy zrobione przez Harriet.*

- Świetne! Ale fajnie rysujesz! Dasz mi ten?

Więc - następna wyrwana strona.

W drodze powrotnej wstąpił nad rzekę, żeby się trochę ochłapać, i drżąc pod wilgotną koszulą, postanowił, że skorzysta z okazji, iż inni też wracają, i wmiesza się w tłum.

Praca nie szła mu dobrze i zważywszy na całą sytuację, wolalby, żeby ona naprawdę go utopiła.

Głupiał od tego ciągłego trwania tuż pod powierzchnią.

Postanowił przygotować kolację, zanim wróci, i poszedł do wioski po kilka sprawunków.

Korzystając z krótkiego powrotu do cywilizacji, odsłuchiwał wiadomości.

Marc referował mu krótko zaistniałe problemy i prosił o możliwie szybki telefon, matka skarżyła się na jego niewdzięczność i szczegółowo opowiadała o małych dramatach, jakie ją tego lata spotkały, Philippe chciał się dowiedzieć, jak tam postępy, i relacjonował spotkanie z biurem Sorensena. I wreszcie Claire objechała go srogo, akurat gdy stał pod pomnikiem ku czci poległych.

Czy on pamięta o tym, że ma jej samochód? Kiedy ma zamiar go oddać?

Czy zapomniał, że w następnym tygodniu jedzie do Paule i Jacques'a?

I że jest już zbyt stara, żeby ktoś wziął ją na stopa? Dlaczego nie można się do niego dodzwonić? Czy już tak jest zajęty pieprzeniem, że zapomniał o reszcie świata?

Czy jest szczęśliwy? Jesteś szczęśliwy? Opowiedz.

Usiadł w kawiarnianym ogródku, zamówił kieliszek białego wina i cztery razy wcisnął guzik „zadzwoń”.

Zaczął od najmniej wdzięcznych rozmów, a później z wielką przyjemnością usłyszał głosy tych, których kochał.

Wykombinował rewelacyjną kolację.

Oblizal drewnianą łyżkę, przykrył garnki, nakrył do stołu, podśpiewując „przecież zdarza się, że największy żar ciska wulkan, co niby dawno...” i wszystkie te bzdury. Nakarmił psy i zaniósł ziarno kurom.

Gdyby Claire go widziała... Te jego cip cip i dostojny gest siewcy...

Wracając, zauważył Samuela i Ramona, którzy trenowali na dużej łące zwanej zamkową, biegnąc slalomem między balotami słomy.

Ruszył im naprzeciw. Oparł się o barierkę, przywitał z młodymi, którzy także spali w stajni i z którymi coraz częściej rozgrywał niekończące się partie pokera.

Przegrał już dziewięćdziesiąt pięć euro, ale uważał, że to niezbyt wygórowana cena za ratunek od rozmyślenia w ciemności.

Kłapouchy wyraźnie nie miał motywacji, i gdy Sam przechodził obok nich, mrucząc coś pod nosem, Mickaël rzucił: - Czemu nie potraktujesz go batem? Charles delektował się jego odpowiedzią.

Prawdziwi ujeżdźacze używają nóg i rąk, bezradni - bata.

Odkrycie takie jak to zasługiwało na czystą stronę. Zamknął szkicownik, powitał panią domu oraz jej gości pucharami szampana i ucztą w altanie.

- Nie wiedziałam, że pan tak dobrze gotuje - zachwyciła się Kate.

Charles dał jej dokładkę.

- Ale przecież ja nic nie wiem - nachmurzyła się.

- Nic pani nie traci, czekając.

- Mam nadzieję.

Jej uśmiech dość długo unosił się nad obrusem i Charles pomyślał sobie, że to jego ostatni odpoczynek przed, hm, szczytowaniem... Daj spokój, co to za określenie... Przed decydującym wbiciem czekana... Cha, cha! A to lepsze? Charles znów był wstawiony i wtrącał się do każdej zasłyszanej rozmowy, żadnej z nich nie rozumiejąc. Któregoś pięknego poranka chwyci ją za włosy, przeciągnie przez całe podwórze, rzuci na swoje teflonowe cudo i obliże wszystkie otarcia.

- O czym pan myśli? - spytała.

- Dałem za dużo papryki.

Był zakochany w jej uśmiechu. Długo się przymierzał, żeby jej o tym powiedzieć, ale jak już raz powie, to będzie powtarzał długo.

Miał więcej niż dwa razy dwadzieścia lat i stał twarzą w twarz z kobietą, która miała dwa razy więcej przeżyć niż on. Przyszłość stała się dla nich czymś budzącym przerażenie.

Ponieważ jego rewelacyjne jedzenie było naprawdę rewelacyjne, na kilka dni porzucił szkicownik.

Ma z tego czasu tylko jeden rysunek. I w dodatku zabrudzony krążkiem anyżówki...

Tego wieczoru byli wszyscy na głównym placu we wsi. Dzień wcześniej zjawili się z wielkim hukiem jego kochani paryżanie (ta idiotka Claire trzymała wciśnięty klakson od wjazdu na dębową aleję...). Samuel i spółka wyżywali się na flipperze, a młodszy bawili się wokół fontanny.

Charles tworzył ekipę z Markiem i Debbie i ponieśli straszliwą klęskę. Wprawdzie Kate ich ostrzegła:

- Zobaczycie, miejscowi starszacy dadzą wam wygrać pierwszą rundę, żebyście nabrali zaufania and then... they kick your ass!

I rzeczywiście, wkrótce paryskie gamonie i amerykańcy ze skopanymi tyłkami pocieszali się anyżówką, a jego siostra, Ken i Kate mozolnie starali się obronić swój honor.

Tom liczył punkty.

Im bardziej przegrywali, tym więcej stawiali kolejek, a im więcej wypili kolejek, tym trudniej było im zlokalizować tę fucking świnkę...

Na jedynym szkicu, jaki wykonał podczas tego pełnego kolorów weekendu, puentuje Claire.

Nie jest zbyt skoncentrowana. Flirtuje z Barbie Boyem, posługując się dość pobieżną, lecz obrazową angielszczyzną: „Wybijasz, maj bjutiful chippendale, czy nie wybijasz? Bikoz if you nie wybijasz correctly, my are in big shit, ju anderstend? Show me, pliz, what are you zdolny to do with dwie bule...”

Supergeniusz, badacz atomów w atomach nie anderstends nic prócz tego, że ta dziewczyna jest szalona, że robi skręty jak nikt inny, ale jeśli nie przestanie wieszać mu się na ramieniu, gdy rozpaczliwie próbuje bronić swojej ostatniej part, to wrzuci ją do fountain, okay?

Później, w nieco dokładniejszej angielszczyźnie, Charles opowiedział mu, czym Claire się zajmuje i w jaki sposób została jednym z najgroźniejszych adwokatów Francji - i prawdopodobnie Europy - w swojej dziedzinie.

- But... What does she do?

- She saves the world.

- No?

- Absolutely.



*Ken podniósł oczy ku dziewczynie, która żartowała z jednym z dziadków i pluła pestkami z oliwek na głowę Yacine'a, i trwał tak, bezradny.*

*- O czym ty mu znów opowiadasz? - zaniepokoiła się.*

*- O twojej pracy...*

*- Yes! - she said, zwracając się do bezradnego. - I'm very good in global warming! Globally I can rozgrzać anything, you know... Do you still live w domu rodziców?*

*Kate się śmiała. Śmiał się też Marc, który przyjechał do nich razem z Claire i którego uważał za najbardziej badziewny GPS na rynku.*

*Ale za to miał w samochodzie dobrą muzykę... No i świetnie, bo zablądził aż sześć razy...*

*Między kolejnymi rzutami jedli świńskie podgardle i bardzo tłuste frytki i tak się wygłupiali, tak się śmiali, że zwabili pod lipy całą wioskę.*

*To Kate ma taki dar - myślał Charles. Tam, gdzie jest, wszystko zaczyna żyć.*

*- Na co ty czekasz? - spyta go Claire dwa dni później wieczorem po drugiej stronie mostu, zanim tym razem ona załaduje do swojego małego samochodu kilogramy owoców i warzyw.*

*Ponieważ brat skupi się na czyszczeniu szyby, kopnie go mocno w tyłek.*

*- Jesteś za głupi, Balanda.*

*- Au.*

*- Wiesz, dlaczego nigdy nie będziesz wielkim architektem?*

*- Nie.*

*- Bo jesteś za głupi. Śmiechy.*

*Gdy Tom wrócił skądś z naręczem lodów dla dzieci, a Marc zabrał się do zbierania pogubionych kul, Kate oświadczyła:*

*- No dobra! Runda pocieszenia i idziemy...*

*Staruszkowie pokiwali głowami, wyciągnęli chusteczki i wyczyścili kule.*

*- A co to takiego? - spytał zaniepokojony Charles. - Ostatnia kolejka?*

*Zdmuchnęła kosmyk:*

*- Co? Runda pocieszenia? Nigdy pan nie słyszał o czymś takim?*

*- Nie.*

*- No cóż... Jest pierwsza runda, druga, rewanż i runda pocieszenia. To taka „pusta” runda. Bez stawki, bez konkurencji, bez przegranych... Gra wyłącznie dla przyjemności...*

*Charles'owi szło świetnie, dzięki niemu ekipa wygra... uhonorowała tę wspaniałą nazwę. Runda pocieszenia.*

*Gdy szedł się położyć, życząc wszystkim dobrej nocy i pozostawiając siostrę pod opieką osobistego nauczyciela (podejrzewał, że tak naprawdę mówi po angielsku znacznie lepiej i że specjalnie kaleczy ten język), ta oświadczyła:*

*- Masz rację, wyśpij się. Jutro rano, o jedenastej, musisz być na dworcu w Limoges.*

*- Limoges? A co, do cholery, miałbym tam robić?*

*- Nie znalazłam dla niej lepszego połączenia.*

*- Dla kogo?*

*- Jak ona się nazywa? - udała, że ściąga brwi. - Jakoś tak... Mathilde... Tak, Mathilde.*

„Najszcześniejszy” „w” „jego” „życiu”. Oto dlaczego.

Gdy ją przywiózł, reszta znowu siedziała przy stole.

Przesunęli się, żeby zrobić jej miejsce i godnie uczcić przybycie nowego gościa.

Resztę popołudnia spędzili nad rzeką.

Po raz pierwszy od przyjazdu Charles nie wziął ze sobą szkicownika. Miał obok wszystkich, których kochał na tym świecie, i nie było już niczego, o czym mógłby jeszcze marzyć, co mógłby sobie wyobrażać, wymyślać czy rysować.

Absolutnie niczego.

\* \* \*

Nazajutrz spotkali na targu Alexisa z Madame. Claire zawahała się kilka sekund, zanim zdecydowała się go ucałować. Ale ucałowała. Radośnie. Czule. Okrutnie.

Byli już daleko, gdy Corinne spytała go, kim jest ta dziewczyna.

- To siostra Charles'a.

- Ach...

Zwróciła się do sprzedawcy serów:

- Niech no pan powie, nie zapomniał pan przypadkiem o tartym serze?

I do cienia swojego męża:

- A ty na co czekasz? Płać!

Na nic, nie czekał na nic. Dokładnie to właśnie robił.

Na drugi dzień przyjechał do Les Vesperies, tłumacząc się, że niby chce od nich pożyczyć jakieś narzędzie, i jedno z dzieci poinformowało go, że Claire już wyjechała.

Charles, który pracował z Markiem w salonie, nie zadał sobie trudu, by wstać.

Tom, Debbie i Ken, po długim odwiekaniu wyjazdu do Hiszpanii, wreszcie też ruszyli w drogę.

Pokój Hattie przejęła po nich matka Kate, która przyjechała dzień wcześniej.

Hattie coraz lepiej radziła sobie w pokerze i uprzejmie odstąpiła swój drugi pokój Mathilde.

Tylko na dwie noce.

Bo później Mathilde też zniosła materac do siodlarni.

Charles początkowo miał obawy, jak się dogadają „mysz miejska i myszy wiejskie”, ale szybko się uspokoił.

Drugiego dnia dosiadła konia, założyła słuchawki i prześcignęła wszystkich.

Wiedział przecież, że lubiła blefować. Ale mogła im powiedzieć...

Kładł się spać zde gustowany, słysząc, jak śmieje się znacznie głośniej od reszty.

Pewnego ranka, gdy byli sami, spytała go:

- Co to za dom?

- Właśnie. To jest dom godny swojej nazwy, jak sądzę...

- A Kate?

- Co Kate?

- Jesteś in love?

- Myślisz?

- Jeszcze jak! - Wzniosła oczy ku niebu.

- Cholera. To niedobrze?

- Nie wiem... A to mieszkanie, którego nawet nie widziałam?

- To nie ma nic do rzeczy... Ale à propos... Chciałbym zadać ci jedno pytanie...

Zadał je i otrzymał odpowiedź, jaką miał ochotę usłyszeć. Wtedy przypomniał sobie Claire i to, co mówiła o serdeczności.

Wnioski tej mądrym mecenas zawsze były trafne... Jej mowy obrończe zresztą też...

- Charles, dostałeś list! - krzyczał Yacine z dołu schodów.

Rozpoznał pismo siostry i kształt płyty kompaktowej.

Jeżeli koza jeszcze nie zżarła ci komputera, puszczaj sobie w kółko numer 18. Słowa nie są zbyt trudne, a ty, z twoim głosem stentora, świetnie to zaśpiewasz...

Gud lak.

Odwrócił pudełko, to była ścieżka jednego z musicali Cole'a Portera. Tytuł?

Kiss me, Kate.

- Co to jest? - spytała Mathilde.

- Psikus twojej ciotki... - uśmiechnął się głupkowato.

- Pff... Ależ wy oboje jesteście dziecienni...

Później, gdy przeczytał książeczkę, dowiedział się, że jest to adaptacja Szekspirowskiego Poskromienia złośnicy. Znowu źle przetłumaczony tytuł... The Taming, oswojenie, wytresowanie, of the Shrew jest, niestety, znacznie bardziej hipotetyczne...

Cztery następne strony szkicownika to istny katalog drewnianych domków.

Pewnego ranka Charles zaproponował Nedrze, która spędzała długie godziny na samotnej zabawie w gęstwinie bukszpanu za kurnikiem, że zbuduje jej prawdziwy dom.

W odpowiedzi tylko zawachlowała rękami.

- Zasada pierwsza: przed wybudowaniem czegokolwiek należy znaleźć lokalizację... Chodź ze mną, i powiedz, gdzie chcesz...

Zawahała się przez chwilę, poszukała wzrokiem Alice, po czym wstała i wygładziła spódniczkę.

- Chcesz mieć okna od strony wschodzącego czy zachodzącego słońca?

Czuł się speszony, poddając ją tym mękom, ale nie mógł inaczej, taką miał pracę...

- Wschodzącego? Kiwnęła głową, że tak.

- Masz rację. Południe, południowy wschód to najrozsądniejsze rozwiązanie.

W milczeniu obeszlą dom.

- Tu byłoby dobrze, bo rośnie tu kilka drzew, które będą dawać cień, no i niedaleko masz rzekę... Ujęcie wody jest bardzo ważne.

Słyszając te wszystkie żarty, Nedra powoli tajała i nawet w pewnej chwili, gdy trzeba było przejść przez zarośla, zapomniała się i podała mu rękę.

Fundamenty zostały wzniesione.

Po obiedzie przyniosła mu kawę, jak zawsze od czasu jego pierwszej wizyty, oparła się o jego ramię i patrzyła, jak rysuje całą gamę drewnianych domków, proponowanych przez firmę Balanda & C<sup>ie</sup>.

Rozumiał ją. Tak jak ona uważał, że rysunki mówią więcej niż słowa, i tylko dla niej rysował przeróżne kombinacje. Rozmiar okien, wysokość drzwi, ilość balustrad, długość tarasu, kolor dachu i otworki w okiennicach: romby czy serduszka?

Domyślał się, który model wskaże...

Charles naprawdę planował wyjechać, ale przyjechała Mathilde, a Kate, skupiona na swojej szalonej matce i właśnie na Mathilde, oddaliła się i ciągle była niezdobytą górą. Dlatego właśnie zaangażował się w następną dziedzinę.

Odwalili z Markiem kawał roboty i Marc odjechał do rodziców z wielkim projektem w bagażniku. Charles musiał więc uczepić się innych uskoków, żeby zająć czymś ręce.

Poza tym... dotąd nieźle udawały mu się miniaturowe domki. Gdyby dobrze poszukał, na pewno znalazłby w którejś z szop jakiś kawałek marmuru... Pamiętał, że gdzieś mignęła mu popękana podmurówka kominka...

Początkowo Kate czuła się skrępowana tym, że płacił Samuelowi i jego kumplom, ale Charles nie chciał o niczym słyszeć. Każdy dobry czeladnik zasługiwał na pensję...

Kumple okazali się bardziej leniwi niż sprzedajni i szybko ich opuścili, co im dwóm dało okazję lepiej się poznać. I polubić. Jak to się często zdarza, gdy ludzie pracują znośnie w upale, przy okazji jednej lub dwóch rzuconych w przestrzeń „choler”, kilku piw i tyłuż odcisków.

Trzeciego wieczoru, gdy przebierali się na pontonie, Charles zadał mu to samo pytanie co Mathilde.

Lepiej niż ktokolwiek zrozumiał jego wahanie. Sam był w identycznej sytuacji.

Między kolejne strony wsunięte jest zdjęcie. Wydrukował je znacznie później, po powrocie, i przez kilka tygodni walało się po jego biurku, zanim stwierdził, że włoży je właśnie tu.

Stan rzeczy w chwili zakończenia robót budowlanych. Stan rzeczy w ogóle.

Zrobiła je Granny i wyjaśnienie jej, jak wcisnąć jeden jedyny guzik bez zwracania uwagi na resztę, to była cała epopeja. Poor Granny nie знаła się zupełnie na cyfrowych hybrydach...

Są na nim wszyscy. Na progu domku Nedry. Kate, Charles, dzieci, psy, Kapitan Haddock i wszyscy mieszkańcy kurnika.

Wszyscy uśmiechnięci, piękni, zawieszani w drzeniu starszej pani, która odgrywała swój wielki numer przestraszonej diwy, ale spokojni.

Znali ją od dawna... Wiedzieli, że wcisnie w odpowiednim momencie.

Alice zajęła się dekoracją wnętrza (dzień wcześniej Charles przyniósł swoje książki i pokazał jej prace Jephana de Villiers...). I to właśnie najbardziej lubił u tych dzieci... Sposób, w jaki prowadziły go zawsze na nieznanne tereny... Zasady tresera Samuela, talent tej dziewczynki, szorstkie poczucie humoru Harriet czy pięćdziesiąt anegdot na minutę, opowiadanych przez Yacine'a... Oprócz tego byli całkiem normalni, męczący, roszczeniowi, nieusłuchani, pełni złej woli, hałaśliwi, leniwi, sprytni i sprzecali się bez przerwy, ale mieli coś, czego inne dzieci nie miały...

Swobodę, czułość, lotność umysłu (a nawet odwagę, bo wykonywanie bez jednej skargi wszystkich tych prac, których wymagało utrzymanie domu, to było nie byle co), apetyt na życie i tę szczególną bliskość ze światem, która nieustannie go fascynowała.

Przypomniał sobie uwagę żony Alexisa na ich temat - „mali mormoni” - ale zupełnie się z nią nie zgadzał. Przede wszystkim widział, jak się szarpali o dostęp do joysticka przy grach wideo, jak spędzali popołudnia na czatowaniu, pisaniu blogów i wylawianiu najlepszych kawałków na YouTube (zmusili go do obejrzenia wszystkich od-

cinków „Widzieliście kiedyś...”) (czego zresztą wcale nie żałował, nigdy jeszcze tak zdrowo nie rechotał), ale przede wszystkim wcale nie sprawiali wrażenia ludzi odciętych od świata za swoim mostem.

Wręcz przeciwnie... To dzięki nim poczuł puls życia. Był tak blisko ich radości, odwagi, ich... arystokracji... Ich wyścigi, stół, łąki, materace były jak niekończąca się defilada, w której każdego dnia pojawiały się coraz to nowe twarze.

Ostatni rachunek za artykuły spożywcze mierzył przeszło metr (to on je zrobił... stąd ta przesada... podobno wziął się do tego jak typowy paryżanin na wakacjach...), a plaża w godzinach największego oblężenia była czarna od ludzi.

Co wyróżniało ich spośród reszty? Kate.

Fakt, że ta niepewna siebie kobieta, która, jak sama mu zdradziła, każdej zimy wpadała w coś w rodzaju przygnębienia, trwającego czasem kilka dni, podczas którego nie miała siły podnieść się z łóżka, że ta kobieta potrafiła dać takie poczucie bezpieczeństwa osieroconym dzieciakom, bez ojca i matki, jak musiała zaznaczyć w formularzu - ten fakt wydawał mu się... cudem.

- Niech pan tu przyjedzie w połowie grudnia - rechotała, próbując zgasić tę iluminację. - Kiedy temperatura w salonie wynosi pięć stopni, co rano trzeba łamać lód na wodzie dla kur i gdy trzy razy dziennie jemy owsiankę, bo nie mam siły robić nic innego... I zbliża się Boże Narodzenie... te niezwykle, rodzinne święta, a ja muszę brać na siebie rolę całego drzewa genealogicznego, wtedy pogadamy o tym pańskim cudzie...

(Ale znowu innego wieczoru, po jakiejś wyjątkowo przygnębiającej kolacji, podczas której nasza czwórka specjalistów od planety Ziemia sporządziła alarmujący bilans, pelen cyfr, nie do odparcia przez... cóż... znana sprawa... Kate się otworzyła:

- Ten styl życia... taki niezwykajny... być może dyskryminujący... który narzucam dzieciom... To jest jedyna rzecz, która mogłaby mnie rozgrzeszyć... Dziś świat należy do sklepikarzy, ale jutro? Często powtarzam sobie, że tylko ci, którzy będą umieli odróżnić jagodę od grzyba czy zasadzić ziarno, przeżyją...

A później, z właściwą sobie elegancją, śmiała się i opowiadała masę głupot, żeby wybaczyli jej ten moment trzeźwości...)

Tak więc Alice zajęła się dekoracją wnętrza, a Nedra zaprosiła wszystkich na zwiedzanie pałacu.

Nie całkiem. Można było popatrzeć, ale nie można było wejść. Powiesiła nawet sznurek na drzwiach. Reszta się obruszyła, lecz to uszanowała. Nedra była u siebie. U siebie na tej ziemi, która jej nie chciała, i poza Nelsonem i jego panią nikt nie miał tam prawa do azylu.

Mogliście mieć przy sobie papiery...

Charles i Sam zrobili kawał dobrej roboty. Wilk może sobie dmuchać i dmuchać, bunkier nie ruszy się z miejsca.

Wsporniki zatopili w cemencie, a gwoździe, których użyli, były dłuższe od dłoni Nedry.

Zresztą widać na zdjęciu, że jest nieco spięta... Gdy Granny nareszcie pozwoliła im się rozejść, Kate zwróciła się do niej:

- Słuchaj, Nedra... Podziękowałaś Charles'owi? Mała kiwnęła głową.

- Nic nie słyszę - nie dawała za wygraną Kate, pochylając się.

Dziewczynka spuściła nos na kwintę.

- Niech pani da spokój - powiedział zmieszany. - Ja usłyszałem...

Po raz pierwszy zobaczył, jak się gniewa.

- A jednak, Nedra, a jednak! Trzy krótkie sylaby w zamian za ten ogrom pracy chyba nie podrapią ci gardła, co?

Małą przygryzła wargę.

Opiekunka prawna, biała jak koszula, którą miała na sobie, rzuciła tylko przed odejściem:

- Wiesz, co ci powiem? Nie żałuję, że nie mogę wejść do domku takiej egoistki... Zawiodłaś mnie... Straszliwie zawiodłaś.

Nie miała racji.

To krótkie, wyczekiwane słówko znajdzie się na następnej stronie szkicownika i przybierze formę, która sprawi, że tym razem oni wszyscy oniemiają z wrażenia.

To nie jest rysunek Charles'a, zajmuje dwie strony i tak właściwie to w ogóle nie jest rysunek.

Samuel dość pobieżnie naszkicował trasę wyścigu, żeby nauczyć się jej na pamięć.

Kwadraty, krzyżyki, punkty i strzałki we wszystkich kierunkach...

Tak oto dotarliśmy... do słynnych zawodów, z powodu których zawalił...

Trzeci weekend sierpnia... Charles jeszcze nie miał odwagi powiedzieć tego głośno przy Mathilde, ale ich dni tutaj były policzone. Skrzynka jego poczty głosowej była wypełniona po brzegi groźbami, a Barbara spryciara poradziła sobie i znalazła numer telefonu Kate. Wszyscy na niego czekali, miał już umówione jakieś dziesięć spotkań i Paryż zaczynał pachnieć kłopotami, ażeby nawiązać do chwili, która nas interesuje.

Kilka godzin wcześniej Sam wygrał bez trudu ostatnie eliminacje i wszyscy rozłożyli się po drugiej stronie stajennych zapleczy.

Ależ ekspedycja...

Ramon i jeździec wyruszyli dzień wcześniej, we własnym tempie i żeby się rozgrzać, i spali już na miejscu.

- Jeśli przejdiesz do następnej rundy - oświadczyła Kate, stawiając koszyk na siedzeniu - przyjedziemy ze śpiworami i będziemy spać z wami na świeżym powietrzu, żeby cię znosić podczas wyścigu...

- To support znaczy: wspierać, nie: znosić, Auntie Kay...

- Thank you, sweetheart, ale wiem, co mówię... Będziemy was znosić, ciebie i twojego osła, tak jak to robimy od dziesięciu lat. Odpowiada to panu, Charles?

Och, jemu... jemu wszystko odpowiadało... Myślni był już w swoich klauzulach karnych za opóźnienia... No i to będzie jedyna okazja do spania obok niej w odległości mniejszej niż sto metrów...

Ale mówi to tylko tak, żeby coś powiedzieć, rozumiano? Dawno już porzucił marzenia o zdobyciu góry Fudzi... Ta kobieta bardziej niż mężczyzny potrzebowała przyjaciela. Nareszcie. Dzięki. Zrozumiał. Cóż... przyjaciele rzadziej się psują... Pocieszał się ukradkiem małymi łydkami port ellen, które spijał w swoim pokoiku za zdrowie wspaniałego wakacyjnego kumpla, jakim się stał.

Cheese.

Rzecz jasna, dzieci podskoczyły z radości i rzuciły się biegiem do swoich pokoi pakować swetry i herbatniki. Alice namalowała piękny transparent: „Dajesz czadu, Ramon!”, ale Sam kazał jej obiecać, że rozwinie go tylko w przypadku zwycięstwa.

- To by go mogło zdekoncentrować, rozumiesz...

Wszyscy wzniesli oczy ku niebu. Rzeczywiście, ten głupek potrafił się spłoszyć na widok krzywo rosnącego źdźbła trawy czy rozbrykanej muchy.

Do podium było jeszcze daleko...

Wszyscy siedzą z podkulonymi nogami wokół ogniska i pieką - jedni kielbaski, inni żelki, jeszcze inni camembert, a reszta kawałki chleba, a ich śmiechy i opowieści rozwiewają się wraz z tym... eeee... skontrastowanym zapachowo dymem.

Zaczęło się pospolite ruszenie. Bob Dylan ćwiczy gamy, starsze dziewczyny wróżą z ręki maluchom, Yacine wyjaśnia Charles'owi, że ta pajęczyna została utkana przy ziemi, żeby łapać owady skaczące, jak na przykład pasikoniki, natomiast ta, widzisz, tam na górze, no, ta jest na latające... Logiczne, nie? Logiczne. I Charles jest bardzo friendly wobec swojej fajnej kumpeli. Przygotował jej klubowego sandwicza i poszedł ukraść balot słomy, żeby miała się o co oprzeć...

Sigh...

Od przyjazdu matki Kate była dość nerwowa...

- Imprezujemy tu co wieczór, żeby przed nią uciec? - spytał ją.

- Może... Głupie, prawda? W moim wieku nie powinnam już być taka wrażliwa na humory mojej starej Mummy... Po prostu ona przypomina mi inne czasy... Czasy, kiedy byłam młoda i beztroska... Mam chandré, Charles... Brakuje mi Ellen... Czemu nie ma jej dziś z nami? Wyobrażam sobie, że ludzie robią dzieci, żeby przeżywać chwile takie jak ta, nie?

- Ona jest z nami, bo rozmawiamy o niej - szepnęła.

- A dlaczego pan ich nigdy nie miał, co?

- Dzieci...

- Pewnie dlatego, że nigdy nie spotkałem ich mamy...

- Kiedy wyjeżdżacie?

Nie spodziewał się tego pytania. „Słowo”, „Słowo”, „Słowa” - szalały jego szare komórki.

- Kiedy Sam wygra...

Well done, mój bohaterze. Daleko szukał tego uśmiechu...

\* \* \*

Dochodziła jedenasta, owinęli się w koce i czuwali wokół rozżarzonych polan „jak kowboje”, próbując rozpoznać nocne odgłosy Co to za krzyk? Co to za gwizd? Co to za skrobanie? Jaki ptak? Jaki owad? Co oznaczały te dalekie porykiwania?

„Odwagi, towarzysze! Za kilka godzin przestaniemy dostarczać rozrywki tym głupim dwunożnym istotom!”

I nagle ktoś, może Léo, powiedział drżącym głosem:

- Wiecie co... To jest pora na opowiadanie strasznych historii...

Kilka przerażonych okrzyków dodało mu kurażu. Rozpoczął jakąś obrzydliwą opowieść, pełną wnętrzości i hemoglobiny, okrutnych Marsjan i transgenicznych szerszeni. No... tam... To im jeszcze nie odebrało ochoty na sen...

Kate postawiła poprzeczkę bardzo wysoko.

- Heliogabal? Mówi wam to coś? Nic prócz trzasku płomieni.

- Wielu rzymskich cesarzy było szaleńcami, ale ten, jak myślę, był najgorszy... Przede wszystkim przejął władzę w wieku czternastu lat i wjechał do Rzymu na rydwanie zaprzężonym w nagie kobiety... Niezły początek... Był

szalony... Niebezpieczny dla otoczenia. Podobno posypywał wszystkie dania proszkiem ze zmielonych kamieni szlachetnych, wrzucał perły do ryżu, lubił jadać dziwne rzeczy, przyrządzone ze szczególnym okrucieństwem, uwielbiał potrawkę ze słowiczych i papuzich języków oraz grzebieni kogutów, które musiały być wyrwane żywym ptakom, dawał gęsie wątróbki swoim cyrkowym zwierzętom, pewnego ranka kazał zabić sześćset strusi, żeby zjeść ich jeszcze ciepłe mózgi, uwielbiał sromy samiec nie pamiętam już jakiego zwierzęcia... Dobra, koniec. A to wszystko to były tylko przekąski.

Nawet płomienie nastawiły uszu.

- Oto anegdota, którą Léo ma ochotę usłyszeć: Heliogabal słynął ze swoich orgiastycznych bankietów... Następny musiał być zawsze lepszy od poprzedniego. To znaczy gorszy. Za każdym razem cesarz pragnął jeszcze większej masakry, więcej przerażenia, więcej gwałtu, zbiorowego seksu, żarcia, alkoholu... Więc pewnego dnia kazał rzeźbiarzowi wykonać metalowego byka, pustego w środku, z małymi drzwiczkami na boku i z otworem na poziomie pyska, tak by można było słyszeć dźwięki dochodzące z wewnątrz... Na początku tych nice parties otwierano drzwiczki i wpuszczano do środka niewolnika. Gdy cesarz zaczynał się nudzić, inny niewolnik rozpalał pod bykiem ogień, a wszyscy goście zbliżali się do niego z uśmiechem. Tak, tak... To było naprawdę śmieszne, bo byk... ryczał.

Ble.

Martwa cisza.

- To prawdziwa historia? - spytał Yacine.

- Absolutnie.

I gdy dzieci trzęsły się ze strachu, odwróciła się do Charles'a i mruknęła:

- Oczywiście, nie powiem im tego, ale dla mnie to metafora ludzkości...

Mój Boże... Naprawdę miała niezłą chandrę... Trzeba było coś z tym zrobić...

- Tak, ale... - powiedział dość głośno, żeby przebić się przez ich zniesmaczenie - ten facet wkrótce umarł, w wieku osiemnastu lat, z tego, co pamiętam, w kiblu, udusił się gąbką, która służyła do wycierania tyłka.

- To prawda? - zdziwiła się Kate.

- Absolutnie.

- Skąd pan wie?

- Montaigne mi powiedział. Pociągnęła za jego koc, mrużąc oczy.

- Jest pan geniuszem.

- Absolutnie.

Nie pozostał nim długo. Jego historia o tym, jak to na początku wszystkich prac budowlanych znajduje się kości i że nie można tego nigdzie zgłaszać, bo przez śledztwo można stracić gotowy do wylania beton i mnóstwo pieniędzy, nie poruszyła nikogo. Słabizna...

Samuel przypomniał sobie jedyną lekcję francuskiego, na której nie spał.

- To jest historia młodego faceta, wieśniaka, który nie chce być mięsem armatnim w armii Napoleona... Wiecie, krwawa danina... To trwało pięć lat, człowiek był pewien, że zdechnie jak pies, ale jeśli miał kasę, mógł opłacić kogoś, kto by poszedł zdechnąć za niego...

Ale on nie miał złamanego grosza, więc zdezerterował.



*Prefekt wezwał jego ojca, męczył go i poniżał, ale ten biedak naprawdę nie wiedział, gdzie jest jego syn... Wkrótce znalazł go martwego w lesie, miał jeszcze w zębach trawę, którą próbował jeść. Stary wziął swojego dziecka na ramiona i niósł, nie odzywając się słowem, prawie pięć kilometrów, aż do prefektury.*

*Ten gnojek prefekt był akurat na balu. Gdy wrócił o drugiej nad ranem, natknął się w drzwiach na biednego wieśniaka, który mu powiedział: „Chciał go pan, panie prefekcie, więc go pan ma”. Postawił trupa pod ścianą i zwiął.*

*No, to przynajmniej było ohydne... Sam nie był do końca pewien, ale zdawało mu się, że to jeszcze jeden kawałek Balzaka.*

*Dziewczyny nie znały żadnych historyjek, a Clapton wołał podtrzymywać klimat... Brzdęk, brzdęk. Przygrywał makabrycznym staccato.*

*Wciął się Yacine.*

*- Ale uprzedzam, będzie krótko...*

*- Znowu jakaś masakra ślimaków? - zaniepokoiło się towarzystwo.*

*- Nie, to o seniorach z Franche-Comté i Górnej Alzacji...*

*O hrabiach de Montjoie i seniorach de Méchez, jeśli wolicie...*

*Pomruki niezadowolenia wśród kowbojów. Jak to ma być jakiś intelektualny belkot, to dzięki.*

*Biedny narrator, wybity z rytmu, nie wiedział, czy mówić, czy nie.*

*- Dalej - pisnęła Hattie. - Opowiedz nam o pasowaniu na rycerzy i o podatku od soli. Uwielbiamy to.*

*- Nie, to, o czym chcę powiedzieć, to nie był podatek, to było takie coś, co się nazywało prawem osadniczym.*

*- No taaak... Prawo do wieszania hamaków między Mankami...?*

*- Nie - zmartwił się. - Głupie jesteście... Na mocy tego, jak wam powiedziałem, słynnego prawa osadniczego seniorzy mogli w długie zimowe wieczory, otwieram cudzysłów, „rozpruwać brzuchy dwóch jeleni, żeby ogrzać stopy w parujących wnętrznościach”. To wszystko.*

*To wcale nie było takie słabe. Wszystkie „fuj” i „nieeee?”,*

*i „jesteś pewien?”, i „ohyda...” rozgrzały mu serce równie skutecznie.*

*- No, dobrze - oświadczyła Kate. - Niczego lepszego już dziś nie wymyślimy... Time to go to bed...*

*Już zaczęli się szarpać z zapięciami śpiworów, gdy nagle zastygli, słysząc czyjś uparty protest:*

*- Ja też mam historyjkę. Nie, nie zastygli. Skamienieli.*

*Samuel z właściwą sobie klasą zażartował, żeby uczynić tę chwilę lżejszą:*

*- Jesteś pewna, Nedra, że twoja historyjka jest straszna? Kiwnęła głową.*

*- Bo jeśli nie jest straszna, to lepiej będzie, jak choć raz, nic nie powiesz.*

*Śmiechy, które nastąpiły potem, dodały jej odwagi.*

*Charles spojrział na Kate.*

*Jak to ona kiedyś powiedziała? Numb.*

*She was numb.*

*Numb i jeden wielki, przyczajony uśmiech.*

*- To jest historia dżwnccc.*

*- He?*

*- Co?*

*- Mów głośniej, Nedra!*

*Ogień, psy, gady, nawet wiatr - wszystko zawisło wzrokiem na jej wargach. Chrząknęła.*

*- Hm... Dżdżownicy... Kate opadła na kolana.*

*- No i... Pewnego ranka ona wychodzi i widzi inną dżdżownicę. Mówi jej: Ładna dziś pogoda, nie? Ale tamta nie odpowiada. Powtarza: Ładna dziś pogoda, nie? Żadnej odpowiedzi...*

*Sprawa była delikatna, bo mała mówiła coraz ciszej, a nikt nie śmiał jej przerwać...*

*- Mieszkasz tutaj? - pyta pierwsza, skręcając się z zakłopotaniem, ale ta druga nic, więc dżdżownica wraca zdenerwowana do swojej dziury i mówi: O nie, znwłamzmem.*

*- Co? - zaprotestowało rozczarowane audytorium. - Artykułuj, Nedra! Nic nie zrozumieliśmy! Co ona powiedziała?*

*Podniosła głowę, pokazując światu zakłopotaną minkę, wyjęła z ust kosmyk włosów, który żuła razem ze słowami, i powtórzyła dzielnie:*

*- O nie, znów rozmawiałam ze swoim ogonem...*

*To było śliczne, bo reszta nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy udawać przerażenie.*

*Charles zaklaskał delikatnie, żeby przerwać tę ciszę. Reszta poszła w jego ślady, ale robiła to z całej siły. Wyrwane ze snu psy podskoczyły i zaczęły ujadać, Ramon się rozryczał, a wszystkie osiołki wokół ogniska jęły się wzajemnie uciszać.*

*Przekleństwa, okrzyki, jazgoty, trzask bata, odgłos gniecionej blachy niosły się ze wszystkich stron i cała noc świętowała kurtuazję robaka.*

*Kate była zbyt wzruszona, by dołączyć do tej radosnej wrzawy.*

*Znacznie później Charles otworzy oczy, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu kojotów, odszuka wzrokiem jej twarz na drugim brzegu spopielalego stosu, będzie próbował dostrzec jej powieki i ujrzy, że jej oczy też się otwierają i dziękują mu ze swej strony.*

*Być może tylko mu się to śniło... Nieważne, zanurzył się w himalajski puch i uśmiechnął, cały szczęśliwy.*

*Kiedys może myślał, że zbuduje wielkie rzeczy, które zyskają uznanie bliźnich, ale jedyne budowle, jakie naprawdę liczyły się w jego życiu - i musiał się z tym pogodzić - to były domki dla lalek...*

\* \* \*

*Z przyczyn do dziś niewyjaśnionych Ramon nigdy nie pokonał ostatniej grobli, tuż przed linią mety. Tej, w której brodził wcześniej dziesięć razy...*

*Co się stało? Nie wiadomo. Być może kropelka wody spadła nie tam, gdzie trzeba, albo jakaś dowcipna żaba kopnęła go w nos... Tak czy inaczej znieruchomiał kilka metrów od celu, zaczął czekać, aż miną go konkurenci, i dopiero wtedy raczył ruszyć.*

*A przecież został naprawdę wypieszczony... Dziewczynki szczotkowały go, czesały i gładziły przez cały poranek. „Dobra, już... - zrzędził Samuel. - To nie Polly Pocket...”*

*Nie wyjęli transparentu, nie zrobili zdjęć i nie założyli ciemnych okularów, by Ramona nie rozproszył żaden refleks. Kibicowali mu ostrożnie i boleśnie spinali pośladki, ale na próżno... Wolał dać nauczkę swemu panu... Naprawdę liczy się praca w szkole, a nie zabawa w jazdę od jednej głupiej przeszkody do drugiej...*

*Jego pan, który włożył na tę okazję frak swojego pradziadka, był jedynym zawodnikiem, który powoził bez bata. Najbardziej skutecznym...*

*Kiedy wszyscy tłoczyli się przy nim, jedni smutniejsi od drugich, zdołał jedynie powiedzieć:*

*- Domyślałem się. On się kieruje emocjami... Prawda, skarbie? Chodź, spadamy stąd.*

*- A twoja nagroda? - zaniepokoił się Yacine.*

*- Idź po nią... Kate?*

*- Tak.*

*- Thanks for the great support. I appreciate.*

*- You are welcome, darling.*

*- And it was a fantastic evening, right?*

*- Yes, really fantastic. Today I feel like we're all champions, you know...*

*- We sure are...*

*- Co oni mówią? - spytał Yacine.*

*- Że jesteśmy mistrzami - odpowiedziała mu Alice.*

*- Mistrzami czego?*

*- No, osłów!*

*Charles zaproponował, że wróci razem z nim. Usłyszał, że to miłe z jego strony, ale że jest za ciężki... Poza tym Samuel miał ochotę pobyć nieco sam...*

*Uwielbiał tego dzieciaka. Gdyby miał syna, wybrałby dokładnie taki sam model...*

*Następny rysunek jako jedyny jest niedokończony.*

*I wzdłuż falcowania jest pełno włosów...*

*Gdy chował szkielet do teczki, zapakowawszy całą resztę, w pierwszym odruchu chciał je zdmuchnąć, ale jednak nie, zamknął je tam na zawsze.*

*Jak zakładkę.*

*Prezent od kobiety, która przewróciła tę stronę.*

*Cały poranek i poprzedni dzień spędził z Yacine'em, ogarnięty ideą skonstruowania wyrzutni ziemniaków. Musieli jeździć dwa razy do Brico-Cośtam (no comment), bo jedna tuba z PCV nie była odpowiednia. Potrzebowali metalowej.*

*Na chemiczną wyrzutnię ziemniaków... Taką, która mogłaby wysłać kawałek ziemniaka aż na Saturna, pod warunkiem zaistnienia reakcji Coca-Cola/Mentos (wyrzutnia napędzana kwaśnym węglanem sodowym/octem wysyłała je tylko na Księżyc, a to było znacznie mniej zabawne...).*

*Naprawdę bardzo się napracowali... Musieli ukradkiem podwędzić Renému ziemniaki, oddać Kate jej doskonały ocet z Modeny, który zresztą okazał się nic niewart, i dostać wielki ochrzan, jeszcze raz polecieć pędem do piekarni, bo te kretynki dziewczyny wciągnęły wszystkie mentosy, nie pozwolić Samowi wypić coli, błagać Freaky'ego, by wypluł zawór, który akurat żuł, przeprowadzić mnóstwo testów, lecieć do sklepiku po puszkę, bo w dużych butelkach było za mało gazu, kazać się wszystkim odsunąć, biec do rzeki opłukać ręce, bo były zbyt tłuste, żeby przykręcić korek, po raz trzeci iść do sklepiku, gdzie sprzedawczyni zaczęła mieć podejrzenia (choć... już od dawna nie miała złudzeń co do zdrowia psychicznego mieszkańców tego domu...), bo cola light powinna działać lepiej niż zwyczajna cola, i...*

*- Wiesz co, mój mały Yacine, już chyba łatwiej jest zbudować centrum handlowe w Rosji z Siergiejem Pawłowiczem - westchnął zrezygnowany Charles.*

*Teraz zawstydzeni wracają do domu. Mogliby zrobić kilogramy frytek z tych wszystkich ziemniaków, które zmarnowali, i muszą jeszcze sprawdzić jedną rzecz w Internecie.*

*Na podwórzu Kate strzygła właśnie Samuela.*

*- Yacine, później twoja kolej.*

*- Ale... jeszcze nie skończyliśmy wyrzutni...*

*- Właśnie - powiedziała, prostując się. - Jak się pozbędziesz tej ciężkiej czupryny, to będzie ci się łatwiej myśleć... I daj na chwilę spokój Charles'owi.*

*Uśmiechnął się. Nie śmiał tego powiedzieć, ale czuł w gardle wielkie ziemniaczane kluski... Poszedł po szkicownik, po drugie krzesło i usiadł obok, żeby ich rysować.*

*Włosy Yacine'a zostały ostrzyżone, czupryny dziewczyn - podrównane, skrócone lub wycieniowane, zależnie od humorów i najnowszych tendencji obowiązujących w Les Vesperies, i kosmyki wszelkiej długości, we wszelkich odcieniach, leżały teraz w kurzu.*

*- Pani potrafi wszystko - zachwycił się.*

*- Prawie wszystko.*

*Gdy Nedra wstała, fryzjerka zamachała szeroką peleryną i odwróciła się do rysownika.*

*- A pan?*

*- Co ja? - spytał, nie unosząc głowy.*

*- Nie chce pan, żebym pana ostrzygła? Delikatny temat. Zrzędła mu mina.*

*- Cóż - mówiła - nie mam w życiu zbyt wielu zasad i teorii... Tak, pan to wie... widział pan, jak żyjemy... A już najmniej z tych zasad dotyczy, niestety, mężczyzn... Ale jest coś, czego jestem absolutnie pewna...*

*Pstrykał swoim rotringiem jak idiota.*

*- Im mniej mężczyzna ma włosów, tym mniej powinien ich mieć...*

*- Słu... słucham? - zakrzuszył się.*

*- Niech pan wszystko zgoli. - Roześmiała się. - I raz, a dobrze pozbędzie się tego problemu!*

*- Myśli pani?*

*- Jestem pewna.*

*- Aaa... Wie pani, te wszystkie opowieści o męskości... Gdy Dalila obcina Samsonowi włosy, ten traci całą swoją siłę, no i skalpy, i...*

*- Come on, Charlie... Będzie pan tysiąc razy bardziej sexy!*

*- Cóż... Skoro tak pani mówi...*

*Nieszczęście... od dwudziestu lat chucha i dmucha na swoje wątłe runo, a ta dziewczyna zrujnuje to wszystko w ciągu dwóch minut...*

*Wlokąc się do katowskiego pieńka, usłyszał słowa wypowiedziane tonem chirurga:*

*- Sam, maszynka. Biada.*

*- Kate, tylko odwróć krzesło tak, by widzieć figurkę fauna. Będę się pocieszał rysowaniem jego pięknych kędziorów...*

*Wrócił jej wspólnik z narzędziem tortur i dzieci z wielką radością zgadywały, jaką ustawi długość ostrzy:*

*- Zrobisz mu na trzy milimetry? Na pięć milimetrów?*

*- Nie, to za dużo. Zrób mu na dwa...*

- Zwariowałeś, będzie wyglądał jak skin. Zrób na trzy, Kate...

Skazaniec nie odezwał się słowem, ale bez problemu skopiował figlarny uśmiezek satyra, który kpił z niego w żywe oczy.

Narysował linię jego szyi, dotarł do porostów na jego ramio... Zamknął oczy.

Czuł łopatkami jej brzuch, przycisnął się do niego najdyskretniej, jak potrafił, opuścił brodę, a jej ręce muskały go, macały, dotykały, głaskały, otrzępywały, gładziły, przyciskały. Był tak wstrząśnięty, że przesunął szkieletnik wyżej na uda i siedział z zamkniętymi oczyma, nie zwracając uwagi na szum maszynki.

Pragnął, żeby jego głowa była nieskończenie wielka, i gotów był stracić całą męskość świata, byle tylko trwał ten słodki skurcz.

Odłożyła maszynkę i chwyciła nożyczki, żeby nadać fryzurze ostatni szlif. I gdy tak przy nim stała, skupiona na długości jego baczków, gdy się pochylała, owiewając go swoim ciepłem, zapachem, smakiem, wyciągnął rękę do jej biodra...

- Ukułam pana? - zaniepokoiła się, cofnąwszy o krok.

Otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że publika wcale się nie rozeszła, w każdym razie nie jej najmłodsza część, i że czeka w napięciu na jego reakcję, więc znów skrzyżował ręce i postanowił zapewnić sobie jeszcze jeden punkt zaczepienia, zanim zużyje ostatnią linę w tej wspinaczce.

- Kate?

- Spokojnie, już prawie skończyłam.

- Nie. Proszę nigdy nie kończyć. Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć... Zastanawiałem się nad czymś, wie pani...

Znów stała za nim i golila mu kark brzytwą.

- Słucham...

- Eee... Nie mogłaby pani na chwilę przerwać?

- Boi się pan, że poderżnę panu gardło?

- Tak.

- Oh God... Co chce mi pan powiedzieć?

- Otóż... Od września będę mieszkał sam z Mathilde i tak sobie pomyślałem, że...

- Że co?

- Że jeśli Samuel jest rzeczywiście taki nieszczęśliwy w internacie, to mógłbym go wziąć do siebie...

Ostrze się zatrzymało.

- Wie pani - ciągnął - tak się składa, że mieszkam w dzielnicy, w której jest mnóstwo świetnych liceów i...

- Dlaczego „od września”?

- Bo to jest... Bo to jest zakończenie historii, która znajduje się w butelce port ellen...

Ostrze wznowiło swoją wędrówkę.

- Ale czy... byłoby u pana miejsce dla niego?

- Bardzo ładny pokój z parkietem, sztukaterią, a nawet z kominkiem...

- Ach?

- Tak...

- Rozmawiał pan z nim?

- Oczywiście.

- I co on o tym myśli?

- Pomyśl mu się podoba, ale boi się panią zostawić... Zresztą rozumiem to... Ale przecież mogłaby go pani widy...

- Podczas wakacji?

- Nie, ja... Chciałbym go tu przywozić w każdy weekend... Znów znieruchomiała.

- Słucham?

- Mógłbym poczekać na koniec lekcji w piątek wieczorem, wsiąść z nim do pociągu, kupić samochód, który zostawiałbym na dworcu w...

- Ale - przerwała mu - co z pańskim życiem?

- Moje życie, moje życie - udał rozdrażnienie. - Co tam moje życie! Nie ma pani monopolu na poświęcenia! Poza tym co do tej adopcji Nedry... nie chciałbym sprawiać pani kłopotu, ale byłoby znacznie łatwiej, gdyby mogła pani udowodnić coś w rodzaju... obecności mężczyzny, nawet fikcyjnej, u pani boku... Obawiam się, że ludzie z administracji mogą być jeszcze dość staroświeccy... żeby nie powiedzieć - mizoginiczni...

- Tak pan sądzi? - spytała z udawanym zatroskaniem.

- Niestety...

- I zrobiłby to pan dla niej?

- Dla niej. Dla niego. Dla mnie...

- Dla siebie?

- No... chyba dla zbawienia mojej duszy... Żeby mieć pewność, że spotkam panią w Raju.

Kate w milczeniu podjęła przerwana pracę, a Charles opuszczał głowę coraz niżej i niżej, czekając na werdykt.

Nie wiedział tego, ale w ostrzu brzytwy odbijał się uśmiech kata.

- Pan... - wyszeptała wreszcie - niewiele pan o sobie mówi, ale jak już pan zacznie, to jest...

- Żalodne?

- Nie, tego bym nie powiedziała.

- A co by pani powiedziała?

Rogiem ścierki wytarła mu szyję, dmuchała delikatnie i bardzo długo w szparę pod kołnierzykiem, przyprowadziła go o dreszcz wzdłuż kręgosłupa i nasypała włosów na szkicownik, po czym wyprostowała się i zarządziła:

- Niech pan idzie po tę cholerną butelkę... Spotkamy się przed psiarnią.

Charles oddalił się, zbity z tropu, a ona weszła do pokoju Alice.

Byli tam też Mathilde i Sam.

- Słuchajcie... Idę pouczyć Charles'a botaniki. Powierzam wam opiekę nad domem.

- Na jak długo idziecie?

- Aż znajdziemy.

- Co znajdziecie?

I już zbiegała, pokonując cztery stopnie naraz, żeby przygotować koszyk ratunkowy.

I gdy tak się miotala, zgubiwszy drogę do kuchni, otwierając, zamykając, zatraskując drzwi i szuflady, Charles stał bez słowa.

*To był on, oczywiście, ale się nie poznawał.*

*Wyglądał starzej, młodziej, bardziej męsko, bardziej kobieco, może delikatniej, chociaż czuł szorstkość pod dłonią... Pokręcił głową bez strachu, że zaczną się sypać kosmyki, podniósł dłoń i ustawił ją przed twarzą, żeby umieścić się w znajomej skali. Dotknął skroni, powiek, ust i spróbował się uśmiechnąć, chcąc pomóc sobie przyjąć nowego siebie.*

*Wsunął butelkę do jednej kieszeni marynarki (jak Bogart w Sabrinie, z tym że bez włosów...) i szkicownik do drugiej.*

*Wyjął jej kosz z rąk, włożył do środka osiemnastoletnią butelkę i podążył wzrokiem za palcem wskazującym Kate:*

*- Widzi pan ten mały szary punkt?*

*- Chyba...*

*- To jest szalas... Domek, gdzie odpoczywają ci, którzy harują w polu... Właśnie tam pana zaprowadzę...*

*Nie spytał jej po co, jakoś zdołał się powstrzymać. Ona nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać:*

*- To idealne miejsce do skompletowania papierów adopcyjnych, jeśli chce pan znać moje zdanie...*

*To jest ostatni rysunek. I to jest jej kark...*

*Miejsce, którego przez chwilę dotykała Anouk i którego on, jeszcze niedawno, dotykał godzinami.*

*Było bardzo wcześnie, ona jeszcze spała, leżała na brzuchu, gdy przez maleńkie okienko wpadł promyk, oświetlając wszystko, czego ku swojemu wielkiemu żalowi nie mógł zobaczyć w ciemności.*

*Była jeszcze piękniejsza niż to, co podpowiadała mu jego ręka...*

*Naciągnął jej koc na ramiona i chwycił szkicownik. Delikatnie odgarnął jej włosy, z trudem się powstrzymał, by nie ucałować znowu tego pieprzyka, lecz bał się, że ją obudzi, i narysował najwyższy szczyt świata.*

*Kosz był przewrócony, a butelka pusta. Opowiedział jej pomiędzy jednym uściskiem a drugim, w jaki sposób dotarł aż do niej. Od partyjki kulek aż do Mistinguett, trzymanej między asfaltem a tą nędzną resztką, która tamtego ranka z niego została...*

*Powiedział jej o Anouk, o swojej rodzinie, o pracy, o Alexisie, o Niani i wyznał, że pokochał ją od pierwszej chwili, przy ognisku, a spodni, które miał wtedy na sobie, nigdy nie oddał do pralni, bo chciał, żeby w kieszeniach na zawsze pozostał ten leśny pył, który od niej przejął, gdy po raz pierwszy ścisnęła mu dłoń na powitanie.*

*Zresztą nie tylko ją... Także jej dzieci... Tak, właśnie jej, bo chociaż się przed tym broni i choć one tak się od siebie różnią, wszystkie stworzone są na jej podobieństwo. Absolutnie i cudownie sparky.*

*Najpierw myślał, że będzie zbyt onieśmielony lub wzruszony, by kochać się z nią tak, jak to robił w swoich nieprzyzwoitych snach, ale dostał od niej pieszczoty, wyznania, słowa... Dobrodziejstwa zawartości butelki oraz posmak miodu i cytrusów, który charakteryzował je obie...*

*Bez oporów opowiedział jej swoje życie i swoją historię, której wynikiem była ta miłość. Uczciwie, chronologicznie. Najpierw niezdamny nastolatek, później pilny student, młody ambitny architekt, pomysłowy inżynier i wreszcie, i to było najlepsze, czterdziestosiedmiolatek, wypoczęty, ostrzyżony, szczęśliwy, nareszcie u tego odległego celu, którego nigdy sobie nie wyznaczał, na który nawet nie miał nadziei. Jedyńm sztandarem, jaki chciał zatknąć na wierzchołku, były tysiące pocałunków, które zebrane jeden do drugiego tworzyły najdokładniejszą foremkę do ciastek.*

*Jej ciało. Do skruszenia. Do schrupania. Do pożarcia. Jak zechce.*

*Poczuł, że szuka ręką jego dłoni, zamknął szkicownik i upewnił się, że nie użył mylnej perspektywy...*

- Kate?

*Właśnie otworzył drzwi.*

- Tak?

- One tu są...

- Kto?

- Twoje psy...

- Bloody Hell...

- I lama też.

- Oooh... - jęknęły koce.

- Charles? - odezwała się za jego plecami.

*Siedział na trawie. Wgryzał się w brzoskwinę o kolorze nieba.*

- No?

- Tak będzie zawsze, wiesz...

- Nie. Będzie lepiej.

- Nigdy nie będziemy mieć spoko...

*Nie dokończyła zdania. Wgryzała się w usta o smaku brzoskwini.*

## 12

- I co? Znalazłeś czterolistną koniczynę?

- Dlaczego o to pytasz?

- Dla niczego - śmiała się Mathilde. Siedziała na parapecie.

- Podobno jutro wyjeżdżamy...

- Ja muszę wrócić, ale ty, jeśli chcesz, możesz zostać jeszcze kilka dni... Kate odwiezie cię na dworzec...

- Nie. Jadę z tobą.

- A... nie zmieniłaś zdania?

- Na jaki temat?

- Na temat opieki nad małodzieńcą i miejsca jej zamieszkania.

- Nie... Zobaczymy... Przystosuję się... Myślę, że mój ojciec może się starać psuć nam szyki, ale cóż... Nawet nie jestem pewna, czy zdaje sobie z tego sprawę... A mama... dobrze nam to zrobi...

Charles na chwilę oderwał się od papierów.

- Nigdy nie wiem - zwrócił się do niej - czy mówisz poważnie, czy się popisujesz... Ostatnio chyba dość dużo doświadczasz i twoja wesołość wydaje mi się nieco podejrzana.

- A co mam robić?

- Nie wiem... Czy masz do nas o to żal...

- Ależ ja mam do was śmiertelny żal! Uważam, że jesteście beznadziejni, egoistyczni, rozczarowaliście mnie. Jak to dorośli... Poza tym jestem megazadrosna... Teraz masz oprócz mnie masę innych dzieci i będziesz wiecznie zwiewał na wieś... Tylko że są w życiu rzeczy, których nie można ściągnąć z Internetu, wiesz?



- A wkurza cię, że Sam jedzie z nami?

- Nie... On jest cool... Poza tym nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądał ten gość na dziedzińcu liceum Henri IV...

- A jak się nie uda...?

- To będziesz sobie rwał włosy z głowy. Hi hi hi.

Cały dom odprowadził go aż do kasowników na dworcu, a Kate nie musiała uciekać, żeby się z nim nie żegnać: wracał za tydzień, żeby odebrać swojego młodego pensjonariusza.

Rozpędził dzieciaki i dał im drobne, żeby sobie kupiły cukierki z sortera, złapał swą ukochaną za kark i ją poca...

Ze wszystkich stron strzelały gromkie „ułuuuuu!", więc oderwał usta od jej ust, żeby ich uciszyć, ale Kate natychmiast z powrotem do nich przylgnęła i zaprezentowała swój pierścień tym, którzy zapomnieli, jak wygląda.

- Nic nadzwyczajnego - rzędził Yacine. - W księdze rekordów było napisane, że tacy jedni Amerykanie całowali się bez przerwy przez trzydzieści godzin i pięćdziesiąt dziewięć minut.

- Nie martw się, panie Ziemniak. Będziemy trenować...

## 13

Charles z ogoloną na zero głową wywołał sensację. Był opalony, przytył, wyprzystojniał, wstawał rano, pracował z łatwością, zaproponował Marcowi, że go zatrudni, zapisał Samuela gdzie trzeba, kupił łóżka, biurka, zostawił dzieciom pokoje, a sam urządził się w salonie.

Spał w łóżku szerokim na dziewięćdziesiąt centymetrów i zamartwiał się, że ma tak dużo miejsca.

Przeprowadził długą rozmowę z matką Mathilde, która życzyła mu odwagi i spytała, kiedy przyjedzie zabrać swoje książki.

- Jak tam? Słyszałam, że zaczynasz intensywną hodowlę? Nie wiedział, co na to odrzec. Rozłączył się.

Poleciał do Kopenhagi i wrócił przez Lizbonę. Zaczął stawiać podwaliny pod nową karierę, opartą raczej na doradztwie i konsultacjach niż na konkursach, procedurach i odpowiedzialności. Co dzień pisał opatrzone rysunkami listy i nauczył Kate odbierać telefony.

Tamtego wieczoru słuchawkę podniosła Hattie.

- Tu Charles, wszystko w porządku?

- Nie.

Po raz pierwszy słyszał, żeby ta śmieszka się skarżyła.

- Co się dzieje?

- Duży Pies umiera...

- Jest Kate?

- Nie.

- A gdzie jest?

- Nie wiem.

Odwołał spotkania, pożyczył od Marca samochód i znalazł ją w środku nocy skuloną przy piekarnikach.

Pies był jednym wielkim rżeniem.

Charles podszedł do niej, objął. Nie odwracając się, dotknęła jego rąk.

- Sam wyjedzie, ciebie nigdy nie będzie i on też mnie opuszcza...

- Ja tu jestem. Jestem za tobą.

- Wiem, przepraszam...

- Trzeba go będzie jutro zawieźć do weterynarza...

- Pojadę.

Tamtej nocy przytulał ją tak mocno, że sprawiał jej ból. Robił to specjalnie. Mówiła, że nie chce płakać z powodu jakiegoś psa.

Charles patrzył na opróżniającą się strzykawkę i myślał o Anouk, czuł, jak suchy nos psa umiera w jego dłoni, i pozwolił Samuelowi zanieść zwierzę do samochodu.

Samuel płakał jak dziecko i opowiadał mu po raz nie wiem który, jak to pewnego dnia pies uratował Alice przed utonięciem... Albo jak innego dnia pożarł całą galaretę z kaczki... Albo jak jeszcze innego dnia zagryzł wszystkie kaczki... I jak czuwał nad nimi każdej nocy i gdy oni biwakowali w salonie, spał przed drzwiami, żeby osłonić ich przed przeciągiem...

- Kate będzie bardzo ciężko - szepnął.

- Zajmiemy się nią.

Tak jak Mathilde, ten chłopiec nie miał zbyt wielkich złudzeń co do świata dorosłych.

Gdyby Sam nie był taki smutny, Charles by mu to powiedział. Powiedziałby mu, że jest jednocześnie osobą fizyczną i prawną, podlegającą więzom dziesięcioletniej odpowiedzialności. Oczywiście powiedziałby mu to ze śmiechem i dodałby, że jest gotów odnawiać ich most co dziesięć lat, by nie mogli za bardzo odciąć się od niego.

Ale Sam odwracał się bez przerwy i sprawdzał, czy wielki totem jego dzieciństwa leży wygodnie na tylnym siedzeniu, i wycierał nos o koszulę ojca, którego ledwo znał.

Więc z poczucia przyzwoitości Charles się nie odezwał.

Kopali razem dół, a dziewczyny pisały poematy. Miejsce wybrała Kate.

- Pochowajmy go na wzgórzu, będzie mógł nadal nas... Przepraszam - płakała - przepraszam.

Przyszły wszystkie wakacyjne dzieciaki. Wszystkie. I René, który specjalnie na tę okazję włożył marynarkę.

Alice przeczytała krótki, wzruszający tekst, który mówił mniej więcej: Daleś nam popalić, ale nigdy cię nie zapomnimy, wiesz...

Przyszła kolej na...

Odwrócili się. Podążali ku nim Alexis i jego dzieci. Alexis. Jego dzieci. I jego trąbka.

...kolej na Harriet. Która nie mogła dokończyć swojej przemowy. Skuliła się i załkała: Nienawidzę śmierci.

Dzieci wrzuciły do dołu kawałki cukru, Samuel i Charles wzięli się do zasypywania i gdy wbijali w ziemię łopaty, Alexis Le Men zagrał.

Charles, który dotąd rozumiał i szanował ich smutek, nie dzielając go, przerwał robotę grabarza. Podniósł rękę do twarzy. Wielkie krople... potu zalewały mu oczy. Nie pamiętał już, że Alexis płacze w ten sposób.

To był koncert... Tylko dla nich... Wieczorem, w końcu lata... Pod ostatnimi lotami jaskólek...

Na wzgórzu, z którego po jednej stronie rozciągał się widok na wspaniałą okolicę, a z drugiej na farmę, która przetrwała czasy wielkiego terroru...

Muzyk miał zamknięte oczy i kiwał się lekko w przód i w tył, jak gdyby akordy, zanim rozpląną się w przestrzeniach, chciały go owiać własnym oddechem.

Nieprzyzwoity gest. Ballada. Solo mężczyzny, który nie grał zapewne, odkąd zaczął podgrzewać zapalniczką łyżeczkę, i który wykorzystał śmierć starego psa, żeby oplakać wszystkich własnych zmarłych...

Tak.

To był koncert.

- Co grałeś? - spytał Charles, gdy schodzili gęsiego ze wzgórza.

- Nie wiem. *Requiem dla świra, który zżarł mi dwie nogawki...*

- Chcesz powiedzieć, że...

- No, pewnie! Za bardzo się bałem, żeby nie improwizować!

Charles, zamyślony, szedł za nim jeszcze kilka metrów, po czym dotknął jego ramienia.

- Co?

- Witaj, Alex, witaj...

Tamten dał mu kuksańca we wrażliwe żebro. Tak tylko, żeby mu przypomnieć, że nie należy wracać do starej śpiewki, gdy się nie ma za grosz słuchu...

- Oczywiście, zostaniecie na kolacji... - oświadczyła Kate.

- Dziękujemy, ale nie. Muszę...

Napotkał spojrzenie swojego dawnego sąsiada, skrzywił się lekko i dokończył weselszym tonem:

- Muszę... zadzwonić!

Charles rozpoznał ten uśmiech, ten sam, który zapowiadał, że zaraz rzuci i zdobędzie za jednym zamachem najlepszą kulkę Pascala Brouniera...

Jeszcze raz zagrał tego wieczoru dla oplakujących. Wszystkie kawałki ich dzieciństwa i tysiąc jeden melodyjek, które wkurzały Nianię.

- A *La Strada*? - spytał Charles.

- Innym razem.

Stali przy samochodach.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zaniepokoił się Alexis.

- Jutro o świcie.

- Już?

- Tak, przyjechałem tylko z powodu... Chciał powiedzieć „pilnej sprawy”.

- ...objawienia młodego talentu.

- A kiedy wracasz?

- W piątek wieczorem.

- Mógłbyś do mnie wpaść? Chciałbym ci coś pokazać.

- Okay.

- No, to pa!

- Tak jak mówisz.

Kate nie zrozumiała ostatnich słów, które szepnął jej do ucha:

Więcej puszku? Wróć z gruszką? Jesteś wrózką? Nie. To nie mogło być to. Wróżki nie mają takich brzydkich rąk...

TLR

I w ten sposób znowu stanął pod domofonem numer osiem w Wiązowym Zakątku.

Ależ go wkurzało, że część tego krótkiego czasu, który spędzi w Les Vesperies, musi przeznaczyć na wizytę w tym gównianym domu...

- Idę - odpowiedział Alexis.

Genialnie. Nie będzie musiał zakładać kapci i spotykać się z panią domu.

Lucas rzucił mu się na szyję.

- Dokąd idziemy? - spytał Charles.

- Chodź.

- No...

- Co no?

Stali we trzech pośrodku cmentarza. I ponieważ Alexis nie odpowiadał, dał mu znak, że zrozumiał.

- Posłuchaj, wspaniale. Tu będzie dokładnie w połowie drogi między domem twoim i Kate. Gdy zapragnie spokoju, przyjdzie do ciebie, a gdy zamarzy jej się folklor - pójdzie tam.

- Och, dobrze wiem, dokąd pójdzie...

Charles odpowiedział uśmiechem na ten smutnawy uśmiech.

- Żaden problem - powiedział Alexis, podnosząc głowę. - Ja już miałem swoją dawkę folkloru...

Zaczęli szukać Lucasa, który bawił się ze zmarłymi w chowanego.

- Wiesz co, ja... Byłem szczery, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy przez telefon... I nadal myślę, że...

Charles pokazał mu, że w porządku, że nie musi się tłumaczyć, że...

- Ale kiedy zobaczyłem, co oni zrobili dla swojego kundla, to...

\* \* \*

- Balanda?

- Chciałbym, żebyś pojechał ze mną. Przyjaciel się zgodził.

\* \* \*

Nieco później, na drodze:

- Ty tak na poważnie z Kate?

- Nie, nie. Wcale. Chcę się tylko z nią ożenić i zaadoptować wszystkie jej dzieci. A przy okazji inwentarz...

Lama będzie moją druhną.

Rozpoznał ten śmiech.

Kilka kroków dalej.

- Nie uważasz, że ona jest podobna do mojej mamy?

- Nie - obronił się Charles.

- Jest... Myślę, że jest. Jest taka jak ona. Tylko mocniej zbudowana.

Charles odebrał go z dworca i od razu ruszyli na wysypisko.

Obaj byli ubrani w białe koszule i jasne marynarki.

Gdy dotarli na miejsce, już wyciągało ją dwóch wielkich facetów.

Z rękoma założonymi na plecy, bez słowa, patrzyli, jak jej trumna wyjeżdża na powierzchnię. Alexis płakał, Charles nie. Pamiętał to, co wyczytał dzień wcześniej w słowniku:

*Ekshumować, przen. Ocalić od zapomnienia, przypomnieć.*

Pracownicy zakładu pogrzebowego, w krawatach, zajęli się resztą. Zanieśli ją do ciężarówki i zamknęli drzwi za całą trójką.

Siedzieli naprzeciw siebie, przedzieleni dziwaczną sosnową ławą...

- Gdybym wiedział, wziąłbym ze sobą karty - zażartował Alexis.

- Litości, nie... Jeszcze by zechciała oszukiwać!

Przy każdym podskoku, na każdym zakręcie instynktownie kładli dłonie na tej, która była przypięta, mocno przypięta, żeby się nie ślizgała. Gdy przez przypadek ich ręce się spotkały, trzymali je długo razem i udając, że gładzą sęki w drewnie, ukradkiem ją głaskali.

Rozmawiali mało i na tematy bez znaczenia. Praca, problemy z kręgosłupem, problemy z zębami, różnica w cenach między mostkiem robionym w mieście a mostkiem robionym na wsi, samochód, który chciał kupić Charles, najlepsze garaże na rynku wtórnym, abonament na parkingu przy dworcu, no i to pęknięcie na klatce schodowej... To, co powiedział rzeczoznawca, i wzór listu do firmy ubezpieczeniowej, który da mu Charles.

Ani jeden, ani drugi, to było widać jak na dłoni, nie miał zamiaru ekshumować niczego innego prócz ciała kobiety, która tak ich kochała.

W pewnym momencie, i musieli to zrobić, bo to właśnie ten człowiek nadawał wszystkiemu klimat i łagodził błyskawice, przywołali wspomnienie o Niani.

Nie. Nie wspomnienie. Raczej jego obecność. Żywotność i zapal tego obwieszzonego świecidełkami człowieczka, który czekał na nich przed szkołą z czekoladową bułką.

„Niania... Mamy powyżej uszu bułek z czekoladą... Mógłbyś następnym razem kupić nam coś innego?”

„A co z mitem, koziołki? Co z mitem? - odpowiadał, poprawiając im kołnierzyki. - Jeżeli kupię wam coś innego, to kiedyś o mnie zapomnicie, a tak, zobaczycie sami, moje okruszki zostaną w was na całe życie”.

Teraz widzieli.

- Moglibyśmy kiedyś pojechać do niego z dziećmi - ucieszył się Alexis.

- Pfff... - westchnął Charles fałszywie i z wysiłkiem (był bardzo złym aktorem) - a ty wiesz, gdzie on leży?

- Nie... Ale moglibyśmy zapytać...

- Gdzie? - odparł z rezygnacją. - W stowarzyszeniu starych ciot?

- Jak on się nazywał...

- Gigi Rubirosa...

- Kurwa, no jasne... Pamiętałeś?

- Właśnie nie. Głowiłem się nad tym, odkąd dostałem twój list, i akurat teraz mi się przypomniało.

- A to drugie... Jego prawdziwe nazwisko?

- Nigdy go nie poznałem...

- Gigi... - szepnął zamyślony Alexis. - Gigi Rubirosa...

- Tak, Gigi Rubirosa, wielki przyjaciel Orlandy Marshall i Jackie la Moule...

- Jak ty to wszystko zapamiętałeś?

- Ja niczego nie zapominam. Niestety. Milczenie.

- To znaczy... Niczego, co zasługuje na zachowanie w pamięci...

Milczenie.

- Charles... - szepnął były ćpun.

- Zamknij się.

- Ale kiedyś trzeba będzie to z siebie wyrzucić...

- Okay, ale kiedy indziej, dobra? Po kolei... No, bo co to jest - powiedział z udawanym rozdrażnieniem - Le Menowie i ich kretyńskie psychodramy! To trwa już czterdzieści lat! A co z odpoczynkiem żywych??!

Podniósł teczkę. Zawahał się pół sekundy i postawił ją przed sobą. Wyjął papiery i wsparty o Anouk udowodnił jej, że nie, widzisz, ja się nie zmieniłem, nadal jestem tym obcym młodzieńcem, który itd.

Niani ta piosenka podobałaby się bardziej niż innym.

A instrukcje obsługi, patrz, rozwiewa wiatr... i nie ma nic prócz wspomnień... *I rozdzielił nas świat i...* na, na, na... *cichutko tak, cichutko tak...*

Cora Vaucaire to co innego. Dobrze ją znał...

- Co tam nuczysz?

- Głupoty.

\* \* \*

Dochodziła pierwsza, gdy dotarli do wioski. Alexis zaprosił karawaniarzy na obiad do sklepiku-bistra.

Krygowali się. Spieszyli się i nie lubili zostawiać towaru na słońcu.

- Chodźcie... Raz-dwa - nalegał.

- Na jedno jajko w koszulce - roześmiał się Charles.

- Raczej w sukience - poprawił go Alexis.

Śmiali się jak dwaj młodzi idioci, którymi nigdy nie przestali być.

\* \* \*

Gdy znów znalazła się w ziemi, Alexis podszedł na brzeg dołu, znieruchomiał, opuścił głowę i...

- Mógłby się pan przesunąć? - przeszkodzono mu.

- Słucham?

- No, bo my już naprawdę jesteśmy spóźnieni... Wsadzimy tę drugą od razu i później się pan pomodli...

- Jaką drugą? - Alexis drgnął.

- No, drugą...

Odwrócił się i zobaczył drugą trumnę, ustawioną na trójnogu obok grobowca rodziny Vanne-ton-Marchanboesuf. Znów drgnął i dostrzegł uśmiech swojego kumpla.

- Co... Co to jest?

- Dalej... Wysił się trochę... Nie widzisz tych wszystkich boa i różowych piórek przy uchwytach?

Alexis się rozpląkał i Charles długo pocieszał go po tej niespodziance.

- Ja... Jak ty to zrobiłeś? - jękał się Alexis, a fachowcy zbierali narzędzia.

- Odkupiłem go.

- He?

- Przede wszystkim świetnie pamiętałem jego nazwisko.

Muszę przyznać, że nieźle się nagłówkowałem w ostatnich miesiącach... Więc poszedłem do jego siostrzeńca i go odkupiłem.

- Nie rozumiem.

- Co tu jest do rozumienia? Siedliśmy przy kieliszku, pogadaliśmy. Normandczyk się nie zgadzał, mówił, że to szokujące. Śmiać mi się chciało, że ludzie, którzy opluwali go, gdy żył, tak delikatnie obchodzą się z robakami... Więc zniżyłem się do ich prostackiego poziomu i wyjąłem książeczkę czekową.

To było piękne, Alex... To było wspaniałe. To było... jak w opowiadaniu Maupassanta... Ten kretyń próbował trwać w swojej brudnej głupocie, którą uważał za godność, lecz po pewnym czasie na scenę wyszła jego żona i powiedziała: „Ale wiesz, Jeannot... Kocioł trzeba naprawić... I w sumie co to zmienia, czy Maurice będzie spoczywał tu, czy gdzie indziej, co? Sakramenty wszystkie miał...” Co? Sakramenty... Śliczne, nie? Spytałem, ile kosztuje nowy kocioł. Rzucili sumę, a ja bez słowa wypisałem ją na czeku. Myślę, że za te pieniądze mógłbym ogrzać cały Calvados!

Alexis się delektował.

- Ale to jeszcze nic... Wszystko wypełniłem, sumę, datę, miejsce, ale gdy miałem podpisać, moje pióro zawisło na moment w powietrzu.

„Proszę państwa, sporo mnie to kosztuje, więc poproszę dodatkowo o co najmniej... długie milczenie... sześć zdjęć”. „Co takiego?” „Chcę sześć zdjęć Nia... Maurice'a - powtórzyłem. - Albo to, albo nic”.

Musiałbyś zobaczyć to poruszenie... Znaleźli tylko trzy! Musieli zadzwonić do cioci Kłoci! Ale miała tylko jedno! No to może Bernadette, ona też kiedyś coś miała! Synowie pobiegli natychmiast do Bernadette! A w tym czasie oglądano wszystkie albumy i drżącymi dłońmi przewracano kalkę. Och... To było piękne... Chociaż raz to ja przygotowałem mu przedstawienie... No, w każdym razie...

Wyjął z kieszeni kopertę:

- Mam je... Zobaczysz, jaki jest śliczny... Oczywiście najłatwiej rozpoznać go na tym z niemowlęctwa, jest golusienki, na jakiejś skórze... Od razu widać, że jest w swoim żywiole!

Alexis oglądał je z uśmiechem.

- Nie chcesz chociaż jednego?

- Nie... Weź je...

- Dlaczego?

- Masz tylko taką rodzinę...

- Zresztą Anouk też... Dlatego po niego pojechałem...

- Ja... - powiedział, ocierając nos - ja nie wiem, co powiedzieć, Charles...

- Nic nie mów. Zrobiłem to dla siebie.

Czym prędzej ukucnął i udawał, że wiąże sznurowadło.

Alexis podniósł go za ramię jak „towarzysza broni” i ten kontakt sprawił mu przykrość.

To dla siebie dokonał tego odkupienia. Reszta, ich przyjaźń, była już martwa.



Alexis patrzył zdziwiony, jak się oddala w kierunku karawanu.

- Dokąd idziesz?! - zawołał.

- Wracam z nimi.

- Ale... A...

Charles nie miał odwagi wysłuchać go do końca. O siódmej rano miał spotkanie robocze, a noc to za mało, żeby się do niego odpowiednio przygotować.

Usiadł między ścierwojadami i gdy po prawej znikła tablica z napisem „Les Marzeray” przekreślona czerwoną kreską, poczuł, że tak naprawdę dzisiaj martwi go tylko jedno.

Być tak blisko niej i nie móc jej nawet pocałować to było... śmiertelnie ciężkie.

Na szczęście jego towarzysze podróży okazali się niezłymi wesółkami.

Ściągnęli służbowe maski, rozluźnili krawaty, zdjęli marynarki i całkiem się wyluzowali. Częstowali swojego pasażera brązowymi dykteryjkami, a jedna była bardziej obleśna i brudna od drugiej...

Pierdzący zmarli, dzwoniące komórki, ukryte kochanki, które objawiają się w chwili podniesienia kropidła, ostatnie życzenia różnych nieboszczyków, które wprawiają w osłupienie, reakcje bliskich, dzięki którym grabarze będą mieli co wspominać na emeryturze, i inne równie zabawne historie, od których słuchacz umiera ze śmiechu.

Gdy wyczerpało się źródło anegdot, w sukurs przyszły *Wielkie głowy*.

Audycja obsceniczna. Seksistowska. Doskonała.

Charles wziął od nich papierosa i wyrzucając niedopałek przez okno, wyrzucił wraz z nim żalobną opaskę.

Rechotał, poprosił Jean-Claude'a, żeby zrobił głośniej, zakończył żalobę i skoncentrował się na pytaniu przysłanym przez słuchaczkę.

## 16

Scena rozgrywa się w połowie września. W weekend zerwał dwa kilo jeżyn, obłożył dwadzieścia cztery dzienniczki ucznia (dwadzieścia cztery!) i pomógł Kate spiłować kozie kopyta. Claire przyjechała z nim, stanęła, jak kiedyś *Dad*, przy miedzianych misach i uciwała sobie wielogodzinne gadki z Yacine'em.

Dzień wcześniej oszalała na punkcie kowala i czuła, że zmieni zawód i zostanie Lady Chatterley.

- Widzieliście ten tors pod skórzanym fartuchem? Kate, widziałaś?

- Daj spokój. To młot.

- Skąd wiesz? Przetestowałaś go?

Poczekala, aż brat rozmówczyni wyjdzie do pokoju obok, i zrobiła minę, że tak, miała go kiedyś na warsztacie...

- No, ale jednak - westchnęła pani adwokat. - Ten tors...

Kilka godzin później, na pełnych szczęścia poduszkach, Kate zapytała Charles'a, czy przetrwa zimę...

- Nie rozumiem sensu twojego pytania...

- Więc zapomnij o nim - mruknęła, odwróciła się i odepchnęła jego ramię, żeby położyć się na brzuchu.

- Kate?

- Tak?

- To po francusku nie brzmi jednoznacznie.

- Czego się boisz, kochanie? Mnie? Zimna? Czy czasu?

- Wszystkiego.

Jedyną odpowiedzią były długie pieszczoty. Włosy, plecy, *the bottom*. Nie miał nic do powiedzenia. Sprawić, żeby znowu westchnęła. I ją ukołysać.

Teraz był w swoim biurze i próbował zrozumieć wyniki analizy graficznej luków poddanych nierównemu obciążeniu...

- A co to za cholerstwo? - wyskoczył Philippe z konopi, podając mu plik papierów.

- Nie wiem - odpowiedział, nie odrywając wzroku od ekranu. - Ale ty mi powiesz...

- Potwierdzenie zgłoszenia na jakiś gówniany konkurs na gównianą salę klubową w Pierdziawce-nad-Gnojówką. Ni mniej, ni więcej!

- Moja sala nie będzie gówniana - odparł spokojnie Charles, pochylając się nad wykresem.

- Charles... Co ci znowu odbiło? Dowiaduję się, że w zeszłym tygodniu byłeś w Danii, że być może znowu nawiądziesz współpracę ze starym Siza, a teraz ten...

Cel jego obstrzału wyłączył monitory, odjechał na krzesle w tył i złapał marynarkę.

- Masz czas na kawę?

- Nie.

- To go znajdź.

Tamten już szedł do aneksu kuchennego, więc dorzucił:

- Nie, nie tu. Zejdźmy. Muszę powiedzieć ci o paru sprawach...

- O czym ty mi chcesz znowu mówić? - westchnął jego wspólnik na schodach.

- O naszej przysiędze małżeńskiej.

\* \* \*

Teraz dzieliło ich pięć pustych filiżanek.

Oczywiście Charles nie opowiedział mu, jak ekscytujące było trzymanie za rogi przerażonej kozy podczas jej manicure'u, ale zdradził wystarczająco dużo, by jego wspólnik zrozumiał, iż wstąpił na pokład niezłej arki.

Milczenie.

- Ale... Co... Co będziesz robił na tym okręcie?

- Szukać suchego miejsca - uśmiechnął się Charles. Milczenie.

- Znasz takie powiedzenie o życiu na wsi?

- Mów...

- „Za dnia się nudzisz, nocą się boisz”.

Cały czas się uśmiechał. Nie wyobrażał sobie, jak można nudzić się choć przez sekundę w tym domu i czego się bać, śpiąc w ramionach superbohaterki.

O tak ładnych piersiach...

- A ty nic nie mówisz - podjął Philippe rozdrażniony. - Siedzisz, uśmiechasz się jak idiota...

- Zanudzisz się na śmierć.

- Nie.

- Jasne, że tak... Teraz jesteś cały w skowronkach, bo się zakochałeś, ale... zresztą, kurde! Chyba trochę znamy życie, nie?

(Philippe konsumował akurat swój trzeci rozwód).

- A, nie... Ja go akurat nie znałem... Milczenie.

- Hej! - odezwał się Charles, klepiąc go po ramieniu. - Nie składam wymówienia, po prostu informuję cię, że odtąd będę pracował inaczej...

Milczenie.

- I to wszystko dla jednej kobiety, którą ledwo znasz, która mieszka pięćset kilometrów stąd, ma już pięcioro okaleczonych życiowo dzieciaków i nosi skarpetki z koziej wełny, tak?

- Nikt nie potrafiłby lepiej streścić tej sytuacji... Znowu długie milczenie.

- Powiem ci coś, Balanda...

(Ach, znów ten niby to ojcowski, niby to wyrozumiały ton starego pierdziela... Wstrętny...)

Jego współnik pokręcił się, żeby przykuć uwagę kelnera, wrócił do swojego wielokropka i rzucił:

- To jest piękny projekt.

I otworzywszy mu drzwi:

- Słuchaj... Czy ty czasem już trochę nie śmierdzisz krowim plackiem?

## 17

Pierwszy raz w życiu ojciec nie czekał na niego przy furtce.

Charles znalazł go w piwnicy, był całkiem zdezorientowany, bo już nie pamiętał, po co tu zszedł.

Ucałował go i pomógł mu wejść na górę.

Jeszcze bardziej posmutniał, gdy zobaczył go w świetle kinkietów. Jego skóra, jego rysy były zmienione.

Skóra pogrubiała. Pożółkła.

I w dodatku... strasznie się pozacinał, żeby godnie podjąć gości...

- Następnym razem kupię ci maszynkę elektryczną, tato...

- Och, chłopcze... Oszczędzaj pieniądze...

Odprowadził go do fotela, usiadł naprzeciw i patrzył na niego długo, próbując znaleźć coś pocieszającego w tej pokiereszowanej twarzy.

Henri Balanda, ten książę, czuł to i czynił wielkie wysiłki, żeby zabawić swego jedyne go syna.

Ale nawet gdy częstował go nowinkami z ogrodu i opisami ostatnich wielkich kuchennych wydarzeń, myślni błędził gdzieś daleko.

Więc on także umrze, on także... Czy to się nigdy nie skończy?

Nie jutro. Przy odrobinie szczęścia pojutrze także nie, ale w końcu...

Słowa Anouk długo jeszcze będą odbijać się echem... Oddał Alexisowi Mistinguett, a sobie zostawił po niej tylko to: życie. Ten przywilej,

W salonowe rozważania senekańskie wdarło się biadolenie matki:

- A ja to co? Nie ucałujesz mnie? Już tylko starzy się liczą w tym domu czy jak?

I kręcąc koczkiem:

- Litości... Ta fryzura... Nigdy się nie przyzwyczaję... Miałaś takie piękne włosy... I czemu się śmiejesz jak głupek?

- Bo tego typu uwagi są lepsze niż wszystkie testy DNA na świecie! Takie piękne włosy... Tylko matka może mówić podobne bzdury!

- Gdybym naprawdę była twoją matką - odcięła się - to, uwierz mi, mając tyle lat, nie byłbyś takim gburem... Nie protestował, gdy rzuciła mu się na szyję, którą Kate tak dobrze odsłoniła za uszami...

Zaraz po kolacji żrebaki poleciały na piętro obejrzeć końcówkę filmu, Charles zaś pomógł tej sprzątać, a tamtemu ułożyć papiery.

Obiecał, że przyjdzie któregoś wieczoru w przyszłym tygodniu i pomoże wypełnić zeznanie podatkowe.

Mówiąc to, obiecał sobie w myślach, że będzie przychodził raz w tygodniu przez cały bieżący rok podatkowy...

- Nie napiłbyś się koniaczku?

- Dziękuję, tato, ale wiesz, że jadę w trasę... Właśnie, gdzie są kluczyki od twojego samochodu?

- Na konsoli.

- Charles, to nierozsądne wyjeżdżać o tej godzinie... - westchnęła Mado.

- Nie martw się. Wiozę w schowku dwie katarynki...

À propos... Wyszedł na korytarz i postawiwszy stopę na pierwszym stopniu, oświadczył im, że pora jechać.

- O! Słyszeliście?

Klucze... Konsola...

- No proszę... - zdziwił się. - Co zrobiliście z lustrem?

- Daliśmy twojej najstarszej siostrze - odezwała się matka z głębin zmywarki. - Bardzo jej zależało... Trochę szybciej dostała swoją część spadku...

Charles patrzył na ślad, który zdjęte lustro zostawiło na ścianie.

To tutaj, pomyślał, pomyślałem, tutaj straciłem siebie z oczu prawie rok temu.

Tu, na tym blacie, na którym czekał na mnie list od Alexisa...

A dziś nie patrzyłem już w nieobecne oczy faceta zmrożonego przez pięć sylab, tylko w biały prostokąt odcinający się niemal niestosownie od szarawego, przybrudzonego tła.

Jeszcze nigdy moje odbicie nie wydało mi się tak podobne.

- Sam! Mathilde! - wrzasnąłem jeszcze. - Róbcie, co chcecie, ja jadę!

Ucałowałem rodziców i zbiegłem ze schodków ganku, równie rozgorączkowany jak wtedy, gdy miałem szesnaście lat i wymykałem się z domu, żeby się spotkać z Alexisem Le Menem.

Zapoznawać się z be-bopem, z nikotyną, z tym, co zostawiła jeszcze na dnie butelek kobieta, która akurat miała nockę, z dziewczynami, które nigdy nie zostawały zbyt długo, bo jazz był „zbyt upierdliwym” rodzajem muzyki, a później słuchać, jak on gra na kornecie Charliego Parkera, żeby nas pocieszyć po ich odejściu...

Wciskam klakson. Sąsiedzi...

Matka pewnie mnie znowu przeklina...

Czekam jeszcze dwie minuty, a potem - ich strata.

No, bo to prawda! Przesadzają, oboje! Rozwiązuję zadania z matmy razy dwa, z fizyki razy trzy, w kuchni mam zdjęcia Ramona, noże upaprane nutellą i przeżyłem przygodę z rozprawką o *Kuzynku mistrza Rameau* w ostatni czwartek piętnaście minut po północy!

Co wieczór kupuję im świeżą bagietkę i próbuję zrównoważyć w ich diecie warzywa, białka i skrobię, sprawdzam kieszenie i ratuję mnóstwo dziwnych rzeczy za każdym razem, gdy piorę ich dzinsy, znoszę ich, gdy trzaskają drzwiami i nie rozmawiają ze sobą przez kilka dni, znoszę ich, gdy zamykają za sobą drzwi i rechoczą do nie wiadomo której, słucham ich gównianej muzyki i dostaję ochrzan, bo nie zauważam subtelnych różnic między techno a hip-hopem, i... Tak naprawdę to mi wcale nie ciąży, ale nie mam zamiaru stracić przez nich ani sekundy więcej ze spotkania z Kate.

Ani jednej.

Oni mają całe życie przed sobą...

Lecz ponieważ mam do nich słabość i jadę bardzo wolno, zabieram ich do środka, zdyszanych i wściekłych, na następnych światłach.

Nieśmiertelny refren, kłóca się, które z nich usiądzie z przodu.

Moja kolej.

Nie, bo moja.

Jadę jeszcze kilka centymetrów do przodu, żeby ich pogodzić. Walą mocno w karoserię, teraz mają gdzieś swoje miejsca, tak się skupiają na obrzucaniu mnie wyzwiskami i w końcu zostawiają mnie sam na sam z wolnym miejscem z przodu.

- Cholera, wkurzasz, Charles.

- Prawda... wkurzasz...

- Zakochałeś się czy co?

Uśmiecham się. Szukam w myślach jakiejś repliki, czegoś, czym zgasiłbym tych dwoje małych kretynów, i mówię sobie: Daj spokój... młodość...

Jest za tobą...